



Joanna Dorota
BUJAK

**NIKT SIĘ
NIE
SPODZIEWAŁ**



NIKT SIĘ
NIE
SPODZIEWAŁ

Joanna Dorota
BUJAK

**NIKT SIĘ
NIE
SPODZIEWAŁ**

Brzozowy Zaulek

Niemal cały Brzozowy Zaulek – niedawno wytyczona na obrzeżach małego podwarszawskiego miasteczka uliczka – tonął w mroku, mimo że kilka mrugających latarni oświetlało skąpo pas asfaltu oraz chodnika.

Ponadhektarowy obszar, pokryty do niedawna głównie trawą i urozmaicony jedynie lubiącymi piaszczystą glebę drzewami, w ciągu roku zamieniono w osiedle domków jednorodzinnych w iście amerykańskim stylu. Budowano szybko i efektywnie, wykorzystując głównie prefabrykaty oraz drewno. Dzięki tej metodzie już niespełna cztery miesiące po osadzeniu fundamentów domy nadawały się do przyjęcia pierwszych lokatorów. Wzdłuż Brzozowego Zaułka znajdowało się czternaście posesji, z czego trzynaście było nowych, natomiast jedna istniała tutaj na długo przed wykupieniem ziemi przez inwestora. Był to mały biały domek usytuowany na samym końcu mającej kształt łuku ulicy.

Domek powstał w latach pięćdziesiątych. Otaczał go stary sad pełen jabłoni, grusz oraz śliwek węgierek. Mieszkała w nim – wraz z trzema kotami i spasionym jamnikiem – wiekowa już Staszka Puchaczowa, która z powodu licznych schorzeń miała problemy ze snem. Czasami budziła się około trzeciej w nocy, siadała przy drzwiach balkonowych na piętrze w sypialni w swoim ulubionym bujanym fotelu i głaszcząc po grzbiecie któregoś z kotów, uważnie obserwowała pogrążoną w półmroku ulicę. Wspominała wtedy czasy, kiedy wokół ongiś pylistej drogi rosła jedynie gęsta trawa i kępy młodych brzoź.

Tej nocy Staszka powtórzyła swój rytuał. Tradycyjnie łyknęła z gwinta nalewkę domowej roboty, „tak dla ogrzania styranych kości”, po czym zasiadła w swoim ulubionym „najlepszym punkcie obserwacyjnym”. Mrucząc coś pod nosem, wpatrywała się bezrefleksyjnie w ciemną wstęgę asfaltu. Nagle jej uwagę przykuło światło migające przy zaparkowanym dwie działki dalej samochodzie. Trzeba przyznać, że jak na swoje ponad osiemdziesiąt lat Staszka cieszyła się wyjątkowo dobrym wzrokiem. Okulary zakładała tylko do czytania. W tym momencie bezsenność i świetny wzrok okazały się wyjątkowo przydatne, bo zobaczyła rzecz zgoła niecodzienną.

Przed domem numer trzynaście, do którego zaledwie dwa tygodnie wcześniej wprowadziła się jakaś rodzina, stał teraz ciemny dostawczak. Wysoki, szczupły mężczyzna, w którym Staszka rozpoznała najemcę owej posesji, biegł w stronę bagażnika, trzymając w rękach duże, tekturowe pudło. Przy drzwiach auta nagle pojawiła się krępa kobieta. Szybko pomogła mu zapakować pudło do samochodu, po czym oboje pognali do domu, zostawiając frontowe drzwi otwarte na oścież. A to oznaczało, że najwyraźniej jeszcze nie skończyli wynosić...

Staszka z emocji poderwała się z fotela, zapominając o reumatyzmie i grubym kocie, który wylegiwał się na jej kolanach. Kocur zleciał na ziemię z głośnym miauknięciem, po czym zniknął za drzwiami sypialni, obdarzając swoją panią spojrzeniem pełnym wyrzutu.

– No, pokażcie się, dranie – szepnęła, ignorując kota. Uchyliła nieco firankę, by mieć lepszy widok na uliczkę. – Gdzie jesteście? Uciekacie, tak? Narozrabialiście? Wiedziałam, że ta ulica zaroi się teraz od bandytów, bezceństwa i złodziejstwa...

Nie musiała długo czekać. Para po chwili pojawiła się na ganku, dźwigając coś na kształt skrzyni. Musiało być ciężkie, bo kobiecie aż ugięły się nogi.

– Co do diaska? – mruknęła do siebie Staszka, przyciskając nos do szyby. – Trupa tam macie czy jak? Dranie jedno... Wiedziałam, że to tak się skończy...

Trwała na swoim posterunku, z emocji całkiem odsuwając zasłonę na bok i przywierając do szklanej tafli okna jak wielki glonojad. Mężczyzna długo się męczył, nim wcisnął skrzynię na tylne siedzenie samochodu. Tymczasem kobieta w pośpiechu zamknęła frontowe drzwi i truchcikiem ruszyła w stronę auta. W rękę trzymała sporą latarkę i zanim wsiadła do środka, zamieniła z mężczyzną kilka słów. Nagle uniosła latarkę i zaświeciła nią prosto w okno, w którym stała ciekawska staruszka.

Staszka zamarła, wciąż przyciskając twarz do chłodnej szyby. Bała się nawet zamrużyć, mając wrażenie, że dopiero ruch mógłby ją zdradzić. Nie spodziewała się, że światło latarki padnie prosto na nią z mocą reflektora więziennego. W ułamku sekundy straciła całe poczucie bezpieczeństwa, jakie dawał jej dom. Teraz miała wrażenie, że stoi na balkonie, kompletnie goła i przed milionowym audytorium.

Mężczyzna zainteresował się ujawnioną przez zdradzieckie światło podglądaczką. Wziął od kobiety latarkę i wciąż świecąc nią w okno Staszki, podszedł wolno pod ogrodzenie posesji staruszki, nie spuszczać starszej pani z oka ani na moment.

Gdy zbliżał się do furki i chwilowo przysłoniły go bujne żywotniki, Staszka odzyskała zdolność ruchu. Błyskawicznie odskoczyła od okna, chowając się za warstwą poliestrowej, wzorzystej zasłony. Rozsądek kazał jej zaszyć się w głębi domu i zadzwonić na policję. Mężczyzna wyglądał na takiego, który mógł włamać się do środka i zrobić jej krzywdę. Jednak druga, ciekawska strona jej natury była niestety znacznie silniejsza. Nie wolno opuszczać punktu obserwacyjnego, za nic w świecie! Z zapartym tchem śledziła więc wzrokiem stojącego wciąż przy bramie człowieka, modląc się w duchu do Świętej Panienki, by nie próbował forsować drzwi i zostawił ją w spokoju. Po całych – jak jej się wydawało – godzinach bezruchu mężczyzna wreszcie odwrócił się, po czym wolno odszedł, stukając obcasami niczym kobieta. Wreszcie para wsiadła do auta. Zawarczał silnik.

Staszka dopiero wtedy przypomniała sobie o niezbędnej czynności, jaką było oddychanie. Łapiąc rozpaczliwie kolejne hausty powietrza, chwyciła się za serce i wznosząc oczy ku górze, podziękowała Opatrzności za opiekę nad jej skromną osobą oraz dobre zakończenie sprawy.

Jej radość nie trwała jednak długo. Auto, zamiast oddalać się, najwyraźniej cofało i to prosto w kierunku jej działki. Tędy nie dało się wyjechać z osiedla, ponieważ Brzozowy Zaułek nosił taką nazwę nie bez kozery. Mająca kształt łuku ulica kończyła się ślepo uroczym laskiem, za którym były już tylko łąki, wąski potoczek i wiejskie zagrody. Nie dało się tędy przejechać. W tym miejscu należało zawrócić, minąć wszystkie czternaście domów i wjechać na skrzyżowanie.

– Co oni robią, do cholery? Oby im tylko nie przyszło do głowy zniszczyć niedawno odnowionego parkanu, który kosztował mnie dwie ostatnie emerytury! – jęknęła Staszka.

Dostawczak zatrzymał się dokładnie pod bramą Staszki, wjeżdżając przy tym na chodnik. Okno kierowcy otworzyło się i błyskająca bielą ręka wrzuciła coś pomiędzy sztachety furki. Następnie pojazd ruszył z piskiem opon, tym razem już w odpowiednim kierunku, i zniknął za zakrętem, pograżając uliczkę w dziwnie złowroziej ciszy.

– A niech mnie – mruknęła staruszka, wciąż zaciskając prawą dłoń na klatce piersiowej.

Tym razem już bez obawy, że ktoś ją zauważy, uchyliła drzwi balkonowe i zerknęła w dół. Tuż przy bramie zobaczyła kulkę papieru. Na ciemnym, betonowym chodniku świeciła ona niemal fluorescencyjną bielą, zupełnie jakby wołała, by przybiec i wziąć ją do rąk. Wtedy ujawni najbardziej niesamowitą tajemnicę na świecie!

– Nie jestem głupia – mruknęła Staszka w stronę kulki i wolnym krokiem wróciła do łóżka. – Nie

pójdę! Co to to nie.

Okryła starannie nogi najpierw kołdrą, a potem grubym kocem, po czym ułożyła się na wznak, podciągając pościel aż pod brodę. Zza chmur wyrzwał księżyc i tajemniczą poświatą pobielił ulicę, dojrzewające owoce na jabłoniach w sadzie oraz wewnątrz sypialni Staszki Puchaczowej. Gdzieś w rosnącym tuż za płotem brzozowym zagajniku zahuczała sowa. Po drugiej stronie potoku zaczął ujadać pies.

– No świetnie! – warknęła Staszka, zrywając się z łóżka z takim impetem, że aż chrupnęło jej w stawie biodrowym.

Mruczając pod nosem, wcisnęła spuchnięte stopy w ciepłe kapcie z baraniego futra przywiezione kilka lat temu z Zakopanego, narzuciła na długą koszulę nocną wełniany szlafrok, po czym zapalając wszystkie światła po drodze, ruszyła dziarsko na dół.

Gdyby jakiemuś detektywowi przyszło do głowy, by tej wrześnie nocy za pomocą satelity zerknąć o czwartej dwadzieścia na Brzozowy Zaulek, zobaczyłby rzecz zgoła niecodzienną i niewątpliwie wymagającą głębszego zbadania: przygarbiona starsza pani maszerowała środkiem chodnika, ubrana w kwiecistą koszulę nocną, wściekle kolorowy szlafrok oraz siatkę na głowie podtrzymującą rząd wielkich, gąbkowych wałków. Dotarła do ogrodzenia, po czym podniosła z ziemi zmięty skrawek papieru. Podeszła nieco bliżej latarni znajdującej się na chodniku tuż obok jej bramy i podnosząc wyżej papier, starała się coś z niego wyczytać. Nagle przeżegnała się z przerażoną miną, wznosząc rozszerzone strachem oczy ku górze, jakby szukała wsparcia sił wyższych.

Witamy na Brzozowym Zaułku

Kiedy wprowadziliśmy się na Brzozowy Zaułek, nie miałam pojęcia, że dzięki poznanym tutaj osobom, przez serię zdarzeń i zbiegów okoliczności, moje życie potoczy się właśnie tak, a nie inaczej...

Widocznie los chciał, bym pewnego popołudnia, po kolejnym spięciu z wyjątkowo upierdliwym facetem wynajmującym nam mieszkanie, wybrała się z dziećmi na spacer. Klnąc pod nosem i kopiąc ze złości leżące na chodniku kamyczki, wpadłam z hukiem na jakiś krzywy słup, bo młodszy syn nagle mocno pociągnął mnie za rękę.

– Mamo, patrz! Piękne domki! – sapnął z podniecenia, celując krągłym paluszkiem w gigantyczną reklamę rozpiętą na murze myjni samochodowej po drugiej stronie ulicy, wzdłuż której spacerowaliśmy wolnym krokiem.

– Tak, Benku. Widzę... – mruknęłam, rozcierając obolały policzek i starając się skupić wzrok na tym, co mi pokazywał, bo oczy zaszyły mi łzami. – Rzeczywiście, rzucają na kolana... zwłaszcza cena.

– A co to znaczy „tylko dwa tysiące złotych za metr”? – zapytał Maks, mój dzielny ośmioletni drugoklasista. – Że można kupić na przykład tylko pięć metrów, jak ma się dziesięć tysięcy złotych?

Maks posiadał wyjątkową zdolność błyskawicznego liczenia w pamięci nawet wielocyfrowych liczb. Nie dało się go okantować podczas dzielenia pomiędzy nim a jego młodszym bratem paczki cukierków czy worka resoraków. Kiedyś dostał od cioci dziesięć euro, które chciał wymienić na złotówki, bo od jakiegoś czasu zbierał na wymarzoną hulajnogę. Zażądał sprawdzenia w Internecie kursu walut, po czym przeliczył, ile powinien dostać od taty. Wyliczył co do grosza! Swoją drogą miał szczęście, bo tego dnia kurs euro do złotego mieścił się akurat w liczbie całkowitej – póki co ułamki były jeszcze dla Maksa niepoliczalne.

– Mamo, może zamieszkamy w takim domku? Jest ładny i duży – spytał Benek, stojąc uparcie w miejscu, choć pociągnęłam go lekko w stronę sklepu mięsnego, gdzie mieliśmy kupić kawałek kurczaka na rosół.

– Nie mówi się duży, tylko duży – poprawił go Maks tonem znawcy. – Naucz się wreszcie mówić jak człowiek!

– Duży – powtórzył malec, starając się bezskutecznie wypowiedzieć poprawnie trudny dla niego wyraz.

– Ciołek – mruknął Maks.

– Mamo! On o mnie źle mówi – jęknął Benek. – On mówi bzydko!

Maks przewrócił oczami.

– Brzydko, nie bzydko – poprawił znów młodszego brata.

– Przestańcie, dobrze? – upomniałam chłopców, wycierając sfatygowaną chusteczką oczy.

– Mamo, te domki są ładne. Naprawdę ładne – zmienił temat Maks, czując zapewne, że zaraz może dostać karę za przezywanie młodszego braciszka.

Dopiero wtedy zatrzymałam się i uważniej spojrzałam na reklamę. Przedstawiała sielankową wizję jakiegoś osiedla wolnostojących domków otoczonych uroczym brzozowym laskiem. Na wykoszonych

trawnikach przed domkami bawiły się uśmiechnięte dzieci ze swoimi przeszczęśliwymi rodzicami. Nieco przeskalowany spaniel biegł za zdecydowanym przeskalowanym tęczowym motylkiem, natomiast jadący cadillakiem przystojniak machał przyjaźnie do idącej chodnikiem starszej pani. Co prawda, gość miał taką sztucznie lubieżną minę, jakby zamierzał tę babcię przelecieć, ale raczej nie był to zamierzony efekt – widocznie w bibliotece wizualizacyjnej programu, w którym wykonano ów billboard, możliwości przedstawiania mimiki twarzy były mocno ograniczone.

„Domy w amerykańskim stylu” – wrzeszczał czerwony nagłówek. Reszty informacji nie mogłam rozczytać przez wciąż łzawiące oczy.

– Wizja jak z folderu jakiejś sekty religijnej... – mruknęłam, kręcąc głową. – Kogoś chyba nieco poniosło. Przecież pies ma rozmiary młodego słonia. A taki motyl ważyłby z pół kilograma. Wątpię, by przy takich cienkich skrzydłach był w stanie unieść odwłok...

– Ale tu jest ładnie – przerwał mi młodszy synek. Starszy skwapliwie mu przytaknął. – Bardzo ładnie.

– No! I są balkony... – westchnął Maks. – Każdy miałby swój pokój. Nie musiałbym słuchać, jak Benek beczy o wszystko. Bo to jest beksa!

– Wcale nie! Nie jestem beksa! Ty jesteś! – uniósł się malec.

– Przestańcie – powiedziałam odruchowo, starając się zdusić kłótnię w zarodku. – Wiecie co? Może to nawet nie jest głupi pomysł?

Myślałam, że ostatnie zdanie pozostało w moich myślach, lecz najwyraźniej ludzkie dzieci mają genialny słuch albo wręcz potrafią czytać w umyśle rodzica.

– Zrób zdjęcie i pokaż tacie – zasugerował mądrze Maks. – Jemu też na pewno te domki będą się podobały.

Wyłuskałam z kieszeni kurtki telefon i szybko wykonałam kilka fotografii, starając się, by adres strony internetowej oraz numer do firmy deweloperskiej były dobrze widoczne.

Jeszcze tego samego dnia pojechaliśmy po krótkiej dyskusji na TO osiedle. Muszę przyznać, że główna uliczka zrobiła na nas duże wrażenie. Wzdłuż Brzozowego Zaułka stały ładne, piętrowe domy z poddaszami, częściowo obłożone ciemnoczerwonym klinkierem, częściowo otynkowane na różne odcienie. Dachy błyszcząły grafitowymi dachówkami, kominy – tą samą czerwienią co klinkierowe podmurówki. Przed domami zieleniły się niewielkie trawniki otoczone niskimi białymi płotkami. Na niektórych działkach rosły kępy brzozek – pozostałość po dawnym brzozowym lasku. Na tyłach każdego domu znajdowały się też spore ogródki. Podobało nam się, że każda nieruchomość różniła się czymś od innych – odcieniem ścian, dodatkową okładziną, ilością okien, nadbudówką nad garażem czy daszkiem wysuniętym nad tarasem w taki sposób, by można było odpoczywać w jego cieniu. Dzięki tym prostym zabiegom ulica nie wyglądała jednorodnie. Co więcej, takie drobne, lecz utrzymane w jednym stylu detale architektoniczne były miłe dla oka.

– Mamy do sprzedania już tylko jeden dom – powiedziała nam agentka nieruchomości. Była to szczupła blond panienka o ostrym profilu i z niemal centymetrową warstwą podkładu nie do końca ukrywającego drobne, ciemne krosty. – Ostatni, widoczny z tego miejsca. Ten zaraz za zakrętem.

Machała ręką jak cepem, eksponując przy tym długie, krwistoczerwone paznokcie.

– W środku nie ma niczego wolnego? – zapytałam z nadzieją w głosie.

– Hm, sprawa wygląda następująco. Nie mamy jeszcze potwierdzenia kredytowego od osoby, która zarezerwowała tę posesję. – Ręką wskazała dom znajdujący się przy zakręcie uliczki. Na furtce dumnie wisiał wykonany z blachy numer dziesięć. – Ale na razie nie mogę państwu nic obiecać.

– Jest najładniejszy – stwierdziłam, patrząc na zarezerwowany dom. Tuż pod jego oknami rosły cztery przytulone do siebie brzozy, trochę dalej natomiast, w najbliższym rogu działki, wielka sosna otoczona dwoma mniejszymi. Zza domu też wychylało się kilka drzewek. Okna kuchenne, salonowe i dwóch

sypialni na piętrze wychodziły na ulicę. Do domu dobudowano także garaż, nad którym znajdowała się (według agentki) duża, dwuczęściowa łazienka. Dopełnieniem tych dobrych wiadomości był fakt, że sąsiednie posesje zamieszkiwały dziecięte pary mniej więcej w naszym wieku. No po prostu coś wspaniałego! Chyba niczego nigdy bardziej nie pragnęłam niż kupienia właśnie tego domu!

Ku naszej samolubnej radości, następnego dnia okazało się, że osoba, która zarezerwowała tę posesję, miała problemy z bankiem i była zmuszona zrezygnować z zakupu nieruchomości. Prawdę mówiąc, powód tej decyzji kompletnie nas nie interesował. To po prostu było przeznaczenie! Najwyraźniej mieliśmy zamieszkać właśnie tutaj. Dwa dni później agentka ostatecznie potwierdziła, że dom numer dziesięć jest do kupienia, a miesiąc po tym telefonie już dostaliśmy w banku kredyt. Sprawy potoczyły się błyskawicznie, ale może to i lepiej, bo nie było czasu na długie rozważanie tych wszystkich za i przeciw. Po prostu zależało nam, by jak najszybciej uwolnić się od upierdliwego właściciela wynajmowanego wówczas mieszkania, który czepiał się dosłownie wszystkiego – od kompletnie niewidocznej ryski na ścianie po pranie wieszane przeze mnie na kaloryferze, które – jego zdaniem – mogło zniszczyć „wspaniałą, PRL-owską tapetę”. Nie będę kłamać, baliśmy się kredytu jak diabli – że raty będą za wysokie, że nie damy rady go spłacać – w końcu oficjalnie pracował tylko Tomek. Ja zajmowałam się dziećmi. Na szczęście okazało się, że co miesiąc będzie on kosztował mniej niż czynsz za wynajem. To nas ostatecznie przekonało. Wprawdzie nadal mieliśmy wydawać dużo na mieszkanie, ale przynajmniej na swoje. No i nie musieliśmy już nikogo pytać, czy możemy wbić gwóźdź w ścianę lub przemałować pokój. Wolność, Tomku, w swoim domku!

I tak w ciągu miesiąca staliśmy się posiadaczami piętrowego domu usytuowanego na dziesięcioarowej działeczce, częściowo porośniętej młodymi brzoškami.

Na parterze domu znajdował się obszerny salon, kuchnia, wielka garderoba, łazienka i spory pokój na biuro. Na poddaszu natomiast mieściły się trzy duże pokoje z balkonami i przepastnymi szafami oraz ogromna i pusta jeszcze łazienka. Niedoszły właściciel na szczęście zlecił wykończenie kuchni i położenie podłóg. Najwyraźniej jednak problem kredytowy zaczął się przed montażem górnej łazienki albo po prostu niezamontowany sprzęt został przez niego zabrany.

Za kolejny cud związany z domem uznaliśmy dorwanie ekipy, która w trzy tygodnie położyłaby płytki oraz osadziła wannę, prysznic, toaletę i umywalki. Tu znów dopisało nam szczęście: nasz zaprzyjaźniony pan złota rączka – Andrzejek – zdążył nas „upchnąć” pomiędzy kolejnymi zleceniami. Na wybór płytek i sprzętu łazienkowego mieliśmy jeden wieczór. Nigdy w życiu nie robiliśmy tak błyskawicznych zakupów jak wtedy...

Wreszcie nadszedł ten wymarzony dzień. Trzynastego sierpnia przewieźliśmy większość naszego dobytku w wynajętej ciężarówce. Wiekowa maszyna zatrzymała się z bolesnym jękiem na naszym nowym, niewielkim podjeździe. Z jej środka wyskoczyło dwóch młodych chłopaków z firmy przeprowadzkowej i sprawnie zabrali się za przenoszenie łóżka, kilku mebli i licznych pudeł z drobiazgami. Wkrótce salon zapełnił się wieloma pakunkami, choć mój mąż Tomek dzielnie monitorował napływające z ciężarówki kolejne elementy wyposażenia.

– To łóżko idzie na górę, do pokoju z prawej strony – zarządził, sam nosząc tylko lekkie rzeczy. – Bardzo proszę uważać, żeby nie obić ściany! Są świeżo malowane.

– Panie, nie wiem, czy wykręcimy... – bronili się pracownicy, ale po krótkiej naradzie ustawili deski w taki sposób, że udało się je wnieść bezkolizyjnie po dość wąskich, zabiegowych schodach.

– Rasowy dyrektor z ciebie – mruknęłam, kiedy młodzieńcy z jękiem dźwigali ciężkie drewniane półki do naszej sypialni.

– Jak te wszystkie rzeczy zmieściły się w tamtym mieszkaniu? – zapytał Maks, patrząc na kompletnie zagracony salon, który metrażowo był większy niż całe nasze poprzednie lokum.

– Mama to sprytnie utykała po kątach – wytłumaczył Tomek, delikatnie wypychając syna na taras. – Nie przeszkadzajcie, bawcie się na podwórku. I pilnuj brata! Byleby przeżył to w jednym kawałku...

– Miała zmniejszacz? – zapytał niespodziewanie Benek.

– Raczej upychacz – szepnął mu Tomek do ucha, nim zasunął za nim drzwi.

Przez szybę zobaczyłam, jak mały biegnie za swoim starszym bratem w kierunku kępy brzoź rosnących w rogu ogródka.

– Przynajmniej będą mieli gdzie się wyszaleć – westchnęłam, zaglądając do jednego z pudełek, by sprawdzić, do jakiego pomieszczenia należy je przenieść. – Tutaj są noże, tasaki i deski do krojenia.

– Upiorny zestaw. Lepiej od razu odstaw je do kuchni – wzdrygnął się Tomek. – Ja mam książki. Zanieść je na górę czy zostawić tutaj?

Przez pół nocy zajęci byliśmy likwidacją stosu pudeł pełnych przeróżnych drobiazgów potrzebnych (lub niekoniecznie) w codziennym życiu. Chcieliśmy przede wszystkim rozpakować rzeczy chłopców, by mogli spędzić w przyzwoitych warunkach pierwszą noc w swoich nowych pokojach. Około trzeciej nad ranem nie miałam nawet siły, by podrapać się pod okiem.

– Idziemy spać? – zapytał błagalnym tonem Tomek. – Zaraz padnę na twarz. Na tym kartonie.

– Nie wąż się – mruknięłam, wypychając ostatnie garnki do szafki. – W środku są kieliszki. Nasze ulubione!

– Nawet ulubione kieliszki mi nie przeszkadzają...

Na niepościelone łóżko padliśmy dopiero o czwartej, kiedy udało mi się znaleźć pudło z naszą kołdrą i poduszkami. O wyszukaniu poszewek nawet nie chciałam myśleć. Miałam nadzieję, że chwilę wypocznę, jednak ledwie naciągnęłam na siebie skrawek poszewki, poczułam ciepłe ręce Tomka leniwie błędzące po moim udzie.

– Chyba sobie żartujesz! – szepnęłam, walcząc z opadającymi powiekami. – Przecież powiedziałeś, że padasz na ryj.

– Nie na ryj, tylko na twarz. – Jego ciepły oddech delikatnie musnął moje ucho. – Na TO zostawiłem sobie trochę ekstra energii. Trzeba ochrzcić nowe miejsce. Na szczęście. Ależ masz gorące uda...

– Wypchaj się! Będziemy uszczęśliwiać się jutro, jeśli będę w stanie poruszać odnóżami. Dobranoc – jęknęłam.

Nic nie odpowiedział, tylko uparcie błędził dłonią po moim ciele.

– Panie Winiarski! Czy zrozumiałeś moją ostatnią wypowiedź? – fuknęłam. – Idziemy spać! Dzisiaj nic z tego nie będzie. Nieczynne, rozumiesz? *Game over!* Po zabawie!

Chyba też był potwornie wykończony, bo zazwyczaj dłużej stawiał opór. Tym razem jednak tylko mruknął coś pod nosem i obrócił się do mnie plecami. W takiej sytuacji zazwyczaj przytulałam się do jego wypiętego zadka i szepcząc czułe słówka, starałam się go udobruchać, ale tym razem spasowałam. Po prostu musiałam wreszcie choć trochę odpocząć.



Nasz pierwszy poranek na Brzozowym Zaułku był ciepły i słoneczny. Oczywiście obudziły nas dzieci, wskakując do naszego łóżka tuż po siódmej. Młodszy syn i tak był wyrozumiały, bo zazwyczaj w nowych miejscach wstawał tuż po szóstej rano.

– Mamo, nie mogę znaleźć skarpetek, a chciałbym się ubrać i iść do ogródka – powiedział Maks na powitanie.

– I ja też! – krzyknął Benek, wpadając za nim jak bomba do sypialni i moszcząc się wygodnie pomiędzy

mną a Tomkiem. – I jeszcze nie mam spodni. Normalnie żadnych. Nawet piłkarskich.

– Jest środek nocy – jęknęłam, zakrywając twarz kołdrą.

– Nieprawda – stwierdził Maks, podchodząc do okna i brutalnym pociągnięciem unosząc do góry rolety. Ostry blask słońca zalał cały pokój.

– Aha, i jestem głodny! – dodał Benek, kładąc mi na policzku ciepłe, pulchne i lepkie łapki. – Baaardzo głodny. Chcę jeść. Mój brzusek chce jeść. Bardzo!

– To nic nowego – mruknął Tomek.

– Bo Be to chodzący przewód pokarmowy. – Maks usłyszał kiedyś te słowa w filmie i zawsze je powtarzał, kiedy jego brat chciał jeść. Czyli mniej więcej co pół godziny. Nawet nie mieliśmy już siły się z tego śmiać.

– A może pójdziecie na dół i pogracie sobie na tabletkach? Albo na padzie? – zaproponowałam w nadziei, że zyskam jeszcze kilka minut świętego spokoju. – Dzisiaj wyjątkowo możecie zrobić to przed śniadaniem. I w pizamach!

– Huurrraaa! – Chłopcy z radosnym wrzaskiem wypadli na korytarz. Z nieskrywaną ulgą słuchałam, jak zbiegają po schodach, plaskając gołymi stópkami.

– Uff – westchnęłam, moszcząc się w ramionach męża.

Niestety moja radość trwała zaledwie kilka sekund. Po chwili dudnienie stóp ponownie nasiliło się i chłopcy z impetem wpadli do sypialni.

– Są jak bumerangi – stwierdził Tomasz. – Im bardziej chcesz się ich pozbyć, tym szybciej wracają.

– Nie podłączyliście konsoli. W ogóle telewizor nie działa. Nic nie działa! – oświadczył z wyrzutem Maks.

– Szlag by to trafił – warknęłam w poduszkę. – Trudno, zajmijcie się czymś innym. Idźcie sprawdzić, czy przez noc urosła trawa w ogródku!

– Ale ja tak chciałem graaać! – zaczął ryczeć Benek. – I nawet nam pozwoliłaaaaa! Mamy przecież tę nową grę od wujka... Obiecałaś! Mammooooo!

– Uroczu. – Tomek z grymasem na twarzy podniósł się z posłania. – Teraz muszę iść na dół, szukać w kartonach sprzętu, podłączać go i w ogóle pieprzyć się z tym całym kramem!

– Hamuj się... – szepnęłam do niego. – Tu są dzieci!

– Wcale nie byłaś lepsza – odparował. – Ja przynajmniej nie używam wyrażen typu „szlag by trafił”.

– A co to znaczy? – zainteresował się Benek. – Mnie też może trafić ten szlak? A to taki duży szlaczek? Kolorowy? Jak w zeszycie Maksa? On jest bardzo zły, jak rysuję szlaczki. Nawet płacze!

– To kłamstwo! – przerwał oburzony Maksymilian.

– Szlag, nie szlak – powiedziałam, zanim dotarło do mnie, co mówię.

– A to coś innego? No co to jest? – Benedykt należał do tych dzieci, które muszą o wszystkim wiedzieć. Niedoinformowanie było dla niego największą karą.

– Nic, kochanie. To brzydkie słowo. Nie używaj go nigdy, dobrze? – powiedziałam, starając się zwracać do niego z uśmiechem.

Nie było innego wyjścia: musiałam wstać. Najpierw przygotowałam świeże ubrania dla chłopców, czyli takie nieoznakowane pasami zaschniętych gilów na rękawach i warstwą kurzu na nogawkach. Kiedy po znalezieniu odpowiednich spodenek i koszulek udało mi się w końcu zamknąć w łazience, stanęłam na chwilę przed dużym lustrem i wzięłam głęboki wdech. Widziałam odbicie średniego wzrostu kobiety o nieco krągłej sylwetce. Kasztanowe, kręcone włosy sięgające ramion okalały bladą twarz udekorowaną kilkunastoma piegami. Szaroniebieskie oczy były teraz prawie niewidoczne z powodu spuchniętych z niewyspania powiek. Spojrzałam w lustro z naiwną nadzieją, że przeprowadzka pomoże mi stracić kilka kilo. Niestety nic z tego. Niczego nie straciłam, zyskałam za to szare, brzydkie wory pod oczami.

Cóż, trudno. Może następnym razem się uda...

Ziewnęłam i wcisnęłam się leniwie w wygodny, cienki dres idealny do dalszej pracy. Zjedliśmy szybkie śniadanie i unieruchomiliśmy dzieci przed telewizorem. Rozpakowywania ciąg dalszy czas zacząć! Kolejne godziny minęły nam na porządkach. Nawet nie mieliśmy już siły ze sobą rozmawiać. Wymienialiśmy jedynie krótkie informacje związane z miejscem przeznaczenia poszczególnych rzeczy. Około południa naszą walkę o podłączenie pralki w dolnej łazience przerwał dzwonek do drzwi, który brzmiał jak chiński gong.

– Słonko, otwórz, bo ja jestem w samych bokserkach – sapnął Tomek, który właśnie z trudem dokręcał wszystkie rurki, wciśnięty między pralkę a ścianę.

Zanim, klnąc pod nosem, wyswobodziłam się zza maszyny, do łazienki wbiegł Maksymilian.

– Mamo, za drzwiami stoją jakieś panie, otworzyć? Widziałem przez te kolorowe szybki w drzwiach, że to są panie, wiesz?

– To super, ale lepiej ja otworzę – mruknęłam, otrzepując z kurzu dresową bluzę. – Co mówiliśmy na temat otwierania obcym osobom?

To było moje pierwsze spotkanie z nowymi sąsiadkami. Stały w miejscu, w którym powinna być wycieraczka, wówczas nadal ukryta wśród nierozpakowanych gratów, i z zaciekawieniem rozglądały się po obłożonym pakunkami ganku.

– Dzień dobry – powiedziałam grzecznie, gdy tylko otworzyłam drzwi.

Z uniesionymi brwiami czekałam, aż się przedstawią i powiedzą, w jakiej sprawie przyszły.

– Dzień dobry. Witamy nowych sąsiadów! – powiedziała jedna z nich, drobna, piegowata kobieta z rudym irokezem na głowie, ubrana w wąskie džinsy i za szeroką czarną bluzę z polaru. W rękach trzymała niewielki koszyczek przykryty kraciatą serwetką. – Nazywam się Marzena Kosowska i mieszkam prawie naprzeciwko, w domu z numerem dziewięć. – Palcem wskazała piętrowy dom z zielonymi okiennicami i pięknym podjazdem. – To moja przyjaciółka, Kasia Wrońska, mieszka obok mnie.

– Pod jedenastką – dodała Kasia, wyciągając do mnie rękę i ściskając ją ciut za mocno.

Była krągłą, ciemnowłosą kobietą o szczerym uśmiechu. Sprawiała wrażenie osoby statecznej, wyrozumiałej, lecz zarazem skorej do żartów.

– Miło mi poznać nowych sąsiadów – powiedziałam z uśmiechem. – Nazywam się Iwona. Iwona Winiarska.

– Na powitanie przygotowałyśmy ciasteczka – kontynuowała Marzena nieco zakłopotanym tonem. – Widziałam, że mają państwo dzieci. Chyba dwóch chłopców? Czy się nie mylę?

Spojrzałam na nie ze zdziwioną miną.

– Marzena mieszkała w Stanach przez kilka lat, stąd ten pomysł na amerykańskie powitanie – wytłumaczyła natychmiast Kasia. – Mówiłam jej, że pewnie to onieśmieli nowych mieszkańców. U nas nie ma takich, że tak powiem, tradycji.

– Nie, skądże – wymamrotałam, starając się ukryć zmieszanie. – Cieszę się, że... jesteście tutaj.

Nie wiedziałam, co należy zrobić. Zaprosić je do środka w ten bajzel? Może usiąść na zewnątrz na schodach? No i co zrobić z ciastkami? Może najlepiej wyjąć jedno przy nich i zacząć jeść, żeby widziały, że mi smakują? A tu człowiek walczy na kolejnej diecie, żeby zgubić kilka nadprogramowych kilogramów... Trudna sprawa.

– Bardzo się cieszymy, że na naszej ulicy będzie więcej dzieci – dodała Marzena. – Ja mam pięcioletniego synka Dawida, drugie natomiast, jak widać, w drodze.

Poklepała się po brzuchu, którego krągłość pod grubym polarem zauważyłam dopiero, gdy to powiedziała.

– Gratuluję. – Uśmiechnęłam się uprzejmie. – Dobrze mieć parkę. Dzieci lepiej się rozwijają, gdy jest ich... kilkoro.

– Ja też mam parkę – westchnęła Katarzyna. – Misia ma już cztery latka, Adaś dopiero zaczyna trzeci miesiąc. Straszny z niego łakomczuch.

A więc to tak? Teraz czas na licytację, kto ma więcej dzieciaków? Jak każda matka, oczywiście dałam się w to wciągnąć. Przecież nie jestem gorsza – moje łono wydało na świat dwóch chłopaków!

– Ja mam dwóch synów... – Nim zdążyłam dokończyć, moi chłopcy wepchnęli się przede mnie i wyciągnęli łapki po trzymany przez Marzenę koszyczek. – Benek ma pięć lat, a Maksymilian prawie osiem.

– Co to za ciasteczka? – zainteresował się młodszy. – Nie są z ziarnami?

Ostatnie pytanie zadał podejrzliwym tonem, stając na palcach, by lepiej widzieć zawartość przyniesionego przez kobiety koszyka.

– Nie – odpowiedziała natychmiast Marzena. – Są z grubym cukrem i marmoladą truskawkową.

– To mogą być. – Benek nie wybrzydzał, jeśli chodziło o przysmaki. Wyjątek stanowiły ciastka z dodatkiem otrębów, ziaren czy ciemnej mąki. – Bo mama wpycha nam takie niedobre ciastka. Tata mówi, że są z wiórami. Chyba sama ich nie lubi i dlatego nam je daje.

Wytrzeszczyłam oczy ze zdumienia.

– No, mały, bierz ciastko i zmykaj. – Wepchnęłam go do środka. Maks podążył za nim, żując bez przekonania końcówkę ciasteczka. Bałam się, że i on powie coś niewłaściwego.

– Dzieci są szczerze aż do bólu – zachichotała Kasia, kręcąc głową.

– Czasami ta dziecięca szczerłość bywa dość kłopotliwa – mruknęłam. – Może wejdziecie do środka? Wprawdzie wciąż mamy pełno pudeł...

– Nie, nie będziemy przeszkadzać – weszła mi w słowo Marzena. – Chciałyśmy tylko się przywitać i powiedzieć, że jeśli będzie trzeba ci w czymś pomóc, to mieszkamy nieopodal.

– Okej. Bardzo dziękuję. Jak już się do końca rozpakujemy, to może umówimy się na jakieś małe spotkanie? – Nie bardzo wiedziałam, co powinnam im zaproponować w takiej sytuacji. Przeprowadzaliśmy się już kilka razy i jeszcze nigdy sąsiedzi nie przywitani domowymi wypiekami. W naszym kraju nowych sąsiadów traktuje się na początku raczej nieufnie. Czekamy na okazję, żeby przypadkiem na nich trafić i ewentualnie zagadać. Zwykle dopiero po takim spotkaniu można stwierdzić, czy będziemy się mijać z grzecznym dzień dobry, zaprzyjaźnimy bliżej czy wręcz przeciwnie – staniemy się wrogami. A tu proszę! Zaczęło się bardzo miło.

– Pierwszy dzień w nowym miejscu i już masz dwie koleżanki? – zapytał Tomek, obejmując mnie w pasie i całując w szyję. – Szybka jesteś.

Zanim zamknęłam drzwi, jeszcze przez chwilę patrzyłam, jak sąsiadki wolno przechodzą przez pustą ulicę i rozmawiając ze sobą, stają przy furtce domu z numerem jedenaście.

– Pewnie chciały sprawdzić, jacy jesteśmy – westchnęłam, zamykając za sobą drzwi – ale muszę przyznać, to było bardzo miłe.

– Masz na myśli zachowanie naszych nowych sąsiadek czy mojego buziaka?

– Jedno i drugie, skarbie. Dobrze wiedzieć, że mieszkają tutaj ludzie w naszym wieku. No i że są dzieci. Będziemy mieli szansę na nieco odpoczynku, jeśli nasi chłopcy zajmą się gnębieniem kogoś innego niż my.

– Na to bym akurat nie liczył – odparł Tomek. – Bierzmy się za rozkładanie pudeł. Nie wiem, gdzie schować pojemnik z zapasową pościelą. Chyba mamy za mało pokoi.

– Wariat. – Roześmiałam się.

Nasz nowy dom składał się z niewielkiej piwnicy, parteru i poddasza. Na parterze znajdował się

ganek, mały korytarz z szafą na ubrania, pokój idealny na biuro, łazienka oraz duży salon połączony z kuchnią. Poddasze mieściło trzy pokoje. Przy każdym z nich były obszerne garderoby. Na końcu korytarza natomiast znajdowała się przestronna łazienka z dużą wanną i prysznicem. W porównaniu z poprzednim lokum (dwa mikroskopijne pokoiki oraz kuchnia bez okna), ten dom wydawał się nam nieprawdopodobnie duży. Przestrzeń salonu sprawiała wrażenie, że nie da się jej zagrabić. Nic bardziej mylnego – góra pakunków, worków i pudeł wprawdzie znacznie zmalała od wczoraj, ale na środku pomieszczenia wciąż tkwiła spora sterta nierozpakowanych rzeczy.

– Co z tym zrobimy? – Tomek podrapał się po głowie.

– To wygląda jak stos – stwierdził Maks tonem znawcy. – Może to podpalić?

– Niezły pomysł – zażartował mój mąż. – Bo to chyba same zapchajdziury...

– Przestań! – Szturchnęłam go.

– No co? To dowcip był... – zreflektował się Tomek.

Jednak było już za późno. W oczach naszego dziecka zauważyliśmy TEN błysk. Byłam przekonana, że w jego główce od razu zrodziła się odpowiednia koncepcja. Zaczęłam się zastanawiać, gdzie w naszym nowym domu można znaleźć zapalniczkę i zapałki.

Nasz starszy syn uwielbiał eksperymentować. Chciał wszystko sprawdzać: co dany sprzęt ma w środku, jak działa magnes albo czy rzeczywiście da się rozpałcić ogień za pomocą dwóch patyczków. Tak więc lepiej było dmuchać na zimne.

– Trzeba się koniecznie pozbyć tego stosu przed wieczorem, bo w przeciwnym razie Maks gotów zejść tutaj w nocy i urządzić ognisko godne Nerona – powiedziałam grobowym tonem.

– Robi mi się niedobrze, gdy patrzę na te kartony. – Tomasz z niechęcią zabrał się do pracy. – Sam chętnie puściłbym tę kupę śmieci z dymem.

– Plus jest taki, że jeszcze dzisiaj będziemy rozpakowani – starałam się go pocieszyć. – Przynajmniej z grubsza.

– Lepiej już nic nie mów – mruknął, dodając ciszej kilka soczystych epitetów.

Przez kolejne godziny opróżnialiśmy resztę paczek, pudełek i ruskich toreb wypchanych po brzegi pierdołami, o których istnieniu już dawno zapomnieliśmy. Wyciągając jakieś nigdy nieużywane pasiaste skarpetki z palcami, byłam gotowa wrzucić całą torbę do śmietnika. Kilka minut później, gdy natknęłam się na czapkę z pięcioma pomponami, której nikt nigdy nie miał na głowie, wizja urządzenia ogniska, o którym wspominał Maks, stała się niesamowicie kusząca.

– Szlag by trafił te wszystkie głupie duperele – rzuciłam, pakując je do wielgachnego worka na śmieci. – Nie zamierzam zagracać nimi nowego domu. Przecież nigdy w życiu tego nie użyjemy.

Wolną ręką uniosłam włochate nauszники w kształcie kobiecych piersi. Tomek akurat upychał swoje ubrania do naszej wspaniałej garderoby. Wychylił się zza zasuwanych drzwi i posłał mi złośliwy uśmiezek.

– Czyli nasz synek miał rację co do tego ogniska?

– Nie kuś mnie – warknęłam. – Po co w ogóle to pakowaliśmy?

– Nie my, lecz TY.

– Tere fere!

Ze złością wrzuciłam do worka kolejną fantastyczną i kompletnie nieprzydatną rzecz – rękawiczki dla zakochanych, składające się z dwóch połączonych ze sobą rękawic.

– Co za kretyn wymyśla takie rzeczy? – dodałam z frustracją, podnosząc parasolkę z zamontowaną przy rączce latarką. – I skąd my to do cholery mamy?

– To? W mojej firmie kiedyś takie rozdawali. – Tomek wzruszył ramionami. – Też bym tego nie kupił. Chociaż to śmieszne nawet. Ta parasolka ze światłem jest fajna. Można sobie pójść razem na

romantyczny spacer, kiedy na dworze szaleje mróz, jest minus trzydzieści, ciemno... a my oświetlamy sobie drogę taką oryginalną parasolką...

– Niesamowicie romantyczne. – Kolejna rzecz powędrowała do śmieci. – Ubawiłam się po pachy. Zaraz padnę trupem ze śmiechu. Nie ma to jak spacer przy trzydziestostopniowym mrozie, wietrze i śniegu. Gile wiszą ci do pasa, nos zamienia się w lód, gałki oczne zamarzają, bo powieki już dawno przywarły do oczodołów. Doprawdy esencja romantyzmu. Już na samą myśl zaczynam zamarzać.

– Lepiej nie – powiedział Tomek, wpychając ostatnie koszulki na ich nowe miejsce. – Zaplanowałem dzisiaj ostry wieczór.

– Skarbie, bardzo cię kocham, ale nie wiem, czy będę miała siłę rozłożyć nogi – wyznałam ze znużeniem. – Jestem wykończona.

– Jak zwykle... – westchnął nieco przesadnie.

– Cały dzień rozpakowujemy te pieprzone pudełka – jęknęłam.

– Zauważyłem. Ale czy nie powinniśmy, że tak powiem, poświęcić naszego nowego miejsca zamieszkania? Być może tutaj przyjdzie nam dokonać żywota.

Jego odpowiedź zaskoczyła mnie. W naszym związku to zdecydowanie Tomek był tym, który twardo stąpa po ziemi. To zatwardziały realista, znajdujący ukojenie w cyferkach, tabelach, liczbach, co jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Ja bujam w obłokach niczym balonik, on jest tym, który trzyma sznurek. Gdy uniosę się za wysoko, ściąga mnie na ziemię. I chwala mu za to! Jednak tego rodzaju stwierdzenia się nie spodziewałam. W odpowiedzi podeszłam tylko do niego i poklepałam po plecach.

Kilka godzin później, kiedy nasze dzieci już słodko spały, skończyliśmy w końcu wszystko rozpakowywać. Około trzeciej w nocy, po ekspresowym prysznicu, wczółgałam się wreszcie do łóżka. Tomek na szczęście był równie zmęczony i już zdążył zasnąć. Zasypiając, myślałam o naszym nowym domu i świeżo poznanych znajomych. Czy będzie nam tu dobrze? Czy nasze dzieci będą tu szczęśliwie dorastać? Czy poznamy prawdziwych przyjaciół?

Brzozowy Zaulek cicho trwał w mijającym czasie. Tajemniczo ciemne domy otoczone ogródkami tonęły bez ruchu w granatowej ciemności, oświetlone jedynie delikatnym, srebrzystym blaskiem księżycy. Niejeden z nich skrywał tajemnicę, niejednemu z tych skrawków ziemi powierzono sekret ukryty tak głęboko, że prawie nie do wydobywania.

Prawie...

A jednak...

Mieszkańcy Brzozowego Zaułka

Wszystkich zagracających dom pakunków udało nam się pozbyć dopiero trzy dni później. Sąsiadki, które nas odwiedziły w dniu przeprowadzki, oglądałam tylko przez okno – kiedy zawoziły dzieci do szkoły, jechały na zakupy, odwiedzały się nawzajem. Wydawało mi się, że zarówno one, jak i ich mężowie i dzieci są ze sobą bardzo zżyli. Czasami widywałam je w towarzystwie innych kobiet mieszkających na naszym osiedlu. Z boku wydawali się tworzyć jedną, wielką rodzinę.

Pewnego późnego popołudnia, stojąc w kuchni i czyszcząc dziecięce talerzyki oraz kubeczki z resztek kakao, obserwowałam, jak moje sąsiadki stoją pod domem naprzeciwko i żywo rozprawiają z nieznaną mi kobietą. Każda z nich trzymała kubek i coś z niego popijała. Pewnie kawę. Pozazdrościłam im tej pogawędki. Moje rozmyślenia szybko jednak przerwali chłopcy walczący o jakiś samochodzik.

– Dzieci, przestańcie się kłócić! – rzuciłam ze znużeniem w stronę salonu, gdzie na dywanie mieli rozłożone zabawki.

Oczywiście nic to nie dało. Wkrótce Benek zaczął popłakiwać. Pewnie jak zwykle oberwał od starszego brata.

– Bo będzie kara! – To było drugie zdanie, które wypowiadałam w takich sytuacjach. Niestety zbyt rzadko wcielałam te słowa w czyn, co najprawdopodobniej czyniło moje groźby niezbyt wiarygodnymi. Z salonu dobiegło głośne plaśnięcie, po czym płacz Benka znacznie się nasilił.

– Mamooooo, on mnie biiijjjeeee!

Matka dwójki chłopców jest w stanie określić po rodzaju wycia, czy sytuacja jest poważna. Ta nie była. Owszem, dzieciak oberwał, ale po natężeniu płaczu dało się poznać, że krew nie tryska na wszystkie strony i żaden organ nie uległ perforacji. Tak więc spokojnie domyłam ostatni kubek, wytarłam ręce ścierką i robiąc groźną minę, niechętnie weszłam do salonu. Na dywanie siedział zapłakany Benek, a tuż obok niego Maks z niewinną miną trzymał w drobnych łapkach trzy spore resoraki.

– Dłaczego Benek płacze? – zapytałam, siląc się na gniewny ton.

– On mi pozwolił bawić się swoim fordem! – krzyknął Maks.

– Nieprawda. – Mały rozplakał się na dobre. – On nie pozwala mi niczego dotykać. Chce, żebym tylko patrzył! A to jest moja zabawka. Jak ja nie mogę się bawić, to on też nie!

Benek miał rację, ale jeśli chodzi o wspólne zabawy autkami, Maks znał tylko jedną metodę – ja się bawię, a ty patrz, zachwycaj się i pod żadnym pozorem niczego nie dotykaj, bo dostaniesz w zęby.

– Ja nic nie mogę! Nic! – jęczał Benedykt. – On ma wszystko! To samolub!

Wytknął palcem starszego brata i spojrzał na mnie załamionymi oczami, równocześnie wciągając głośno smarki.

– Maks, zasady są proste. Jeżeli Benek chce się teraz bawić swoim autkiem, to po prostu mu je oddaj – tłumaczyłam. – Wiesz, że on pobawi się minutę czy dwie, a potem sam ci je odda.

– Właśnie – chlipnął Benedykt.

– Ale mamoo – napuszył się Maks – wczoraj Benek pozwolił mi się bawić!

– Ale to było wczoraj – powiedziałam z naciskiem. – Dzisiaj natomiast on chce się bawić swoim

samochodzikiem. Czy możesz mu oddać jego zabawkę?

Maks wykrzywił buzię.

– Masz – wrzasnął nagle, rzucając autko przed siebie. – Weź sobie! Zjedz je! Żarłoku jeden!

Zabawka, zanim z hukiem rąbnęła o podłogę, uderzyła Benka w stopę.

– Synku! Jak ty się zachowujesz? – podniosłam głos. – Przecież tak nie wolno! Niszczysz zabawkę! Na dodatek nie twoją!

Tymczasem Benek rozplakał się jeszcze bardziej.

– On rzuca moim autkiem! – jęczał boleśnie, tonąc w kolejnej fali łez. – Ja nie psuję twoich zabawek! Jesteś świnią! – krzyknął w stronę brata.

– Sam jesteś świnią! – odparował Maks.

– Nie, ty jesteś... większa świnią!

W tym momencie poczułam, że zaraz eksploduję. Kochałam moich chłopców nad życie, ale w tym momencie miałam ochotę rozerwać ich na strzępy.

– Wiecie co? Mam tego dość!

Obróciłam się na pięcie, wpadłam do kuchni i oparłam o zlew. Potrzebowałam chwili spokoju. Sapiąc ze złości, zerknęłam na drogę. Po drugiej stronie ulicy moje sąsiadki wciąż rozmawiały, gestykulując żywo. Jedna z nich roześmiała się, odchylając głowę do tyłu. Pewnie wymieniały się jakimiś anegdotami, kiedy ja użerałam się z dwójką wrzeszczących małych dzieci...

Zanim pomyślałam o tym, co robię, złapałam pierwszy lepszy kubek z szafki, nalałam do niego wody z kranu i z rozmachem otworzyłam drzwi wejściowe.

– Dokąd idziesz? – zdziwił się Maks, który właśnie zmierzał demonstracyjnie do swojego pokoju z obrażoną miną.

– Mam powyżej uszu waszych kłótni o głupie drobiazgi – warknęłam, ściskając mocno klamkę. – Wychodzę. Sami sobie radźcie!

Trzasnęłam drzwiami i ruszyłam w stronę sąsiadek. Pierwsze metry pokonałam niesiona złością i zdeterminowana, by moje dzieci nauczyły się same rozwiązywać konflikty – przynajmniej niektóre. Jednak im bliżej ulicy byłam, tym mniej miałam pewności, że postępuję słusznie. W dodatku pchałam się na spotkanie sąsiadek bez zaproszenia i to z kubkiem kranówki w ręku. Jestem kompletną idiotką! Chyba zupełnie mi odbiło! Gdzie mój rozum?

Będąc już na chodniku, szybko wykonałam zwrot w tył, by jednak wrócić do domu. Miałam nadzieję, że mój występ nie został zauważony przez sąsiadki dzięki kępce brzoź rosnących tuż przy moim płocie. Niestety myliłam się.

– O, jesteś! – Usłyszałam ciepły głos za moimi plecami. – Zapraszamy do nas na ekspresowe spotkanie!

Nie było odwrotu. Musiałam przecież wyjść z tego żenującego przedstawienia z twarzą. Znów wykonałam półobrót i obdarzyłam stojące nieopodal kobiety najbardziej promiennym uśmiechem, na jaki było mnie w tej chwili stać. Chyba nie wypadł zbyt przekonująco, bo spojrzały na mnie tak, jakby doskonale znały powód mojej ucieczki z domu. Wolnym krokiem, ściskając kubek tak mocno, że chyba tylko cudem nie pękł, podeszłam bliżej obserwującej mnie grupki.

– Nie znasz jeszcze Emilki Kropidlickiej – powiedziała Kasia, wskazując elegancko ubraną i bardzo zgrabną szatynkę.

– Miło mi. – Ucisnęłam jej idealnie wypielęgnowaną dłoń. – Iwona Winiarska.

Przy jej delikatnej skórze moja łapa była jak papier ścierny. Czas zacząć dbać o ręce...

Gdybym miała opisać, jak według mnie wygląda dziewczyna z marzeń sennych większości mężczyzn, to zapewne opisałabym kobietę taką jak Emilia. Była wysoka, szczupła, lecz z krągłościami tam gdzie trzeba

oraz miała długie, brązowe włosy, wielkie oczy i piękne usta. Niewątpliwie przyciągała wzrok każdego przedstawiciela płci przeciwnej. Ubrana w różowo-biały, wygodny dres wyglądała jak truskawka w czekoladzie.

– Jak ci minęły pierwsze noce w nowym domu? – zapytała Marzena, żeby jakoś zacząć rozmowę.

– Rozpakowywaliśmy rzeczy całą noc. Kolejną – westchnęłam. – Na szczęście to już prawie koniec. Mniej więcej wszystko jest na swoim miejscu, nie licząc kilku pudeł w garażu, ale to już drobiazgi Tomka, więc on sam musi się tym zająć.

– I tak szybko wam poszło – stwierdziła Emilia. – Ja do dzisiaj mam kilka kartonów w sypialni, a mieszkam tutaj ponad pół roku.

– Bo jesteś leniwa – zażartowała Marzena.

– Nie jestem leniwa, tylko ciężko pracuję. Odkąd mój prawie eksmaż się wyprowadził, muszę sama zarabiać na utrzymanie domu. A wierzcie mi, bardzo nie chcę go sprzedać. Czuję się tutaj dobrze i jakoś tak... bezpiecznie.

– Rozumiem cię – powiedziała Kasia, upijając nieco swojej aromatycznej kawy. – Prawda jest taka, że nigdzie nie znajdziesz tak fajnych sąsiadek.

– To na pewno...

Naszą pogawędkę przerwało zamieszanie pod domem sąsiadującym z moją działką. Wielki, ciemnowłosy mężczyzna na podjeździe wsiadał ze złością na motocykl. W drzwiach domu pojawiła się szczupła, ładna kobieta ubrana jedynie w długą, bawełnianą i zdecydowanie zbyt obcisłą tunikę.

– Jedź sobie, jedź! – wrzasnęła donośnie, wygrażając mężczyźnie dorodnym pękiem włoszczyzny.

Widocznie zabierała się właśnie za przygotowanie rosołu.

– Wracaj do domu – burknął ciemnowłosy motocyklista, starając się odpalić silnik. – Znalazłabyś sobie jakieś pożyteczne zajęcie, dzieci nakarmiła, zamiast uprzykrzać mi życie.

– A ty co? Znowu będziesz się szlajał? – odgryzła mu się, schodząc ze schodów.

– Co za szowinistyczna świnią – szepnęła Marzena, pochylając się w moją stronę.

Bez słowa przyznałam jej rację.

– Zagórscy są małżeństwem od kilkunastu lat – wytłumaczyła mi Kasia. – Ona jest nauczycielką matematyki w gimnazjum. Pewnie dlatego ma tak donośny głos. – Zachichotała. – Antoni natomiast prowadzi niewielki zakład, w którym naprawia motocykle, auta, podobno też i drobny sprzęt elektroniczny. Złota rączka. Tak dorabia.

– Żona chyba go nie lubi – stwierdziłam, przyglądając się kolejnej ostrej wymianie zdań między zwaśnionymi małżonkami.

– Bo on ma duże powodzenie...

Marzena przytaknęła Kasi nieco zbyt entuzjastycznie.

– No co ty?! – prychnęłam. – On cię kręci?

– Przystojny jest i tyle – Marzena lekko się zarumieniła – ale oczywiście daleko mu do mojego kochanego Łukasza.

– Oczywiście – powtórzyła Emilia ironicznym tonem. – Poza tym masz to.

Poklepała Marzenę po odstającym brzuszku.

– Zagórscy mają trójkę dzieci – opowiadała dalej Kasia. – Prawie szesnastoletnią Elwirę, dwunastoletniego Franka i dziesięciolatka Ignasia. Mimo to Tosiek lubi od czasu do czasu skoczyć, że tak powiem, w bok. Przynajmniej Agata tak twierdzi. Jego żona.

– Oj, nie przesadzaj – wtrąciła Marzena. – Nikt nigdy nie widział go z żadnym „bokiem”. Ludzie tak zawsze gadają, gdy mężczyzna jest przystojny i spędza dużo czasu poza domem. Jeszcze jak do tego dodać motor, to już w ogóle...

– No, ale jedną kochankę na pewno miał, bo kilka osób widziało, jak chodził do niej z kwiatami – powiedziała Emilia, cały czas obserwując scenę na działce Zagórskich i kiwając głową.

Pani Zagórska za chwilę potwierdziła jej słowa. Podeszła do motocykla męża i wciąż wymachując bukietem włoszczyzny, zdecydowanie zbyt głośno wyrażała swoją opinię na temat zaistniałej sytuacji.

– A wiesz, co ja zrobiłam? Poszłam do tej twojej! Tak! I wiesz co jej powiedziałam?! – ryknęła mu do ucha. – Powiedziałam tej kurwie, że jest kurwą!

Ostatni wyraz wypowiedziała ze szczególnym podkreśleniem wszystkich głosek.

– Gdyby powstał wiersz ułożony z samych wulgaryzmów, Agata Zagórska zwyciężyłaby wszystkie konkursy recytatorskie. – Kasia dopiła swoją kawę. – Nie ma co, jest świetna w przeklinaniu. Co za dykcja!

– Mam wesołych sąsiadów – mruknęłam niezadowolona, upijając nieco smakującej chlorem kranówki. – Oby ci mieszkający z drugiej strony nie byli równie krzykliwi. A właśnie, znacie lokatorów spod ósemki?

Kobiety wymieniły szybkie spojrzenia.

– Są spokojni... Generalnie – oświadczyła Marzena. – O, patrzcie!

Przerwała, wskazując brodą wciąż rozgrywającą się scenę zazdrości. Antoniemu wreszcie udało się odpalić silnik. Z rury wydechowej motoru wydostał się kłęb spalin, wywołując u stojącej za nim Agaty nagły atak kaszlu.

– Ty dupku! – Nadal się krztusząc, zaczęła okładać Antoniego wiechciem zieleniny. – Ja ci zrobię rosółek! Z domestosem! Żołądek ci rozpuści i może mózg też! Och, zapomniałam! Przecież ty już nie masz mózgu. Piwo go upłynniło!

– Oby moje dzieci tego nie słyszały – skomentowałam, kręcąc głową. – Jeszcze gotowe sprawdzić, czy domestos rzeczywiście tak działa.

Moje sąsiadki obserwowały tę burzliwą scenę bez słów.

– Wróć, skarbie, gdy się uspokoisz – burknął Antoni i ostro ruszył. Agata wciąż za nim biegła, tłukąc niezmordowanie jego głowę i gruby kark wiązką włoszczyzny.

– Nie wracaj! Niech ci ta zdzira ugotuje obiadek!

Mężczyzna docisnął pedał gazu i minął nas, posyłając nam uśmiech godny gwiazdy filmowej.

– Witam sąsiadeczki! Miłego dnia życzę!

Na samym czubku jego głowy tkwił fragment naci pietruszki, za uchem zwisało trochę pora, a z tylnego zderzaka motoru smętnie powiewał duży liść selera.

– Miłego... – wydusiła z siebie Kasia, tłumiąc śmiech.

Tymczasem Zagórska zauważyła, że ma widownię. Nie przywitała się z nami, tylko – otrzepując ubranie z resztek zieleniny – szybko weszła do domu i z hukiem zatrzęsnęła za sobą drzwi, zostawiając na podjeździe pojedyncze kępki włoszczyzny.

– Oni tak często? – zapytałam, wskazując palcem dom Zagórskich.

– Aż tak pokazowo, to nie – przyznała Marzena. – Czasami wieczorami słyszać, jak dyskutują w ogrodzie za domem. Niekiedy kłóć się w drodze do samochodu.

– Teraz zaczynam żałować, że nie wybrałam jednak innego domu – westchnęłam.

– Nie martw się. – Emilia machnęła ręką. – Tu właściwie w każdym domu coś się dzieje.

– Wyobraźnia cię trochę ponosi – stwierdziła Marzena dziwnie ostrzegawczym tonem.

– Nie mam racji? – zaperzyła się Emilia. – A kto mieszka pod dwójką?

Pozostałe kobiety wzruszyły ramionami.

– No kto? – zapytałam, choć nie byłam pewna, czy chcę poznać odpowiedź.

Boże, nie pozwól, żeby to był jakiś ekswieżień, pedofil albo dealer! Jako matka dwóch małych

chłopców takich opcji bałam się najbardziej.

– Paula tam mieszka – wyjaśniła krótko Kasia. – Prowadzi dość, powiedzmy, swobodny tryb życia.

– Podobno, przynajmniej niektórzy tak mówią, przyprowadza facetów do domu. No wiesz, na godziny – szepnęła Emilia. – Ma taką figurę, że każdy mężczyzna się ślini na jej widok jak głodny pies.

– No pięknie. – Wychyliłam się za zakręt i zerknęłam na schludny domek usytuowany tuż przy wyjeździe z Brzozowego Zaułka.

– Pod trójką natomiast mieszka starsza pani. Nazywa się Helena Wąs. Jest miła, ale uważaj na nią: jak jej zdradzisz jakąś tajemnicę, w ciągu godziny będzie ją znało całe osiedle i okolica. Jest samotna i chyba przez to jedyną jej rozrywką jest włożenie w cudze życie z butami.

– Dom numer cztery należy do Moniki Małeckiej – wtrąciła Marzena. – Babka w porządku, choć klnie jak szewc i lubi imprezy. Jest graficzką i dziennikarką. Artystka pełną gębą.

– Pod piątką mieszka Lena Parys z mężem – mówiła dalej Kasia, wskazując palcem seledynowy dom z przybudówką. – Jest bardzo sympatyczna, tylko ciągle trafia na beznadziejnych facetów. Teraz się będzie rozwodzić. Znowu...

– No niestety. I to już drugi raz – dodała Emilia. – Ma dwójkę dzieci. Każde z innym... Szóstkę zamieszkują Garbarscy. Oboje mają około czterdziestu lat...

– ...i starają się o dziecko, ale ona nie może. – Katarzyna uzupełniła wypowiedź Emilii, kiwając przy tym głową ze smutkiem. – Jeżdżą teraz podobno do domu dziecka, bo chcą adoptować dziewczynkę.

– Pod siódemką też mieszka bezdzietne małżeństwo, ale im to chyba odpowiada – powiedziała Marzena. – Cały dzień ich nie ma, to bardzo zajęci przedsiębiorcy. Tylko jak na razie nikomu nie udało się dowiedzieć, czym oni się tak właściwie zajmują.

– No i kobieta jest czarna – wtrąciła Emilia.

– Jak czekolada. I ma duże... gabaryty. Wiesz, o co mi chodzi? – Kasia uniosła brwi. – Jest jak prawdziwy *monster truck*, tyle że na dwóch nogach.

– Jej mąż też do szczupłych nie należy – skwitowała Marzena.

– To fakt...

Podrapałam się po głowie, wodząc zdezorientowanym wzrokiem po wszystkich wskazywanych posesjach.

– Następne domy i ich mieszkańców już znasz – uśmiechnęła się Emilia. – Pod ósemką twoi cisi sąsiedzi, pod dziewiątką Marzena ze swoją rodziną.

– My, dziesiątka – zaśmiałam się.

– No właśnie. – Kasia zajrzała do pustego kubka. – Ja pod jedenastką i dwunastką Zagórskich...

– A kto mieszka pod numerem trzynastym? – zapytałam, wskazując ręką w kierunku zasłoniętego drzewami budynku.

– Nikt. Na razie stoi pusty – odparła Marzena. – Pewnie ten stan długo się nie utrzyma, bo ciągle ktoś ten dom ogląda. Ale wiesz, jak trudno dostać teraz przyzwoity kredyt.

– Masz rację.

– No i tyle. – Emilia rozłożyła ręce.

– Wcale nie – zaprzeczyła Kasia. – Jest jeszcze sędziwa Puchaczowa.

– Puchaczowa? – zdziwiłam się. – A któż to taki?

– To osiedle powstało całkiem niedawno. – Kasia postawiła kubek na murku przy bramie. Stałyśmy akurat przy płocie Marzeny, skąd miałam świetny widok na całą uliczkę. – Na końcu Brzozowego Zaułka, za zakrętem, stoi sobie pewien stary domek.

– Jest bardzo zadbane. Wygląda uroczo z tym wiekowym sadem – wtrąciła Emilia – i otoczony jest ślicznym laskiem brzozowo-sosnowym. Za nim natomiast jest łąka i potoczek.

– Racja – przytaknęła Marzena. – Często tam chodzimy z dziećmi. Do tego lasu.

– W tym małym dworku mieszka sobie pewna mało sympatyczna staruszka, Stanisława Puchacz – mówiła dalej Kasia takim tonem, jakby opowiadała dziecku bajkę. – Wszyscy jej krewni poumierali na różne choroby albo poginęli w wypadkach, więc gdy została sama, postanowiła sprzedać tę ziemię. Kupił to hurtem deweloper i zbudował osiedle domków jednorodzinnych.

– Och, jak ładnie to powiedziałaś – rozpromieniła się Emilia.

– Ta kobieta została całkiem sama? – Zrobiło mi się bardzo żal sędziwej staruszki.

– Mieszkał z nią przez jakiś czas jej brat czy kuzyn – przypomniała sobie Emilia. – Zmarł kilka lat temu. A że stara Puchaczowa nie miała siły zajmować się ziemią, musiała ją sprzedać.

– Biedna – westchnęłam.

– Gdzie tam biedna! – Kasia machnęła ręką. – Złośliwa z niej cholera. Wszystkiego się czepia. Że na drodze śmieci, że trawniki trzeba skosić. Panoszy się, jakby była właścicielką osiedla. Ostatnio się do mnie przyczepiła, że wzdłuż płotu mam nierówno posadzone żywotniki. Na mojej działce! Przecież mogę je sobie posadzić nawet korzeniami do góry, jak będę miała taką fantazję! Mieszkam blisko niej, a z jej okien świetnie widać mój ogród. – Kasia ze złością machnęła ręką w kierunku swojego domu. – Kiedyś pomyliły mi się dni odbioru śmieci i wystawiłam swój kosz jeden dzień za późno. Rano odkryłam, że ktoś pomalował mój ciemnozielony kontener na szaro! Kilka dni później dowiedziałam się od ekspedientki w pobliskim spożywczym, że Puchaczowa powiedziała jej, że kosze powinny być szare jak chodniki, bo gdy stoją zapomniane przez swoich roztrzepanych właścicieli, to przynajmniej nie rzucają się tak w oczy.

Parsknęłam śmiechem, wyobrażając sobie staruszkę biegającą w środku nocy po ulicy z wiaderkiem szarej farby i gigantycznym pędzlem.

– No serio mówię – broniła się Kasia.

Teraz śmiałyśmy się już wszystkie.

– Ojej! Już czwarta! – Marzena zerknęła na zegarek. – Muszę lecieć. Łukasz zaraz wróci z pracy, ale tylko na moment, żeby się przebrać. Ma wieczorem bardzo ważne spotkanie. Miałam mu przygotować obiad!

– Ja też muszę się zbierać. Chłopcy chyba nie chcą być dłużej sami – powiedziałam, pokazując sąsiadkom moich synków potulnie czekających na mamusię w drzwiach domu.

– Nabroili? – odgadła Kasia.

– A jakże. Zaczęli się okładać resorakami. Czasami nie mam do nich siły. I nerwów.

– Jak każda z nas – parsknęła śmiechem. – Kochamy te dzieciaki, ale czasami mamy ochotę je zamordować i zakopać w ogródku za domem. Tak dają w kość.

Pożegnałyśmy się szybko. Przebiegłam przez jezdnię w kierunku mojego domu. Zamykając bramę, uniosłam rękę, by pomachać moim nowym koleżankom. Dzisiaj dowiedziałam się od nich bardzo dużo na temat mieszkańców osiedla i panujących między nimi relacji. Ale one już nie patrzyły w moją stronę. Ich czas wolny się skończył. Każda szybko wracała do domu, by robić to, co robią wszystkie gospodynie domowe i matki zarazem – karmić, sprzątać, prać, wycierać, gotować, szyć, zamiatać i tak w kółko. I tak bez końca.

Bardzo powitalny grill

W ciągu kolejnych dwóch tygodni udało mi się spotkać z sąsiadkami jeszcze kilka razy. Po jakimś czasie widywałyśmy się niemal codziennie, nie licząc weekendów, kiedy to gospodynie domowe są zajęte wyłącznie perfekcyjnym prowadzeniem domu pod okiem wypoczywającego po męczącym tygodniu małżonka. Wtedy nie ma czasu na odpoczynek. Życie *home managera* – z czego często nie zdają sobie sprawy nasze drugie połowy – jest trudniejsze niż osoby skupionej jedynie na pracy i wracaniu do domu po to, by zjeść kolację, obejrzeć głupi program telewizyjny i by w trakcie tego seansu zapaść w spokojny sen, najlepiej niezakłócony wrzaskami dzieciaków.

Te króciutkie spotkania z nowymi przyjaciółkami miały swój urok i w trzeci weekend spędzony na Brzozowym Zaułku odkryłam, że w soboty i niedziele zwyczajnie zaczyna mi brakować tego ekspresowego plotkowania.

Podczas tych spotkań oczywiście dużo dowiedziałam się na temat moich sąsiadek. Kasia Wrońska miała męża Marka, średniej urody mężczyznę z niedużym brzuszkiem i przeredzoną, szpakowatą czupryną. Jedynym charakterystycznym elementem jego wyglądu były okulary w krzykliwych, czerwonych oprawkach. Wrońscy posiadali dwójkę dzieci – czteroletnią Michalinę, która była zadziwiająco drobna jak na swój wiek i miała piękne blond loczki, oraz trzymiesięcznego Adasia, który był już masywniejszą miniaturą swojego ojca. Wrońscy byli współwłaścicielami piekarni i cukierni, znanej w okolicy i słynącej z przepysznych ciast francuskich.

Marzena Kosowska natomiast od sześciu lat żyła w szczęśliwym związku z Łukaszem – barczystym facetem bez szyi, ale za to o wielkim sercu (tak przynajmniej twierdziła). Łukasz wyglądał jak ochroniarz z dyskoteki: wysoki, z mocno zarysowanymi mięśniami, ostrym profilem twarzy i włosami obciętymi na jeża. Niewątpliwie w ciemnej uliczce przstraszyłby każdego tą rzezimieszkowatą posturą. Ledwie jednak zamieniłam z nim kilka zdań, już wiedziałam, że Marzena mówi prawdę. Łukasz miał spokojny charakter. Zamiast z brutalnym ochroniarzem szybko zaczął mi się kojarzyć z łagodnym brontozaurem.

Łukasz Kosowski prowadził zajęcia rozwojowe dla dzieci w szkołach i centrach kultury w okolicznych miejscowościach, zaś Marzena pracowała jako przedszkolanka. Ich pięcioletni Dawidek, będący prawdziwym koktajlem genów rodziców, miał ciemną karnację, blond irokeza i był wyjątkowo odważny. Mówił bez przerwy, doprowadzając tym swoją matkę do szału, zwłaszcza że teraz Marzena była na zwolnieniu lekarskim, bo spodziewała się drugiego dziecka i, chcąc nie chcąc, spędzała ze swoim pierworodnym znacznie więcej czasu.

Na koniec Emilia Kropidlicka – zachwycająca kobieta o subtelnej urodzie elfa, która obdarzała każdego pięknym, szczerym spojrzeniem i zawsze była gotowa do pomocy. Ciemne włosy spinała w luźny kok, ale i tak większość niesfornych kosmyków wymykała się z niego i łagodnie opadała na zgrabną szyję. Artystka malarka i renowatorka dzieł sztuki. Mieszkała sama, odkąd pewnego dnia wróciła do domu wcześniej i zastała swojego ukochanego małżonka w dość kompromitującej pozycji. Otóż siedziała na nim okrakiem kompletnie goła dziewczyna, która według Emilii na pewno nie miała jeszcze dowodu osobistego. Dziewczę – zamiast ze skruchą uciec na widok pani domu stojącej w drzwiach – oburzyło

się, że przerwano jej w kulminacyjnym momencie. Emilia, mimo że wybaczała mężowi zdradę już dwa razy, tamtego dnia na szczęście w kilkanaście minut wyrzuciła go z domu wraz z całym jego dobytkiem.

Oczywiście obowiązywała równowaga w wymianie rodzinnych historii, więc i ja musiałam opowiedzieć przyjaciółkom coś więcej na temat mojej rodziny. Dziewczyny wiedziały, że dorabiam pisaniem reportaży do kilku zaprzyjaźnionych czasopism kulinarnych. O przynoszącym coraz większe zyski blogu z tej samej dziedziny na razie jakoś im nie wspominałam. Mój kochany mąż Tomek był architektem i większość dnia spędzał przy komputerze albo nad deską kreślarską. Zanim pojawiły się dzieci, Tomek pracował w domu. Po ich narodzinach wydzielenie jednego pomieszczenia w dwupokojowym mieszkaniu, w którym tusze, rapidografy, linijki i drogie kalki byłyby bezpieczne, okazało się niemożliwe. Tomek musiał wynająć dodatkowy lokal i tam przenieść się ze swoją pracą. Stało się to jednak w dobrym momencie, bo jego projekt dużego centrum sportowego właśnie wygrał przetarg i trzeba było zatrudnić co najmniej trzy osoby do pomocy. Teraz miał biuro z prawdziwego zdarzenia, gdzie mógł bez reszty poświęcić się wcieleniu w życie swoich marzeń, a ja – święty spokój w domu. Dzieciaki mogły biegać po wszystkich pokojach i krzyczeć podczas zabawy. Gdyby tata na miejscu robił obliczenia, chłopcy musieliby być cicho.

W nowym domu natomiast urządziliśmy dodatkowe biuro, ponieważ często zdarzało się, że Tomek kreślił coś jeszcze po powrocie z pracy albo w weekendy. Na parterze mieliśmy jeden spory pokój, który teraz stał się naszym wspólnym biurem. Tu zmieściła się nasza biblioteka, biurko i stół kreślarski Tomka oraz moje narożne biurczko z komputerem stacjonarnym i sfatygowaną klawiaturą. Nieraz pracowaliśmy tam razem, kiedy dzieciaki już spały. Ja pisałam przy swoim biurku, Tomek zaś rysował najczęściej na stojąco. Mimo że później większość swoich pomysłów wprowadzał do specjalnego programu komputerowego, na początku szkicował odręcznie. Uważał, że w ten sposób nadaje budynkowi „duszę”.

Naszej pracy towarzyszyła muzyka instrumentalna albo cisza, jeśli trzeba się było naprawdę skupić. Zdarzało się, że sprawdzaliśmy sobie wzajemnie projekty – ja oceniałam jego szkice, on komentował moje reportaże. Od czasu do czasu Tomek opuszczał swoje stanowisko pracy i podchodził, by pocałować mnie w czubek głowy albo pogłaskać po plecach. Czasami niewinny buziak zamieniał się w coś mniej niewinnego. Nieraz łądowności na jego wielkim stole kreślarskim pomiędzy przekrojem budynku a pojemnikiem z rapidografami. Za pomocą prostego mechanizmu – regulowanego blatu stołu – można było dostosować kąt nachylenia i wysokość do własnych upodobań. Była to bardzo przydatna funkcja. Trzeba też przyznać, że nasz stół, choć nie wyglądał, należał jednak do bardzo wytrzymałych. Tak... Zdecydowanie byliśmy zgraną parą i dobrze nam się razem żyło.



Na początku września postanowiliśmy urządzić grilla. Chciałyśmy, by nasi mężowie mieli okazję się poznać, bo to oni większość dnia spędzali poza domami i Brzozowym Zaułkiem. Liczyłam, że mój Tomek znajdzie w naszych nowych sąsiadach dobrych kumpli, z którymi będzie mógł obejrzeć wieczorny mecz czy od czasu do czasu wyskoczyć na bilard.

Tej soboty pogoda dopisała. Cały dzień świeciło słońce, a temperatura osiągnęła przyjemne dwadzieścia dwa stopnie Celsjusza. Wiał lekki wiaterek niosący ze sobą zapach kończącego się lata i dojrzewających jabłek. Nasze dzieciaki biegały po świeżo skoszonym trawniku, śmiejąc się głośno i pokrzykując. Na tarasie za domem przygotowaliśmy szwedzki stół. Ułożyłam tam szklanki, sztucce, talerzyki i kilka rodzajów pokrojonego pieczywa. Kiedy pojawili się pierwsi goście, wyłożyłam trzy rodzaje sałatek, słodkości oraz całą paletę drobnych przekąsek – od szaszłyczków, poprzez

własnoręcznie marynowane warzywa, aż po ugotowane na parze słodkie marchewki. Proszę bardzo – do wyboru, do koloru. Każdy mógł znaleźć coś dla siebie.

Nieco dalej Tomasz ustawił składany stolik, a na nim cały zestaw alkoholi. Była tam nawet ozdobna skrzynka z lodem najeżona butelkami trunków lubiących niską temperaturę. Przy stoliku postawiliśmy małą lodówkę z napojami i sokami dodawanymi do drinków. Tuż przy tarasie znajdował się wybudowany na zamówienie grill. Jeszcze przed przybyciem gości Tomek zdążył rozpalić ogień i wrzucić na ruszt pierwszą partię mięs: pałeczki z kurczaka w papryce, krewetki w sosie czosnkowym oraz glazurowane żeberka, które moczyłam w specjalnej, pikantnej marynacie przez pół doby.

– Pachnie wspaniale – powiedziała Emilia na powitanie. – Ja też przyniosłam coś na imprezę.

Trzymała butelkę białego wina oraz ciasto czekoladowe. Ubrana w zwiewną, błękitną sukienkę wyglądała już nie jak elf, ale jak elfia miss świata.

– Nie trzeba było robić ciasta – powiedziałam, gdy tylko podziękowałam za smakołyk.

– Ależ tutaj jest taka zasada, że każdy przynosi coś na grilla – wyjaśniła. – To pomysł Marzeny. Dzięki temu, że koszty przygotowania poczęstunku będą niższe, sąsiedzi częściej będą się wzajemnie zapraszać. Tak przynajmniej kiedyś wyliczyła. Prawdziwa z niej imprezowa bizneswoman.

– Dlaczego nie powiedzieliście mi o tym wcześniej? – jęknęłam, patrząc na uginający się od różnych specjałów stół.

– Ojej, naprawdę nie wiedziałam, że nie wiesz – zmartwiła się Emilia. – Cóż, mam nadzieję, że reszta towarzystwa zapomni o tej zasadzie.

Starła się mnie pocieszyć, jednak na próżno. Schodziły się kolejne osoby i każdy przynosił coś ze sobą: a to malinowe ciasto, to sałatkę z porów, roladę z ciasta francuskiego i szpinaku czy marynowane w ostrym sosie skrzydełka. Dosłownie cały przegląd kulinarny.

– Nie zjemy tego, choćbyśmy spuchli – skomentowała Kasia, nakładając na talerzyk sałatkę z owoców.

– Można by tym wyżywić całą afrykańską wioskę.

– Gdybyście mi powiedziały, że każda z was coś przyniesie, to dałabym na stół tylko mięso i pieczywo – powiedziałam z żalem, patrząc na te wszystkie potrawy.

– Może da się zamrozić? – zasugerowała Marzena.

– Niestety nie wszystko – mruknęłam. – Sałatki na majonezie raczej się do mrożenia nie nadają.

– Masz rację.

– Dlaczego się martwisz? – zapytał Tomek, stawiając na stół kolejną porcję upieczonych na grillu mięs i warzyw. – Rozdzielimy wszystko pomiędzy sąsiadów. Jutro nikt nie będzie musiał robić obiadu. Ja nie widzę problemu!

– Ale chyba nie zaprosiliście wszystkich? – Kasia rozejrzała się wokoło.

– Zaprosiłam tylko tych, z którymi miałam okazję chociaż raz rozmawiać – odpowiedziałam, przesuwając stertę talerzyków na środek stołu. – Czyli jakieś dwie trzecie mieszkańców. Nie wszyscy z zaproszonych przyszli.

– Dobrze, że zaprosiłaś panią Helę spod trójki – powiedziała Emilia, nalewając sobie kolejną porcję zupki z lodowatym sokiem jabłkowym.

– Puchaczową też zaprosiłam, ale nawet nie odpowiedziała. – Wzruszyłam ramionami. – A szkoda, bo Hela Wąs miałyby przynajmniej kogoś w swoim wieku na tej imprezie.

– Cóż, wcale nie wydaje się załamana tym faktem. – Marzena wskazała w jej stronę.

Rzeczywiście pani Hela wyglądała na bardzo zadowoloną. Stała za grupką naszych mężów przy pieczonym mięsie i kiedy oni rozprawiali o jakichś męskich sprawach, rozmarzonym wzrokiem i z uśmiechem na ustach wpatrywała się w ich tyłki. Pośladki mojego męża, opięte dopasowanymi dżinsami, najwyraźniej najbardziej przypadły jej do gustu, bo kiedy Tomek pochylił się, by dorzucić do

ognia trochę drewna, Hela aż się oblizwała.

– Fuj, to obleśne! – Może to głupie, ale poczułam ukłucie zazdrości.

– Daj spokój, ona ma grubo ponad siedemdziesiątkę. – Kasia machnęła ręką. – Jak bardzo zdesperowany musiałby być twój mąż, by się nią zainteresować? Zawlec do łóżka, rzucić się na jej wysuszone ciało, wyciskając głęboki pocałunek na bezzębnych ustach...

– Dość! – Aż mną zatrzęsło. – Dajże spokój! Wyobraźnia cię ponosi!

– Teraz to ty jesteś obleśna – zwróciła się do niej Agata Zagórska.

– Ja? – zaśmiała się Kasia. – To zobacz, na co się teraz gapi nasza starowinka.

Wszystkie jak jeden mąż przeniosłyśmy wzrok na panią Helę.

– A niech mnie!

Spojrzenie poczciwej Heleny Wąs błdziło teraz po torsie Antoniego. I trzeba przyznać, że było na co patrzeć. Szeroka, męska klata i umięśniony brzuch z tak zwanym kaloryferem prezentowały się nad wyraz apetycznie pod przylegającą do ciała koszulką. Antoni dbał o swoje ciało. Oprócz stosowania diety systematycznie chodził na siłownię, czego rezultaty były co najmniej imponujące.

– Zdzielę babsztyla salaterką! – warknęła Agata, łapiąc miskę z sałatką jarzynową.

Wszyscy mieszkańcy Brzozowego Zaułka wiedzieli, jak chorobliwie zazdrosna była Agata o męża. W przypływie zazdrości nie wahała się zrobić awanturę albo, co gorsza, posunąć się nawet do rękoczynów. Bardzo chciałam, by ten wieczór obył się bez kłótni i bójek, więc spojrzałam błagalnie na przyjaciółki.

– Aga, daj spokój. – Emilia złapała ją za ramię. – To starsza kobieta, niech sobie popatrzy. Przecież nic innego nie robi.

Łagodny ton głosu Emilii sprawił, że Agata, choć bardzo niechętnie, ostatecznie odstawiła salaterkę.

– Masz rację – stwierdziła, starając się opanować. – Nie wiadomo, ile jeszcze zostało jej takich okazji jak ten grill.

– To dość brutalne stwierdzenie – Emilia poklepała Agatę po plecach – ale zapewne masz rację.

Tymczasem biegające po ogrodzie dzieciaki wymyśliły mało bezpieczną zabawę. Ustawiały się w dwóch szeregach, po czym ile sił w nogach biegly prosto na siebie. Akurat w momencie, gdy to zauważyłam, mój Benek mocno zderzył się z Dawidkiem. Coś chrupnęło, pacnęło i chłopcy padli na trawnik. Zaczęli płakać, ale chyba bardziej z obawy, że zostaną ukarani niż z bólu. Trzeba było szybko zakończyć to szaleństwo, więc razem z Marzeną zagoniłyśmy wszystkie dzieci do salonu. Pod pretekstem miniprzyjęcia dziecięcego podałyśmy schłodzone soczki, lody waniliowe oraz stertę chrupek kukurydzianych. Do poczęstunku dorzuciłyśmy serię bajek Disneya na DVD.

– To powinno ich sparaliżować na jakąś godzinę – powiedziała Marzena, przyglądając się na wszelki wypadek uważnie czółku swojego syna. – Dobra, nic mu nie jest. Wracajmy na taras.

Ledwie wyszłyśmy do ogrodu, natychmiast podeszła do mnie Emilia z zafrasowaną miną.

– Dziewczyny, mam wrażenie, że czas ograniczyć dostęp do alkoholu. – Wskazała palcem Antoniego, który robił sobie kolejnego drinka składającego się w trzech czwartych z czystej wódki. – Wykończy go jutro kac...

– E tam, Tosiek ma łeb jak kamień. – Agata machnęła ręką. – Reszta gości będzie jutro żałować tej popijawy, a on nie. Rano zobaczycie go świeżutkiego i uśmiechniętego, jak leci po bułki. Zawsze tak robi, gdy wypije za dużo. A wiecie dlaczego? On po prostu stara się wtedy podlizać, żeby za bardzo na niego nie krzyczała!

– Iwona, ja nie żartuję. Antoni sporo wypił. Patrz, aż się chwieje – powiedziała Emilia ostrzegawczym tonem. – Mam przeczucie, że zaraz stanie się coś złego.

Dopiero gdy bliżej mu się przyjrzałam, spostrzegłam, że Emilia ma rację. Antoni coraz bardziej kiwał

się na boki.

– To nic. – Agata znów machnęła ręką. – Jeszcze nie jest bardzo pijany, bo nie zabrał się za granie.

– Granie? – zdziwiła się Kasia. – Jakie granie?

– Chyba wykrakałaś... – mruknęłam, widząc małe zamieszanie przy grillu.

Antoni jednym haustem wypił całego drinka, po czym niepewnym krokiem ruszył przed siebie i zniknął za rogiem. Chwilę później wrócił objuczony czerwonym akordeonem. Wypolerowane na wysoki połysk boki instrumentu lśniły w blasku zachodzącego słońca.

– Moi kochani, ja coś może zaśpiewam! I zagram, ma się rozumieć! – oświadczył, zakładając szelki.

Z głośnym świstem rozsunął miech instrumentu. Propozycja natychmiast spotkała się z dużą aprobatą gości. Najbardziej zaś ucieszyła się Hela. Śmiejąc się radośnie, klasnęła w dłonie i podskoczyła niczym mała dziewczynka, która dostała na urodziny wymarzoną laleczkę.

– Akordeon! Wieki takiego nie widziałam! Co śpiewamy, Tosiu?

– Co tylko pani sobie zażyczy, moja droga! – ciągnął Antoni swym tubalnym, nonszalanckim głosem. – Ja jestem w stanie zagrać wszystko! Mam talent! I słuch idealny!

Agata wywróciła oczami.

– On ma taki talent do grania jak ja do baletu – oświadczyła.

– Co śpiewamy? – dopytywał Antoni. – Ma pani jakiś ulubiony repertuar?

– Wspaniale! Chcę *Hej, sokoły!* – ryknęła uszczęśliwiona Hela.

Wkrótce po całej okolicy, oprócz zapachu nieco przypalonych grillowanych steków, wiatr niósł fałszywe tony słynnej piosenki.

– Głosu to on nie ma za grosz – szepnęła mi do ucha Kasia – ale ile radości sprawia słuchaczom...

Ja i Marzena śmiałyśmy się tak bardzo, że rozboleły nas brzuchy. Agata patrzyła na swego lubego z mieszaniną złości i dumy, jakby nie mogła się zdecydować, czy na niego nawrzeszczyć, czy przyłączyć się do zabawy. Emilia zniknęła gdzieś w głębi domu. Tylko ona w tym gwarze usłyszała dzwonek do drzwi.

Nasze radosne przedstawienie przerwało nagłe zamieszanie przy wejściu na taras.

– Wow! Oto i nasza gwiazda przybyła – powiedziała Marzena, wskazując palcem źródło zamieszania.

Na taras wyszła Paula Nowacka. Ze względu na specyficzny styl ubierania się oraz dość rozwiązły tryb życia nazywana była przez mieszkańców Brzozowego Zaułka puszczalską. Takiego właśnie określenia używały Hela i Marzena. Agata też tak kilkakrotnie powiedziała, lecz w jej oczach każda kobieta, która tylko zerknęła na Tośka, natychmiast zyskiwała miano szmaty, więc opinie na temat innych kobiet padające z jej ust traktowałam niezbyt poważnie.

Paula, ubrana w niemożliwie obcisłą namiastkę sukienki z ciemnoczerwonego materiału, zrobiła niewątpliwie ogromne wrażenie zarówno na zebranych u nas mężczyznach, jak i kobietach. O jej seksownym wyglądzie krążyły legendy, więc z nieskrywaną satysfakcją stwierdziłam, że wcale nie była wyjątkową piękną.

Na pierwszy rzut oka uwagę zwracały trzy elementy – luźno upięte na karku blond włosy, ostre rysy twarzy i olśniewająco białe zęby. Jej figura stanowiła esencję kobiecości – długie nogi, pełne piersi i kształtne pośladki, obiecująco rysujące się pod obcisłą sukienką. To jednak prawda. Kobieta z wrodzonym seksapilem, ubrana w taki sposób, mogłaby pobudzić do życia nawet omszały głaz.

Wprawne oko jednak było w stanie zauważyć mankamenty jej urody, sprytnie ukryte dzięki odpowiedniemu ubraniu, makijażowi i fryzurze: brak talii, krzywy uśmiech, grubą warstwę pudru maskującą czerwone krosteczki czy sporą bliznę biegnącą wzdłuż linii włosów.

Zauroczeni całokształtem mężczyźni zdawali się ich jednak zupełnie nie dostrzegać. Oczywiście pojawienie się miejscowej seksbomby nie mogło przejść bez echa. Nasi mężowie z głupawymi

uśmiechami zaczęli odruchowo przeczesywać palcami włosy. Niemal natychmiast rzucili się w jej kierunku. Tomek proponował drinki, Antoni podsuwał krzesło, Łukasz zaś pobiegł do pokoju po poduszkę, by nowoprzybyłej było jak najwygodniej. My za to stałyśmy bez ruchu przy stole i ze złością obserwowałyśmy żalosne zachowanie naszych mężczyzn.

– To już przestało być śmieszne – stwierdziła wreszcie Kasia, wykrzywiając twarz.

– Wolałam, jak na widok Tośka ślina się ta stara Helka... – wypaliła Agata.

Nie powiedziała tego głośno, ale jako że przez wiele lat pracy w szkole wyrobiła sobie donośny głos, byłam pewna, że wszyscy usłyszeli ten dosadny komentarz. W każdym razie Hela usłyszała, bo wystawiła w kierunku Agaty język, co wprawiło mnie w prawdziwe osłupienie.

– Wąsowa ma rezon – skwitowała scenę Marzena. – Jej też należy ograniczyć alkohol, żeby nie pokazała niczego więcej.

Tymczasem seksbomba minęła naszych mężczyzn, kręcąc biodrami na wszystkie strony, podeszła do mnie i wyciągnęła rękę.

– Bardzo przepraszam za spóźnienie. – Mocno uściśnęła podaną przeze mnie dłoń. – Jestem Paula Nowacka i mieszkam pod dwójką. Dopiero przed chwilą, wracając z pracy, dowiedziałam się, że jest tutaj impreza osiedlowa. Staszka Puchaczowa mi powiedziała, że wszyscy są zaproszeni. No więc wpadłam do domu, szybko się przebrałam w coś skromniejszego, żeby się do was dopasować, moje panie. Porwałam wino z lodówki i przyleciałam na ten miły wieczorek... he he... zapoznajczy.

Poczułam się tak jakbym stała obok jakiejś cholernej królowej odziana w jutowy worek. Zaciskając zęby, spojrzałam w dół na moją długą sukienkę w niebieskie kwiaty kupioną w chińskim centrum za kilkadziesiąt złotych. Miałam niemiłe przeczucie, że za strój Pauli mogłabym kupić pięć moich sukienek i jeszcze zostałyby mi pieniądze na nietuzinkowe dodatki. Zauważyłam, że inne dziewczyny również ukradkiem zerkały na swoje ubrania – wygodne sukienki albo zwykłe spodnie z bluzeczkami. Ładne i dobrze skrojone, ale na pewno nie markowe. Tymczasem na oprawkach okularów przeciwsłonecznych Pauli zobaczyłam litery DG, a jej skórzana torebka aż krzyczała VUITTON. Pomyślałam wtedy, że pewnie jej majtki też kosztują więcej niż cały mój dzisiejszy strój łącznie z wszystkimi użytymi kosmetykami. W jej wypowiedzi wychwyciłam kilka złośliwości, które zdecydowanie mi się nie spodobały. Doszłam jednak szybko do wniosku, że nie ma sensu teraz jej się odgryzać, gdyż w tym momencie nasi mężowie na pewno stanęliby po jej stronie. Krótco więc przedstawiłam stojące przy mnie przyjaciółki i zaprosiłam tę, pożałuj Boże, damę do stołu. Łukasz rzucił się za nią z poduszką i krzeselkiem, lecz gdy zobaczył morderczy wzrok Marzeny, natychmiast stracił rezon.

– Skarbie, to dla ciebie – wydusił z głębi trzewi, rozkładając krzeselko przed swoją ciężarną żoną. – Pewnie bolą cię nogi. Nie powinnaś tyle stać.

Marzena tylko obróciła się na pięcie i dociskając rękami brzuch, schowała się w moim salonie. Zaniepokoiła mnie jej boleśnie wykrzywiona twarz. Ruszyłam za nią, lecz zdążyłam jeszcze usłyszeć, jak Kasia beszta zdeorientowanego Łukasza.

Marzenę zastałam opartą obiema rękami o blat kuchenny. Wpatrywała się w okno niewidzącym wzrokiem.

– Wiesz, tak to jest z facetami... Jak tylko widzą kuso ubraną kobietę, od razu zachowują się jak nastolatki... – zaczęłam, lecz ona tylko uniosła rękę, drugą wciąż mocno ściskając brzeg blatu.

– Co się dzieje? – zdenerwowałam się. – Czy to już?

– Nie – szepnęła. – Chyba nie. Po prostu mam jakiś mocniejszy skurcz. To przez tego mojego niewyżytego seksualnie idiotę.

Odruchowo sprawdziłam, czy mam gdzieś w pobliżu telefon, gdyby zaszła potrzeba skontaktowania się ze szpitalem.

– Już mi lepiej – powiedziała po chwili. – Skurcze przeszły.

Wzięła kilka głębokich oddechów.

– Na pewno? – dopytywałam. – Nie chcesz usiąść? Tutaj jest krzesło.

– Już dobrze – powtórzyła, puszczając wreszcie blat. – Dziękuję.

– Wiecie co? – Do kuchni wpadła Kasia. – Ta Paula jest kłamczuchą! Wcale nie przebrała się skromniej!

– Wywnioskowałam to z jej, jak to wyraziła, skromniejszego ubrania? – zapytałam zgryźliwie.

– By się mogła do nas dostosować... – dodała Marzena, nalewając sobie trochę niegazowanej wody z dzbanka.

– A, fakt – przypomniała sobie Kasia. – To było chamskie z jej strony. Może i ma figurę i cały ten seksapil, ale za to mózdzek malutki jak u kury.

– Jeśli masz rację, to cieszymy się, że nie robi kupy na chodniku. Tak jak kury.

– Bo ma tylko jeden zwój więcej – zachichotała Kasia.

– Musimy wracać do gości – powiedziałam. – Trzeba przypilnować naszych małżonków, żeby całkiem się nie sponiewierali.

– Przecież zostali w ogrodzie z Agatą, Helką i uroczą seksbombą. – Kasia wzruszyła ramionami i zabrała się za wyjadanie czekoladowych groszków z miseczki leżącej na środku lady.

– No właśnie. – Skrzyżowałam ręce na piersiach. – To jest mieszanka wybuchowa. Helka lada moment rzuci się na kogoś, oni polecą na Paulę, a Agata zacznie rozbijać na ich głowach moją zastawę.

– To by dopiero było pamiętne spotkanie! – parsknęła śmiechem Kasia.

– To zestawienie w ogrodzie... Agata plus Paula plus Tosiek... chyba rzeczywiście nie jest najlepsze. Iwona, miałaś rację – wtrąciła Emilia, wyglądając na taras. – O, właśnie się zaczyna! Matko Boska!

– Co takiego? – Kasia porzuciła miskę z groszkami, by zobaczyć, co wskazuje palcem Emilia. – O cholera! Dziewczyny, zbierajcie się! Marzena, ty lepiej zostań tutaj!

– Po moim trupie! – Marzena pierwsza rzuciła się do drzwi, torując sobie drogę pokaznym brzuchem. – Muszę to zobaczyć!

Popędziłam za nimi, lecz gdy tylko ujrzałam scenę rozgrywającą się w ogrodzie, stanęłam w pół kroku, przytrzymując się futryny.

Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Paula stała przy grillu, oczywiście otoczona męskim gronem. Najwyraźniej gustowała w zwalistych, śniadych facetach, bo w pewnej chwili na Antonim dosłownie zawisała, obejmując go za szyję. Jej wybranek piał z zachwytu, nawet rzucił gdzieś w kącie nieszczęsny akordeon i wolną rękę trzymał na gołej łopatkę towarzyszki. Dziewczę, nieświadome tego, co zaraz miało nastąpić, stało tyłem do stołu z przystawkami. Nasi mężowie wprawdzie mogliby dostrzec, co szykuje chorobliwie zazdrosna Agata, lecz najwyraźniej w towarzystwie półnagiej kobiety ich pole widzenia ograniczało się jedynie do określonych punktów powiązanych z wypukłościami i wgłębieniami ciała panny Nowackiej. Reszta świata przestała dla nich istnieć. Zmysł węchu zresztą też najwyraźniej stracili, bo zupełnie nie przeszkadzał im buchający z grilla smród spalonej na węgiel karkówki.

Tymczasem Agata wybrała sporych rozmiarów głęboki talerz wypełniony po brzegi bardzo czerwonym sosem barbecue. Eleganckie naczynie wraz z zawartością należało do Marzeny, która jako mistrzyni w przygotowywaniu amerykańskich specjałów chciała uatrakcyjnić smak grillowanych mięs charakterystycznie dymnym sosikiem. Żona Antoniego z mściwym wyrazem twarzy ruszyła w kierunku stojącej tyłem Pauli, unosząc do góry talerz.

– Rany boskie! Co ty robisz!?! – krzyknęła za nią Emilia, wypadając z salonu na taras.

Agata zdążyła obrzucić nas w przelocie spojrzeniem kobiety szalonej. Wiedziałam, że nie ma takiej

siły, która byłaby w stanie odwieść ją od tego planu.

W tym momencie zadziałał instynkt Pauli lub coś do niego zbliżonego. Niespodziewanie odkleiła się od ramienia Antoniego i spojrzała za siebie. Zobaczywszy nacierającą na nią Agatę, próbowała zasłonić się przed nieuchronnym ciosem. Na ucieczkę nie było już szans – przynajmniej nie w tak obcisłej sukience i nie w tak wysokich szpileczkach. Agata zrozumiała, że niestety nie przywali już Pauli prosto w twarz, więc wykrzykując kilka nieprzyjemnych epitetów, chlusnęła czerwoną mazią w jej głęboki dekolci i na elegancką kreację.

– Masz za swoje, szmato! – ryknęła, po czym rzuciła talerz na trawę i złapała Antoniego za ramię. – A ty do domu, pijany babiarzu!

– Ja? – bronił się Antoni. – Ale ja nic... Naprawdę! Ja tylko stałem... Grałem...

– Jaaaasne... Stałeś... – wrzeszczała, ciągnąc go w stronę furtki. – Tylko jedno ci w głowie!

Antoni starał się udobruchać Agatę, szepcząc coś do niej, lecz te żałosne próby niestety odniosły odwrotny skutek. Agata się gotowała.

– Jeszcze jedno słowo, a cię rozerwę na strzępy, podrywaczu od siedmiu boleści! Zbieraj się do domu!

Nie było wyjścia. Antoni poddał się wreszcie żonie. Szedł za nią wolnym krokiem ze spuszczoną głową, wysłuchując niekończącej się litanii przekleństw wyrzucanych przez Agatę w imponującym doprawdy tempie.

Wkrótce odgłosy ich kłótni ucichły na chwilę, by potem znów przejść w bolesne *crescendo*, kiedy mijali trawnik, wchodzili na ganek i zatrzasnęli wreszcie za sobą drzwi. Gdy Zagórscy ucichli, największą sensacją stanowiła oblana ostrym sosem Paula. Gdzieś zniknęła cała jej seksowność. Zza czerwonych plam wyzierała twarz brzydkiej, wściekłej kobiety z rozmazanym makijażem i wyszczerzonymi jak u wilka zębami.

Jako że całe zajście miało miejsce na mojej imprezie, poczułam, że mimo wszystko powinnam Pauli pomóc. Wpadłam do domu i przyniosłam paczkę specjalnych chusteczek do ścierania plam z ubrań – szalenie przydatną rzecz, kiedy ma się niesforne dzieciaki. Chciałam zetrzeć z jej sukienki choć trochę sosu, lecz Paula mi nie pozwoliła. Złapała podaną przez Tomka ściereczkę i klnąc jak szewc, sama próbowała oczyścić największą plamę.

– Bardzo mi przykro – powiedziałam, starając się zrobić współczującą minę.

– Przykro!?! – wrzasnęła. – Wiesz, ile kosztowała ta sukienka?

– Nawet nie śmiem pytać – odparłam pokornie.

Zza okna w salonie usłyszałam stłumiony chichot dziewczyn. Łukasz i Marek stali bez ruchu ukryci za grillem.

– Upierzemy twoją sukienkę na nasz koszt – łagodził Tomek.

– Lepiej ją natychmiast ściągnąć i zamoczyć – powiedziałam. – Chodź, dam ci szlafrok, a sama zapiorę plamę.

– Jej nie pierze się w wodzie! – fuknęła oburzona. – Trzeba ją zawieźć do pralni. Sama to zrobię i dam wam rachunek! Jeszcze dzisiaj! Zobaczycie!

– Nie ma sprawy.

– Muszę wracać do domu. – Z rozmachem zarzuciła torebkę na ramię.

– No coś ty, możesz zostać – poprosił Tomek. – Z tą plamą też prześlicznie wyglądasz.

Starannie omijał wzrokiem moje gniewne spojrzenie.

– Dobranoc – rzuciła na odchodne, ale już mniej wściekłym tonem.

Tomek pobiegł odprowadzić ją do drzwi. Zanim zniknął w głębi domu, posłał mi przeproszające spojrzenie. Pewnie się domyślał, że nie pozostawię jego zachowania bez komentarza.

– No to po imprezie – westchnęła Kasia, kiedy weszłam do salonu. – A specjalnie na dzisiaj

ściągnęłam teściową, żeby zajęła się Adasiem. W końcu raz w roku należy mi się wychodne.

– Dlaczego po imprezie? Nic podobnego – zaprzeczyła Hela. – Teraz dopiero zaczyna się prawdziwa zabawa. Dajcie mi trochę nadwyżek jedzenia, to zaniosę je Puchaczowej. Może gdy zobaczy, jakie tu są specjały, zdecyduje się nas odwiedzić.

– Jest dość późno – zasugerowała Emilia. – Wątpię, by starsza kobieta o tej porze...

– A skąd! – Hela machnęła ręką. – Ona cierpi na bezsenność. Teraz pewnie kręci się po domu albo siedzi na balkonie. Rzadko chodzi do sklepu, bo się źle czuje i dobrze czasami przynieść jej coś do jedzenia. Ja tak robię. Zanoszę jej kawałek pieczeni albo trochę zupy. Ona się oburza, ale na drugi dzień zostawia mi umyte naczynia na schodach albo w skrzynce na listy.

– Może jednak poszła spać? – Pokręciłam głową. – Minęła przecież dwudziesta druga.

– Mogę się założyć o tę zapiekankę z bakłazana, że nie. – Wskazała palcem żaroodporne naczynie. – Wspaniale pachnie. Da się jutro podgrzać? Nie rozleci się?

– Można podgrzać – odparłam odruchowo.

– No to cudnie! – Hela zatarła ręce. – Będzie na dwa dni z okładem. Zatem co zapakujemy? Najlepiej coś miękkiego, bo Staszka ma protezy na całe szczęki. No i bez maku, bo jak jej podejdzie pod tę sztuczną szczękę, to będzie tak cmokać. – Hela wydała charakterystyczny dźwięk. – Denerwująco.

Złapała mój składany koszyk na zakupy i wsadziła do niego w połowie opróżniony słoiczek czarnych oliwek.

– Hola, hola, to nie market. – Marzena złapała ją za rękę.

– Że co? – Hela na szczęście nie dosłyszała albo raczej nie chciała dosłyszeć.

– Może zapakuję dla pani Puchaczowej coś innego – powiedziałam łagodnie, wyciągając jej z dłoni koszyk. – Ale pani może mi oczywiście zasugerować, co sąsiadka lubi.

– Wszystko – ucieszyła się Hela. – Jeśli coś już jej naprawdę nie będzie smakowało, to od razu mi odda. Nic się nie zmarnuje. Obiecuję.

– Nie wątpię – stwierdziła cierpko Marzena.

I tak wszystkiego mieliśmy za dużo i planowaliśmy, że podzielimy się daniami, więc szybko zapakowałam kilka rzeczy do koszyka. Zmieściłam tam trochę sernika, placka jabłkowo-ananasowego z kokosem, porcję zapiekanki ziemniaczanej i grillowanej kiełbasy. Na wyraźną prośbę Heli dodałam bez słowa mały pojemnik sałatki, pikle na ostro i marynowany w ziołach czosnek. Następnie, kręcąc głową, patrzyłam, jak Hela upycha do koszyka całą butelkę białego wina i pół butelki czerwonego. Zaprotestowałam dopiero wtedy, gdy zaczęła wciskać w wolne miejsce nieotwarty jeszcze słoik domowej roboty buraczków czerwonych z papryką oraz butelkę grenadyny. Gdy z szerokim uśmiechem wyciągnęła z lodówki paczkę niewykorzystanej podczas imprezy białej kiełbasy, doszłam do wniosku, że wystarczy tego dobrego. Jeszcze trochę i wyniesie mi z domu całe jedzenie!

Dziewczyny siedziały przy stole i cicho (tak, żeby Hela nie słyszała) nabijały się ze mnie i całej tej dość abstrakcyjnej sytuacji.

– A teraz, dziecinko, pomożesz mi to zanieść – powiedziała Hela, zacierając z radością rękę. – Ja dźwigać nie powinnam. Wiesz, kręgosłup.

– Jasne...

Widząc moją minę, dziewczyny nie wytrzymały i wybuchły gromkim śmiechem.

– Idziecie ze mną! – zdecydowałam, łapiąc Kasię za rękę. – Nie ma tak łatwo.

Myślałam, że będą się ociągały, ale one widocznie były ciekawe, jak sprawa potoczy się dalej, bo w minutę były gotowe do wyjścia.

– Powiem tylko chłopakom, że zaraz wrócimy i was dogonię. – Kasia przypomniła sobie o naszych mężach, którzy szybko zapomnieli o epizodzie z Paulą i z drinkami w dłoniach rozsiedli się wygodnie na

ławce przy grillu, opowiadając sobie jakieś sportowe anegdoty.

Wyszliśmy na Brzozowy Zaułek, który tego pięknego, sobotniego wieczoru był wyjątkowo cichy i spokojny. Uliczkę oświetlały nieliczne latarnie, rzucając na ciemny asfalt ciepłe, pomarańczowe plamy światła. Brzozy w lasku cichutko szeptały między sobą o minionym dniu. Gdzieś w oddali zamiauczał kot, którego cienki głos natychmiast zbudził kilka okolicznych psów. Powietrze przesycone było zapachem trawy, wody i grillowanych potraw. Rozmawiając o niczym, wolnym krokiem podeszliśmy do zakrętu, zza którego widać już było dom Puchaczowej otoczony wiekowymi drzewami.

– Ładnie tutaj – powiedziałam do Heli.

– Ona tu mieszka najdłużej – odparła. – Zna każdy skrawek tej ziemi. Widzicie? Jest na balkonie. Miętosi któregoś z tych jej wytartych kotów.

Palcem wskazała balkon, na którym rzeczywiście było widać staruszkę w jasnym szlafroku siedzącą na składanym krzeselku.

– Lepiej, żeby was nie widziała, bo może ją zdenerwować, że pół wsi zrzuca się na jej posiłek. – Hela zatrzymała się gwałtownie i odebrała mi koszyk. – Ja wszystko załatwię, a wy wracajcie do waszych chłopców. Dobranoc.

– To nie wróci pani z nami? – zdziwiłam się.

– Widzę, że Puchaczowa czuje się samotna, więc jeśli będzie miała ochotę, dotrzymam jej towarzystwa.

– Ten koszyk jest ciężki – przypomniałam jej.

– Już blisko, dam radę – odparła kategorycznie. – Trzymajcie się, kochane. Wpadnę do was jutro, żeby wszystko obgadać. Pa!

Zostawiła nas za kępą brzoź. Szła w stronę domu numer czternaście z taką gracją, jakby wcale nie dźwigała ciężkiego kosza z jedzeniem, a zaledwie dwa ptasie piórka.

– Ciekawe, czy u niej zostanie? Jak myślicie? – zastanawiała się Marzena, gdy wracałyśmy do mojego domu. – A jeśli ta Puchaczowa nie będzie miała ochoty jej wpuścić? Jest dość dziwaczna. Jakoś nie mogę się do niej przekonać.

– Może nie będzie tak źle – odparła Emilia. – Obie są wiekowe i pewnie mają więcej wspólnych tematów do rozmowy niż miałyby z nami. No i w tym koszyku jest wszystko, czego potrzeba, by mile spędzić wieczór, w tym wino. Na pewno będą się świetnie bawiły.

– Pewnie masz rację...

Emilia nie myliła się. Gdy wróciliśmy do naszych mężów, wspólnie posiedzieliśmy jeszcze dość długo, bo do drugiej w nocy. A kiedy nasi przyjaciele zgarnęli śpiące potomstwo i wracali do swoich domów, mieli okazję zobaczyć, jak Hela i Staszka spędzały wieczór. Obie starsze panie siedziały sobie na balkonie wraz z moim koszykiem, zapewne już opróżnionym. Popijały wino z gwinta i co chwilę wybuchały śmiechem. Ich głosy i śpiewy było słychać na Brzozowym Zaułku niemalże do świtu.

– Dla niektórych starość jest piękna – powiedział Tomek, kiedy padliśmy zmęczeni na łóżko. – Mam nadzieję, że i ja będę miał z kim tak imprezować po siedemdziesiątce.

– O ile w ogóle dożyjemy takiego wieku – uściśliłam.

Westchnął przeciągle.

– Jeśli dożyję siedemdziesiątki, pewnie dorobię się takiego alzheimera, że nie będę pamiętał, którą część ciała wyciera się papierem toaletowym albo po co jest grzebień.

– Może nie będzie aż tak źle. Ależ te kobiety się wydzierają – ziewnęłam. – Trudno zrozumieć, co to za piosenka.

Tomek przez chwilę nasłuchiwał.

– Hej, sokoły – stwierdził w końcu. – Hela ma do niej jakiś bliżej nieokreślony sentyment.

Pomimo wielu wrażeń, jakie zafundował nam miniony dzień, już po kilku minutach spaliśmy oboje jak zabici. Starsze panie wreszcie skończyły fałszować i cała nasza ulica pogrążyła się w cichym oczekiwaniu na wschód słońca. Ptaki drzemały w swoich gniazdach, psy poszczekiwały przez sen w budach, koguty w zagrodach po drugiej stronie potoku odpoczywały z łepkami ukrytymi pod kolorowymi skrzydełkami.

Już godzinę później cały granatowy nieboskłon z wolna zaczął tracić swój głęboki odcień, a wraz z nim zbladły też plejady złotych gwiazdek. Gdzieś zbudził się kos, którego pełne ozdobników śpiewy niosły się leniwie po całej okolicy. W pobliskiej wsi zaczął szczekać pies. Jakiś kogut głośnym kukuryku oznajmiał światu, że niebawem pierwsze promienie słońca zwyciężą nad umykającym za horyzont cieniem. Powoli nadchodził nowy dzień.

Bolesne zderzenie z naturą

– Mamo, czy krowy gryzą? – To było jedno z setki pytań, jakie Benek zadał tego sobotniego poranka równo dwa tygodnie po pamiętnym grillu.

Tego dnia mieliśmy w planach dużo rzeczy do zrobienia, więc śniadanie przygotowaliśmy w sporym pośpiechu. Zamierzaliśmy pojechać do Ikei, żeby kupić biurko, kilka półek oraz dywan do pokoju Makska. Poza tym trzeba było wreszcie obsypać krzewy kawałkami kory, która uwięziona w kilkunastu workach męczyła się na podjeździe od ponad tygodnia. Tomek podpiekał więc na szybko parówki owinięte cienutkimi plastrami boczku, a ja kroiałam chleb. W salonie dokazywali chłopcy, kłócąc się od czasu do czasu o to, którą bajkę będą oglądać. Ot, zwyczajny dzień w rodzinie Winiarskich.

– To jak z tymi krowami? Czy one gryzą? – powtórzył pytanie Benek, stając mi na drodze do lodówki, którą właśnie chciałam otworzyć, by wydobyć z niej keczup i masło do smarowania pieczywa.

– Krowy zazwyczaj są łagodne – odparłam, lekko przesuwając chłopca na bok. – Nie mają w zwyczaju gryźć ludzi.

Powinnam być bardziej spostrzegawcza i zainteresować się, skąd takie pytanie. Ale Benek pytał bez przerwy, usypiając przez to naszą czujność. Niekiedy pytania te były dość abstrakcyjne, a czasami – wręcz przerażające. Na przykład kiedyś zapytał, czy jeśli człowiekowi obetnie się nogę, to ona mu odrośnie, tak samo jak włosy.

– A jeśli to jest obca krowa? – dopytywał, wpatrując się we mnie niewinnymi, jasnoniebieskim oczkami.

– Ale jak to obca? – zapytałam. – Z kosmosu? Kosmiczna krowa?

Myślałam, że chodziło mu o jakieś zwierzę z kreskówki.

– Nie, mamo. Ziemska. – Trochę się zniecierpliwił. – Ale nie nasza, tylko kogoś innego.

– To chyba nie ma znaczenia – odparłam bezrefleksyjnie, układając kromki na talerzu. – Krowy są przyzwyczajone do ludzi i nie robią im krzywdy. W przeciwieństwie do byków, które są bardziej agresywne.

– A to są mężowie krów? – zapytał mądrze nasz synek.

Tomasz z uśmiechem pokręcił głową.

– Tak, skarbie. – Spojrzałam na niego.

– I nie mają piersi tak jak krowy?

Tomasz zakrztusił się piętą chleba, którą właśnie włożył do ust. Miałam ochotę go kopnąć.

– Krowy nie mają piersi, tylko wymię – wytłumaczyłam mu spokojnie.

– Takie różowe z czterema... z czterema końcówkami?

– Zgadza się, synku.

– Czyli w naszym ogródku jest krowa – powiedział nagle Benek, łapiąc kromkę chleba i natychmiast ładując ją do buzi. – Nie byk.

– A dlaczego tak uważasz?

– Bo ma cycki. Więc to krowa.

– Synku, nie wyrażaj się tak – zbeształam go. – Mówiłam ci, że to nazywa się...

– Piersi? – podsunął z niewinną miną.

– To, co ma krowa, nazywa się wymię – powtórzył za mnie Tomek. – Piersi mają kobiety. Mama już ci mówiła.

– Wiecie co? Ładna jest ta krowa. Ma czarne łatki. – Benek wrócił do głównego tematu rozmowy.

– Naprawdę? – Tomek zakładał, że nasz syn układa właśnie przy użyciu swojej bujnej wyobraźni jakiś sensacyjny scenariusz kolejnej zabawy, w którą stara się wciągnąć resztę rodziny. – Może to nie krowa, tylko wielki pies?

– Chyba nie, ale sprawdzę – powiedział niewyraźnie Benek, mając nadal buzię pełną chleba, i pobiegł do salonu.

Właśnie zagotowała się woda w czajniku, więc porzuciłam talerz z chlebem i zabrałam się za przyrządzanie herbaty porzeczkowej. Benek wrócił z prędkością światła, miażdżąc nas kolejną porcją pytań.

– A krowę się doi, ciągnąc ją za piersi? – wypalił bez zbędnych wstępów.

– To nie są żadne piersi, tylko wymię – poprawił go znów Tomek, starając się zachować poważny wyraz twarzy, co szło mu coraz trudniej.

– A to ją nie boli? Bo mnie by chyba bolało, gdyby mnie ktoś ciągnął za siusiaka.

Tomasz nagle musiał wyjść do spiżarni – nie był w stanie dłużej hamować śmiechu. Aby nie było go za bardzo słychać, stuknął kilkoma słoikami. Ja na szczęście stałam tyłem do Benka, więc śmiałam się bezgłośnie z tych pytań, pochylając głowę nad ladą i pozwalając, by włosy osłaniały moją twarz. Lepiej, żeby dzieciak nie widział takiej reakcji rodziców na swoje pytania, bo jeszcze przestanie nam je zadawać. Albo, co gorsza, stracimy autorytet w jego oczach.

– A psa się nie doi – wywnioskował mądrze, drepcąc za ojcem, który wrócił ze spiżarni – On nie ma wymienia, prawda?

– Nie ma – przyznał Tomek. – Zwłaszcza pies.

– Nawet duży?

– Nawet duży, skarbie.

– No to w naszym ogrodzie na pewno jest krowa, nie pies – ponownie stwierdził Benek, biorąc z talerza kolejną kromkę.

– Nie chcesz, synku, maselka albo serka na ten chlebek? – Zmieniłam temat.

Wiedziałam, że te pochłaniane na szybko kromki są właśnie całym jego śniadaniem. Za chwilę, gdy zasiądziemy do stołu, mój młodszy syn zaledwie dziobnie trochę parówki albo sera żółtego. Płacz, że jest głodny, zacznie się zaraz po opuszczeniu Brzozowego Zaułka, kiedy to na dokarmianie wygłodniałej latorośli po prostu nie będzie czasu.

– Nie. Ja lubię suche bułki.

Benek doceniał proste dania. Największym powodzeniem cieszyły się u niego posiłki jednoskładnikowe – chlebek, zupa, ziemniaki, surówka z marchewki. Nie lubił kanapek, na których było coś więcej niż ser żółty, szczypiorek albo kilka plasterków świeżego ogórka.

– Czy ta krowa jest z kosmosu? – Tomek postanowił wrócić do gry. – Ma skafander?

Benek w odpowiedzi tylko prychnął.

– Przyleciała bez skafandra? – dopytywał Tomek, wykładając porcje parówek na talerz.

– Tato! Ona nie jest w nic ubrana – powiedział Benio. – Ma skórę i łatki. Takie czarne na białym tle. Już mówiłem.

– Niesamowite – wtrąciłam.

– Naprawdę, mamu. Wiesz, ona jest ładna. Mogę ją sobie tutaj mieć? Proszę!

Wszystkie te zdania wypowiedział jednym tchem.

– No nie wiem – zażartowałam. – Mamy za mało trawy.

– Tata nie musiałby kosić kosiarką. I benzyny by nie trzeba było. – Nasz syn złożył łapki jak do modlitwy. – I moglibyśmy ją pożyczyć sąsiadom!

– Urośnie z niego biznesmen – zawyrokował Tomek, nie kryjąc zadowolenia.

– To może zostać z nami? – Benedykt powtórzył pytanie.

– Jasne, synu – wypalił jego ojciec bez zastanowienia. – Kosmiczna krowa bez skafandra zostanie z nami.

– Hura! – wrzasnął malec i wybiegł z kuchni, by podzielić się tą wiadomością ze starszym bratem.

Maks pojawił się w kuchni chwilę później.

– Mamo, wy tak na poważnie z tą krową? – zapytał, patrząc na nas ze zdziwieniem.

– A czemu nie? – mruknął Tomek, obracając na patelni dwa sadzone jajka, moje ulubione sobotnie danie śniadaniowe.

– Tato, ale ona zrobiła kupę na trawę! Takie wielkie brązowe placki. – Maks był wyraźnie oburzony. – Potem mama będzie się złościć, że to my!

– Uwierz mi synu, nie byłbyś w stanie wycisnąć z siebie takiej kupy jak krowa – zaśmiał się Tomasz. – Nawet jakbyś złapał wyjątkowo parszywego rotawirusa.

– Sami sobie zobaczcie – zdenerwował się Maksymilian. – Nawet trochę narąbała na chodnik i taras.

– Wyrażaj się – upomniał go ojciec.

Ta pozornie trywialna rozmowa o kupie wzbudziła nagle mój niepokój. Skąd Maksymilian, dziecię wychowane w mieście i widujące krowy głównie na ślicznych, książkowych obrazkach, miałby wiedzieć, jak wygląda krowi placek? Zabrałam ze sobą filiżanki do herbaty i poszłam do salonu sprawdzić, dlaczego właściwie zaczęła się dyskusja o krowie.

W pokoju dziennym nic się nie zmieniło. Jak zwykle panował tu lekki nieład – kilka zabawek na podłodze, skotłowany koc na sofie, gazeta Tomka rozłożona na oparciu fotela. Stawiając cztery filiżanki na stole, zanotowałam w myślach, że należy rozwiesić pranie i zetrzeć kurz z ciemnych powierzchni szafek. Dopiero kiedy się wyprostowałam, zobaczyłam za oknem młode listki na drzewach, soczystą zielen trawy oraz coś, co zupełnie nie pasowało do zalanego słonecznym blaskiem krajobrazu...

– Chryste Panie! To krowa! – powiedziałam, wyciągając palec przed siebie i wskazując drzwi balkonowe.

Tuż za nimi, na naszym trawniku, stała biało-czarna krasula i machając ogonem, wcinała posadzone w specjalnej, piętrowej donicy zioła.

– Tomek! – wrzasnęłam. – Mamy krowę!

– Co ty gadasz? – Z kuchni wyszedł mój mąż, trzymając w jednej ręce patelnię, w drugiej zaś drewnianą łyżkę. Zamiast normalnego ubrania miał na sobie jedynie bokserki i jakiś beznadziejny, kwiecisty fartuszek kuchenny. – Chryste Panie! To krowa!

Benek roześmiał się.

– Patrz Maks, rodzicie się zepsuli. Mówią to samo.

– To jest krowa – powtórzył Tomek, podchodząc bliżej tarasu.

– I to prawdziwa – dodałam ponuro. – Nasz syn miał rację.

– JA miałem rację! – przypomniał Maks.

– Ale zostanie z nami? – Benek poczuł, że dana mu przed chwilą obietnica może zostać cofnięta w świetle nowych wydarzeń.

– Trzeba się dowiedzieć, czyja ona jest i natychmiast ją odprowadzić. – Byłam tak zaaferowana tym niecodziennym zdarzeniem, że zignorowałam pytanie syna. – Ciągnie za sobą łańcuch, więc widocznie

urwała się z jakiejś łąki.

– Pewnie z tej za laskiem – powiedział Tomek. – Tam czasami pasą się krowy.

– Odprowadzisz ją? – zapytałam, zerkając na niego.

Tomek pokręcił głową.

– Ja smażę. – Uniósł patelnię z jajkami. – Poza tym nigdy nie miałem do czynienia z krowami. To ty zawsze się chwalisz, że umiesz udoić mleka.

– Ale to nie to samo! – oburzyłam się. – Owszem, doiłam krowy, ale one były oswojone. To znaczy należały do mojej babci i dobrze je znałam. A ta krowa jest obca!

Tomek zrobił taką minę, jakby walczył z wybuchem śmiechu.

– No co!? – Zjeżyłam się. – Nie wiem, jaka jest ta krowa. Nie znam jej... charakteru. Może być wyjątkowo wredna.

– Jest miła – odezwał się nagle Benek. – Dała mi się pogłaskać i nawet zjadła trawę z mojej ręki.

Struchlałam ze strachu.

– Dałeś jej trawę, kochanie? – zapytałam z trwogą.

– Tak, mamusiu – przyznał z uśmiechem. – Nawet pogłaskałem ją po twarzy.

– Krowa nie ma twarzy, tylko pysk – powiedział Maks belferskim tonem.

– Albo mordę – dorzucił cicho Tomek.

– Dobra – podciągnęłam rękawy piżamy. – Skoro pan tego domu boi się krowy, to trudno. Kobieta musi! Jak zwykle.

Mając nadzieję, że krowa ma jednak łagodne usposobienie, ruszyłam na taras. Zwierz, wciąż kręcąc żuchwą, uniósł rogaty łeb i spojrzał na mnie z żywym zainteresowaniem.

– Witam panią – powiedziałam, rozglądając się za końcem łańcucha. – Pewnie ten spacerek był szalenie ciekawym doświadczeniem, ale czas wracać na swoją łąkę.

Krowa, nie przerywając żucia bazylii, podążyła za mną, lecz jedynie wzrokiem.

– Wiesz, że zżarłaś mi wszystkie zioła? – zapytałam, łapiąc koniec łańcucha utyłany w ziemi i trawie.

– Nie mogłaś posilić się chwastami przy płocie? Przynajmniej zrobiłabyś coś pożytecznego.

Oczywiście krowa nie odpowiedziała. Patrzyła na mnie swymi wielkimi oczami i bezwstydnie mełła ostatnie łodygi ziela.

– Idziemy – zakomenderowałam, ciągnąc za łańcuch. – Zaraz sprawdzimy, jak się tutaj dostałaś.

Odtworzenie trasy, którą zwierzę do nas dotarło, wcale nie było trudne. Przynajmniej do bramy, którą mój kochany małżonek raczył być zostawić otwartą na noc. Wrócił wczoraj późno z pracy, więc nie chciało mu się już poszukać pilota i przycisnąć odpowiedniego guzika.

Krowa przeszła obok auta, nie czyniąc mi na szczęście żadnej szkody, po czym skuszona zapewne zapachem zieleniny ruszyła wzdłuż domu prosto na nieprzystrzyżony trawnik na tyłach zabudowy naszej działki.

– Mogłem zamknąć wieczorem bramę – powiedział Tomek, stanąwszy na progu domu w tym swoim durnym fartuchu i bokserkach.

– Naprawdę? No coś ty! – odparłam kąśliwie, ciągnąc oporne zwierzę za łańcuch. – To ty powinieneś łązić teraz z krową po osiedlu!

– Wiem, przepraszam – odparł pokornie. – Zaraz zrobię ci jeszcze jedno jajeczko sadzone na poprawę humoru. Żebyś miała świeżutkie i lekko ścięte.

– Wypchaj się tym jajeczkiem – rzuciłam, wychodząc na ulicę.

Ślad łańcucha był widoczny już z brzoźowego zagajnika obok domu Puchaczowej. Rzeczywiście krowa musiała dotrzeć tu z łąk znajdujących się za tym niewielkim laskiem. Klnąc pod nosem, znów pociągnęłam łańcuch. Krowa pozwalała się prowadzić bez większego oporu, patrząc od czasu do czasu

łęsknym wzrokiem na zieleninę za płotami sąsiadów. Przejście przez lasek było nieco trudniejsze, bo pocziwe zwierzę co chwila zatrzymywało się, by uszczknąć kawałek gałązki czy kilka liści. W końcu udało mi się jednak wyjść za lasek. Znajdowała się tutaj niewielka łączka zamknięta z jednej strony wąskim potokiem i otoczona starymi drzewami. Po drugiej stronie lasku prześwitywały pola i kilka wiejskich zagród.

– Pytanie, z którego domu zwiłaś! – powiedziałam do krowy, wchodząc na łąkę. – Pewnie czekają tam na ciebie. Podziękują mi za przyprowadzenie ich prywatnej mleczarni. Może nawet dostaniemy trochę świeżego mleka? Kurde, tak dawno nie piłam mleka z pianką...

Gdy dochodziłam do potoku, nagle usłyszałam za sobą dziki wrzask.

– Złodziej! Ludzie! Złodziej! Krowę kradnie!

Obejrzałam się w kierunku, z którego dochodziły krzyki, i struchlałam. Miedzą nadciągał wychudzony staruszek, dzierżąc w rękach trójzębne widły. Ich ostre końcówki błyszczały niebezpiecznie w słońcu. Biegł zadziwiająco szybko jak na swój wiek. Być może specyficznym wygięta sylwetka oraz wyciągnięte przed nim widły pomagały mu utrzymywać równowagę i nadawały tak niebywałe tempo. Za nim podążał mały, krępy pies. Kundel ujadął piskliwie, kryjąc się równocześnie za nogami właściciela.

– A niech mnie – powiedziałam do siebie, odruchowo stając za krową, która, jak gdyby nigdy nic, akurat w tym momencie zabrała się za skubanie trawy.

Widocznie była przyzwyczajona do takiego zachowania swego właściciela. Miałam nadzieję, że szalony dziadek nie zadzga własnego zwierzęcia w ramach pokazu siły. Tego, że krowa może nie należeć do niego, zupełnie nie wzięłam pod uwagę.

– Ja jej nie kradnę! – krzyknęłam. – Ona była u mnie w ogrodzie.

– Jasne! – ryknął, machając groźnie widłami. – I jeszcze byłaś tak uprzejma, żeby ją tutaj przyprowadzić!

– Tak właśnie było! – broniłam się.

– Łżesz, dziewucho! – wrzeszczał tak, że z jego mocno zdekompletowanej szczęki na wszystkie strony tryskała ślina.

– Ona naprawdę się urwała! – Cofnęłam się bliżej łba zwierzęcia. Staralam się zachować bezpieczny dystans zarówno od rozjuszonego starca, jak i jego ujadającego giermka. – Widzi pan? Cały łańcuch jest brudny od trawy i ziemi! Musiała go wlec za sobą kawał drogi.

Nie był to żaden argument, ale na mężczyznę podziałał. Staruszek podrapał się po głowie i opuścił widły.

– Dawaj mi ten łańcuch – burknął, wyciągając powykręcane artretyzmem łapy.

Bez słowa zrobiłam, co kazał. Dziadek złapał za kółko i mocno szarpnął.

– Idziemy, krasula. Szwendać ci się zachciało. Po ludziach za trawą, jakby tutaj gorsza była. Zamknij pysk, głupi psie! – krzyknął tak głośno, że kundel natychmiast zamilkł i z podkulonym ogonem odbiegł kilka metrów. – No rusz się, krasula! – Starzec jeszcze raz pociągnął łańcuch.

W tym momencie mój wzrok przykuło coś białego i podłużnego, białego wraz kłębem trawy i ziemi w duże spoiwo łączące dwa łańcuchy mniej więcej w połowie długości. Odruchowo pochyliłam się i złapałam w tym miejscu.

– Co jest? – nachmurzył się dziadek. – Dlaczego pani łapie mój łańcuch przytwierdzony do mojej krowy?

– Tu coś jest – pokazałam palcem.

Staruszek niechętnie rzucił okiem na wskazane miejsce.

– No i co? Trawy nie widziała? Jak łańcuch ciągnął się po ziemi, to trawę wyrwał z korzeniem. Wielkie mi mecyje! Krasula pociągnie to teraz kilkaset metrów do obory, to łańcuch sam się oczyści.

- Mam na myśli to białe. – Trąciłam palcem niepokojące znalezisko.
- Dziadek za to bez oporów odwinął trawę i pociągnął.
- Jasna cholera, to kość! – Odrzucił ją odruchowo. – I to chyba ludzka!

Znalezisko

- Myślałam, że takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach.
- Siedziałam na tarasie za domem z Kasią i Emilią. To nadzwyczajne spotkanie urządziłyśmy w celu szybkiego omówienia zdarzeń, które w ostatnich godzinach miały miejsce na naszej uliczce. Przez zamieszanie z krową ostatecznie zrezygnowaliśmy z zakupów. Żeby pocieszyć Benka, który rozpaczał po stracie „zwierzątka”, Tomek pojechał z dziećmi na basen. Dzięki temu miałam całe dwie godziny na ogarnięcie domu i obgadanie z sąsiadkami tych niecierpiących zwłoki kwestii.
- Ciekawe, gdzie jest reszta tego denata – powiedziała Emilia pełnym napięcia tonem. – Biedaczek z niego. Strasznie mi go żal.
- Tobie każdego żal – ucięła Kasia.
- Nic na to nie poradzę...
- Szybko udało się ustalić, że to rzeczywiście ludzka kość – westchnęłam. – Ten zwariowany dziadek od krowy-uciekiniarki miał rację. Swoją drogą, krasula zżarła mi wszystkie zioła i obgryzła liście z krzaków. Że o wielkich krowich plackach na trawniku nie wspomnę...
- Ileż zamieszania może wywołać zwykła zwierzęca dezercja... – Emilia pokręciła głową.
- Policjanci na razie starają się odtworzyć, jak to określili, trasę spaceru krowy – zaśmiała się Kasia.
- Rozmawiałam z jednym. Stwierdził, że będą sprawdzać wszystkie działki. Jedną po drugiej.
- No to nie mają wielu miejsc do odwiedzenia. – Zamyśliłam się. – Przecież pomiędzy moim domem a laskiem brzozowym jest tylko pięć domów, licząc po obu stronach ulicy. Krowa raczej nie przyszła od głównej drogi, bo ślady ziemi z łańcucha były widocznie wyraźniej od strony lasu. No i warto sprawdzić, kto tego dnia mógł nie zamknąć bramy albo furtki.
- Puchaczowa ma zawsze zamkniętą. – Kasia zaczęła odliczać na palcach. – My tak samo. Marek otwiera bramę tylko, gdy wyjeżdża samochodem z garażu, a dzisiaj nigdzie się nie ruszaliśmy.
- Zagórscy mają często otwarte. – Przypomniałam sobie. – Rano na pewno Antoni gdzieś jechał, bo kłócili się na podjeździe...
- Że znów ją zdradza?
- Nie. – Pokręciłam głową. – O to, kto zostanie wieczorem z dziećmi.
- Emilia spojrzała na mnie z wyrzutem.
- No co? – broniłam się. – Słyszę ich kłótnie, czy tego chcę czy nie. Zwłaszcza gdy się wydierają pod domem. Ona ma strasznie donośny głos. Słysząc każdy wyraz.
- Pewnie dlatego została nauczycielką. – Kasia podniosła się z krzesła i wolno przeszła przez taras. – Ma wyrobioną przeponę i struny głosowe.
- Pewnie tak – zgodziłam się. – Jego nie słysząc tak dobrze. Ma niski głos, który bardziej przypomina mruczenie niedźwiedzia.
- No i tak wygląda – zaśmiała się Emilia. – Tosiu rzeczywiście jest jak wielki miś. Tylko mniej owłosiony i bardziej ucywilizowany.
- Naszą rozmowę przerwał dzwonek do drzwi. Nim zdążyłam otworzyć, niecierpliwy gość użył dzwonka

jeszcze kilkakrotnie i szarpnął za kłamkę.

– Mam niusa! – Na progu stała Hela. – A gdzie reszta dziewczyn?

– Za domem. – Machnęłam ręką w stronę wnętrza salonu.

Zanim zdążyłam zapytać, czy ma ochotę na herbatę, Hela pomknęła w stronę tarasu.

– Znaleźli resztę kości? – krzyknęła na powitanie Emilia, podnosząc się ze swojego miejsca.

– Jeszcze nie! – sapnęła Hela. – Jezu, zadyszkę mam od tego ciągłego biegania i tłumaczenia wszystkim po kolei, co się dzieje. Strasznie to męczące!

– Może czas troszkę zwolnić – powiedziała Kasia ironicznym tonem. – Pani ma zawsze najświeższe informacje. Nawet nie chcę myśleć, co by było, gdyby pani rzeczywiście zabrakło tchu.

– Wiem, wiem. – Machnęła ręką Hela, choć było widać, że te słowa sprawiły jej przyjemność. – Słuchajcie. Przyjechało dwóch nieumundurowanych funkcjonariuszy. Będą pomagać naszym policjantom. Jeśli znajdą cały szkielet, to przyjedzie detektyw. Prawdziwy! Z Warszawy!

– No proszę – mruknęła Emilia.

– Och, żeby tak wyglądał jak Kojak – westchnęła Hela z rozmarzeniem. – Ten detektyw był szalenie przystojny.

Emilia zaniósła się śmiechem.

– To był aktor. – Sprowadziłam Helę na ziemię. – I wcale nie był przystojny.

– No, mnie też nie olśnił urodą. – Emilia zgodziła się ze mną.

– Bo wy, eleganckie panienki wychowane na amerykańskich serialach, w których występują tylko wydepilowani i naszpikowani babskimi hormonami pseudofaceci, nie potraficie docenić uroku prawdziwego mężczyzny. – Wytknęła nas palcem.

– Ja nie oglądam filmów z wydepilowanymi facetami – oburzyła się Emilia. – I wątpię, by aktorzy brali kobiece hormony.

– Prawdziwy chłop powinien być jak zwierz. Dziki, nieokiełznany, pewny siebie... – Hela uparcie broniła swoich racji.

– I włochaty – dokończyła Kasia.

– Może być łysy. – Skinęła głową. – A tych facetów, do których obecnie wzdychają dziewczyny, mogę określić tylko jednym słowem: ZNIEWIEŚCIAŁE WYMOCZKI!

– To dwa słowa – zauważyła Kasia, lecz Hela zbyła ją machnięciem ręki.

– Ostro – zawyrokowała Emilia, puszczając oko do pozostałych dziewczyn.

– W każdym razie – Hela starała się wrócić do głównego tematu – ci policjanci chodzą teraz po łąkach za laskiem brzoźowym z takim aparatem, co niby ma wykrywać kości pod ziemią.

– Nawet nie wiedziałam, że istnieje takie urządzenie – stwierdziła Emilia.

– Ja też nie – przyznała Hela. – To jest trochę podobne do wykrywacza metali. W każdym razie, jeśli skończą łąki i nic tam nie znajdą, przyjdzie kolej na las, a jeśli tam też nic nie będzie, sprawdzą wszystkie działki, zaczynając od tych najbliższej łąk.

– Ha! Tak jak wam przed chwilą powiedziałam – potwierdziła Katarzyna.

– Może jednak pani usiądzie i napije się czegoś? – zaproponowałam powtórnie.

– Nie, nie. – Hela rzuciła się w stronę drzwi. – Muszę odwiedzić jeszcze Puchaczową, a potem zadzwonić w kilka miejsc.

– Bardzo napięty harmonogram – zażartowała Kasia.

– No niestety, takie obowiązki... – Hela zamyśliła się na chwilę i podrapała po głowie. – Dobra, to lecę dalej.

– Jak będzie pani coś wiedziała, proszę dać nam znać – poprosiłam, odprowadzając ją do drzwi.

– Oczywiście. – Ucisnęła mi rękę na pożegnanie. – Jesteście dla mnie jak rodzina. Dziękuję wam za

to, że mnie, starą babę, przyjęłyście tak ciepło do swojego młodego grona.

– Nie ma problemu. – Cóż innego mogłam odpowiedzieć. – Jest nam naprawdę bardzo miło.

Stała przez chwilę na progu mojego domu i bez słowa patrzyła mi prosto w oczy. Drobna, siwowłosa kobieta o niespożytej energii i przenikliwym spojrzeniu, ubrana skromnie, lecz schludnie w kremowe spodnie z cienkiego materiału, taki sam żakiet oraz wystającą spod niego wielokolorową bluzkę. Wiedziałam, że była bardzo samotna i potrzebowała towarzystwa, w szczególności młodych ludzi. Starsi najczęściej rozmawiają o chorobach albo śmierci, tymczasem pani Hela bardzo chciała żyć i wołała słuchać opowieści o zielonych kupach niemowlaków czy tajemniczych wysypkach na tyłkach dzieci niż o wybieraniu się na tamten świat. Historię jej życia oraz przyczynę samotności miałam okazję poznać kilka miesięcy później i muszę przyznać, że wstrząsnęła mną ona do głębi. Gdybym przeżyła tyle, co Helena Wąs, do końca życia nie byłabym w stanie przywołać na twarz nawet grymasu zbliżonego do uśmiechu. W najlepszym wypadku wegetowałabym w jakimś przytułku dla wariatów albo zakończyła żywot, wkładając głowę do piekarnika. Ona natomiast dała radę pokonać to wszystko i żyć dalej. Niesamowicie.

Na początku naszej znajomości traktowałyśmy Helę trochę jak piąte koło u wozu. Owszem, przydawała się, gdyż znała wszystkie ploteczki z ulicy i okolic, niejednokrotnie potrafiła nas rozśmieszyć oraz (jak się później okazało) piekła fantastyczną szarlotkę, jednakże siłę jej charakteru doceniłyśmy dopiero jakiś czas później.

– Iwona, żyjesz? – Moje rozmyślenia przerwało nawoływanie Kasi.

– Już idę – krzyknęłam, wciąż stojąc w drzwiach i patrząc, jak Hela truchcikiem kieruje się w stronę domu Puchaczowej, kołysząc tandetną torebką. – To jest kobieta, która wie wszystko – westchnęła Kasia, kiedy wróciłam na taras.

– Prawdziwy Kurier Zaułkowski – zażartowała Emilia, strzepując okruszki ciastka ze swojej sukienki.

Była dzisiaj ubrana tak, że z powodzeniem mogłaby grać panią wiosnę. Jasnozielona prosta sukienka, buciki na koturnie i kilka bransoletek z rzemyków w kolorach od ciemnozielonego po żółty. Do tego rozpuszczone włosy. Tylko tyle trzeba było, żeby wyglądała szalenie kobieco. Oczywiście całość psuły dwie plamy na brzuchu, bo zdążyła ubrudzić się sokiem, który u mnie piła. Takie plamy były jednak u niej czymś zupełnie naturalnym i należało ich po prostu nie dostrzegać. Emilia często niechcący coś na siebie wylewała albo przypadkiem opierała się o coś, co bardzo brudziło. Jeśli jakaś szklanka miała pęknąć, to na pewno działo się to wtedy, gdy ona trzymała ją w ręce. Jeśli nad maszerującym pochodem leciał jakiś ptak, to na sto procent trafił odchodami właśnie w Emilię. Ta kobieta emanowała urokiem, ale też była kwintesencją pechowca.

– Mimo wszystko lubię ją – powiedziałam. – To fajna babka.

– Och, my też ją lubimy, chociaż czasami bywa zbyt natrętna.

Chciałam usiąść, ale znów zadzwonił dzwonek do drzwi.

– Może czegoś zapomniała. – Wróciłam do środka.

Tym razem na ganku stała Paula. Była ubrana w najbardziej obcisłe legginsy, jakie kiedykolwiek widziałam. Przez myśl przemknęło mi pytanie, czy te spodnie da się ściągnąć z ciała bez zrywania razem z nimi skóry. Górną część jej ubioru stanowił różowy top z gigantycznym dekoltem, ledwo zakrywający niebezpiecznie płytki biustonosz.

– Masz najnowsze plotki! – stwierdziła, wchodząc do środka bez zaproszenia.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Widziałam Helę Wąs, jak od ciebie wyszła i poleciała w stronę domu tej drugiej stukniętej staruchy. A że Wąsowa jest zawsze najlepiej poinformowana i niedzielenie się nowinami bardzo ją męczy, więc wywnioskowałam, że przekazała ci już wszystkie wiadomości.

Miałam ochotę wykopać ją za drzwi, lecz zauważyła już Kasię i Emilię, które z ciekawości weszły do środka z tarasu, i ruszyła w ich stronę.

– O, widzę, że jest u ciebie cała ekipa. A ja przyszedłam z rachunkiem z pralni. – Paula posłała dziewczynom sztuczny uśmiech. – A więc co wiecie o tym truposzu? Znaleźli go w końcu czy nie?

Emilka w kilku zdaniach powtórzyła jej to, czego dowiedziałyśmy się od Heli.

– Wreszcie zaczyna się robić ciekawie. – Paula kręciła się po moim salonie, stukając głośno obcasami. – I bardzo dobrze. Bo wionie tu nudą.

Nie chciałam wnikać, czy ma na myśli osiedle, czy konkretnie mój dom.

– Wątpię, żeby trup był tego samego zdania – stwierdziła cierpko Emilia.

– E tam, trup. – Paula niecierpliwie machnęła ręką. – Jemu to już zwisa i powiewa. Najważniejsze, że pojawią się nowi ludzie! Może ten detektyw będzie niezwykle przystojny? Na przykład jak Brad Pitt?

– Co wy macie z tymi facetami? – powiedziałam. – Interesuje was tylko, jak detektyw będzie wyglądał, a nie to, czy uda mu się rozwiązać sprawę. Żenujące!

– Iwona ma rację – poparła mnie Emilia po krótkim namyśle. – Traktujemy tego detektywa strasznie przedmiotowo. To znaczy Paula i Hela tak go traktują. Ja troszkę mniej.

– Jak to mniej? A więc ty też? – zapytałam, unosząc brwi.

– No co? Też jestem samotna. Mam prawo szukać potencjalnego partnera. Brakuje mi tego. Wy wieczorami macie swoich mężów. A ja? Wiecznie sama...

Paula krytycznie zlustrowała Emilię.

– W takich ciuchach chcesz poderwać prawdziwego faceta? – prychnęła. – Wyglądasz jak dziewczyna wybierająca się na piknik do zakonnicy, gdzie najbardziej ekscytującym wydarzeniem będzie czytanie litanii do którejś ze świętych. Na głos.

– Dzięki serdeczne – rzuciła Emilia z obrażoną miną.

– Czego ty od niej chcesz? Przecież Mila wygląda super! – Kasia broniła koleżanki. – Ma świetną figurę.

– Ale figura to nie wszystko. – Paula wzruszyła ramionami. – Gdybyś zakonnice ubrała w seksowne ciuchy, odpowiednio uczesała i zrobiła im makijaż, to połowa z nich złamałyby niejedno męskie serce. Jezus pewnie też byłby szczęśliwszy, widząc coś więcej niż czarne, workowate habity.

– Tak, wyślij na miasto zakonnice ubrane jak panny puszczalskie. Niech szwendają się po ulicach ze złożonymi do modlitwy rękami i bogobojnym wzrokiem wzniesionym ku niebu. Na pewno w ten sposób przemówią do duchowej sfery każdego mężczyzny.

Kasia najwyraźniej miała własne zdanie na ten temat. I bardzo dobrze!

– Te workowate habity mają właśnie po to, żeby mężczyźni na nie nie lecieli – tłumaczyła Emilia.

– I to jest myślenie do dupy, za przeproszeniem – uniosła się Paula. – Jakby na te zakonnice lecieli inni faceci, to Jezus może też zwróciłby na nie wreszcie uwagę.

– Zejdźcie już z tych zakonnicy. – Chciałam zmienić temat, gdyż lada chwila mogła wybuchnąć pomiędzy nimi prawdziwa wojna religijna. – Niech lepiej zostaną w habitach i służą Bogu za murami klasztorów, okej? To ich sprawa, a nie nasza.

– Czyli niewiele wiecie o tym seksownym detektywie, który ma się pojawić na naszej ulicy? – wróciła do poprzedniego tematu Paula.

– Po pierwsze nie wiemy, kiedy i czy w ogóle się pojawi – powiedziałam z naciskiem. – Po drugie nikt nic nie mówił na temat jego seksowności. Może przecież być stary, opryskliwy i nieprawdopodobnie wredny.

– Oj, widzę, że chyba miałaś do czynienia z detektywami – zaśmiała się Kasia. – Zresztą nikt nie powiedział, że „detektyw” oznacza mężczyznę.

– Ciągłe gadacie tylko o tym, czy detektyw będzie przystojny. Jakie będzie miał oczy, sylwetkę, kaloryfer. A przecież ten facet nie przyjeżdża tutaj na podryw, tylko do pracy – zirytowałam się. – Zachowujecie się jak nabuzowane nastolatki! Chłopa wam brakuje czy jak?

– Oooo. – Paula wydeła wargi. – Najwyraźniej nie zauważyłaś, że też jestem sama!

– No nie wiem! Podobno co chwilę pod twoim domem można spotkać innego adoratora. Najwyraźniej męskiego zainteresowania ci nie brakuje!

– To nie twoja sprawa – odcięła się Paula.

– Naprawdę nie interesuje cię, jaki będzie ten detektyw? – zapytała Emilia.

– Ani trochę – powiedziałam dobitnie. – Byleby tylko zrobił to, co ma zrobić. I tyle. Może mieć nawet trzy jądra i cholerne afro wokół członka. Mam to gdzieś!

– Ja nie przesłabym obojętnie koło kogoś takiego – rozmarzyła się Paula. – Zwłaszcza jeśli chodzi o rozmiary afro...

– Cisza! – Uniosłam rękę do góry. – Koniec tematu!

– Bardzo nerwowo reagujesz na naszą babską rozmowę. – Głos Pauli był nad wyraz spokojny. – Można to wytłumaczyć tylko na dwa sposoby.

Wywróciłam oczami.

– Lepiej już nic nie mów – powiedziałam ostrzegawczym tonem. – Dla własnego dobra.

– Jakie? – Zainteresowały się dziewczyny.

– No dajcie spokój! – Czułam, że ta rozmowa zmierza w złym kierunku.

– Albo nasza Iwonka ma tak beznadziejnego faceta, że czuje się notorycznie nieusatysfakcjonowana od co najmniej kilku lat... – zaczęła tłumaczyć Paula.

– Możesz się zamknąć? – Staralam się jej przerwać.

– ... albo wręcz przeciwnie. Na pozór spokojny pan Tomek jest w łóżku prawdziwą seksmaszyną!

Wzięłam głęboki wdech, żeby trochę się uspokoić. Nie lubiłam kłótni, zawsze starałam się godzić ze sobą zwaśnione strony. Uważałam się za osobę otwartą i chętnie rozmawiającą na większość tematów. Wyjątkiem były sprawy łóżkowe. Nie czułam potrzeby dzielenia się z przyjaciółkami, nawet najlepszymi, informacjami o tym kiedy, gdzie i jak. Możecie penetrować wszystkie aspekty mojego życia, ale wara od mojego łóżka i znajdującego się w nim Tomeczka! To prosta zasada. Jednym z ważniejszych elementów naszego człowieczeństwa jest możliwość zachowania niektórych części życia tylko dla siebie, utrzymania pewnych emocji w tajemnicy tak, by były dostępne jedynie osobom, z którymi ich doświadczyliśmy i które będą oceniać je tak jak my. Dla mnie sprawy seksu należały właśnie do tej sfery tabu. Tymczasem moje przyjaciółki najwyraźniej miały inne zdanie. Ku mojemu zaskoczeniu zaczęły bezpretensjonalnie poruszać tematy intymne!

– Mąż Iwony ma duże stopy i dość spory nos – ciągnęła Paula.

– I co z tego? – Wzruszyłam ramionami, starając się utrzymać obojętną minę.

– To z reguły jest wyznacznikiem dużego członka – stwierdziła Paula takim tonem, jakby rozmawiała o rozmiarach pomidorów na sklepowej półce. – Podobnie jak szerokie biodra u kobiety zawsze kojarzyły się facetom z płodnością.

I co teraz odpowiedzieć? Jeśli zaprzeczę, Paula rozpowie wszystkim, że Tomek nie jest odpowiednio dobrze wyposażony. Nie daj Boże, by taka informacja do niego dotarła! Udusiłby mnie za to. Jeśli z kolei przyznam jej rację, mogę niepotrzebnie zainteresować tą kwestią inne kobiety. Taka Paula na przykład nie odczepi się od mojego męża, dopóki nie przekona się na własne oczy, jak hojnie obdarzyła go natura!

Zdenerwowałam się i nieopatrznie zahaczyłam łokciem o stojącą na brzegu lady plastikową miseczkę z jogurtem, którego nie dojadł Benek. Trochę jogurtu wylało się na podłogę. Bez słowa złapałam ścierkę i zabrałam się za wycieranie plamy.

– Iwka chyba woli zostawić tę informację dla siebie. – Emilia zauważyła moje zażenowanie.

– Właśnie – odpowiedziałam z ulgą, ciesząc się, że choć jedna z moich przyjaciółek jest w stanie mnie zrozumieć i poprzeć.

– Ale ty mi nie wyglądasz na doświadczoną w pieszczotach – drażyła dalej Paula.

– Co masz na myśli? – warknęłam.

– Ilu miałaś wcześniej facetów? Wyglądasz na taką, którą dziewictwa pozbawił dopiero mąż – wypaliła Paula z triumfalną miną. – Nie mam racji?

– Nie! – Ścierałam jogurt z takim impetem, że omal nie złamałam paznokcia na fudze między kafelkami.

– Miałam przed Tomkiem kilku facetów, ale spałam tylko z jednym. Inni po prostu nie byli tego warci. Jezu, Paula, możesz wreszcie dać spokój?

– Wow – zaśmiała się Paula. – I był dobry?

– A co ci do tego? Nie ma go już i tyle.

– A co się stało? – Niespodziewanie do rozmowy włączyła się Kasia. – Rozstaliście się?

– Poznałam Tomka. – Wzruszyłam ramionami. – Tamten był przystojniejszy i w ogóle. Ale nie byłby dobrym mężem.

– Czyli pan sexy – wyjaśniła za mnie Paula. – Dobry w łóżku, ale słaby w życiu codziennym. Trafiam na takich bez przerwy.

– Bo łazisz półnaga – odgryzła się wreszcie Emilia.

– Ale był przystojny? – dopytywała Paula. – Jak miał na imię?

– Krzysztof. – Usłyszałam, jak wypowiadam to imię marzycielskim tonem. Szybko zacisnęłam wargi. –

I tak. Był świetny we wszystkim, ale Tomek za to był...

– Bardziej stabilny emocjonalnie. Wiedziałam! – Paula nadal triumfowała. – Boisz się ryzyka.

– Jest dobrze tak, jak jest teraz – broniłam się z coraz większą złością.

Jeszcze jedno zdanie i wywalę tę kretynkę za drzwi. I to z hukiem!

– To całkiem logiczne. – Paula nie przeczuwała, że zaraz może zginąć z mojej ręki. – Do życia codziennego i płodzenia dzieci potrzebny jest facet pantoflarz. Taki, co zajmie się zarabianiem na dom, kocha dzieci i żonę nad życie oraz myśli, że w łóżku też jest dobry.

– Dość tego. – Nie wytrzymałam. – Krzyśka nie ma i nie będzie. Wyjechał daleko stąd i jestem pewna, że już nigdy więcej go nie zobaczę! Koniec tematu. Jestem z Tomkiem stuprocentowo szczęśliwa i nawet półnagi facet z kaloryferem na brzuchu tego nie zmieni. Nie ma takiej siły! FINITO!

W tym momencie po raz kolejny zadzwieczał dzwonek do drzwi.

– Otworzę. – Kasia była najbliżej drzwi.

– To jest naprawdę otwarty dom. – Emilia z podziwem pokręciła głową.

– Tylko tak dzisiaj jakoś... – odparłam, płucząc ścierkę. – Swoją drogą ciekawe, kogo tym razem niesie...

– Dzień dobry, chcemy zadać kilka pytań o kości, które pani znalazła. – Zanim zobaczyłam, kto przyszedł, usłyszałam niski, przyjemny głos.

Brzmiał znajomo, ale nie mogłam skojarzyć go z żadną osobą.

– Och, to nie ja znalazłam kości, tylko moja przyjaciółka Iwona – zaczęła tłumaczyć Kasia.

– To dziwne. – Do rozmowy wtrącił się drugi męski głos, znacznie wyższy i mniej przyjemny. – Podano nam ten adres. Szukamy pani Iwony Winiarskiej.

Paula, słysząc męskie głosy, rzuciła się w kierunku drzwi.

– Bo to jest dom Iwony. – Wypięła piersi, chcąc zwrócić uwagę na wszystkie swe wdzięki. – Zapraszam do środka. Trafiliście panowie akurat na kobiece spotkanie.

Zabrzmiało to tak zbereźnie, jakby miała zupełnie coś innego na myśli. Przeprowadziła gości do salonu

z miną „ale ciacha znalazłam na progu”. Kręciła przy tym biodrami tak intensywnie, jakby właśnie postanowiła poćwiczyć salsę.

– Dzień dobry paniom. – Usłyszałam za plecami. – Która z pań to Iwona Winiarska?

– To ja – powiedziałam, wycierając dłonie suchą ścierką i odwracając się od zlewozmywaka. – Słucham uprzejmie. Co panowie chcą wiedzieć?

Odpowiedziała mi cisza. Dopiero wtedy podniosłam wzrok i go zobaczyłam. Poznałam natychmiast te ciemnobrązowe oczy, śniadą twarz i lekko kręcone włosy, niegdyś czarne, teraz przetkane cieniutkimi nitkami siwizny.

– Ożeż... – westchnęłam, na szczęście tak cicho, że nikt tego nie usłyszał.

Przez milisekundę łudziłam się, że on mnie nie pozna. W końcu nie widzieliśmy się kilkanaście lat, a ponoć kobiety po ślubie i po urodzeniu dzieci bardzo się zmieniają...

– Iwona – powiedział, nie odrywając ode mnie oczu. – To ty.

A więc poznał!

Wspomnień czar

Nie spodziewałam się, że po tylu latach na widok mojego byłego chłopaka będę czuła tak wiele rzeczy naraz. Mieszanina radości, ekscytacji, strachu, złości, zawodu i podniecenia miała większą moc od koktajlu Mołotowa.

Zachowałam się jak nieopierzona nastolatka, która na widok chłopaka, który jej się podoba, zapomina ojczyściego języka i jest w stanie wycisnąć z gardzieli jedynie pojedyncze dźwięki typu eeee, aaaa czy yyyeeeyy. Policzki piekły mnie jak cholera, pod pachami poczułam nieprzyjemną wilgoć. Z zażenowaniem odkryłam, że wilgotno zrobiło się też w innych rejonach mojego ciała i ze zgoła innych powodów. To żalosne, że ciało współczesnej, inteligentnej kobiety może reagować na widok odpowiedniego samca w sposób tak nieprawdopodobnie prymitywny! Pomyślałam odpowiedniego? Błąd! Cholera jasna! Błąd! Kretynka ze mnie!

Krzysztof Litewski był odpowiednim facetem jedenaście lat temu, póki nie okazał się zwyczajnym... dupkiem. Patrzyłam wtedy na życie i chłopaków jak typowa nastolatka – naiwnie. To przecież Tomek był teraz moim ideałem – fantastycznym ojcem, mężem i kochankiem. Gdybym mogła sama sobie przywalić w łeb młotkiem, niechybnie bym to uczyniła, byle tylko pozbyć się kosmatych myśli.

Kiedy Krzysztof wraz z drugim policjantem, którego imienia już nie byłam w stanie zanotować w moim kurzym mózdzku, opowiadali o toczącym się śledztwie dotyczącym znalezionej w krowim łańcuchu kości, moje myśli błądziły gdzie indziej, w kierunku, którego nigdy nie chciałabym zdradzić doświadczonej w seksualnych przygodach Pauli. Myślę, że nawet jej szczeka opadłaby niżej niż głęboki dekolt bluzki. Krzysztof był mistrzem pettingu i to właśnie on jako pierwszy doprowadził mnie do stanu, kiedy zapomniałam o całym świecie. Bez owijania w bawełnę – taka była prawda. Nic więc dziwnego, że w trakcie rozmowy na temat kości, wpatrując się w jego twarz, zaczęłam sobie przypominać nasze wspólne chwile, kiedy to... Dobra, to nie czas na mokre wspomnienia, zbij się do kupy, głupia idiotko – skarciłam się. Ale te myśli... Chryste Panie... Nie byłam w stanie oprzeć się tym odczuciom. Moje ciało wręcz krzychało, że chce znów przeżywać takie chwile. To było anormalne, wręcz chore! Zboczone!



– Chciałbym się z tobą jeszcze raz zobaczyć i porozmawiać – powiedział Krzysztof.

Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności dziewczyny wyszły zaraz po przyjeździe policjantów. Nawet partner Krzyśka zostawił nas samych, bo chciał (jak to określił) odprowadzić sąsiadkę Paulę. Po dziesięciu minutach od ich przybycia zostałam z moim eks sama.

Gdyby komuś przyszło do głowy zmierzyć mi wtedy ciśnienie, prawdopodobnie jego wartość przekroczyłaby wszelkie znane ludzkości skale. Falę krwi, która przed sekundą odwiedziła mój mózg,

poczułam w okolicy lewej stopy, kiedy Krzysiek, mówiąc coś kompletnie w tym momencie dla mnie niezrozumiałego, podszedł jeszcze bliżej. Poczułam piżmowy zapach jego ciała zmieszany z przyjemną wonią wody toaletowej. Mojej ulubionej. Niesamowite! Wciąż jej używał... Gdy podszedł jeszcze bliżej, nadal coś opowiadając, żołądek skoczył mi do gardła, a krew z serca odpłynęła gdzieś w odległe okolice drugiej pięty. Mój Boże, nic się nie zmieniło! Pomimo upływu lat, w nim wciąż drzemało to coś...

– Lepiej się do mnie nie zbliżaj – powiedziałam drżącym głosem.

– Dlaczego? – Jego jak zwykle ironiczny ton był teraz przełamany odrobiną zawodu. – Nie chcesz ze mną porozmawiać? Coś się stało?

– Mam męża – broniłam się.

– Gratuluję. Teraz go nie ma – zauważył przytomnie.

– Ale niedługo wróci. – Wyciągnęłam przed siebie ręce, jakbym chciała się przed nim ochronić. – Wraz z dwójką naszych dzieci. To znaczy moich i Tomka.

Odniosłam wrażenie, że Krzysiek zaraz wybuchnie śmiechem.

– Poczciwy, stary Tomaszek. – Westchnął patetycznie. – Na pewno jest lepszym mężem, niż byłbym nim ja. Ale czy ten kujonek wie, że na trzy czwarte długości palca zaczynasz rozkosznie wzdychać? Pewnie jeszcze tego nie odkrył.

Po tak odważnej odpowiedzi opadła mi szczeka. Przysunął się do mnie jeszcze bliżej. Mogłam dłonią dotknąć jego twarzy. Aby tego nie zrobić, zacisnęłam palce na blacie kuchennym, o który byłam oparta. Niestety uznał tę pozycję za prowokacyjną. Jego ręce błyskawicznie znalazły się pod moją koszulą. Jego palce, tak samo długie i giętkie jak kiedyś, choć nieco bardziej szorstkie, niż zapamiętałam, szybko odnalazły ukryte pod biustonoszem sutki i zacisnęły się na nich lekko, wrywając ze mnie pełne tęsknoty westchnienie.

– Powinieneś już iść – jęknęłam, łapiąc z trudem powietrze.

– Pracuję w policji – przypomniał mi, masując okrężnymi ruchami ściśnięte do bólu brodawki. – Doskonale wiem, gdzie jest teraz twój ślubny. Wciąż tkwi z dziećmi na basenie. Zostanę poinformowany, gdy tylko wsiądzie do auta. Zdamy. Nawet nie wiesz, jak długo na to czekałem...

Ostatni wyraz wyszeptał, przyciskając swoją twarz do mojej szyi. Poczułam za uchem jego ciepły oddech, co sprawiało, że miałam gęsią skórę nawet na piętach.

– Od lat marzyłem, żeby to powtórzyć...

Nie wiedziałam, jakim cudem wylądowałam z nim w sypialni. Bluzeczka opadła na komodę z lustrem, wygodne, sportowe spodnie zaginęły gdzieś w okolicy korytarza na piętrze. Reszta bielizny też wyparowała. Były tylko jego dłonie. Ciepłe, niewiarygodnie miękkie i szalenie podniecające. Jego usta łapczywie szukały moich ust. Delikatnie nadgryzały wargi i kąsały szyję. Miałam ochotę krzyczeć z rozkoszy. Wreszcie przystąpił do moich ulubionych pieszczot: ssąc moje sutki, skierował dłoń pomiędzy moje uda. Palce Krzysztofa szybko znalazły właściwe miejsce i lekko napierając, zaczęły penetrować miękkie wnętrza. Żaden vibrator świata nie byłby w stanie tak szybko doprowadzić kobiety do orgazmu. Wiłam się w ekstatycznym uniesieniu, nie wiedząc, czego bardziej pragnę – żeby przestał czy wręcz przeciwnie – by dotykał mnie głębiej i głębiej. Pomyślałam, że zaraz eksploduję. Zębami złapałam jego ucho i zaczęłam je ssać, dociskając głowę kochanka do swojego ciała. Nagle mój umysł zalała fala ostrego światła. Przemknęło mi przez myśl, że albo oto nadciąga orgazm stulecia, albo z ekstazy dostałam wylewu i widzę owo enigmatyczne światło w tunelu.

– Kochanie, co się dzieje?

Czy on zwariował? Pyta, co się dzieje? Teraz? Nie puszczając miękkiego płatka ucha, zmusiłam się do otwarcia oczu.

– Dlaczego dusisz się poduszką?

Dopiero wtedy zaczęłam wracać do rzeczywistości. Byłam w swojej sypialni i leżał przy mnie Tomek. Rękę wciąż trzymał na włączniku lampki nocnej. Patrzył na mnie z niepokojem. Zorientowałam się wtedy, co robię. Leżałam wygięta z podciągniętą koszulką nocną i skotłowaną pomiędzy nogami pościelą, a do twarzy dociskałam swoją własną poduszkę. Jeden z jej rogów był kompletnie mokry – widocznie podczas tego erotycznego snu uznałam go za ucho Krzysztofa i ssałam jak głodne niemowlę smoczek. Ale żenada! Pomiedzy udami wciąż czułam żar. Ucieszyłam się jednak, że to był tylko sen, a ja wciąż mogę się uważać za wierną i kochającą żonę.

– Coś głupiego mi się przyśniło – bąknęłam, układając poduszkę tak, jak powinna leżeć, czyli pod głowę. – Zgaś światło.

Tomek zrobił to, o co go poprosiłam, po czym odruchowo przytulił się do mnie.

– Skarbie, aleś ty gorąca – powiedział ze zdziwieniem. – To był chyba bardzo fajny sen.

– E tam... – bąknęłam. – O sprzątaniu.

– No nie wiem... – odparł bez przekonania. – Co w tym śnie sprzątałaś?

– Myłam wannę. – Tylko to mi przyszło do głowy. – Szorowałam plamy bezdennej głupoty.

Tomek przez chwilę zastanawiał się nad moją pokrętną odpowiedzią. Widocznie doszedł jednak do wniosku, że bredzę przez sen, bo nie drażył tematu.

– Cokolwiek to było, chciałbym, byś częściej miewała takie sny, bo jesteś szalenie rozgrzana – powiedział, wtulając się we mnie jeszcze mocniej.

Chłopie, gdybyś tylko wiedział, o czym śniłam, to wolałbyś połknąć własny język, niż wypowiedzieć te słowa.

Tomek lubił nasz seks. Wystarczył tylko znak z mojej strony, a on już był gotów do działania. Teraz też tak było. Gdy się przytulił, poczułam jego twarde, pulsujące przyrodzenie torujące sobie drogę pomiędzy moimi udami. Zazwyczaj lubię wcześniej trochę się z nim popieścić, poprzytulać, ale tym razem rzeczywiście byłam gotowa. Szybko znalazłam się na górze.

Tomek był przeschęśliwy, kiedy nadałam odpowiednie tempo. Ciężko oddychając, wcisnął dłonie pod moja koszulkę i dopieszczał piersi, ściskając je rytmicznie. Gdy wyprężyłam się w łuk, on również eksplodował. Mocno chwycił mnie za biodra i jednym silnym ruchem wbił się we mnie aż po jądra.

Zasypiałam w jego objęciach, mając lekkie wyrzuty sumienia. Śniłam o kimś innym, a niczego nieświadomy Tomek posłużył tylko jako dopełnienie marzeń sennych w realnym świecie. W końcu zasnęłam wtulona w ciepłe ciało męża.

Następnego dnia starałam się nie myśleć o nocnym zajściu. Mimo to poczułam ogromną potrzebę podzielenia się z kimś moim snem i związanym z nim przeżyciem. Nigdy nie lubiałam się zwierzać z moich intymnych spraw, ale teraz problem mnie po prostu przerósł. Potrzebowałam wyrzucić z siebie wszystkie ciężące mi myśli. Usłyszeć od drugiej osoby, że mi nie odbija. Ze wszystkich mieszkających na Brzozowym Zaułku przyjaciółek największe zaufanie miałam do Kasi, więc gdy tylko nadarzyła się odpowiednia okazja (Tomek z chłopakami poszli grać w tenisa, a jej mąż wybrał się z małą Michaliną do kina), natychmiast postanowiłam ją odwiedzić.

Kasia właśnie przygotowywała obiad dla swojej rodziny. Obsmażała jakieś fragmenty wołowiny obtoczone w mące i drobno posiekanych ziołach. Obok czekało mięso mielone przygotowane na kotlety na kolejne dwa dni. Kasia opracowała taktykę gotowania co trzeci dzień, gdy urodził się Adaś. Jej zdaniem można było w ten sposób zaoszczędzić mnóstwo czasu. Jak już tkwisz w kuchni, zrób zapasy i będziesz miała martwienie się o obiady z głowy przynajmniej na najbliższe trzy dni.

W sumie ja także powinnam się zająć gotowaniem. Przed wyjściem wrzuciłam udka z kurczaka oraz obtoczone masłem i czosnkiem ziemniaki w osobnym worku do piekarnika. Ustawiłam odpowiednią

temperaturę i czas pieczenia. Zamykając za sobą drzwi wejściowe do domu, podziękowałam łaskawej Opatrzności za to, że przyszło mi żyć w czasach, kiedy można tak ustawić odpowiedni sprzęt domowy, by sam wykonywał chociaż część zleconych mu prac.

– Iwona, teraz to już nie wiem, co było snem, a co nie. – Tak Kasia skwitowała moją, muszę przyznać, nieco chaotyczną opowieść o doznaniach seksualnych ostatniej nocy. – Jakim cudem zdążyłaś przespać się z tym policjantem, skoro on wyszedł niemalże razem z nami?

– Kaśka! – krzyknęłam ze złością. – Błagam cię, powiedz mi, że tylko udajesz taką kretynkę!

Przyjaciółka zmierzyła mnie obrażonym wzrokiem i wróciła do mieszania mięsa z przyprawami. Obok niej mały Adaś, umoszczony w stojącym na ladzie kolorowym bujaku, wesoło machał rączkami, wydając z siebie co chwilę radosne odgłosy.

– Przepraszam – powiedziałam cicho. – Po prostu mam totalny mętlik w głowie. Pierwszy raz w życiu przydarza mi się coś takiego! To było tak realne. Nie mogę się pozbierać po tym wszystkim.

– To akurat widzę – skwitowała.

– Tak naprawdę, czyli w realu, Krzysiek wyszedł zaraz po was, ale zanim wrócił Tomek z dziećmi.

– Czyli teoretycznie czas na figo-fago był. – Kasia uśmiechnęła się chytrze.

– Kacha! Zaraz ci nakopię! Przysięgam!

– Przepraszam – zaśmiała się. – Mam okres, więc sama wiesz, już mam ochotę dorwać mojego Marcuszka, ale...

– Tak, tak. Rozumiem – przerwałam jej, nie kryjąc zniecierpliwienia.

W domu zostawiłam mięso i ziemniaki piekące się w piekarniku, które wymagały kilkakrotnego obrócenia, żeby z jednej strony nie zrobiły się suche i czarne, a z drugiej nie były wpółsurowe. Poza tym Tomek prosił o sałatkę *vinaigrette*, a chłopcy zazwyczaj do kurczaka jedli mizerię, którą też należało dopiero przygotować.

– A tak na poważnie, w snach można marzyć o kimś innym. Ważne, żeby w prawdziwym życiu być wiernym swojemu jedynemu. – Głos rozsądku Kasi przerwał moje rozmyślenia.

– Jak się ma dwójkę małych dzieciaków, to człowiekowi mija ochota na seks małżeński, że o tym pozamałżeńskim nie wspomnę – wyznałam cierpkim tonem.

– To prawda – przyznała, przygotowując butelkę dla Adasia.

Małec czekał cierpliwie na swoje jedzenie.

– Mimo wszystko mam wyrzuty sumienia – jęknęłam, pomagając odruchowo koleżance w przygotowywaniu obiadu. Kiedy ona karmiła małego, ja obtoczyłam przygotowywane na jutrzejszy dzień mielone w panierce i ułożyłam je na talerzu. Teraz wystarczyło tylko wrzucić kotlety na gorący olej, zapakować do garnka, żeby się poddusiły, a później przed podaniem zaprawić gęstym sosem pomidorowym.

– E tam, bzdury. – Kasia machnęła wolną ręką, drugą nadal karmiąc Adasia. – Ja też miewam takie sny i wcale nie czuję z tego powodu żadnych specjalnych wyrzutów sumienia.

– To znaczy jakie?

– A nie wygadasz nikomu? – spytała podejrzliwym tonem.

– Kaśka! – uniosłam się. – To ja pierwsza przyszedłam do ciebie z informacją, że śnię o seksie z byłym, który nagle znowu pojawił w moim prawdziwym życiu. Cholera jasna! Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak ta sytuacja potwornie wszystko skomplikowała!

– W porządku. Widzę, że ten sen naprawdę cię dobił. – Oparła się o ladę w kuchni i odłożyła butelkę Adasia.

Przygnębiona tą całą idiotyczną historią usiadłam na jednym z wysokich barowych krzesełek i wpatrywałam się w przyjaciółkę ponurym wzrokiem.

– Żebyś wiedziała – westchnęłam. – Może nie o sam sen chodzi, ale o to, że sprawił mi tyle przyjemności. Nie potrafię przestać o nim myśleć. Krzysiek spowodował to, że miałam ochotę złapać księżyc w objęcia.

– Ciekawe porównanie. – Pokiwała głową. – Każdy z nas ma sny, którymi woli się nie dzielić z tą drugą połówką, żeby nie było potem fochów, sprzeczek i innych przykrych rzeczy.

– Serio? – Podparłam brodę ręką. – No to co ci się śni? Masz podobne doświadczenia? Gadaj!

– Nasz ksiądz – powiedziała przyciszonym głosem.

Wprawdzie w domu nikogo nie było, ale Kasia najwyraźniej wołała się zabezpieczać.

– Że co? A niech mnie! Który? – Wytrzeszczyłam oczy ze zdziwienia. – Ten stary, gruby, z pożyczką na włosach?

– Nie. Aż tak źle nie jest. Na szczęście. Ten przystojny z czarną bródką i brązowymi oczami.

Próbowałam go sobie przypomnieć. Wprawdzie byłam w tutejszym kościele może ze dwa razy, ale jakoś nie zauważyłam przystojnego księdza. Owszem, jeden nosił czarną bródkę, ale był krępy i miał wiecznie niezadowoloną minę. Nigdy nie stałam na tyle blisko, by zobaczyć kolor jego oczu, więc nie mogłam stwierdzić, czy to akurat o niego chodzi.

– No więc śni mi się, że on przychodzi do mnie do domu. Ja oczywiście jestem sama. On zamyka za sobą drzwi, po czym z rozmachem zdiera z siebie sutannę. Guziki lecą na wszystkie strony. Facet pod spodem jest kompletnie nagi i no, wiesz, gotowy do działania. Ja do niego podbiegam, on łapie mnie za kolano, unosi nogę do góry i... sama wiesz. Nadziewam się na dumnie sterczące przyrodzenie...

Kompletnie zaskoczona wpatrywałam się w jej twarz. Nie miałam pojęcia co odpowiedzieć.

– No wiesz, o co mi chodzi, prawda? – powtórzyła pytanie nieco zniecierpliwionym tonem.

– A niech mnie... – Tylko tyle byłam w stanie z siebie wydusić.

– I on robi to w tak niesamowicie seksowny sposób, dociskając mnie w pasie...

– Nadziewa... – powtórzyłam głupio.

– Chędoży, babo – poprawiła mnie. – Aż wióry lecą. Czasami się zastanawiam, czy da się tak ustać w trakcie...

– Wybacz, jakoś nie sprawdzałam.

– Marek jest dość wysoki, więc chyba byłoby trudno...

– Dobra, stop! – Uniosłam ręce. – Kaśka, ja naprawdę wolę sobie nie wyobrażać, jak próbujesz z Markiem odtworzyć pozycję ze snu.

Przez krótką chwilę wpatrywała się we mnie z lekkim zdziwieniem.

– Tak, więc ten sen mam od czasu do czasu – powiedziała wreszcie. – Tylko kochamy się w różnych konfiguracjach. Niekiedy on rzuca mnie na fotel, raz przewiesił mnie przez balustradę na balkonie. Na szczęście przez tę od strony ogrodu, a nie od ulicy. Nie wiem, czy byłabym w stanie znieść upadek we śnie...

– I Marek o tym wszystkim wie?

– No pewnie – ponownie podała Adasiowi butelkę z mlekiem – ale dlatego, że wie też, że ten ksiądz tak naprawdę mi się nie podoba.

– Na pewno ci się nie podoba? – zapytałam, widząc jej minę.

– Aleś ty niekumata dzisiaj – zdenerwowała się. – Myślę czasami o nim, odkąd mi się przyśnił, ale Marek o tym nie wie. I niech tak zostanie.

Przeczesalam palcami włosy, starając się jakoś ułożyć sobie w głowie te wszystkie dziwaczne wiadomości.

– A jak widzisz tego księdza, to myślisz o snach?

Kasia miękką pieluszką wytarła pucatą buzię malucha. Dzieciak przesłał jej słodki, bezzębny uśmiech.

– Staram się go nie widywać, bo coraz częściej myślę o tych przyjemnościach, jakie może mi zafundować. Że tak powiem...

W korytarzu trzasnęły drzwi.

– Jestem, skarbie. O, cześć Iwona. – Marek niósł torbę z zakupami. Za nim dreptała niezadowolona Michalina. – Kupiłem po drodze te pampersy i chusteczki, o które prosiłaś.

– Dziękuję, słoneczko. – Kasia ucałowała męża w nadstawiony policzek. – A pamiętałeś o maśle? Nie ma nawet tego do smażenia.

– Oczywiście. – Położył torbę na ladzie i zaczął wypakowywać zakupy. – Dla mojej żonki wszystko.

– A czemu Misia jest taka obrażona?

– Chciała lody – odparł Marek – ale powiedziałaś dzisiaj rano, że ma czerwone gardło, więc się nie zgodziłem. No i teraz jest śmiertelnie obrażona na tatusia.

– Dobra, kochani. – Zerknęłam na zegarek. – Muszę wracać do siebie i dokończyć obiad, zanim moi chłopcy wrócą. Mam nadzieję, że kurczak i pieczone ziemniaki nie zamieniły się kupki węgla.

– Trzymaj się. Do zobaczenia. – Kasia mrugnęła do mnie. – Aha, i miłych snów, moja droga.

Mażeńskie zaufanie

Reszta niedzielnego popołudnia minęła mi na codziennych zajęciach. Oprócz przygotowania poszczególnych posiłków, trzeba było uprasować Tomkowi kilka koszul z krótkim rękawem, bo miał umówione w pracy ważne spotkania. Później odrabiałam zadania domowe z Maksem. Matematykę rozwiązywał zawsze sam, ja tylko sprawdzałam jego obliczenia, za to język polski szedł mu jak po grudzie. Czytanie zaś było kompletną katastrofą. Aby to poprawić, codziennie siadałam z nim i czytałam książki, które w naszym mniemaniu mogłyby młodego zainteresować. Podsuwaliśmy mu *Tytusa*, *Romka i A'Tomka*, *Tajemnicę biblioteki*, nawet *Harry'ego Pottera*, którego ekranizację obejrzał z zachwytem. Wszystko na nic. Kiedy zaczynaliśmy czytać, Maksymilian wyglądał, jakby szedł na ścięcie.

– Dziecko, zaczęłeś właśnie trzecią klasę – tłumaczyłam. – Musisz płynnie czytać.

– Przecież czytam.

– Nie czytasz, tylko dukasz – poprawiłam go – i targujesz się ze mną o każdą linijkę. Wolisz nie grać na tablecie przez cały dzień, niż przeczytać dwie strony.

Maks nic nie odpowiedział, jedynie wzruszył obojętnie ramionami. Jakby w ogóle nie przejmował się tym, że zostanie klasowym analfabetą.

– Sam sobie wybiorę książkę i wtedy ją przeczytam – powiedział po chwili namysłu.

– Już raz dałam się na to nabrać. – Skrzyżowałam ręce na piersi. – A nawet dwa razy. Tak było z *Kajkiem i Kokoszem*, potem zaś z tą powieścią o rodzinie wampirów. Za każdym razem wymiękasz po kilkunastu stronach.

– Nieprawda. – Nachmurzył się. – Przeczytałem dwie księgi *Tytusa*, *Romka i A'Tomka*.

– Ale zażyczyłeś sobie, żeby kupić cały pakiet. To jest dwadzieścia pięć książeczek. Wiesz, ile to kosztowało?

– Wiem. Sto złotych. – Naburmuszył się.

– Właśnie. To dużo.

– Wiem o tym, ale z tą książką będzie inaczej. Sam znajdę ją w Internecie, ty mi tylko pomożesz zamówić, dobrze?

– W porządku – odparłam. – A co to za książka?

– Zobaczysz. – Uśmiechnął się do mnie tajemniczo. – Jest gruba.

Dokończyliśmy zadania z języka polskiego, później Maks wypełnił jeszcze jakąś tabelkę z angielskiego. Z tym wszystkim zeszło mi do godziny dwudziestej. Potem kolacja, kąpiel dzieciaków, układanie ich do snu, pakowanie plecaków, przygotowywanie śniadaniówek, szybki prysznic i wreszcie można było liczyć na zasłużony odpoczynek.

– Martwi mnie to czytanie Maksa – powiedziałam do Tomka, wcierając w dłonie nieco kremu.

Leżeliśmy w łóżku, Tomasz czytał jakąś gazetę sportową. Uniósł głowę znad lektury.

– To już załatwione – mruknął.

– Jak to załatwione? – Jego lakoniczna odpowiedź zaskoczyła mnie.

– Przyszedł do mnie w tej sprawie, kiedy brałaś prysznic. Pokazał, jaką książkę chce kupić, więc ją

zamówiliśmy. Tak więc temat zamknięty.

– Co to za książka? – Chciałam wiedzieć.

– Lepiej nie mówić. – Przewrócił stronę i starał się skupić na tekście.

– Pewnie z samymi obrazkami. – Spochmurniałam. – I to samochodowa.

– Gorzej. – Przewrócił kolejną kartkę.

– Jak to?

– To coś w rodzaju poradnika.

Uniósł głowę i zobaczył moje wyczekujące spojrzenie.

– Do *Minecrafta* – wyjaśnił krótko.

Wytrzeszczyłam oczy ze zdumienia.

– To w ogóle jest coś takiego?

– A żebyś wiedziała. I to po polsku. Przyzwoicie wydane. Coś jak album.

– Niemożliwe.

– Poważnie – zapewnił. – Sam byłem zaskoczony.

Nasze kochane dzieci miały ostatnio kompletnego fioła na punkcie tej gry. Żyły kanciastymi ludkami z *Minecrafta*. Chciały mieć to zainstalowane na tabletach, pecetach i Xboxie. Gra miała bardzo prostą grafikę, przypominającą tę sprzed wielu lat. Budowało się tam domy, ulice i wszystko, czego dusza zapagnie. O ile dobrze rozumiałam jej sens, trzeba wybudować sobie schronienie, zanim zapadnie noc, gdyż w przeciwnym razie można zostać zaatakowanym i zabitym przez jakieś zombie. Myślałam, że tylko moi chłopcy tak przeżywają tę grę, lecz okazało się, że większość matek ma podobny problem. Ich dzieci – nie ma znaczenia czy chłopcy, czy dziewczęta – również w to grały. W dodatku gra miała szereg innych wersji, udoskonaleń, wtyczek, więc zabawie nie było końca.

– Książka pewnie przyjdzie za dwa dni – powiedział Tomasz. – Co więcej, Maksymilian postanowił, że sam sobie za nią zapłaci. Jutro zostawi ci pieniądze na ten cel, bo zapewne ty odbierzesz ją od kuriera.

– Wszystko mi jedno, co to za książka. Oby tylko ją przeczytał. – Odłożyłam krem i poprawiłam sobie poduszkę. – Mam też nadzieję, że jest w niej choć odrobina tekstu. Sensownego.

– Ważne, żeby czytał sam – mruknął Tomek.

Wyciągnęłam rękę, by zgasić lampkę przy łóżku.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że wczoraj byli u ciebie policjanci? – zapytał nagle.

To pytanie musiało wreszcie paść. Nieświadomie czekałam na nie ze strachem, tak jak się czeka na grom po błyskawicy. Zatrzymałam rękę w połowie drogi do wyłącznika lampki.

– Jakoś mi wyleciało z głowy. – Starałam się mówić w miarę możliwości spokojnym głosem. – W sumie niczego ważnego nie chcieli.

– Wyleciał ci też z głowy fakt, że jednym z policjantów był Krzysiek Litewski? Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

A niech to! Jasna cholera! Zaniechałam udawania, że gaszę światło. Obróciłam się w jego stronę, robiąc niewinną minę. Chyba wyglądałam, jakbym cierpiała na zatwardzenie, bo Tomek zaniepokoił się.

– Boli cię coś?

– Strzyknęło w plecach. Może chodźmy spać?

Starając się ułożyć, rozpaczliwie grałam na zwłokę, by wymyślić jakąś sensowną odpowiedź. Tomek raczej nie był typem zazdrośnika, ale wyjątek stanowiła osoba Krzysztofa. Na jego widok dostawał szału. Nawet uprzedzał się do innych mężczyzn czy chłopców o tym imieniu. Pewnie dlatego, że po naszym rozstaniu Krzysiek uparcie przychodził do mnie, dzwonił i przysyłał kwiaty. Tak było przez prawie dwa lata.

– No więc? Opowiesz mi coś więcej?

Nie było szansy, żeby go zwieść.

– Nie ma czego opowiadać. – Wzruszyłam ramionami. – Przyszedł razem z takim drugim. Prowadzą sprawę tej nieszczęsnej kości, która się zaczepiła w łańcuchu krowy. Nie miałam im zbyt wiele do powiedzenia. Spisali informacje i poszli sobie. Nie wiedział, że ja tutaj mieszkam, ale to nie ma znaczenia.

– Ciekawe – mruknął podejrzenie słodkim tonem.

– Co takiego?

– Paula powiedziała mi, że zrobił na tobie ogromne wrażenie. Stwierdziła, że zdecydowanie wciąż czuć między wami ten, jak to określiła, magnetyzm.

– Paula to zidiociała nimfomanka! – rzuciłam ze złością. – Ona jest w stanie dopatrzeć się seksualnych podtekstów nawet w tak beznamiętnych sprzętach jak maszynka do mięsa.

– Podobno jest szalenie przystojny, a siwizna dodaje mu uroku – ciągnął dalej Tomek, naśladowując złośliwie głos Pauli.

– Szkoda, że tej kretynki tutaj nie ma, porozmawiałabym z nią sobie...

– Podobno wszystkim twoim koleżankom opadły szczęki...

– Szkoda, że ta idiotka nie jest facetem, bo niechybnie zrobiłabym z niej wałacha!

– Tembr głosu i chryпка świadczyły o pociągu...

– Jasne, jasne. Pociągu na Sybir! Właśnie tam powinna wyjechać na urlop nasza głupia sąsiadka. Może czterdziestostopniowy mróz ostudziłby jej wyobraźnię... Chociaż wątpię. Ona ma taki pociąg, że mogłaby pobudzić nawet trupa. Byleby miał coś twardego.

Tomek zmarszczył brwi, lecz nie dał się zbić z tropu.

– ... a policyjny mundur wspaniale podkreśla jego idealną sylwetkę – dodał, szczerząc zęby. – Aha, wspomniała jeszcze, że wyobraźnia sama podsuwa wyraźny obraz tego, co może znajdować się pod granatowym uniformem.

– Ha! – Wycelowałam palcem prosto w niego. – Jej wyobraźnia! To są właśnie jej myśli. Każdego faceta rozbiera wzrokiem. Kiedy ja składałam zeznania, ona pewnie w swoich wypaczonych wyobrażeniach lizała jego klatkę, kąsała pachwiny i ssała mu... sutki. Albo coś innego.

– Tego akurat nie powiedziała – przyznał – ale ciekawe, że tobie to przyszło do głowy.

Cholera jasna, znowu dałam się zapędzić w kozi róg. Tomek był mistrzem w prowadzeniu rozmowy w taki sposób, by przyprzeć mnie do muru.

– Biorąc pod uwagę to, co Paula mówiła wcześniej, łatwo się domyślić, jakie miała myśli – wypaliłam. – To cholerna, niewyżyta seksualnie kretynka. I tyle w tym temacie!

– Zależy ci na nim? – zapytał niespodziewanie Tomek pozornie spokojnym głosem.

– Zwariowałeś? – Aż usiadłam z wrażenia. – To pytanie jest... jest... nie na miejscu!

Roześmiał się.

– Tak tylko sobie żartuję. – Udawał, że nie zależy mu na odpowiedzi. – Ale zrobiłaś się czerwona. A to dziwne.

– Bo mnie wkurzyłeś – zaatakowałam. – A tak w ogóle, gdzie się spotkałeś z Paulą, że miała czas tak dokładnie ci wszystko wyśpiewać?

– W sklepie! Nie pamiętasz, jak kazałaś mi jechać po bazylię do kolacji? Paula stała za mną w kolejce. Nim kasjerka zdążyła obsłużyć trzy osoby, sąsiadka wszystko mi pięknie opowiedziała o twoim uroczym Krzysiu!

– To może tak dla odmiany ja zacznę ci wypominać twoje liczne eks, co? Zaczniemy od pierwszej! W zeszłym roku spotkaliśmy na wakacjach w Gdańsku twoją byłą, Mariolkę. Pamiętasz, co zrobiłeś? Odepchnąłeś nasze dzieci i udawałeś, że jesteś sam. Uścisnąłeś ją tak mocno, że aż ją podniosłeś.

– To nieprawda. – Uniósł głos. Już się nie uśmiechał. – Przesunąłem nasze dzieci na bok, bo była kałuża.

– Kałuża? – fuknęłam. – Nie padało od tygodnia! I było trzydzieści stopni od kilku dni.

– Przesadzasz...

– A po co ją tak podniosłeś?

– No, bo była lżejsza niż myślałem. – Przyjął postawę obronną. – Przyzwyczailem się do cięższych...

– Masz na myśli moją wagę? – Mój głos zaczął się niebezpiecznie podnosić. Wreszcie pojawiła się szansa, żeby definitywnie odwrócić uwagę Tomka od tematu wizyty Krzysztofa. Musiałam to wykorzystać. – Może popatrz na siebie. Brzuch ci zaczyna wisieć. Niedługo od jego nacisku będziesz miał miażdżycę!

– Miażdżycę? A co choroba serca ma wspólnego z brzuchem?

– Miażdżycę członka! Nie będzie mógł się podnosić w sposób naturalny, bo będzie go przytłaczać ta gigantyczna piwna cięża!

– Teraz przegięłaś. – Uklęknął na łóżku. – Ty też się zaokrągliłaś! Wiesz co? Prawda jest taka, że jak w ciebie wchodzę, to czuję się tak, jakbym się wpychał w... szarlotkę. Ale nic nie mówię, żeby cię nie zranić!

Aż mnie zatkało z wściekłości.

– Bo ja ci, głąbie, urodziłam dzieci! – Klęcząc na łóżku, podparłam się pod boki. – W trakcie tych dwóch ciąży przez moje ciało przelały się strumienie hormonów potrzebnych do wyprodukowania i wydania na świat dwóch kolejnych samców, którzy tak samo jak ty będą potem poniżać swoje żony przy każdej nadarzającej się okazji!

– Przestań. – Tylko tyle zdążył powiedzieć, nim zalałam go kolejną falą zarzutów.

– Co jeszcze mi powiesz? – Zacisnęłam ręce w pięści. – Że pochwę mam za luźną? He?

– Nie zaryzykowałbym...

– To zdradzę ci tajemnicę! Przez ten otwór wielkości małego jabłka musiałam przepchnąć dwie cholerne dynie!

– A co to jest pochwa?

To zadane cieniutkim głosikiem pytanie kompletnie mnie zaskoczyło. Zresztą nie tylko mnie, ale również Tomka. Wciąż klęcząc na łóżku, jednocześnie spojrzeliśmy w kierunku drzwi. W progu stał Benek. Ubrany był w niebieską piżamkę z nadrukiem głupawo uśmiechniętego Elmo. W łapkach mocno ścisnął swoją ukochaną przytulankę. Gdy wpatrywał się w nas swymi błękitnymi oczkami, wyglądał niewinnie i słodko.

– No i masz – wycedził Tomek przez zaciśnięte zęby. – Teraz go uświadamiaj.

– Sam zacząłeś – warknęłam oskarżycielskim tonem.

– A co wy robicie? – chciał wiedzieć nasz syn. – Modlicie się? Na łóżku?

– Coś w tym stylu. – Usiadłam na skraju materaca i stopami zaczęłam szukać swoich kapci. – Dlaczego nie śpisz, syneczku?

– Bo usłyszałem, jak się kłócicie. – Zrobił dwa kroki i znów przystanął.

– Tylko rozmawialiśmy – powiedział Tomek.

– Chodź, pójdziemy do łóżeczka. – Złapałam Benka za rączkę i zaprowadziłam do jego pokoju.

Kiedy przykryłam małego kołderką z wielkim znakiem Batmana i ucałowałam w czołko, w drzwiach stanął Maksymilian.

– Jeszcze nie śpisz, kochanie? – zapytałam, zamykając drzwi do pokoju młodszego syna.

– Słyszałem, jak się kłócicie – powiedział cichym głosem.

– E tam. – Ucałowałam go w czoło. – Tak tylko sobie z tatusiem... gadaliśmy.

– Wy nie krzyczycie na siebie – stwierdził z wyrzutem. – Nigdy.

– Nie? – zdziwiłam się. – Oj, chyba niewiele o nas wiesz, synku.

– Krzyczycie tylko na nas.

Wskoczył do swojego łóżka, wciąż patrząc na mnie z wyrzutem.

– Jesteście kochani, ale nieraz doprowadzacie nas do szału – wyjaśniłam łagodnie.

Ułożyłam mu nieco niżej poduszkę, ale nim wstałam, znów podciągnął ją tak wysoko, że prawie siedział. Jasną grzywkę zaczesał paluszkami do tyłu i wygodnie usadowił się na pościeli.

– Ale tata nie pójdzie mieszkać gdzie indziej?

Zaskoczona zatrzymałam się przy drzwiach.

– Dlaczego o to pytasz?

– Bo kiedyś Agnieszka, moja koleżanka z klasy, powiedziała, że jej rodzice ciągle się kłócili. Teraz jej tata mieszka gdzie indziej. Z jakąś ciocią.

Próbowałam się roześmiać, lecz zabrzmiało to jak zgrzyt starych drzwi.

– Słonko, tatuś na pewno nigdzie się nie wybiera.

Wciąż nie wyglądał na przekonanego. Wróciłam do pokoju i usiadłam na skraju jego łóżka.

– Czasami zdarza się, że rodzice mają różne zdania na pewne tematy, ale to nie oznacza, że od razu będą się rozstawać – tłumaczyłam. – Ja za nic w świecie nie zostawiłabym twojego tatusia i jestem przekonana, że on mnie też nie.

Maks po chwili namysłu uśmiechnął się do mnie.

– Tak myślałem. Często się całujecie w kuchni. I w ogrodzie. I nawet w samochodzie. To chyba znaczy, że chcecie być razem.

– Dokładnie, bystrzaku. A teraz śpij smacznie.

Ucałowałam go jeszcze raz na dobranoc i cicho wyszłam z pokoju. Już miałam wracać do sypialni, ale doszłam do wniosku, że dam Tomkowi jeszcze chwilę na ochłonięcie po tej głupiej kłótni. Nie miałam ochoty dalej ciągnąć tak bezsensownego sporu. Na palcach zesłam do kuchni. Miałam ogromną ochotę na gorące kakao. Zaświeciłam światło i zobaczyłam mojego męża. Stał oparty o blat.

– To była idiotyczna sprzeczka – powiedział, zerkając na mnie.

– Też tak sędzę – przyznałam. – Przestraszyliśmy dzieci.

– Słyszałem.

Minęłam go i podeszłam do lodówki, żeby wyciągnąć z niej mleko. Gdy przelewałam je do garnka, Tomek podeszedł bliżej i otoczył mnie ramionami.

– Jesteś obrzydliwym zazdrośnikiem – szepnęłam, wtulając się w jego tors.

– Ty jesteś bardziej zazdrośna.

– Nieprawda.

Pocałował mnie w czubek głowy.

– Nie powinniśmy się kłócić o takie głupoty – powiedziałam po chwili.

– W ogóle nie powinniśmy się kłócić – przyznał.

– Masz rację.

Staliśmy wtuleni w siebie, póki mleko na kuchence nie zaczęło kipieć. Szybko uwolniłam się z ramion męża i zsunęłam z płyty garnek.

– Chcesz kakao? – zapytałam.

– Oczywiście.

Kiedy wsypywałam brązowy proszek do mleka, Tomek wyciągnął z szafki kubki. Usiedliśmy w półmroku przy kuchennym stoliku i bez słowa sączyliśmy ciepły, słodki napój.

– Nie wiem, czy powinnam to pić – zażartowałam. – Jak zrobię się jeszcze grubsza, to będziesz miał

jeszcze większy problem ze znalezieniem...

– Przestań – zachnął się. – Ty też nie pozostałaś mi dłużna. Mój klejnot rodowy wcale nie jest, jak ty to określiłaś, zmiażdżony przez brzuch.

– Niech ci będzie – przyznałam. – Wciąż jest taki sam jak dawniej.

Tomasz przesłał mi uśmiech nad stołem.

– Tylko narosło wokół niego więcej ciała i dlatego wydaje się mniejszy.

– O ty!

Złapał jedną z papierowych serwetek i rzucił nią we mnie. Ja zrobiłam to samo. Gdy skończyły się nam serwetki, złapałam ścierkę i ze śmiechem zaczęłam okładać nią Tomka. To zamieszanie w kuchni znów wywołało chłopaków z ich pokoi. Benek i Maks usiedli na szczycie schodów i przez drewnianą balustradę obserwowali nasze dzikie podchody.

– Wiesz co? Oni są jak dzieci – powiedział Maksymilian tonem znawcy.

– Idziemy do nich? – zerwał się Benek. – Choć, też porzucamy. Ale fajnie się bawią!

– Nie. – Maks złapał brata za rękę. – Daj im spokój. Oni też potrzebują się czasem trochę sami pobawić.

Benek zerknął na rodziców, którzy teraz dla odmiany padli sobie w objęcia.

– Masz rację – szepnął z rezygnacją. – Idziemy spać.

Cichutko, na paluszkach, wrócili do swoich sypialni, przykryli się kołderkami i z uśmiechami na twarzach zamknęli oczka.

Miało być jak co dzień

Poniedziałek jest zazwyczaj najbardziej zabieganym dniem w tygodniu. I to nie tylko dla mnie, ale również dla moich przyjaciółek także zajmujących się domem.

Rano trzeba wstać nieco wcześniej niż reszta domowników, przygotować śniadanie oraz wypełnić śniadaniówki szkolne kanapkami. Ładując pojemniki do plecaków, należy równocześnie wołać wszystkich po kolei, żeby się ubrali i zeszli na dół. Zabieg ten należy powtórzyć kilkakrotnie. W dni szkolne, w przeciwieństwie do dni wolnych, chłopcy nie mają ochoty wstawać tak wcześnie. I tu mam na myśli nie tylko dzieci, ale także Tomka.

Następnie, kiedy młodzi już siedzą przy stole, należy zmusić wciąż ziewającego Maksymiliana, żeby wreszcie otworzył oczy, bo nie trafi kubkiem do ust, a potem wytłumaczyć Benkowi, że nie wolno wpychać do buzi całej kromki naraz. Wycierając resztki nutelli z Benkowej twarzy, należy z pokrzepiającą miną znieść narzekania Tomka, że znowu poniedziałek, że tyle się będzie działo, że nie zdążą z jakimś tam projektem albo wręcz przeciwnie – że nie ma nowych zleceń. Rzucając w jego kierunku kilka słów otuchy, trzeba w biegu przygotować odpowiednie do pogody kurtki, poprawić źle nałożone czapki, owinąć szyje szalikami, pośpiesznie ucałować całą trójkę na pożegnanie i wreszcie... następuje ten wspaniały moment, kiedy za wszystkimi zamykają się drzwi i dom ogarnia jakże błoga dla ucha cisza.

– Uwielbiam godzinę siódmą czterdzieści – powiedziałam sama do siebie, opierając się o zamknięte drzwi.

Usłyszałam, jak za moimi plecami Tomek wyjeżdża samochodem z podjazdu. Rano mój mąż najpierw zawoził dzieciaki do szkoły (zerówka, do której uczęszczał Benek, była w tym samym budynku co podstawówka, do której chodził Maks), dopiero później ruszał w drogę do swojego biura.

Pracującym mężom wydaje się, że zajmujące się domem kobiety przez cały ten czas, kiedy oni zarabiają na utrzymanie rodziny, siedzą sobie przed telewizorem, polerując paznokcie i machając stopami, aby lakier szybciej wysechł. Może w innych domach rzeczywiście tak było, ale u mnie nie. Przez tych kilka rzekomo spokojnych godzin musiałam posprzątać dom, odnaleźć miejsce wszystkich porozrzucanych przedmiotów, umyć naczynia, przygotować obiad, zająć się kwiatkami w domu i w ogrodzie oraz obrobić się z praniem i prasowaniem. Nieraz niezbędne były również zakupy.

Po weekendzie meble pokrywała zawsze gruba warstwa kurzu, a że dałam się namówić Tomkowi na śliczny zestaw w ciemnym odcieniu wenge, teraz, klnąc pod nosem, wycieram je kilkakrotnie częściej niż jasne.

– Dobra, odwalę szybko całą robotę i może uda mi się jeszcze poczytać książkę – zatarłam dłonie.

Na początek poszłam do kuchni, żeby ogarnąć bałagan, jaki został po śniadaniu. Puściłam sobie rozgrzewającą muzykę i podśpiewując pod nosem, zebrałam naczynia ze stołu. Właśnie wkładałam talerze do zmywarki, kiedy zadzwoniła Marzena.

– Słuchaj, masz wolną chwilę? – zapytała. – Mogę na momencik wpaść?

– Coś się stało? – zaniepokoiłam się.

Termin porodu Marzeny był już bardzo bliski, więc każdy patrzył na nią tak, jakby miała lada moment eksplodować.

– Spokojnie. Nie rodzę – uprzedziła mnie. – Mam pytanie, ale nie na telefon. Poza tym potrzebuję się trochę przewietrzyć.

– No dobra, przychodź. Tylko udawaj, że nie widzisz tego pierdzielnika w moim domu, dobrze? Dopiero zabieram się za poweekendowe porządki.

– Żebyś widziała, co ja mam u siebie...

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Ty nawet reklamówki masz poskładane w kostkę. – Dobrze znałam moją przyjaciółkę i jej fioła na punkcie porządku. – To jak, przychodzisz?

– Dobra. Będę za dziesięć minut. Tylko wbiję się w jakieś buty.

Odłożyłam słuchawkę i pobiegłam do sypialni, żeby się jakoś normalnie ubrać, bo póki co paradowałam w długich spodniach od piżamy i rozciągniętym podkoszulku. Wpychając głowę w jakąś bluzkę, pobiegłam do łazienki. Nie chciałam witać Marzeny ze spoconymi pachami, resztkami niezmytego wczoraj makijażu oczu i fryzurą Gorgony. Stałam przy umywalce ze szczotką w dłoni. Cóż, jestem realistką, mojej twarzy niewiele można już pomóc. Trzeba by chyba zrobić przeszczep. Wiedziałam, że takie podejście jest złe, ale zwykle tak myślałam, kiedy stałam przed lustrem, najczęściej zaś wczesnym rankiem. Szklana tafla bezwzględnie ujawniała wtedy wszystkie mankamenty urody: podpuchnięte i przekrwione oczy, pajęczki, kurze łapki, upierdliwe pryszcze na policzkach i uparcie odrastającego włosa przy pieprzyku na brodzie. Być może była to pora, kiedy optymistyczna część mnie jeszcze nie miała wystarczająco siły przebicia, by wytłumaczyć mózgowi, że są to tylko łatwe do naprawienia drobnostki i nie należy się nimi specjalnie przejmować, bo kosmetyki ukrywające takie niedoskonałości można kupić niemalże wszędzie.

– Dobra, wystarczy tego dobrego – mruknęłam, malując na koniec pośpiesznie rzęsy.

Po wizycie Marzeny planowałam wyskoczyć do sklepu po mięso na obiad, więc przynajmniej upiększanie twarzy i układanie włosów będę wówczas miała za sobą.

Przy okazji odruchowo ułożyłam na półce obok lustra inne drobne kosmetyki oraz powkładałam końcówki elektrycznych szczoteczek do specjalnego pojemnika, bo moim chłopakom jakoś nigdy się nie chce tego zrobić i porzucają końcówki na umywalce.

Zbiegłam szybko na dół i otworzyłam drzwi, żeby sprawdzić, czy Marzena już idzie. Na razie jej nie było. Za to usłyszałam charakterystyczne trąbienie. To śmieciarka właśnie wjeżdżała na Brzozowy Zaulek. Cholera jasna! Zapomniałam na śmierć, że dziś był dzień odbioru śmieci.

Zostawiwszy otwarte drzwi, rzuciłam się do kuchni, by wyciągnąć spod zlewu przepelniony kubeł. Spokojnie – myślałam – zdążę jeszcze dorzucić ten worek do dużego pojemnika opróżnianego raz w tygodniu przez śmieciarzy. Z rozmachem wysunęłam kosz spod zlewozmywaka. Zaraz tego pożałowałam, bo kilka obierek ziemniaków i obsmarkanych chusteczek spadło w głąb szafki.

– Do diaska – zakląłam, schylając się, by je zebrać.

Dopiero wtedy zobaczyłam, że w jej najgłębszym rogu również jest pełno papierków. Znalazłam tam nawet jakiś wyschnięty na wiór ogryzek.

– No po prostu pięknie! – Zanurkowałam jeszcze głębiej, mamrocząc liczne groźby pod adresem moich dzieci, które nigdy nie patrzą, czy wyrzucane przez nie odpadki trafiają do kosza czy obok niego.

– Masz tak samo piękną pupę jak dawniej. – Tuż za sobą usłyszałam nagle słowa wypowiedziane głębokim basem.

Przedarły się przez warkot silnika podjeżdżającej coraz bliżej śmieciarki. Widocznie przestrzeń pod zlewozmywakiem działała niczym pudło rezonansowe w gitarze. Od razu wiedziałam, kto stoi za moimi plecami. Nie była to Marzena. Odruchowo chciałam się wyprostować. Niestety moja głowa wciąż tkwiła

w szafce pod zlewem. Rąbnęłam potylicą o dno zlewozmywaka z taką siłą, że w tych ciemnościach zobaczyłam stado migotliwych światełek. Zachwiałam się, lecz silne ręce złapały mnie za biodra. Przez cienki materiał spodni poczułam ciepło jego uda. Zakotłowałam się przerażona pod tą umywalką. Rozpuszczone włosy zahaczyły o węża od baterii. Tymczasem Krzysiek wciąż ciągnął mnie do tyłu.

– Przestań – jęknęłam. – Włosy mi się zahaczyły.

– O co? – Przestał mnie ciągnąć, lecz wciąż trzymał za biodra.

– Nie wiem, chyba o węża. Nie mogę się ruszyć.

– Pomogę ci. Stój spokojnie.

Wciąż przyciskając się do mnie od tyłu, włożył ręce pod zlewozmywak i palcami namacał miejsce, w którym zaczepiły się niesforne kosmyki. Stałam z wypiętą pupą, brudnymi rękami i głową w szafce, rozpaczliwie ściskając kilka papierków i zasuszonego ogryzka. Nie przyszło mi do głowy, by rzucić te śmieci i samej wyplątać włosy.

– Musisz przesunąć głowę trochę w prawo – powiedział Krzysiek, wciąż manipulując rękami gdzieś nad moim czołem.

Co chwila czułam bolesne szarpanie, choć naprawdę starał się wyplątać nieszczęsne kosmyki najdelikatniej, jak tylko było to możliwe. Plecy mnie rozboleły, więc zaczęłam się wiercić. Chcąc nie chcąc, by głowa tkwiła nieruchomo, musiałam poruszyć południowym biegunem mego ciała. W tym momencie poczułam, jak mój eks twardnieje. Od razu zobaczyłam oczami wyobraźni wszystkie sceny z mojego snu, w dodatku nienaturalnie wyostrzone.

– Coś długo ci z tym schodzi – wydukałam, porzucając wreszcie obierki i opierając się dłońmi o dno szafki. Mięśnie ud już mnie bolały od tej niewygodnej pozycji.

– Już prawie kończę. Naprawdę mocno się zahaczyły. Nie chcę ci ich powyrywać.

Miałam cichą nadzieję, że ociera się tak o moje pośladki tylko dlatego, że nie ma innej możliwości, by dostać się pod ten przeklęty zlew. Pomiędzy swoimi nogami zobaczyłam jego duże buty i fragment szarych spodni. Jakoś mnie to wkurzyło. Dobrze, że wcześniej przynajmniej przebrałam się z piżamy...

– No już. Udało się – powiedział, łapiąc mnie w pasie i pomagając się podnieść. – Trochę poczerwieniałaś na twarzy. Ale i tak ślicznie wyglądasz. Wręcz zniewalająco.

– Daruj sobie. – Szybko przeczesalam palcami włosy i założyłam te nieszczęsne kosmyki za uszy.

– Powinnaś mi podziękować. – Miał urażoną minę. – Uratowałam cię z nie lada opresji.

– Jasne, jasne. Powinieneś wcześniej zapukać. Głośno – warknęłam. – Wtedy nie rąbnęłabym głową o zlew i nie wplątałabym włosów.

– Było otwarte. Przestraszyłem się, że to napad.

– Takie rzeczy dzieją się w serialach kryminalnych, a nie na takim zadupiu. – Wyprostowałam się wreszcie i spojrzałam na niego.

Jego oczy się śmiały, chociaż twarz pozostała niewzruszona. Cały on. Cholera jasna.

I wtedy za jego plecami zobaczyłam Marzenę. Stała w holu i rozszerzonymi ze zdziwienia oczami wpatrywała się w tę całą idiotyczną scenę. Widok musiała mieć świetny. Ja, machająca wypiętym tyłkiem, i mój eks, dociskający się lędźwiami... Z odtwarzacza buchała jakaś wesoła muzyczka, więc rozmowy moja sąsiadka mogła nie dosłyszeć. Z tej perspektywy nie widziała też, gdzie miałam głowę, bo ta część kuchni jest zasłonięta ścianką. Więcej widziałaby jej brzuch, gdyby w okolicach pępka posiadał oczy.

Nie trzeba mieć specjalnie bujnej wyobraźni, by w odpowiedni sposób zinterpretować to, co zobaczyła. Pierwszy zareagował Krzysiek.

– O, witam serdecznie przyjaciółkę mojej... ekm... znajomej.

W odpowiedzi jedynie skinęła głową, patrząc na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

– Umyj ręce – powiedziałam do Krzyska. – Masz w nich pełno...

– Twoich włosów. Tak – dokończył.

– Łazienka jest tam. – Ręką wskazałam odpowiednie drzwi.

– Rany boskie, co wyście robili! – naskoczyła na mnie Marzena, gdy tylko Krzysiek zniknął za drzwiami łazienki. Była wyraźnie zbulwersowana sceną, którą właśnie zobaczyła. – Czy on ci robił... no wiesz... to? Chryste Panie! Co powiesz Tomkowi? Nic chyba nie powiesz? Prawda?

– Co? – szepnęłam, ciągnąc ją do kuchni, jak najdalej od łazienki.

– Miętosił cię?

– Zwariowałaś!? Wyciągał mnie z szafki.

– To ty chyba zwariowałaś. Gadasz kompletnie bzdury!

Wzięłam głęboki oddech. Marzenie trzeba było wytłumaczyć wszystko po kolei, dopiero wtedy całe zdarzenie miało szansę nabrać trochę sensu, o ile w tej sytuacji można było w ogóle o sensie mówić.

– Sprzątałam w szafce, bo za koszem leżało pełno porzrzuconych przez chłopców śmieci. Chciałam zdążyć przed śmieciarką i zostawiłam otwarte drzwi. Dla ciebie. A on niespodziewanie wszedł i ja wtedy tak się wyprostowałam, że walnęłam głową o zlew i wąż zaplątał mi się we włosy. Krzysztof włożył tam ręce i dociskając mnie, wyciągał tego węża. To proste. Rozumiesz?

Marzena na zmianę zamykała i otwierała usta, niczym wyjęta z wody ryba.

– O kurde, śmieciarka mi ucieknie! – przypominałam sobie nagle.

Złapałam worek i wybiegłam na zewnątrz. Po drodze uświadomiłam sobie, jaki mętlik zasiałam w głowie przyjaciółki, tak chaotycznie przedstawiając jej całe zajście. Sama na jej miejscu też nie uwierzyłabym w taką durną opowieść. Śmieciarze akurat opróżniali zawartość mojego kosza, więc z niewinnym uśmiechem dorzuciłam i ten nieszczęsny worek, powtarzając „przepraszam” w odpowiedzi na ich narzekania.

– To ja już lepiej pójdę. – Krzysztof stał już w progu. – Wpadnę innym razem. Może uratuję nie tylko włosy, ale i inne twe części?

– Do widzenia. – Minęłam go i wpadłam do domu.

Zamykając drzwi, zobaczyłam jeszcze, jak macha mi przyjaźnie na pożegnanie, wychodząc za bramę.

– Zgubiłam się – wyznała mi Marzena głosem zboląłego kurczątka. – Nie ogarniam tego wszystkiego...

Dla mnie wyglądało to tak, jakbyś się z nim obściskała. Albo gorzej.

Posadziłam ją na krześle i spokojnie, używając tym razem odpowiednich słów, wytłumaczyłam jej wszystko jeszcze raz. W końcu zrozumiała, co zaszło. Zaczęła się nawet uśmiechać, choć wciąż lekko nieufnie.

– Dobra, to co chciałaś mi powiedzieć? – zmieniłam wreszcie temat.

– Trzynastkę kupili – odparła, głaszcząc odruchowo brzuch, bo miała najwyraźniej mocno ją kopała. – Ten pusty dom na końcu ulicy.

– To dobrze. A wiesz kto? – zainteresowałam się.

Działkę i wejście do domu numer trzynaście widziałam z moich okien. Odruchowo podeszłam do szyby i zerknęłam w tamtym kierunku. Dom z elewacją w odcieniu pistacji i ciemnymi oknami, otoczony takim samym jak wszędzie płotkiem, stał nieruchomo, czekając cierpliwie na przyjęcie nowych lokatorów.

– Wykupiła go jakaś duża, zagraniczna firma, która buduje swoją fabrykę za miastem. Będą go wynajmować pracownikom przyjeżdżającym tutaj na kontrakty – wyjaśniła Marzena.

– Czyli ciągle będzie ktoś nowy – stwierdziłam.

– Na to wygląda – zgodziła się ze mną. – Hela ma się dowiedzieć czegoś więcej. Pewnie będzie cały czas czatować w pobliżu i gdy tylko ktoś podjedzie pod trzynastkę, od razu weźmie go na spytki.

– Ale przecież z okien jej domu nie widać trzynastki.

– Racja – przytaknęła Marzena. – W tym celu Hela przesiaduje u Puchaczowej. Ta ma widok na trzynastkę wprost wymarzony. Jak Hela nie będzie mogła pilnować, Puchaczowa ją zastąpi i zadzwoni, kiedy tylko ktoś będzie się kręcił przy drzwiach.

– No proszę – zaśmiałam się. – Zorganizowała całą akcję. Co za kobieta! Jestem pod wrażeniem jej przebiegłości.

– Oby im to tylko nie zaszkodziło, bo ciekawość to pierwszy stopień do piekła. – Marzena wstała, bo niewygodnie jej było siedzieć z tak dużym brzuchem. – Jeszcze mi powiedziała, że podobno Puchaczowa przez tę ciekawość dostała kiedyś list z pogrózkami.

– Pewnie dlatego nie wychodzi z domu. Może nie wie, kto jej groził?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami. – Wołałam nie drążyć, bo to kolejny temat rzeka. Mam tylko nadzieję, że wprowadzi się tutaj ktoś fajny. Może cała rodzina? Jacyś mili ludzie... Będziemy miały nową koleżankę. I oby dzieci były w podobnym wieku jak nasze. Dobrze wychowane. Może kilka dziewczynek?

– Pewnie niebawem się przekonamy – mruknęłam, wciąż patrząc przez okno.

Śmieciarka właśnie podjechała pod dom Zagórskich, zahaczając jednym z boków o wystawione przez Antoniego kubły na śmieci. Zobaczyłam, jak Agata wylatuje przed dom w pasiastym szlafroku i wykrzykuje coś do śmieciarzy, grożąc im przy tym pięścią. Zawsze tak było.

– Najlepiej, jakby to byli ludzie w naszym wieku – marzyła dalej Marzena. – Tacy dobrze wychowani, z ułożonymi dziećmi, ale wiesz, nie przesadnie ułożonymi, żeby nasze nie wyszły przy nich na dzikusów.

Słuchałam jej monologu, myśląc sobie, że chciałabym, żeby jej życzenia się spełniły. Cóż... Marzena była optymistką...

Dom numer trzynaście

Nowi lokatorzy pod trzynastką pojawili się dwa tygodnie później. W międzyczasie natomiast wynajęta przez właścicieli firma zamontowała potrzebny sprzęt i umeblowała wnętrze. Gdy wycierałam naczynia, widziałam przez kuchenne okno, jak krzepcy faceci wnosili do środka wszystkie niezbędne do wygodnego życia przedmioty: od dywanów, poprzez meble kuchenne, sofy, łóżka, stoły, aż po talerze i ozdobne poduszki.

– Czyli będą wynajmować na krótkie okresy – stwierdził Tomek, stając kiedyś przy mnie w kuchni i obserwując, jak jeden z tragarzy taszczy pudło z pralką.

– Też tak myślę. – Skinęłam głową. – Wczoraj widziałam, jak wnosili jakieś kolorowe narzuty i pościel.

– Gdyby ktoś miał tutaj mieszkać dłużej niż rok, sam przywiózłby ze sobą takie rzeczy jak pościel, kubki czy poduszki – skwitował z kwaśną miną.

Hela stawała na rzesach, by wyciągnąć od kolejnych fachowców przewijających się przez ten dom choć trochę informacji, lecz na próżno. Każdy zbywał ją, mówiąc, że został tylko wynajęty, by położyć płytki, zamalować ścianę czy zmontować szafki i nic więcej nie wie. Ta niewiedza doprowadzała ją do szaleństwa. Całymi godzinami czatowała w oknie Puchaczowej, starając się wypatrzyć nową osobę, którą mogłaby pognębić swoją serią pytań. Nawet sprawa wplątanej w łańcuch kości przestała ją specjalnie interesować. A trzeba przyznać, że w tym temacie także trochę się działo.

Przez ostatnie dni dokładnie sprawdzono pastwisko, łąkę oraz okoliczne pola, w tym te należące do właściciela krowy. Przetrząsnięto także mój ogródek oraz ogród Puchaczowej, bo okazało się, że tego wieczoru Hela tak bardzo spieszyła się do niej z nowinami, że zostawiła otwartą furtkę. Kiedy poszukiwania na tym obszarze nie dały rezultatów, skrupulatnie sprawdzono potok w nadziei, że może woda podmyła gdzieś brzeg i ujawniła zakopane szczątki. Tam jednak też nie znaleziono reszty szkieletu, ale za to natrafiono na pozostałości po bardzo starej osadzie, do których ściągnięto niebawem grupę zainteresowanych odkryciem archeologów. Samą kość wysłano wreszcie na dokładne badania, żeby ustalić od jak dawna spoczywała w ziemi. Mogłam więc odetchnąć z ulgą, gdyż do czasu uzyskania wyników owych badań, Krzysztof został odwołany i nie kręcił się po okolicy. Badania miały potrwać około miesiąca. Oczywiście dowiedziałam się tego od Heli – w tym temacie była na bieżąco. Każdą nowinką skwapliwie dzieliła się z resztą sąsiedztwa.

Całą tę sprawę – wykopalisk, przyjazdu specjalistów i związanego z tym zamieszania – przyćmiła jednak kwestia nowych lokatorów na Brzozowym Zaułku, która bądź co bądź dotyczyła nas bezpośrednio. Śmiało można stwierdzić, że był to temat na topie.

Wreszcie w pierwszy sobotni poranek października pod dom numer trzynaście zajechała nieduża ciężarówka z logo firmy przewozowej i wrocławską rejestracją. Zaraz za nią na podjeździe zatrzymało się wypolerowane na błysk, czarne bmw. Plewiłam akurat grządki kolorowych marcinków posadzonych pomiędzy płotem a chodnikiem, więc miałam świetny widok na całe zamieszanie pod trzynastką.

Zanim nowoprzybyli zdążyli wysiąść, podbiegła do mnie Kasia.

– Cześć – sapnęła. – Właśnie zobaczyłam przez okno, że są ci nowi. Widziałas kogoś, jak przejeżdżali?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Samochód ma przyciemniane szyby i wygląda jak pojazd dla mafiosów.

Na razie nikt nie wystawił z niego nawet nosa.

– Dlaczego nie wysiadają? – zapytała z pretensją w głosie.

– A bo ja wiem? – Wyrwałam kępkę chwastów i wrzuciłam je do wiaderka.

Pozostałą po nich dziurę zagrabiłam spulchnioną ziemią.

– O, patrz! Drzwi się otwierają!

– Nie gap się tak! – zganiłam ją.

Kasia natychmiast kucnęła przy mnie i zaczęła gmerać w ziemi.

– Co ty robisz?

– Udaję, że pracuję – szepnęła, wciąż wpatrując się uważnie w tajemniczy samochód.

– Wyrывasz astry. – Złapałam ją za rękę. – Hej, przestań. Lepiej zostaw. Jeśli chcesz udawać, że pomagasz, to rwij przynajmniej tylko trawę i chwasty. To zielone! Widzisz? A kolorowe zostawiamy.

– Och, przepraszam. – Natychmiast puściła kwiatki i wbiła palce w gołą ziemię. – Są! Patrz!

Przy moim drugim boku pojawiła się Emilia.

– Akurat wieszalałam pranie, gdy usłyszałam warkot ciężarówki. – Ona również uknęła przy rabatce. –

Widziałas ich już?

– Jeszcze nie – powiedziała za mnie Kasia. – Iwona też nie.

– Błagam, tylko nie wrywajcie astrów! – przypomniałam im. – To te niezielone...

Ale one mnie nie słuchały, tylko z zapartym tchem wpatrywały się w piękne, lśniące bmw.

– Może to będzie jakaś sławna aktorka albo inna celebrytka? – zastanawiała się Emilia podnieconym głosem.

– A po cóż ktoś taki miałby tutaj zamieszkać? – zdziwiłam się. – Po co firma produkująca butelki miałaby udostępniać tutaj mieszkanie celebrycie? Emilia, zjeżdż na ziemię!

– Może podpisali z nią umowę i ta gwiazda będzie reklamować ich produkty? – Nie dawała za wygraną.

– Wątpię. – Sekatorem podciąłam kilka odłamanych gałązek.

– Jest noga! – sapnęła Kasia, łapiąc mnie za ramię. – To babska! Kurde, jaka sexy! Ma chyba z kilometr. Patrz, jakie obcasy!

Przewróciłam oczami. Czym one tak się podniecały? Przecież w końcu ten ktoś musiał wysiąść z samochodu i będzie można wszystko zobaczyć.

Odziana w czarne rajstopy i czerwone szpilki noga należała do kobiety w średnim wieku, ubranej w ładną i niewątpliwie drogą garsonkę w kolorze ciemnego grafitu i dopasowany kolorystycznie stylowy kapelusz. Kobieta była po czterdziestce, miała mocno umalowane usta i płynnymi ruchami co chwila zaciągała się e-papierosem.

– Damusia – skwitowała zawiedziona nieco Kasia – i raczej nie jest znana.

– Kto ją tam wie – mruknęłam. – Z tej odległości nie widać tak dobrze.

– Ja codziennie przeglądam w Internecie strony o życiu gwiazd – powiedziała Kasia – i nigdy nie widziałam tej twarzy.

– Wiesz o tym, że bez makijaży, botoksów i innych upiększaczy te wszystkie śliczniutki aktorki i piosenkarki wyglądają dokładnie tak samo jak my – oznajmiłam z przekąsem.

– Jak my? – zdziwiła się Emilia. – To niemożliwe.

Cmoknęłam z niezadowoleniem.

– No jak my. W sensie zwykli ludzie. Też mają wągry na nosie, pryszczki na brodzie i wory pod oczami, gdy zdarzy się im zabalować. Nic nadzwyczajnego. Jestem przekonana, że gdyby na moją facjatę rzucić

kilo podkładu, paczkę pudru, róż i cienie, też wyglądałabym jak prawdziwa gwiazda.

Emilia zmierzyła mnie krytycznym wzrokiem, który sugerował, że w dwudziestym pierwszym wieku nie ma jeszcze aż tak dobrych kosmetyków, które byłyby w stanie zdziałać takie cuda.

– Mądrze prawisz – powiedziała w tym momencie Kasia.

Miałam ochotę ją za to pocałować w oba pulchne policzki.

– Wiecie co? Nagle poczułam się taka szara i nieciekawa – westchnęła Emilia.

– Nie narzekaj. – Rzeczowy ton Kasi od razu sprowadził naszą marzycielską przyjaciółkę na ziemię. – Tobie przynajmniej fotoreporterzy nie zagląдают do okien i do talerza. Możesz spokojnie przejść się na golasa po sypialni, nie obawiając się, że za chwilę twoje zdjęcia obiegą calutki świat. Popatrz, jak oni mają ciężko. Żadnego prywatnego życia. Ohyda!

– Ma rację – poparłam Kasię, ocierając czoło wierzchem dłoni obleczonych w ogrodnicze rękawiczki zwane wampirkami. – Ja też nie chciałabym, żeby latało za mną stado żądnych sensacji paparazzich.

Emilia nic nie odpowiedziała. Widocznie skrycie marzyła o takich chwilach sławy albo uważała, że bycie ściganym przez dziennikarzy jest niesamowicie romantyczne. Mimo że już dawno miała za sobą trzydziestkę, Emilia Kropidlicka wciąż o wielu sprawach myślała jak nastoletnia dziewczyna. Cechował ją naiwny romantyzm, skłonność do wyolbrzymiania uczuć oraz łatwowierność. Innym ludziom to czasami przeszkadzało, ale ja uważałam, że ta naiwność była w niej cudowna. Chociaż kto wie, może tylko udawała.

– Ale matrona z tej nowej. – Wskazałam brodą kobietę oglądającą dom i otoczenie.

– O, i jeszcze jakaś druga wychodzi.

Rzeczywiście z tylnych drzwi samochodu wysiadła drobna, bardzo chuda dziewczyna wyglądająca na nastolatkę, całkowicie spowita w czerń, łącznie z rękami i twarzą. Miała długą, czarną sukienkę z głębokim kapturem, który zupełnie zasłaniał jej buzię. Dłonie kryły ciemne rękawiczki. Trzymając jedną ręką kaptur, uniosła głowę, spojrzała na dom i powiedziała coś do drugiej kobiety.

Wstrzymałyśmy oddech, lecz niestety nie byłyśmy w stanie usłyszeć, o czym rozmawiały. Mimo wszystko były zbyt daleko. Po tonie głosu dało się jednak wywnioskować, że młoda dziewczyna najwyraźniej nie jest zadowolona.

Za zawołaną panną z auta wyskoczył kilkuletni chłopiec będący pełnym przeciwieństwem czarnej damy. Miał jasne włosy, pucatą twarzyczkę i wysoki, dźwięczny głosik. Ubrany w czerwony podkoszulek, zielone džinsy oraz błękitną czapkę z daszkiem wyglądał jak kolorowa papużka. Cały czas trajkotał wesołym głosem, starając się zwrócić na siebie uwagę kobiet, lecz bez skutku. One były zajęte rozglądaniem się po okolicy. Wreszcie pojawiła się czwarta osoba – wysoki, barczysty facet z czarnymi wąsami. Miał na sobie czarny, doskonale skrojony garnitur.

– Wyglądają, jakby właśnie wrócili z pogrzebu – skomentowała Kasia grobowym tonem. – Z wyjątkiem tego małego.

– Dziwni jacyś – zgodziła się Emilia. – Jak z innej bajki. Nie pasują tutaj.

– *Rodzina Addamsów* – przypomniałam sobie.

– Co? – zdziwiła się Kasia.

– To taki film – wyjaśniłam, wracając do plewienia astrów. – Addamsowie wyglądali tak samo jak ci tutaj, nie licząc tego małego. On swoim strojem chyba chce nadrobić braki w kolorystyce ubrań reszty rodziny.

– Może to tylko tak dzisiaj? – Emilia nie spuszczała ich z oka. – Może rzeczywiście wracają z pogrzebu albo innej smutnej imprezy, na którą musieli się odpowiednio ubrać?

– Na przykład stypy – rzuciłam.

– Stypa to część pogrzebu – odparła Emilia.

– A znasz jakieś inne przyjęcie, na które należy ubrać się na czarno? – zapytałam, unosząc głowę znad rabatki.

– Żałoba – odparła Kasia. – Smutną imprezą może być też odczytanie testamentu. Kiedy się dowiadujesz, że z wielkiego spadku dziadka dostaniesz tylko komplet talerzy albo podstarzałą papugę, a jakiś sąsiad zgarnia resztę. To się nazywa przygnębiająca uroczystość.

– To rzeczywiście jest powód do smutku – przyznałam jej rację. – Zwłaszcza, gdy majątek jest duży.

– Ale i tak wszystkie te powody dotyczą śmierci kogoś bliskiego – skwitowała Emilia. – Biedni, pewnie są pogrążeni w ogromnym smutku. A tu jeszcze przyszło im opuścić rodzinne strony i przeprowadzić się w odległe miejsce. To musi być dla nich straszne przeżycie.

Zerknęłam na Kasię, która teatralnie przewracała oczami.

– Tego akurat nie wiemy. I wcale nie jest powiedziane, że przyjechali z daleka – powiedziała rzeczowo.

Tymczasem przed trzynastką zrobiło się zamieszanie. Elegancki pan w garniturze wydawał kolejne polecenia tragarzom, wskazując ręką poszczególne okna budynku. Widocznie tłumaczył, które pudła i pakunki należy od razu wnieść na piętro. Mężczyźni rażno wzięli się do rozpakowywania ciężarówki.

– To są rzeźby? – zapytała Kasia, patrząc na otwartą klapę ciężarówki. – Jezu, jakie to ohydne!

Istotnie, tragarze wyciągnęli na chodnik jakieś dwumetrowe szkaradztwo, przypominające kształtem poskręcany liść dębu z tym, że na każdym końcu miał on kilka długich iglic.

– No chyba krzesło to to nie jest... – Podniosłam się, bo nogi mi ścierpły od kucania. – Kolce wbijałyby się w zadek.

– Oj, brzydkie – stwierdziła Emilia zwięźle. – Ponure i odpychające.

Emilia jako osoba o duszy artystki potrafiła natychmiast celnie ocenić każdą rzecz. Uwielbiała sztukę i miała wrodzoną wrażliwość na piękno. Teraz widziałam jej skrzywioną minę na widok przenoszonego „dzieła sztuki”. Z całej siły powstrzymywałam się, żeby nie wybuchnąć gromkim śmiechem.

Tymczasem na podjeździe stanęła kolejna rzeźba, jeszcze paskudniejsza od poprzedniej. Miała jakieś półtora metra wysokości i kształtem przypominała nieco...

– To jest kupa czy sterta jelit? – Rzeczowe pytanie Kasi omal nie zważyło mnie z nóg.

– Wolę nie wnikać – parsknęłam śmiechem – ale gdyby coś takiego stało u mnie w sypialni, to nie mogłabym zasnąć w obawie, że to coś dotrze do łóżka i mnie udusi.

– Może tą rzeźbą autor chciał przekazać jakieś dramatyczne emocje, które nim szarpały? – Emilia, dobry elf, zawsze starała się znaleźć usprawiedliwienie dla dziwnych ludzkich postępów. – Ileż dramatyzmu jest w tych... no...

– Zwojach? – podsunęłam usłużnie.

Emilia zgromiła mnie wzrokiem.

– To chyba przedstawia wyjątkowo ciężką gripę jelitową... – mruknęłam.

– Może artysta był wtedy kłębkiem nerwów? – Emilia nie dawała za wygraną.

– Kłębkiem nerwów? W kształcie stolca? – prychnęła Kasia. – Emilko, bądźmy poważni, przecież to wygląda jak psia kupa! Prędzej dałabym się pokroić na plasterki niż postawiła takie ohydztwo w swoim salonie.

– Może autorem jest jakiś znany i ceniony rzeźbiarz? – zastanawiałam się na głos.

Kasia popatrzyła na mnie jak na wariata.

– Gdyby ktoś postawił ci kupę w salonie i powiedział, że jest ona autorstwa Michała Anioła, to zgodziłabyś się ją zatrzymać i piąć z zachwytem na jej widok?

– Nie jestem miłośniczką rzeźbiarstwa – odparłam krótko – ale znam twórczość Michała Anioła na tyle, że jestem przekonana, iż nie stworzyłby czegoś tak, no cóż, obrzydliwego. Nie ma się co oszukiwać.

– W epoce, w której tworzył Michał Anioł, powstawały głównie rzeźby odzwierciedlające ludzkie ciało – wtrąciła Emilia. – Nie stosowano uproszczeń w formie, tak jak się to robi współcześnie. Przedstawiano wszystko z ogromną dokładnością.

– W sumie kupa jest efektem pracy ludzkiego ciała... – zamyśliła się Kasia.

– Michał Anioł nie poniżyłby się do stworzenia czegoś tak przyziemnego jak ludzkie odchody – powiedziała Emilia obrażonym tonem. – To był artysta z duszą. Owszem, ukazywał na swoich obrazach i w rzeźbach ludzkie ciało, ale nigdy w sposób wulgarny, co więcej, w tamtych czasach zużycie dobrej jakości kamienia na wykucie ekskrementów na pewno byłoby czymś niestosownym. Albo jeszcze gorzej. Wręcz katastrofalnym.

– Czyli że facet pewnie spłonąłby na stosie – podsumowała Kasia.

– Patrzcie, idą do domu – zmieniłam temat, wskazując grabkami posesję numer trzyście.

– Wyglądają jak ponury korowód. – Kasia podparła się pod boki. Przestała udawać, że jest zajęta plewieniem moich grządek, ponieważ nowi najwyraźniej skupili się na domu, w którym będą teraz mieszkać, i w ogóle nie patrzyli w naszą stronę. – Szkoda mi tego małego. Jakiś taki biedny jest. Niepodobny do reszty.

– Dlaczego?

– Ponieważ chyba ciężko żyć optymiście wśród samych ponuraków.

– Może oni tylko teraz tak wyglądają. – Emilia znów zaczęła ich usprawiedliwiać.

Czasami ta jej skłonność do tłumaczenia innych denerwowała mnie. Emilia była aniołem w ludzkiej skórze, ale tym samym była zbyt dobra i subtelna, żeby przetrwać. Tomek kiedyś stwierdził, że Emilia nie ma jaj i przez to nigdy nie znajdzie odpowiedniego faceta. Chociaż wtedy na niego nakrzyczałam, to w tym momencie przyznałam mu rację.

– Pewnie przekonamy się o tym w ciągu kilku najbliższych dni. – Zakończyłam temat.

– Marzena chce wpaść do nich z ciasteczkami – przypomniała sobie Kasia. – Żeby było tak jak z tobą. Wiesz, po amerykańsku.

– To rzeczywiście było bardzo miłe powitanie – przyznałam. – Od razu was polubiłam.

– Naprawdę? – Ucieszyła się.

– Oczywiście. Chociaż w ich wypadku mam pewne wątpliwości. Nie wyglądają na radosną, kochającą się rodzinę.

– Nigdy nie przyszło ci do głowy zapytać, co myślałyśmy o was, kiedy się tu wprowadzaliście – wytknęła mi Kasia.

– Wiecie co? Może pójdziemy wszystkie? – Zmieniła temat Emilia, patrząc, jak tragarze z wysiłkiem wnoszą do środka liściopodobną rzeźbę. – Razem będzie nam raźniej.

– Dobrze. Marzena mówiła, że będzie piekła te ciastka jutro rano – odparła Kasia. – Zadzwoń do was i umówimy się na konkretną godzinę.

– Super. – Emilia klasnęła w dłonie. – Poznamy nowych sąsiadów. Ależ będzie czadowo!

– Czadowo? Nie sądzę. Oni są jacyś dziwni. – Pokręciłam głową. – Coś mi w nich nie pasuje.

Z przymrużonymi oczami patrzyłam, jak dwóch mężczyzn niosących z trudem ohydny rzeźbę zamyka pochód nowych lokatorów. Nie licząc ośmioletniego chłopca i umęczonych tragarzy, reszta tego towarzystwa wyglądała jakoś ponuro, wręcz odpychająco. Czułam, że nie będą oni sympatycznymi mieszkańcami Brzozowego Zaułka. Może nawet okażą się jeszcze bardziej tajemniczy niż moi sąsiedzi spod ósemki? Bez słowa obróciłam się i zerknęłam na dom z numerem osiem. Gdyby nie to, że trawa przed budynkiem została niedawno przycięta, można by pomyśleć, że nikt tutaj nie mieszkał. Stalowe rolety w oknach niemal zawsze były spuszczone, brama zamknięta, a zawieszona na furtce skrzynka pocztowa zapchana ulotkami. Czasami widziałam, jak z tego domu niemal chyłkiem wychodzili jego

mieszkańcy. Rozróżniałam trzech...

– Myślisz o tych spod ósemki? – Odgadła Kasia. – Oryginały i tyle.

– To bardzo aspołeczni ludzie – westchnęłam. – Kiedyś zostawili klucze w bramie. Dzwoniłam kilka razy, ale nikt nie otwierał, a mogłabym przysiąc, że firanka na piętrze się ruszała. Wtedy akurat, wyjątkowo, rolety nie były spuszczone.

– Marzena ich rozpracowała – powiedziała Kaśka. – Ma lepszy widok na ich dom, bo tobie zasłaniają kępy brzoź i ten żywopłot.

– No i do jakich wniosków doszła? – Byłam ciekawa jej spostrzeżeń. – Bo ja jakoś nie miałam szansy przyjrzeć się im z bliska...

– Tam mieszka trzech gejów. – Kasia ściszyła głos.

– Zwariowałaś? – prychnęłam. – Przecież to są kobiety. Chodzą w sukienkach. A poza tym geje nie chodzą w kobiecych strojach. Tak robią transwestyci i transseksualiści.

– A to jest jakaś różnica? – zdziwiła się Emilia.

– Transwestyta przebiera się, maluje i czasami zachowuje jak kobieta, ale nie chce zmieniać swojej płci. Transseksualista to na przykład mężczyzna, który psychicznie czuje się kobietą, a życie w męskim ciele jest dla niego męką.

– Aha, i to oni decydują się na operacje? – dopytała Emilia.

– Właśnie.

– Czyli twoi sąsiedzi są bardziej transwestytami – orzekła. – Bo chodzą w spódnicach i kieckach.

– No i co z tego? – Kasia wzruszyła ramionami. – To, że kobieta chodzi w spodniach i koszuli, nie oznacza, że od razu jest mężczyzną.

– To prawda – zgodziłam się. Jakby na to nie patrzeć, Katarzyna miała rację. – Lecz sposób, w jaki się poruszają, ubierają i w ogóle świadczy o tym, że to kobiety.

Kasia z politowaniem pokiwała głową.

– Kochana, najwyraźniej nie przyjrzałaś im się dobrze.

– Jakoś nie było okazji – powtórzyłam. – Mam wrażenie, że albo cały czas siedzą w domu, albo wyjeżdżają. Do ogrodu niemal w ogóle nie wychodzą.

– Rzeczywiście większość czasu spędzają w domu – odparła Kasia. – Jednego, czy jedną, z nich widziałam kiedyś w piekarni dwie ulice dalej. To był facet, tylko ubrany w babskie ciuszki i nafaszerowany jakimiś prochami, bo miał na twarzy mniej włosów niż ja.

– A ja w centrum handlowym w mieście przymierzałam kiedyś taką śliczną spódniczkę – przypomniła sobie Emilia. – W przymierzalni obok mnie były dwie z nich. Ostro debatowały nad wyborem jakiejś bluzeczki, czy pasuje do obcisłej spódniczki, czy nie.

– Może to nie byli moi sąsiedzi? – Wrzuciłam łopatkę i małe grabki do wiaderka z chwastami. Na dzisiaj skończyłam z plewieniem. Lada moment mogli wrócić chłopcy z piłki nożnej, trzeba więc było zacząć myśleć o obiedzie. – Ja wiem tylko, że jest ich trzech. Trzy. Troje. Jasna cholera, sama teraz nie wiem, jak ich nazywać. Przez was, dziewczyny!

– Wymyśliłyśmy im nawet przezwiska – powiedziała Kasia.

– Jakie?

– Francuz, Wielka i Ruda.

– No proszę. – Pokręciłam głową. – I naprawdę myślicie, że każde z nich to facet przebrany za kobietę?

– Tak – przyznała Emilia.

– Dokładnie – zgodziła się z nią Kasia. – I nie tylko my tak myślimy, ale Marzena i Łukasz także.

– To absurdalne – skwitowałam. – Jeden z nich ubiera się przecież jak mężczyzna. Sama go widziałam. Ma wprawdzie ciemne włosy do ramion i drobną figurę, ale nosi spodnie i wygląda jak facet. Nieco

zniewieściałą, ale nie na tyle, żeby to się rzucało w oczy w jakiś szczególny sposób, do diabła.

– Iwonko, kiedy ostatnio go widziałaś? – zapytała z politowaniem w głosie Kasia.

– Kiedy? Nie pamiętam dokładnie. Jakoś zaraz po przeprowadzce. – Próbowałam sobie przypomnieć.

– Mam inne rzeczy na głowie, jakoś im się specjalnie nie przyglądam.

– Iwa, to było kilka miesięcy temu! Czy mam rację?

– A co to za różnica? – Wzruszyłam ramionami.

– Duża. Bo ja i Marzena oglądamy Francuza niemal codziennie od pół roku. Kiedy kupował ten dom, wyglądał jak normalny facet. Na dodatek udawał, że są z Wielką małżeństwem. Trochę to komicznie wyglądało, jak go obejmowała w pasie baba wyższa od niego prawie o głowę z szyć. Ale, było nie było, znam jeszcze dziwniejsze pary od nich. W każdym razie już podczas przeprowadzki ten niby-facet miał na sobie obcisłe, skórzane gatki, białą, dopasowaną w pasie koszulkę i buty na koturnach.

Byłam pod wrażeniem tej drobiazgowości opisu. Żeby tak dokładnie pamiętać, jak ktoś był ubrany wiele miesięcy temu? Spojrzałam na nią z prawdziwym uznaniem. Ja wiem, co członkowie mojej rodziny nosili w ostatnich dniach tylko i wyłącznie z powodu sterty prania gromadzącej się w łazience obok pralki. Podczas sortowania tego „ciucholandy” dowiaduję się na przykład, że Benek zmieniał bluzkę dwa razy jednego dnia, ponieważ oblał się z góry na dół sokiem z czarnej porzeczki. Oczywiście w takiej sytuacji błyskawicznie się przebierał, żeby mama nie widziała, po czym wpychał poplamione ubranie na samo dno kosza z brudną bielizną. Ale żeby pamiętać, jak ubrany był sąsiad czy sąsiadka pół roku temu? Niesamowite.

– Może to jakiś artysta? – zastanawiała się Emilia z nadzieją w głosie. – Artyści często noszą koturny, żeby wydawać się wyższymi niż reszta plebsu. Nie tylko społecznie, ale także fizycznie. Dzięki temu czują się bardziej wyróżnieni.

– Serio? – zdziwiłam się.

Emilia pokiwała głową tak mocno, że upięte w kok loki aż zafurkotały wokół jej twarzy.

– Poważnie. Gdy studiowałam na ASP, niektórzy z moich kolegów dodawali sobie w ten sposób nawet kilkanaście centymetrów.

Odruchowo spojrzałam na jej stopy. Miała akurat sportowe buty, ale na dosyć wysokiej podeszwie.

– Noszę takie tylko do pracy – dodała, widząc moją minę.

– Myślisz, że moi sąsiedzi są jakimiś artystami? – zapytałam Emilię.

– Nie wiem. – Pokręciła głową. – Ja ich nie widuję.

– Ale na pewno są transwestytami – weszła jej w słowo Kasia. – Albo gejami. Czy nawet pedofilami...

– Przesadzasz. To ogromna różnica – powiedziałam, odkładając wiaderko z narzędziami i chwastami. – Transwestyci i geje są okej, ale pedofile...

– Jeden piernik. – Katarzyna upierała się przy swoim.

– To nieprawda – odparłam, znów patrząc na dom sąsiadów. – Geje żyją sobie spokojnie jak my, tylko że w związkach z partnerami tej samej płci. Niczym innym nie różnią się od reszty społeczeństwa. Transwestyci poprzez swój ubiór i zachowanie starają się upodobnić do płci przeciwnej. Dopiero w takim przebraniu czują się sobą. Często są to bardzo fajni i wrażliwi ludzie. Za to pedofile...

– ...są bardzo niebezpieczni – dokończyła za mnie Emilia. – Dotykają dzieci w niewłaściwych miejscach. A czasami nawet mogą je porywać i...

– Wystarczy – przerwała jej Kasia. – Już wszystko wiem. Na szczęście nikt taki tutaj nie mieszka. Chyba...

– Czy was przypadkiem nie ponosi wyobraźnia? – zezłościłam się.

Dziewczyny wciąż rozprawały między sobą.

– Ja mam chłopca – powiedziała Kasia z przestrachem. – I dziewczynkę też! Marzena także będzie mieć parkę, Iwona ma dwóch małych chłopców!

– Ja nie mam dzieci, ale jeśli będę miała... Co robić, gdy w sąsiedztwie mieszka pedofil? – zapytała z przestrachem Emilia.

– Dziewczyny! Dajcie spokój – przerwałam im. – Na razie nie ma tutaj żadnego pedofila. Poza tym wkurza mnie obgadywanie ludzi, którzy po prostu mają inny... sposób na życie. W końcu to ja mieszkam najbliżej ich domu. Nigdy żaden z sąsiadów czy też żadna z sąsiadek nie dała mi nawet najmniejszego powodu do podobnych podejrzeń.

Obie patrzyły na mnie bez słowa.

– Niech się ubierają jak chcą – dodałam. – Mogą sobie nawet do eleganckiej sukni i długich włosów dorzucić brodę albo przyczepić kraciastą kokardę na czubku nosa. To nie nasza sprawa. Jeśli im jest tak wygodnie, to super. Nam nikt nie mówi, jak mamy się ubierać, prawda?

– Niby tak – przyznały niechętnie.

– To dajmy im spokój – powtórzyłam – i zajmijmy się własnymi sprawami.

Powiedziałam to silnym, zdecydowanym głosem, jednak kątem oka znowu zerknęłam na ukrytą w cieniu brzoź fasadę domu numer osiem. W myślach obiecałam sobie przyjrzeć się sąsiadom spod ósemki znacznie dokładniej niż dotychczas.

Powiew dekadencji

Sąsiedzi spod trzynastki większość dnia spędzali poza domem. Na podstawie moich przypadkowych obserwacji oraz wiedzy stopniowo zdobywanej przez pracownicę Helę wiedzieliśmy tylko tyle, że nazywali się Romańscy, a owa damusia w szpileczkach nie pracowała, ale za to cały dzień spędzała na podobno szalenie męczących zakupach, u fryzjera i w salonach masażu. Chciałabym prowadzić równie nudne i trudne życie. Jej mąż natomiast należał do zarządu firmy, która kupiła dom na naszej uliczce. Ich dzieci miały kolejno po piętnaście i dziewięć lat. Zaczęły uczyć się w tej samej szkole, co potomstwo moje i moich przyjaciółek.

Choć była to szkoła państwowa, niewątpliwie należała do najlepszych w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Trzeba przyznać, że nauczyciele nie oszczędzali naszych dzieci, ale za to tak zwana „dwójka” cieszyła się wysokim odsetkiem uczniów zdających z sukcesem egzaminy. Wyjątkowo dobrze przygotowywała też dzieciaki do dalszej nauki. Nieraz rodzice z innych okręgów stawali na głowie, by ich pociechy się tutaj uczyły. Najbardziej zdesperowani załatwiali sobie nawet meldunki lub kupowali małe mieszkania w okolicy, byleby tylko dzieci chodziły do tej właśnie szkoły.

Pewnego dnia odebrałam Benka z punktu przedszkolnego nieco później niż zwykle, ponieważ wracałam z miasta, gdzie trzeba było załatwić kilka spraw związanych z ubezpieczeniem domu. Wysłuchanie listy różnych możliwości dodatkowych polis i pakietów zajęło mi więcej czasu, niż przypuszczałam, byłam zatem trochę spóźniona.

Maksymilian tego dnia kończył lekcje akurat o tej samej porze co jego młodszy brat, więc wróciliśmy do domu we trójkę. Zanim podgrzałam im obiad, zdążyłam jeszcze sprawdzić, co Maks ma do zrobienia w ramach zadania domowego. Benek usiadł obok nas przy stole i pomagając sobie językiem, pracowicie poprawiał wykropkowane szlaczki w swojej książeczce. Miał za zadanie zrobić w domu dwa podobne „kropkowe” rysunki oraz wyciąć i pokolorować niewielką mandalę z jesiennymi wzorkami.

– Na szczęście nie ma tego dużo – powiedziała z ulgą, oddając zeszyt Maksowi. – Zabierz się za odrabianie matematyki, a ja w tym czasie nastawię makaron. Benek, schowaj język, kiedy piszesz.

– Tak. Jęzor schowaj, bo obślinisz zaraz całą kartkę – dodał Maks złośliwym tonem.

– Daj spokój – odruchowo poprosiłam starszego syna.

– Nic nie oślinię – bronił się Benek, nie przerywając swojej pracy.

– Jak to nie? – pastwił się nad nim Maks. – Ślina skapnie ci na kartkę i będą plamy. A panie w szkole nie lubią ufajdanych prac. Od razu dostaniesz minusa.

– Przestań – powiedziała ostrzegawczym tonem. – Lepiej zajmij się własnymi zadaniami. Bo jak znam życie, o pracy domowej przypomnisz sobie po wieczornym myciu, a wtedy ja ci nie pomogę. Też muszę kiedyś odpoczywać!

– O, właśnie. Mamusi... – przypomniał sobie nagle Maks – na jutro mamy przynieść różne liście z drzew. Trzeba przykleić je na kartkach i podpisać. Najlepiej zrobić taki katalog. O drzewach w Polsce. Pospolitych czy coś takiego...

Odstawiłam garnek z wodą i ze zdziwieniem popatrzyłam na syna.

– I pani zadała coś takiego dzisiaj, wiedząc, że kończycie zajęcia o szesnastej, a zmierzchać zaczyna godzinę później? – zapytałam, marszcząc brwi. – Czy ona zwariowała? Zaraz do niej zadzwonię i pogadam... Co ona sobie wyobraża!

To był jedyny sposób na wyciągnięcie z dzieci prawdy – pogrożka, że sprawę natychmiast skonsultuje się z nauczycielem. Działo, że hej! Przynajmniej na razie.

– To nie tak – Maks zaczął się tłumaczyć, łapiąc mnie za rękaw. – Mamo, nie dzwoń! Pani zadała to przed weekendem, ale ja sobie zapomniałem.

– I mówisz mi o tym teraz? – Odłożyłam komórkę na blat stołu. – Popatrz przez okno, zaczyna się ściemniać. Dziecko, skąd ja ci teraz wytrzasnę liście?

– Chodźmy do lasu. – Benek zerwał się na równe nogi. – Ja pomogę Maksowi!

– No właśnie – poparł go brat. – Zdążymy zebrać liście, zanim przyjdzie noc.

– Weźmiemy latarki. – Mój młodszy syn nie widział żadnego problemu we włączaniu się między drzewami po zmroku. – Ale będzie fajnie!

Nie miałam najmniejszej ochoty szwendać się po lesie po zmierzchu. Było przecież zimno, ciemno, nieprzyjemnie. Marzyłam o gorącej herbacie, a nie krążeniu pomiędzy nagimi drzewami w poszukiwaniu zeschniętych liści.

Nie chciałam jednak przyczynić się do zepsucia średniej mojej pociechy. Dzieciak naprawdę się starał, żeby mieć dobre oceny. Mimo złości, że muszę znowu wyjść z przytulnego domu, zrobiło mi się go żal.

– W porządku. To raz-dwa – podjęłam decyzję. Nie było czasu na zastanawianie się. Należało działać szybko. – Zakładajcie kurtki. Ja wezmę jakiś worek, do którego będziemy zbierać liście. No i latarkę. Powrzucamy wszystko do jednej siatki, a dopiero po powrocie do domu będziemy segregować i opisywać.

Chłopcy w mig założyli buty i kurtki. Nim zdążyłam znaleźć jakąś reklamówkę, oni już stali przed drzwiami, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. W przeciwieństwie do mnie, wypad do lasu po ciemku potraktowali jak jakąś fantastyczną przygodę. Nie mieli pojęcia, co może się czaić w takich ciemnościach – przede wszystkim szalony dziad z rąbnętą krową. Możliwość spotkania tego człowieka przerażała mnie bardziej niż spotkanie z potencjalnym gwałcicielem, który w tych rejonach raczej nie miałby na kogo napadać. Klnąc pod nosem tak cicho, żeby młodzi nie słyszeli, z niechęcią narzuciłam na polarową bluzę gruby, wygodny bezrękawnik i szybko ruszyliśmy w stronę brzozowego zagajnika.

– Nie wiem, czy tam nie będzie tylko brzóz – powiedziałam, gdy mijaliśmy dom Agaty.

Spojrzałam w jego ciemne okna. Ostatnio moi sąsiedzi spod dwunastki zachowywali się wyjątkowo spokojnie. Pewnie dlatego, że odwiedziła ich matka Antoniego. Zatrzymała się u nich na kilka dni. Biedna Agata musiała się hamować z wrzeszczeniem, a Tosiek grzecznie wracał do domu zaraz po pracy i spędzał calutki wieczór w czułych objęciach spragnionej jego obecności rodziny.

Tuż za zakrętem drogi brzozowy zagajnik zamajaczył brunatną plamą na tle ciemnogrnatowego nieba.

– Są jeszcze sosny – przypomniał Benek. – Mamo, sama mówiłaś, że w tym lasku są śliczne sosenki.

– Masz rację. Maks będzie miał zatem przynajmniej dwa rodzaje liści. Było nie było, igły to też liście...

Szczyście jednak nam dopisało. Przy końcu drogi rośla niewielka leszczyna i zerwaliśmy z niej kilka pożółkłych już listków. Nieopodal niej znalazłam kalinę, której liście już opadły i leżały rozsiane wokoło. Udało nam się jednak wybrać parę ładnych okazów spomiędzy zasuszonych darni trawy. Już w lasku Benek znalazł młody dąbek.

– Chodźmy jeszcze tam, na drugą stronę brzeziny – powiedziałam, łapiąc Benka za rączkę. – W miejscu, gdzie zaczynają się łąki, widziałam chyba kiedyś olchy i głóg. Oby tylko liście nie spadły i nie zgniły...

– Wtedy gdy odprowadzałaś krowę? – dopytywał Maks. – Wtedy je widziałaś?

Mój starszy syn miał doskonałą pamięć. Kompletnie mnie tym zaskoczył.

– Właśnie wtedy... – mruknęłam, skupiając się na poszukiwaniu kolejnych liści.

– O, grzybek – powiedział nagle Benek. – Ma kropki, więc nie wolno go jeść. Pani w szkole nam mówiła.

– I słusznie. Najlepiej nie dotykać żadnego grzybka – upomniałam go.

– A ja tego zielonego grzybka, który rósł koło dębu, z którego zerwaliśmy liście, wcale nie polizałem.

Wiesz, mamusiu? Wtedy, kiedy mnie puściłaś, żeby zerwać te listki z krzaczka. Nic nie brałem do buzi, choć było niedobre. Obiecuję!

Struchlałam.

– Lizałeś grzybka? – Złapałam go za ramiona, porzucając worek z liśćmi.

– Nie! – odpowiedział nieco przestraszonym głosem, cofając się o krok.

– Synku, który to grzybek?

Szybko wróciliśmy do miejsca, gdzie w kępie zaschniętej trawy rósł uroczy dąbek. Jakies dwa metry od niego, przy obrośniętym mchem pniu, zobaczyłam żółtozielonego grzyba.

– O, ten. – Benek wskazał go palcem. – Jest ładny i nie ma kropek. A to te z kropkami są najbardziej niebezpieczne.

– To nieprawda. – Ledwo mogłam mówić. – Takie zielone i żółte na długich nóżkach są najgorsze. Nie wolno ich nawet dotykać.

– Dlatego go nie polizałem! – powtórzył z uporem Benek. – Bo tu było ich więcej. Chyba.

Z doświadczenia wiedziałam, że kiedy dziecko od razu mówi, że czegoś nie zrobiło, oznaczać to może tylko jedno – coś wprost przeciwnego...

– Mamo – wtrącił się Maks. – Jak on mówi, że nie polizał, to znaczy, że pewnie to zrobił.

Tego właśnie obawiałam się najbardziej. Dzieci często zaprzeczają, jeśli zrobią coś, czego im nie wolno. Pokusa nieraz jest silniejsza i zabronione przez nas rzeczy wydają się naszym pociechom stukrotnie bardziej nęcące niż inne. Gdyby tylko polizał tego grzyba, to zapewne skończyłoby się jedynie na bólu brzucha, ale ja, jako matka, oczami wyobraźni od razu zobaczyłam straszliwe konsekwencje tego czynu w postaci krwawych torsji, konwulsji i...

– A tutaj obok był drugi grzybek – ciągnął dalej Benek, pokazując białą plamę w mchu. – Ale ja go nie zerwałem i nie zjadłem. Przysięgam! Pewnie był gorzki...

Poczułam, że uginają się podę mną kolana.

– To skąd wiesz, że był tutaj drugi? – zapytał Maks, studiując uważnie wskazane przez Benka miejsce.

– Bo widziałem.

– No to gdzie teraz jest? – dociekał.

– Nie wiem... Może sobie poszedł?

Maks prychnął, ja tymczasem rozpaczliwie szukałam w kieszeniach komórki. Postanowiłam wezwać pogotowie. Niech coś zrobią! Wypłuczają mu żołądek, wymuszają wymioty, wszystko jedno, byleby go uratować!

– Wracamy do domu – powiedziałam, gdy nie znalazłam telefonu. – Musimy jechać do szpitala na płukanie żołądka.

– Ale dlaczego? – chciał wiedzieć Maksymilian.

– A co to jest pukanie do żołądka? – pytał równocześnie Benek.

– Nie pukanie do żołądka, tylko płukanie żołądka, łosiu – poprawił go Maks. – Wpychają ci taką rurę jak od prysznic w gardło i leją tyle wody, że wszystko wypływa z brzucha. Każdym otworem. Normalnie uszami i nosem, i pupą też. Nawet siusiakiem! To podobno strasznie boli!

– Oj, nie chcę! – ryknął mały.

– Musimy jechać aż do szpitala? – dopytywał się Maks. – Nie można wsadzić mu tej rury w domu?

Możemy wystawić go na trawnik za tarasem, żeby nie trzeba było sprzątać.

– Benek zżarł grzyba, który może go zabić – warknęłam, łapiąc ich za ręce. – Nie da się wypłukać żołądka w domu. I nie gadaj mu głupot o wylewaniu wszystkimi otworami!

– Nieprawda! – Mały się rozplakał. – Ja ci właśnie powiedziałem, że nie zjadłem i nie polizałem żadnego grzybka!

– Ale tu były dwa grzyby, a teraz jest jeden! Sam mówiłeś! – Pociągnęłam go mocniej za sobą.

Trzeba było niezwłocznie wracać do domu. O liściach na lekcję Maksa kompletnie zapomniałam. Teraz miałam ważniejsze rzeczy na głowie.

– To nie jaaaaa! – Benek wył na całego, zapierając się co chwila nóżkami o miękki grunt. – To nie jaaaaaa! Ja wiem, że nie wolno ruszać grzybków. Ja wiem. Jestem duży i wiem takie rzeczy! Nie chcę mieć mytego żołądka! Nie chcęęęę!

– On mówi prawdę. – Gdzieś zza pnia doszedł mnie cichy, cienki głos.

Zatrzymałam się zdumiona i rozejrzałam wokoło. Było już dosyć ciemno i ledwo dostrzegłam ubraną na czarno dziewczynę, która stała niedaleko nas bez ruchu, zasłonięta nieco młodą sosenką.

– Ten mały zobaczył grzyby, ale ich nawet nie dotknął. Nie musi pani jechać do szpitala. Proszę mi uwierzyć.

Dziewczyna zrobiła kilka kroków w naszą stronę. Z bladą twarzą, spowita od góry do dołu w czarne ponczo, wyglądała nierealnie. Od razu przypomniała mi się *Świtezianka* Mickiewicza.

– Czy ta pani już umarła? – zapytał nagle Benek. – Bo zjadła grzybka?

Myślałam, że nastolatka zbeszta moje dziecko albo zwróci mi uwagę, że mały jest źle wychowany, tymczasem ona tylko się uśmiechnęła.

– Nie umarłam – powiedziała. – Jeszcze nie, ale zapewne kiedyś tak się stanie. W końcu wszyscy umrzemy.

Poczułam dziwnie ciarki na plecach.

– Mamo, ja umrę? – zachwycił się Benek.

Zdążył zapomnieć, że kilkadziesiąt sekund temu wył wniebogłosy.

– Ja też? Ale ja nie chcę umierać! – przestraszył się Maksymilian, który takie sprawy rozumiał już nieco lepiej niż jego młodszy brat. – Lubię mój pokój i kolegów. Nawet tego idiotę Benka!

– Nikt nie będzie umierał – powiedziałam kategorycznym tonem. – Przestańcie!

– A co ta pani robi w lesie? – dopytywał mój młodszy syn. Brak informacji był dla niego największą karą. Musiał wszystko wiedzieć. – Też szuka liści?

– Przyszliśmy zbierać listki do katalogu mojego starszego syna. – Nie wiem, dlaczego, ale powiedziałam to przeproszającym tonem, jakbym swoją obecnością zakłóciła spokój tej dziewczyny. – Maks przypomniał sobie o zadaniu dopiero przed chwilą.

– Pani też przyszła po liście? Ma pani takie zadanie do szkoły? – Benek niestrudzenie bombardował ją kolejną porcją pytań. – Pani chodzi jeszcze do szkoły?

– Przyszłam tutaj, by w spokoju oddać się bezbrzeżnej dekadencji – powiedziało dziewczę natchnionym głosem. – Szukałam jakiegoś promyka nadziei w beznadziei otaczającej mój czarny od smutku świat.

– Na naszej ulicy fajnie się mieszka. – Najwyraźniej Benek na swój sposób zrozumiał skomplikowany wywód nastolatki. – I jest wesoło. A pani ktoś umarł?

– Benek, przestań – syknęłam. – Zamilknij na moment. Nie wolno zadawać tylu pytań.

– Jak masz na imię? – zapytał, nie przejmując się kompletnie moją naganą.

– Aurelia. Mieszkam w domu numer trzystaście. Szczęśliwa liczba, chociaż wielu uważa inaczej. – Dziewczyna podeszła bliżej. Na jej bladej, wychudzonej twarzy okolonej czarnymi włosami zobaczyłam coś w rodzaju pobłażliwego uśmiechu. Śmiałe zachowanie Benka najwyraźniej jej się podobało. – A ty?

– Benek – wypalił. – A to mój brat Maks.

– Ładne imiona – przyznała.

– Jesteś fajna – powiedział nagle mój młodszy syn. – Lubię fajnych ludzi.

Dziewczyna podniosła wzrok i spojrzała na mnie.

– Ten młodszy będzie w przyszłości dobrym negocjatorem – stwierdziła – albo światowej sławy psychologiem.

– Ma jeszcze czas, żeby zdecydować. – Posłałam jej wymuszony uśmiech, chociaż nie byłam pewna, czy w tych ciemnościach cokolwiek zauważyła. – Dobra chłopaki, mamy już wystarczająco dużo liści. Wracajmy do domu.

Podniosłam z ziemi porzucony worek i zajrzałam do środka.

– Ale mam, powiedziałaś, że na łąkach są jeszcze inne drzewa. – Maks był wyraźnie zawiedziony. – Na razie mamy tylko cztery liście. To za mało. Nie dostanę piątki.

– Trzeba było pamiętać o zadaniu. Miałaś na nie całutkie pięć dni! Nic na to nie poradzę. Czas wracać do domu. Zdecydowanie!

– Pomogę wam. To będzie fantastycznie dekadentkie! – powiedziała nagle Aurelia. – Tak zbierać sobie liście po ciemku w lesie...

Zamurowało mnie. Nie bardzo wiedziałam, czy należy to dziewczę traktować jak osobę nie zrównoważoną psychicznie, czy jest to tylko jeden z bolesnych etapów dojrzewania kobiecej psychiki, który jakimś cudem najwyraźniej mnie ominął. Pomimo ciemności Aurelia chyba dostrzegła moją zmieszaną minę, bo natychmiast dodała:

– W domu i tak nie ma co robić. Będę przynajmniej przydatna. Spędzam w tym lasku większość wolnego czasu i dobrze wiem, gdzie co rośnie. Podobno macie latarkę.

– Mamy. – Poddałam się.

– To ja idę z tobą. – Benek złapał dziewczynę za rękę.

Z zebraniem kolejnych liści do zielnika uwinęliśmy się wyjątkowo szybko. W tym czasie Benek zdążył zadać nastolatce co najmniej setkę pytań. Z reguły młodzi ludzie niechętnie rozmawiają z dziećmi, często nawet traktują je jak powietrze, a przyparci do muru odpowiadają byle jak i półgębkiem. Dlatego też Aurelia kompletnie mnie zaskoczyła. Wyraźnie się ożywiła podczas rozmowy z moimi dziećmi. Nawet się roześmiała, kiedy Benek opowiedział jej o krowie w ogródku.

– Masz świetne podejście do dzieci – pochwaliłam ją, kiedy szliśmy w stronę domu.

– Tylko one przyjmują zjawisko śmierci w sposób naturalny – odparowała Aurelia swoim cichym, grobowym głosem.

Pokręciłam tylko głową. Nie chciałam ciągnąć tego wątku przy moich chłopcach.

– Masz młodszego brata, prawda?

– Tak, Albrechta.

Nie miałam nic przeciwko modzie na staroświeckie imiona, ale w tym przypadku uznałam, że rodzice Aurelii wykazali się doprawdy swoistym poczuciem humoru, nadając swoim dzieciom takie imiona.

– Oryginalnie – odpowiedziałam.

– Brzydko, ale tata się uparł, bo tak miał na imię jego dziadek. Ja mówię na mojego brata Albi. Tak jest ładniej – skwitowała dziewczyna, zatrzymując się przed furką prowadzącą do jej domu. – O, jeszcze nikt nie wrócił. Brat pewnie wciąż jest w szkole albo na prywatnych zajęciach.

– Mama pracuje? – podpytałam.

Wprawdzie wiedziałam już od Heli co nieco na ich temat, ale teraz mogłam uzyskać informacje z pierwszej ręki.

– To nie jest nasza mama – odparła Aurelia, uciekając wzrokiem w bok. – To macocha. Mama umarła zaraz po urodzeniu Albiego.

– Och, tak mi przykro – przyznałam szczerze.

Pewnie dlatego ta dziewczyna jest taka zagubiona.

– O, tatuś wrócił. – Maks wskazał palcem nasz samochód i palące się w kuchni światło.

– No to biegnijcie do niego. – Lekko pchnęłam dzieciaki w stronę naszej bramy.

Chłopcy powiedzieli Aurelii szybkie „cześć” i pognali z workiem liści do domu. Dziewczyna pomachała im ręką na pożegnanie. Zostałyśmy same na chodniku.

– Dla Eleonory, naszej macochy, liczy się tylko kasa, którą zarabia tata. Wydaje ją na futra, wycieczki i kosmetyki. Na szczęście te przyjemności zajmują jej większość dnia, więc nie wchodzimy sobie w drogę. Gorzej jest, gdy tata musi wyjechać na kilka dni. Nie lubię zostawać tylko z nią, a tutaj na razie nie mamy nikogo.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, to mieszkam pod dziesiątką. – Wskazałam jej mój dom.

– Dziękuję, poradzimy sobie.

– Na pewno. Jesteś bardzo dzielna, skoro nie boisz się chodzić sama po lesie w takich ciemnościach – odparłam. – Mimo wszystko, w razie czego, przyjdź do nas.

Uśmiechnęłam się do niej pokrzepiająco. Tylko tyle mogłam zrobić.

– Ale jakbym była bardzo smutna albo samotna, to mogę do pani przyjść z bratem? – zapytała po krótkiej chwili.

Być może sprawił to widok moich chłopców ściskających na progu swojego tatę. Zrobiło mi się jej bardzo żal. W dużych, szarych oczach dziewczyny widziałam ogromny smutek i samotność. Miałam ochotę objąć Aurelię i pocieszyć, lecz bałam się, że tak śmiałym zachowaniem przestraszę ją i zerwę tę wątłą nić porozumienia, jaka nas złączyła w tych niecodziennych okolicznościach.

– Oczywiście. Kiedy tylko zechcesz.

Obróciła się na pięcie i pchnęła furtkę. Stałam przez chwilę w mroku i patrzyłam, jak Aurelia wchodzi do ciemnego domu. Po chwili na parterze zaświeciły się światła.

– Biedne dzieci – mruknęłam sama do siebie, kręcąc wolno głową.

Wróciwszy do swojego domu, gdzie już w progu przywitał mnie śmiech moich chłopców oraz zapach pieczonego bekonu, który Tomek właśnie przygotowywał na kolację, od razu poczułam się lepiej. Później wspólnie przykleiliśmy liście do kolorowych kartek, wypisaliśmy rodzaje drzew i obejrzelśmy bajkę *Tom i Jerry*. Kiedy zaś chłopcy, już wykąpani i odziani w kolorowe piżamki ze swoimi ulubionymi bohaterami, leżeli w swoich łóżeczkach, każdego z nich utuliłam i ucałowałam do snu mocniej niż zazwyczaj.

– Mają szczęście, że tak bardzo ich kochamy – szepnęłam do Tomka, kiedy przed snem jeszcze raz zajrzeliśmy do chłopaków. Benka nieraz trzeba było okrywać na nowo kołdrą, bo wiecznie ją zrzucał, a Maksa wręcz przeciwnie – odkrywać, żeby się nie udusił. Lekko spoceni od snu pachnieli rozkosznie malinowym mydełkiem.

– Mogłabyś zatulić ich na śmierć – odparł mój mąż, całując mnie w czoło.

– Bo nie mogę się opanować. – Jeszcze raz się pochyliłam i cmoknęłam Benka w mięciutkie czółko. Malec coś mruknął pod nosem, mlasnął kilka razy, po czym wtulił główkę w poduszkę. – Uwielbiam ich przytulać. To też dla nich ważne, bo wiedzą, że zawsze mogą przyjść do nas z każdym problemem. Te dzieci spod trzynastki nie mają takiego szczęścia. Ich mama nie żyje, a ojca wiecznie nie ma. Macocha zaś jest najbardziej antyprzytulającą osobą na świecie. Nie mają do kogo się zwrócić ze swoimi

problemami.

– Czuję, że zaoferowałaś im swoją pomoc. – Objął mnie w pasie i wyprowadził z pokoju syna.

– Bo tak trzeba było zrobić – odparłam. – Niech ta dziewczyna czuje, że są tu ludzie, którzy chętnie ją wesprą.

Tego wieczoru, kiedy Tomek już spał, wpatrywałam się w ciemne okno. Zza szyby i cienkiej firanki widać było kształt gałęzi brzozy oraz przeświecające poprzez resztkę pozółkłych liści światło księżyca. Wpatrując się w jego fosforyzujący blask, myślałam o Aurelii i Albrechcie. O tym, że wychowuje ich macocha, którą los tych dzieciaków raczej nie interesuje. O ich ojcu, który pewnie oddaje się pracy i nie ma możliwości poświęcić dzieciom odpowiednio dużo czasu. Pewnie brak wspólnych chwil rekompensuje drogimi zabawkami, które im wręcza za każdym razem, gdy wraca z delegacji. Pomyślałam sobie, że lepiej jednak wychowywać się i dorastać w domu, w którym nie ma bogactwa, a za to rodzice zawsze znajdą czas, żeby przytulić, ucałować swoje dzieci, pograć z nimi w piłkę, gry planszowe czy pojeździć na rowerze. Wspólna zabawa, śmiech i przytulanie są warte dla dziecka o wiele więcej niż nawet najpiękniejsza i najdroższa zabawka.

Tymczasem te dzieci były tak bardzo samotne... Bogate i samotne. Ponownie zrobiło mi się ich potwornie żal.

Okiem teściowej

Agata Zagórska, zamieszkująca wraz ze swoją liczną rodziną dom numer dwanaście, uważała się za osobę wyjątkowo wyrozumiałą i cierpliwą, choć jej mąż – oraz sąsiadki – miały na ten temat zupełnie inne zdanie.

Była w stanie znieść bardzo wiele: szkolne kłopoty swoich dzieci, późne powroty do domu męża, choroby, problemy finansowe, ciężką pracę nauczyciela mającego nieraz do czynienia z wyjątkowo złośliwymi uczniami. Owszem, krzyczała często. I to na tyle często, że jej rodzina i znajomi po prostu się już do tego przyzwyczaili, tym bardziej że jej złość przechodziła równie szybko, jak wybuchiała.

Tylko jedna osoba na świecie sprawiała, że Agata gotowała się bez przerwy w jej obecności – mamusia Antoniego. Już na sam jej widok robiła taką minę, jakby za chwilę miała eksplodować.

Jej teściowa lubiła od czasu do czasu zirytować synową, robiąc niezapowiedziany nalot na Brzozowy Zaułek pod pretekstem chęci ujrzenia ukochanego syna i wnucząt. Odwiedziny zazwyczaj trwały kilka dni i był to okres ciężkiej próby dla Agaty. Jej dzieci jednak lubiły swoją babcie, dlatego też Agata starała się jak mogła. Pod maską sztucznego uśmiechu dzielnie znosiła wszystkie złośliwości teściowej i cierpliwie czekała, aż ta wreszcie spakuje się i wyjedzie.

Był jeszcze inny powód, dla którego Agata zaciskała zęby i wygrażała teściowej tylko w myślach – prywatne lekcje języka angielskiego. Nie stać jej było na opłacanie dodatkowych sześciu godzin z lektorem tygodniowo, które finansowała matka Tośka. Taki wydatek nie mieścił się w jej skromnym, nauczycielskim budżecie.

Tak więc kiedy Barbara Zagórska pojawiła się w drzwiach ich domu pewnego sobotniego poranka, Agata nie miała wyjścia: musiała kochaną mamusię, babcie jej dzieci, przyjąć serdecznie, bez względu na targające nią sprzeczne uczucia.

Barbara Zagórska oczywiście uważała, że Agata nie jest odpowiednią partią dla jej ukochanego jedynaka. Agata pochodziła ze wsi, co dyskwalifikowało ją już w przedbiegach. Wprawdzie miała wyższe wykształcenie, lecz w oczach jej teściowej pochodzenie skutecznie przyćmiewało wszelkie zdobyte tytuły. Poza tym, zdaniem Barbary, Agata była za chuda, zbyt koścista i zdecydowanie za bardzo pyskata, by nadawać się na żonę i w ogóle życiową wybrankę słodkiego Tosiunia.

Kilkanaście lat temu Barbara Zagórska źle zniosła informację o rychłym ożenku syna. Jeszcze gorzej przyjęła fakt, że od szybkiego ślubu do narodzin Elwiry – jej najstarszej wnuczki – minęło zdecydowanie mniej niż dziewięć miesięcy. Przy każdej nadarzającej się okazji wypominała Agacie, że Elwirka przyszła na świat pół roku po weselu. Twierdziła, że ta ciąża była „rozpaczliwą próbą usidlenia fantastycznego mężczyzny, Antoniego, który w pewnym momencie wykazał się całkowitym brakiem zdrowego rozsądku”. W następnym zdaniu zwykle natychmiast podkreślała, że mimo to Tosiu to bardzo inteligentny i odpowiedzialny człowiek, albowiem wiadomość, że Agata jest w ciąży, przyjął po męsku i z godną bohatera odpowiedzialnością. Nie zostawił jej na bruku (Barbara Zagórska zawsze używała tego określenia, gdy rozrzasała tę historię, tak było bardziej dramatycznie), tylko zaopiekował się Agatą, wierząc, że dziecko jest jego. W wyniku tego przykrego zdarzenia chłopak stracił szansę na porządne

wykształcenie, co jest niepowetowaną stratą, gdyż – krótko mówiąc – jest „naddolny”.

Mimo wszystko w stwierdzeniu o „wpadce” musiało być sporo prawdy, skoro Agata reagowała na nie tak gwałtownie. Natomiast obliczenie czasu, jaki upłynął od daty narodzin pierwszego potomka do daty wesela, nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

– Mamo, dlaczego nie jesz śniadania? – zapytała Agata czwartego dnia pobytu Barbary w domu Zagórskich.

Jej teściowa siedziała za stołem i z niechęcią patrzyła na krzątającą się synową. Seniorka, ubrana w czarną suknię ozdobioną drobnymi cekinami wokoło bujnego dekoltu, wyglądała jak diwa operowa. Mocarny Antoni niewątpliwie posturą przypominał swoją matkę, która biustem mogłaby zatrzymać rozpędzonego minivana. Na ramionach miała piękny kaszmirowy szal, który otrzymała ponoć kiedyś od jakiegoś mafiosa. Jej ostre rysy twarzy podkreślała fryzura modna w latach osiemdziesiątych – skrócone ondulacją włosy z dłuższymi puklami nad karkiem – w której wyglądała zadziwiająco dobrze. Agacie jednak to uczesanie zawsze przywodziło na myśl jednego z członków Modern Talking.

– Chcesz zabić mojego jedyne syna! – oświadczyła nagle Barbara, owijając się szczelniej szalem, choć na dworze było już prawie dwadzieścia stopni. – Zauważyłam, że do kanapek nie dajesz mi pomidorów. W pomidorach jest potas, a bez potasu serce Tośka będzie coraz słabsze, aż wreszcie całkiem przestanie bić!

Agata zeszywniała.

– Mama kocha tatę – powiedział w jej obronie najmłodszy Ignasz.

– I właśnie dlatego chce go zabić – odparła Barbara zdecydowanym tonem.

Chłopiec zmarszczył ciemne brwi, zastanawiając się nad pokrętną odpowiedzią babci. W tym domu raczej nie stosowało się gier słownych.

– Mamo, nie mów tak. Przynajmniej nie przy dzieciach – poprosiła grzecznie Agata, starając się opanować z całych sił.

Miała coraz większą ochotę wytargać tę babę za kudły i wyrzucić z domu.

– Ale to prawda! – powtórzyła Barbara oskarżycielskim tonem. – Widziałam, jak przygotowywałaś kanapki dla Tosia dzisiaj rano. Jemu nie dałaś pomidora, a dzieci teraz dostały! Ja tego kompletnie nie rozumiem! Chcesz go zabić!

Ostatnie zdanie wypowiedziała dramatycznym tonem, chwytając się za serce. Na dzieciach zrobiło to duże wrażenie. Zaskoczone spojrzały na matkę.

– Tata nie lubi surowych pomidorów – oświadczył nagle Franek. – Lubi tylko keczup. Do frytek. Jak dostaje pomidory, to je odsuwa na bok talerza albo wyrzuca do kosza. Dlatego mama nie daje mi do kanapek pomidorów, tylko ogórka i rzodkiewki.

– I sałatę – dodał Ignacy.

– E tam! Farmazony. – Barbara była jednak pewna swoich racji.

– Mamo, przestań. – Agata ledwo się hamowała.

Była porywcza i często mówiła lub robiła coś, zanim to dobrze przemyślała. Jednak przy dzieciach, które kochała najbardziej na świecie, odnajdywała w sobie ogromne pokłady cierpliwości. Tym razem nie powiedziała więc nic więcej, gdyż troje młodych Zagórskich uważnie obserwowało tę coraz ostrzejszą wymianę zdań. Jako że Agata i Barbara znajdowały się na przeciwległych końcach długiego stołu, rozmowa przypominała odbijanie piłeczki do ping-ponga. Dzieci przerzucały spojrzenie z matki na babkę i z powrotem, śledząc tę ryzykowną grę.

– Tosiek miał w kanapce tylko masło, pieczone mięso i musztardę – odpowiedziała Barbara. – A gdzie ten ogórek? Gdzie sałata? Trzeba zmierzyć mu cholesterol, bo na pewno już dawno przekroczył górną granicę.

– Nie zauważyłaś rzodkiewki. To chyba dobrze, że pomiędzy pakowaniem jedzenia dla dzieci i podaniem im śniadania przed szkołą, mam jeszcze czas na zrobienie kanapek mężowi – odcięła się Agata, otwierając głośno zmywarę, by wyjąć z niej umyte sztućce.

Nagle zrezygnowała i z rozmachem zatrzasnęła drzwi urzędnika. Bała się, że w przypływie złości rzuci nożem prosto w czoło szanownej teściowej.

– To, że nie masz gustu, wiedziałam od momentu, kiedy zobaczyłam cię pierwszy raz kilkanaście lat temu w tej bezkształtnej, kwiecistej sukni – wypaliła matka Antoniego, zmieniając nagle temat.

– Och, dziękuję za tę uwagę – powiedziała Agata jadowitym tonem. – Twój syn mnie zapłodnił. Musiałam jakoś ukryć brzuch, żebyś nie dostała zawału, zanim się dowiesz o ślubie. Wówczas musielibyśmy czekać rok, aż minie żałoba.

– A ja w swej naiwności miałam nadzieję, że obcowanie z moim synem nieco złagodzi twoje, pozał się Boże, obyczaje – ciągnęła Barbara monotonnym tonem, nie patrząc na twarz synowej, która czerwieniła coraz bardziej. – Jednakże myliłam się. Nie sądziłam też, że ten brak kultury wynika z twojej bezdennej głupoty. Dlaczego chcesz ukatrupić mojego syna, skoro to on przynosi pieniądze do tego... że tak powiem... domostwa? Mam nadzieję, że inwestując w dodatkowe lekcje dla waszych dzieci, nie popełniam błędu. Może chociaż one wyrosną na normalnych ludzi!

Choć Agata bez problemu radziła sobie ze złośliwymi zaczepkami od wielu lat i potrafiła zareagować natychmiast adekwatną, ciętą ripostą w każdej sytuacji, tym razem ją замуrowało. I to kompletnie. Jeszcze nikt w jej czterdziestoparoletnim życiu nie zarzucił jej bezpośrednio – dwukrotnie podczas jednej rozmowy – że zamierza kogoś wysłać do grobu. Wlepiała w teściową pełne niedowierzania spojrzenie. Siedzące przy stole dzieciaki, poczynając od szesnastoletniej Elwiry, poprzez dwunastoletniego Franka aż po dziesięcioletniego Ignacego, zamarły, czując, że babcia przegięła i zaraz może rozpętać się prawdziwe piekło.

– Mama bardzo kocha tatę – powiedział nagle Ignas, chociaż był dzieckiem raczej małomównym. To śmiałe stwierdzenie zdziwiło nawet jego starsze rodzeństwo.

– Taaa – mruknęła babcia. – Oczywiście, że kocha. WYKAŃCZAĆ.

– Babciu, przestań – poprosiła Elwira. – Tata też nie jest święty i wiesz, o czym mówię. A na mamę zawsze możemy liczyć. Jest super mamą.

Barbara aż się zachłystnęła herbatą.

– Gdyby wasz ojciec miał w domu wszystko, co żona powinna mu dać, to nie szukałby szczęścia u innych kobiet.

– Babciu, nie przy chłopakach – ponownie zwróciła jej uwagę Elwira. – Są jeszcze mali.

W tym momencie Agata była bardzo dumna ze swojej pierworodnej córki. Elwira potrafiła nie tylko stanąć w obronie matki, ale również zadbać o to, by młodsi bracia wciąż żyli w dziecięcym przekonaniu, że ich tatuś to ideał.

– Niech się uczą – warknęła Barbara. – Będą wiedzieć na przyszłość, kto jest, a kto nie jest materiałem na żonę. – Spojrzała wymownie w stronę swojej synowej.

Agata wreszcie odzyskała mowę. Od dziecka była uczona szacunku do starszych, bez względu na to, jak bardzo są... ekscentryczni. Rodzice i dziadkowie zawsze jej powtarzali, że nestorów należy szanować, by na starość samemu zostać uszanowanym. Ale do cholery, myślała Agata, najwyraźniej żadne z nich nie miało do czynienia z tak wredną babą jak matka Antoniego! Miała już dosyć takiego traktowania – i to na dodatek w jej własnym domu! Czas walczyć o swoje! Może stanie się cud, jej urocza teściowa wreszcie się obrazi i wyjedzie na dobre?

– Ciekawe czegoż to szanownej mamusi brakowało, skoro tatuś miał kilka kochanek równocześnie i wybrał ostatecznie życie u boku listonoszki – wypaliła, odstawiając głośno na blat stołu talerz

z nieszczęsnymi kanapkami.

Tym razem to Barbara zaniemówiła. Nikt nigdy nie śmiał powiedzieć jej prawdy prosto w twarz.

– Tosiek przynajmniej wraca do domu, z czego wynika, że inne nie dają mu czegoś, co mam ja! – kontynuowała Agata twardo. – Antoni, mając taki przykład w domu rodzinnym, najwyraźniej nie potrafi jednak zachowywać się jak na prawdziwego mężczyznę przystało.

Pociągła twarz Barbary najpierw mocno zbladła, następnie uzyskała odcień niezdrowej szarości, by wreszcie przejść w kolor ciemnej purpury. Elwira, która uwielbiała zoologię i miała za sobą kilka wygranych konkursów tematycznych, pomyślała, że nawet kameleony nie potrafią zmieniać kolorów tak szybko.

– Więc może przestańmy sobie wreszcie docinać, dobrze? – dokończyła Agata. – Proponuję też, by mama nie krytykowała mnie więcej. Zwłaszcza przy dzieciach. Jeśli nie, to przysięgam, że zacznę zachowywać się tak samo i powyciągam przed nimi wszystkie mamy brudy!

Barbara zacisnęła ręce na blacie stołu z taką siłą, że aż jej pobieleły palce.

– Chyba, że mamusi moja propozycja nie odpowiada. Jeśli tak, proszę się spakować i zjeżdżać z mojego domu! Nikt mamy tutaj nie zapraszał i nikt mamy tutaj nie trzyma siłą!

Po tych ostrych słowach w jadalni zapadła grobowa cisza. Dzieci na bezdechu czekały na dalszy rozwój wypadków. Ignas zamarł z łyżką płatków na mleku w połowie drogi do ust. Franek z wrażenia dostał czkawki. Barbara świdrowała synową dziwnie wytrzeszczonymi oczami. Agata nie mogła znieść tego widoku, więc odwróciła się do niej tyłem. Stała przy zlewku, by wziąć się za zmywanie. Nagle usłyszała histeryczny krzyk Elwiry:

– Babciu! Co ci jest?

Kiedy się odwróciła, zobaczyła, jak Barbara puszcza blat stołu i wciąż patrząc przed siebie dziwnie niewyraźnym wzrokiem, przechyla się na bok. Nim siedzący najbliżej Franek zerwał się z miejsca, Barbara Zagórska z hukiem zwała się na wzorzystą terakotę.

Jak to wytłumaczyć?

Akurat wracałam do domu po szybkich zakupach, gdy na Brzozowy Zaulek wpadła karetka. Jej wycie słycać było z daleka. Jako że był to dzień powszedni i większość mieszkańców tkwiła w pracy, jej przejazd obserwowało niewiele osób. Najpierw pomyślałam, że Puchaczowa źle się poczuła. Ale dlaczego w takim razie pojazd zatrzymał się przy podjeździe Zagórskich? Poszłam do domu, wypakowałam naprędce zakupy i zerknęłam przez okno. Karetka wciąż stała przed domem numer dwanaście. Musiało dziać się coś niedobrego.

Po kilkunastu minutach zdecydowałam, że należy zajrzeć do Agaty, wyszłam więc przed dom i zamknęłam drzwi na klucz. Ruszyłam w kierunku jej domu. Kiedy jednak minęłam bramę Zagórskich, zatrzymałam się, nie wiedząc, czy właściwie powinnam teraz przeszkadzać. Może chodzi o jakąś gorączkę albo zwykłe zapalenie? Przecież gdyby sprawa była naprawdę poważna, ratownicy zapakowaliby chorego do karetki i jak najszybciej pojechali do szpitala. Co się stało? – głowiłam się. Ktoś zasłabł? Może dzieciaki coś spsociły? Kompletnie zapomniałam o matce Tośka, która gościła przecież u Zagórskich od kilku dni.

Gdy stałam tak pod ich domem, niepewna czy wejść czy nie, na zewnątrz pojawili się Franek i Ignasz.

– Chłopcy, co się dzieje? – zapytałam zaniepokojona.

– Mama z babcią się pozarły – Franek wzruszył ramionami – i babcia wywinęła orła. Rąbnęła o terakotę. Ojciec się wkurzy, jak przyjedzie po pracy. Będzie jatka.

Powinnam zwrócić uwagę Frankowi, żeby nie mówił w taki sposób o swojej babci, ale tym razem nie miałam głowy do zabawy w „ciotkę dydaktykę”.

– Czyli zasłabła? – Próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej.

– Nie wiem, nie rusza się. – Wzruszył ramionami Ignasz. – Chcieliśmy zostać i pomóc, ale mama powiedziała, że lepiej, jak pójdziemy do szkoły. Elwira za to została w domu. Obie cały czas płaczą.

– No – potwierdził Franek. – Nie jest dobrze...

W tym momencie pod dom Zagórskich podbiegła (o ile można to tak nazwać) Marzena. Obiema rękami podtrzymywała brzuch. Miała na sobie jakąś workowatą koszulę nocną i włochate różowe kapcie z głowami króliczków. Wyglądała fatalnie.

– To moja karetka! – wrzasnęła, opierając się ręką o tylne drzwi ambulansu. Z trudem łapała oddech, jakby właśnie przebiegła maraton.

– Ona zwariowała? – zapytał Franek, wskazując Marzenę palcem. – Pani Kosowskiej też coś jest? Będzie umierać?

– Obawiam się, że mamy inny problem! – Szybko ruszyłam w stronę przyjaciółki, która szarpiąc się z klamką tylnych drzwi karetki, wyrzucała z siebie serię soczystych przekleństw.

– Ma gadane – mruknął z uznaniem Franek. – Nawet teksty naszej mamy wymiękają.

– Chłopcy, idźcie już do szkoły – krzyknęłam do nich. – Ja się wszystkim zajmę.

– Dobrze!

Zobaczyłam, jak biegną chodnikiem z prawdziwą ulgą, że mogą zostawić za sobą to całe zamieszanie.

– Puść wreszcie te drzwi. – Złapałam Marzenę za rękę. – Ta karetka przyjechała do teściowej Agaty.

– Muszę do szpitala! – ryknęła z rozpaczą. – Zaraz eksploduję! Łukasz od wczoraj jest na szkoleniu i wróci dopiero późnym wieczorem. Zaczęło się! I to tak nagle! Ja pierdzielę! Ale boli! Aaaaaaa!

– Spokojnie! – Złapałam ją za ramiona. – Oddychaj głęboko, a ja zadzwonię po drugą karetkę, dobrze?

Kiedy odeszły ci wody?

Poczułam na stopach dziwne ciepło.

– Właśnie, cholera, teraz – wrzasnęła Marzena, kurcząc się w kolejnej fali bólu. – Przepraszam! Do diabła!

Szybko wyjęłam telefon z kieszeni i wybrałam sto dwanaście. Chłodny głos dyspozytorki brzmiał dziwnie w tej abstrakcyjnej sytuacji. W kilku zdaniach wyjaśniłam jej, co się dzieje.

– Ale na Brzozowy Zaulek wysłaliśmy już karetkę! – oświadczyła niechętnym głosem.

– Wysłaliście ją do osoby z innego domu. Właśnie przy niej stoję.

Marzena zaczęła na zmianę płakać i krzyczeć. Pochylała się coraz bardziej.

– Nie mam z nimi kontaktu – powiedziała dyspozytorka. – Proszę cofnąć karetkę pod adres rodzącej.

– Ale oni teraz ratują życie innej osoby!

– Może już skończyli?

Zacisnęłam zęby z wściekłości.

– Niech pani po prostu wyśle do nas drugą karetkę, bo mi tu kobieta zaraz urodzi dziecko na środku ulicy – wycedziłam.

– Nie wyślę, ponieważ teraz nie mam żadnej wolnej. Był wypadek na przejeździe kolejowym. Ambulanse utknęły po drugiej stronie. Zanim pokonają objazd, minie co najmniej dwadzieścia minut. Prędzej pomogą ratownicy z karetki, przy której pani stoi...

Rozłączyłam się, nie czekając na dalszą część wypowiedzi dyspozytorki. Nie było czasu na słowne przepychanki. Musiałam ratować przyjaciółkę.

– Chodź, musimy dotrzeć do domu Agaty!

– Nie dam rady – sapnęła Marzena, stając w rozkroku. – Nie mogę.

– Musisz!

Zarzuciłam jej rękę na moją szyję, podparłam ją i zmusiłam, by ruszyła. Pokonanie dwudziestu metrów prostej drogi okazało się naprawdę ogromnym wyzwaniem. Nogi odmówiły Marzenie posłuszeństwa. Pół metra od drzwi oparła dłonie o chodnik.

– Pomocy! – ryknęłam. – Agata! Otwieraj!

Nie mogłam się uwolnić z mocnego uścisku Marzeny. Do dzwonka było zdecydowanie za daleko. Zerwałam z ramienia torebkę i cisnęłam nią w drzwi. Pofrunęła pięknym łukiem i trafiła prosto w twarz lekarza, który akurat wychodził na ganek.

– Co do...! – oburzył się, lecz urwał, gdy zobaczył zwijającą się z bólu Marzenę, którą bezskutecznie starałam się podnieść ze schodów.

– Ona rodzi! – krzyknęłam.

– Mamy poród! – Mężczyzna zawołał w stronę drzwi, po czym ruszył w naszym kierunku. – Chryste, co za dzień!

Po nogach mojej przyjaciółki popłynęła kolejna stróżka wód płodowych zmieszanych z krwią.

– Nie jest dobrze! – sapnęłam.

Lekarz był krzepkim mężczyzną przed czterdziestką. Złapał Marzenę w taki sposób, że prawie ją podniósł. Wreszcie mogłam się wyprostować. W progu pojawiła się Agata i drugi ratownik.

– Marzena rodzi – poinformowałam ją. – I chyba miejscem narodzin jej dziecka będzie twój dom.

– Matko Boska! – jęknęła. – Elwira, potrzebujemy twojej pomocy! – Ostatnie zdanie rzuciła w głąb

domu. – Zostaw babcię, może poczekać z tym przebieraniem. Przynies prześcieradła z góry, rozłożymy je na dole na fotelu.

– Lepiej na podłodze – powiedział któryś z ratowników.

– Zaprowadźmy ją do domu. – Lekarz prawie niósł rodzącą, pomagając jej wejść na pierwszy z pięciu stopni.

Marzena nie stawiała oporu, sypała za to wiązankami tak wyszukanych wulgaryzmów, że mogłaby zawstydzić niejedną ekipę budowlaną. Tymczasem Agata i Elwira migiem rozłożyły na podłodze w salonie gruby koc, a na nim dwa prześcieradła. Pielęgniarka delikatnie ułożyła Marzenę na tym prowizorycznym pościelaniu. Dopiero wtedy mój wzrok padł na leżącą na kanapie matkę Antoniego.

– Czy ona śpi? – zapytałam głupio, wskazując ją palcem.

– Zgadnij! – rzuciła Agata przez zaciśnięte zęby, pospiesznie podkładając Marzenie pod głowę porwaną z fotela poduszkę.

Marzena na szczęście była skupiona na swoim bólu. Nie spostrzegła, że kilka metrów dalej leży martwa kobieta.

– Powinniśmy zabrać panią do szpitala – powiedział lekarz, gdy tylko ją zbadał. – Ma już pani bóle parte! Dziecko przyjdzie na świat lada moment.

– Nie zdążymy – odparł drugi ratownik. – Wiadukt jest zamknięty, więc dojazd do najbliższego szpitala zajmie nam co najmniej dwadzieścia minut. Chyba lepiej rodzić tutaj niż w karetce.

– Na kiedy ma pani termin?

– Na... za... tydzień!!! Auuuu!!! – wywrzeszczała Marzena. – Ale boli! Trafi mnie zaraz szlag! Chcę znieczulenie!

– Już za późno... – pokręcił głową lekarz, próbując wstać.

Nagle został złapany przez Marzenę za poły kurtki z taką siłą, że aż zagrzechotały mu zęby.

– Ale ja miałam mieć znieczulenie – syknęła z taką wściekłością, że aż go opluła. – Miałam mieć pieprzony poród rodzinny!

Lekarz jednak wykazał się mistrzowskim opanowaniem.

– Choćbym chciał, to nie mogę dać pani teraz znieczulenia. Zanim zaczniesz działać, pani już będzie trzymać dziecko w ramionach.

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Wszyscy byli jednak tak zajęci, że nikt nie kwapił się, żeby otworzyć.

– Otwarte! – wrzasnęła Agata, zajęta rozkładaniem prześcieradła, które wspólnie włożyliśmy Marzenie pod pupę.

Do domu weszło dwóch ubranych na czarno facetów.

– Dzień dobry. – Ukłonili się w tym samym czasie, jakby ćwiczili dyganie przez co najmniej tydzień. – My przybyliśmy po kobietę.

– Co!?! – wrzasnęła Marzena, unosząc głowę znad prowizorycznego pościelania. – Wezwaliście po mnie grabarzy?! Odpieprzyło wam!?! Iwona, co się tu dzieje?! – ryknęła do mnie, bo akurat klęczałam przy niej i trzymałam za rękę, kiedy pielęgniarka z lekarzem naprędce przygotowywali się do odebrania porodu.

– Córciu, zajmij się panami. – Agata szybko wydała polecenie Elwirze.

– Ależ panowie szybko się uwinęli! – powiedziała dziewczyna ze zdziwieniem. – Dzwoniliśmy po was zaledwie godzinę temu! Nie zdążyliśmy jeszcze przygotować ciała.

– Zakład jest dwie ulice dalej – wytłumaczył jeden z grabarzy. – Na szczęście nie trzeba przejeżdżać przez wiadukt, bo to, co się tam dzieje w tej chwili, to masakra. I to dosłownie. Paliło się auto, z którego strażacy próbowali wydobyć dwie osoby. Pewnie niebawem ich rodziny odezwą się do nas...

– A przyjeżdżamy tak prędko, ponieważ teraz klienci życzą sobie zabierać zwłoki bliskich możliwie

jak najszybciej – wtrącił drugi. – Zwłaszcza, kiedy w domu są dzieci, nieprzywykłe do obcowania z...

– Spore rozwarcie – przerwał rozmowę lekarz.

Jak się później okazało, pracował w pogotowiu zaledwie niecały miesiąc. Pierwszy raz w życiu odbierał poród. Dobrze, że wtedy nikomu nie przyszło do głowy pytać go o staż pracy, bo Marzena, znając jej charakter, byłaby gotowa nie urodzić.

– Czy ta pani nie powinna przypadkiem znaleźć się w szpitalu? – Grabarz wskazał Marzenę palcem.

– Nie zdążymy dojechać – poinformował ich drugi ratownik. – Most jest zamknięty przez ten wypadek.

– Ale jest świetny objazd. Tylko dla wtajemniczonych, trzeba jechać taką polną drogą... – Grabarze naprawdę starali się być pomocni.

– Ja niestety słabo znam te okolice – odparł pielęgniarz. – Jestem w zastępstwie za kolegę. To nie mój rejon, wie pan. A ta kobieta powinna znaleźć się w szpitalu w ciągu pięciu minut.

– Możemy ją zabrać naszym karawanem. Powinniśmy dojechać w te pięć minut. Dawno nie wieźliśmy żywego pasażera.

– Co?! – wrzasnęła Marzena pomiędzy jedną a drugą falą skurczów. – Zwariowaliście? Nie będę jechać żadnym cholernym karawanem!

– I tak nie zdążymy. – Młody lekarz wciąż klęczał między nogami Marzeny, co chwila sprawdzając rozwarcie. – Proszę pani, wygląda na to, że jeszcze ze dwa, trzy parcia i będzie po wszystkim.

Marzena ścisnęła moją rękę tak mocno, że omal nie zmiażdżyła mi paliczków.

– Niech oni wszyscy się wyniosą! – wydyszała, ledwo hamując kolejną falę przekleństw.

Niestety leżała tak, że każdy, kto tylko wszedł do domu, widział jej krocze, właśnie rozrywane przez zadziwiająco szybko nadciągającego potomka. Ale jak można było usunąć stąd wszystkich, skoro akcja porodowa rozgrywała się w takim punkcie domu? Salon, kuchnia i hol stanowiły otwartą przestrzeń. Nie dało się odgrodzić miejsca narodzin od reszty domu i niestety nie było już możliwości przeniesienia rodzącej w bardziej ustronne miejsce.

Najrozsądniej zachowała się Agata.

– Może lepiej poproszę panów na zewnątrz! – Zdecydowanie wypchnęła ich za drzwi.

Goście jednak stawiali jawny opór.

– Pani Zagórska, my mamy pogrzeb za półtorej godziny. Musimy wrócić do zakładu, odebrać trumnę z ciałem i zawieźć do kaplicy. Nie mamy czasu!

– Zwłokom się nie spieszy – tłumaczyła Agata, ciągnąc ich na ganek. – Poza tym sami widzicie, że mamy tutaj sytuację co najmniej wyjątkową. Panowie z karetki przyjechali stwierdzić zgon mojej teściowej, a tymczasem sąsiadka potrzebowała pilniejszej pomocy. W tej sytuacji nie ma czasu na jazdę do szpitala.

Istotnie akcja porodowa, trwająca na środku salonu Zagórskich w towarzystwie zwłok Barbary Zagórskiej, była już za bardzo zaawansowana, by gdziekolwiek się ruszać.

Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że przeżyję coś takiego w domu Agaty. Tymczasem klęczałam tam na podłodze i zaciskałam zęby, żeby nie krzyczeć z bólu, bo Marzena swoim uściskiem miażdżyła mi kości śródrečna.

– Dobrze, ustawiłem dziecko prawidłowo – tłumaczył lekarz spokojnym głosem. – Teraz bardzo proszę, żeby pani parła z całej siły...

Marzena krzyczała tak bardzo, że czułam dziwne wibracje w uszach. Wreszcie zaparła się, usłyszałam chlupnięcie i...

– Już! – krzyknął ratownik. – Jest! Piękna dziewczyna! Jakie ma włoski!

Jego słowa zmieszały się z głośnym wrzaskiem noworodka.

– Płuca ma silne – skomentował drugi. – Będzie dobrze.

Marzena odruchowo wyciągnęła ręce po dziecko. Lekarz przeciął pępowinę, wytarł noworodka podanym przez Elwirę ręcznikiem i delikatnie ułożył go w ramionach matki. Marzena się rozpłakała, ściskając tobołek z maleńką córeczką.

– Jakaś ty piękna! Wyglądasz jak aniołek.

To niesamowite, co hormony potrafią zrobić z człowiekiem. Cała wściekłość Marzeny, uzewnętrzniana stertą przekleństw, zniknęła. Pozostała jedynie bezgraniczna radość ze szczęśliwego zakończenia.

– Pięknie poszło – stwierdził lekarz, wciąż pochylony między nogami Marzeny. – Nawet nie trzeba zakładać szwów. Mimo wszystko teraz zabierzemy panią i dziecko do szpitala. Powinni obejrzeć was specjaliści. Już nie musimy się spieszyć.

– No pięknie – mruknęłam do siebie. – Przyjechali stwierdzić zgon, a zawiozą do szpitala noworodka. Życie jednak bywa bardzo przewrotne.

Lekarz przygotował Marzenę do transportu. Razem z pielęgniarzem ułożyli ją na przyniesionych z samochodu noszach i po chwili odjechali. Kiedy ruszali z podjazdu, do domu cicho weszli grabarze z drugimi noszami. Już się nie spieszyli...



Dwie godziny później, kiedy dom Zagórskich wreszcie opustoszał i wszystkie emocje powoli opadły, do Agaty dotarł tragizm całej sytuacji. Siadła za stołem, oparła się łokciami o blat i wybuchła rzewnymi łzami.

– Zabiłam mamusię Tośka! – chlipała, wycierając rękawem czerwony od łez nos.

Tymczasem Elwira zebrała pokrwawione podczas porodu prześcieradła oraz poduszkę, na której zmarła jej babcia. Zniosła je do piwnicy, wepchnęła do pralki, po czym ustawiła ją na najwyższą temperaturę i najdłuższe pranie. Zanim jednak pralka zaczęła napełniać się wodą, dziewczyna zmieniła zdanie. Wyjęła wszystkie bety ze środka, wepchnęła je do worka na śmieci i wyniosła do kosza. Nie chciała już nigdy więcej oglądać błękitnych poszewek, na których zmarła jej babcia i różowych prześcieradeł, na których na świat przyszedł nowy człowiek.

Ja siedziałam przy Agacie i starałam się jakoś zebrać ją do kupy po tych wszystkich przeżyciach.

– Według ratowników mama Tośka miała poważne problemy z sercem – próbowałam ją pocieszyć. – Nie powinnaś czuć się winna, bo ona i tak lada moment dostałaby tego zawału. Może lepiej, że stało się to tutaj, w domu, wśród rodziny, niż u niej, gdzie byłaby sama. Mogłaby wtedy leżeć kilka dni...

Agata zniosła się żalonym płaczem.

– Nie znosiłam jej – wyszeptala przez łzy. – Zawsze chciałam, żeby ją trafił szlag, ale dlaczego, do cholery, musiał to zrobić w moim domu? Przy wszystkich dzieciach! Przy moim stole! Podczas śniadania! Zamurowało mnie. Nie bardzo wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Wiesz, śmierć nie wybiera – powiedziałam w końcu. – Tak samo jak życie. Nikt się nie spodziewał, że Marzena urodzi dziecko akurat u ciebie w salonie.

Agata uniosła głowę i spojrzała na mnie przez zapuchnięte od łez powieki.

– Ale krzyczała! – prychnęła nabrzmiałym od płaczu śmiechem.

– A klęła jak szewc – przytaknęłam. – Mogłaby z powodzeniem napisać słownik brzydkich wyrazów. Jestem pewna, że ta książka zrobiłaby furorę.

– Sama dużo przeklinam, ale niektóre słowa słyszałam po raz pierwszy – zgodziła się ze mną. – Naprawdę istnieje taki wyraz jak dupcyngiel?

Teraz i ja się roześmiałam.

– Myślę, że w tej sytuacji każdej kobiecie wolno używać przekleństw.

Agata zamilkła na chwilę.

– Ja najbardziej klęłam przy pierwszym porodzie. Elwira miała dużą głowę, a ja byłam jeszcze wtedy dość... ciasna.

– Tak, uważa się, że pierwszy poród jest najgorszy, ale u mnie było odwrotnie – powiedziałam. – To przy Benku więcej się nacierpiałam. Z Maksymilianem poszło jak z płotka. Niewiele brakowało, a urodziłabym w taksówce. Zupełnie jak w tym filmie *I kto to mówi*.

– Naprawdę? – Agata nie mogła w to uwierzyć.

– Oczywiście. Dlatego nie zdziwiłam się, że u Marzeny też poszło tak szybko.

– Coś podobnego... Ja za każdym razem musiałam się niezłe namęczyć i łądowałam w szpitalu wiele godzin przed rozwiązaniem.

Wyciągnęłam z szafki jakąś whisky i nalałam trochę do szklanek. Usiadłam obok Agaty.

– Napij się, moja droga. Przyda ci się coś na rozluźnienie.

Odkąd znałam Agatę, a minęło już ładnych parę miesięcy, nigdy nie widziałam jej tak bardzo przygnębionej, jak w tej chwili. Siedziała przygarbiona, przez co wydawała się jeszcze bardziej koścista niż zwykle. Nerwowo zaplatała długie palce. Na serdecznym tkwiła obrączka. Agata nigdy jej nie zdejmowała, choć pewnie nie raz w trakcie kłótni z mężem miała ochotę cisnąć nią jak najdalej.

– Nie mogę się dodzwonić do Tośka – powiedziała z żalem. – Będzie miał mi potem za złe, że nie daliśmy mu od razu znać, co się stało.

– Myślę, że powinnaś pojechać do niego do pracy. To i tak nie jest rozmowa na telefon – powiedziałam.

– I tak zrobię – przytaknęła. – Wiem, że masz już mnie dość, ale czy mogłabyś pojechać ze mną? Nie wiem, czy będę w stanie prowadzić.

Nie miałam innego wyjścia: sąsiadce należało pomóc. Wprawdzie warsztat nie znajdował się daleko, ale Agata była tak zdenerwowana dzisiejszymi zdarzeniami, że wolałam nie zostawiać jej samej. Wsiadłyśmy do auta. Ja prowadziłam. Już po dwóch minutach znalazłyśmy się na miejscu.

Antoni szczerze się ucieszył na nasz widok. Zwłaszcza na widok Agaty. Szybko wytarł w ścierkę pobrudzone smarem dłonie i wybiegł nam na spotkanie, jakby nie widział żony co najmniej pół roku.

– Nie wzięłaś telefonu – warknęła na przywitanie, jednak Tosiek to zignorował.

– Ale super, że wreszcie przyjechałaś zobaczyć mój warsztacik. Ciebie też witam, Iwonko. – Złapał nas w pasie i poprowadził do niewielkiego budynku przypominającego garaż na dwie ciężarówki, pomalowanego na przyjemny, seledynowy kolor.

Wielkie stalowe drzwi pracowicie pokryto od zewnątrz efektywnym graffiti. Wewnątrz panował zaskakujący porządek. Wzdłuż pomalowanych na kremowo ścian stały regały i stoły, a na nich piętrzyły się różne części, pudełka ze śrubkami, farbami, smarami i innymi niezbędnymi do remontu jednośladów akcesoriami. Na samym środku znajdował się częściowo rozebrany motocykl. Majstrowało przy nim dwóch młodych mężczyzn, którzy jak się potem okazało, byli pracownikami Antoniego. Pod jedyną pustą ścianą na swoją kolejkę do naprawy czekał jeszcze jeden motocykl i dwa rowery. W radiu grała rockowa muzyka. Chłopcy, rozmawiając cicho, montowali przednie koło pojazdu.

– Nie spodziewałam się, że będzie tutaj tak czysto. – Agata była wyraźnie zaskoczona. – W domu rozrzucasz swoje rzeczy gdzie popadnie. A tutaj? No proszę. Tosiek, jestem pod wrażeniem!

Antoni cieszył się jak małe dziecko, które właśnie dostało fantastyczną zabawkę.

– Bo tutaj się staram, a w domu już nie mam na to siły! – Roześmiał się tym swoim tubalnym głosem. – Poza tym warsztat jest też moim biurem. – Ręką wskazał niewielkie biurko w najciemniejszym kącie pomieszczenia.

Stał tam laptop, drukarka, styryany kubek bez ucha wypełniony długopisami oraz opasy segregator.

– Gdy biznes prowadzi się legalnie, to jest od metra papierkowej dziabaniny. Dlatego czasami wracam późno do domu.

– To niesamowite. Zaskoczyłeś mnie – przyznałam szczerze. – Agatę chyba także.

– A ja myślałam, że ty do tej platynowej dziwki łazisz. – Agata obeszła cały warsztatik.

Chłopcy pracujący przy motorze parsknęli śmiechem.

– Szef rzeczywiście ma słabość do takiej jednej platynowej. Jest tam w kącie. I tylko na niego czeka.

Marszcząc brwi, zerknęłam we wskazane miejsce. Stał tam motocykl. Choć nie miał kół i był podparty na pustakach i tak prezentował się imponująco. Pomalowany w srebrno-złote płomienie, z obitym na czarno siedziskiem i błyszczącymi metalowymi elementami robił duże wrażenie.

– Nie możemy dokupić jednej części. – Tosiek czule pogłaskał skórzane siodło pojazdu.

– Szefunio każdą wolną chwilę spędza, odnawiając to cacko.

– Jak go wyremontuję i sprzedam, to będziemy mieli kasę na superwakacje – wyjaśnił Tosiek. – Pojedziemy do tego twojego wymarzonego Maroka. Już nawet hotel wybrałem. Drogi jak diabli, ale co tam. Raz się żyje.

– Och, Misiuniu! – jęknęła Agata, rzucając się Tośkowi na szyję. – Jesteś taki cudowny. A ja taka niedobra.

Zaskoczony wylewnym zachowaniem Agaty, Antoni niezgrabnie ją przytulił.

– No już dobrze. Nie gadaj bzdur. Dobra jesteś, chociaż czasami krzyczysz za głośno.

– Ja nie żartuję! – Chlipnęła mu w ramię. – Ja tu przyjechałam powiedzieć ci coś strasznego, a ty taki miły jesteś. Motor robisz, żebyśmy na wakacje mieli!

Dopiero wtedy Tośkowi przyszło do głowy, że Agata przyjechała tutaj z jakiegoś konkretnego powodu. Zrobił się czujny. Lekko odsunął ją od siebie i spojrzał w jej zapłakane oczy.

– Co się stało? Coś z dziećmi?

– Nie!

– Z domem?

– Nie. – Agata znów była bliska płaczu.

– No to co jest, na Boga?!

– Mamusia! – wyrzuciła z siebie Agata.

– Znów się obraziła? – Tosiek pokręcił głową. – Wiem, że ona wszystkich denerwuje. Dzisiaj wyjdę z pracy wcześniej i odstawię ją do domu. Najwyższy czas się jej pozbyć. Mam dosyć. Nie chcę jej oglądać. Wolę siedzieć w ogrodzie niż w domu z dwoma babami, które...

Niestety wypowiedział te słowa w najmniej odpowiednim momencie. Agata zamarła, wpatrując się pustym wzrokiem w śniadą twarz męża.

– Twoja mamusia... twoja mama... ona umarła! – wypaliła wreszcie, ponownie wybuchając łzami.

– Co zrobiła? – Antoni zdawał się nie rozumieć do końca tego, co właśnie powiedziała mu żona.

– Naprawdę. Całkiem niespodziewanie! Siedziała za stołem, jadła śniadanie z dziećmi i nagle... nagle... puf. Padła martwa na ziemię!

Na zakupy

Kolejne dni na Brzozowym Zaułku miały radośnie i smutno zarazem. W jednym domu niepodzielnie panowało szczęście, w innym zaś żal z powodu straty (było nie było) bliskiej osoby.

Ciepła pora roku akurat się skończyła i jesień nagle pokazała się od tej mniej przyjemnej strony. Od dwóch dni powietrze było przesycone wilgocią. Wprawdzie wiatr ledwie poruszał ostatnimi listkami na drzewach, lecz niska temperatura i bezustannie siąpiący drobny deszczyk skutecznie zniechęcały do spacerów czy odwiedzin.

Zaczął się też niestety sezon chorobowy – niektóre sąsiedzkie dzieciaki już miały anginę. Michalinka Kaśki złapała nawet szkarlatynę. Moje małe słoneczka jakoś się dzielnie trzymały, nie licząc drobnego kataru u Benka.

Marzena ze swoją nowonarodzoną córcią – Gabrysią – została w szpitalu, bo miała przechodziła żółtaczkę. Łukasz miał dzięki temu trochę więcej czasu na ostateczne przygotowanie domu na przyjęcie nowego malucha. Kiedy zajęty był składaniem łóżeczka, wybieraniem pościeli i poszukiwaniem dziecięcej wanienki na strychu, Dawidek plątał mu się pod nogami, zadając setki pytań, jak na pięciolatka przystało. Łukasz z anielską wręcz cierpliwością odpowiadał na wszystkie.

Tymczasem u Zagórskich panowała trudna do zniesienia atmosfera. Antoni wprawdzie nie powiedział Agacie wprost, że nagła śmierć jego matki była wynikiem jej bezustannych zatargów z nią, ale to oskarżenie wisiało w powietrzu. I mogło paść w każdym momencie, wywołując lawinę kłótni. Ich dzieci starały się więc jak najwięcej czasu spędzać poza domem. Kiedy nie mogły ukryć się w świetlicy, bibliotece czy u przyjaciół, zamykały się u siebie w pokojach z nadzieją, że żadne z rodziców nie wywoła ich stamtąd i nie każe podczas awantury zeznawać w charakterze naocznego świadka niedawnych, tragicznych wydarzeń. Na szczęście wszelkimi przygotowaniami do pogrzebu zajęła się firma, której przedstawiciele odebrali ciało Barbary z domu Zagórskich. Pogrzeb odbył się szybko i bez większych sensacji. Seniorkę Zagórską pochowano w rodzinnym grobowcu pięćdziesiąt kilometrów od Brzozowego Zaułka.

Po zamknięciu tego smutnego rozdziału wszyscy czekaliśmy na powrót Marzenki i jej małej córeczki. Wprawdzie nasza przyjaciółka codziennie przysyłała zdjęcia wykonane telefonem – a to kiedy mała spała, a to gdy wpatrywała się zapuchniętymi oczkami gdzieś w dal – ale to przecież nie było to samo. Mając więc o jedną kompankę do pogaduch mniej, uważniej obserwowałam zagadkowych sąsiadów spod ósemki. Czułam się przez to trochę jak podglądacz, ale cóż, tłumaczyłam sobie, działałam przede wszystkim dla dobra moich dzieci. Od ostatniej rozmowy z przyjaciółkami na ich temat trochę mnie niepokoił.



Na dzień przed powrotem Marzeny ze szpitala postanowiłyśmy wraz z Emilią wybrać się do sklepu, żeby wspólnie kupić Gabrysi coś fajnego. W centrum miasta był ogromny sklep ze wszystkimi artykułami dziecięcymi. To właśnie do niego wybrałyśmy się na zakupy.

– Patrz, jaka piękna sukieneczka – rozplýwała się Emilia nad kremową, satynową sukienką z koronkowymi falbankami.

Wokoło rękawków i pod szyją ubranko miało naszyte drobniuteńkie, różowe kwiatuszki.

– Wygląda uroczo, ale jest zupełnie niepraktyczna – skwitowałam, oglądając dokładnie ubranko.

– Dlaczego?

– Bo ma odstające guziki na plecach. – Palcem wskazałam zapięcia. – Jak tylko położysz dziecko w czymś takim, natychmiast dostanie odleżyn i będzie wyło przez następny tydzień, doprowadzając rodziców do szału.

Emilia zagryzła wargi i odwiesiła sukienkę.

– Och, fantastyczny misiaczek! – Podbiegła do pluszowego niedźwiedzia, który był tak duży, że sięgał mi do pasa. – Posadziłabym go przy łóżeczku, żeby pilnował małej. Jest taki... atletyczny. Jak ochroniarz.

– Kto kupuje niemowlakowi coś takiego? Nie daj Boże, żeby się przechylił. – Wzruszyłam ramionami.

– Przygniółby główkę dziecka i mała Gabi mogłaby się udusić.

Emilia z przerażoną miną odsunęła się od przypakowanego misiaczka, patrząc na niego jak na niedoszłego zabójcę.

Pośrodku sklepu stał niewielki okrągły stoliczek, a na nim misternie ułożono piękne, kolorowe albumy do wklejania fotografii maleństwa, odciętych kosmyków włosów, opisywania, kiedy pierwszy raz się uśmiechnęło, zwymiotowało, klasnęło rączkami. Ominęłam ten stolik, nie zwracając większej uwagi na leżące na nim przedmioty. Niestety Emilia z bliżej niezrozumiałych dla mnie powodów postanowiła obejrzeć jeden z nich. Oczywiście nie wybrała tego położonego na wierzchu stosu, lecz z rozmachem wyciągnęła album znajdujący się mniej więcej w połowie półtorametrowej wieży. Albumy znajdujące się powyżej niego niebezpiecznie się zachwiały i przechyliły w prawo. I gdyby Emilia nie zrobiła nic, prawdopodobnie ten lekko przechylony stosik utrzymałby się. Ale Emilia, osoba, która zawsze wszystko chciała naprawiać, trzymanym w ręce albumem gwałtownie pchnęła stos w drugą stronę. No i stało się.

Albumy runęły z łoskotem na ziemię. Emilia rozpaczliwie łapała co popadnie, pogarszając jedynie sytuację. W rezultacie tej dzikiej szamotaniny na blacie zostały tylko trzy egzemplarze, cała reszta zaś legła wokoło na podłodze. Jeden z nich, spadając, boleśnie uderzył Emilię tuż pod okiem. Na miejsce natychmiast przybiegła młoda sprzedawczyni, zaraz po niej natomiast tęga pani sprzątająca.

– Bardzo przepraszam, chciałam tylko obejrzeć ten albumik – jęknęła Emilia, rozcierając puchnący w oczach policzek.

Ja tymczasem z pomocą sprzątaczkę szybko pozbierałam rozrzucone egzemplarze.

– Może mogę w czymś paniom pomóc? – W tym na pozór miłym pytaniu sprzedawczyni wychwyciłam złośliwą nutę. – Będzie... bezpieczniej.

– Nasza przyjaciółka urodziła córeczkę – westchnęła Emilia. – Chcemy wspólnie kupić coś uroczego.

Dzięki pomocy ekspedientki oraz zaaferowanej sprawą sprzątaczkę udało nam się szybko dokonać wyboru i opuścić sklep, nie czyniąc więcej krzywdy nikomu i niczemu.

– To się jej na pewno spodoba – paplała zadowolona z zakupu Emilia, kiedy wracałyśmy do domu.

Wybrałyśmy miękką matę, którą rozkłada się dziecku na podłodze. Składała się ona z kilku gąbkowych segmentów pokrytych nadającym się do prania, lnianym pokrowcem. Matę można było rozłożyć na płasko – wtedy zajmowała prawie dwa metry kwadratowe – albo zawinąć jej boki, tworząc bezpieczny dla niemowlaka kojec. Warstwa gąbki była cienka, ale na tyle gęsta, że maluch, nawet jeśli mocno uderzyłby główką o podłogę, nie zrobiłby sobie krzywdy. To było idealne miejsce dla dziecka, żeby bezpiecznie

próbowało samo podnosić główkę, raczkować i później wstawać na nóżki.

– Dobrze, że panie w sklepie nam to ładnie zapakowały. Będziemy mogły zostawić prezent w samochodzie – powiedziałam, zerkając na spore pudło zasłaniające niemal całą tylną szybę.

– Masz rację – zgodziła się ze mną Emilia. – Tak mi strasznie głupio, że zrobiłam tyle zamieszania. Dlaczego takie wypadki przydarzają się zawsze mnie, nigdy żadnej z was? To znaczy nie życzę wam katastrof, bardzo was wszystkie lubię, ale myślę, że to jest niesprawiedliwe.

– Nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje – mruknełam, kręcąc głową. Nie chciałam jej mówić, że wszystkie te zdarzenia są wynikiem jej ciągłego rozkojarzenia. – Po prostu masz pecha i tyle.

– Jestem roztrzępana – mówiła Emilia w zamyśleniu. – Moja mama zawsze mi to wypominała i miała rację. Ty pewnie też tak myślisz, tylko jesteś zbyt miła, żeby powiedzieć prawdę, a to jest jeszcze bardziej straszne.

Roześmiałam się.

– No dobrze – przyznałam. – Rzeczywiście jesteś roztrzępana i do tego troszeczkę... pechowa. To wszystko razem sprawia, że masz tyle... przygód.

– Przygód!? – prychnęła. – Potknięcie się, oblanie gorącym sosem, ukruszenie górnej jedyńki od uderzenia piłką tenisową... Te wypadki nazywasz przygodami? Martwię się, że kiedyś naprawdę zrobię komuś krzywdę. Niechcący oczywiście. Ludzie zaczną się mnie bać.

Skręcałyśmy właśnie wolno w Brzozowy Zaulek. Zza zakrętu już widziałam mój dom.

– Nie marudź, nie jest tak źle – nadal próbowałam ją pocieszyć. – Zauważ, że jedziemy twoim autem. Ty kierujesz, ja zaś nie boję się, że zrobisz mi krzywdę!

– To jedna z niewielu rzeczy, która mi wychodzi. Jak dotąd jeżdżę bez żadnych nieszczęśliwych wypadków – powiedziała. – Jestem dumna z tego, że...

W tym momencie tuż przed maską samochodu pojawił się ubrany na czarno rowerzysta. Emilia ostro zahamowała. Mój pas bezpieczeństwa nie zadziałał i wyrzuciłam czołem w przednią szybę z taką siłą, że zobaczyłam nad głową całe mnóstwo wirujących gwiazd. Rower odbił się od zderzaka, a jego kierowca padł na maskę. Zanim, rozcierając szybko rosnącego guza, zdążyłam pomyśleć, że jej pech chyba przeszedł na mnie, Emilia zaczęła histeryzować.

– Rany boskie, zabiłam człowieka! Zabiłam człowieka! Jezus Maria!

Wrzuciła wsteczny bieg z zamiarem wycofania się z uliczki.

– Co ty robisz? – Wytrzeszczyłam oczy ze strachu.

– Uciekam! Nie dam się zamknąć w więzieniu!

– Zostaw to! – Szarpnęłam drążek skrzyni biegów. – Musimy zadzwonić po karetkę!

Auto cofnęło się o pół metra i zatrzymało.

– Nie chcę! On jest martwy. Dostanę dożywocie!

Nagle człowiek leżący na masce uniósł głowę i spojrzał mi prosto w oczy.

– O rany! – sapnęłam. – To mój sąsiad!

Emilia zdjęła wreszcie rękę ze skrzyni biegów i puściła kierownicę. Złapałam klamkę, żeby wysiąść.

– Który? – zdziwiła się.

– Nie wiem który, ale ten spod ósemki. Zapomniałam, jak go nazywacie.

Wysiadłam szybko na wilgotny asfalt.

– Czy nic się panu nie stało? – zapytałam.

Mój sąsiad zsunął się z maski i próbował stanąć na nogach.

– Bardzo, bardzo przepraszam... – Emilia zaczęła się tłumaczyć, patrząc na swoją ofiarę załzawionymi oczami.

Wyglądała jak cierpiąca łania.

– Nic pan... pani nie złamała? – dopytywałam.

– Chyba nie. – Powoli zginał obie ręce. – W niektórych miejscach jednak na pewno będę miał siniaki.

Tymczasem roztrzęsiona Emilia podniosła rower i sprawdzała, czy jest cały.

– Co za szczęście, nawet nie jest porysowany – westchnęła z ulgą.

– Bo odbiłem się od zderzaka kolanem – mruknął, wskazując prawą nogę. – Tutaj też będę miał siniaka.

I to porządnego.

– Bardzo przepraszam, pierwszy raz zdarzyło mi się coś takiego – jęknęła Emilia. – Naprawdę nie widziałam... Pan... no... pojawił się tak nagle!

Dopiero wtedy poszkodowanemu zaczęły puszczać nerwy.

– Nagle? – Zmrużył oczy. – Stałem na skrzyżowaniu! Mam pierwszeństwo.

– Tylko na chodniku – mruknęłam. – Tutaj nie ma ścieżki rowerowej. Poza tym po pasach się nie przejeżdża, tylko przechodzi.

Sąsiad zacisnął szczęki. Przez chwilę patrzył na nas niechętnym wzrokiem. Emilia miała taką minę, jakby była przekonana, że zaraz zadzwoni na policję.

– Nie zgłoszę tego – powiedział wreszcie. – Nie chcę, żeby policja nas nachodziła.

Poprawił kask. Dopiero wtedy, po wysuwających się spod niego ciemnych włosach, rozpoznałam w nim sąsiada nazywanego przez nas Francuzem.

– Bardzo panu dziękuję. Pani dziękuję – odsapnęła Emilia.

– Mimo wszystko prowadź uważniej, kobieto. A co by było, gdyby zamiast mnie na jezdnię wyjechało dziecko?

Wsiadł na rower i pojechał dalej, znikając za zakrętem.

– Uff, o mały włos. – Głośno wypuściłam powietrze. – Co za szczęście, że nic mu się nie stało.

– Serce mi tak strasznie bije – odparła Emilia, wycierając wierzchem dłoni łzy ulgi.

Wsiadłyśmy z powrotem do samochodu i Emilia ruszyła. Od jej bramy dzieliło ją zaledwie pięćdziesiąt metrów. Trasę tę pokonała z prędkością konającego żółwia. Gdy wreszcie dotoczyłyśmy się do garażu, z ulgą zgasiła silnik.

– Nie wsiądę za kierownicę przez najbliższe pół roku – stwierdziła.

– Bzdury gadasz – mruknęłam, rozcierając czoło. W miejscu zderzenia z szybą wyczułam bolesne zgrubienie. – Miałaś jednak szczęście w nieszczęściu.

Spojrzała na mnie, unosząc brwi.

– Mój sąsiad mógł wezwać policję, karetkę... W ogóle narobić strasznej afery.

– Masz rację – zgodziła się. – Miałam jednak szczęście!

– No widzisz? – Uśmiechnęłam się słabo.

Gdy wysiadłyśmy z jej auta, zaczęło kropić.

– Rany, znowu pada.

– Mam nadzieję, że jutro, kiedy wróci Marzena, będzie ładniej – westchnęłam.

Trochę o sąsiadach

Kiedy w dniu, w którym na Brzozowy Zaulek wprowadzili się Romańscy, porozmawiałam sobie z dziewczynami na temat lokatorów spod ósemki, zaczęły mną targać wątpliwości, czy dobrze ich oceniłam. Przed tą rozmową myślałam, że są cisi, nieszkodliwi, zajęci swoimi własnymi problemami, tyle że ekscentryczni, co mnie akurat nie przeszkadzało. Moje zainteresowanie sąsiadami podsyciło dodatkowo zachowanie Francuza w dniu, kiedy został potrącony przez Emilię. Kilka godzin po tym nieszczęsnym zdarzeniu, mocząc się w wannie, analizowałam całą sytuację. Zastanawiał mnie fakt, że najbardziej zależało mu na tym, by nie nachodziła ich policja. Ale dlaczego? Cóż takiego tam się dzieje, że tak zazdrośnie strzegą swojej prywatności?

Po kąpieli przyłapałam się na tym, że za każdym razem, gdy mijałam któreś z okien wychodzących na posesję numer osiem, odruchowo, choć na moment, zatrzymywałam się i sprawdzałam, czy są w domu i co robią. Niestety zwykle bez rezultatu, ponieważ rolety były u nich najczęściej spuszczone, a ogródek pusty, przez co intrygowali mnie jeszcze bardziej. A nuż wyobraźnia nie poniosła Kasi, Marzeny i Emilii i oni rzeczywiście byli jakimiś zbrojeńcami?

Rzeczywiście było ich trzech. Lub trzy. Lub troje. Co do płci – trudno określić. Raz wyglądali jak kobiety, kiedy indziej znów jak zniewieściali mężczyźni. Trudna sprawa. W pewnym momencie doszłam do wniosku, że należy przyjrzeć im się z bliska, może wtedy łatwiej przyjdzie mi określić ich płeć. Rowerzysta na przykład wyglądał bardziej na mężczyznę. Miał obcisły, sportowy strój i kolorowy kask, spod którego nie wystawał ani jeden włos. Twarz miał doskonale gładką, lecz bez śladu makijażu. Na paznokcie, które podobno malują, nie zwróciłam uwagi. Byłam zbyt przerażona sytuacją i obolała po bliskim spotkaniu z przednią szybą samochodu Emilii.

Wreszcie pewnego październikowego popołudnia los łaskawie zlitował się nad moim udręczonym umysłem...

Wróciłam właśnie z chłopcami z centrum handlowego. Musiałam im kupić nowe buty, bo poprzednie zdążyli zamienić w wióry w ciągu miesiąca. Zaparkowałam przed garażem i otworzyłam bagażnik. W środku piętrzyły się liczne torby i torebki, które należało zanieść do domu. Moje dzieci oczywiście porwały tylko lizaki i natychmiast zniknęły gdzieś w ogrodzie, więc nie mogłam na nie liczyć. Poza tym lekkich pakunków, którymi mogłabym je obarczyć, prawdę mówiąc, było niewiele. Wiadomo, że jak kobieta wybiera się do centrum handlowego, to nie tylko po buty. Z niewinnych zakupów moje sprawunki przeobraziły się szybko w takie, które można opatrzyć tylko jednym przedrostkiem – MEGA.

Gdy siłowałam się ze zgrzewką wody niegazowanej, na podjazd wypadła reklamówka z workami na śmieci, woreczkami śniadaniowymi i innymi foliowymi pierdołami. Wciąż próbując wyciągnąć zgrzewkę, zakląłam jak szewc.

– Może pomożę?

Zza pleców dobiegł mnie cichy, kobiecy głosik. Nie był to głos żadnej znanej mi z ulicy osoby. Odwróciłam głowę, omal nie upuszczając przy tym torby pełnej szklanych słoików z przetworami i sokami. Dwa metry od mojego auta stała (lub stał) Ruda. Drobnie to stworzenie miało kobiecą budowę

ciała, delikatną karnację, zielone oczy i piękne, rude loki sięgające niemal do pasa. Z zaskoczenia wytrzeszczyłam oczy.

– Och, bardzo dziękuję – bąknęłam. – Ja po prostu zrobiłam duże zakupy. Teraz trzeba to wszystko wnieść od środka. Ale poradzę sobie. Chyba.

– Mogę pomóc.

Ruda odstawiła swoją torebkę (nawiasem mówiąc – prześliczną), po czym bez problemu poderwała dwie zgrzewki wody i ruszyła z nimi w stronę drzwi wejściowych. Pospiesznie zabrałam lżejsze torby z bagażnika i pognałam za nią, obserwując przy tym uważnie „tyły” sąsiadki. Ubrana w obcisłe dzinsowe spodnie, biały podkoszulek i dzinsową kurtkę wyglądała jak niesamowicie seksowna kobieta. Uroku dodawały jej buty na obcasie i te wspaniałe rude loki.

– Ożeż cholera... – szepnęłam do siebie.

Wspólnie wnieśliśmy wszystkie zakupy. Mnie z wrażenia odebrało mowę. Kiedy Ruda położyła w holu ostatni pakunek, do środka wpadł Benek.

– Cześć – przywitał się, wyciągając pulchną łapkę. – Jak masz na imię?

– Weronika – powiedziała Ruda, ściskając rączkę mojego dziecka – ale możesz mówić do mnie Wera. A ty?

– Benek.

– Bardzo ładnie.

– Twoje imię też jest ładne – oświadczył.

Stałam przy drzwiach, trzymając torbę z mrożonkami.

– Bardzo dziękuję za pomoc – powiedziałam cicho.

– Nie ma sprawy. Jesteśmy sąsiadkami.

– Dokładnie. – Skinęłam głową.

Gdy Weronika schodziła po schodach, poczułam, że powinnam jeszcze coś powiedzieć.

– Zostawiliście kiedyś klucz w bramie!

Odwróciła się.

– Och, to pewnie Ada. Jest strasznym roztrzepańcem – zaśmiała się cienkim głosem.

Nie byłam pewna, czy usłyszałam imię Ada czy Adam, bo Benek krzyczał z głębi domu, że sam otworzył lizaka. Podczas tej krótkiej rozmowy miałam jednak przynajmniej szansę przyjrzeć się jej twarzy. Kanciasta żuchwa i wysunięta broda były typowo męskie. Ale to wszystko. W końcu niektóre kobiety też mają szczęki jak imadła i jakoś z tym żyją... Delikatna cera, bez żadnego widocznego włoska. Idealnie wyregulowane brwi. Dyskretnie, lecz perfekcyjnie nałożony makijaż i podkreślone rzęsy... Nagle poczułam się zaniedbana jak nigdy wcześniej przy żadnej kobiecie. Nie czułam się tak nawet przy seksownej Pauli, na widok której ślinotoku dostaje nawet parkomat. Może dlatego, że na jej twarzy można było dostrzec niedoskonałości, niedokładnie pokryte grubą warstwą makijażu, gdy tymczasem wygląd Weroniki był wręcz nieskazitelny.

– Chyba ktoś był wtedy w domu – dodałam, wychodząc za nią na schodki przed domem – ale nikt nie otwierał. Nie byłam pewna, czy dobrze robię, zabierając klucze.

– Gdyby kiedyś zostały, a nas nie było w domu, to proszę je zabrać.

– W porządku. Zostawię wówczas karteczkę w skrzynce, żebyście wiedzieli... wiedziały, że są u mnie.

– Bardzo dziękuję. – Ukłoniła się uprzejmie.

– To ja dziękuję. Za pomoc.

Patrzyłam, jak odchodzi, zamyka bramkę, potem otwiera tę na swoją posesję i wreszcie znika we wnętrzu domu. Moje rozmyślenia przerwał telefon, dzwoniący przeraźliwie głośno w salonie.

– Widziałam cię z jednym z nich! – Głos Marzeny aż drżał z emocji. Widocznie po powrocie ze szpitala

czuła się już na tyle dobrze, że miała siłę na obserwowanie ulicy przez kuchenne okno. – No i co? Jak było? Gadaj!

– Pytasz takim tonem, jakbyśmy uprawiali jakieś dzikie pieszczoły na chodniku. A on tylko pomógł mi wnieść zakupy – odparłam. – To znaczy ona pomogła. Ma na imię Weronika.

– Ma piersi?

– Zwariowałaś? Przecież nie zaglądałam jej do stanika. Ale ma pomalowane paznokcie – przypomniałam sobie.

– Na tęczowo? Bo tak lesbijki podobno malują.

– Nie. Normalnie. Jakiś delikatny róż.

– Do diabła – Marzena była trochę zawiedziona – a miałam nadzieję, że zdążysz zerknąć do stanika.

– Miała na sobie podkoszulek i kurtkę. Bez dekoltu. Nie dało się sprawdzić. A przecież nie powiem jej „Hej, kochana, czym wypychasz biustonosz?”.

– To prawda – zgodziła się ze mną, choć niechętnie.

– Trzeba to sprawdzić, gdy będą upały. Może wystąpi skromniej odziana.

– Wtedy powinnaś sprawdzić, czy nie opalają się na tyłach ogródka. Może uda ci się zbadać dolną strefę bikini...

Spojrzałam na słuchawkę jakby była obślizgłym wężem.

– Jesteś obleśna – stwierdziłam.

Na Marzenie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Powinnaś to ustalić dla dobra dzieci. Nie tylko twoich, ale wszystkich mieszkających na tej ulicy – upomniała mnie.

– Weronika nie wygląda na kogoś, kto obnaża się przed dziećmi. Do ekshibicjonizmu jej zdecydowanie daleko. Prędeż o coś takiego podejrzewałabym Paulę – powiedziałam. – Paradowała ostatnio w jakimś trójkątnym materiale, który ledwie zasłaniał jej sutki i pośladki. Nazywała to coś sukienką.

Marzena roześmiała się.

– Mimo wszystko sprawdzaj...

– Dobrze, będę sprawdzać – obiecałam dla świętego spokoju. – Muszę kończyć, bo niedługo wróci Tomek, a ja nawet nie wiem, co zrobić na obiad.

Nie zamierzałam, prawdę mówiąc, sprawdzać zawartości staników sąsiadów. Uważałam, że będzie lepiej, dla mojego i innych dobra, jeśli te obszary sąsiedzkich ciał pozostaną tajemnicą. Jednakże dwa dni później, kompletnie niespodziewanie, nadarzyła się okazja do zbadania tych właśnie obszarów.

Tego słonecznego poranka było wyjątkowo ciepło jak na październik. Słońce przypiekało do żywego, nieba nie zasłaniała nawet najmniejsza chmurka. Zapowiadał się wspaniały, pogodny dzień. Tomek pojechał wcześniej do pracy, ponieważ do południa musiał skończyć jakiś ważny projekt. W domu panowała niczym niezakłócona cisza. Chłopcy wciąż smacznie spali, więc doszłam do wniosku, że wrócę do sypialni, aby chwilę sobie poleniuchować i poczytać w spokoju. Ułożyłam się wygodnie na łóżku, otworzyłam powieść. Ostatnie dwa rozdziały doczytałam z wypiekami na policzkach. W końcu zatrzasnęłam książkę, rozpamiętując fascynujące przygody erotyczne jej bohaterów tudzież zaskakujące zakończenie. Ale nadchodził czas powrotu do rzeczywistości. W ogrodzie trawnik czekał na skoszenie, a w domu trzeba było umyć podłogę, bo już skarpetki się do niej przylepiały. No i pranie. Cała sterta, jak zawsze. Starając się oderwać od powieściowych uniesień, niechętnie wstałam z łóżka i włączyłam cicho radio z muzyką klasyczną, po czym zaczęłam szukać w szafie stroju na dziś. Z głośników popłynęły uroczne dźwięki *Poranka* Griega.

Delikatna muzyka nastroiła mnie lepiej do świata. Otworzyłam balkon i wyszłam na zewnątrz. Otulając się cieniutkim szlafrocikiem, wzięłam kilka głębokich wdechów. Z pokoju dobiegło słodkie crescendo.

Oparłam się o balustradę i szeroko ziewając, rozejrzałam wokół. Mój wzrok padł na balkon sąsiedniego domu. Tam rozgrywała się podobna scena, z tym że na balkonie stał Francuz ubrany w elegancki, czarny biustonosz i także damskie bokserki. Zamarłam z na w pół otwartą buzią. Bałam się poruszyć, bo mój sąsiad na pewno by mnie zauważył. Wprawdzie to nie ja świeciłam gołym brzuchem, ale bałam się go spłoszyć. Tymczasem Francuz z rozanielonym wyrazem twarzy rozmasował sobie kark, po czym zarzucił w tył swoje brązowe włosy niczym modelka na wybiegu. W tej kobiecej pozie zerknął w moją stronę i również zamarł.

Jasna cholera! I co teraz zrobić? W życiu nie czułam się tak zażenowana. Nie chciałam się wycofywać, żeby sobie nie pomyślał, że się go boję. Głupio mi było też pomachać mu na dzień dobry. Mógłby się wtędy spieszyć albo nawet zamknąć w sobie. Podobno tacy ludzie są wyjątkowo wrażliwi – myślałam gorączkowo. Słońce świeciło jak szalone, soczyście zielone liście brzoź szumiały łagodnie, na trawniku za domem włączyły się zraszacze, a my tkwiliśmy w bezruchu, wpatrując się w siebie niczym drapieźniki. Nie wiem, jak długo to trwało. Chyba całe wieki.

– Mamo? – Głos Benka wyrwał mnie z tej wzrokowej przepychanki.

Odwrociłam na moment głowę.

– Już wstałeś, syneczku?

Zerknęłam na sąsiedni balkon, lecz ten był już pusty. Ani śladu sąsiada. Jaka szkoda.

– Nawet się ubrałem. A Maks jeszcze śpi. Mogę go obudzić?

– Niech śpi. – Obróciłam się na pięcie z zamiarem wejścia do środka.

Jeszcze raz popatrzyłam w bok. Francuz znów się pojawił. Tym razem miał na sobie szlafrok. Różowy w białe chmurki... Rozbrajający! Wołałam, żeby Benek tego nie widział, bo znów zasypie mnie gradem kłopotliwych pytań. Wepchnęłam więc malca do środka, nim zdążył spostrzec sąsiada.

– Czemu zamykasz balkon? – Nie mogło się jednak obejść bez pytania.

– Bo... wieje.

Benek nie dał się tak łatwo zbyć. Uważnym wzrokiem zmierzył koniuszki drzew.

– Przecież nie ma wiatru – przyczepił się. – Liście się nie ruszają.

– Skarbie, mama musi się ubrać. – Zmieniłam temat. – Idź na dół i włącz bajkę. Ja zaraz do ciebie przyjdę, dobrze? Zrobimy śniadanko.

– A mogę dostać na śniadanie płatki, ale bez mleka?

– Jasne. Ale pod warunkiem, że mleko będzie w kartoniku.

– Ale może być truskawkowe, a nie białe?

– Może być truskawkowe, ale wypijesz całe – negocjowałam.

– Niech będzie – poddał się.

Podreptał na dół na bosaka, kłapiąc stopkami o drewniane stopnie schodów.



Około południa udało mi się wyrwać na krótkie pogaduszki z dziewczynami. Spotkałyśmy się u Marzeny. Zabrałam też swoich synów, by razem z Dawidkiem mogli pobiegać po ogródku pomiędzy włączonymi zraszczami. Chwilę później dołączyły do nas Kasia ze swoimi dziećmi i Emilia. Kiedy nasze potomstwo, piszcząc z uciechy, tarzało się w trawie, my po cichu omawiałyśmy życie lokatorów spod ósemki.

– I że miał majtasy i stanik? – Nie wierzyła Marzena. – Tak normalnie założony? Nie wypchany jakimiś gałganami? Nieprawdopodobne!

– Ich balkon nie jest na tyle blisko, żeby było widać, co miał pod stanikiem – odparłam – chociaż obstawiałabym, że piersi ma własne. Nie są gigantyczne, ale są.

– Pewnie pożera tonę hormonów – zawyrokowała Kasia. – Normalnie facetom przecież nie rosną cycki. Tylko jak mają za dużo żeńskich hormonów.

– Mężczyźni przy kości nieraz mają większe piersi niż ja. – Emilia odruchowo ścisnęła swój biust.

– Ale na Francuzie nie ma ani grama tłuszczu – wzruszyłam ramionami – a piersi jednak posiada.

– Może się zoperował? – zastanawiała się na głos Marzena. – Teraz ludzie zmieniają płeć operacyjnie. Podobno leci się gdzieś do Indii albo do Tajlandii i załatwia sprawę za jednym zamachem...

Spojrzałam na przyjaciółkę wymownym wzrokiem.

– No co? – zaczęła się bronić. – Oglądałam dużo filmów dokumentalnych, kiedy karmię. Akurat leciała ostatnio taka seria o tabu...

– A miał, hm... jajka? – wtrąciła Emilia.

Przewróciłam oczami.

– Miła! Błagam cię!

– No co? – oburzyła się. – Bo jeśli ma... jajka, to się nie zoperował.

– Balustrada zasłaniała. – Staralam sobie przypomnieć, czy udało mi się coś tam zauważyć. – Poza tym byłam tak wstrząśnięta tym stanikiem, że ledwo zanotowałam, że miał majtki. Zdecydowanie damskie. Ale czy wypchane czy nie, niestety nie pamiętam.

– Szkoda. – Emilia była zawiedziona. – To wyjaśniałoby wiele spraw.

– Niby jakich?

– Wiecie co? A może to taka hermafrodyta? – Kasia wyjęła z wózka Adasia, żeby sprawdzić, czy nie trzeba zmienić mu pieluchy. – Oglądałam kiedyś taki program o ślicznej kobiecie. Na górze normalnie była jak marzenie. Ale na dole... Dramat... Miała i pochwę, i wiecie co...

– Też to widziałam – przyznała Marzena.

– A gdzież to serwują takie dokumenty? – zaśmiałam się. – To na jakiejś zwykłej stacji czy na dodatkowo płatnej?

– Pewnie to jakiś nocny program dla wygłodniałych panów – dodała Emilia.

– Zdziwiłybyście się – mruknęła Kasia. – To było na zwykłej, ogólnodostępnej stacji. Chyba na jedyńce. Tylko późno. Jakoś przed północą.

– No i czego się dowiedziałaś?

Pupa Adasia była czyściutka i sucha, więc Katarzyna odstawiła synka do wózka, uprzednio owinąwszy dziecko w świeżego pampersa i welurowe śpiochy.

– No więc tak – zaczęła, kołysząc lekko wózkiem w nadziei, że malec zaśnie. – Czasami, tak jak mówiłam, jest piękna dziewczyna, ale na dole ma no, tego... wiecie.

– Penisa – dokończyłam za nią. – Nazywajmy rzeczy po imieniu.

Marzena zrobiła się purpurowa. Emilia zachichotała.

– No, laski! – prychnęłam. – Przecież każda z nas miała do czynienia z tym narządem. I nie wymawiacie jego nazwy? Błagam!

– No wiesz... dzieci... jakby usłyszały – zaczęła tłumaczyć Marzena.

– Lepiej, żeby mówiły tak, niż używały innych określeń. – Wzruszyłam ramionami. – No ale dobrze. Do rzeczy.

– Niektórzy decydują się na operację, inni nie. Czasami biorą tylko hormony, żeby wzmocnić cechy tej płci, z którą się bardziej utożsamiają.

– Masakra – skomentowała Marzena.

Nagle mnie olśniło.

– Może Francuz przechodzi teraz takie leczenie? – powiedziałam. – Na początku zdecydowanie przypominał faceta, ale od jakiegoś czasu coraz bardziej się zmienia.

– W takim razie na pewno jest na etapie zmiany płci. – Kasia pokiwała głową.

– A pozostali? – zapytała Emilia. – Myślicie, że oni też brali leki?

– Takie hormony chyba trzeba brać przez całe życie – odparłam. – Bo kiedy się je odstawi, znowu zaczyna się zmiana w faceta. Piersi im się zapadną, na klatce zaczną wyłazić te kręcone włoski, głos zrobi się niski...

– Mój Boże, biedaki – westchnęła ze smutkiem Emilia. – Pewnie dlatego tak się izolują. Żeby nie gnębiono ich pytaniami i żeby mogli spokojnie się zmienić.

– To możliwe – przyznałam. – Będziemy obserwować, co się dzieje. I starać się ich zagadywać. Pan Weronik albo pani Weronika jest bardzo sympatycznym osobnikiem.

– Dokładnie – poparła mnie Kasia. – Niech wiedzą, że mają nasze poparcie. Pomożemy im!

– Hola, hola – Marzena uniosła dłoń. – A jeśli mimo wszystko to są zбочeńcy? W końcu Francuz stał na balkonie prawie na golasa! Mnie się to nie podoba.

– Marzena, daj spokój. – Kasia pokręciła głową. – Kilka dni temu wyszłam rano na balkon podlać kwiatki. I co zobaczyłam?

Marzena spłoszyła.

– Dobra, rozumiem.

– A co widziałaś? – chciała wiedzieć Emilia. – No powiedzcie mi!

– Marzena zamykała drzwi balkonowe. Te od ogrodu. Kompletnie goła.

– Miałaś nie mówić – nachmurzyła się Marzena. – Był straszny przeciąg.

– Był taki przeciąg, że aż ci ubranie zerwało? – zażartowałam.

– Och, dajcie spokój... – broniła się nieporadnie przed naszymi pytaniami. – Łukasz wtedy został w domu, dzieciaki spały. Same wiecie...

– Ale to nie czyni z ciebie zбочeńca. – Kasia wytknęła ją palcem.

– Masz rację – przyznała Marzena. – Od dziś więc rozpoczynamy akcję osławiania sąsiadów spod ósemki!

Halloween

Październik był w tym roku wyjątkowo piękny. Słońce wprawdzie nie grzało równie mocno jak we wrześniu, ale i tak było ciepło i pogodnie. Drobniutkie pajęczki nitki unosiły się leniwie w powietrzu, przenosząc na swych końcach malutkich ośmionożnych pasażerów, bezszelestnie zmierzających gdzieś w daleki świat. Drzewa pozbywały się starych liści niczym kobiety porzucające niemodne w nadchodzącym sezonie ubrania. Zeschnięte listowie leżało wokoło pni, tworząc prawdziwą barwną mozaikę, tak miłą dla ludzkiego oka. Większość ptaków wędrownych dawno odleciała. Te, które zostają w Polsce na zimę, zdążyły się już przygotowywać na nadejście chłódów, wyposażając swe drobne ciała w warstwę chroniącego od zimna tłuszczu. Podobnie zresztą jak drobne ssaki. Wiewiórki konsekwentnie powiększały zapasy na zimę, chowając orzeszki i inne drobiazgi w tylko sobie znanych miejscach. Mieszkający pod lasem samotny jeź pracowicie przygotowywał przytulne zimowe legowisko. Dość liczna rodzina zajęcy zasiedlająca łączkę graniczącą z naszą posesją powoli zmieniała swoje cieniutkie futerka na zimowe – znacznie grubsze i jaśniejsze. Czasami widziałam je, jak wesoło skakały w okolicach potoku odcinającego naszą działkę od rzędu olch.

– Mamo, już nie mogę się doczekać imprezy halloweenowej. – Benek powtarzał to zdanie niczym mantrę kilkadziesiąt razy dziennie mniej więcej od dziesięciu dni.

Prawdę mówiąc, miałam już tego serdecznie dość. Jako że w tym roku Halloween wypadało w sobotę, wychowawczynie grupy, do której należał mój młodszy syn, zdecydowała, że „straszna impreza” odbędzie się dzień wcześniej, czyli w piątek. Każdy dzieciak oczywiście miał być przebrany za coś upiornego. I oczywiście na barkach rodziców spoczywało wymyślenie i kupienie lub uszycie odpowiedniego przebrania, a trzeba przyznać, że pomysłowość i rozrzutność rodziców wprost rzucały na kolana.

Miałam nadzieję, że Benek wybierze strój Spidermana, który nabyliśmy przy jakiejś okazji dla Maksa. Wdziałby niebieskie gatki, wypchany pianką czerwony tors oraz zakrywającą niemal całą twarz maskę. Czerwone skarpety też dla niego miałam, odłożone z jakiegoś przedstawienia, w którym mój pierworodny grał skrzata. Ale nie! To przecież byłoby zbyt proste! I zbyt tanie, do diabła. Benek oświadczył, że chce być duszkiem. I to straszny. Przerazającym. Takim, żeby trudno go było poznać. W tym iście „duszkowym” sezonie znalezienie odpowiedniego stroju w przyzwoitej cenie było po prostu niemożliwe. Poddałam się po odwiedzeniu dwóch wypożyczalni, w tym jednej profesjonalnej, bo współpracującej z teatrem. Klnąc jak szewc, przeglądałam późnym wieczorem strony internetowe w nadziei, że ktoś łaskawie będzie chciał pozbyć się tego typu kostiumu. Niestety okazało się, że nawet jeśli ktoś zamierzał taki strój sprzedać, jego cenę w sezonie halloweenowym określiłabym jako nieprzyzwoicie wysoką. Prawda była taka, że po licznych zakupach, opłatach kredytowych oraz remoncie byliśmy wyprani nawet z zaskórniaków. Musiałam kontrolować wydatki, bo nasza karta płatnicza dosłownie wyla z rozpaczy, kiedy tylko otwierałam portfel. Tomek pracował bardzo dużo, ale w jego branży zarobki nie rozkładały się równomiernie. Wiosenne i częściowo letnie miesiące obfitowały w zakupy projektów, bo ludzie planowali zmiany mieszkań i remonty. W okolicach stycznia też chcieli zmieniać projekty domów, ogródków, a nawet garaży, żeby przed nastaniem wiosny zarezerwować terminy u polecanych

wykonawców. Koniec roku natomiast to był czas stagnacji. Owszem, trafiały się projekty przebudowy wnętrz, czasami coś większego, ale szaleństwa nie było. Tymczasem dzień imprezy zbliżał się wielkimi krokami, a moje kochane małżeństwo wciąż nie miało przebrania, o czym przypominało mi kilkadziesiąt razy dziennie, doprowadzając mnie tym do szału.

Wreszcie, mniej więcej trzy dni przed Halloween, szukając w szafie cieplejszej kołdry, natrafiłam na wciśnięte w kąt przetarte prześcieradło. Już miałam je wyrzucić, gdy nagle olśniło mnie. Przecież z białego materiału o wymiarach dwa na dwa metry można uszyć fantastyczny strój ducha! A nawet dwa!

Tymczasem Marzena, która przez jakiś czas mieszkała w Stanach Zjednoczonych, postanowiła upowszechnić to święto również na naszej ulicy, tłumacząc, że „większość współczesnych obrządków katolickich i tak bazuje na wierze pogańskiej”. Wliczała w to między innymi ozdabianie choinki.

– Zorganizujemy fantastyczną imprezę dla dzieci i dla dorosłych. Skoro z innych krajów i religii zapożyczano różne ceremonie, to i Halloween dodajmy do naszych świąt. Przynajmniej jest wesołe. Poza tym uważam, że oswoją dzieci z tematem śmierci.

Postanowiła więc urządzać klasyczne *Halloween party* za wszelką cenę.

Choć Marzena Kosowska uchodziła za osobę cichą i nie lubiącą się wychylać, to w kwestii tego oryginalnego święta postawiła na swoim. Jak lwica walczyła o to, by jak najwięcej mieszkańców Brzozowego Zaułka przyłączyło się do wspólnej zabawy. Oczywiście „dla dobra dzieci”. Muszę przyznać, że jej wytrwałość zrobiła na mnie ogromne wrażenie.

– Chcecie być strasznymi duchami podczas Halloween? No to będziecie! – powiedziałam do moich synów, tnąc białą płachtę prześcieradła na pół.

W końcu Maks też potrzebował kostiumu na organizowaną przez Marzenę zabawę. Młodzi byli wniebowzięci.

– Uszyję wam oryginalne stroje, pomaluję twarze na biało i będziecie duchami, że hej! – dodałam, włączając maszynę do szycia.

Dwie godziny później spod mojej igły wyszły świetne (i bardzo proste produkcyjnie) stroje duchów.

– Trochę przesadziłaś z długością kapturów – stwierdził Tomek, kiedy nasi synowie pokazali mu się w świeżo uszytych przebraniach. Ja kuciałam przed nimi i nożyczkami strzępiłam końce kostiumów. – Bardziej przypominają mi Żwirka i Muchomorka niż duchy.

– Wypchaj się – odparłam twardo, chowając maszynę do szycia w specjalnym pokrowcu. – Osobiście uważam, że wzniosłam się na wyżyny moich możliwości twórczych. Ważne, że dzieciaki są zadowolone.

Tomek spasował.

– Masz rację – szepnął, całując mnie w czoło. – Rzeczywiście jak pociągniesz im twarze białą kredą, a oczy sproszkowanym grafitem z ołówka, to będą najlepszymi duchami w okolicy.

– I tej wersji powinniśmy się trzymać – odparłam. – Chłopcy, oddawać mi te stroje. Muszę je jeszcze wyprasować!

Pomysł na imprezę halloweenową na naszej ulicy był dosyć prosty i w całości należał do Marzeny, która z ogromnym zaangażowaniem zaplanowała każdy szczegół.

– Wyglądasz na trochę zawiedzioną – powiedziałam jej w przeddzień Halloween, gdy wpadłam do niej na chwilę, by zwrócić pożyczoną kiedyś salaterkę.

Popatrzyła na mnie pytającym wzrokiem.

– No, że tutaj to nie to samo, co w Ameryce – dodałam.

Marzena uniosła głowę znad sterty wycinanych z papieru nietoperzy.

– Trochę mnie wkurza fakt, że trudno u nas dostać te wszystkie „straszne” ozdoby. Udało mi się kupić dynie, tematycznie ozdobione talerzyki i serwetki, ale większość drobiazgów musiałam zrobić sama. Tak jak te papierowe nietoperze i duchy.

Dopiero wówczas zauważyłam, że na półce obok nas leży kupka ślicznych, roześmianych duszków zrobionych z białego brystolu.

– Pomogę ci – zaoferowałam. – Mam trochę wolnego czasu.

– Dzięki – ucieszyła się. – Możesz to wyciąć?

Podawała mi pomarańczowe kartki, na których wydrukowane były dynie. Później zrobiliśmy z nich girlandy, nawlekając je na linki.

– Napisałam do prawie wszystkich sąsiadów z prośbą, by w sobotę przed swoimi domami umieścili latarnie w kształcie dyni, jeśli chcą, żeby dzieci z naszej ulicy odwiedziły ich podczas Halloween – powiedziała Marzena, kładąc przede mną kolejny stos wycinanek.

– Świetny pomysł – skinęłam głową. – A ile osób ci odpowiedziało?

– Prawie wszyscy. – Uśmiechnęła się. – Z wyjątkiem twoich zniewieściałych sąsiadów spod ósemki, tej czarnoskórej prawniczki spod siódemki i nowych spod trzynastki.

– Moich, jak to określiłaś, zniewieściałych sąsiadów na razie nie zobaczymy – odpowiedziałam. – Widziałam, jak rano zapakowali się do swojego jeepa i odjechali.

– Pewnie będą się operować na Tajwanie – stwierdziła. – Zobaczysz, wrócą jako takie laski, że hej!

– Szkoda tych dzieciaków spod trzynastki. – Zmieniłam temat. – Na pewno chętnie dołączyłyby do zabawy. Zwłaszcza ten mały. Jest taki... kolorowy.

– Nawet nie otworzyli drzwi, kiedy poszłam o to dopytać – przyznała.

– Trudno...

– Aha, jeszcze Puchaczowa nie odpowiedziała – przypomniała sobie Marzena – ale wyślę do niej Helę, niech się dowie, co i jak.

– Hela też będzie? – zdziwiłam się. – Myślałam, że starsze osoby są przeciwne Halloween.

– Nawet jeśli uważa, że to głupie święto, to za nic w świecie nie przepuściłaby okazji do zabawy – zaśmiała się Marzena. – A nuż wydarzyłoby się coś ważnego i ona by tego nie widziała?

– No tak, masz rację – zgodziłam się. – Byłoby to dla niej straszne.

– Właśnie. Strasznie straszne!

Dla Heli, jako osoby uwielbiającej wiedzieć, co się dzieje u sąsiadów, jutrzejszy dzień zapowiadał się nieprawdopodobnie wręcz interesująco. Dzieci miały obejść wszystkie domy około godziny siedemnastej. Następnie wszyscy zbierali się na małym przyjęciu u Marzeny. Każdy, kto obiecał, że przyjdzie, miał przynieść coś ze sobą. Nam przypadło zrobienie dwóch sałatek oraz koreczków, Kasia miała upiec dwa placki, Emilia przyrządzić skrzydełka po diabelsku oraz poncz dla dzieci. Każdy też został zobowiązany do dostarczenia co najmniej dwóch litrów jakiegoś soku oraz butelki wina lub czegoś mocniejszego. Złożyliśmy się także na wynajęcie dwóch animatorek, które miały zorganizować wieczór dzieciakom, przygotowując im serię tematycznych zabaw.

– Hela już dziś od rana biega jak szalona od domu do domu, sprawdzając, jak idą przygotowania – powiedziała Marzena, biorąc się za wycinanie wielkiego kapelusza czarownicy, który zamierzała przymocować na drzwiach wejściowych.

Godzinę później, kiedy wracałam do domu, zobaczyłam, jak pod trzynastkę podjeżdża elegancki samochód. Gdy pojazd zatrzymał się na ulicy, czekając, aż brama się otworzy, postanowiłam podejść i zapytać o dzieciaki i jutrzejszą zabawę. W środku siedziała macocha Aurelii i Albrechta. Gdy zapukałam w szybę, zmierzyła mnie niechętnym wzrokiem.

– Dzień dobry – krzyknęłam, bo najwyraźniej nie zamierzała zniszczyć sobie paznokcia naciśnięciem guzika opuszczającego szybę.

Z niezadowoloną miną otworzyła drzwi i zerknęła na mnie z ukosa.

– Czy coś się stało? – Jej głos był zimniejszy niż steki w mojej zamrażarce.

– Nie wiem, czy pani słyszała – zaczęłam mówić – że jutro organizujemy dla dzieci zabawę halloweenową. Wszyscy mieszkańcy ulicy biorą w niej udział. Dzieciaki po siedemnastej będą obchodzić domy i zbierać słodycze. Potem jest zabawa u państwa Kosowskich spod dziewiątki. To tam...

– Nie interesuje mnie to – burknęła, zamierzając zamknąć drzwi.

Byłam jednak znacznie szybsza. Zdążyłam złapać za klamkę.

– Ma pani dwójkę wspaniałych pociech – podjęłam swój monolog. – Na pewno byłyby bardzo zadowolone, gdyby mogły uczestniczyć w zabawie. Poznałyby inne dzieci mieszkające na Brzozowym Zaułku. Nie czułyby się tutaj tak... samotne.

– Samotne? – prychnęła. – Ależ droga pani, one nie mają czasu na czucie się samotnymi. Chodzą na wiele zajęć dodatkowych. Uczą się wspaniałych rzeczy. Czegóż mogłyby się nauczyć od waszych dzieci? Bezsensownego latania po sąsiedzkich podwórkach i żebrania o cukierki?

Wkurzyłam się. Co to za baba?

– Może życia w społeczeństwie? – wypaliłam, unosząc brwi. – Poznawanie nowych ludzi i zaprzyjaźnianie się jest niezwykle ważnym elementem prawidłowego rozwoju. Chyba nie chce pani wychować odludków, których później inni będą uważać za dziwadła?

Jej mina wskazywała, że ma to gdzieś.

– Nie mam czasu na dyskusję – warknęła. – Nie weźmiemy udziału w żadnej tandetnej, osiedlowej zabawie. Do widzenia.

Z prawdziwym smutkiem puściłam klamkę. Kobieta trzasnęła mocno drzwiami. Patrzyłam, jak wjeżdża do garażu i włącza automatyczne zamykanie bramy. Spojrzałam w okna ich domu. Na pierwszym piętrze stała Aurelia. Spoglądała na mnie przybitym wzrokiem. Uniosłam rękę z zamiarem pomachania dziewczynce, lecz zanim to zrobiłam, zniknęła za grubo marszczoną warstwą firanki.



Następnego dnia już od południa przed większością domów na Brzozowym Zaułku stały dynie z wyciętymi złowrogimi wzorami. Zaraz po obiedzie wysłałam Tomka do Marzeny z przygotowanymi przez nas sałatkami. Koreczki mieliśmy zrobić tuż przed siedemnastą, żeby były jak najświeższe. Zadanie to przypadło w udziale memu małżonkowi oraz chłopcom. Ja tymczasem zabrałam się za przystrajanie drzwi wejściowych i bramy. Stałam przy płocie i wieszałam na murku papierowy szkielet, trochę nieudolnie wycięty przez Maksymiliana, gdy nagle usłyszałam cichy głos.

– Pięknie pani przystroiła tę bramę. Uwielbiam nietoperze.

Za moimi plecami stała Aurelia. Cała ubrana na czarno, z tą swoją bladą buzią wyglądała jak zjawa.

– Dziękuję – powiedziałam, zerkając odruchowo, czy nie obserwuje nas przybrana matka dziewczyny.

– Przepraszam za moją macochę. Pewnie była niemiła.

– No, do sympatycznych osób to ona raczej nie należy. – Pokiwałam głową. – Ale nie przejmuj się tym.

– Puściłam do niej oko.

– Nie pozwoliła nam przyozdobić domu – Aurelia wzięła z koszyka kolejnego nietoperza i pomogła mi go zamocować na słupku – a jestem pewna, że Albrechtowi bardzo spodobałaby się taka zabawa.

– A co na to wasz tata? – zapytałam z nadzieją. – Może by się zgodził, żebyście do nas dołączyli?

– Tata jest w Indiach – westchnęła. – Zawsze jak wyjeżdża, każe nam słuchać Eleonory.

– Nie wiem, co powiedzieć – mruknęłam, kręcąc głową. – Może powinnaś do niego zadzwonić i zapytać? Myślę, że on prędzej się na to zgodzi niż wasza macocha.

– Mogę zadzwonić od pani?

W tym momencie odezwała się we mnie natura liczykropy. Jasna cholera, ile może kosztować rozmowa z Indiami? Widząc jednak błagalne spojrzenie Aurelii, poddałam się. W końcu chodziło o dzieci. Dopięłam czaszkę do reszty szkieletu i wyjęłam z kieszeni komórkę.

– Znasz jego numer?

– Oczywiście.

Gdy wybierała numer, wróciłam do montowania tandetnej, ale klimatycznej dekoracji. Musiałam już tylko zawiesić na bramie papierową girlandę dyń zrobioną przeze mnie i Marzenę.

Mimowolnie słuchałam, jak Aurelia rozmawia ze swoim ojcem. Wszystko wskazywało na to, że uda się jej uzyskać zgodę na dołączenie do zabawy. Uśmiechnęłam się pod nosem.

– On chce z panią porozmawiać – powiedziała niespodziewanie, podając mi telefon.

– Ale o czym? – przeraziłam się. – Przecież...

– Proszę – szepnęła, patrząc na mnie błagalnym wzrokiem i równocześnie podtykając mi komórkę pod nos.

Wzięłam więc telefon i przyłożyłam do ucha.

– Dzień dobry – powiedziałam do słuchawki. – Nazywam się Iwona Winiarska. Mieszkam pod dziesiątką na Brzozowym Zaułku i...

– Tak, wiem. – W przeciwieństwie do swojej żony miał miły głos. – Córka przedstawiła mi sprawę. Chciałbym poprosić panią, oczywiście jeśli nie będzie to kłopot, o opiekę nad moimi dziećmi w trakcie trwania zabawy. Ja wracam do Polski dopiero za trzy dni, a moja żona nie przepada za kinderbalami.

I nie tylko – pomyślałam cierpko.

– Jest też jeden problem. Nie będą mieli kostiumów – strapił się.

W tle naszej rozmowy słyszałam dyskusje i krzyki, jakby znajdował się na jakimś bazarze.

– Och, to nic takiego. – Ruszyłam z pomocą. – Z dziewczynami, to znaczy z sąsiadkami na pewno coś wymyślimy. Proszę tylko, żeby dzieci mogły do mnie przyjść tak koło szesnastej i zostać do końca zabawy. Potem oczywiście ktoś z nas odprowadzi je do domu.

– Bardzo dziękuję – powiedział. – Zaraz porozmawiam o tym z moją żoną.

– Byłabym wdzięczna.

Odruchowo podziękowałam, choć przecież nie miałam za co i rozłączyłam się.

– A więc załatwione – powiedziałam do Aurelii. – Idź po brata. Musimy wykombinować dla was jakieś stroje.

– Dziękuję. Albrecht padnie ze szczęścia – pisnęła z uciechy.

– Tylko bardzo was proszę, musicie być grzeczni. – Pogroziłam jej palcem. – I tak mam już na pieńku z waszą macochą. Wolę nie zobaczyć jej w napadzie szału.

– Wygląda wtedy jak czarownica – odparła Aurelia. – Rozcapierza szpony i zaczyna skrzeczeć, gdy się zdenerwuje. Ale to nigdy nie zdarza się przy tacie.

Nic dziwnego – pomyślałam. Pewnie odciąłby ją od funduszy, gdyby zobaczył, jaka jest naprawdę. Wołałam tego nie komentować.

– Dobra, gotowe – powiedziałam, oglądając z przechyloną głową moje dzieło. – Tomek za chwilę przyniesie dyniową latarnię ze świeczką w środku i dekoracja będzie kompletna.

– To ja już idę po brata – rzuciła Aurelia, obracając się na pięcie.

Patrzyłam, jak biegnie w stronę swojego domu. Uśmiechnęłam się do siebie. Dzisiaj na naszej ulicy będzie wesoło bawiło się dwoje dzieci więcej. Moje rozmyślenia przerwał Tomek, wracający od Kosowskich.

– Mamy mało czasu – stwierdził.

– Spokojnie zdążymy. Właśnie skończyłam zakładać ozdoby. Przyniesiesz jeszcze dynię?

– Dobrze. – Wziął ode mnie narzędzia. – Widziałem, jak rozmawiałaś z tą dziewczyną od nowych.

Razem ruszyliśmy w stronę domu.

– Rozmawiałam też z jej ojcem przez telefon – powiedziałam cicho. – Zajmiemy się tymi dzieciakami dzisiaj wieczorem.

– No proszę – zdziwił się. – Wczoraj mówiłaś, że ich macocha kategorycznie sprzeciwia się wszelkim zabawom z udziałem jej pasierbów.

– Bo to prawda. Na szczęście ojciec ma więcej do powiedzenia w tej rodzinie.

Kiedy Tomek ustawiał dynię na starym taborecie, który wcześniej owinęłam czarnym materiałem, zobaczyłam przez okno, jak dzieciaki spod trzynastki wolno idą w naszym kierunku. Chyba trochę obawiały się Tomka, wyszłam więc przed dom i pomachałam do nich.

– Chodźcie, chodźcie.

Za moimi plecami natychmiast zmaterializował się Maksymilian.

– Kogo wołasz?

– Dzisiaj będziemy mieli gości – odpowiedziałam. – Pamiętasz tę dziewczynę, którą spotkaliśmy w lesie? Właśnie idzie ze swoim młodszym braciszkiem.

Maks wyciągnął szyję, żeby sprawdzić, o kim mówię.

– A, to ci nowi – stwierdził bez większego zainteresowania. – Idą z nami na imprezę?

– Tak, synku – powiedziałam. – Musimy wykombinować dla nich jakieś przebrania.

– Na tę dziewczynę to chyba trzeba coś od ciebie – sceptycznie zmierzył wzrokiem zbliżających się gości. – Ale małemu nie dam mojego stroju duszka.

– Nie zamierzam im dawać waszych strojów. – Rozczochrałam mu grzywkę, aż zmarszczył nos. – Zaraz obdzwonię wszystkie przyszywane ciocie, może któraś będzie miała jakiś pomysł.

– Franek Zagórski ma takie stroje – przypomniał sobie nagle Maks. – Widziałem go kiedyś na balkonie w kostiumie Thora. Nawet młot miał, ale nie prawdziwy, tylko dmuchany.

– O, widzisz! – Ucałowałam go w czubek głowy. – Jesteś cudownym synkiem.

– Wiem o tym – przyznał bez krztyny skromności.

– Zaraz zadzwonię do Agaty. Ona może mieć też coś fajnego dla tej dziewczynki. W końcu ma nastoletnią córkę.

– Przeprowadziłem gości. – Do domu wszedł Tomek, popychając lekko przed sobą Aurelię i Albrechta. – Gdzie jest Benek?

Benek pojawił się na szczycie schodów, zwabiony zamieszaniem w holu. W łapkach trzymał któregoś z herosów Lego.

– Zejdź, skarbie – poprosiłam.

– Aurelia – ucieszył się, gdy zobaczył, kto przyszedł. – Ale fajnie, że jesteś.

– To mój brat, Albrecht. Jest od was troszkę starszy. – Aurelia przedstawiła stojącego przy niej chłopca.

Albrecht był wzrostu mojego Maksymiliana. I nawet miał podobnie obcięte włosy jak on. Dzisiaj ubrany był w granatowe dzinsy i czarną bluzkę z niewielkimi napisami. Na wierzch miał nałożoną wiatrówkę, zbyt cienką jak na tę porę roku.

– Ale masz dziwne imię – wyznał Benek szczerze.

– Ty też – odparował chłopiec.

– Poznajcie się, dzieciaki. – Pchnęłam Maksa w stronę nowego kolegi.

Maks wyciągnął do niego rękę i mocno ją uściśnął.

– Chodź do mnie do pokoju – powiedział. – Mam nowe Lego. Lubisz budować samochody?

– Uwielbiam! – ucieszył się Albrecht.

– Mogę z wami? – jęknął Benek i pobiegł za Maksymem i jego nowym kolegą.

– Tylko bardzo was proszę, bawcie się razem – krzyknęłam za nimi.

Aurelia wciąż stała przy drzwiach, ściskając w rękach kurteczkę.

– Daj, zawieszę to tutaj, obok kurtki twojego brata.

Kiedy odwiesiłam jej ubranie, posłała mi lekko przestraszony uśmiech.

– Pomożesz nam przygotować koreczki? – zapytałam, prowadząc ją do kuchni. – Wprawdzie miał to robić Benek, ale chłopcy bawią się teraz z twoim bratem...

– Chętnie pomogę. – Grzecznie dygnęła.

W kuchni Tomek kroił już w kostkę ser żółty. Aurelii dałam do dzielenia ogórki kiszzone, a sama poszłam zadzwonić do Agaty w sprawie strojów.

– Elwira nie jest fanką bali maskowych. Nie przebierała się chyba od podstawówki – stwierdziła Agata. – Dla małego prędzej coś znajdę. Franek ma kostium kościotrupa z jasełek. Tylko nie wiem, czy będzie pasował. Zaraz poszukam i poproszę Ignacego, żeby ci przyniósł.

– Dziękuję, kochana. Jesteś wielka. Będziesz na imprezie u Marzenki?

– Jasne. Zobaczymy się tam.

Pół godziny później wpadł do nas zasapany Ignasz. Ciężko dysząc, wręczył mi reklamówkę ze strojem.

– Zostaniesz na chwilę?

– Nie. – Pokręcił głową. – Zaraz będziemy się przebierać. Mama musi mi pomalować twarz.

– Dobrze. To dziękuję za przyniesienie paczki od mamy. – Zgarnęłam pakunek.

– Niech pani pamięta o zapaleniu dyniowej latarni – przypomniał, zanim wybiegł na chodnik. – Żebyśmy wiedzieli, że tutaj dają dużo cukierków.

Z kuchni dobiegł mnie śmiech Tomka. Wszyscy wiedzieli, że dzieciaki Agaty to największe łasuchy w okolicy.

– Zaraz zapalę – obiecałam, nim zamknęłam drzwi. – Dziękuję, że mi przypomniałeś.

Kostium kościotrupa okazał się trochę za długi na Albrechta, migiem więc złapałam końcówki nogawek i lekko zafastrygowałam, żeby chłopiec się nie zabił w drodze po cukierki. Nawet nie musiałam mu malować twarzy, bo w komplecie była piękna maska. Wprawdzie ktoś ją porysował czymś ostrym, lecz uznałam, że w ciemnościach i tak nie będzie tego widać.

– Ja też taką bym chciał – jęknął Benek na widok kompletnie ubranego kolegi.

– Ale maska kościotrupa nie pasuje do przebrania duszka – powiedział Tomek. – Będziesz wyglądał najlepiej, to znaczy najstraszniej, kiedy mama zrobi ci białą buzię z szarymi kołami wokoło oczu. Zostaniesz rasowym duchem. Każdy będzie wrzeszczał ze strachu na twój widok.

To ostatecznie przekonało malca.

– No dobra – zgodził się łaskawie. – Pożyczę to ubranie od cioci Agaty na następne Halloween.

– Wspaniały pomysł – przyklasnęłam.

Wreszcie nadszedł czas założenia kostiumów, poprawienia rozmazanego po raz kolejny makijażu oraz rozdania torebek na fanty.

Aurelia postanowiła pójść z dziećmi, żeby wszystko nadzorować. Przygotowałam jej więc ekspresowo strój, wykorzystując czarne ubranie, które miała na sobie. Po prostu dałam jej starą miotłę i zrobiony naprędce z czarnego papieru kapelusz czarownicy. Tomek wybiegł razem z nimi, żeby zapalić świeczkę w dyni. Razem stanęliśmy przy furtce, patrząc, jak nasze dzieci dołączają do pozostałych i wszyscy wspólnie idą na początek ulicy, by zacząć „słodyczowe zbiory”.

– Patrz, nawet przed bramą Puchaczowej jest zapalona dynia. – Tomek pokazał palcem domek na końcu ulicy. – Myślałam, że starsi ludzie są przeciwni amerykańskim świętom.

– Pewnie Hela Wąs ją przekonała – mruknęłam. – Trzeba będzie potem sprawdzić słodyczne, które

dostaną nasze dzieci, czy nie są bardzo przeterminowane. Hela mi opowiadała, że kiedyś znalazła u Puchaczowej czekoladowego baranka wielkanocnego, którego data ważności minęła osiem lat temu.

– I się nie rozleciał? – Tomek aż cmoknął z zaskoczenia.

– Pewnie gruba folia trzymała go w kupie – zaśmiałam się.

– Masz rację, przejrzymy te cukierki – zdecydował. – Patrz, weszli do pierwszego domu!

Żeby zobaczyć, jak grupa dzieci znika za bramą domu, w którym mieszkała Emilia, musieliśmy prawie wyjść na środek ulicy. Po chwili usłyszeliśmy śmiechy i piski. Widocznie Emilia dla hecy postraszyła czymś dzieciaki.

– Wróćmy do środka. – Objęłam się ramionami. – Zimno mi.

Tomek natychmiast przytulił mnie do siebie.

– Cała dygoczesz.

– Było takie zamieszanie przy drzwiach, że zapomniałam narzucić na siebie jakąś kurtkę.

– Idziemy. Nie chcę, żebyś się przeziębiła – zdecydował natychmiast. – Zresztą my też powinniśmy przygotować się na imprezę. Niedługo przecież idziemy do sąsiadów.

– No i te koreczki – przypomniałam sobie. – Chryste Panie, przez to całe zamieszanie zapomniałam...

– Koreczki zrobiłem z Aurelią – wszedł mi w słowo. – Nawet przykryłem talerz folią. Trzeba je tylko zanieść do Kosowskich i ułożyć na środku stołu.

Wróciliśmy do domu, gdzie natychmiast otuliło nas przyjemne ciepło. Zdążyliśmy się przebrać, nim dzieci wróciły z halloweenowych łowów.

– Mamo, jeszcze nigdy nie miałem tylu cukierków naraz – wołał uszczęśliwiony Benek, ledwie otworzyłam drzwi. – Mogę je zjeść? Wszystkie? Teraz?

– Teraz to idziemy do cici Marzenki – powiedziałam. – Odłóżcie wasze zdobycze, bo musimy się zbierać.

– Tego jest razem z dziesięć kilo. Sąsiedzi chyba trochę przesadzili z hojnością – stwierdził Tomek, oglądając zawartość toreb Maksa i Benka. – Będziemy musieli wam to wydzielać, bo Benek rzeczywiście gotów spałaszować wszystko na raz. Albo przynajmniej sporą część.

– Ja też mam dużo – cieszył się Albrecht. – A od jednej pani dostałem nawet taką wielgachną czekoladę. Z orzechami! Całymi!

– Grzeczni byli? – zapytałam Aurelię.

– Tak. – Odłożyła miotłę. – Benek się przewrócił na schodach pod jednym z domów, ale nic mu się nie stało. Nawet nie zapłakał. Ale może mieć siniaki na kolanach.

– Bardzo dziękuję ci za pomoc – powiedziałam. – No dobra, a teraz zbieramy się i idziemy do cici.

Wszyscy ze śmiechem wytoczyli się przed dom. Nim zdążyłam zamknąć drzwi na klucz, już gnali do furtki.

Trzeba przyznać, że Marzena znała się na Halloween. Już z daleka było widać, kto na Brzozowym Zaułku włożył najwięcej serca w przyozdobienie domu i ogródka.

– Ciekawe, jak jej dom będzie wyglądał na Boże Narodzenie – powiedział Tomek, kiedy mijaliśmy setki palących się wzdłuż chodnika świec.

– Trzeba uważać na dzieci, żeby się nie podpaliły – stwierdziłam rzeczowo.

– Ależ jesteś praktyczna – zadrwił Tomek. – Aż do bólu.

– Po prostu nie chcę dzisiaj leczyć oparzeń.

Tuż przy schodach stały dwa nagrobki zrobione ze styropianu pomalowanego sprayem na szaro. Trzeba przyznać, że wyglądały jak prawdziwe i robiły ogromne wrażenie.

– Kiedy ona miała na to czas? – zastanowiłam się, oglądając inne ozdoby.

– Nagrobki zrobił Łukasz kilka dni temu – powiedział Tomek. – Opowiadał mi o tym, jak spotkaliśmy

się w markecie.

Wokół drzwi wejściowych stało jeszcze kilka dyń. Większość szczyrzyła dyniowe zębiska albo wykrzywiała złośliwie twarz. Pomiedzy kolumnkami rozwieszono girlandy papierowych nietoperzy, a na drzwiach wejściowych siedział gigantyczny pajak zrobiony z jakiegoś włochatego materiału. Dzieciaki wpadły do środka, nie zamykając za sobą drzwi. Z jasno oświetlonego ganku mogliśmy zobaczyć fantastycznie udekorowany salon. Wszystko tonęło w blasku świec. Zapach stearyny nieco przytłaczał, ale również tworzył aurę tajemniczości.

– O, jesteście wreszcie – przywitała nas Marzena przebrana za ponurą czarownicę. – Łukasz zaraz przyjdzie. Ma mały problem ze swoim przebraniem. Twarz mu odpada.

Odebrała od nas tace z koreczkami.

– Iwona, wyglądasz bosko!

Dorośli również musieli się przebrać. Cudem udało nam się dopaść jakieś kostiumy, których rezerwację odwołał inny klient dwa dni przed Halloween. Dla Tomka został jedynie strój Gandalfa Szarego. Ja miałam do wyboru aż dwa – utarzanej we krwi pielęgniarki albo damskiej wersji nietoperza.

Choć Tomkowi bardzo podobał się ten pierwszy kostium, ja czułabym się w nim naga. Bądźmy realistami. Moja figura nie nadawała się do noszenia miniówki i obcisłej sukienki z dekoltem do pasa. Do czegoś takiego trzeba mieć długie nogi, wąską talię i jędrne piersi. Mnie, po wykarmieniu dwójki dzieci, z określenia „jędrne piersi” została jedynie druga jego połowa. Strój nietoperza natomiast składał się z obcisłych, czarnych legginsów oraz dopasowanej tuniki. Pomiedzy rękawem a dołem wdzianka wszyto ogromne płachty czarnego zamszu. Gdy podnosiłam rękę, pojawiały się więc błoniaste skrzydła. Na końcach miały nawet takie małe haczyki jak u prawdziwych nietoperzy. Do kompletu dołączono jeszcze opaskę z adekwatnymi uszkami.

– Mimo wszystko strój pielęgniarki też ci kupię – oświadczył mój mąż, kiedy wychodziliśmy z kostiumami z wypożyczalni.

– Jesteś zboczony! – Złapałam go za brzeg kurtki. – I wiesz, co mnie w tym przeraża najbardziej? Że żyję z tobą kilkanaście lat i dopiero teraz to sobie uświadomiłam!

– A więc świetnie się maskuję... – zakpił z figlarnym uśmiechem.

– Prędzej padnę trupem niż się w to ubiorę – odparowałam.

– Proszę – jęknął. – Jestem gotów na figle, gdy tylko o tym pomyślę.

Po chwili zatrzymałam się tak nagle, że Tomek nie zdążył wyhamować i wpadł na mnie od tyłu.

– Dobra, założę ten kostium do łóżka pod warunkiem, że ty też się przebierzesz.

– Ja? Ale to mnie nie kręci.

– Twoje przebranie ma kręcić MNIE, łosiu!

Ruszyłam szybko w stronę auta. Tomek z torbami pod pachą prawie biegł za mną.

– Mogę się dowiedzieć, co to będzie za strój?

– Powiem ci, gdy tylko go wymyślę – odparłam, wsiadając do auta.

Od tego dnia Tomek bez przerwy zadreślał mnie pytaniami, w czym chciałabym go zobaczyć. Podniecała mnie myśl, że każę mu się wbić w błyszczące, męskie stringi, mocno uwydatniające jego klejnoty, ale na razie te marzenia postanowiłam zachować dla siebie. Niech się jeszcze trochę pomęczy. Poza tym wątpiłam, że na trzeźwo przystanie na ten pomysł. No i chciałam doprowadzić go do małej desperacji.

– Powiesz? – zapytał po raz setny, kiedy wchodziliśmy do salonu Kosowskich.

– Wow! – zlekceważyłam jego pytanie. – Popatrz, tu jest... zabójczo fantastycznie!

Pomysłowość Marzeny zrobiłaby furorę nawet w Stanach Zjednoczonych. Co tu dużo mówić, dom był przygotowany rewelacyjnie. Salon zamienił się w prawdziwą grootę strachu. Pokój udekorowano

czarnymi i szarymi draperiami. Na ścianach wisało pełno nietoperzy, duchów i innych halloweenowych ozdób. Podłoga zasłana była mnóstwem świecących cekinów. Na pokrytych pomarańczową organzą meblach płonęły dyniowe lampiony. Sztuczne pajęczyny zwisały w narożnikach ścian. Z głośników płynęła jakaś jazgotliwa muzyka – chyba heavy metal. Zadawałam sobie wciąż pytanie, kiedy ona to wszystko zrobiła?

– Podoba wam się? – zapytała Marzena.

– Nie wierzę własnym oczom – wyznałam szczerze.

Zauważyłam, że jest zadowolona, choć trudno mi było rozpoznać jej uśmiech pod grubą warstwą szkaradnego makijażu.

– O, jest Łukasz. Wreszcie poprawił swoją twarz – powiedziała i zostawiła nas, by dopilnować czegoś w kuchni.

Po schodach schodziła mumia owinięta papierem toaletowym zamiast bandażami. Jej opatrunek musiał być dość śliski, bo mumia trzymała się obiema rękami drewnianej balustrady, niepewnie stawiając kroki.

– Widzę, że mamy pierwszych gości – przywitał nas.

Dopiero po głosie można było poznać, że to Łukasz. Był w całości owinięty papierem, łącznie z głową. Zostawił jedynie wąskie prześwity na oczy, nos i usta.

– To chyba zajęło ci cały dzień – powiedziałam.

– Niemożliwe – wtrącił Tomek. – Przecież byłem tutaj trzy godziny temu i Łukasz wyglądał... normalnie.

– Marzena mnie owijała – odparł. – Klęła przy tym jak szewc. Że jej tyle czasu zajmuję, kiedy trzeba zrobić tanto i siamto.

– Jak to baby – powiedział Tomek. Kiedy zobaczył moje miażdżące spojrzenie, natychmiast dodał – No co? Zawsze swoje potrzeby stawiacie na pierwszy miejscu.

– Pogadamy o tym w domu – machnęłam ręką. – Teraz idę pomóc Marzence.

– Myślałam, że już wszyscy są – powiedziałam, wchodząc do kuchni.

– Lubią efektowne wejścia, więc pewnie zaraz zwałą się hurtowo – skomentowała Marzena.

Miała rację. Następne piętnaście minut to była prawdziwa chwila grozy. Do Kosowskich tłumnie przybyli: zombie, czarownice, dynie, duchy i inne stwory. Zrobiło się strasznie i przyjemnie zarazem. Animatorzy szybko zgarnęły nieletnich na poddasze, gdzie przygotowały dla nich liczne halloweenowe zabawy. Aurelia chętnie podjęła się pomocy przy dzieciakach, bo jedna z animatorek okazała się jej szkolną koleżanką. Reszta gości zaś bawiła się na dole w rytm prawdziwie upiornej muzyki.

– Kochana, udało cię zebrać prawie całe osiedle – powiedziała Kasia. – Jestem pod wrażeniem.

Marzena nie kryła dumy. Na imprezę przyszło dużo więcej osób, niż się spodziewała. W pewnym momencie część przeniosła się do ogrodu, choć było dosyć chłodno. Podpitym mężczyznom jednak dwunastostopniowy wietrzyk bardzo odpowiadał. W pewnym momencie ktoś nawet rzucił hasło, że można by rozpaść grilla. Po chwili na ruszcie wylądowały kiełbaski i udka z kurczaka. Z halloweenowej zabawy zrobiła się prawdziwa mięsna uczta.

Gdzieś pomiędzy kolejnymi ponczami, kiełbasą a winem zauważyłam dzieciaki przemykające na podwórzu. Ktoś trzeźwiejszy zapytał, dlaczego dzieci zakładają kurtki.

– Idziemy do ogrodu – oświadczył rozochociony Albrecht. Pełen emocji wieczór zabarwił jego policzki na ciemnoróżowy odcień. – Zrobimy zawody w bieganiu z miotłą.

– Najpierw pójdziemy jeszcze do naszych sąsiadów – wtrącił Benek. – Widziałem przez okno w pokoju Dawidka, że wystawili przed chwilą dynię.

– Sąsiedzi spod ósemki? – zapytałam zdumiona.

Zerknęłam przez okno. Rzeczywiście przed ich drzwiami świeciła się wielka dynia.

– A jednak są w domu – mruknęłam pod nosem. – Widocznie wrócili.

Postanowiłam, że pójdę razem z dziećmi. Szybko założyłam kurtkę i pognałam rozochoczoną gromadkę na drugą stronę uliczki. Otworzyła nam Weronika ubrana w kraciastą tunikę i czarne rajstopy. Witając się z dziećmi, podała im kosz cukierków.

– Podzielcie się nimi – powiedziała z uśmiechem.

Podziękowałam za tak hojne obdarowanie dzieciaków słodyczami. Weronika właśnie zamykała drzwi, kiedy padło TO pytanie, którego najbardziej się obawiałam.

– Kto to jest? Chłopak czy dziewczyna? – zadał je Dawidek.

– Idziemy! Do domu! – jęknęłam, niemal spychając gromadkę ze schodów.

Dopiero za bramą miałam odwagę się obrócić. Zastanawiałam się, czy Weronika słyszała to pytanie. Drzwi były zatrzaśnięte na głucho.

Gdy wróciliśmy do domu Kosowskich, przekazałam całą grupkę animatorkom.

– Proszę zostać na dole i dobrze się bawić. Zajmiemy się dziećmi – powiedziała jedna z nich.

– Będzie super. Mamy mnóstwo pomysłów! – dodała Aurelia, starając się przekrzyczeć zbyt głośną muzykę.

Gdy znowu wychodzili, tym razem do ogródka, w drzwiach minęli się z Paulą przebraną za pielęgniarkę – miała na sobie właśnie ten strój, w którym chciał mnie zobaczyć mój kochany Tomeczek. Nasi faceci zareagowali podobnie jak na grillu – ślinotokiem.

– Ja znów spóźniona! *Sorry*, byłam na innej zabawie, która okazała się kompletną klapą – szczebiotała, obciągając jedną ręką kieckę tak kusa, że prawie było jej widać majtki. Drugą dłonią bezwiednie bawiła się suwakiem na piersiach. – Postanowiłam więc was odwiedzić. W końcu też dałam dzieciakom słodycze.

Panowie, którzy akurat nie przebywali na tarasie przy grillu, tradycyjnie rzucili się w jej kierunku, by proponować drinki i przekąski. Jak zwykle Agata (przebrana dziś za zakonnice) szybko przestała nad sobą panować.

– Głupia dziwka.

– Agata, daj spokój. – Emilia machnęła ręką czy raczej odnóżem jakiegoś bliżej nieokreślonego pajęczaka. – Żaden facet nie traktuje jej poważnie.

– No nie wiem. – Agata nie wyglądała na przekonaną.

– Agato, zanieśmy zimne napoje do salonu – powiedziałam, podając jej dwie butelki pepsi.

– Świetny pomysł – poparła mnie Kasia. – Widzę, że skończył się chleb. Ja wezmę.

Kiedy wkroczyliśmy do salonu, Paula stała przy otwartych drzwiach tarasowych. W jednej ręce trzymała jakiegoś drinka, w drugiej koreczek.

– Kto robił koreczki? – zapytała Agata, pochylając się w naszą stronę.

– Mój Tomek – przyznałam. – A co?

– Nic – westchnęła. – Szkoda, że nie dorzucił cyjanku...

– Przestań – upomniała ją Marzena.

– Dziewczyny, czuję, że seksowna sąsiadeczka dzisiaj też da występ. – Podbiegła do nas Hela, kończąc kolejnego drinka.

Na dzisiejszą imprezę przebrała się za Babę Jagę. Miała doklejony nos z pryszczem, kolorową chustkę na głowie i stary obity kociołek, z którego wystawały głowy dwóch styranych lalek, będących prawdopodobnie substytutami Jasia i Małgosi.

– Dlaczego? – chciała wiedzieć Marzena.

– Każe się ścisnąć facetom za cycki – zachichotała Hela. – Ale oni się boją, bo wy patrzycie.

Marszcząc brwi, podeszłam bliżej Pauli, by przysłuchać się rozmowie naszej seksownej sąsiadeczki

z mężczyznami. Stała plecami do mnie, więc nie widziała, co się dzieje w głębi salonu.

– No to kto jest chętny? Hę? – kokietowała, wypinając biust do przodu. – Mówię wam, nie będziecie żałować! No, panowie! – Zniecierpliwiona klasnęła w dłonie. – Pozwalam wam dotknąć tego, do czego żony pewnie was nie dopuszczają.

– Nie jest aż tak źle – burknął Łukasz z za zwojów papieru toaletowego.

Dobrze, że Marzena tego nie słyszała, bo jestem przekonana, że rozerwałaby go na strzępy.

– Tam kryje się niespodzianka, chłopaki – namawiała Paula, unosząc bardziej piersi. – Czyż nie są słodziutki? Takie zwarte i krągłe.

Co za kretynka! Robić coś takiego? I to na oczach żon? Chyba całkiem zgłupiała!

– Łukasz, może ty? – Wpiła w niego spojrzenie. – Masz takie silne dłonie. Na pewno chciałyby zacisnąć się na tych jądrościach.

Łukasz wybełkotał coś bliżej nieokreślonego, co brzmiało jednak jak pełna cierpienia odmowa. Widział nas, stojące przy stołach z założonymi rękami i obserwujące całe zajście. Nasze miny jednoznacznie dawały do zrozumienia, co się stanie, jeśli którykolwiek z nich ośmieli się wyciągnąć łapy w kierunku stanika Pauli Nowackiej. Zginie marnie, co więcej, będzie umierał długo i w potwornych męczarniach.

– No co z wami? – zdenerwowała się Paula. – Na jakiś antywiagrach jesteście czy jak?

Nasi mężowie krążyli wokoło drzwi tarasowych jak wściekłe lwy. Jeden drapał się po karku, drugi poprawiał mankiety kostiumu, trzeci udawał, że sprawdza stan wypieczenia kiełbasek. Byle tylko nie patrzeć na wypiętą do granic możliwości Paulę.

– No ktoś mnie w końcu ściśnie, do cholery?! – wrzasnęła w końcu.

Tego już było za wiele. Odłożyłam, co miałam w rękach, stanęłam tuż za nią i bezceremonialnie złapałam ją za cycki. Z lewej piersi chlusnęła czerwona farba, która zapewne miała udawać krew. Jako że ściszałam nie od tej strony, co powinnam, większość płynu wylądowała na twarzy naszej gwiazdy.

– Tak wystarczy? – zapytałam słodziutkim jak landrynka głosem. – Czy mam może ścisnąć jeszcze raz?

– O, ty... – Paula rzuciła się w moją stronę.

Farba zalała jej też oczy, więc nie bardzo widziała, gdzie celuje. We mnie natomiast wstąpił jakiś szatan. Zręcznie wywinęłam się z zasięgu jej szponów i tym samym odskoczyłam niemal na środek salonu. Paula rzuciła się w moim kierunku, lecz zahaczyła obcasem o brzeg dywanu i straciła równowagę. Próbowwała przytrzymać się półtorametrowego fikusa Beniamina, dumy Marzeny – tylko jego miała w zasięgu ręki. Rozpaczliwie chwyciła kilka gałązek, lecz były zbyt giętkie. Poleciała do tyłu, boleśnie objając sobie pupę.

– Jak mogłaś! – ryknęła, wygrażając mi pięścią.

– Przecież sama tego chciałaś! – powiedziałam, śmiejąc się do łez. – Żeby cię pościskać!

– Wypchaj się! – warknęła, wycierając twarz serwetką.

– To ty sobie wypchałaś stanik, nie Iwona – wtrąciła Hela.

I w tym momencie stało się coś kompletnie nieoczekiwanego. Paula rzuciła nam żalostne spojrzenie, po czym wybuchnęła rzewnym płaczem. Nasi mężowie zachowali się jak świnie. Zatrzasnęli drzwi tarasowe, oczywiście po drugiej stronie, zostawiając nas same. Wszystkim natychmiast zrzęda mina. Czekałyśmy bez oddechu na dalszy rozwój sytuacji. Nie byliśmy pewne, czy Paula się zgrywa, czy płacze na serio.

– Przepraszam – powiedziałam pierwsza, bo zrobiło mi się jej zwyczajnie żal – ale należało ci się. Nie powinnaś być taka... taka... narzucająca się.

Paula chlipała coraz głośniej.

– No i po co płaczesz? – zapytała Agata szorstkim tonem. – Przecież to tylko trochę farby. Na pewno można to sprać.

– Nikt mnie nie lubi... – wyznała Paula przez zmieszane z czerwonym barwnikiem łyzy. – A ja tak bardzo chcę mieć przyjaciół na tej ulicy.

– Takim zachowaniem nigdy i nigdzie ich nie zdobędziesz. – Hela była bezlitosna. – Nawet prawdziwe dziwki cię znienawidzą.

Marzena trąciła ją łokciem, by przestała mówić.

– No co? – szepnęła staruszka. – Przecież nie kłamię.

– Nie teraz – syknęła jej Marzena do ucha. – Widzisz, że jest załamana.

– E tam. – Hela machnęła ręką i poczłapała do kuchni po jakąś przekąskę.

– Miałaś bardzo dużo płynu w tej piersi. – Emilia chciała zmienić temat, ale jak zawsze jej nie wyszło.

– Jak to zrobiłaś, że piersi wciąż wyglądają tak samo?

Było to najgłupsze pytanie, jakie w życiu słyszałam. Byłam pewna, że Paula zaraz rzuci się na Emilię i pożre ją żywcem. Nic bardziej mylnego. Zamiast się wściec, natychmiast przestała szlochać i spojrzała na swoje piersi wzrokiem, który można porównać do spojrzenia pełnego matczynej miłości.

– Niezły wybieg, prawda? – powiedziała bardziej do swojego biustu niż do Emilii. – W drugą miseczkę biustonozza wsadziłam po prostu dwie żelowe wkładki.

– Sprytne – przyznała Emilia. – Nie wpadłabym na to.

Kasia z Marzeną parsknęły stłumionym śmiechem. Paula chyba uznała, że wciąż się z niej żartuje, i zmierzyła Emilię złym wzrokiem.

– Musiałabyś wsadzić sobie w stanik po cztery takie wkładki, żeby faceci w ogóle zauważyli, że masz tam coś większego od pryszczka.

Emilia głośno wciągnęła powietrze.

– Zależy o jakich rozmiarach wkładek mówimy. – Marzena chciała pomóc przyjaciółce, bo wiedziała, że Emilia jest zbyt subtelna i nie będzie w stanie zdobyć się na ciętą ripostę. – Pewnie ty wypychasz największymi albo masz już wszyte jakieś silikon.

– Co? – oburzyła się Paula. – Myślicie, że moje piersi są sztuczne? A skąd! Są w stu procentach naturalne.

– Oczywiście – powiedziałam, starając się jakoś rozładować sytuację. – Wierzymy ci.

– Właśnie, że nie wierzycie!

W trakcie naszej dyskusji drzwi domu cicho się otworzyły. Aurelia i animatorki zamierzały wprowadzić dzieciaki do domu. Tymczasem rozwścieczona Paula stanęła w rozkroku dokładnie na samym środku salonu, złapała sukienkę za dekolt i energicznie szarpnęła. Ciężkie piersi, zakończone brązowymi, twardymi sutkami, natychmiast wyskoczyły ze zdecydowanie zbyt ciasnego staniczka. Wszyscy zebrani mieli okazję zobaczyć je w pełnej okazałości. Wszyscy wraz z dziećmi, które absolutnie oniemiały, tłocząc się w korytarzu. Chłopcom opadły szczęki. Świat zamarł. Nawet muzyka przestała grać.

– No i co? – rzuciła Paula.

Stała przed nami niemal obnażona, nie licząc seksownych, białych pończoch z koronką, czerwonych szpilek i prześwitujących stringów.

– Ja wszystko mam naturalne! Tylko włoski usuwam. O tutaj.

Wtedy Benek z hukiem upuścił swój koszyk z cukierkami.

– A ja mam w kieszeni prawdziwe kości! – krzyknął, bardzo zaaferowany swoim znaleziskiem.

Wszyscy obróciliśmy głowy w stronę holu. Paula szybko zacisnęła poły kostiumu.

– Ciociu, a czy pani Paula jest ekshibicjonistką? Obnażyła się przed wami?

Pytanie zadał Franek Zagórski, który całkiem niedawno miał w szkole pogadankę na te tematy. Jak widać zapamiętał wszystko, z trudną nazwą włącznie. Agata powinna być z niego dumna.

Pierwsza zareagowała Kasia, która stała najbliżej korytarza.

– Chodźcie, dzieciaczki, do kuchni. Dam wam cukierki. No już!

Wprawdzie każde z dzieci dźrzyło w rękę kosz słodczy, ale oszołomiona Kasia nie zwróciła na to uwagi. Na takie zdanie jednak wszystkie małe aniołki zawsze reagują entuzjastycznie, więc tym razem też zadziało. Dzieci natychmiast zapomniały o nagiej sąsiadce i rzuciły się w stronę kuchni.



Późną nocą, kiedy nasi chłopcy już smacznie spali, wreszcie mogłam przytulić się do poduszki i cichym głosem omówić z moim mężem zdarzenia tego wieczoru.

– Gdybyś widział miny tych wszystkich dzieci, kiedy zobaczyły Paulę z biustem na wierzchu. – Chichrałam się w poduszkę.

– To cud, że Benek nie rzucił jakiegoś komentarza – szepnął Tomek.

– Niewiele brakowało, a Paula ściągnęłaby majtki, żeby pokazać, jak ma wygoloną strefę bikini. Ona kompletnie nie ma wstydu.

– No właśnie – mruknął Tomek, wtulając się w moje ramię. – I co z tym strojem?

– Jakim? – Zapomniałam, o co mu chodzi.

– Tym dla mnie.

– Najpierw musisz się zgodzić, że bez względu na to, jaki ci kupię, założysz go.

– To niesprawiedliwe. – Podparł się łokciem. – Ty przecież wiesz, co ja kupię tobie.

– Ale ty masz mniej do zakrycia – zaoponowałam. – To zgadzasz się czy nie?

– No dobra – spasował – ale pod warunkiem, że mnie to nie będzie gryzło, bolało, drapało i nie wywoła żadnego uczulenia.

– Dobra. – Ucałowałam go w czoło.

– Umawiamy się, że równo za tydzień o jedenastej wieczorem w tej sypialni wymienimy nasze kostiumy. Później bez szemrania je założymy, a potem... niech się dzieje wola Pańska.

Zaczął mnie całować po ramieniu, lecz nie mogłam się skupić na tym, do czego zmierzał. Coś mnie niepokoiło. Miałam coś zrobić, coś sprawdzić, ale nie pamiętałam co.

– Chodź do mnie – mruknął Tomek, łapiąc lekko zębami mój sutek.

Chciałam się lepiej ułożyć i niechcący uderzyłam przy tym Tomka łokciem w oko.

– Aua! – jęknął. – Ale masz kościste łokcie.

I wtedy mnie olśniło. Przed oczami stanęła mi oglądana kilka godzin temu scena, kiedy to wpatrujemy się w rozneglizowaną Paulę. Zaraz później słyszę, jak Benek woła: „A ja mam w kieszeni prawdziwe kości!”. Usiadłam tak szybko, że omal nie wybiłam Tomkowi zębów kolanami.

– Co się stało?

– Muszę coś sprawdzić – powiedziałam, zrywając się z łóżka, nasuwając ramiączko koszulki i zapalając lampkę nocną. – Muszę iść na dół.

– Ale co się stało? – Klęknął na łóżku.

Z wzniesionym penisem i zdumioną miną wyglądał uroczo i bezbronnie.

– Benek mówił o jakichś kościach w kieszeni.

– O czym?

– O kościach.

– Jakich? – Nie nadążał za moim tokiem myślenia.

– No właśnie nie wiem. Muszę sprawdzić kieszenie jego kurtki.

Szybko zbiegłam na dół. Tomek pobiegł za mną, owijając się ręcznikiem. Czułam, że zaraz stanie się coś bardzo złego. Nagle zaczęłam się tak pocić, że ręce zrobiły mi się śliskie i wodoodporna kurtka Benka uciekała mi niczym żywa ryba. Mimo to od razu trafiłam na właściwą kieszeń. Moje palce zacisnęły się na czymś twardym i podłużnym. Krzywiąc się, wyjęłam rękę z kieszeni kurtki mojego syna i spojrzałam w dół.

– O kurwa – wyrwało się Tomkowi. – To kości. I to chyba prawdziwe.

– Benek znalazł resztę szkieletu! – jęknęłam, upuszczając kurtkę.

Wtedy z kieszonek posypały się kolejne kosteczki...

Tajemnica Benka

Tkwiliśmy w niemym bezruchu, wpatrzeni w kilkanaście drobnych kostek leżących pod naszymi bosymi stopami. Jedna z nich, gdy upadła na terakotę, obracała się przez chwilę wokół własnej osi, po czym znieruchomiła ze złowieszczym grzechotem.

– Co teraz zrobimy? – zapytałam, wciąż bojąc się poruszyć.

Co zrobimy, jeśli w kurtce mojego syna jest jeszcze więcej makabrycznych szczątków? Na szczęście kości udowe albo miednica nie zmieściłyby się w małych kieszeniach wierzchniego okrycia naszego potomka. Spojrzałam na Tomka, który też patrzył na kurtkę Benka jak na odbezpieczony granat, mogący w każdym momencie zamienić nasze sielankowe życie w kupę gruzu.

– Chyba trzeba zadzwonić na policję – dodałam po chwili milczenia.

Dopiero wtedy mój mąż oderwał ciężki wzrok od kurtki i przeniósł go na mnie.

– Że jak? – zapytał głupio.

– No, na policję musimy zadzwonić – powtórzyłam. – Trzeba zgłosić, że dziecko znalazło prawdopodobnie ludzki szkielet i jego części przyniosło do domu.

– Mój Boże, kto ci uwierzy? Przecież mamy Halloween. Wszędzie pałętają się upiory, wiszą nietoperze, płoną dynie i poniewierają się ludzkie szczątki. Sztuczne mam nadzieję...

Delikatnie położyłam kurtkę na kościach i poszłam po telefon.

– Naprawdę chcesz zadzwonić? – zapytał z niedowierzaniem.

– A co, zamierzasz zostawić te kości tutaj? – Wzruszyłam ramionami. – Może zrobimy tak jak nasi pogańscy przodkowie? Zakopujemy je pod progiem, żeby przynosiły nam szczęście i odpędzały demony?

Jego wyraz twarzy wskazywał, że gotów był przystać na tę propozycję.

– Może lepiej poczekajmy do rana? – zapytał ostrożnie. – Przecież teraz i tak nikt o tej porze nie przyjedzie. A nawet jeśli, to będą chcieli obudzić Benka, żeby się od niego dowiedzieć, gdzie znalazł te szczątki.

Pomysł budzenia dziecka w środku nocy i to po takim balowaniu zdecydowanie odpadał.

– A tak w ogóle, to wypiliśmy sporo... – mówił dalej. – Nie wiem, czy potraktują nasze zgłoszenie poważnie.

Choć niechętnie, przyznałam mu jednak rację. Zagryzając wargi, odłożyłam telefon na swoje miejsce.

– Wróćmy do łóżka i zastanówmy się spokojnie nad tym wszystkim. – Tomek objął mnie ramieniem i lekko pchnął ku schodom.

– Nie zasnę, wiedząc, że są tu ludzkie kości – zapałam się, patrząc na rozrzucone po podłodze fragmenty szkieletu.

– To je pobieram, włożę do woreczka i wyniosę przed dom. Raczej nie uciekną do rana.

– Nie wolno ci ich dotykać!

– Dlaczego?

– Bo możesz zetrzeć ślady. – Pokręciłam głową. – Jakies ważne dowody mogą przepaść na zawsze.

Moje słowa rozbawiły Tomka.

– Za dużo się naczytałaś kryminałów, poza tym i tak Benek już wymacał je na wszystkie możliwe strony. Wątpię, żeby pozostał na nich jakikolwiek odcisk czy ślad, nie licząc brudu z rąk naszego dziecka oraz fragmentów cukierków, które właśnie wtedy pochłaniał.

Wizja, że Benek przez pomyłkę mógłby zamiast landrynki zapakować do buzi trupi paliczek, omal nie zwała mnie z nóg. Zdecydowanym ruchem sięgnęłam po telefon i wybrałam numer, nim do Tomka dotarło, co robię. Zrezygnowany machnął ręką i poszedł do łazienki, trzaskając wymownie drzwiami. Słuchawkę odebrała kobieta o niskim i zmęczonym głosie. W kilku zdaniach wyjaśniłam jej, o co chodzi.

– Gdzie więc są teraz te szczątki? – zapytała obojętnym tonem, jakby moje zgłoszenie w ogóle jej nie zaskoczyło.

Czyżby ludzie aż tak często dzwoniли na policję, oświadczając, że ich dziecko ma w kieszeni ludzkie kości, że przestało to już na niej robić wrażenie? A może one są szkolone, by rozmawiać w taki sposób? Nawet jeśli dzwoniący przekazuje im niesamowicie sensacyjną i makabryczną wiadomość, poziom napięcia w ich głosach ma na wykresie przypominać rytm serca denata – ma być prosty i upierdliwie monotony.

– Na razie leżą na podłodze u nas w domu, ale mąż chce je wynieść na ganek, żebym mogła zasnąć.

Dopiero gdy wypowiedziałam to zdanie, dotarło do mnie, jak bezgranicznie głupio brzmi.

– Czy owe szczątki w jakimś stopniu kolidują z pani miejscem snu? – Padło pytanie.

Zdębiałam.

– Halo, jest tam pani?

– Tak – wyjąkałam, zastanawiając się, jak odpowiedzieć na to pytanie, żeby nie pogрузić się jeszcze bardziej.

– Czy są na łóżku?

– Broń Boże! – wypaliłam. – Jak wcześniej wspomniałam, są na podłodze w holu. Na szczęście tam nie sypiam.

Kobieta najwyraźniej nie wyczuła złości w tonie mojego głosu.

– Zatem najlepiej by było zostawić szczątki bez dotykania dopóty, dopóki ktoś nie przyjedzie i tego nie sprawdzi – oświadczyła.

– A kiedy to będzie? – chciałam wiedzieć.

– Prawdopodobnie rano albo przed południem. Drugiego listopada.

– Pani zwariowała? – uniosłam się. – Nie zamierzam spędzać reszty weekendu w towarzystwie jakiegoś trupa! To całe dwie doby!

Moje słowa nie zrobiły na niej żadnego wrażenia.

– Właśnie minęło Halloween i chociaż to święto w Polsce wciąż nie jest bardzo popularne, wie pani, ile zgłoszeń mieliśmy? Sto trzydzieści siedem! Skargi na plastikowe szkielety, nachalnie dzwoniące do drzwi dzieci, głośną muzykę i pętające się po ulicach zombie. Te kości zapewne też są sztuczne, tylko zrobione nie z tandetnego plastiku, ale z lepszego materiału, który można nazwać... kościopodobnym. Dzieciak wsadził je sobie do kieszonki, myśląc, że są prawdziwe i ten pogląd udzielił się pani. Jak na przewrażliwioną matkę przystało. Koniec historii.

Pomyślałam, że zaraz szlag mnie trafi.

– Kilka tygodni temu na naszej ulicy znaleziono fragment kości. Prawdziwej, do diabła – warknęłam, ściskając słuchawkę tak mocno, że aż zatrzeszczała. – Jestem przekonana, że to, co znalazł mój syn, jest kolejną częścią szkieletu, nieudolnie poszukiwanego przez naszą, pożałuj Boże, policję. Niestety przez ostatnie tygodnie nikomu nie chciało się dokładniej przeszukać pozostałych działek! A dlaczego? Bo lepiej zrec pączki na zapytającym posterunku niż zebrać dupę do roboty!

Dyspozytorka spokojnie wciągnęła powietrze. Widocznie potrzebowała chwili, żeby zastanowić się

nad wyważoną odpowiedzią. Miała świadomość, że rozmowa jest nagrywana i jakiś prawnik będzie mógł ją odtworzyć, robiąc furiatkę z jednej z nas. Niestety jak na razie szala ponurego zwycięstwa przechylała się wyraźnie w moją stronę.

– Proszę pani – zaczęła urzędowym tonem. – W tym momencie przyjazd do kości, które należą do kogoś od dawna martwego, nie jest rzeczą priorytetową. Mamy ważniejsze sprawy: dwa wypadki, w tym jeden ze skutkiem śmiertelnym, kilka włamań i dwie bijatyki. Musimy interweniować przede wszystkim w sytuacjach zagrożenia życia. A tym kościom, nawet jeśli są prawdziwe, śmierć już nie zagraża. Ja oczywiście wpisuję pani zgłoszenie...

Klnąc pod nosem, rzuciłam słuchawkę. Dopiero wtedy zauważyłam, że całej tej głupiej rozmowie przysłuchiwał się Tomek, stojący w drzwiach toalety.

– Widzę, że ta rozmowa zakończyła się pełnym sukcesem – rzucił ironicznie.

– Wypchaj się – warknęłam. – Co za babsztyl!

– Mówiłem ci, że tak będzie – mądrył się dalej. – Wyniosę te kości przed dom i rano zadzwonimy jeszcze raz.

Poddałam się. Niestety Tomek miał rację.

– Przynajmniej może odbierze inna osoba – mruknęłam, wyciągając z szuflady mały woreczek śniadaniowy. – Masz, pobieraj te apokaliptyczne łupy naszego dziecka.

Tomek szybko powrzucał kostki do torebki i wyniósł je na ganek. Ja natomiast na wszelki wypadek jeszcze raz dokładnie sprawdziłam kieszonki kurtki. Na szczęście nic więcej nie znalazłam, nie licząc kilku papierków po śmietankowych krówkach.

– Teraz wreszcie możemy się położyć – powiedział Tomek, zamykając drzwi wejściowe na klucz.

– Mam nadzieję, że Maksymilian nie ma w swoich kieszeniach podobnych znaleźsk – odparłam, sprawdzając również kurtkę starszego syna.

– Wątpię, żeby chciał wziąć do ręki coś takiego.

– Mógł pomyśleć, że to tylko dekoracja, a nie prawdziwe kości.

Tomek poczekał cierpliwie, aż przetrząsnę wszystkie kieszonki.

– Na szczęście nic więcej tu nie ma – powiedziałam w końcu z ulgą.

– I bardzo dobrze – odetchnął Tomasz. – Idziemy do łóżka. Mam nadzieję, że młodzi nie wstaną wcześniej niż o dziesiątej, bo chciałbym się w końcu wyspać...

Oczywiście, jak zwykle, jego nadzieje okazały się płonne. Tym razem jednak to nie dzieciaki nas obudziły, lecz natarczywe dzwonicie do drzwi.

– Któż to, do cholery? – jęknął Tomek, patrząc na zegarek. – Kto może nas nachodzić w niedzielę o siódmej i to we Wszystkich Świętych?

– Żebym to ja wiedziała...

Dźwięk dzwonka ucichł, ale za to rozpoczęło się uparte łomotanie pięścią.

– Jakiś pieprzony desperat. – Tomek podniósł się z łóżka i narzucił szlafrok. – Nakopię draniowi...

– Jasne. – Ziewając, również namacałam swój szlafroczek.

Zanim się ubrałam, on już zdążył zejść na dół. Słyszałam, jak przekręca klucz w drzwiach i wymienia z kimś kilka zdań. Z ciekawości wyszłam na korytarz i przechyliłam się przez balustradę. W drzwiach stał tęgi policjant o nalanej twarzy, obok niego natomiast cywil będący wizualnym zaprzeczeniem swojego towarzysza.

– Myśleliśmy, że kobieta, z którą rozmawiała żona, nie przyjęła naszego zgłoszenia – tłumaczył Tomek, niechętnie wpuszczając mężczyzn do środka.

– A jednak przyjęła. Panie...

– Winiarski – dokończył za niego Tomek.

– No właśnie. – Policjant zakaszał. – To pana syn znalazł szkielet?

– Nie szkielet. On tylko przyniósł do domu kilka kostek. O ile dobrze pamiętam anatomię, to zaledwie kilka procent szkieletu. Albo nawet mniej...

– Proszę nam je pokazać – powiedział cywil zniecierpliwionym tonem.

Był to chudy, nieco przygarbiony czterdziestoparolatek o bardzo bladej karnacji i mocno przerzedzonych włosach. Po jego sylwetce było widać, że większość czasu spędzał przy biurku.

– Jestem specjalistą – oświadczył, podążając za Tomkiem. – Już na miejscu będę mógł ocenić, czy kości są prawdziwe i jeśli tak, czy są ludzkie.

– Wyniosłem je na ganek – powiedział Tomek, zawracając nagle i otwierając drzwi. Cały pochód posłusznie podążył za nim. – Proszę, oto one.

Bezceremonialnie wręczył specjalistcie woreczek śniadaniowy z grzechoczącą sucho zawartością.

Zanim doprowadziłam się do jakiegoś ładu i zeszłam na dół, Tomek zaprosił gości do salonu i rozłożył na stole jakąś gazetę, na której skrupulatnie poukładali całą zawartość woreczka.

– To jednak są ludzkie kości – powiedział specjalista, zerkając na nie przez lupę.

– Czyli są prawdziwe? – Policjant, który mu towarzyszył, wyglądał na zdziwionego.

– Bez wątplenia. – Skinął głową. – Większość z nich to części paliczków.

– Może mają wiele tysięcy lat – zastanawiał się mundurowy na głos. W zadumie ściągnął czapkę i podrapał się po łysej głowie. – W okolicy znaleziono resztki jakiejś osady. Podobno jeszcze sprzed Biskupina...

– Nie jestem w stanie tego ocenić bez specjalistycznego sprzętu – mruknął nasz znawca, pochylając łysiejącą głowę tak nisko, że swoim wielkim nosem prawie pocierał rozłożone szczątki. – Ale moim zdaniem są to kości współczesnego człowieka. Myślę, że zakopano go kilka lat temu. Najwyżej dziesięć.

– A niech mnie – sapnął Tomek. – Czy to część tego samego szkieletu, z którego kość kiedyś wplątała się w krowi łańcuch, czy może mój syn znalazł kolejnego truposza?

Badacz podniósł znad lupy roztargniony wzrok.

– Nie jestem w stanie tego stwierdzić na miejscu, ponieważ jak już wspomniałem, muszę mieć dostęp do specjalistycznego sprzętu oraz dokładnych raportów dotyczących tamtych szczątków.

– To ma sens – zgodził się z nim policjant. – Trzeba porozmawiać też z osobą, która znalazła te fragmenty.

– Nasz syn przyniósł je wczoraj w swojej kurtce – powiedziałam, podchodząc bliżej stołu. – Na razie jeszcze śpi. To zaledwie pięcioletnie dziecko.

– Nie ma czasu. – Specjalista nagle się zdenerwował. – Na dzisiejsze popołudnie zapowiadano ulewne deszcze. Intensywne opady mogą zniszczyć ważne dowody! A jeśli pozostałe kości zostały narażone na światło dzienne... Nawet nie chcę o tym myśleć!

Dramatycznie machnął swoją nad wyraz wypielęgnowaną dłonią. Tomek chciał coś powiedzieć, lecz specjalista uniósł rękę, rozcapierzając palce.

– Panie Winiarski, możemy stracić wszystkie dowody. Ta osoba została być może zamordowana!

Określenie „zamordowana” sprawiło, że Tomek natychmiast zamknął usta. Chyba każdy zareagowałby w podobny sposób. Wiadomo, że złe rzeczy dzieją się na świecie, lecz każdy z nas chce, by działy się możliwie jak najdalej od miejsca, w którym żyje. Prawdopodobieństwo, że takie potworne zdarzenie jak morderstwo mogło mieć miejsce w naszym najbliższym otoczeniu, zawsze paraliżuje strachem człowieka, który nie tylko martwi się o swoje własne życie, ale również o życie swojej żony i potomstwa.

– Pójdę obudzić Benka – zdecydował Tomek, obracając się na pięcie.

Policjant przytaknął mu. Zauważyłam, że nagle mój mąż bardzo zbladł.

– Lepiej ja to zrobię. – Złapałam go za rękaw szlafroka. – Ty aż się trzęsiesz ze zdenerwowania. Wiesz

dobrze, że jak Benek się przestraszy, to nic nam nie powie.

Nerwowym skinieniem głowy przyznał mi rację.

– Zostań na dole i słuchaj, co się dzieje – szepnęłam mu do ucha i szybko wbiegłam po schodach na górę, mając nadzieję, że nie będę musiała długo budzić małego.

No i nie zawiodłam się. Nieprawdopodobnie ciekawski Benek tradycyjnie stał przy balustradzie i uważnie przysłuchiwał się całemu zamieszaniu na dole.

– Oni przyszli po mnie? – zapytał przestraszonym szeptem, kiedy tylko zaprowadziłam go do jego pokoju, żeby chwilę z nim porozmawiać oraz przy okazji go ubrać. – Ale ja nic złego nie zrobiłem.

– Nie PO ciebie, tylko DO ciebie – powiedziałam. – Chcą się tylko dowiedzieć, gdzie znalazłeś te kosteczki, które schowałeś w kieszeni.

– Nie mogę powiedzieć. – Malec zdecydowanie pokręcił głową.

Dobrze znałam minę, którą zrobił właśnie w tamtym momencie. Oznaczała ona: „Nie ma takiej siły, która byłaby w stanie wyciągnąć ze mnie tę informację”.

Ostatnio dokładnie ten grymas miał na twarzy Benek przed wakacjami, kiedy w niewyjaśnionych okolicznościach zaginął jeden z plastikowych dinozaurów Maksa. Nikt nie był w stanie wydobyć od niego żadnych informacji na temat tajemniczego zniknięcia zabawki. Nie pomagały próby przekupstwa, prośby, groźby ani nawet machanie mu przed nosem skórzanym pasem Tomka. Milczał jak grób. Dinozaura znaleźliśmy podczas przeprowadzki rok później. Benek urządził mu pogrzeb, chowając go w osłonce jednej z donic. Kiedy Tomek zapytał małego, dlaczego to zrobił, Benek odparł z rozbrajającą szczerością, że przecież dinozaury wyginęły wiele lat temu.

– Mama mi powiedziała, że dinozaury powinny zostać tam, gdzie ich miejsce, czyli pod ziemią – tłumaczył. – Gdyby ktoś dowiedział się, że mamy dinozaura w domu, zabrałyby go do laboratorium i robiłyby na nim potworne (właśnie tego określenia użył) doświadczenia.

To wyjaśnienie wstrząsnęło nami tak bardzo, że wspólnie zakopaliśmy nieszczęsną zabawkę, oddając ją Matce Ziemi na zawsze. Niech spoczywa w pokoju. Na pocieszenie kupiliśmy Maksowi kolejnego resoraka, upewniając się wcześniej, czy Benek nie zamierza również i jego pochować. W końcu spory procent metalowych samochodzików stanowiły miniatury zabytkowych modeli, niejeżdżących po drogach od wielu lat.

Teraz, prócz kilkudziesięciu doniczek w domu, mamy również spory ogródek, więc gdyby młody postanowił urządzić pogrzeb kości, to szukanie mogłoby potrwać znacznie dłużej.

– To bardzo ważne – powiedziałam cicho. – Ci policjanci przyszli specjalnie do ciebie. Chcą twojej pomocy, a przecież ty jesteś dzielnym chłopcem i chętnie im pomożesz, prawda?

– Nie – wypalił bez ogródek. – Nie powiem im, gdzie znalazłem te kości.

– Ale dlaczego? – Spojrzałam na niego błagalnie.

– Bo nie – zaparł się.

– A mamusi powiesz? – starałam się przymilić, mając nadzieję, że jakoś uda mi się wyciągnąć z Benka potrzebne informacje.

– Nie powiem. – Był nieugięty.

– Ale czego mi nie powiesz? – postanowiłam go zmylić, lecz okazał się sprytniejszy niż przypuszczałam.

– Tego, co chcesz wiedzieć, a czego nie powiem, bo jak się dowiesz, to powiesz policjantom. – Staraj się z sensem wytłumaczyć mi, o co mu chodzi, unikając odpowiedzi na pytanie zasadnicze.

To skomplikowane, lecz racjonalne zdanie cwaniaczek wyrzucił z siebie jednym tchem. Byłam pod wrażeniem jego nieprzeciętnej inteligencji. Zawsze uważałam, że moje dzieci są mądre, ale nie spodziewałam się, że też tak. Teraz byłam skłonna zmienić zdanie. Młody był prawdziwym geniuszem.

Marszcząc brwi, usiadłam obok niego na brzegu łóżka i delikatnie pogłaskałam go po krótko przyciętej czuprynce.

– Beniu, wiesz dobrze, że cudzych kości nie powinno się nosić przy sobie – szepnęłam, całując go lekko w czubek główki. – Żadnych kości. Ludzkich w pierwszej kolejności. Lepiej zostawić je w miejscu, w którym zostały pochowane.

– Mamusiu, ale ja nie wiedziałem, że to są kości ludzka – powiedział z rozbijającą szczerością.

– Człowieka – poprawiłam go odruchowo. – Tak, synku. Wszystko wskazuje na to, że trafiłeś na ludzkie szczątki.

Przygryzł wargę. Zawsze tak robił, kiedy bardzo się nad czymś zastanawiał.

– Jak je znalazłem, to pomyślałem, że zakopię je w prawdziwym grobie – wyznał, patrząc na mnie tymi swoimi błękitnymi oczkami. – No i poznosiłem, ile mogłem, do grobu. Takiego z ozdobami na wierzchu, jak ma ta ciocia, której nie pamiętam, która umarła i teraz zanosimy jej kwiaty czasami.

– Mówisz o nagrobku – domyśliłam się.

– O właśnie. Zaniosę resztę pod... nagrobek i tam będą sobie na zawsze. – Sądząc po jego minie, był absolutnie przekonany do swoich racji. – Jak dinozaur Maksa.

Czasami zrozumienie dziecka przekracza nasze kwalifikacje, nawet jeśli uważamy się za dobrych rodziców i jesteśmy absolutnie przekonani, że rozumiemy je bez słów.

– To bardzo dobry pomysł – postanowiłam wziąć go pod włos. – A daleko musiałeś nieść te kości?

– Nawet nie – wyznał Benek szczerze.

– To dobrze, przynajmniej nie pogubiłeś...

– I nikt mi nie pomagał. Nawet nikt się nie domyślił – ucieszył się. – Jestem naprawdę świetny!

– To prawda. – Pogłaskałam go po głowie. – A gdzie jest ten nagrobek?

– Jak to gdzie? – zdziwił się. – Nie widziałaś wczoraj tego... nagrobka?

Nagle poczułam, że zaraz dowiem się kolejnej strasznej rzeczy, która będzie spędzać mi sen z powiek przez co najmniej następną dekadę.

– Raczej nie – odparłam ostrożnie, czekając na jego odpowiedź.

– No mamusiuuuuu... U cioci Marzenki... w ogródku! – Benek zaklaskał w rączki. – Teraz ciocia będzie miała własny cmentarz! Może ona też tam będzie kiedyś pochowana z wujkiem? Też będziemy im zanosić kwiaty. To superowe!!! Prawda?

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, usłyszałam tylko:

– Mamo, wiesz co? Ja też chcę mieć własny cmentarz!

Kości, kostki i kosteczki

Gdy usłyszałam wyznanie Benka, natychmiast pognałam do sypialni, gdzie przy łóżku wciąż leżał mój telefon. Nie mogłam czekać. Choć był to niedzielny i na dodatek świąteczny poranek, a na niebie jeszcze nie pojawiło się słońce, po prostu musiałam to zrobić. Musiałam zadzwonić do Marzeny i poprosić ją, żeby zajrzała pod styropianowy nagrobek, który miał być jedynie halloweenową ozdobą, a prawdopodobnie stał się kolejnym miejscem spoczynku poszukiwanych przez policję szczątków.

Marzena odebrała dopiero po dziesiątym sygnale.

– Czy coś się stało? – Ledwo ją zrozumiałam, bo pytając, równocześnie ziewała.

– Marzena, musisz sprawdzić nagrobek – powiedziałam cicho i z przejęciem.

Wolałam, żeby policjanci na dole nie słyszeli tej rozmowy. Może Benkowi coś się pomieszało i pod nagrobkiem nie ma żadnych kości?

– Czy ty oszalałaś? – zapytała. – Ten wczorajszy poncz wciąż cię trzyma? A chwaliłaś się, że masz twardą głowę...

– Nic z tych rzeczy. Błagam, wyjdź przed dom i sprawdź te swoje styropianowe nagrobki.

– Iwona, tobie całkiem odbiło – stwierdziła Marzena. – Zadzwoni później. Ja wracam do łóżka. Jestem wykończona.

– Marzena! – ryknęłam. – Jeśli nie chcesz, żebym opowiedziała wszystkim o tym, co trzymasz pod materacem, to rusz się i sprawdź te cholerne nagrobki!

Moją przyjaciółkę najwyraźniej zamurowało.

– Skąd o tym wiesz?

Nie chciałam jej mówić, że wszystkie dziewczyny wiedzą. Swego czasu Marzena, po wypiciu większej ilości mojito, przyznała się, że ma w łóżku ukryte różne, hm, zabawki. Oczywiście Łukasz nie miał o tym pojęcia.

– Powiem wszystkim! – powtórzyłam.

Wiedziałam, że to było chamskie zagranie i na pewno w normalnej sytuacji nie posunęłabym się do takiego szantażu, ale w tamtej chwili byłam zdesperowana. Marzena sapnęła ze złości niczym rozjuszony byk, przygotowujący się do ataku.

– O, kochana! Wywaliłaś z grubej rury! – syknęła. – Jeśli tylko komuś powiesz o moim przyjacielu...

– Marzena, błagam cię! Nie gładź, tylko idź! Nie ma czasu!

Rozłączyła się, a ja pognałam do okna w sypialni Maksa, skąd było widać jej posesję. Po niespełna minucie zobaczyłam ją, jak opatulona kraciastym polarem wybiega w kapciach na chodnik i drepcze w stronę trawnika. Pochyliła się na chwilę nad styropianowym nagrobkiem, po czym oddzwoniła do mnie.

– Nic tu nie ma, wredna babo – powiedziała do słuchawki, gdy tylko odebrałam.

Stałam w oknie, więc pomachałam do niej przyjaźnie. W odpowiedzi otrzymałam malowniczo wystawiony środkowy palec. Jakże wymownie!

– Przepraszam cię, ale musiałam. – Docisnęłam słuchawkę do ucha. – Nie ma niczego dziwnego?

– Jezu, dajże mi wreszcie spokój. Chce iść spać, głowa mi pęka i mam totalny syf w domu!

– Nie ma tam żadnych kości?

Ze zdziwieniem obróciła głowę w stronę mojego okna, ale zaraz znów pochyliła się nad nagrobkiem.

Pewnie posłała mi wściekłe spojrzenie, lecz z tej odległości na szczęście nie było tego widać. Nie była na mnie jednak bardzo wkurzona, bo wciąż jedną ręką trzymała telefon przy uchu.

– Czy ziemia wokół jest rozkopana? – zapytałam, wciąż obserwując ją przez okno.

– Trochę. Musieliśmy z Łukaszem jakoś osadzić ten styropian, żeby się nie przewrócił.

– Nie ma tam niczego prócz ułożonych przez ciebie dekoracji? – dociekałam.

– Powiesz mi wreszcie, do cholery, co się dzieje? – Nie wytrzymała. – Nic tu nie ma. Tylko ziemia, liście, resztki świec i kości.

– Kości? – Tak gwałtownie przysunęłam głowę do szyby, że uderzyłam się w czoło.

Szklana tafła wydała głuchy brzdęk.

– Jakieś plastiki pewnie. To nie nasze – powiedziała Marzena. – Pewnie ktoś je tutaj porzucił. Po wczorajszej imprezie znalazłam w domu różne dziwne rzeczy. Na przykład puderniczkę i sztuczną skórę.

Przez okno zobaczyłam, jak moja przyjaciółka unosi sporą kość i ogląda ją ze wszystkich stron.

– Marzena, to jest prawdziwe – powiedziałam, siląc się na spokojny ton. – Jest u mnie w tej sprawie policja.

– Co jest prawdziwe? Sztuczna skóra? – Nie zrozumiała. – Jaka policja, do diabła?

– No, ta kość. Jest prawdziwa. To chyba reszta tego szkieletu, z którego piszczel zaplątał się w krowim łańcuchu. Benek to znalazł i przyniósł do ciebie, żeby zrobić pogrzeb. Uznał, że skoro już masz takie śliczne nagrobki...

Zobaczyłam jak Marzena z obrzydzeniem rzuca kość na ziemię.

– Chryste, ja tego dotykałam – jęknęła.

– Posłuchaj mnie – podniosłam głos. – Zaraz przyjdzie do ciebie policjant w tej sprawie.

– Ale ja nic nie zrobiłam – zaczęła histeryzować. – Nie chcę, żeby mnie zamknęli za zakopanie trupa w ogródku!

– Nikt cię nie zamknie, do jasnej cholery. – Staralam się ją uspokoić. – Przyjdą tylko zabrać te kości.

– Nic nie zrobiłam... Jestem niewinna... – jęczała, wciąż stojąc nad styropianowym grobem i z obrzydzeniem wycierając rękę o szlafrok. – Nigdy nawet nic nie ukradłam, a co dopiero zabijać... Nawet mandatu nigdy nie dostałam...

– Weź się w garść, babo! – syknęłam. – Ty masz przynajmniej te kości na podwórku, a ja miałam je w domu.

Każdemu człowiekowi z reguły poprawia się humor, gdy słyszy, że ktoś inny ma gorzej od niego. Marzena zareagowała na moje słowa jak stuprocentowy *homo sapiens*.

– Miałaś w domu? – powtórzyła spokojniejszym już tonem. – No to masz przerąbane! Bardziej niż ja.

– To prawda...

– Mamo, co się dzieje? – Na łóżeczku siedział Maks i patrzył na mnie nieprzytomnym jeszcze wzrokiem.

By zobaczyć, jak Marzena sprawdza nagrobki, musiałam wkraść się do pokoju mojego starszego syna i przez to całe zamieszanie zapomniałam o śpiącym dziecku. Teraz uświadomiłam sobie, ile strasznych rzeczy mógł się chłopak dowiedzieć z tej nietypowej rozmowy. Że o przekleństwach nie wspomnę.

– Śpij, kochanie. – Szybko podeszłam do łóżka Maksa i pogłaskałam go po głowie. – Jest jeszcze bardzo wcześnie, ale mamusia musiała zadzwonić do cioci, żeby przypomnieć jej, że zostawiła pranie na balkonie, bo zaraz zacznie padać.

Kłamstwo było szyte bardzo grubymi nićmi, ale Maks był tak zaspany, że to uzasadnienie wystarczyło.

Przytulił głowę do poduszki i zamknął oczy.

– Dobra z ciebie koleżanka – mruknął, zasypiając. – Pamiętasz o naszym praniu i o ubraniach cioci... Jak te troskliwe misie z bajki...

Wyszłam na palcach na korytarz i dokładnie zamknęłam za sobą drzwi. Niech przynajmniej on jeden w tym domu wyśpi się dzisiaj porządnie.

Zesłam powoli po schodach z zamiarem przekazania policji, że reszty szkieletu należy szukać u mojej sąsiadki przed domem. Benek też miał zejść na dół, kiedy tylko skończy się przebierać.

Gdy byłam mniej więcej w połowie schodów, ktoś załomotał do drzwi wejściowych. Zatrzymałam się zaskoczona. Jak na wczesne godziny poranne świątecznego dnia, przez nasz dom przewija się zdecydowanie zbyt dużo ludzi – pomyślałam. Tomek wpadł do holu i otworzył drzwi. Na progu stała Marzena. Z salonu przyszedł też policjant. Patrzył na nią z żywym zainteresowaniem.

– O, Marzenka! – przywitał ją Tomek. – Rany boskie, czy coś się stało?

Pytanie było jak najbardziej uzasadnione, albowiem Marzena wyglądała jak półtora nieszczęścia. Spod rozchełtanego szlafroka wystawała kwiecista koszula nocna z rozcięciami po bokach, żeby łatwiej było karmić niemowlę. Nieuczesane włosy piętrzyły się w fantazyjnym kołtunie tuż na czołem, a pobieżnie usunięty makijaż zostawił po sobie ślady w postaci szarych pasów wokoło oczu.

– Podobno jest tutaj policja – powiedziała rozedrganym głosem.

– No tak... – Tomek odsunął się nieco, wskazując stojącego zaraz za nim funkcjonariusza. – Czy coś się stało?

– Czy coś się stało?! – uniosła głos. – To się stało!

Wyciągnęła rękę, w której dzierżyła dwie długie kości. Nie chcą ich dotykać, trzymała piszczele przez rękaw szlafroka.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

Minęła Tomka i zdecydowanym ruchem wepchnęła kości w rękę policjanta, po czym bez słowa obróciła się na pięcie i wyszła, zostawiając nas oniemiałych w holu. Nikomu nie przyszło do głowy, by ją zatrzymać, zawołać, czy w ogóle cokolwiek zrobić. Patrzyliśmy w ciszy, jak Marzena w puszystych kapciach na nogach bezgłośnie pokonuje chodnik, jezdnię, znów chodnik, by wreszcie z głośnym trzaskiem zamknąć za sobą drzwi swojego domu.

Pierwszy otrząsnął się policjant.

– A niech mnie, co za babka! – sapnął, odruchowo przyciskając kości do piersi. – Prawdziwa kocica. Lubię takie kobitki z pazurami.

Na to wyznanie opadła mi szczęka. Tomek też miał niepewną minę, jakby nie wiedział, czy ma się śmiać, czy zwrócić policjantowi uwagę, że jego wypowiedź była nie na miejscu. Ostatecznie pokręcił tylko głową i zamknął otwarte nadal drzwi wejściowe.

– Przepraszam, ale koleżanka najwyraźniej przeżyła szok, kiedy dowiedziała się, że to są prawdziwe kości – wydukałam wreszcie.

– Państwo natomiast przyjęli tę wiadomość wyjątkowo spokojnie – zauważył policjant.

– Mieliśmy czas, żeby się z tym, że tak powiem, oswoić – wypomniał Tomek. – Całą noc. Gdyby pan tu się pojawił zaraz po naszym odkryciu, zobaczyłby pan dwójkę histeryków w trakcie ataku paniki. Proszę mi wierzyć.

– Wierzę – skinął głową policjant, dodając przyniesione przez Marzenę kości do tych, które badał ponury chudzielec.

– A te skąd się wzięły? – Specjalista uniosł roztargniony wzrok znad lupy.

– Sąsiadka tych państwa znalazła u siebie w ogródku.

– Mój syn tam je przyniósł – wtrąciłam.

– Proszę pani, koniecznie musimy porozmawiać z pani synkiem – powiedział policjant.

– Wiem o tym – westchnęłam. – Zaraz przyjdzie. Chociaż wątpię, żeby udało się wyciągnąć z niego coś więcej. On jak się uprze...

– Mimo wszystko spróbujemy.

Benek wreszcie zszedł na dół. Z lekko przestraszoną miną schował się za mną na wszelki wypadek i stamtąd obserwował przybyszów. Policjant podszedł bliżej i kucnął, wyciągając rękę.

– Cześć, jestem Władek, a ty? Powiedz mi, jak masz na imię?

Mówi zdecydowanie zbyt słodkim głosem, który Benek z pewnością odebrał jako fałszywy.

– Jestem Benek – powiedział, lecz nie wyciągnął do niego ręki, co oznaczało, że nie obdarza policjanta ani krztyną zaufania.

– Dokonałeś fascynującego odkrycia – mówił dalej mundurowy. – Wiesz, te kości mogą być nawet pokazywane w telewizji?

Może kilkadziesiąt lat temu, kiedy ów policjant był dzieciakiem, takie stwierdzenie zrobiłoby na nieletnim kolosalne wrażenie. Ale po Benku spłynęło to jak woda po kacze. Bez słowa wzruszył ramionami i zaczął dłubać w nosie. No świetnie po prostu.

– Nic nie powiem – oświadczył zdecydowanym tonem po krótkiej chwili intensywnego namysłu wzmocnionego drapaniem się wolną ręką w okolicy lewego pośladka.

Nawet mina Tomka wskazywała, że z naszego młodszego syna nie wyciągniemy informacji żadną siłą.

– Nie chcesz być w telewizji? – zachęcał dalej policjant. – Na przykład w wiadomościach?

– A po co? – zapytał mądrze Benek. – My i tak nie oglądamy wiadomości. Czasami tylko bajki.

– Będiesz takim drugim Spidermanem. Dzielnym obrońcą naszego miasteczka – kuśił nadal funkcjonariusz.

– Mam strój Spidermana – skinął głową Benek. – I Iron Mana, Batmana, Hulka...

Policjant gwałtownie poczerwieniał na twarzy. Przestraszyłam się, że facet dostanie zawału i będzie nas czekać podobna akcja, jak ta, która rozegrała się niedawno w domu Agaty.

– Mają państwo jakiegoś znajomego psychologa? – wtrącił się niespodziewanie chudy badacz.

– Raczej nie. – Tomek rozłożył dłonie. – Dlaczego pan pyta?

– W takich sytuacjach najlepiej sprawdza się dobry psycholog dziecięcy. Mały jest uparty i w ten sposób nic z niego nie wydobędziemy. Sam taki byłem.

Ostatnie zdanie wypowiedział z nieskrywaną dumą.

– Dzisiaj mamy Wszystkich Świętych. – Wzruszyłam ramionami. – Raczej trudno będzie znaleźć dostępnego psychologa.

– To prawda – poparł mnie Tomasz. – Może przeniesiemy tę rozmowę na jutro? Panowie wezmą sobie te kości. W końcu dla tych szczątków to już żadna różnica, czy zostaną wykopane dzisiaj, czy jutro.

– Ależ drogi panie Winiarski. – Naukowiec uniósł się gwałtownie. – Mamy coraz gorszą aurę pogodową, o czym nie omieszkam już wspomnieć! Deszcz może zniszczyć ważne ślady! Muszę znaleźć te kości dzisiaj. Dla dobra nauki!

– Przykro mi, ale nie zamierzam szukać na gwałt psychologa, który wyciągnie te wiadomości z naszego syna – rzuciłam ze złością.

Ci policjanci powoli zaczęli mi działać na nerwy. Owszem, szczątkom należy się szacunek i trzeba znaleźć wyjaśnienie, dlaczego znalazły się tu i teraz, ale do diabła, mamy wolny dzień, boli mnie głowa od ponczu i marzę o godzinie spokojnego snu, podczas gdy po moim domu szwendają się jacyś fanatycy kości rodem z horroru. Niech biorą te cholerne szczątki do torby i spadają – myślałam ze złością. Co, do diabła, nie mają własnych rodzin, z którymi mogliby spędzać wolne dni? Czy to są jacyś popieprzeni pracoholicy?

– Zaraz się dowiem, czy jest jakiś psycholog na dyżurze telefonicznym – powiedział policjant, wyciągając komórkę. – Zadzwoń na zewnątrz, dobrze?

– A proszę bardzo. – W głosie Tomka także wyczułam nutkę zniecierpliwienia.

Przez następne dziesięć minut czekaliśmy na informacje. Tymczasem specjalista dokładnie badał kości, mruczając coś pod nosem. Postanowiłam przygotować herbatę, Tomek zniknął na górce, a Benek zainteresował się ułożonymi na gazecie szczątkami.

– To jest jeden człowiek – stwierdził, wskazując paluszkami na kości.

– Masz rację, kolego – mruknął mężczyzna, mierząc coś linijką. – I raczej należą do mężczyzny.

– A tego to nie wiem – malec wzruszył ramionami – ale zawsze myślałem, że kości są białe, a te są szare. Dlaczego?

– Ponieważ leżały w brudnej ziemi, a być może nawet w mule – wytłumaczył spokojnie chudzielec. – Kości są lekko chropowate i łatwo wchłaniają barwniki. Gdyby leżały w zielonej farbie, to miałyby odcień zieleni.

– Zielone kości głupio by wyglądały – oświadczył Benek. – Chyba że byłyby to kości Hulka. On jest zielony. Ciekawe, czy jest zielony tylko na skórze czy w środku też? Może ma zieloną krew i kości? Może robi zielone kupy? Czy może robić zielone kupy?

Skupiony na swojej pracy badacz najwyraźniej nie nadążał za słowotokiem Benedykta.

– Kto? – Jego roztargnione spojrzenie świadczyło o tym, że w życiu nie słyszał o Hulku. – To jakieś zwierzątko? Bo jeśli jaszczurka, to choć ma zielony kolor skóry, niestety kości też ma białe. Kolor skóry oraz to, czym jest pokryta, nie mają absolutnie znaczenia. Szkielet zawsze będzie w jakimś odcieniu bieli.

– Hulk to superbohater. – Benek był nieco urażony faktem, że specjalista nie znał jego ulubionej postaci z bajek i komiksów. – Jest bardzo silny!

– Rozumiem – mruknął bez zainteresowania badacz. – Ale nawet superbohaterowie mają białe kości. Mimo wszystko.

– A jak jest mutantem? – drażył Benek. – Przecież mutanci mogą mieć zielone kości.

– Mogą, skarbie – wtrąciłam, uprzedzając odpowiedź naszego gościa.

– Mogą? – zdziwił się specjalista.

– Niech pan pamięta, że Benek ma pięć lat – przypomniałam, posyłając mu nad głowę dziecka wymowne spojrzenie.

– Oczywiście – zreflektował się. – Hulk, kimkolwiek jest, może mieć zielone kości. Może mieć nawet różowe w zielone kropki, jeśli będzie taka potrzeba.

– Ma zielone – powtórzył z naciskiem Benek.

Do domu wszedł policjant.

– Mam dobrą wiadomość – powiedział z uśmiechem. – Okazało się, że jeden z biegłych psychologów mieszka na tej ulicy.

– Jak to? – zdziwiłam się. – Znam tutaj prawie wszystkich!

– Pani Lena Kołakowska. – Przeczytał dane z telefonu komórkowego. – Mieszka przy ulicy Brzozowy Zaulek pięć! Czyli kilka domów dalej.



Lena Parys vel Rysik vel Kołakowska pojawiła się w naszym domu niespełna pół godziny później. Była to kobieta o wyglądzie francowatej urzędniczki – miała czarne, krótko ostrzyżone włosy sterczące na czubku głowy, zaciśnięte usta, krwistoczerwone paznokcie i duże okulary osadzone na wydatnym nosie.

Cały ten zestaw dosłownie krzyczał, że ich właścicielka to wredna biurokratka. Uprzedziłam się do niej, gdy tylko stanęła w progu naszego domu. Zanim wpuściłam ją do środka, do głowy przyszło mi kilka soczystych epitetów pod jej adresem.

Chyba specjalnie, by podkreślić charakter, o który ją podejrzewałam, Lena wbiła się w wyjątkowo ponurą, grafitową garsonkę i także szpilki. Jedynym kolorowym akcentem świadczącym na jej korzyść była ciemnoczerwona bluzka z zaskakująco głębokim dekoltem, uwydatniającym jędrne piersi. A więc jest szansa, że ta kobieta dysponuje jakimś rodzajem humoru, skoro zdecydowała się na czerwień i dekolt w Święto Zmarłych... – to była moja druga myśl, która nieco łagodziła pierwsze wrażenie.

– Dzień dobry, zostałam tutaj wezwana, jestem psychologiem. – Jej ton był, jak się spodziewałam, odpychająco urzędowy.

Gdy się jednak uśmiechnęła, znowu musiałam zmienić zdanie, bo nie sprawiała wówczas wrażenia tak skrajnie niedostępnego babsztyla. Niestety ten uśmiech trwał zaledwie mikrosekundę. W szczupłej ręce trzymała wielki skórzany neseser, który bardzo przypominał torbę lekarza przyjeżdżającego na domową wizytę do obłożnie chorego pacjenta. Rozpinając żakiet, lekko przestąpiła próg. Jej obcasy głucho zastukały na naszej terakocie.

– Słyszałam, że sprawa jest pilna – zagałę rozmowę, rozglądając się ciekawie wokoło. Jej wzrok zatrzymał się na ścianie, gdzie w kolorowych ramach wieszaliśmy najciekawsze (naszym zdaniem) fotografie rodzinne. Był tam więc Benek plujący fragmentami parówki, Maksymilian prychnący wodą połkniętą na basenie, ja w wyświechtanym szlafroku, trzymająca na rękach małego Maksa usypiającego wreszcie po pięciogodzinny maratonie kolkowym. Widząc jej minę, pomyślałam sobie, że na tej ścianie może lepiej było zawiesić (widywane w innych domach) infantylne, pozowane zdjęcie ze ślubu, gdzie umęczeni licznymi przygotowaniem do ceremonii małżonkowie uśmiechają się tak, jakby ktoś wcisnął im między pośladki wyjątkowo dorodną marchew, a twarze nafaszerował botoksem lewej produkcji.

– Tak, koniecznie trzeba porozmawiać z pięciolatkiem – wtrącił policjant, odrywając mój wzrok od rodzinnej kolekcji fotograficznej.

– Czy przeżył coś traumatycznego? – zapytała Lena, ogniskując swoje spojrzenie na funkcjonariuszu.

– Nie – mruknął policjant – ale dzieciak za Chiny Ludowe nie chce wyznać, gdzie znalazł ludzkie szczątki.

Pani Kołakowska popatrzyła na mnie zdziwionym wzrokiem.

– Mógł doznać wstrząsu, lecz na razie nie chce się podzielić z innymi tym mrocznym doświadczeniem – stwierdziła chłodnym tonem.

Poczułam się jak matka, która przy każdej okazji okłada swoje potomstwo kuksańcami i kopniakami.

– Wątpię – powiedziałam, ledwie hamując emocje. – To naprawdę twardy dzieciak. Kości raczej nie zrobiły na nim większego wrażenia niż zasuszona mucha na parapecie. Ich odkrycie mój syn potraktował niczym swoistego rodzaju misję. Postanowił znaleźć szczątkom lepsze miejsce spoczynku. Poniekąd popieram jego poglądy. W końcu uczymy nasze potomstwo, że ciała zmarłych powinniśmy traktować z należyty szacunkiem.

– Niesamowite – odparła krótko. – Czy mogę z nim porozmawiać? Najlepiej na osobności. Wtedy dzieci szybciej się, że tak powiem, otwierają.

Zatrzęsło mną, ale od razu pomyślałam o tych nieszczęsnych kościach.

– Tutaj, z prawej strony, jest nasz gabinet. Tam będzie najlepiej – powiedziałam, wskazując niechętnie drzwi.

– Dobrze. Dziękuję bardzo.

– Beniu, chodź tutaj – zawołałam młodego, który najwyraźniej po cichutku zamierzał się wycofać do swojego pokoju.

Chłopiec przyszedł do nas, obserwując podejrzliwie nowoprzybyłą.

– Cześć, jestem Lena. – Kucnęła, żeby mieć twarz na wysokości buzi Benka. – Masz bardzo oryginalne imię. Czy Benio to zdrobnienie od Bernarda?

– Nie. – Benek pokręcił głową. – Od Benedykta.

– O, to jeszcze bardziej oryginalne niż się spodziewałam. Prawie tak rzadkie jak Iron Man, Thor czy Batman.

Twarz malca wyraźnie pokraśniała.

– Zna pani wszystkich moich ulubionych herosów! – Klasnął w dłonie z radości.

– Oczywiście – zaśmiała się. – Też mam syna i on ma mnóstwo komiksów o superbohaterach. Mogę ci kilka przynieść przy najbliższej okazji.

– Ja cię! Ale ma fajnie! Byłoby superowo! Ja jeszcze nie umiem czytać, ale już znam wszystkie literki.

– Aż się zachłysnął z wrażenia. – I potrafię czytać krótkie słówka. Mama mnie uczy. Codziennie. Żebym umiał przeczytać właśnie takie fajne komiksy...

– Masz bardzo mądrą mamusię. Dzieci w twoim wieku zazwyczaj jeszcze nie czytają.

– Nie czytają – powtórzył z nieskrywanym entuzjazmem.

Ufnie dał jej łapkę i opowiadając o swoim ulubionym bohaterze, bez oporu dał się zaprowadzić do gabinetu. Z niemym żalem patrzyłam, jak razem zamknęli za sobą drzwi.

– Będzie z niego prawdziwy facet – stwierdziłam ironicznie. – Wystarczyło go trochę pochwalić i już gotów był się oddać w całości kompletnie obcej osobie. To straszne!

Tomek uniósł brwi.

– Ja taki nie jestem – zaproponował.

– Ta pani ma podejście do dzieci – skomentował policjant. – Jak ona nie wyciągnie z niego tej informacji, to czeka nas ponowne przeszukiwanie okolicy, a przy tych warunkach pogodowych będzie to bardzo uciążliwe.

Miał rację. Wyjrzałam na zewnątrz i zobaczyłam ciężkie chmury wiszące na niebie. Pierwsze krople deszczu znaczyły na szarym chodniku ciemne plamki. Ze wschodu zawiewał chłodny wiatr niosący ze sobą zapach powoli nadciągającej ulewy. Stałam przy oknie obok drzwi wejściowych i ponuro wpatrywałam się w ciemniejący krajobraz.

– Ona pewnie też nic nie wyciągnie z Benka – stwierdziłam nagle, obejmując się równocześnie ramionami.

Choć w domu było ciepło, moje ciało przeniknął jakiś bliżej nieokreślony chłód.

– Piernik ją wie... – Tomek przelotnie ucałował mnie w skroń. – Benek ma taki charakter, że trudno określić, jak zareaguje w danej sytuacji.

– Prawda – przyznałam mu rację. – To taki niespokojny duch. Ale najukochańszy na świecie.

– Miałaś nie faworyzować żadnego z naszych dzieci – przypomniał mi szeptem, przytulając twarz do mojego ucha.

Jego ciepły oddech sprawił, że po całym ciele przeszły mnie przyjemne dreszcze.

– Ja go nie faworyzuję. – Odwróciłam się do męża. – Po prostu on jest zupełnie inny niż Maks.

– Taaa...

– Bo wiesz, Maksymiliana mogę zostawić samego w domu i jestem przekonana, że będzie się grzecznie bawił albo oglądał film. A Benek? Ma co sekundę inny pomysł. I niestety każdy kolejny jest bardziej szalony od poprzedniego.

Tomek patrzył na mnie bez słowa. W jego oczach widziałam, że zgadza się z moimi słowami. Bo to, co powiedziałam, było prawdą. Maks był kochanym dzieckiem i w jego zachowaniu widzę siebie. Ma swój własny, hermetyczny świat, do którego zaprasza tylko niektóre osoby i tylko wtedy, gdy ma na to ochotę.

Takie dzieci mają w szkole, mówiąc kolokwialnie, przerażane. Zazwyczaj nie zyskują przyjaciół, w najlepszym wypadku mają jednego. Trudno im znaleźć kogoś o podobnych zainteresowaniach i charakterze. Ich niekomunikatywność sprawia, że dzieje się to bardzo rzadko. Tak więc spędzają większość czasu samotnie, obserwując innych albo rozmyślając nad jakimiś swoimi sprawami. Niektórym udaje się trochę otworzyć, zanim skończą szkołę, większość jednak pozostaje w swoim zamkniętym świecie. Jako dorośli jedynie udają, że są otwarci.

Czasami, gdy widziałam mojego starszego syna, jak w zadumie rysuje coś na kartce, podczas gdy inne dzieci biegają i szaleją wokół, serce ścisnęło mi się tak mocno, że aż brakowało mi tchu. W głowie zaczynały tłuc się pytania, które w podobnej sytuacji zadaje sobie zapewne tysiące kobiet – jak on sobie poradzi, kiedy mnie zabraknie? Kto mu podpowie, jak powinien postąpić? Kto go lekko pchnie w odpowiednim kierunku i namówi do działania, gdy nadejdzie odpowiednia pora?

Wtedy zwykle mój wzrok padał na Benka, będącego kompletnym przeciwieństwem swojego starszego brata. Wesoły, otwarty na świat i zarażający całe otoczenie swoim wiecznie dobrym humorem. Dla niego nie było rzeczy niemożliwych. Doskonale wiedział, czego chce i w jaki sposób można to zdobyć. Spośród jego zalet największą było to, że bezwarunkowo kochał swojego brata. Miało to oczywiście swoje dobre i złe strony. Nieraz się zdarzało, że Maks wykorzystywał swego naiwnego jeszcze braciszka. Na przykład wysyłał go po słodycze lub kazał sprzątać w pokoju w zamian za kilka minut wspólnej zabawy.

– Boże, to wszystko mnie przerasta. – Rozpłakałam się nagle. – Za dużo tego.

W takich sytuacjach zawsze mogłam liczyć na Tomka. Od razu objął mnie i mocno przytulił.

– To tylko czyjeś kości, nie ma co panikować – szeptał mi do ucha. – Ważne, że dzieciom i nam nic się nie stało...

Oczywiście jak zwykle miał rację. Staliśmy w holu, bez słowa przytulając się do siebie. W salonie funkcjonariusze policji badali szczątki przyniesione przez nasze młodsze dziecię. W gabinecie zaś znana tylko z widzenia sąsiadka starała się wyciągnąć z Beniowego umysłu ważne dla władz informacje. Właśnie tak niekonwencjonalnie zaczął się nasz pierwszy listopadowy dzień życia na ulicy Brzozowy Zaulek.

I co dalej?

Rozmowa Benia z Leną trwała ponad półtorej godziny. W międzyczasie policjant zapakował wychudzonego specjalistę wraz ze stertą znalezionych kości do radiowozu i uniósł go do specjalistycznego laboratorium, obiecując, że wróci w ciągu trzydziestu minut. Podał nawet nazwę jakiegoś tam instytutu, ale nawet nie próbowałam jej zapamiętać. Bardziej byłam skupiona na złowroziej ciszy panującej za drzwiami pokoju, w którym Lena (w moim matczynym przekonaniu) torturowała psychicznie Bogu ducha winnego Benka.

– Szlag mnie zaraz trafi – powiedziałam wreszcie do Tomka, zamykając drzwi za policjantem. – Nie wytrzymam. Muszę zajrzeć do tego pokoju.

– Dajże spokój – zniecierpliwiał się. – Pewnie bawi się z nim, żeby zdobyć jego zaufanie. A znając nasze dziecko, to musi potrwać. Chodź, sprawdzimy, co u Maksa.

– Sam sprawdź – warknęłam, zaciskając ze złości pięści. – Ja tutaj poczekam na wypadek gdyby...

– Gdyby twój młodszy zapłakał? – dokończył za mnie z nutką kpiny w głosie. – Czy aby trochę nie przesadzasz, kochanie?

– To wcale nie jest śmieszne. – Podparłam się pod boki. – Po prostu się martwię, że to trwa tak długo.

– Jesteś przewrażliwiona. To wszystko – powiedział, wchodząc na schody.

W tym momencie zadzwieczał dzwonek do drzwi. Zanim Tomek zniknął w pokoju Maksymiliana, ja złapałam za klamkę.

– Widziałam, że policja odjechała. – Na wycieracze stała Kasia, zerkając z zaciekawioną miną do środka.

– Dzisiaj przez nasz dom przewinie się chyba cała okolica – zauważyłam z przekąsem. – Jeszcze nie wybiło południe, a ja już mam dosyć.

– Nie dziwię się – mruknęła, wchodząc do holu. – Gadałam przed chwilą z Marzeną, więc mniej więcej wiem, co się dzieje. No i widziałam tę Kołakowską, jak wchodziła do was...

Ostatnie zdanie wypowiedziała szeptem. Złapałam ją za ramię i zaciągnęłam do kuchni.

– Jest w gabinecie, po drugiej stronie holu – wyjaśniłam cichym głosem. – Okazało się, że jest psychologiem policyjnym i właśnie teraz stara się dowiedzieć od Benka, skąd on wytrzasnął te kości.

– Masz zdolne dzieciaki. – Kasia pokiwała głową. – I niesamowicie tajemnicze. Niczego z niego nie wyciągnie.

– To nie jest śmieszne – odparłam, zagryzając wargi. – Przynajmniej nie w tej chwili.

– Całkowicie cię rozumiem – zgodziła się ze mną. – Kurde, jak wrócę do domu, to też przetrząsnę kurtkę Miśki. I obejrzę trawnik. Na szczęście nie mam tam nagrobków.

– Ta rozmowa z Benkiem strasznie długo trwa – wyznałam. – Zaczynam się poważnie martwić.

Kasia wydeła wargi.

– Wiesz, ja trochę znam tę Lenę. Rozmawiałam z nią kilka razy w sklepie. Ona naprawdę jest spoko babka. Nie powinnaś się obawiać.

– Dobrego przykładu raczej nie daje – zauważyłam cierpko. – Właśnie porzuciła kolejnego chłopca,

a dzieci ma...

– ...każde z innym, wiem – dokończyła za mnie Kasia, kompletnie nic sobie z tego nie robiąc. – Lena ma pociąg do wykolejeńców. Takich klinicznych typów. Kompletnie nieuleczalnych. Pewnie ma nadzieję, że wyciągnie ich z pijaństwa, hazardu czy innych nałogów. Niestety chyba rzeczywistość jest bardziej brutalna niż to, co piszą w tych wszystkich psychologicznych pisemkach. W obawie więc o dzieci Lena zostawia jednego i szuka następnego.

Kasia zauważyła moją ponurą minę.

– Ale uwierz mi – złapała mnie za ramiona. – To fajna, taka ludzka babka.

– Okej, wierzę ci – powiedziałam w końcu.

Kasia to jedyna osoba na naszej ulicy, której ufałam bezgranicznie. Oczywiście nie licząc Tomka, który był ogólnie poza wszelkimi rankingami. Gdybym miała powierzyć komuś jakąś bolesną tajemnicę bez obawy, że zaraz dowie się o tym cała okolica, to niewątpliwie byłaby to właśnie Kasia. Nikt, tak jak ona, nie potrafił doradzić, jak zachować się w danej sytuacji – czy pocieszać czułymi słowami, czy po prostu opierdzielić z góry na dół, żeby ustawić człowieka do tak zwanego pionu.

– Powinnaś sobie coś strzelić na rozluźnienie – mruknęła, zerkając do szafki, w której przechowywaliśmy alkohole.

– Zwariowałaś? – oburzyłam się. – Przecież nie ma nawet południa!

– Co z tego? – Kasia wyjęła likier z maruli. – To powinno wystarczyć.

– Nie będę tego piła! – Skrzyżowałam ręce na piersiach. – Nie teraz, do diabła!

– Masz rację. Może być za mdłe...

Kasia zdecydowanie odstawiła butelkę na miejsce, po czym natychmiast wzięła inną.

– To jest lepsze. Wystarczy jeden kieliszek.

W ręce trzymała wysokoprocentową nalewkę ziołową.

– Poczujesz się po tym bosko – dodała z szerokim uśmiechem. – I ja też! Walimy z gwinta?

– Kaśka! Tobie kompletnie odbiło! – Wytrzeszczyłam oczy.

– Ależ skąd. – Szybko upiła łyżeczek. Przełykając, skrzywiła się tak strasznie, że aż zacisnęła oczy. –

Chryste, ale siekiera! Teraz ty!

Wyciągnęła ku mnie butelkę, trzymając ją za szyjkę wszystkimi palcami jak pijak.

– Przerażasz mnie! – szepnęłam, próbując odebrać jej trunek.

– Napij się albo zacznę wrzeszczyć – zagroziła.

– Mam to gdzieś. Nie może ode mnie śmierdzieć alkoholem.

– Dlatego właśnie daję ci to. Pachnie ziołami, a nie wódą. Pij. Zrób to dla mnie.

– Zrobię, ale nie teraz – powtórzyłam w naciskiem.

– TERAZ. – Jej piskliwy głos dotarł chyba do wszystkich zakamarków domu.

Zgrzytając zębami, wyrwałam jej butelkę i pociągnęłam porządnego łyka. Przełknęłam.

– Zadowolona?

– A niech mnie – powiedziała z uznaniem. – Nawet się nie skrzywiłaś.

Dopiero wtedy poczułam palenie w gardle. Znów zacisnęłam szczęki, żeby nie dać nic po sobie poznać.

– Teraz to schowamy – powiedziała, wpychając butelkę do szafki. – I to głęboko.

– Masz – powiedziała, wyciągając z kieszeni opakowanie gum do żucia. – To tak dla pewności. Weź od razu dwie.

Bez słowa wzięłam gumę i szybko rozgryzłam. Mięta skutecznie zabiła ostry posmak ziół.

– Dzięki – mruknęłam. – Mimo wszystko.

Wtedy usłyszałam trzaśnięcie drzwi gabinetu.

– Już skończyli – oznajmiłam, rzucając się w stronę holu.

Miałam rację. Lena prowadziła Benka za rękę w stronę kuchni. Mały entuzjastycznie opowiadał jej o swoim ulubionym filmie rysunkowym, wlepiając w psycholożkę rozanielone oczęta. Poczułam ukłucie zazdrości.

– Oddaję synka – powiedziała, głaszcząc chłopca po głowie. – Odbyliśmy wspaniałą rozmowę.

– Pewnie nic nie udało się z niego wyciągnąć – mruknęłam.

– Wręcz przeciwnie – odparła. – Ale o tym później. Póki co powinnam porozmawiać z tym policjantem.

– Nie ma go w tej chwili – wyjaśniłam. – Odwozi kości i tego specjalistę od nich. Powinien jednak wrócić lada moment.

– W takim razie zaczekam, bo muszę jeszcze na miejscu wypełnić dokumenty.

– Zrobimy herbatę albo kawę. – Kasia natychmiast rzuciła się w stronę czajnika.

– Gdzie tatuś? – chciał wiedzieć Benek. – Muszę mu opowiedzieć historię, która jest cool!

– Że jaka? – wtrąciła Kasia.

– Tata jest w pokoju Maksa. Idź do niego, dobrze? Sprawdź, słoneczko, co robią. – Lekko pchnęłam synka w stronę schodów.

Kiedy mały poszedł na górę, ja szybko zabrałam się za przygotowanie herbaty. Lena w tym czasie rozmawiała z Kasią, opierając się swobodnie o blat kuchennego stołu.

– Bardzo ładnie wykończyliście ten dom – pochwaliła, rozglądając się uważnie po całym wnętrzu. – Lubię takie kolory ścian. Nadają przytulności i charakteru zarazem.

Każdy jest łasy na pochwały. Choć starałam się z całej siły zachować dystans do tej kobiety zmieniającej partnerów jak rękawiczki, miałam coraz większy problem z nielubieniem jej. Była naprawdę sympatyczna. Może Kasia miała rację? Może rzeczywiście Lena miała po prostu pecha do facetów?

– Benedykt to wyjątkowo mądre dziecko – powiedziała, zapytana jeszcze raz o wynik rozmowy z moim synem. – Jest w stanie opowiedzieć, jak ułożone były szczątki i czym wokoło pachniało. Niestety nie potrafi opisać dokładnie miejsca swego znaleziska. Pomimo szczyrych chęci.

– A mówiła pani, że udało się czegoś dowiedzieć.

– Udało mi się zmienić jego nastawienie – sprostowała. – To znaczy teraz Benek będzie chciał wskazać miejsce spoczynku szczątków. Niestety nie pamięta go dokładnie.

– Świetnie – mruknęłam. – A więc wszystko na nic.

– Wcale że nie. – Przesłała mi uśmiech znad blatu. – Benio z łatwością odnajdzie to miejsce. Jestem przekonana. Tylko jego umysł potrzebuje do tego pewnych bodźców.

– Ale jakich? – wtrąciła się Kasia.

– Musimy odtworzyć zdarzenia z chwili, kiedy dziecko znalazło kości.

– Co to znaczy? – dopytywała wciąż Kasia.

– Należy powtórzyć imprezę halloweenową – powiedziała Lena stanowczo. – Jest to bardzo niekonwencjonalne podejście, ale uważam, że tylko w ten sposób chłopiec będzie w stanie wskazać szukane przez policję miejsce.

– To nie ma problemu. – Nalałam wrzątku do imbryczków. – Ubierzemy go we wczorajszy strój i puścimy na ulicę.

– To nie zadziała. – Lena pokręciła głową. – Trzeba odtworzyć KAŻDY szczegół, inaczej plan nie wypali. Przebrania w których wszyscy się bawili, serwowane dania, a nawet kolejność zabaw. Wszystko musi odbyć się DOKŁADNIE tak samo.

Zaniemówiłam.

Istny dom wariatów

– Robicie sobie jaja, prawda? – Marzena, delikatnie mówiąc, nie była zachwycona pomysłem odtworzenia Halloween, zwłaszcza w święto Wszystkich Zmarłych. – Nie wiecie, że dzisiaj się nie żartuje? To nie pierwszy kwiecień, do cholery!

– To nie jest mój pomysł, tylko policji – sprostowałam. – Podobno tylko w ten sposób uda się dowiedzieć, gdzie Benek odkrył szczątki.

Marzena bez słowa przetarła oczy. Stałyśmy z Kasią na progu domu Kosowskich i patrzyłyśmy na naszą przyjaciółkę błagalnym wzrokiem.

– Uwielbiam Halloween, dobrze o tym wiecie, ale też szanuję nasze rodzime tradycje. Święto Zmarłych jest zbyt poważne, żeby sobie robić jaja w tym dniu!

– Plus jest taki, że za wszystko płaci policja – dodała Kasia kuszaco. – Wiesz, zawsze możesz trochę przeszacować koszty i jeszcze się wczorajsza zabawa zwróci. Może nawet z nawiązką.

Obietnica zwrotu kosztów zazwyczaj działa na kobiety. W przypadku Marzeny było podobnie, choć w tej sytuacji wyraźnie walczyła sama ze sobą.

– Przecież chodzi o dobro nas wszystkich – tłumaczyłam rozpaczliwie. – I o bezpieczeństwo dzieciaków. Chyba nie chciałabyś, żeby Gabrysia za dwa lata, podczas spaceru, znalazła miednicę. Ludzką!

Nasza przyjaciółka zaczynała się łamać.

– Ale ja jeszcze nie wytrzeźwiałam po wczorajszej imprezie. I dom mam cały w rozsypce – broniła się zmęczonym głosem.

Na szczęście cała jej złość powoli wyparowała.

– Pomożemy ci. – Podkasałam rękawy, by jej pokazać, że jestem gotowa do działania. – Uwierz mi, bardzo chcę już zakończyć temat tych cholernych kości.

– Ja też – poparła mnie Kasia, choć tylko ona nie miała do czynienia ze szczątkami. – Iwona ma rację. Przecież nie chcemy, żeby nasze dzieci biegały po okolicy ze częściami szkieletu jakiegoś człowieka. Sprawę trzeba definitywnie zakończyć.

– Właśnie – poparłam przyjaciółkę. – Jak tego nie zrobimy, to za każdym razem, kiedy dzieci będą wychodzić na podwórko albo do lasu, my będziemy się zastanawiać, czy czegoś nie przyniosą. W sumie czaszki jeszcze nie ma, klatki piersiowej i tej miednicy...

– Dobra, stop. – Marzeną aż zatrzęsło. – Rozumiem. Zgadzam się z wami. Chyba. Do diabła! W końcu z wczorajszej imprezy zostało tyle żarcia...

– Jesteś kochana! – Aż uściskałam ją z radości.

– Nie wiem tylko, czy przystoi robić zabawę w taki dzień. – Marzena wciąż była pełna wątpliwości. – Co ludzie powiedzą? Nie można przenieść tego na pojutrze? Będzie przynajmniej po Zaduszkach. Nawet pogoda jakoś się uspokoiła. Ten deszcz przechodzi bokiem. Nie wiem... Nie jestem mimo wszystko przekonana, czy to dobry pomysł. Akurat dzisiaj...

– Sęk w tym, że pamięć tymczasowa Benka może... zapomnieć, gdzie znalazł trupa – wyjaśniła

pokrętnie Kasia. – Jestem pewna, że nawet najbardziej konserwatywny ksiądz udzieliłby dyspensy w takiej sytuacji. W końcu chodzi o szczątki człowieka.

Spojrzałam na nią z ogromnym uznaniem. Że też koleżanka Katarzyna wymyśliła coś takiego? I to na poczekaniu... Może solidny łyk ziołowego alkoholu miał w tym swój udział? Trudno powiedzieć. Ważne, że poskutkowało.

– Chodzisz zła jak osa – wytknęła nagle Kasia Marzenie.

– Bo najlepszą imprezę, jaką udało mi się zorganizować na tym osiedlu, zepsuły mi wykopane przez głupią krowę kości.

– To Benek je znalazł – wtrąciłam mimochodem.

Marzena wzięła się pod boki. Z groźnym wyrazem twarzy, sińcami pod oczami, w luźnej bluzie i dresowych gatkach wyglądała komicznie.

– Gdyby nie krowa i całe to dochodzenie, to znalezisko twojego syna nie wzbudziłoby większego zainteresowania. – Wzruszyła ramionami. – Wszyscy myśleliby, że to część halloweenowej dekoracji. Teraz ludzkie kości, krew i bebechy, nawet te produkcji chińskiej, wyglądają tak prawdziwie, że zwykły laik nie byłby w stanie odróżnić ich od oryginałów. Nawet śmierdzą trupem! Za dodatkową opłatą!

Ze złością machnęła ręką. Najwyraźniej sama kiedyś dała się nabrać, tylko oczywiście wolałaby prędzej umrzeć, niż się przyznać do takiego błędu.

– Możesz to potraktować jako komplement. Po prostu twoja impreza była tak dobra, że trzeba ją powtórzyć – powiedziała Kasia. – Jak już mówiłam, w tej sytuacji ksiądz na pewno da nam dyspensę i przymknie oko na fakt, że jest Święto Zmarłych.

– No nie wiem... – W głosie naszej przyjaciółki nadal słychać było powątpiewanie.

Perspektywa zwrotu kosztów kusila jednak coraz bardziej.

– Skoro policjanci byli w stanie wyciągnąć na ten cel kasę z działu jakichś tam dochodzeń, to rozmowa z miejscowym proboszczem chyba jest dla nich jak kaszka z mleczkiem – kontynuowała Kasia, puszczając od mnie oko. – No, Marzena! Nie daj się prosić, złociutka! Wszystkim nam zależy na wyjaśnieniu sprawy tych kości. Wyobraź sobie swoją małą, niewinną córeczkę, która raczkując po ogrodzie, znajduje łękotkę i przynosi ją w zębach do domu, ogryzając po drodze z resztek nadgniętego mięsa...

– Kaśka, ponosi cię... – mruknęłam w jej stronę.

Jednak jej ostatnie słowa wywarły na Marzenie piorunujące wrażenie. Po charakterystycznie przygryzanej przez nią wardze widziałam, że prawie podjęła decyzję. Była teraz w tej fazie poporodowej, kiedy to w głowie matki ponad wszystkimi problemami życia codziennego zdecydowany prym wiedzie obawa o prawidłowy i niezmacony przeciwnościami losu rozwój potomstwa. W powietrzu widziała hordy wirusów (w tym głównie tych najbardziej niebezpiecznych, od ospy wietrznej począwszy, na eboli kończąc), liczne, przenoszące zarazki owady (choć o tej porze roku ich nie było) oraz trujące pestycydy, metale ciężkie i rakotwórcze dioksyny znajdujące się także w jedzeniu, wodzie i w ogóle wszędzie.

– Co więc robimy? – zapytałam błagalnym głosem, wykorzystując samolubnie moment macierzyńskiej paniki tak wyraźnie odbijającej się na stroskanej twarzy przyjaciółki.

– A mamy jakieś inne wyjście? – zapytała.

W odpowiedzi tylko pokręciłyśmy głowami.

– W takim razie powtarzamy tę cholerną imprezę. – Marzena wzruszyła ramionami. – Całe szczęście, że nie zdążyłam zdjąć dekoracji. Przynajmniej jedna robota mniej. No i tego jedzenia sporo zostało.

– Dzięki, jesteś kochana – powiedziałam ze wzruszeniem.

– Ale zabierzemy się za to dopiero, jak wrócę z cmentarza!

– Nie ma problemu. – Kasia zerknęła na zegarek. – Ja w takim razie przelecę się z Iwoną po domach,

żeby ściągnąć tych samych ludzi.

– Hela będzie wniebowzięta. – Łypnęłam w stronę ulicy. – Czegoś takiego na pewno jeszcze nie przeżyła.

– O ile jest w domu – przypomniała sobie nagle Marzena. – Z tego, co pamiętam, mówiła, że wybiera się dzisiaj do jakiejś siostrzenicy na dwa dni.

– Widziałam ją pod domem jakąś godzinę temu – odparła Kasia. – Nie ma na co czekać, musimy się szybko uwinąć z poinformowaniem wszystkich. Sprawa jest naprawdę ważna.

– Ale bez Pauli, dobrze? – Marzena uniosła rękę. – Wystarczyło mi wczorajsze przedstawienie. Połamała mi całego fikusa Beniamina. Chyba tymi sztucznymi cyckami.

– Akurat na niego upadła tyłkiem... – Wtrąciłam bez zastanowienia.

– Tyłek pewnie też ma sztuczny. – Marzena machnęła ze złością ręką, jakby odpędzała namolną muchę.

– Pamiętajcie. Bez tej gwiazdy!

– No nie wiem – zastanowiła się Kasia. – W końcu jej wystąpienie zrobiło na Benku tak duże wrażenie, że aż upuścił koszyk i powiedział wszystkim, że znalazł kości.

– Ale to było już PO tym, jak je znalazł – słusznie zauważyła Marzena.

– Ma rację – poparłam ją. – Paulę możemy sobie odpuścić. Za to nie wiem, czy uda się ściągnąć te dzieciaki od nowych sąsiadów, a oni brali we wszystkim udział od samego początku. Macocha Aurelii i Albrechta może nie wyrazić zgody na powtórny zabawę.

Gdzieś w głębi domu zapłakała Gabrysia.

– Dobra, dziewczyny – powiedziała Marzena lekko zniecierpliwionym głosem. – Muszę iść, bo zaraz mleko zacznie mi cieknąć po bluzce. Wy załatwcie ludzi i trochę jedzenia, ja zorganizuję resztę.

– Jesteś wielka. – Z wdzięcznością przesłałam jej całusa. – I kochana.

– Wiem o tym – mruknęła, wchodząc do środka i zamykając drzwi.

Ja i Kasia stanęłyśmy jeszcze na moment przy mojej bramie, by podzielić się zadaniami.

– Dobra, zrobmy tak. Ja pójdę do Heli, a ty załatw tych nowych – powiedziała, zerkając pospiesznie na zegarek. – Jasna cholera, muszę lecieć. Teściowa ma do nas przyjechać, żebyśmy razem odwiedzili wszystkich prapraprzodków na cmentarzach. Większości z nich nie zna nawet mój szanowny mąż, ale wiesz... Żeby mieć trochę spokoju, człowiek jest zdolny zrobić wszystko. Nawet składać kwiaty na grobach byłych facetów własnej matki.

– Nie zazdroszczę – mruknęłam, unosząc brwi. – Moi teściowie mieszkają zbyt daleko, żeby nas często odwiedzać, zresztą mają wszystkich przodków na cmentarzach w swoim własnym miasteczku. Więc nie mam tego problemu.

– Szczęściara – rzuciła na odchodne. – Mnie czeka objazd cmentarzy w godzinach szczytu... Krew mnie zalewa...

Mamrocząc obelgi pod adresem teściowej, oddaliła się spiesznie w kierunku swojego domu. Słuchając jej cichnącego głosu, zapiełam kurtkę i z niechęcią ruszyłam w stronę posesji numer trzynaście. Miałam tylko nadzieję, że nie spotkam wrednej macochy tych nieszczęsnych dzieciaków. Im bliżej ich bramy byłam, tym bardziej zwalniałam. Dwa metry przed nią ledwo robiłam krok za krokiem. Wręcz nie chciałam naciskać dzwonka w ich furtce, zamkniętej zresztą na cztery spusty. Niby wyciągałam rękę, ale była jakby za krótka, żeby dosięgnąć nieszczęsnego przycisku. Tak bardzo nie miałam ochoty dyskutować z kolejną osobą na temat znalezionych kości. A zwłaszcza z tą wredną babą. Byłam przekonana, że Eleonora z czystej złościwości nie puści pasierbów na Halloween.

– Szlag by to wszystko trafił. – Zaczęłam tracić nerwy przez to całe zamieszanie – No strzeli mnie jasny gwint. KURWA MAĆ!

W mrocznej, listopadowej mgłę nie spostrzegłam, że za gęstą kępą żywotników osłaniających garaż

trzynastki stał mężczyzna, który doskonale słyszał moje soczyste przekleństwa.

– Ja pierdołę, czemu to wszystko spotyka akurat mnie? – zadałam sobie okraszone kolejnymi wulgaryzmami pytanie, wpatrując się z niechęcią w przycisk dzwonka. – Pieprzę to wszystko! Wracam do domu.

Obróciłam się na pięcie. Nagle stanął przede mną ubrany w czarny płaszcz mężczyzna.

– Pracowałem kiedyś przez kilka miesięcy na budowie i muszę przyznać, że nawet najbardziej wykwalifikowani pracownicy nie dysponowali tak szerokim wachlarzem przekleństw.

Oniemiałam. Najgorsze było to, że oniemiałam z zaciśniętymi ze złości pięściami i z dziwnym grymasem na twarzy, który zdecydowanie kwalifikował mnie do grupy ludzi mającej IQ na poziomie znacznie niższym niż przystało na mój wiek i wykształcenie.

– Z tej soczystej wypowiedzi wnioskuję, że ostatnie zdarzenia mocno dały się pani we znaki – mówił dalej, obserwując moją reakcję z zaciekawieniem.

Używał nieco staroświeckich, ale eleganckich wyrazów. Jego głos wydawał mi się znajomy, jednak nie mogłam skojarzyć, z kim rozmawiam.

– Że jak? – zapytałam głupio, niestety potwierdzając hipotezę o moim niskim ilorazie inteligencji.

– No, przeklina pani. I to bardzo. Tak jak nie przystoi kobiecie. – Szedł w moim kierunku. Był ubrany w idealnie skrojony garnitur. – Zwłaszcza tak pięknej.

Dopiero wtedy coś się we mnie odblokowało.

– Czy pan zapomniał może zabrać swoją białą laskę? – odparowałam.

Mężczyzna zatrzymał się w połowie drogi między bramą a garażem. Najwyraźniej moje pytanie bardzo go zaskoczyło.

– Nie rozumiem. Skąd to pytanie?

– Gdyż pana mózg najwyraźniej ma ogromne problemy z interpretacją tego, co przekazuję mu narząd wzroku. Na tej podstawie można domniemywać, że pan po prostu niedowidzi... – Wcisnęłam ręce do kieszeni. Przez łzawiące z wściekłości oczy nie widziałam, z kim mam do czynienia, lecz pomimo tego poczułam nieodpartą chęć wyładowania się na tym durnym osobniku. – Ale proszę się nie martwić, może da się to zoperować. W Warszawie jest świetna klinika... Mam nawet znajomości...

– Na co jak na co, ale na wzrok nie mogę narzekać. – Wreszcie stanął przy bramie.

Przetarłam oczy rękawem, nie zważając na to, że mogłam rozmazać resztki taniego tuszu do rzęs po całej twarzy. Dopiero wtedy z przerażeniem odkryłam, że ten mężczyzna to Błażej Romański – ojciec Aurelii i Albrechta.

– Skąd pan się tutaj wziął? – spytałam głupio. – Przecież wczoraj rozmawialiśmy...

– Udało mi się wyrwać na święta – przerwał mi. – Przez chwilę miałem nawet nadzieję, że uda mi się dotrzeć do Polski w nocy i zobaczyć moje dzieci w przebraniach. Niestety nie zdążyłem na pierwszy samolot. Bardzo mi przykro z tego powodu.

– Ale przynajmniej pan wrócił – zauważyłam.

– Owszem, właśnie przyjechałem z lotniska. Dzieci jeszcze nie wiedzą. Chcę im zrobić niespodziankę.

– To miłe. Bardzo za panem tęskniły – powiedziałam, szybko zakładając rozczochrane włosy za uszy w nadziei, że ten skromny zabieg chociaż trochę poprawi mój żałosny *image*.

Wreszcie udało mi się opuścić rękę i skupić na rozmowie. Złość gdzieś uleciała, szybko ustępując miejsca nadziei, że jednak uda się namówić dzieciaki spod trzynastki na powtórkę Halloween.

– Jestem pani wdzięczny za opiekę nad moimi dziećmi. Mam nadzieję, że wczorajsza zabawa była udana.

Otworzył bramę i stanął przy mnie. Na jego twarzy było widać zmęczenie po wielogodzinnej podróży. Mimo wszystko się uśmiechał. I to serdecznie.

– Właśnie w tej sprawie przyszedłem. – Odchrząknęłam.

Romański uniósł ciemne brwi.

– Czyżby coś zbroili? Jeśli tylko... Porozmawiam z nimi...

– Nie, nie – przerwałam mu szybko. – Chodzi o inną sprawę...

W kilku zdaniach opowiedziałam mu o znalezionych przez Benka kościach, o policji oraz decyzji pani psycholog. Słuchał mnie uważnie, lekko przekrzywiając głowę i uśmiechając się coraz szerzej. Gdy skończyłam opowiadać, wyglądał jak Joker z Batmana. Wprost pękał z uciechy. Aż się zastanowiłam, czy przypadkiem nie zaczął mnie traktować jak idiotkę. W końcu przestałam gadać bez sensu i zacisnęłam zęby, a on... zaczął się śmiać. Na głos! Z założonymi rękami czekałam cierpliwie, aż skończy, starając się równocześnie wymyślić jakąś ciętą ripostę, którą Romański zapamiętałby do końca życia. Mimo szczyrych chęci nie zdążyłam.

– Muszę przyznać, że pani opowieść brzmi jak fabuła filmu kryminalnego – powiedział, opanowując wreszcie śmiech. – Aż trudno uwierzyć, że coś takiego może się przydarzyć w prawdziwym świecie.

– Nie ma w tym nic śmiesznego – mruknęłam.

Byłam zła. Uznałam, że zaczyna traktować mnie jak mitomankę. Natychmiast zrozumiał, o co mi chodzi.

– Proszę wybaczyć, ale to brzmi niewiarygodnie, choć na pewno jest prawdą. I mówi pani, że pierwsza kość była zaplątana w łańcuch jakiejś tam krowy, która wdarła się na pani posesję? Nieprawdopodobne!

– Proszę uważać na tę krowę. Uwielbia uciekać właścicielowi. A wasza działka jest najbliżej lasu i łąki.

– Zawsze zamykamy bramę. – Wciąż się śmiał. – Krowa musiałaby staranować ogrodzenie albo posiadać zdolność przelatywania nad płotem.

Wzięłam głęboki wdech.

– Wiem, że brzmi to głupio, ale proszę uwierzyć, bardzo chcę już zakończyć sprawę tych kości. Wręcz bezgranicznie tego pragnę. Dlatego znów proszę pana o zgodę na to, by Aurelia i Albrecht mogli uczestniczyć w Halloween. W powtórce Halloween.

Romański znów się roześmiał.

– Oczywiście, nie ma żadnego problemu. Nie mamy w okolicy żadnych bliskich, więc nie planowałem wyjazdu na groby. – Znów zaczął kręcić głową. – Krowa w ogródku. Coś takiego... I to w mieście... Wprawdzie przedmieścia, ale mimo wszystko...

– Muszę iść – powiedziałam, patrząc na zegarek.. – Już bardzo późno. Dziękuję za pomoc.

– To ja bardzo dziękuję. – Jego głos zrobił się poważny.

– Za co? – Spojrzałam za siebie ze zdziwieniem. – Za opiekę nad dziećmi? To była prawdziwa przyjemność. Są bardzo grzeczne i dobrze wychowane.

– Za to też – odparł. – Ale przede wszystkim pragnę podziękować za to, że dzięki pani zacząłem ten dzień w doprawdy wyśmienitym humorze. Dawno się tak szczerze nie pośmiałem.

– To świetnie – wypaliłam. – Cieszę się, że moją opowieścią wprowadziłam pana w dobry nastrój. I życzę, by starczyło go na cały dzień. Zwłaszcza, że już mamy godziny popołudniowe. Nie zostało go za wiele. Oczywiście jeśli mówimy o czasie obowiązującym na terenie Polski.

Otaksował mnie rozbawionym wzrokiem. Wokoło jego oczu utworzyły się zabawne zmarszczki. Sprawiał wrażenie naprawdę sympatycznego faceta.

– Pani...

– Iwono – dodałam.

– Pani Iwonko, chodzi o to, że mało kto jest w stanie tak poprawić mi humor. Całą historię opowiedziała mi pani w sposób wyjątkowo plastyczny, a do tego trzeba mieć talent. Potrzebuję takich nietuzinkowych ludzi. U mnie w firmie. Jeśli byłaby pani zainteresowana...

Drzwi domu numer trzystaście nagle trzasnęły. Do płotu biegł Albrecht, krzyząc radośnie „Tatusiiiiuuuuu!”.

– Muszę iść – powtórzyłam.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedział cicho. – Nie zapomnę tego, co pani zrobiła dla moich dzieci. I dla mnie. A o mojej propozycji jeszcze porozmawiamy.

– Dobrze. Do widzenia. – Szybko ruszyłam w stronę swojego domu.

Słyszałam jeszcze, jak Romański wita się ze swoim synem. Przypomniałam sobie nagle jego minę, gdy opowiadałam mu o krowie i kościach. Zanim dotarłam do swojego domu, sama śmiałam się jak głupia.

Powtórka

Powtórka wczorajszego dnia rozpoczęła się prawie pół godziny po czasie, ponieważ gdzieś zawieruszył się strój Maksymiliana. Przeszukałam wszystkie zakamarki, znów klnąc jak szewc. Tomek bezskutecznie pomagał w poszukiwaniach zguby. Pomocny okazał się dopiero Benek, który przebrany już za duszka przyniósł pod pachą zwój białego materiału.

– A dlaczego Maks wepchnął swoje przebranko pod moje łóżko? – zapytał, zaglądając do łazienki, gdzie przekopywałam stertę prania w nadziei, że tam znajdę kostium jego starszego brata. – Myślisz, że się bał kary?

– Skarbie, nie mam pojęcia – sapnęłam, grzebiąc na dnie wielkiego kosza. – Mamusia jest teraz zajęta. Idź do taty!

Muszę przyznać: nie słuchałam tego, co mówił.

– A co robisz? Pranie? – zainteresował się.

– Nie. Nie pranie, słonko.

– To po co grzebiesz w śmierdzących ubraniach? – dopytywał uparcie, ściskając w łapkach materiał.

– Szukam kostiumu Maksa. – Wstałam i dopiero wtedy spojrzałam na dziecko.

– Szkoda – westchnął Benek. – Bo gdybyś robiła pranie, to najlepiej białe.

– Białe? – uniosłam brwi.

– No tak – przytaknął. – Wyprałabyś Maksowi przebranie duszka, a potem wysuszyła je suszarką do włosów, tak jak suszyłaś kiedyś na wakacjach mój podkoszulek. Wtedy Maks poszedłby na zabawę w czystym duszku. A tak to niestety będzie brudnym duszkiem.

Ze smutną miną rozłożył kostium brata, ukazując na samym środku białej szatki rozległe plamy w trudnym do określenia kolorze.

– Matko Boska! – jęknęłam. – Jak dobrze, że znalazłeś ten strój! Jesteś kochany.

Wzięłam wdzianko do rąk, żeby przyjrzeć się plamom. Może uda się zrobić tak, jak mówił Benek? Z grubsza splukać plamę i potraktować mokry materiał suszarką?

– No przecież mówiłem, że był u mnie pod łóżkiem – powtórzył, wzruszając ramionami. – Maks pewnie nie chciał się przyznać, że się porzygał.

Dopiero wtedy poczułam mdławy fetor ulatniający się z nieszczęsnego przebrania. Widocznie mój starszy syn przesadził wczoraj z cukierkami. Dlatego też nie przyznał się, że wymiotował. Wiedział, że będzie go czekać nieprzyjemna reprimenda dotycząca obżarstwa.

– Mamo, a czy duchy rzygają? – Padło kolejne miażdżące pytanie.

– Raczej nie – mruknęłam, starając się jak najszybciej doprowadzić kostium do stanu używalności.

Niestety cały materiał przesiąknął smrodem wymiocin. Pranie było nieuniknione.

– Bo wiesz co? W takim jednym filmie było, że duchy są z ekotopalazmy...

– Ektoplazmy – poprawiłam odruchowo Benka, łapiąc odplamiacz i wlewając go do miski, gdzie natychmiast zamoczyłam przebranie.

– No właśnie – ciągnął Benedykt za moimi plecami. – To może duchy rzygają tą ektoplazmą?

Nie odpowiedziałam, skupiona na praniu.

– Ja nie lubię rzygać – oświadczył nagle zdecydowanym tonem. – To jest niefajne.

– Nie mówi się rzygać, tylko wymiotować – poprawiłam go ponownie.

– Ale ja nie umiem tego dobrze wymawiać – zaoponował. – Rzygać jest łatwiej powiedzieć.

– Ale to brzydkie słowo. – Zabrałam się za płukanie. Plamy na szczęście szybko zeszły. Zapewne składały się tylko z na wpół przetrawionego cukru bez dodatku farb spożywczych. – Mimo wszystko...

– Kiedy pomalujesz mi buzię? – Znow zmieniał temat.

Widocznie nie chciał, żebym się czepiała i kazała mu powtarzać wyraz wymiotować tak długo, aż zacznie go wymawiać prawidłowo.

– Zawołaj tatę – poprosiłam. – Będzie suszył kostium suszarką, żeby było szybciej, a ja wtedy pomaluję wam buźki, dobrze?

– Okej! – krzyknął, wypadając z łazienki. – Tato! Mama cię woła do pralki!!! Masz suszyć ducha!!!

Schodząc po schodach, ryknął tak głośno, że aż zadzwoniło mi w uszach.

– Co jak co, ale płucka nasze maleństwo ma jak miechy kowalskie – powiedziałam do siebie, wyzymając kostium.

W drzwiach pojawił się Tomek.

– Cała ulica wie, że moja żona wzywa mnie do łazienki – oświadczył z kwaśną miną. – Prosząc Benka o zawołanie tatusia, nie mogłaś dodać, by zrobił to nieco ciszej?

– Nie mam teraz czasu na dyskusje – odparowałam. – Tutaj masz suszarkę i mokry kostium. Wiesz, co masz robić?

– Nie bardzo – przyznał.

– Sprawić, by ta biała szmata była kompletnie sucha. Ja muszę pomalować dzieciom twarze. Już i tak mamy poślizg. Widziałaś, która jest godzina?

– Dlaczego akurat teraz wzięło cię na pranie? – zapytał. – Przecież dzieciaki i tak zaraz zapaskudzą ubrania.

– Masz rację. Gdyby plama była bezwonna, puściłabym Maksa w brudnym kostiumie. Niestety śmierdziała pawiem. Chyba nie chciałbyś, aby twoje dziecko przeszło do historii ze względu na smród, który roznosiło. Przebrania na Halloween są wskazane, ale raczej nie powinny śmierdzieć.

Tomasz nie chciał już dalej ciągnąć tego tematu. Bez słowa włączył suszarkę. Umalowałam buźki chłopcom, przebrałam dzieci Romańskich i sama wskoczyłam w swój kostium, Tomek zdążył wysuszyć strój Maksa tylko częściowo. Na szwach i plecach materiał wciąż był wilgotny, ale nie mieliśmy czasu na dokładniejsze dosuszanie. Zresztą Maks i tak zakładał duszka na grube ubranie, ponieważ w planach było przecież głównie kluczenie po okolicy, żeby Benek odnalazł drogę do kości.

Tak więc kiedy nieco spóźnieni wpadliśmy do domu Kosowskich, Marzena przywitała nas ze skwaszoną miną.

– Dzisiaj macie poślizg – oświadczyła, kiedy dzieciaki z radosnym wrzaskiem prezentowały swoje koszyczki na słodycze.

– Sorry – syknęłam – ale mieliśmy lekką awarię kostiumu Maksymiliana.

– Już wszyscy są – powiedziała, wpuszczając nas do salonu. – Tylko Pauli nie będzie.

– I całe szczęście – westchnęłam.

– Nawet udało się ściągnąć Helę, choć miała inne plany. Na szczęście gdy usłyszała od Kaśki, że powtarzamy Halloween...

– Za nic w świecie nie przepuściłabym takiej okazji – wtrąciła Hela, stając przy nas ze szklanką ponczu w ręce. – Och, jakże mi smakuje ten kompocik.

Szybko wymieniliśmy z Kasią spojrzenia.

– Proszę uważać, bo jest w nim sporo procentów – powiedziała Kasia.

– E tam... – Hela machnęła ręką, rozlewając na podłogę nieco ponczu. – Wczoraj wypiałam kilka szklanek i nawet mnie, że tak powiem, nie trzepnęło.

Powstrzymałam się od komentarza, ale prawda była taka, że nawet dziecko zauważyłoby, że dzisiejszy napój zdecydowanie podziałał na Helę.

W pokoju pojawił się pan domu, czyli Łukasz. Tak jak i wczoraj wystąpił w przebraniu mumii, tylko że w jego nieco zuboższej wersji. Spod warstwy papieru toaletowego gdzieniegdzie przeświecał obcisły, biały podkoszulek i jasne bokserki. Owijanie papierem stóp Łukasz sobie dzisiaj darował.

– Gładki papier toaletowy mi się skończył i musiałem owijać się resztkami z górnej łazienki i jedną rolką pożyczoną od pani Heli – wyjaśnił na powitanie, kiedy ścisnął rękę Tomka. – Marzena nie pozwoliła zabrać rolki z toalety na dole. Została jedna. I to niecała.

Dopiero wtedy zauważyłam, że papier owszem, był biały, ale tłoczony w biegające pieszki. Wyglądało to uroczo.

– Oby tylko nikt się nie pochorował – zażartował Tomek – bo trzeba będzie zdzierać papier z ciebie.

– Nie ma problemu – wtrąciła Kasia. – Zaraz zadzwonię do Marka i każę mu przynieść ze dwie rolki od nas. Mamy prawie całą paczkę, więc na pewno nie zabraknie. Choćby gości gnębiła nie wiem jak mocna biegunka.

– Dziękuję. Od razu poczułem się lepiej. – Łukasz skinął głową.

Na szyi papier nieco się poluzował, ukazując opaloną skórę, mocno kontrastującą z jego dziewiczą bielą.

Podobnie jak wczoraj, mniej więcej o tej samej porze opiekunki do dzieci wraz z Aurelią zabrały wszystkie nasze pociechy na spacer. Różnica była taka, że jedna z animatorek działała dzisiaj pod przymusem. Kiedy Marzenie nie udało się jej namówić na powtórkę po dobroci, gdyż dziewczę wymówiło się od dawna zaplanowanym wyjazdem z narzeczonym, do akcji wkroczył zaprzyjaźniony policjant. W kilku krótkich zdaniach zachęcił ją do zmiany decyzji. Dziewczyna najwyraźniej była wściekła, że jej plany legły w gruzach, lecz trzeba przyznać, że w obecności dzieci starała się tego nie okazywać.

– Aż mi jej żal – powiedziałam, kiedy za gromadką maluchów zamknęły się drzwi.

– Kogo? – Nie zrozumiała Kasia. – Tej młodej?

– No tak. – Skinęłam głową. – Marzena mówiła, że ściągnęli ją tutaj siłą.

– Bo tak było – powiedziała Hela. – A na dodatek całej dzisiejszej akcji pilnuje jakiś facet. Jest policjantem, tylko w cywilu. Bardzo dobrze się ukrywa, bo nawet ja go jeszcze nie zauważyłam.

– Rzeczywiście niesamowite – przyznałam. – A ktoś wie, gdzie on teraz jest?

– Czai się ponoć w krzakach pod domem. Będzie śledził dzieciaki. Tylko w ten sposób dowiemy się, gdzie twój sprytny synek znalazł kolekcję kości.

Upiłam kolejny łyżeczek ponczu. Dzień wcześniej o tej samej porze miałam za sobą zaledwie pół szklaneczki tej morderczej mieszanki. Tego dnia natomiast zaliczyłam już dwie wypite haustem kolejki i dzięki temu zaczynałam się coraz lepiej bawić.

Niestety w moim przypadku wypicie większej ilości alkoholu miało mało sympatyczne konsekwencje. Mianowicie mówiłam wtedy to, co myślałam i potrafiłam skrupulatnie wyłuszczyć każdy szczegół. Aż do bólu. Dlatego też raczej stroniłam od mocniejszych trunków. Tego dnia jednak dało o sobie znać zmęczenie związane z niewyspaniem, niezjedzonym obiadem oraz najzwyczajniej w świecie stresem, całymi pokładami stresu, który musiał w pewnym momencie znaleźć jakieś ujście.

Gdyby mój szanowny małżonek był przy mnie, to zapewne sprawa potoczyłaby się zupełnie inaczej. Dziwnym trafem doskonale wiedział, kiedy powinnam przestać pić, dlatego też na większości imprez

czuwał przy mnie. Kiedy tylko szeptał mi do ucha, że czas kończyć, wiedziałam, że następny drink powinien składać się wyłącznie z wody albo soku pomarańczowego, bez żadnych alkoholowych dodatków. Pech chciał, że tego dnia Tomasz wraz z innymi panami zajęty był grillem, który po spędzeniu nocy pod gołym niebem za nic nie chciał się rozpalić. Był zarazem jedynym w grupie facetem, który miał okazję piec kiełbaski i steki w takich warunkach już wiele razy, więc najwyraźniej uchodził w ich oczach za istne guru grilla. Ochoczo przyjął na swoje barki spontanicznie narzucony ciężar odpowiedzialności i z werwą przystąpił do walki z mokrym sprzętem, oczywiście kompletnie zapominając o nadzorowaniu mojej osoby.

Po wypiciu chociaż jednego drinka więcej niż powinnam, zaczynam się robić boleśnie szczerą i niestety nie da się nad tym zapanować. Na razie jednak, walcząc z lekkimi zawrotami głowy, stałam z moimi przyjaciółkami w salonie i bez słowa wsłuchiwałam się z jakąś mało interesującą dyskusją na temat nowych sąsiadów mieszkających pod trzynastką.

– Oni są dziwni – stwierdziła Hela. – A najgorsza jest ta macocha. To kompletnie porąbana baba.

– Zgadzam się w stu procentach – stwierdziłam. – Albo nawet w stu dwudziestu.

Kasia spojrzała na mnie z dziwnie uniesionymi brwiami, jednak na razie nic nie powiedziała.

– Mam nadzieję, że dzieciaki pójdą tym samym szlakiem i że Benek przypomni sobie miejsce, gdzie znalazł kości. – Agata zmieniła temat. – Nie wiem, jak Marzena zniosłaby kolejną powtórkę Halloween. I to trzeci dzień z rzędu.

– Padłaby trupem – powiedziałam, wzruszając ramionami. – Tak szczerze mówiąc, ja na jej miejscu nie zgodziłabym się na tę imprezę. Marzenko Kosowska, jesteś najbardziej wyrozumiałą kobietą na świecie – zwróciłam się do niej. – Bańka na twoją cześć!

Uniosłam szklankę do góry, po czym siorbnęłam sporego łyka.

– Jak myślisz, znaleźli już te kości? – zagaiła nagle Agata.

– A czemu pytasz?

– Nastawiłam chleb w domu – przyznała Agata. – Znalazłam nowy przepis na pieczywo z kapustą kiszoną. Chciałabym sprawdzić, czy dobrze się upiekł.

– No to leć, dziewczyno, póki nie ma dzieciaków – powiedziałam. – Ale musisz wrócić przed nimi. Żeby wszystko się zgadzało.

– Spokojnie. Mam jeszcze pół godziny. Wtedy sprawdzę, czy się upiekł i wyciągnę formę z wypiekacza.

– Pójdę z tobą – zdecydowałam nagle. – Zawsze chciałam zobaczyć to fantastyczne urządzenie do wypieku chleba. Mówisz, że ono samo wyrabia i piecze?

– No tak. – Skinęła głową.

– Kurde, ale jaja. – Pokręciłam z niedowierzaniem głową. Nie zauważyłam, kiedy Kasia i Marzena gdzieś czmychnęły, zastawiając mnie z nią sam na sam. – Jakoś nie przyszło mi do głowy, żeby sprawdzić w necie, czy są takie wynalazki. Ja kupuję chleb w piekarni. To bardzo proste. I poręczne.

– I kosztowne. – Agata wytknęła mi palec. – A ile płacisz?

– Za co? – zdziwiłam się.

– No za chleb – odpowiedziała.

Zastanowiłam się chwilę.

– Wiesz, to zależy – powiedziałam w końcu. – Najczęściej kupuję bułeczki i ciemny chleb na wagę dla Tomka. Płacę prawie dziesięć złotych dziennie. Niekiedy nawet więcej.

– A mnie duży chleb kosztuje około trzech złotych – zaśmiała się Agata. – I wystarcza dla całej, pięcioosobowej rodziny. Na kolację i śniadanie.

– Ale masz na myśli trzy złote dziennie? – Jakoś nie mogłam jej zrozumieć.

W tym stanie rachunki szły mi z wyraźną trudnością.

– Ja piekę półtorakilogramowy chleb – zaczęła wyliczać. – Zużywam na niego około kilogram mąki pszennej, która w hurcie kosztuje niecałe dwa złote, do tego dochodzi pół opakowania sypkich drożdży, woda, łyżeczka masła i dodatki. Kiedy przyszły rachunki za prąd, siadłam z Tośkiem i razem policzyliśmy, ile kosztuje przygotowanie porcji chleba. Wyszło nam trzy czterdzieści. To niewiele, prawda?

– O ja cię pierdzielę – sapnęłam. – No to, sąsiadko, pierwszy raz, odkąd cię znam, zrobiłaś na mnie wrażenie. I to piorunujące. Nie licząc oczywiście tego momentu, kiedy nawrzucałaś Antoniemu, że się puszcza, gdzie popadnie.

Agata przewróciła oczami i zignorowała moją wypowiedź, wróciła do tematu chleba.

– Kochana, muszę cię chyba uświadomić – powiedziała krótko. – Czy ty kiedykolwiek sprawdzałaś, co jest w kupnym pieczywie?

– Mąka, drożdże, woda, mleko... – Zaczęłam wyliczać na palcach.

– To oczywiste – przyznała mi rację. – Ale czy spotkałaś się z takim określeniem jak „naturalne dodatki”?

Podrapałam się po głowie.

– Masz na myśli jakieś nasiona typu kminek, czarnuszka czy słoneczniki? – zapytałam niewinnym głosem, ponieważ czułam, że przyjaciółka ma na myśli coś zgoła innego.

– To nie to. – Pokręciła głową. – Chodzi mi o dodatki spulchniające chleb i nadające skórce chrupkość.

– Nie brzmi to dobrze – przyznałam.

– Sprawdź sobie w Internecie. Wszystkiego się dowiesz. I nie tkniesz kupnego pieczywa, gwarantuję!

Zaczęłam się zastanawiać, gdzie w kuchni udałoby się wygospodarować miejsce na takie urządzenie. Stałam przy jednym z okien wychodzących na naszą ulicę. Przez cienkie firanki widziałam, jak na ścieżce przed domem Aurelia wraz z opiekunkami starają się coś wytłumaczyć gromadce dzieci.

– Patrz, jak oni słodko wyglądają. – Zmieniłam temat, pokazując Agacie tę komiczną grupkę przebierańców.

– Dzisiaj nie mają już tego uroku co wczoraj – odpowiedziała, podchodząc bliżej okna. – Może jednak w tym ostatnim dniu października jest czar dodający czegoś magicznego palącym się lampionom, przebraniom, nagrobkom i gigantycznym, włóchatym pająkom zrobionym z włóczki?

Przyznałam jej rację. Pomimo starań wszystkich osób, dzisiejsza zabawa nie była już tak udana jak wczorajsza.

Tymczasem widziałam przez okno, jak dziewczyny ruszyły z ferajną dzieciaków w stronę brzozonego lasku znajdującego się przy końcu uliczki. Matka natura była po naszej stronie, bo tak jak wczoraj zaczął siąpić drobniutki deszczyk, rozmazując światła latarni, otaczając tajemniczą poświatą ciemne krzewy wokół domów i nadając uliczce ezoteryczny wręcz wygląd.

– Powinniśmy sprawdzić, dokąd oni idą – powiedziałam nagle.

– Po co? – Agata nałożyła sobie sałatkę na talerzyk. – Przecież są z opiekunkami. Nic im się nie stanie, nie bądź nadopiekuńcza.

– Nie jestem, ale chcę zobaczyć. Sprawa tych gości musi się wreszcie zakończyć. Nie chcę, żeby tym razem Benek przyniósł do domu czaszkę.

– To by dopiero było coś. Jeszcze ze dwie albo trzy takie imprezy i dzieciak skompletowałby cały szkielet – zaśmiała się.

– To nie jest śmieszne.

– Wiem, przepraszam.

Zostawiłam Agatę przy stole i wyszłam na zewnątrz. Stałam na schodkach otoczonych kilkoma

dyniami. Powietrze było tak wilgotne, że w niektórych dyniach świeczki ledwie co się tliły. Dwie posesje dalej widziałam zarys grupki naszych dzieciaków. Śmiały się i przekrzykiwały. Opiekunka co chwilę przypominała im, że powinny zachowywać się cicho, a nie jak stado rozochoconych owiec. Kręcąc głową, zesłam na chodnik i ze szklaneczką w ręce spojrzełam na nieszczęsną atrapę nagrobka, która w mniemaniu Benka idealnie nadawała się na miejsce wiecznego spoczynku poszukiwanych przez wszystkich szczątków.

– Chwila na złapanie oddechu?

Na schodkach stanął Łukasz. W poszarpanym papierze toaletowym wyglądał jak mumia po przejściach.

– Chciałam zobaczyć, dokąd idzie grupa upiornych dzieciaków – powiedziałam, uśmiechając się do niego.

– No tak...

Nagle kątem oka zobaczyłam jakiś cień bezszelestnie przemykający wzdłuż bramy. Zaraz jednak zniknął on za rzędem młodych żywotników rosnących wzdłuż płotu Marzeny. Był zdecydowanie za duży na cień psa. To musiał być człowiek, który lekko skulony ukrywał się w mroku większych krzewów.

I wtedy zrobiłam coś potwornie głupiego. Ale tak już jest, gdy człowiek się napije: najpierw reaguje, a dopiero potem analizuje sytuację.

– Tam ktoś jest – szepnęłam, łapiąc Łukasza za miejsce, gdzie powinien być rękaw.

Nie zauważyłam nawet, że oderwałam kawałek jego przebrania. Łukasz wyteżył wzrok we wskazanym przeze mnie kierunku.

– Nikogo nie widzę – przyznał. – Może to nietoperz przeleciał pod latarnią, a jego cień...

– Nie gadaj głupot – syknęłam. – Gdzieś tu powinien być ten policjant, który miał pilnować dzieci. Powinniśmy mu powiedzieć.

– Wracaj lepiej do domu, a ja to sprawdzę, dobrze?

– Nie ma mowy! Tam są moje dzieci.

Ściskając w ręce szklanekę, która była moim jedynym orężem, na palcach przemknęłam do bramy. Stałam przy otwartej furtce i wysunęłam głowę na ulicę, mdławo oświetloną przez spowite we mgle latarnie. Mniej więcej tam, gdzie schodziły się działki Marzeny i Kaśki, na chodniku rosły dwie spore brzozy. Żeby ich nie wycinać, podczas układania kostek chodnikowych drzewa troskliwie otoczono niewysokim krawężnikiem. Jedna brzoza rosła idealnie prosto, za to druga, mniejsza, nieco pochylała się nad jezdnią. Teraz nie było na nich liści, ale gęste gałęzie rzucały na fragment chodnika tak gęsty cień, że za ich pniami swobodnie mogła się schować dorosła osoba. Tam właśnie zauważyłam osobnika ubranego w coś czarnego i obcisłego niczym strój nurka. Postać zwinnym ruchem właśnie dobiegła do drzew i przykucnęła za pochyłym pniem. Na pewno mnie nie zauważyła, bo była skupiona na oddalających się od nas, hałasujących dzieciach.

– To jakiś zboczeniec! Może to zazdrosny chłopak opiekunki? – szepnęłam do Łukasza, który wraz ze mną wysunął głowę zza bramy. – Gdzie ten cholerny policjant? Miał tu być!

– Idź do domu i zawołaj chłopaków – powiedział Łukasz cicho, nie spuszczając z oczu ukrytego pod drzewami człowieka.

– Ani mi się śni. – Poczułam nagły przypływ złości. – To pewnie ekshibicjonista. Podobno kręci się tutaj taki jeden ubrany na czarno.

Obserwowany przez nas mężczyzna nagle wyprostował się i zaczął manipulować w okolicach swojego paska. Od razu doszłam do wniosku, że pewnie rozpina gacie, więc zanim Łukasz zdążył cokolwiek powiedzieć, w przypływie szału wyrwałam się na ulicę i na palcach pogałam w stronę pochylonej brzozy.

– Już ja ci, cholerny zboczeńcu, pokażę, do czego jest zdolna rozwścieczona matka! – wrzasnęłam,

dopadając drzewa.

Walnęłam ukrywającego się tam mężczyznę szklanką z takim impetem, że grube szkło z trzaskiem rozbiło się na jego głowie.

– Przed dziećmiakami będziesz się obnażać, zboku!?! Oberwę ci dzwonka gołymi rękami i wepchnę w gardło tak głęboko, że nawet płukanie żołądka nie pomoże. Odechce ci się napastowania nieletnich!

Kopnęłam go z rozmachem. Najwyraźniej trafiłam we właściwe miejsce, bo zachwiał się, po czym z jękiem runął na ziemię. Zanim przerażony Łukasz do nas dobiegł, w przyпіływie ślepej furii sprzedałam mu jeszcze dwa porządne kopniaki. W wyniku mojego nagłego ataku leżącemu na ulicy mężczyźnie zsunęła się z głowy kominiarka, ukazując wąską, bladą twarz.

– Iwona, przestań! – Łukasz złapał mnie za rękę i odciągnął na bok. – Coś ty zrobiła!?

– Natłukłam zbrojeńcowi – krzyknęłam. – I zamierzam jeszcze mu dołożyć! Mam swoje pięć minut! Wszyscy mnie docenią za ten karkołomny wyczyn!

– Przestań. – Potrząsnął mną.

Na końcu ulicy pojawiły się dzieci. Zainteresowane zamieszaniem zaczęły biec w naszym kierunku.

– O co ci chodzi? – wrzasnęłam na Łukasza. – Przecież ten zbrojeniec mógłby obnażyć się też przed twoim dzieckiem! Nie przeszkadza ci to?

– To nie jest żaden zbrojeniec! Uspokój się. – Potrząsnął mną jeszcze raz. – Iwona, skopałaś detektywa!

Wytrzeszczyłam oczy. Łukasz puścił mnie i pochylił się nad leżącym mężczyzną.

– Chryste Panie! – powiedziałam, gdy dotarło do mnie, co widzę.

W zalanej krwią postaci dopiero teraz rozpoznałam... Krzysztofa. Tymczasem pierwszym dzieckiem, jakie do nas dobiegło, był oczywiście Benek.

– Mama, zabiłaś tego pana? – zapytał z zainteresowaniem.

W ogóle nie przestraszył go widok nieprzytomnego człowieka.

– Oby nie – jęknęłam ponownie, kucając przy ofierze mojego przyпіływu złości.

– Ale on nie żyje? – dopytywał malec. – Coś mu się leje spod czapki i się nie rusza. Wcale się nie rusza. To niedobrze, prawda?

Zbyliśmy pytania malca milczeniem, skupiając się na ocuceniu Krzysztofa. Łukasz klepał go lekko po twarzy, ja zaś ściągnęłam detektywowi czapkę, żeby sprawdzić, skąd leci krew.

Krzysztof nie wydawał żadnego dźwięku. Nawet nie jęknął.

– Dobrze, że jest ubrany na czarno – stwierdził nagle Benek, kiwając główką. – Będzie można od razu go pochować w ogródku cioci Marzeny. Powinien się jeszcze zmieścić pod tym ślicznym, szarym nagrobkiem. Tylko lepiej jej tego nie mówcie!

Istota zazdrości

Następnego poranka siedziałam w kuchni z kubkiem w ręku. Popijając wolno gorącą herbatę malinową, beznamiętnym wzrokiem wpatrywałam się w okno, za którym jesień poczyniała sobie coraz odważniej.

Silny wiatr hulał w najlepsze po Brzozowym Zaułku. Martwe liście, zerwane przez mocniejsze podmuchy, opadały na jezdnię i z suchym szelestem turlały się po wilgotnym asfalcie. Niebo zasnuła gruba warstwa ciemnoszarych chmur, które aż pękały od nadmiaru nagromadzonej wody.

Pierwsze grube krople deszczu zaczynały właśnie bębnić o szyby, kiedy do kuchni wszedł Tomek, ubrany jedynie w kaptcie i ciasno związany szlafrok. Pocałował mnie w czoło na przywitaniu.

– Mamy kaca? – zapytał, widząc moją cierpiętniczą minę.

– Tylko moralnego – jęknęłam, opierając się na łokciach. – Widok za oknem świetnie obrazuje moje samopoczucie. Do dupy to wszystko.

Tomasz zerknął przez szybę i skrzywił twarz.

– Fuj, naprawdę parszywie – skomentował.

– Rozwaliłam łeb swojemu eks – pokręciłam głową, bo wciąż nie wierzyłam, że to wszystko miało miejsce – który na dodatek jest policjantem. Pewnie zgnię w więzieniu. Błagam, obiecaj, że będziesz mi przysyłał fotki chłopców na tyle często, bym widziała, jak rosną. I nie mów im, że siedzę w więzieniu, tylko że wyjechałam do pracy. W jakieś nieciekawe miejsce, żeby nie zazdrościli. Na przykład na bieżący północny. Powiedz im, że czyszczę kopyta reniferom albo szlifuję kry lodowe dla fok.

– Przesadzasz. – Wyciągnął z szafki kubek i herbatę malinową. – Nic takiego mu się nie stało. Tylko rozciął skórę. Na szczęście w takim miejscu, że nie będzie widać.

– To mi nie poprawiło humoru. – Położyłam głowę na blacie. – A jak mnie zaskarży? Przecież zbankrutujemy, jeśli trzeba będzie wynająć adwokata.

– Krzysiek miałby zaskarżyć ciebie? – zaśmiał się Tomek. – Wiesz, skarbie, jestem przekonany, że nie masz się czym martwić. Gdybym to ja mu przylutował, wtedy dopiero byłaby afera. Skończyłbym w areszcie, a piękny Krzysztof zabrałby się za pocieszanie opuszczonej małżonki...

– Wiesz co? – uniosłam się. – Gadasz głupoty!

– Raczej stwierdzam fakty.

– Coś ci się uroiło z tym Krzysztofem.

– Taaa, jasne – mruknął, nalewając wrzątku do kubka i wrzucając torebkę herbaty. Po kuchni natychmiast rozniósł się przyjemny aromat malin. – Ale może skoro dostał po łbie od ciebie, to mu się klepki przestawią i zrozumie, że jesteś już dla niego, że tak powiem, nieosiągalna.

Wreszcie dotarło do mnie, o co w tym wszystkim chodzi. Uniosłam głowę znad blatu i uśmiechnęłam się do niego.

– Ty jesteś zazdrosny! – powiedziałam, wytykając go palcem.

Tomek z hukiem odstawił czajnik i spojrzał na mnie z oburzeniem.

– Ja? Zazdrosny? Ależ skąd! Po prostu masz rodzinę, dzieci. Teraz to ja... to znaczy dzieci powinny być dla ciebie najważniejsze.

– No i jesteście – przyznałam bez wahania. – Ale ty jesteś zazdrosny o mnie jak o partnerkę, a nie jak o matkę twoich dzieci!

– Ubzdurzyłaś sobie coś. Znowu. – Silił się na obojętny ton, ale jego twarz przybrała czerwony odcień.

Był zły.

– Jasne, jasne – pokiwałam głową, zadowolona ze swojego odkrycia. – Jesteś zazdrośnikiem. I to potwornym!

– Nieprawda! – oburzył się.

– Prawda, prawda. Ale wiesz co? To jest słodkie i bezgranicznie rozczulające.

– Chciałabyś. – Odwrócił się do mnie plecami, udając, że miesza herbatę, ale widziałam jego skroń i prawy policzek.

Od zaciskania szczęki ze złości zrobił się mu taki mały guzełek, poruszający się w górę i w dół. Wstałam, podeszłam do mojego męża i objęłam go od tyłu.

– Kocham cię, Tomuś – wyznałam szczerze – i bardzo się cieszę, że jesteś zazdrosny, bo to oznacza, że i ty mnie kochasz.

Odstawił kubek na blat i obrócił się twarzą do mnie. Wciąż zaciskał zęby, jednak w jego oczach zobaczyłam, że powoli topnieje.

– Nawet gdyby pojawiło się tu stado najseksowniejszych facetów na świecie i wszyscy na golasa padaliby do mych stóp, to i tak nie mieliby szans w porównaniu z tobą – powiedziałam, głaszcząc go po szorstkim policzku. – Jesteś najlepszym mężem na świecie. I najlepszym ojcem.

– Powoli robię się stary – wyznał nagle z rozbijającą szczerością. – Ostatnio nawet sobie pomyślałem, że kiedyś przyjdzie mi umrzeć.

Parsknęłam śmiechem, wciąż nie wypuszczając go z objęć.

– Kręcą mnie dojrzałe faceci. Chęć na nieopierzonych podlotków dawno mi minęła.

Musnął mój policzek ustami i docisnął swoje biodra do moich. To szczerze wyznanie zrobiło na nim wrażenie. Przez warstwę dwóch szlafroków poczułam, jak mój mąż twardnieje i bardzo mnie to podnieciło. Bez namysłu wsunęłam rękę między miękkie fałdy materiału. Natychmiast odnalazłam pulsujący z podniecenia członek. Chwyciłam go delikatnie i zaczęłam masować. Wiedziałam, że Tomek to uwielbia. Z cichym westchnieniem przyssał się do mojego ucha. Pieścił językiem wszystkie jego zakamarki, podczas gdy ja z zamkniętymi oczami skupiałam się na dotykaniu jego pulsującej z pożądania męskości.

– Zaraz eksploduję – szepnął, przyciskając usta do mojej szyi.

Bez słowa powędrowałam dłonią do jego jąder. Były takie atłasowe, zwarte i ciepłutkie... Uwielbiałam je delikatnie ścisnąć w swoich dłoniach albo głaskać. Pomiędzy palcami czułam, jak tężeje każda komórka jego ciała – od miękkich jąder, poprzez delikatną skórę pokrywającą naprężonego członka, aż po odstające wędzidełko i idealnie gładką skórę na parzącej wręcz końcówce.

Tomek nie pozostawał w tyle. Jedną ręką dociskał mnie do siebie, a drugą zanurkował pod moim różowym szlafrocikiem. Odsunął na bok cienki materiał majteczek. Już po chwili ułożył swoją gorącą dłoń na moim podbrzuszu. Kciukiem leniwie zataczał nieduże kółka wokół łechtaczki, doprowadzając mnie tym do szaleństwa. Miałam wrażenie, że policzki mi płoną. Że cała spłone. Może to głupie, ale po tylu latach bycia razem wciąż bardzo pożądałam mojego męża! Chciałam go mieć. Natychmiast!

Nagle zapragnęłam, żeby wbił się we mnie głęboko i zdecydowanie. Poczułam, jak nogi mi miękły. Bałam się, że zaraz padnę na kolana, ale on chwycił mnie w pasie i sprawnym ruchem posadził na kuchennym stole. Objęłam go nogami. Dłonią przyciągnęłam ku sobie jego twarz, by na policzkach i ustach złożyć mnóstwo chciwych pocałunków. Tomek złapał mnie za pupę i lekko przesunął do przodu. Poczułam, jak odnajduje właściwe miejsce... Wreszcie złapał mnie w pasie i z cichym chrząknięciem

zdecydowanie pchnął do przodu. Jęknęłam, odrzucając głowę do tyłu i zapierając się rękami o blat. Tomasz w ekstazie rozsunął mój szlafrok i złapał za sterczące z podniecenia piersi. Jego biodra poruszały się rytmicznie i w coraz szybszym tempie. Napierał z wielką siłą, jakby chciał, żeby nasze ciała stały się jednością. W okolicy szyi poczułam lekkie ugryzienie. Zaraz potem usta Tomasza zaczęły ssać mój sutek. Drugi ścisnął coraz mocniej wolną dłoń, rozcierając go pomiędzy palcami aż do słodkiego bólu. Miałam ochotę krzyczeć z rozkoszy. Poruszaliśmy się w jednym, wspólnym, coraz szybszym tempie, doskonale zespoleni. Z coraz większą siłą. Wreszcie Tomek cudownie mocno zacisnął ręce na moich piersiach. Wbił się głęboko i na moment znieruchomiał, rozkoszując się tą chwilą. Czułam, jak moje wnętrze wypełnia się ciepłem. Uniosłam się i objęłam Tomka za szyję, składając na jego spoconym policzku delikatny pocałunek. Nie chciałam, żeby ze mnie wychodził. Przepęłniało mnie bezgraniczne szczęście. Wszystkie kłopoty uleciały gdzieś daleko. Liczyło się tylko TU i TERAZ. A teraz byłam szczęśliwa.

Nasze szczęście brutalnie przerwał dzwonek do drzwi. Głośne ding-dong natychmiast przywróciło nas rzeczywistości. Tomek szybko wysunął się z moich objęć i ciasno owinał szlafrokiem.

– Idź, otwórz – powiedziałam, zsuwając się ze stołu i odruchowo sprawdzając, czy na blacie albo na podłodze nie ma śladów naszego miłosnego uniesienia.

– Jest dopiero siódma rano – jęknął, idąc jednak w kierunku drzwi. – Co za piernik zawraca nam tyłek o tej porze?

– Jakiś kretyn bez rodziny – odparłam, idąc za nim.

Z ciekawością zerknęłam przez boczne szybki. Na niewiele się to niestety zdało, ponieważ ozdobny, kolorowy witraż złożony z nierównych gomółek skutecznie zamieniał stojące po drugiej stronie postacie w niewyraźne, rozlane plamy. Na wycieraczkę równie dobrze mogłaby stać Buka z *Doliny Muminków*.

– Otwieramy w ogóle? – szepnął Tomek, zatrzymując się na środku holu. – Może to listonosz?

– Zwariowałaś? Przecież listonosz nie chodzi po domach o siódmej rano!

– Ale dzisiaj jest dzień roboczy – przypomniał mi Tomek. – Ja wychodzę do pracy za pół godziny.

– A co ma piernik do wiatraka? – zdziwiłam się.

– No to, że może ten ktoś chce mnie złapać, zanim wyjdę z domu.

Zastanowiłam się przez moment. Tomek miał rację.

– Trzeba zamontować jakieś lustro, żeby było widać, kto idzie – skwitowałam. – Albo taki wideofon czy miniaturowe kamery. Wszystko jedno.

– Wystarczy wizjer w drzwiach – wzruszył ramionami.

– To nie mieszkanie w bloku – odpowiedziałam.

– Nie zamknęliśmy wczoraj bramy – zauważył Tomek. – Gdybyśmy to zrobili, ten ktoś musiałby zadzwonić domofonem. A my zobaczylibyśmy przez okno, czy w ogóle warto otwierać.

– To prawda – przyznałam mu rację. – Ale jest jak jest. I co teraz zrobimy?

Dzwonek odezwał się ponownie. Po chwili dzwonienie stało się natarczywe i szybko przeszło w nerwowe pukanie do drzwi. Nie chcieliśmy jeszcze budzić dzieci, które poszły spać bardzo późno. Maks zaczynał lekcje o jedenastej, a Benka można było ściągnąć z łóżka dopiero piętnaście minut przed wyjściem.

– Otwórz – zdecydował nagle Tomek.

– Dlaczego ja?!

– No bo ty jesteś... kobietą.

– I co z tego? – oburzyłam się. – To oznacza, że automatycznie staję się też odźwierną? I to we własnym domu? Jaja sobie ze mnie robisz?

Stałam na pierwszym stopniu schodów prowadzących na piętro, gdzie spokojnie mógł się ukryć

w naszej sypialni albo w łazience.

– Świnia z ciebie! – oświadczyłam, krzyżując ręce na piersiach i malowniczo (miałam nadzieję) wydymając usta.

– Może ta osoba nie spodziewa się, że mnie tutaj zastanie – zasugerował Tomek, schodząc na dół.

– Gdyby chciała zastać mnie samą, to przyszłaby pół godziny później – powiedziałam. – Otwórz, bo to pewnie ktoś do ciebie.

Znów odezwał się dzwonek do drzwi.

– Niech to szlag – szepnął Tomek ze złością. – Obudzi chłopaków.

Zacisnęłam ręce w pięści. Musiałam pójść na ugodę z tym upartym osłem.

– Schowaj się w salonie. Jeśli okaże się, że to jacyś upierdliwcy, pomożesz mi.

Tomek bez słowa wykonał moje polecenie. co trzeba przyznać bardzo mnie zaskoczyło. Przekręciłam klucz w zamku i nacisnęłam klamkę. Na ganku stał Krzysztof. Lewą skroń miał owiniętą grubą warstwą bandażu.

– Cześć, Iwonko – powiedział ciepłym, ale oczywiście przesadnie obolałym głosem. – Przepraszam, że tak wcześnie, ale dopiero co wyszedłem ze szpitala po tym wczorajszym... incydencie.

Wciąż miał na sobie ten głupi, obcisły strój, który przypominał kostium nurka. Różnica była taka, że przylegająca do ciała bluza była nieco rozsunięta, ukazując owłosioną klatkę piersiową. Najwyraźniej panujący na zewnątrz ziąb kompletnie mu nie przeszkadzał.

Przeniosłam wzrok z tej jego klaty na buty. Byleby tylko skupić się na rozmowie, a nie na doznaniach fizycznych.

Każda kobieta raz w miesiącu przeżywa kilka takich dni, kiedy to jej umysł zaprzęta przede wszystkim chęć odbywania stosunku. Pech chciał, że TE dni przypadły na TEN moment. Pomimo szczyrych chęci, nie byłam w stanie oderwać wzroku od opalonej klatki piersiowej mojego eks. Mając świadomość, że Tomek waruje, ukryty za ścianą niecałe trzy metry dalej, zacisnęłam ręce tak mocno, że moje paznokcie wbiły się w skórę dłoni. To pozwoliło mi skupić się na rozmowie, a nie na bezsensownych myślach o tym, co nieosiągalne.

– Wypuścili cię? – zapytałam głupio.

– Tak – odruchowo dotknął opatrunku. – Na szczęście to tylko powierzchowne rozcięcie. Muszę jednak przyznać, że twoja siła jest godna podziwu. Rzuciłabyś na kolana dwóch takich jak ja. Co najmniej.

– Myślałam, że jesteś zboczeńcem, który podobno grasuje w tej okolicy i obnaża się przed nieletnimi. – Wciąż skupiałam się na jego ubłoconych butach.

– Muszę cię rozczarować. Nie mam takich zapędów – powiedział miłym głosem. – Bardzo lubię dzieci, ale w normalny sposób.

Przetarłam ręką oczy, żeby odpędzić zbredzone myśli, które przez tę jego klatę pojawiały się w moim przepełnionym estrogenem umyśle. Nie szczytowałam podczas zbliżenia z Tomkiem, więc zalany hormonami organizm najwyraźniej wciąż liczył na orgazm, spychając w kąt zdrowy rozsądek. Aby się opanować i nie rzucić na kolejne prace, chwyciłam mocno drewnianą futrynę. Poczułam potworny wstyd. Tak kiepsko nad sobą panuję!

– Cieszę się, że mi to wszystko powiedziałaś – wydukałam wreszcie – ale teraz już czas, żebyś poszedł do domu i trochę odpoczął. Najlepiej do swojego domu.

Przez kilka sekund trawił to, co usłyszał.

– Znajomy mnie odwiezie – powiedział wreszcie. – Dostałem kilka dni wolnego, bo mam lekkie wstrząśnienie mózgu. A to wszystko przez te twoje cudowne, drobne rączki.

Szybkim ruchem złapał mnie za dłonie. Poczułam, że się pocę. I to na całym ciele.

– Chciałbym wiedzieć tylko jedno – szepnął, robiąc dwa kroki w moją stronę.

– Czyli co? – Staralam się uwolnić z jego uścisku, jednak na próżno.

Miał dłonie jak imadło.

– Że jest ci przykro.

Zmarszczyłam brwi.

– Przykro? – powtórzyłam. – Jestem przekonana, że gdyby twoje dzieci śledził jakiś ubrany na czarno typek, postąpiłbyś dokładnie tak samo jak ja. Tyle że, znając twoją siłę, zapewne zabiłbyś delikwenta tą szklanką...

– Pewnie masz rację – mruknął, opierając się o futrynę.

Poczułam zapach jego wody kolońskiej. Mojej ulubionej. Przebijał się przez mdłą woń szpitala. Zrobiłam krok do tyłu, bo bałam się, że nie będę w stanie utrzymać rąk przy sobie. Nie było sensu się oszukiwać. Biorąc pod uwagę tylko aspekt fizyczny, w porównaniu z Tomkiem Krzysztof wypadł po prostu fantastycznie. Zawsze był bardziej muskularny, wysportowany i seksowny. Paradoksalnie to dlatego rozpadł się nasz związek. Wprawdzie Krzysiek nigdy nie dawał mi powodów do zazdrości, ale ja nie byłam w stanie znieść tego, że wszystkie baby ślinią się na jego widok. Jak tu wypuścić takiego faceta z domu? I to na cały dzień? W obawie, że mogę doprowadzić samą siebie do dzikiej nienawiści, postanowiłam zakończyć ten związek. Nie chciałam utknąć w domu z dziećmi i bać się, że ich ojciec właśnie chędoży jakąś uratowaną z opresji, cycatą blondynę... Ugryzłam się w język, znów starając się zapanować nad rozszalałą wyobraźnią.

– Przepraszam, że cię skrzywdziłam – wycedziłam. – Naprawdę bardzo mi przykro, ale to był odruch. Czysto rodzicielski.

– Wierzę. Ależ pachniesz...

– O takich zachowaniach pogadamy, jak będziesz miał własną rodzinę – dodałam bez zastanowienia, ignorując jego ostatnie słowa.

– Miałbym już teraz własną rodzinę – odparł. – I to cudowną. Gdyby tylko matka moich potencjalnych dzieci nie postanowiła nagle mnie rzucić. Zostawiła mnie, a ja wciąż nie mogę przestać o niej myśleć.

Zacisnęłam zęby. Nie chciałam, żeby tę rozmowę słyszał Tomek. Zerknęłam w stronę salonu. A jednak Tomasz stał przy ścianie z założonymi rękami. Patrzył spode łba wyjątkowo ponurym wzrokiem, który nie wróżył nic dobrego.

– To było wiele lat temu – zwróciłam się do Krzysztofa. – Chcę o tym zapomnieć, bo nigdy wcześniej nie byłam tak szczęśliwa jak teraz.

– Zrobię wszystko... – zaczął, lecz nagle urwał.

Za moimi plecami stanął Tomek, wściekłym wzrokiem taksując naszego niespodziewanego gościa.

– Nie rozumiesz, że ona nie ma ochoty z tobą rozmawiać? – syknął, podchodząc bliżej drzwi. – Ja zresztą też nie.

– Chciałem tylko jej wyjaśnić, że popełniła błąd... – zaczął tłumaczyć Krzysztof.

– Zostając moją żoną? – Tomasz uniósł brwi.

Wiedziałam, że jest wściekły. Uznałam, że lepiej odprawić pana eks, żeby znów nie oberwał po głowie. Wprawdzie Tomek był nieco niższy, drobniejszy i znacznie mniej wysportowany od niego, ale w przyływie szału mógł się okazać silniejszy.

– Lepiej już idź – powiedziałam, starając się zamknąć drzwi.

Krzysztof był jednak szybszy.

– Momencik – powiedział, zerkając ze złością na Tomka. – Chyba nadszedł czas, żeby wreszcie sobie wszystko wyjaśnić jak należy.

– Błagam cię, wracaj do domu – poprosiłam.

Na próżno. Buzujący w jego żyłach testosteron zrobił już swoje.

– Popęlniłaś błąd, zeniąc się z tym nieopierzonym kujonem – powiedział Krzysztof, wskazując palcem mojego męża. – Nawet moje nazwisko brzmi lepiej niż jego. Winiarski... Jak jakiś tani jabcok...

Pierwszy cios przeszył powietrze z cichym świstem, zamieniając nos Krzyśka w krwisty placek. Zanim zdążyłam cokolwiek zrobić, drugi, jeszcze silniejszy, został wymierzony prosto w jego podbródek. Głowa Krzysztofa odskoczyła na bok niczym dmuchana piłka.

– Tomek! Przestań! – wrzasnęłam, starając się ich rozdzielić.

Nie miałam jednak tyle siły. Z determinacją godną terminatora Krzysztof złapał mnie w tali i przesunął na bok. Następnie wkroczył do holu i uderzył Tomka prosto w nieogoloną szczękę. Rozwścieczeni, zwarli się w morderczym uścisku, wymieniając oprócz ciosów coraz wymyślniejsze epitety.

– Przestańcie – wrzasnęłam, łapiąc ich za ramiona.

Żaden nawet nie raczył na mnie spojrzeć.

Krzysztof, pomijając element zaskoczenia, miał sporą przewagę. Przynajmniej walczył w normalnym ubraniu, a nie w luźnym szlafroku, który lada chwila mógł się rozsunąć, ukazując wszystko, co pod nim, ze wszystkimi najdrobniejszymi detalami. Kolejną myślą, jaka przyszła mi do głowy, było wepchnięcie ich do środka i zamknięcie drzwi, żeby wszyscy mieszkańcy Brzozowego Zaułka nie widzieli tego żenującego zamieszania. Niemal od razu jednak pojawiła się inna – a może zrobić odwrotnie? Może lepiej wywalić ich na zewnątrz? Niech się leją na chodniku, przynajmniej będzie mniej sprzątanina – pomyślałam zrezygnowana. W środku łatwo rozbić wazony, szyby czy różne drobiazgi. Na chodniku najwyżej wygniotą trochę trawy, która i tak w oczekiwaniu na pierwszy śnieg w większości zżółkła i obumarła.

– Stawiasz się, bo ją dostałeś? – syknął Krzysztof prosto w twarz Tomka.

Małe kropelki jego śliny osiadły na policzkach mojego męża.

– Możecie przestać? – wtrąciłam, znów próbując ich rozdzielić.

– To sprawa między nami – wydyszał Tomek. – Lepiej stań z boku, MOJA żono!

– No kretyni! Po prostu idioci – krzyknęłam, stając jednak kilka kroków dalej. Lepiej, żeby z tej walki choć jedno z nas wyszło bez szwanku. W końcu ktoś musi zająć się dziećmi. – Myślicie, że jak będziecie mieli oklepane gęby, to dokonam innego wyboru?

Żaden mi nie odpowiedział, bo za bardzo byli skupieni na mierzeniu się wzrokiem. Jedno mrugnięcie mogło sprawić, że znowu się na siebie rzuca. Zagryzłam wargi, nie bardzo wiedząc, co robić. W podjęciu decyzji pomogło mi trzaśnięcie drzwi na piętrze. Żeby tylko dzieci nie zeszły i nie zobaczyły, co się dzieje na dole! Rzuciłam się w kierunku drzwi akurat wtedy, gdy ponownie zaczęli się siłować.

Tomek, choć walczył z całych sił, miał znacznie mniejsze szanse na wygraną. Owszem, był wysportowany, ale jakieś dziesięć lat temu. Teraz siedzenie w pracy za biurkiem zrobiło swoje. Mięśnie brzucha pokryła tatuśkowa warstwa tłuszczu, a niegdyś pięknie uformowane bicepsy jakoś się rozlały. Krzysztof, sapiąc jak wściekły byk, powoli wypychał Tomasza za drzwi. Tylko na to czekałam. Ledwie znaleźli się na zewnątrz, natychmiast je za nimi zatrasnęłam, równocześnie zerkając z obawą na schody prowadzące na górę. Na szczęście żaden z chłopaków się tam nie pojawił. Być może gdzieś zrobił się przeciąg i dlatego tak trzasnęło.

Tymczasem z ganku słychać było głośne plaśnięcia, sterty przekleństw i stękanie.

– Zaraz szlag mnie trafi! – Wybiegłam na schodki.

Z wrażenia zasłoniłam usta dłonią. Tomek z Krzyśkiem tarzali się po pożółkłym trawniku, nie zważając na błoto, wiatr i deszcz. Gdy tylko któryś znalazł się na gorze, natychmiast sprzedawał temu na dole serię ciosów.

– Przestańcie, do diabła! – Wbiegłam na trawnik, znów próbując ich rozdzielić.

Nie było na to szans. Walczyli tak zaciekle, że nie widzieli nawet, co się dzieje dookoła. Ja za to

widziałam – i to świetnie. Tomek, skupiony na zadawaniu kolejnych razów albo bronieniu się przed uderzeniami Krzysztofa, zapomniał o pewnym drobnym fakcie – nie miał nic pod szlafrokiem. Podczas silniejszych zamachów, pomimo lejącego deszczu, bez problemu można było obejrzeć sobie jego przyrodzenie.

– Jasna cholera – jęknęłam, rozglądając się wokoło bezradnie za jakimś przedmiotem, który pomógłby mi zakończyć tę bójkę.

Nagle uniosłam głowę i spojrzałam na dom numer dziewięć. W oknie swojej sypialni stała Marzena. Świnia pokładała się ze śmiechu! Aż się, cholera jedna, trzymała za brzuch! Przyrzekłam sobie w myślach, że załukę ją przy najbliższej okazji.

– No proszę, imprezka! I to kolejna! – Przy płocie stanęła Paula.

Ubrana w niewiarogodnie obcisłą, różową kurtkę przeciwdeszczową, w cieniutkich rajstopkach, butach na kilometrowych obcasach i z czerwoną parasolką wyglądała jak gotowa do konsumpcji landrynka.

– Spadaj, jeśli chcesz przeżyć! – mruknęłam.

– Biją się o ciebie? – dopytywała, opierając się swobodnie o parkan. – Kurde, niemożliwe! Ci faceci chyba niedowidzą!

W tym samym momencie Tomkowi udało się wreszcie usiąść okrakiem na Krzyśku. Po krótkiej wymianie niezbyt celnych ciosów został jednak zepchnięty na ziemię i przygwożdżony kolanem. Wierzgając nogami, pokazał Pauli wszystko, co miał pod szlafrokiem.

– No szlag mnie zaraz trafi – powtórzyłam, widząc, że rozbawiona Paula sięga do torebki po telefon.

Nie minęłyby godzina, a cała okolica mogłaby oglądać jądra mojego męża w Internecie. To mnie rozwścieczyło. Ruszyłam w jej kierunku, zapominając o bijących się mężczyznach. Kałuże pod moimi stopami rozpryskiwały się na wszystkie strony.

– Ani mi się waż! Zabraniam ci robić zdjęcia! – ryknęłam, otwierając furtkę z taką siłą, że z łoskotem uderzyła o siatkę.

– No, no. – Pokręciła głową. – Wprawdzie Tomuś urodą na kolana nie rzuca, ale między nogami ma prawdziwego dragala. Szacun, sąsiadko!

– Zamknij jadaczkę. – Podeszłam bliżej, starając się wyrwać jej telefon z ręki. – Jazda, zbieraj swój cukierkowy tyłek i spadaj. I to już!

– Powinnaś być dumna, że jest tak dobrze wyposażony – zaśmiała się, unosząc telefon i szybko robiąc zdjęcie.

Szał, jaki ogarnął Tomka i Krzysztofa, najwyraźniej udzielił się też i mnie. Nigdy wcześniej w moim długim życiu nie zdarzyło mi się zareagować tak błyskawicznie. W mgnieniu oka wyrwałam jej aparat z rąk, rzuciłam na chodnik i docisnęłam do ziemi mokrym bamboszem w kropki. Przerazona Paula pochyliła się i podniosła aparat. Zerknęłam szybko w okna Kosowskich, bo potrzebowałam jakiegoś wsparcia, ale Marzena zniknęła. Pewnie właśnie turlała się ze śmiechu na swoim łóżku. Jak ją dorwę, to na pewno oskalpuję za ten zupełny brak wsparcia.

– Zniszczyłaś mój nowiutki telefon. – Paula już się nie śmiała. – Zapłacisz mi za to!

– Mówiłam, żebyś nie robiła zdjęć! – syknęłam, wygrażając jej zaciśniętą pięścią. – Ostrzegałam!

Tym razem ponaddzwiękową wręcz szybkością wykazała się Paula. Nawet nie zauważyłam, kiedy oberwałam w policzek. Poczułam tylko ostre pieczenie na twarzy. Tego było już za wiele. Z głośnym rykiem rzuciłam się na nią, łapiąc za te wymuskane kudły i szarpiąc z całej siły. Paula porzuciła rozłożoną parasolkę, która pchana wiatrem, potoczyła się w stronę domu Staszki Puchaczowej. Nie pozostawała mi dłużna. Wpiła się paznokciami w moje włosy i też zaczęła szarpać na wszystkie strony.

Tak więc tarnosiłam się z nią na chodniku przy płocie, podczas gdy Tomek z Krzyśkiem, tarzając się w ogródku, niszczyli resztki zieleni, zamieniając trawnik w błotną miazgę. Nikt z nas nie spostrzegł, że

z domu naprzeciwko z impetem wypadła Marzena.

– Czy was wszystkich całkiem, totalnie porąbało? – krzyknęła, lecz żadne z nas nie zareagowało.

Minęła mnie i Paulę dziarskim krokiem, po czym wpadła do ogrodu.

– Mam paralizator i nie zawaham się go użyć! – wrzasnęła, wyciągając przed siebie coś podobnego do latarki. – Który idiota pierwszy?! Popieszczę was tak, że już nigdy nic wam nie stanie!

Jej ton był tak stanowczy, że groźba podziałała natychmiast. Jak na komendę Tomek i Krzysztof przestali się okładać, patrząc z respektem na trzymane przez nią urządzenie.

– Baby się leją! – Wskazała brodą mnie i Paulę, wciąż trzymając paralizator w pogotowiu. –

Rozdzielcie je. Ale już, jełopy jedne!

Oni jednak nie byli w stanie się podnieść. Mokrzy, zziębnięci i nieziemsko umorusani padli na ziemię, dysząc głośno.

– Słyszycie mnie?!

– Nie dam rady – jęknął Krzysztof, unosząc ręce. – Ten kozi bobek mnie wykończył.

To wyzwisko wywołało w Tomku nową falę energii. Poderwał się z ziemi i znowu rzucił na swojego przeciwnika. Jednak tym razem ten był przygotowany. Znokautował go jednym mocnym ciosem. Tomek padł na ziemię i znieruchomiał.

– Iwona! – krzyknęła Marzena, biegnąc w stronę mojego męża.

W jej głosie nie było już złości, lecz czysty strach. Natychmiast puściłam farbowane pukle Pauli i pobiegłam do ogródka. Tomek leżał z rozłożonymi rękami i zaciśniętymi oczami. Na jego prawym policzku szybko kwitło krwawe limo. Marzena lekkim klepaniem po twarzy starała się go ocucić. Paralizator porzuciła na zdeptanym trawniku.

– Coś ty mu zrobił! – krzyknęłam do Krzysztofa. – Kompletnie ci odbiło!?

Ten podniósł się z ziemi i podszedł bliżej. Zaczął mówić, że to nie on zaczął, ale ja go już nie słuchałam. Miałam gdzieś, po czyjej stronie leży wina. Złapałam paralizator i nawet nie myśląc, co robię, wdusiłam czerwony guzik, przyciskając urządzenie do jego uda. Krzysztofem podrzuciło jak szmacianą laleczką. Padł na ziemię i zaczął się tarzać niczym człowiek z ostrym napadem epilepsji. Nie interesowało mnie to. Uklękłam przy Tomku i wraz z Marzeną próbowałyśmy go jakoś przywrócić do świata żywych. Tymczasem Paula podbiegła do Krzysztofa, siadła na nim okrakiem i chyba też próbowała go ocucić.

– Tomek. – Prawie płakałam, klepiąc męża po policzkach. – Otwórz oczy! Błagam!

– Nic mi nie jest – wydukał wreszcie, patrząc na mnie przez spuchnięte powieki. – Chcę do domu.

Pomogłyśmy mu wstać i razem z Marzeną zataszczyłyśmy go do domu, zostawiając Krzyśka w ramionach Pauli.

– Iwona, pomóż – krzyczał za mną, kiedy z głośnym hukiem zatrzęsnęłam drzwiami domu.

Mojego i Tomka.

Męskie lizanie ran

Tego dnia Tomek oczywiście nie dotarł do pracy. Leżał i cierpiał na sofie w salonie niczym ciężko ranny żołnierz, chociaż na dobrą sprawę prócz kilku siniaków, zadrapań i obitego nosa nic mu się nie stało. Za to dla mnie ten dzień okazał się niezwykle pracowity. Najpierw odwiozłam chłopców do szkoły, potem zrobiłam szybkie zakupy. W międzyczasie ściągnęłam do nas znajomego lekarza, który obejrzał rany mojego męża, sprawdził, czy nie ma wstrząśnienia mózgu, po czym kręcąc co chwila głową nad głupotą swojego pacjenta, wypisał mu kilka leków przeciwbólowych oraz zalecił okłady na zapuchnięty nos.

– Bardzo dziękuję, że znalazł pan czas, by przyjechać – powiedziała lekarzowi, odprowadzając go do samochodu.

– Nie spodziewałam się, że pan Tomasz jest taki skory do bitki – odparł, otwierając drzwi auta i odkładając na siedzenie swoją lekarską teczkę. – Wydawał mi się takim zrównoważonym człowiekiem.

– Prawdę mówiąc, mnie też. – Wzruszyłam ramionami. – Na szczęście obyło się bez większych obrażeń. Bałam się, że będzie gorzej. Jego przeciwnik był znacznie silniejszy i lepiej wysportowany.

– Dlatego pewnie pani mąż bardziej oberwał – zauważył.

– Tamtego potraktowałam paralizatorem.

Lekarz wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– Wiem, nie jestem z tego dumna – dodałam, widząc dezaprobatę w jego oczach – ale bez tego załkliby się na amen.

– Tak to już z ludźmi jest – westchnął. – Zazdrość potrafi doprowadzić człowieka poza granice jego własnej wytrzymałości psychicznej.

– Skąd pan wie, że przyczyną bójki była zazdrość? – Uniosłam brwi.

Nie przypominałam sobie, abym wspominała mu o przyczynie całego zamieszania. Tomek wcale nie mówił, tylko jęczał, bo rozcięta warga spuchła mu do rozmiarów podeszwy buta i piekła przy każdym ruchu szczęki, więc ta informacja również nie wyszła od niego.

– To widać, droga pani. – Uśmiechnął się lekarz tajemniczo.

– Widać? – powtórzyłam zdziwiona.

– Owszem. – Otworzył drzwi po stronie kierowcy. W kieszeni leżącej w samochodzie kurtki od dłuższej chwili dzwonił telefon. – Muszę jechać. Jestem już spóźniony do następnego pacjenta. Podejrzewa, że ma ospę.

– Nie zazdroszczę.

– Ja też nie, jeśli to prawda. Dla siedemdziesięciolatków ospa jest trudnym doświadczeniem.

– Jeszcze raz dziękuję za to, że znalazł pan czas, aby zbadać Tomasza. Jestem bardzo wdzięczna.

Skinął głową i wsiadł do samochodu. Kiedy odjeżdżał, zobaczyłam pędzącą przez chodnik Kasię.

– Zaczekaj! – Machała do mnie ręką. – Jak się czuje Tomek?

– Kiepsko. Jak zbity pies – przyznałam. – Właśnie był u nas lekarz, żeby sprawdzić, czy ta bijatyka nie skończyła się czymś poważniejszym.

– Ale wszystko jest wszystko w porządku? – chciała się upewnić.

– Owszem. Nie licząc gigantycznego lima, kilku siniaków i zadrapań...

– Ważne, że ten detektyw nie zrobił mu większej krzywdy. Facet jest większy i silniejszy od Tomka.

– Miał szczęście i tyle. – Wzruszyłam ramionami.

– Słyszałam też, że ten głupi paralizator Marzeny wreszcie na coś się przydał.

– To nim znokautowałam Krzysztofa. Swoją drogą ciekawe, co się z nim teraz dzieje.

– Paula go pociesza – powiedziała ze śmiechem Kasia. – Zataszczyła go do domu i też ściągnęła lekarza. Jakiegoś zaprzyjaźnionego.

– A ty skąd wiesz to wszystko?

– Jak to skąd? Od Helki. Już była u Pauli, żeby wszystkiego się dowiedzieć. Na szczęście twojemu eks nic się nie stało. Nie licząc sporej ujemy na honorze. Wiesz, że baba go załatwiła. I to jego była.

– Mam to gdzieś – mruknęłam. – Oby tylko mnie nie podał do sądu.

Kasia cmoknęła, nie kryjąc uciechy.

– No, moja droga, powiem ci, że niezła cicha woda z ciebie.

Zmarszczyłam brwi.

– Co masz na myśli?

– Ano to, że w ciągu zaledwie doby masz na koncie kilka wykroczeń. Po pierwsze pobiłaś człowieka, policjanta! Zaatakowałaś go szklanką pełną alkoholu, przy czym sama byłaś, powiedzmy, lekko podpiita, to po drugie. – Zaczęła wyliczać na palcach. – Po trzecie zaatakowałaś świadka bójki Tomka z Krzyśkiem, czyli Paulę. Po czwarte nie wezwałaś policji wiedząc, że funkcjonariusz jest w opałach. No i wreszcie przestępstwo główne... Potraktowałaś policjanta prądem. I to na dodatek tego samego, którego pobiłaś szklanką kilka godzin wcześniej, a który wybaczył ci ten karygodny wyskok.

Słyszając tę bolesną dla mnie wyliczankę, skrupulatnie przygotowaną przez moją przyjaciółkę, aż się przygarbiłam.

– Jestem w drodze na szafot – jęknęłam, uświadamiając sobie ciężar tych przewin.

– No bez przesady. – Kasia pogłaskała mnie po rękawie. – Ale jak uweźmie się na ciebie jakiś dupek-prokurator, to będziesz miała przerąbane. Jeszcze mogą ci zarzucić, że na przykład za łapówkę załatwiłaś mężowi zwolnienie lekarskie. W końcu nie ucierpiał fizycznie na tyle, by nie był w stanie siedzieć za biurkiem, prawda? Sama tak powiedziałaś.

– Tomek nie potrzebuje zwolnienia lekarskiego. Przecież biuro projektowe jest jego prywatną firmą – zauważyłam.

– No to przynajmniej jeden zarzut mniej.

– Dzięki, że mnie dobiłaś. Jak będę chciała popełnić samobójstwo, to zgłoszę się do ciebie. W kilku zgrabnych zdaniach podsumujesz mi, dlaczego nie warto żyć.

Kasia pokiwała smętnie głową.

– To jest chyba ciąg geometryczny – powiedziała po chwili zastanowienia.

– Jaki ciąg? – Uniosłam głowę. – O czym ty mówisz?

– Twoje przestępstwa są coraz częstsze i bardziej agresywne – tłumaczyła, pocierając z namysłem czoło. – Jak tak dalej pójdzie, to za kilka dni będziesz zdolna do morderstwa. I to nie kury, chomika czy żaby...

– Tobie kompletnie odwaliło – zezłościłam się. – Jak będziesz gadać takie głupoty, to owszem, kogoś uduśzę. Ciebie.

Zamiast się przestraszyć, potraktowała moje słowa jak żart. Nie zrobiły na niej żadnego wrażenia.

– Myślę, że powinnaś przeprosić tego swojego eks.

Wzięłam głęboki wdech, żeby na nią nie nawrzeszczyć, mimo że miała rację. Przeproszenie Krzyśka było jedynym wyjściem. Tylko tak mogłam go udobruchać. Może mi wybaczy i nie zaciągnie nas do sądu.

– Idziemy. – Złapałam ją nagle za rękę i mocno pociągnęłam za sobą.

– Dokąd? – zaparła się.

– Do Pauli – powiedziałam zdecydowanym tonem. – Będiesz świadkiem moich przeprosin.

– Dlaczego akurat ja? – zaoponowała, trzymając się żelaznego pręta ogrodzenia.

– Bo widok Marzeny może go tylko rozwścieczyć. W końcu to do niej należał paralizator. A ty jesteś... jesteś neutralna.

– To prawda – zreflektowała się – ale ja nie chce iść do Pauli.

– Ja też nie. – Wreszcie udało mi się zmusić ją do zrobienia dwóch kroków w przód. – Ale jak mus to mus. Trzeba do niego pójść, bo jeszcze gotów ciągać po sądach i ciebie.

– Ale dlaczego mnie? – przestraszyła się. – Ja przecież z tym całym zajściem nie miałam nic wspólnego.

– Ale będą cię wzywać na świadka, żeby wypytywać o mój charakter, o Marzenę, o to, do czego jesteśmy zdolni. Przemaglują cię na wszystkie strony. I kto wie, może nawet i twoje dzieciaki będą gnębić.

– Niemożliwe. – Pokręciła głową, ale przynajmniej puściła ogrodzenie.

Dzięki temu wywalczyłam kolejnych kilka kroków.

– Boję się, że Paula go przekabaci na swoją stronę – wyznałam. – Jak ta idiotka nawkłada mu do głowy jakiś głupot...

– Ale jakich?

– Na przykład może go namówić, żeby zeznał na policji, że równocześnie ja zaatakowałam ją, a Tomek jego.

– Ale przecież tak nie było!

– A widziałaś, że było inaczej?

Kasia znów przystanęła.

– No nie... – przyznała. – Ale wiem to od Marzeny. Ona stała w oknie i wszystko widziała.

– Lepiej chodźmy. – Znów zaczęłam ją ciągnąć. – Jak Tomek się dowie, że idę przeproszać, to mnie udusi. Boję się, że mi w ogóle nie otworzy drzwi.

– Kto, Tomek? – Nie nadążała za moim tokiem myślenia.

Prychnęłam niezadowolona. Kochana Kasia jest wspaniałą kobietą, ale w tym momencie zastanawiałam się, czy naprawdę jest tak mało kumata, czy po prostu się zgrywa, żeby mnie jeszcze bardziej zdenerwować.

– Nie Tomek, tylko Paula. Myślę, że będzie lepiej, jeśli ty zadzwonisz do bramy. Ja schowam się za tym drzewem. Kiedy Paula wyjdzie przed dom, nie będzie takiej siły, żeby mnie nie wpuściła do środka.

– Nie podoba mi się to wszystko. – Pokręciła głową.

Tym razem los był jednak dla mnie łaskawy. Zanim dotarliśmy do domu Pauli, zobaczyliśmy, jak wyjeżdża z garażu. Przykucnęliśmy więc za pniami brzoź, czekając, aż skręci w inną ulicę.

– Nie było go w aucie – zauważyła Kasia. – To wręcz zrządzenie losu.

– Nie wierzę w los – szepnęłam. – Pewnie pojechała do sklepu albo do apteki po lekarstwa dla niego.

– Sprawdź, czy Krzysiek jest w środku. Masz teraz jedyną szansę na pogadanie z nim bez paplania i kąśliwych uwag Nowackiej.

– Ale idziesz ze mną! – zastrzegłam.

– Nie ma mowy. – Obiema rękami mocno złapała pień brzozy, jakby w naszą stronę zbliżało się tornado. – Zostanę tutaj i będę cię wspierać. Duchowo.

– Co mi przyjdzie z twojego duchowego wsparcia? Rusz się, idziemy.

– Nie i koniec! Przyrzekam, że będę tutaj na ciebie czekać, choćby nie wiem co!

– Ale jesteś uparta! – warknęłam.

– Przykro mi.

Zacisnęłam ręce w pięści i ruszyłam w stronę domu Pauli. Szłam z takim rozmachem, że stojąca na chodniku woda bryzgała we wszystkie strony.

– Tylko znowu mu nie przywal na wejściu – krzyknęła za mną Kasia, wysuwając odważnie głowę zza drzewa – bo wtedy nawet najlepszy adwokat cię z tego nie wyciągnie!

– Szlag mnie zaraz trafi – powiedziałam na głos już nie wiem który raz tego dnia, podchodząc do domu numer dwa.

Zdecydowanym krokiem wbiegłam po schodach i nacisnęłam dzwonek. Dzwoniłam natarczywie co najmniej kilka razy. W końcu przez szybę znajdującą się wokoło drzwi zobaczyłam zmizerowaną twarz Krzyśka. Bez słowa uniosłam ręce. W końcu przychodziłam z pokojową wizytą.

– A więc przyszedłś – powiedział na powitanie, gdy otworzył drzwi.

Miał na sobie bokserki i jakąś przylegającą do ciała koszulkę. Na udzie, w miejscu, gdzie potraktowałam go prądem, widniał jasnoczerwony ślad. Zrobiło mi się niesamowicie głupio.

– A więc przyszedłś – odparłam, kiwając głową. – Muszę z tobą porozmawiać.

– No to dawaj – westchnął, zapraszając mnie gestem do środka.

– Wolę tutaj. Paula zapewne wróci lada moment.

– Pojechała na lotnisko odebrać jakąś ciotkę. Nie wróci wcześniej niż za dwie godziny, a ja stoję półnagi na chłodzie, bo reszta moich ciuchów jest w suszarce. Więc racz łaskawie wejść do środka, jeśli do obrażeń, jakie mi zafundowałaś, nie chcesz dodać jeszcze zapalenia płuc. – Wskazał ręką wewnątrz domu.

Weszłam. Stałam w korytarzu, nie bardzo wiedząc, co dalej.

– Gdy tylko ubrania wyschną, zamierzam stąd wiać – dodał, zamykając drzwi. – Paula jest...

– Wredna? – To było pierwsze określenie, jakie przyszło mi do głowy.

– Zbyt... natarczywa. Ogólnie. – Wzruszył ramionami. – Wiesz dobrze, że gustuję w innych kobietach i jestem stały w uczuciach. Nie kręczę cię w różowych, elastycznych minispódniczkach z futerkiem.

Czekałam bez słowa na rozwój zdarzeń, stojąc w ciepłym, ale jak na mój gust za bardzo cukierkowatym wnętrzu domu Pauli Nowackiej. Pomyślałam, że właścicielka tej posesji byłaby co najmniej niezadowolona z mojej wizyty na jej prywatnym terytorium.

– Zaraz będę mógł założyć własne ciuchy – mruknął Krzysiek, patrząc na zegarek. – Ta koszulka jakoś gryzie. Nie jest w moim stylu, o ile pamiętasz...

Jednym zwinnym ruchem zdjął przyciasny podkoszulek, ukazując muskularną klatę. Odwracając wzrok, przełknęłam ślinę i głośno wypuściłam powietrze z płuc. Wolałabym paść trupem niż przyznać, że jego ciało wciąż mnie pociąga. Odchrząknęłam, zastanawiając się, jak zacząć TĘ rozmowę. Chciałam jak najszybciej mieć ją za sobą i wrócić do mojego nieszczęsnego Tomusia, liżącego rany w naszym domowym zaciszu.

– Chcę cię przeprosić – powiedziałam cicho, wbijając wzrok w jakiś obrzydliwy wazon, który przypominał nadmuchany beret z antenką.

– Przeszedłem do was pokojowo nastawiony – zaczął mówić, zbliżając się do mnie. – Domyśliłem się, że w tym ciemnym przebraniu nie poznałaś mnie i wzięłaś za jakiegoś zboczeńca. Chwilę później jednak dostałem, że tak powiem, w papę...

– Strasznie mi głupio – przerwałam, czując, jak mocno się czerwienię. – Nie pomyślałam, że to ty idziesz za dziećmi.

– To mi się zawsze w tobie podobało. – Podeszedł jeszcze bliżej.

– To znaczy co? – Z ogromnym wysiłkiem przeniosłam wzrok na jego twarz.

Splotłam ręce z tyłu i wbiłam w nie mocno paznokcie w nadziei, że ból przywróci mi trzeźwe myślenie.

Zaciskając usta, spojrzałam na mężczyznę, którego kiedyś rzuciłam z powodu własnej głupoty. Wpatrywał się we mnie uważnie, więc szybko spuściłam wzrok. Patrząc w dół, od razu zauważyłam jego gołą klatkę piersiową i... wybrzuszenie w obcisłych bokserkach. Zażenowana odwróciłam głowę w bok i zatrzymałam spojrzenie na liniach obrzydliwego wazonu. Jestem nieprawdopodobnie szczęśliwą mężatką. Mam niesamowitego męża i świetne dzieciaki. Dom z ogrodem i miłości aż po pachy. Każda kobieta na moim miejscu kwiczałaby z radości jak tarzająca się w błocie świnka – wyliczałam w myślach, próbując jednocześnie wydukać kolejne zdanie. Musiałam tylko powiedzieć, co miałam do powiedzenia, i wyjść! Mieć to za sobą i koniec!

– Zawsze byłaś niesamowicie oddana rodzinie, najbliższym – kontynuował niskim, gardłowym głosem.
– Podziwiałem w tobie to, że mogłabyś zrobić dla nich absolutnie wszystko. Nawet pobić gliniarza. – Ostatnie zdanie wypowiedział z rozbawioną miną.

– Tak więc rozumiesz moje zachowanie – skwitowałam. – Mam nadzieję, że mi wybaczyłeś i że zamkniemy tę sprawę. Na zawsze.

Zrobił kolejne dwa kroki w moim kierunku. Z tej odległości czułam zapach jego ciała zmieszanego z dobrą, męską wodą toaletową.

– Jak już wspominałem, nie mam żadnych pretensji o twój wczorajszy atak na moją osobę...
– Dzięki Bogu – westchnęłam. Odwróciłam się od niego i ruszyłam w stronę drzwi wyjściowych. – A ja zawsze doceniałam w tobie poczucie sprawiedliwości i zrozumienie dla innych. Porządny z ciebie człowiek.

– ...lecz zachowanie twojego męża było karygodne – dokończył Krzysztof.

Zamarłam, ściskając gałkę u drzwi. Więc będzie wojna? Wolno odwróciłam głowę w jego stronę. Stał kilka kroków za mną i z uwagą obserwował, jak zareaguję na jego słowa.

– Tomek po prostu bronił swego – wycedziłam przez zaciśnięte zęby. – Ty na jego miejscu zrobiłbyś dokładnie to samo, bo wiem, że jesteś człowiekiem honoru.

Krzysztof podszedł bliżej i jednym sprawnym ruchem złapał mnie za nadgarstek. To straszne, lecz mocny uścisk jego ręki zamiast mnie zastraszyć, zadziałał podniecająco.

– Jeżeli chodzi o ciebie, to prawda. – Zbliżył się tak, że prawie dotykaliśmy się nosami. – Zatłukłbym każdego, kto tylko by się do ciebie zbliżył.

– Muszę iść – powiedziałam, przekręcając gałkę w drzwiach zdecydowanym ruchem. – Wychodzę. Natychmiast. Mam masę spraw do załatwienia... Cieszę się, że udało nam się omówić ten temat.

– Opuść twojemu mężowi, bo widzę, że naprawdę ci na nim zależy – powiedział, kładąc dłoń na mojej ściskającej okrągłą klamkę.

– Cieszę się, że to zrozumiałeś...

– Ale mam do ciebie prośbę. Ostatnią.

Wolno odwróciłam się od drzwi. Puściłam klamkę, bo nie chciałam, żeby dłużej mnie trzymał.

– Jaką? – zapytałam ostrożnie.

– Pocałuj mnie – powiedział namiętnie. – Na pożegnanie. Ostatni raz.

– Zwariowałaś? – Natychmiast otrzeźwiałam. – Ja już mam kogo całować i to nie jesteś ty.

– Pocałuj mnie tak, jak naprawdę tego chcesz – powtórzył, napierając na mnie całym ciałem.

Oparłam się o drzwi tak mocno, że na plecach poczułam czworokątne nierówności wyrzeźbione w drewnie.

– Krzysiek, uwierz mi... – zaczęłam, lecz on złapał mnie w pasie i przycisnął do siebie.

Wzięłam głęboki wdech. Miałam wrażenie, że zaraz się uduszę.

– Pocałuj mnie – szepnął, chwytając łąpczywie ustami moje włosy. – Tylko ten jeden raz, a o wszystkim zapomnę. Przrzekam.

Jego parzący oddech podniecał mnie tak, że przez ułamek sekundy miałam ochotę rzucić go na fotel albo na stół.

– To się nazywa szantaż – szepnęłam, próbując odepchnąć go od siebie.

– Nie, jeśli dwie osoby pragną tego samego.

– Skąd wiesz, czego ja pragnę?

Jego ręka badała każdy odcinek mojego ciała. Drugą niby od niechcenia oparł na drzwiach tuż przy mojej głowie. Czułam się jak złapana w pułapkę ofiara z tą różnicą, że ofiary zazwyczaj są przerażone. A ja? Byłam podniecona!

– Byliśmy razem przez trzy lata, dwa miesiące i piętnaście dni – szepnął mi do ucha. – Doskonale wiem, jak można doprowadzić cię do stanu, kiedy krzyczysz z rozkoszy.

Nie kłamał. Tylko on potrafił sprawić, że z ekstazy dosłownie piałam. Owszem, Tomek starał się jak mógł, ale nigdy nie miałam z nim tak intensywnego orgazmu jak z Krzysztofem. Gdyby można było połączyć tych dwóch facetów w jedno, zyskałabym mężczyznę doskonałego! Istne wcielenie marzeń wszystkich kobiet.

– Wychodzę! – oświadczyłam, starając się namacać klamkę.

Niestety napotkałam jego wszędobylską dłoń, która od razu zacisnęła się wokół moich palców. Pochylał się coraz bardziej. Jego nos prawie stykał się z moim. Czułam każdy jego oddech. Nasze połączone dłonie wędrowały najpierw po moich plecach, potem po brzuchu, wreszcie trafiły na wypukłość kości łonowej. Krzysztof uniósł lekko głowę i wdychał zapach moich włosów. W przelocie delikatnie ucałował mnie w skroń, potem w czoło, brwi... Moje usta same się rozchyliły, pragnąc rozpaczliwie gorącego pocałunku. Kiedy wreszcie wpił się we mnie, aż jęknęłam. Jego język penetrował moje usta, łaskocząc dziąsła i podniebienie. Ależ tego pragnęłam! Ależ za tym tęskniłam!!! Tyle lat!!! Sen wreszcie się ziścił. Miałam swojego najlepszego kochanka podanego na tacy.

I w momencie, kiedy jego dłonie powędrowały w okolice moich piersi, zdarzyło się coś absolutnie niespodziewanego. Moja wyobraźnia podsunęła mi nie Krzysztofa, nie jakiegoś seksownego aktora czy innego faceta z kaloryferem na brzuchu i bicepsami Schwarzeneggera. W szale podniecenia pomyślałam o miękkich włosach Tomka, o łagodnym zapachu jego skóry i delikatnych dłoniach ściskających moje piersi, kiedy kocha się ze mną z cichym westchnieniem. Pomyślałam o czułych słowach, które mi szepcze, gdy myśli, że śpię. O tym, jak delikatnie głaszcze mnie po włosach w środku nocy. O tym, jak bardzo bezpiecznie czuję się w jego obecności.

Odepchnęłam Krzysztofa z taką siłą, że musiał się złapać ściany, by utrzymać równowagę.

– Co się stało? – zapytał nieprzytomnym głosem.

– Pocałowałam cię? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie, jednym szybkim ruchem łapiąc go za jądra. – Pocałowałam?

– O! Tak! – przytaknął szybko.

Tak się składało, że ja też go znałam i to doskonale. Gdy mocno ściskało się jego jądra, był gotów podpisać wszystko, nawet własny akt zgonu.

– Więc załatwione. Dostałeś to, czego chciałeś – powiedziałam, otrząsając się z miłosnego uniesienia.

– Wracam do domu. Do faceta, który kocha nie tylko mój tyłek, ale i mnie. Całą! Do diabła!

– Jak to? – wybełkotał.

– A tak!

Otworzyłam z rozmachem drzwi. Na progu stała Kasia. Właśnie zamierzała nacisnąć dzwonek. Widocznie zaniepokoiła się, że ta rozmowa tak długo trwa i zamierzała wkroczyć do akcji.

– Kasiu, słyszałaś deklarację pana Krzysztofa? O tym, że nie pozwie mnie i Tomka?
Oczywiście nie miała szans tego usłyszeć, ale jako moja przyjaciółka żarliwie przytaknęła.

– Dasz mi wreszcie spokój? – zwróciłam się do Krzyśka.

– Wiem wszystko – wycedziła Kasia, starając się zrobić groźną minę.

W odpowiedzi jedynie skinął głową. Rękami zasłaniał wybrzuszone gatki. Zrobiło mi się go żal, ale trudno – rodzina na pierwszym miejscu! Gdzieś w głębi domu coś zapiszczało głośno.

– To chyba twoje ciuchy wyschły – powiedziałam, schodząc po schodach. – Jeśli naprawdę nie chcesz zostać zakładnikiem Pauli, to radzę wziąć ubrania i zmykać.

Krzysztof z trzaskiem zamknął drzwi. Zaciskając wargi, wybiegłam na chodnik, ciągnąc za sobą nieszczęsną Kasię. Zwolniłam dopiero za zakrętem, gdzie z okien domu Pauli nikt nie mógł nas zobaczyć. Gdy doszłam do ogrodzenia mojej działki, z wielką ulgą oparłam się o metalowe pręty. Nagle trzymane dotąd na wodzy nerwy niespodziewanie puściły. Najpierw zaczęłam się śmiać. Cicho, potem coraz głośniej. Po chwili ten śmiech przeszedł w płacz.

Kaśka stała przy mnie, nie bardzo wiedząc, co począć. Nieudolnie głaskała mnie po ramieniu, mówiąc coś pod nosem. Z jej niewyraźnego słowotoku wyłapałam tylko kilka pojedynczych słów: odważna, nie dałaś się, żona i matka, oddana, najlepsza... A ja, co tu kryć, czułam się fatalnie...

Rocznica

W połowie listopada wypadła siedemnasta rocznica naszej pierwszej randki. Zawsze tego dnia wybieraliśmy się z Tomkiem tylko we dwoje do restauracji albo do teatru, jeśli w repertuarze było coś ciekawego. Zazwyczaj ten wieczór planował Tomek, ponieważ w końcu to on zdobył się wreszcie na odwagę i zaprosił mnie na tę pierwszą randkę, która była oczywiście niezapomniana.

Równo siedemnaście lat wcześniej wiał silny wiatr, było sześć stopni na minusie i zaczynał posypywać pierwszy śnieg. Tomek czekał na mnie pod blokiem, w którym mieszkałam wtedy wraz z rodzicami. W rękach ścisnął umęczoną różę, a w kieszeni miał schowaną tabliczkę czekolady, o czym miałam się później dowiedzieć. Wybraliśmy się do kina na jakiś głupi film, z którego nic nie zapamiętałam, ponieważ podczas seansu byłam skupiona na innych sprawach. Po pierwsze podziwiałam jego szlachetny profil i delikatne rysy twarzy, pomijając nieco zbyt wydatny nos. Po drugie doświadczałam nieznanymi mi dotąd pieszczot – Tomek niezgrabnymi ruchami łapał kosmyki moich włosów i delikatnie je całował.

Prawdę mówiąc, wolałam wówczas, żeby brał się za całowanie mnie samej, ale cóż, widać było, że zupełnie nie jest obeznany z tematem i potrzebuje trochę czasu na oswojenie się z kobiecością od strony praktycznej. W dodatku, żeby prezentować się podczas randki jak najlepiej, poświęciłam się i spałam w papilotach. Miałam od tego obolałą skórę głowy, a Tomek, składając na moich puklach pocałunki, lekko ciągnął mnie za włosy. Byłam więc szczęśliwa, gdy na ekranie pojawiły się napisy końcowe.

Potem jednak nastąpiła katastrofa, którą do dziś pomijamy, wspominając wspólnie ten dzień. Tomek wyciągnął z kieszeni tabliczkę czekolady, która po dwóch godzinach wygrzewania się w kieszeni spodni przybrała kształt jego ciała. Podał mi ją, mówiąc roztrzęsionym głosem, że „chyba się troszeczkę odkształciła”. Wzięłam od niego tę czekoladę z wymuszonym uśmiechem, bo co innego mogłam zrobić? Biedak nawet nie zauważył, że podczas krótkiego spaceru w kierunku domu wyrzuciłam to fondue do mijanego kosza...

Na szczęście później było już tylko lepiej. Chyba oboje podświadomie uznaliśmy, że najgorsze już za nami. Tak więc tego dnia po cichu każde z nas czciło coś innego. Tomek to, że pierwszy raz udało mu się niezdarnie pocałować dziewczynę, ja zaś fakt, że dorwałam idealny materiał na męża.

Tomek podczas naszych rocznic zawsze starał się udowodnić, że jest prawdziwym samcem alfa, próbując w ten sposób zrekompensować sobie i mnie fiasko pierwszej randki. Z rozkoszą więc dawałam się ponosić jego fantazjom i zgadzałam na wszystko, co miał tego dnia do zaoferowania, przy czym moim zadaniem było tylko załatwienie opiekunki do dzieci.

Tego roku nasza rocznica wypadła w piątek. Kasia akurat nie miała żadnych planów na ten wieczór (nie licząc mycia jakiegoś okna w łazience) i wspaniałomyślnie zgodziła się zająć chłopcami.

– Zaplanowałam coś naprawdę ekstra – powiedział Tomek podekscytowanym głosem, kiedy jedliśmy śniadanie.

– To jak mam się ubrać? – zapytałam. – Elegancko czy na luzaka?

Rok temu podczas planowania naszej rocznicy nie dopytałam Tomka, co powinnam na siebie włożyć. Skończyło się tym, że wciśnięta w elegancką, koktajlową sukienkę, pożyczoną od przyjaciółki,

wylądowałam w amerykańskim barze serwującym hamburgery i nie wiedzieć czemu – meksykańskie nachos. Jedzenie było przednie, muzyka country na żywo cudowna, ale strój zupełnie niedopasowany do sytuacji. Źle się czułam w tej sukni wśród innych gości ubranych głównie w dżins.

– Bez szalu – powiedział, goląc policzki. – Najlepiej załóż te czarne, obcisłe spodnie plus czerwoną bluzkę. No i jakieś dodatki. Koraliki, kolczyki i inne babskie duperele.

– Dobra... – Poczłapałam do garderoby połączonej z naszą sypialnią.

Raczej więc nie będzie eleganckiej kolacji. I pewnie teatru też nie. Szkoda...

Szukając na wieszaku odpowiedniej bluzeczki, zastanowiłam się nad tym, co też mnie czeka w najbliższych godzinach. Kiedy upinałam włosy, Tomek wszedł do pokoju, otworzył szafę i zanurkował w jej przepastnym wnętrzu.

– Nie wiesz, gdzie są nasze zimowe kurtki? Te, które kupiliśmy przed wyjazdem w góry dwa lata temu.

– A po co ci one? – zapytałam, wychylając się z łazienki. – Przecież nie jest aż tak zimno.

– Przydadzą się. O, już mam! Twoją też zapakuję.

Wyciągnął wieszaki z kurtkami i położył na łóżku. Nie zwracał uwagi na moje pytające (i niezbyt zadowolone) spojrzenie.

– Musimy je zabrać. Szaliki i czapki już znalazłem. Zaraz wszystko zaniosę do auta. Szkoda, że nie mamy spodni narciarskich. Wiesz, takich ciepłych na szelkach. Takich, jakie zakładają nasze dzieci, kiedy idą zjeżdżać na sankach.

– Chryste Panie, co my będziemy robić? – Nie wytrzymałam. – Wybieramy się na biegun polarny oglądać niedźwiedzie?

Ta sprawa wydawała mi się coraz bardziej podejrzana i przestawała mi się podobać. Obiecaliśmy Kasi, że odbierzemy dzieci przed dwudziestą trzecią, a tymczasem on przygotowywał górę zimowych ciuchów, jakbyśmy mieli lecieć do skutej lodem krainy Eskimosów! Nie lubiłam zimna i Tomek doskonale o tym wiedział. Niespodzianki typu nocleg w igloo, kąpiel w zamrożonym przeręblu albo bieganie na golasa w komorze kriogenicznej absolutnie nie wchodziły w grę.

– Możesz mi wreszcie powiedzieć, skarbie, co będziemy dzisiaj robić? – zapytałam, gdy tylko wyjechaliśmy z naszego osiedla.

– Cierpliwości – mruknął, wciskając pedał gazu. – O nic nie pytaj. Wszystkim się zająłem. To będzie niespodzianka stulecia.

Auto posłusznie przyspieszyło i wkrótce znaleźliśmy się na autostradzie.

– A więc jedziemy do stolicy – zagadnęłam, sprawdzając ukosem jego reakcję.

– Owszem – przytaknął.

– I jedziemy do centrum... – ciągnęłam go dalej za język.

– Mniej więcej – mruknął.

– A potem wysiadziemy z auta i pójdziemy „gdzieś”, tak? Mam rację?

– Jak zawsze, skarbie – odparł miłym tonem. – Chyba że wolisz spędzić wieczór w samochodzie. Jeśli tak, nie ma sprawy. Tutaj też możemy się zabawić.

Najpierw spojrzałam za okno, gdzie zimny wiatr poczynał sobie coraz śmieiej, później na tylne siedzenie zasłane naszymi puchowymi kurtkami. Opcja pozostania w ciepłym wnętrzu samochodu zaczynała się robić coraz bardziej kusząca.

Przez resztę drogi nie wyciągnęłam z Tomka niczego więcej. Na każde kolejne pytanie odpowiadał jedynie uśmiechem. Gdy wjeżdżaliśmy do Warszawy, byłam już trochę zła, gdy zaś minęliśmy centrum, miałam ochotę na niego nawrzeszczeć. Co on do cholery wymyślił?

Przejechaliśmy przez most i zatrzymaliśmy się na jakimś ciemnym parkingu pod Stadionem Narodowym.

– Wspaniały jest, prawda? – powiedział Tomek, wskazując palcem oświetlony pas stadionu.

– Tak, to prawda – przytaknęłam. – Zostajemy tutaj?

– Auto zostaje. My idziemy.

– Dokąd?

– Na stadion – powiedział, otwierając tylne drzwi. – Wyjmij kurtki, a ja wezmę z bagażnika torbę.

Zamurowało mnie. Nigdy nie byłam fanką piłki nożnej i o tym także Tomasz doskonale wiedział.

Dlaczego więc, do diabła, zabrał mnie na stadion? I to w naszą rocznicę? Zwariował czy jak?

Zrobiłam to, co na moim miejscu zrobiłaby pewnie każda kobieta. Strzeliłam focha.

– Możesz wyjąć kurtki? – powtórzył, widząc moją niezadowoloną minę.

– Ani mi się śni! – warknęłam, krzyżując ręce na piersiach. – Nie idę na żaden cholerny stadion. Nie zamierzam marznąć. Nawet jeśli piłkarze będą grać w tę pieprzoną piłkę na golasa i machać do mnie dzwonekami!

Zaśmiał się.

– Przy takiej temperaturze raczej niewiele byś zobaczyła. Przyrodzenia robią się wtedy takie malutkie...

– To nie jest śmieszne. – Zmarszczyłam brwi.

– Wyciągnij kurtki – poprosił ponownie, starając się nie tracić cierpliwości. – Zrób, o co cię proszę.

– Nie! Sam sobie wyciągaj. Ja wsiadam do auta. Nigdzie nie idę. Chcę do domu! – Obróciłam się do niego tyłem, aż sapiąc ze złości.

– Chociaż raz w życiu mnie posłuchaj i wyjmij te kurtki, okej? – powtórzył z naciskiem.

Zgrzytając zębami, złapałam kurtki i wściekle wyszarpałam z samochodu.

Zdębiałam.

Pod stosem ubrań leżało teraz tylko... czerwone, prostokątne pudełko. Zaskoczona uniosłam głowę i spojrzałam na Tomka.

– Niewiele brakowało, a wyrzuciłabyś je na parking – powiedział cicho. – W tych ciemnościach pewnie byłby spory kłopot, żeby je znaleźć.

Stałam przy otwartych drzwiach samochodu i wpatrywałam się w eleganckie opakowanie.

– No weź je. – Wyjął mi te nieszczęsne kurtki z rąk i rzucił na przednie siedzenie.

Sięgnęłam po pudełeczko. Otworzyło się z cichym kliknięciem. W środku była piękna, srebrna bransoletka z zawieszka w kształcie podkowy, w całości pokryta cyrkoniami.

– Jest prześliczna – wydukałam. – Taka... delikatna.

– A pod spodem jest jeszcze coś. Wystarczy, że podniesiesz ten materiał.

– O Boże! Bilety na *Koty* – krzyknęłam zachwycona. – Na kiedy?

– Na dzisiaj. Spektakl zaczyna się za dwadzieścia minut. Musimy jechać.

Cała moja złość natychmiast wyparowała niczym przysłowiowa kamfora. Rzuciłam się Tomkowi na szyję i uściskałam go najmocniej jak potrafiłam.

Na *Koty* chciałam się wybrać od ponad roku, ale ciągle nie było okazji. Raz nawet kupiliśmy bilety, ale w dniu spektaklu Maks zaczął wymiotować. Przechodził rotawirusa wyjątkowo intensywnie. Wymiotował falami co kilkanaście minut. Potem doszła biegunka. Zamiast wyprawy do teatru mieliśmy więc w domu prawdziwy horror.

Tym razem jednak udało nam się dotrzeć na przedstawienie, usiąść w drugim rzędzie i przeżyć upojne dwie godziny, podziwiając świetnych tancerzy i śpiewaków. Chyba nigdy nie bawiłam się lepiej niż wtedy.

– Dlaczego zawiozłeś mnie pod ten stadion? – zapytałam, gdy wracaliśmy do domu.

– Chciałem zobaczyć twoją reakcję – zachichotał. – Lubię, jak się trochę wkurzysz. Wtedy jesteś

bardziej, no wiesz... aktywna. W łóżku.

– Będę o tym pamiętać – mruknęłam. – Ja też mam dla ciebie prezent. Dostaniesz go w sypialni.

– Już nie mogę się doczekać. – Pogłaskał mnie po kolanie.

Roześmiałam się.

– Nie to miałam namyśli. Lepiej skup się na kierowaniu pojazdem...

– Szkoda...

– Ale też ci się spodoba. Jestem przekonana.

Dojechaliśmy do domu przed jedenastą. Kasi udało się już spacyfikować dzieci. Czekala na nas w salonie, oglądając w telewizji jakiś serial i przegryzając wyjątkowo denną fabułę paluszkami serowymi.

– Podobała ci się niespodzianka? – zapytała, ledwie weszliśmy do domu.

– Wiedziałaś o wszystkim? – zdziwiłam się.

– No pewnie – wzruszyła ramionami. – Ten pomysł ze stadionem był mój. Powiedziałaś kiedyś, że załukłabyś męża, gdyby w rocznicę zabrał cię na mecz. Uznałam więc, że to najlepszy sposób, by podnieść ci ciśnienie.

– Wielkie dzięki! Na szczęście jakoś przeżył – mruknęłam. – Ale to jeszcze nie koniec. Zemszczę się na nim zaraz po kąpieli. Odgryzę mu jajka!

– Uuuuu – zaśmiała się Kasia, zapinając guziki swojego płaszcza. – No to jutro mi wszystko opowiesz. Lecę do domu i miłej nocy życzę. Tylko okna zamknijcie, żeby nie niosło po całej okolicy twoich okrzyków rozkoszy... Albo smętnego wycia Tomka, który straci przyrodzenie...

– Dobranoc! – Otworzyłam jej drzwi.

– Wpadnę jutro na przeszpiegi – szepnęła na pożegnanie i truchcikiem pobiegła do swojego domu.

– Zmówiliście się za moimi plecami! – powiedziałam do Tomka, wytykając go placem.

– E tam, nie przesadzaj. Po prostu przypadkiem zgadaliśmy się i, sama wiesz, tak jakoś wyszło...

– A właśnie, że nie wiem. – Złapałam się pod boki. – Pewnie wszyscy wiedzieli, co mnie czeka, oprócz mnie samej.

– Kochanie. – Objął mnie w pasie i pocałował. – Właśnie na tym polegają niespodzianki. Główna zainteresowania nie może nic wcześniej wiedzieć. Dlatego właśnie nazywa się to niespodzianka. Bo jest niespodziewane...

Och, uwielbiałam te jego całuski. Najpierw delikatne, jakby na skórze siadał motyl, potem coraz bardziej zachłanne, aż wreszcie przechodzące w cudownie podniecające ssanie. I ten gorący język, subtelnie smakujący skórę...

– Idziemy na górę! – powiedziałam, łapiąc go za pośladki.

– Nie chcesz na stole w kuchni? Ostatnio było fajnie. Ma dobrą wysokość i w ogóle...

Jego dłonie wcisnęły się pod moją bluzkę i sprawnie rozpięły biustonosz.

– Bałam się, że go połamiemy i solniczka wbijała mi się w plecy – szepnęłam mu do ucha.

Chwilę później zaczęłam delikatnie ssać jego mięciutką małżowinę. Miałam słabość do tej części ciała Tomka. Syknął z rozkoszy i przyszpilił mnie biodrami do ściany.

– Obawiam się, że nie zdążymy...

Złapał mnie za rękę i nakierował ją na swojego dumnie wzniesionego penisa, wystającego z rozpiętego rozporoka.

– Oooo – zaśmiałam się. – Jakim cudem moja ulubiona zabaweczka znalazła wyjście ze spodni?

Kręcąc biodrami, zacisnęłam dłoń na stwardniałym członku i zaczęłam w równym tempie przesuwać ją w górę i w dół. Wiedziałam, że Tomek to uwielbia. Jego oddech szybko stał się ciężki z podniecenia. Błądząc palcami po moich piersiach, szybko znalazł nam dogodne miejsce na ciąg dalszy. Nie

przerywając pieszczot, przesuwaliśmy się wolno w kierunku sofy stojącej na środku salonu, by w końcu paść na jej miękkie poduszki. Byłam już tak nakrecona, że ściągnęłam Tomkowi spodnie wraz z bielizną i delikatnie gryząc go w szyję, coraz intensywniej bawiłam się jego zwartymi jądrami.

– Miałeś rację – westchnęłam, kiedy palcami penetrował moje wnętrze. – Nie dotrzemy na górę! Nie przerywaj!

Złapałam poły koszuli Tomka i mocno szarpnęłam. Guziki z grzechotem uderzyły o podłogę.

– Lubiłem tę koszulę. – Oprzytomniał nagle.

Zaczęłam ssać jego sutki. Chwilę później zeszałam niżej...

– Pogadamy o niej później. Ooooch... – jęknął, odchylając głowę do tyłu, kiedy zębami chwyciłam jego jądra.

Złapał mnie za głowę i docisnął do siebie. Drapiąc go rękami po brzuchu, równocześnie szalałam w jego dolnych partiach. Nadgryzałam, ssałam, lizałam. Obudził się we mnie prawdziwy demon seksu, który zniewolił Tomka po stokroć. Bardzo podobało mu się to, co robiłam, bo jęczał i niewyraźnie coś mamrotał, nie puszczając mojej głowy. Zupełnie jakby była kotwicą na morzu, po podniesieniu której mógłby nigdy nie wrócić do właściwego brzegu.

Było świetnie, ekstatycznie, bosko!!! Nasze ciała pragnęły się połączyć. Marzyłam o tym, by Tomek przygwoździł mnie do ziemi silnym i cudownie bolesnym pchnięciem... Ssałam jego jądra z ogromnym zapalem, błędząc rękami po jego umięśnionych udach. Moje rozpuszczone włosy laskotały jego ciało

Nasze miłosne uniesienia brutalnie przerwało jedno krótkie pytanie, wypowiedziane cienkim, zaspanym nieco głosem.

– Mamo, a co ty robisz tacie?

Na schodach stał Benek i ściskając w rękach swoją podniszczoną przytulankę patrzył na nas wytrzeszczonymi ze zdumienia oczkami. W tym momencie nastąpiła ciemność. Mój Boże! Dostałam chyba wylewu z niezaspokojonego podniecenia! Szybko jednak udało mi się wrócić do rzeczywistości i zrozumieć, co się stało. Tomek odruchowo zerwał z oparcia sofy koc i zarzucił na mnie, chcąc zakryć swoje przyrodzenie i ssącą je mamusię Benka...

– Mama szuka... szuka... eee... kleszcza! – wycedził zachrypniętym z podniecenia głosem. – Kleszcza szuka! Idź spać, kochanie. Lepiej, żebyś na to nie patrzył, bo tatuś będzie teraz bardzo, no, tego... cierpieć.

– Kleszcz ugryzł cię w jajka? – spytało mądrze dziecko.

– No, tak wyszło...

Skuliłam się pod kocem, wijąc się ze śmiechu.

– Ale mama mówiła, że kleszcze gryzą tylko wtedy, gdy na drzewach są liście i rośnie trawa, a teraz już wszystko opadło – przypomniał sobie nasz synek.

Cholerny, dociekliwy skubaniec! No właśnie. Opadło... Wszystko... Brawo dla malca! Najwyraźniej lepiej pamięta moje pogadanki na temat niebezpiecznych stworzeń niż przypuszczałam!

– Ale ten ukrył się... bardzo dobrze... no i... teraz trzeba go wyrwać. – Tomek gadał od rzeczy, rozpaczliwie starając się podciągnąć zawieruszone gdzieś w okolicy kolan spodnie. – A tak w ogóle, to idź już, dziecko, do łóżka. Jest bardzo późno.

Cały czas chichrałam się pod kocem jak głupia. Benek pokonał jakieś dwa stopnie (sądząc po plaskaniu stópkami), po czy nagle się zatrzymał.

– Ale ustami?! – Padło mordercze pytanie.

– Co ustami? – Nie zrozumiał Tomek, próbując zapanować nad roztrzęsionym kocykiem.

Wiedziałam, że ma ochotę mnie udusić za ten tłumiony chichot. On niestety nie mógł sobie pozwolić na taki luksus jak śmiech. W zaistniałej sytuacji musiał zachować tak zwaną pokerową twarz.

– Mama wrywa te kleszcze ustami?

Nie dałam rady: wybuchłam śmiechem, z całej siły docisnąwszy koc do twarzy, żeby tylko Benek nie usłyszał mojego rechotu.

– Cicho bądź – syknął Tomek, pochylając się nade mną.

– Mama mówiła, że kleszcze powinien usuwać lekarz – drążył dalej malec. – Czy on tobie też będzie wyciągał tego kleszcza z jajek buzią?

Żeby nie wyc ze śmiechu, wcisnęłam pięść w usta. Niewiele brakowało, bym odgryzła sobie własne palce. Ależ mądre to dziecko! A jakie wnikliwe! Przodkowie zapewne byli z niego dumni! Tylko niestety moment na dyskusje wybrał sobie nienajlepszy.

– A dlaczego, żeby wyrwać kleszcza, potrzeba czyjejs twarzy? Zębami wychodzi cały czy jak? – Każde kolejne pytanie było bardziej miażdżące od poprzedniego. – A co będzie, jeśli mama ugryzie cię w siusiaka? Będziesz miał spuchniętego? Czy będziesz mógł wtedy siusiać? Bo mnie kiedyś piekło strasznie jak...

Tego było już za wiele. Tomek w końcu jednym zwinnym ruchem podciągnął spodnie, które jakimś cudem udało mu się odnaleźć w gmatwaniu koca i moich włosów.

– Chodź, syneczku, zaprowadzę cię do łóżka – powiedział prawie normalnym już głosem.

Ja natomiast zostałam na dole, przykryta kocem i zwijająca się ze śmiechu. Wiedziałam, że jutro czeka mnie kolejna seria zabójczych pytań. Na szczęście Benek był jeszcze w takim wieku, że wiele rzeczy można było mu wytłumaczyć, omijając pikantne szczegóły i oszczędzając mu szczegółów z życia seksualnego rodziców. Kilka minut później Tomek wrócił do salonu. W międzyczasie w ramach rekompensaty przygotowałam kakao z piankami. Spojrzałam na niego przeproszającym wzrokiem, gdy z ponurą miną siadał przy stole.

– Mogłaś się bardziej wysilić – stwierdził z obrażoną miną.

– Co masz na konkretnie na myśli? Moje ssanie?

Przerwał mi ruchem ręki.

– Śmiałaś się jak głupia pod tym kocem – wytknął mi oskarżycielskim tonem.

– Przepraszam, nie byłam w stanie się pohamować. – Znowu parsknęłam śmiechem. – Ale ty byłeś tak uroczo zaradny, pomimo sytuacji.

Po jego minie widziałam, że udało mi się nieco go obłąskawić. Mężczyźni mają to do siebie, że lubią, jak kobiety patrzą na nich z nieskrywanym zachwytem i doceniają ich starania, nawet te zakończone marnym skutkiem.

– Byłeś taki mężny, poważny i charyzmatyczny w rozmowie ze swoim synem – powiedziałam, wpatrując się w jego oczy. – Ja nie dałabym rady.

No i już. Wystarczyło. Skoro ja „nie dałabym rady”, a on jakimś cudem potrafił?

Resztę rocznicowego wieczoru spędziliśmy już w sypialni za zamkniętymi drzwiami. Tomek po raz kolejny starał się udowodnić, że jest bogiem miłości i udało mu się.

Gdy skończyliśmy, przytulając twarz do jego spokojnie unoszącej się i opadającej piersi, z lekkim uśmiechem myślałam o minionym dniu. Było cudownie, ale i tak należało jutro porozmawiać z Benkiem. Chociaż może o wszystkim zapomniał?

Radość i łzy

– Czyli wmówiłaś dziecku, że buszowałaś w pachwinach jego tatusia po to, by zębami wyjąć kleszcza? – Kasia śmiała się tak bardzo, że aż dostała czkawki.

– Nie ja, tylko Tomek – tłumaczyłam pokładającym się ze śmiechu przyjaciółkom.

Uznałam, że lepiej będzie, jeśli sama opowiem im o całym zajściu, bo Benkowi mogło przyjść do głowy podzielenie się tymi informacjami z sąsiedzkim narybkiem. Byłam przekonana, że dopiero wtedy padłoby wiele bardzo niewygodnych pytań. Zwłaszcza ze strony ciekawskich dzieci.

– W życiu nie słyszałam głupszego wytłumaczenia!!! – Obok Kasi siedziała Marzena.

Trzymała się za brzuch, dosłownie płacząc ze śmiechu.

– Uważaj, żeby ci szwy poporodowe nie popękały – warknęłam, krzyżując ręce na piersiach. – Ciekawe, czy wy wymyśliłybyście coś mądrzejszego, gdyby wasze dzieci przydybały was na kolanach przed... no... same wiecie...

– Przed kleszczem! – Kasia rżała jak koń. – Och, Boże, aż się popłakałam!

– Nie cierpię was! Kretynki! – Obraziłam się.

One jednak nic sobie nie robiły z moich wyzwisk. Nigdy w życiu nie widziałam ich tak ubawionych. Marzena rękawem wycierała łzy, a Kasia musiała się napić zimnej wody, żeby czkawka nie doprowadziła jej do śmiertelnego bezdechu. Ze złością oparłam się rękami o blat stołu i patrzyłam, jak moje (pożal się Boże) przyjaciółki starają się jakoś opanować swój idiotyczny śmiech.

– Wolałam wam o tym powiedzieć, zanim Benek rozniesie historię wśród swoich nieletnich koleżków – powiedziałam wreszcie lodowatym tonem, licząc, że to trzeźwe stwierdzenie jakoś je ostudzi.

Niestety efekt był odwrotny od zamierzonego. Wywołał kolejną salwę histerycznego wręcz śmiechu.

– Uduszę was, przysięgam! Gołymi rękami!

W końcu po kilku długich minutach Kasi jakoś udało się opanować.

– Nie złość się na nas, Iwonko – powiedziała. – Po prostu cieszymy się, że twoje życie seksualne jest takie udane.

Z zaciśniętymi zębami opadłam na fotel. O ja idiotka! Teraz wszyscy będą wiedzieć, że lubię czasami pobuszować między gonadami małżonka. Co za porażka!

Siedziałyśmy we trzy w domu Marzeny. To był ten cudowny, przedpołudniowy czas, kiedy nasze dzieci były w szkołach i przedszkolach, a mężowie ciężko pracowali na nasz status społeczny. Wyjątkiem była kilkutygodniowa Gabrysia, śpiąca sobie spokojnie w niebieskim bujaczku przy drzwiach balkonowych. Było to jedynie miejsce w domu Kosowskich, w którym ich najmłodsza latorośl zasypiała momentalnie i spała aż do wieczornej kąpieli, co gwarantowało jej potem spokojny sen przez niemal całą noc. Dla Marzeny było to niezwykle ważne, bo dzięki temu sama mogła przespać co najmniej pięć godzin bez przerwy. Tę magiczną cyfrę zrozumie i doceni tylko ktoś, kto miał niemowlaka wiecznie żądnego jedzenia, przewijania i tulenia.

– Prawdę mówiąc, to ci zazdrościmy – dodała Marzena, nagle poważniejąc.

Spojrzałam na nie pytającym wzrokiem. Przecież obie miały świetnych, przystojnych i oddanych

mężów. Łukasz miał posturę atlety i niesamowicie łagodny charakter, uśmiech Marka natomiast był w stanie zniewolić każdą kobietę – od małej dziewczynki po sędziwą staruszkę. W czym tkwił problem?

Chyba potrafiły czytać w myślach, bo Marzena natychmiast przysunęła się do mnie i powiedziała cichym głosem.

– Wiesz, kiedy urodziłam Gabrysię, moje, tak zwane, libido znacznie spadło. Prawdę mówiąc, osiągnęło wartość zerową. Gdy tylko Łukasz się do mnie zbliża i demonstruje swoją... no... męskość, mam ochotę ugodzić go tasakiem. – Wzdrygnęła się, jakby było jej bardzo zimno. – Zadał mi już wystarczająco dużo bólu... Przez niego przeciskałam przez ciasną miednicę dwa łebki wielkości dyni. I ten idiota jeszcze się pcha z tym swoim...

– A ja po prostu nie mam ochoty, choć kocham tego mojego durnia ponad życie – weszła jej w słowo Kasia. – Kilka dni temu namacałam w pachwinie guza. Nic mi się nie chce. Dosłownie. Nie mam chęci rozkładać przed nim nóg, chociaż boję się, że pójdzie w końcu w miasto, żeby sobie ulżyć.

Wystarczyło tylko jedno słowo. Jedno słowo, żeby przyjacielska machina ruszyła. Obie z Marzeną natychmiast JE wyłapałyśmy. GUZ? Wesoły nastrój prysnął niczym bańka mydlana.

– Byłaś u lekarza? – spytałam poważnym tonem.

Kasia skuliła się w ramionach. Siedząc pośrodku ciemnozielonego narożnika Marzeny, wyglądała jakoś tak drobno. Krucho.

– Nie byłam.

– Czyś ty zwariowała?! – krzyknęłam na nią. – Przecież dobrze wiesz, że z guzami nie ma żartów!

– Musisz iść do lekarza i to natychmiast – dodała Marzena, łapiąc za telefon. – Znam świetnego internistę. Natychmiast cię umówię.

– Nie trzeba. – Uniosła rękę.

Jej twarz zrobiła się blada i napięta.

– Trzeba! Dzwon, Marzena! – Złapałam ją za ramię.

– Spokojnie. – Kasia też chwyciła Marzenę za rękę. – Mam umówionego lekarza za niecałe dwie godziny.

– W takim razie jedziemy z tobą! – powiedziałam głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– Nie trzeba! Dam sobie przecież radę...

– Trzeba, trzeba... – Byłyśmy uparte.

– Co na to Marek? – spytała nagle Marzena.

– On o niczym nie wie. – Kasia przygarbiła się jeszcze bardziej. – Teraz dużo się dzieje u niego w pracy. Ma wyjątkowo trudny czas. Nie chcę go dodatkowo obciążać. Przynajmniej póki nie będę mieć pewności...

– To jest chyba guz mózgu! – zawyrokowała nagle Marzena. – A to w pachwinie to przerzut!

– Marzena!!! – syknęłam. – Czyś ty oszalała?!

Patrzyłam na nią z bezgranicznym oburzeniem. Przecież to nie był odpowiedni moment na żarty! Czy ona kompletnie ogłupiała? Kasia też podniosła na nią pytające i pełne rozczarowania spojrzenie. Nasza najlepsza przyjaciółka oczekiwała od nas wsparcia, a nie idiotycznych docinków.

– No co? – Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Marzena! – powtórzyłam, aż trzęsąc się ze złości. – Tobie za to przydałaby się wizyta u laryngologa, bo najwyraźniej nie dosłyszałaś, co Kaśka powiedziała!

– Ależ wszystko usłyszałam! – Wstała i wzięła się pod boki. – I to doskonale! Tylko wiem, że ta Kaśka, którą znam, ta o zdrowych zmysłach, zrobiłaby dwie racjonalne rzeczy. Po pierwsze powiedziałaby nam od razu, byśmy mogły jej pomóc. Po drugie ruszyłaby tyłek do lekarza! I to jak możliwie najszybciej! Z takimi sprawami naprawdę nie ma żartów. – Spojrzała jej w oczy. – Kaśka! Czasami nawet dni mogą

decydować o tym, czy najbliższe święta Bożego Narodzenia spędzisz tutaj, czy patrząc na swojego chłopca i dzieciaki z pieprzonej puchowej chmurki unoszącej się nad Matką Ziemią!

Przyznałam jej rację, kiwając głową. Byłam przekonana, że gdyby przemawiała jako wójt średniowiecznej wioski, usłyszałyby, że mundrze prawi.

Marzena Kosowska słynęła z ostrego języka i nieco złośliwego charakteru, lecz w sytuacjach kryzysowych potrafiła zachować zimną krew i działać w zaskakująco logiczny sposób, o ile te sytuacje nie były bezpośrednio związane z jej osobą. Przyjaźń z Kasią zaś traktowała bardzo osobiście, doskonale o tym wiedziałam. Pewnie dlatego strach o jej życie starała się ukryć pod warstwą wyjątkowej złośliwości. Byle tylko nie wyszło na jaw, jak bardzo jest przerażona stanem zdrowia najlepszej przyjaciółki.

– Dobra, trzeba działać! – Zatarła ręce.

Wciąż nie była w stanie spojrzeć Kasi prosto w oczy. Wiedziałam, ile wysiłku wkłada w te słowa, żeby nie brzmiały zbyt histerycznie.

– Marzena ma rację. – Wstałam w ślad za nią.

Trzeba było jakoś wesprzeć Kasię. Niech widzi, że może na nas liczyć naprawdę w każdej sytuacji.

– Idź się przebierz, umyj i... – Marzenka machnęła ręką. – No, przygotuj się na wizytę. Ja przebiorę małą i podjadę po ciebie za dwadzieścia minut, dobrze?

– Pójdę z tobą – powiedziałam do Kasi. – Pomogę ci.

– Dzięki. – Posłała mi przestraszony uśmiech. – Ale na razie nie jestem inwalidką. Dam radę sama się umyć i ubrać. W końcu nic się na razie nie dzieje.

– Tak, tak. Jasne. Niech idzie z tobą – wtrąciła Marzena. – Przypilnuje, żebyś była gotowa na czas.

Następna godzina minęła jak z bicza strzelił. Kasia miała już przygotowane ciuchy. Mama Kasi, mieszkająca zaledwie jedną ulicę dalej, zajmowała się dzisiaj Adasiem. Wzięła właśnie wnuczka na spacer, o czym powiadamiała żółta karteczka z krótką informacją przyklejona na środku drzwi lodówki.

Kiedy Kasia zamknęła się w łazience, by wziąć szybki prysznic, ja, zerkając co chwila na zegarek, przeszłam się wolno po jej salonie. O tym, że moja sąsiadka nie jest sama, świadczyły liczne fotografie w kolorowych ramkach, ustawione na półkach, komodzie i nawet na kamiennym parapecie w towarzystwie różnorodnych kaktusów. Wsłuchując się w szum prysznica, oglądałam te rodzinne zdjęcia. Na pierwszej fotografii kilkumiesięczna Michalinka wyglądała jak żywy pulpecik o tłusciutkich odnóżach. Z bezzębnym uśmiechem, lekkim zezem i kilkoma kłaczkami na szczycie głowy przypominała małą Azjatkę. W wieku lat czterech jednak była już posiadaczką pięknych blond włosów upiętych w koński ogon oraz imponującego uzębienia.

Kolejna ramka przedstawiała Adasia zaraz po urodzeniu. Czerwony i pomarszczony na twarzy, spał sobie z przyciśniętymi do policzka rączkami, tonąc w błękitnych odmetach polarowego kocyka.

Na kominku, oprócz ozdobnego lichtarza, na honorowym miejscu, stało najważniejsze dla Kasi zdjęcie. Na nim świeżo poślubieni Wrońscy, wbici w sztywne stroje ślubne, obejmowali się czule z rozmarzonymi uśmiechami. Marek wierzchem dłoni delikatnie muskał policzek żony, ona zaś z uniesioną głową wpatrywała się w jego pełne miłości spojrzenie. Już na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że fotka była pozowana, ale w oczach zakochanych widać było prawdziwe zaangażowanie w związek wkraczający tego dnia na nową, nieznaną im drogę.

Gdy patrzyłam na szczupłą wtedy buzię Kasi, zrobiło mi się jej nagle bardzo żal. Co będzie, jeśli to rak, w dodatku jakiś wyjątkowo parszywy? Co wtedy? Marek poza swoją żoną i dziećmi świata nie widział. Jak sobie poradzi sam? Szybko otrząsnęłam się z tych ponurych rozważań. Babo, myśl optymistycznie! Nie możesz przecież dać Kasi odczuć, że już ją opłakujesz, bo załamie się i nie będzie miała siły, żeby walczyć z tym cholerstwem, czymkolwiek by nie było.

– Jestem gotowa! – Usłyszałam za swoimi plecami. – Jak myślisz, wziąć kurtkę czy lepiej płaszcz?

Posłałam jej uśmiech, który – miałam nadzieję – nie wypadł sztucznie. Na szczęście Kasia była zbyt zestresowana wizytą u lekarza, by czepiać się takich nieistotnych teraz szczegółów.

– Kurtka będzie lepsza – doradziłam. – Przecież jedziemy samochodem, nie będziemy miały okazji zmarznąć.

Nim Kasia spakowała wreszcie potrzebne na wizytę dokumenty, znalazła komórkę i zawieruszony w torbie na zakupy portfel, minęło kolejnych kilka minut. Marzena z głośnym piskiem opon zatrzymała się pod domem Wrońskich. Jakby tego było mało, nerwowo zatrąbiła jeszcze dwa razy.

– Dobra, chodźmy, bo zaraz cała okolica będzie wiedzieć, że idziemy do lekarza – mruknęła Kasia, zakładając wreszcie torbę na ramię. – Kurde, bardzo się denerwuję.

– Będzie dobrze – powiedziałam, pokazując jej zaciśnięte kciuki. – Musi być.

– Masz rację. Musi być – powtórzyła moje słowa niczym jakąś magiczną mantrę. – Musi być! Musi, do diabła.

Szybko wsiadłyśmy do samochodu Marzeny. Do wizyty pozostało zaledwie piętnaście minut. Na szczęście przychodnia, w której Kasia była umówiona, znajdowała się zaledwie pięć kilometrów od Brzozowego Zaułka.

Podczas badania siedziałyśmy z Marzeną pod gabinetem jak na szpilkach. Mała Gabrysia za to spała spokojnie w swoim nosidełku. Nie przeczuwała, jak wielki dramat przeżywa teraz jej przyszywana ciocia.

– Jak myślisz, będzie dobrze? – zapytałam przyjaciółkę, wpatrując się z niepokojem w drewnopodobne drzwi.

Pierwszy raz w życiu zobaczyłam na twarzy Marzeny minę zdradzającą obawę o dalszy los bliskiego jej człowieka. Poczułam ciarki na plecach. Dłonie natychmiast zrobiły mi się lodowate i mokre od potu.

– Mam nadzieję... – szepnęła, skupiając wzrok na córeczce.

Od tamtej chwili do końca badania nie zamieniłyśmy słowa. Nie trwało dłużej niż dwadzieścia minut, ale i tak zdążyłam obgryźć wszystkie skórki wokół paznokci. Marzena zaciskała wargi tak mocno, że wokoło ust zrobiła się jej czerwona krecha. Oj, niedobrze to wszystko wyglądało... Niedobrze!!! Cholernie niedobrze!!!

Wreszcie drzwi gabinetu lekarskiego otworzyły się z cichy piskiem. Kasia wyszła na korytarz z nieodgadnioną miną. Patrzyła na nas szklistymi oczami. Roztrzęsłam się tak bardzo, że nie byłam w stanie wstać z krzesła.

– I co? I co? – dopytywała Marzena.

– Dwa gabinety dalej przyjmuje onkolog – powiedziała Kasia bezbarwnym tonem. – Mam tam iść. I to natychmiast. Ten lekarz zrobił mi USG i skierował do onkologa w trybie pilnym.

– To nic. – Marzena uściśnęła ramię Kasi. – Guzy zawsze trzeba konsultować z onkologiem. To nic nie znaczy.

– No, ja nie wiem... Nie jestem pewna...

– Ale ja wiem. – Marzena szła w zaparte. – Będzie dobrze. Kurwa, musi być! Rozumiesz?

Kasia skinęła głową i powłócząc nogami, ruszyła w stronę gabinetu onkologicznego. Znów musieliśmy czekać – wydawało nam się, że całą wieczność – na wiadomości.

– Szlag mnie tu zaraz trafi – powiedziała nagle Marzena, krążąc przy drzwiach, za którymi Kasia miała kolejną konsultację.

W stojącym obok krzesła nosidełku mała Gabrysia otworzyła nagle oczka i zamachała rączkami, domagając się cichym jękiem uwagi. Bez słowa wyciągnęłam ją z fotelika i przygarnełam do siebie. Wiedziałam, że jej mama jest za bardzo zdenerwowana, by teraz zająć się małą.

– Dzięki – mruknęła Marzena.

– Chyba znowu jest głodna – zawyrokowałam, patrząc, jak mocno mała zaczęła ssać smoczek. –

Wzięłaś jej coś do jedzenia?

– Nie chciała jeść przed wyjazdem. – Marzena wyciągnęła z torby butelkę. – Nakarmisz ją?

– Pewnie. Z przyjemnością.

Podczas gdy niemowlę zapamiętało opróżniało butelkę mleka, Marzena coraz szybciej krążyła po wyłożonym zieloną wykładziną korytarzu. Ja wolałam się skupić na opiece nad małą. Gabrysia wypila całą zawartość butelki w niecałe trzy minuty, po czym beknęła tak głośno i gardłowo, że nie powstydzilby się tego odgłosu żaden facet.

– Jak jakiś piwożłop z zapadłej wsi – stwierdziła Marzena, patrząc jednak z rozczeniem na swoją córeczkę. – Jak będziesz się tak zachowywać, to nigdy nie poderwiesz porządnego faceta.

Dziecko w odpowiedzi posłało matce szczerzy, bezzębny uśmiech.

– Nie teraz, słoneczko. Mama jest w strzępach – powiedziała do niej Marzena rozedrganym głosem. – Twoje gołe dziąsła nie robią na mnie wrażenia...

Nagle drzwi gabinetu otworzyły się. Pojawiła się w nich Kasia z grobową miną.

– I co? I co? – zaatakowała ją natychmiast Marzena. – Wiesz coś?

– Lekarz zrobił mi biopsję – powiedziała bezbarwnym tonem. – Wyniki będą najwcześniej za dziesięć dni. Powiedział, że nie wygląda to dobrze.

– To znaczy? – Marzena nie dawała za wygraną. – Chyba sama pójdę do tego lekarza. Może lepiej znaleźć kogoś lepszego? Przecież nie wiadomo, co to za lekarzyną...

W jej głowie roiło się teraz od pomysłów, pytań i sugestii. W zamyśleniu znów mocno zacisnęła usta.

– To jest dobry lekarz – odparła Kasia. – Polecony i naprawdę skrupulatny. Bałam się, że biopsja będzie bolała, ale on zrobił to bardzo delikatnie, chociaż nakłuwał trzy razy, żeby zebrać dość materiału. Ale chociaż cały czas starał się mnie podnieść na duchu, to jednak po jego minie widziałam, że nie jest najlepiej.

– Pieprzysz głupoty – ucięła ze złością Marzena. – Nawet jeśli to dobry lekarz, nie może z jednej strony mówić, że „nie wygląda to dobrze”, z drugiej zaś opowiadać, że wszystko będzie okej. Tacy ludzie jak on muszą być konsekwentni i skrupulatni. W jednym na tysiąc przypadków czasami okazuje się, że drobne schorzenie jest niestety śmiertelne!

Aż się trzęsła z emocji. Ja oczywiście też byłam przejęta całą sprawą, ale udało mi się utrzymać nerwy na wodzy. Wiedziałam jednak, że gdy wieczorem, po jednym piwie puszczą wszystkie nagromadzone emocje, będę ryczała jak bóbr. Ale to dopiero wtedy, gdy nikt nie będzie widział...

– Dobra, co dalej? – przerwałam, wkładając małą do nosidełka.

– Trzeba czekać na wyniki – westchnęła ciężko Kasia. – Nawet do dwóch tygodni. Mam zadzwonić za dziesięć dni i zapytać, czy już są.

– No to będziemy dzwonić. – Wzięłam fotelik za uchwyt. – Wracajmy na razie do domu.

– Mam jeszcze zejść na dół do pielęgniarek, żeby pobrały mi krew.

– To zaczekamy przy wyjściu na parterze – zdecydowała Marzena, odbierając ode mnie nosidełko z córeczką.

– Mam ochotę się napić – oświadczyła Kasia niespodziewanie, gdy wyszła z gabinetu zabiegowego. – Teraz!

Spojrzałyśmy na nią z bezbrzeżnym zdumieniem. Kasia nie przepadała za alkoholem. Na imprezach, owszem, pijała drinki, ale nie było to typowe drinkowanie, tylko sączenie zawartości jednej szklaneczki przez kilka godzin, do której sukcesywnie dolewała wodę, sok albo inny rozcieńczalnik promili.

– Jedźmy do mnie – zaproponowałam. – Mam pełen barek. Możemy się zdoić do nieprzytomności.

– Ja nie mogę. – Marzena wyglądała na zawiedzioną. – Karmię przecież Gabryśkę.

– To się dobrze składa, bo będziesz musiała się nią zająć.

– Jak dobrze, że ja już nie karmię – westchnęła Kasia.

Wsiadłyśmy do samochodu. W drodze do domu wpadłam jeszcze na ekspresowe zakupy do spożywczego. Wprawdzie alkoholu mieliśmy w domu pod dostatkiem, ale brakowało soków do robienia przyzwoitych drinków. Potrzebne były oczywiście przy założeniu, że nie planowałyśmy pić bezpośrednio z gwinta, chociaż zobaczywszy po powrocie do samochodu miny dziewczyn, ostatecznie uznałam, że na takie właśnie popołudnie się niestety zapowiadało.

Nawet przez myśl mi jednak nie przeszło, że Kasia postanowi pić czystą whisky. Bez lodu czy innych fikuśnych dodatków.

– Możemy to otworzyć? – zapytała, zaglądając do barku w kuchni, ledwie zdążyłyśmy zrzucić kurtki.

Zerknęłam jej przez ramię. Wskazywała litrową butelkę Famous Grouse.

– Oczywiście – powiedziałam, wyciągając grube, prostokątne szklanki.

Cóż innego, do cholery, w takiej sytuacji mogłam powiedzieć? Wprawdzie akurat TA butelka była już odłożona na bożonarodzeniowe spotkanie z kuzynostwem, ale w końcu czegoś się nie robi dla przyjaciół... Nie miałam sumienia odmówić. Czymże jest głupia stówka za litr, kiedy w grę wchodzi życie Kasi, ba, całej rodziny Wrońskich? Poczulałam się jak wyjątkowo wyrachowana świnka, gdy tylko uświadomiłam sobie, że przeliczam w głowie koszt ponownego zakupu trunku.

– Dlaczego akurat to? – zainteresowała się Marzena, oglądając bez przekonania butelkę wypełnioną bursztynowym płynem.

– A bo ja wiem – zastanowiła się Katarzyna. – Po prostu ma fajną etykietę... Taka kurka czy gaska... Swojsko jakoś to wygląda...

– Zaraz przyniosę ci colę do tego whiskacza – zagałam.

– Nie, nie trzeba...

Zdziwiłam się.

– Nie chcesz drinka? Tak lepiej smakuje...

– Zrobmy to po męsku – zdecydowała nagle. – Z lodem. Tylko z lodem. Albo bez!

– Dobra, niech będzie z lodem – zgodziłam się, sięgając natychmiast do zamrażarki.

– Na wszelki wypadek przygotuj jednak coś do przepchnięcia – wtrąciła Marzena. – Żeby wam gardeł nie wypaliło.

– Nie wypali...

Nalewając whisky do wypełnionych kostkami lodu szklanek, kątem oka zauważyłam, że Marzena patrzy na złotobrazowy alkohol z coraz większym żalem.

– Nie piłam nic od półtora roku – stwierdziła nagle. – Do jakich poświęceń jest zdolny człowiek na rzecz prokreacji...

Kasia wzięła porządnego łyka. Lekko nią zatrzęsło, ale widząc moje spojrzenie, uniosła tylko palec do góry.

– Jest dobrze!

– Szlag by to trafił – wypaliła nagle Marzena, sięgając do szafki po szklankę. – Dzisiaj Gabryśka dostanie herbatki i mleka z butli!

– Zwariowałaś? – zaśmiała się Kasia. – Zacziesz pić dzieciaka sztucznym mlekiem tak z dnia na dzień?

– Nie. Nie zacznę, moja droga – pokręciła głową, wrzucając do szklanki kilka kostek lodu. – Udoiłam wczoraj trochę mleka, bo mała nie chciała jeść, więc będzie na dzisiaj i jutro jak znalazł. Cóż to za wspaniały zbieg okoliczności! Ewentualnie, tylko w razie czego, mam mleko w proszku. Damy radę.

Polej, Iwona. Tylko od serca...

Zrobiłam to, o co prosiła.

– No więc... wznosimy toast! – powiedziała Kasia dziwnie uroczystym tonem, kiedy równocześnie sięgnęłyśmy po swoje szklaneczki.

Kostki lodu przyjemnie zagrzechotały, tworząc w złocistym płynie jaśniejsze plamki.

– Może sobie jednak darujemy... – Dopadły mnie wątpliwości.

Mimo wszystko jakoś zrobiło mi się żal dziecka, które zamiast matczynego mleka z piersi być może będzie musiało pić jutro sztuczne mieszanki.

– Za moje zdrowie. Może ten alkohol wytruje chorobę i trafi ją szlag! – Kasia się nie wahała. Uniosła szklanę, po czym zdecydowanym ruchem wychyliła ją.

Wzięła solidny łyk trunku – wypila duszkiem prawie połowę jej zawartości! Dla osoby, która nie pija nierozcieńczonego alkoholu, taka ilość palącego w gardło płynu może być prawdziwym szokiem. Kasia przełknęła głośno, po czym spojrzała na nas nieco szklistymi oczami, bo zapewne już zaczęło ją piec gardło.

– Jakbyś miała tego guza w przełyku, to zwałabyś go z nóg tą dawką alkoholu – zawyrokowała Marzena.

– Nie pierdziel, tylko pij. – Kasia ponagliła ją machnięciem ręki. – Walnij sobie baniaka na cześć chorej psiapsióły! Nie wiadomo, ile będzie jeszcze takich okazji. I czy w ogóle będą...

– Chryste Panie – powiedziałam cicho, upijając małego łyeczka w tym samym czasie co Marzena.

W ciągu pół godziny litrowa butelka utraciła ponad siedemdziesiąt procent swojej cennej zawartości. Prym w jej opróżnianiu niewątpliwie wiodła Kasia, nadając tempo, które byłoby w stanie powalić na kolana nawet wprawionego w pijackich bojach mężczyznę. Przez ten czas nakarmiona w przychodni Gabrysia spała sobie smacznie w foteliku postawionym przy drzwiach balkonowych. Nie przeszkadzały jej coraz głośniejsze rozmowy oraz nasz nieco histeryczny śmiech. I całe szczęście: dobrze, że nie widziała swojej matki w tym stanie. Marzena przez ciążę i przygotowania do niej odwykła od alkoholu, więc po wypiciu dwóch szklanek trunku wyglądała na tak sponiewieraną, jakby przerzuciła tonę węgla, mając do dyspozycji jedynie żeliwną łopatę.

– Wyglądasz fatalnie – wyznała jej Kasia niespodziewanie. – Masz rozbiegane oczka.

– To ty masz rozbiegane oczka – wybełkotała Marzena – i dlatego wydaje ci się, że to ja mam rozbiegane oczka. To taki trik. Mózg wariuje od procentów.

Kasia, kiwając się lekko na środku salonu, w zadumie trawiła słowa koleżanki. Co chwilę miałam wrażenie, że polecą do tyłu albo wręcz przeciwnie – padnie na twarz, łamiąc nos.

– Trzeba polać, bo się bańka kończy – stwierdziła nagle wyjątkowo trzeźwym tonem, podnosząc pustą szklanę do góry. – Dawać szkło na ladę! Migiem!

– Ja chyba spasuję. – Marzena głośno beknęła i zaczęła czkać. – Jeszcze jeden łyk, yp, i udekoruję Iwonie dywan, yp. Ten wzór, który tutaj ma, yp, jest dosyć, yp... monotony...

– Przydałoby się – mruknęła Kasia. – Ten szary kolor rzeczywiście aż zionie nudą. Paw mógłby trochę go urozmaicić.

– Zaakcentowałby środek salonu – zaśmiała się Marzena.

– Może zakończmy tę głupią rozmowę? – zaproponowałam. – Bardzo lubię mój grafitowy dywan.

– Nie ma sprawy – bąknęła Kasia. – Poleję jeszcze troszkę.

Chwiejnym krokiem dotarła do lady i ponownie zażądała naszych szklanek. Ja miałam już dość, ale czego się nie robi dla przyjaciółki w trudnych chwilach?

– Jutro będziemy tego żałować – szepnęła mi do ucha Marzena, kiedy Kasia, rozlewając whisky na wszystkie strony, dzieliła między nas resztę zawartości butelki.

– Ja już zaczynam żałować. Zapomniałaś o lodzie – zauważyłam.

– Nie zmieści się – wyjaśniła Kasia, wzruszając ramionami. – Damy radę!

Nagle zadzwieczał mój telefon.

– O, esemesik od małżonka pewnie – powiedziała, podając mi szklanę.

Miała rację...

– Jasna cholera – mruknęłam, kiedy wreszcie udało mi się rozczytać rozjeżdżające się na wszystkie strony literki.

– Kolejna fantastyczna wiadomość? – Ironiczny ton Kasi wcale mnie nie rozśmieszył.

– Coś tak jakby...

– To znaczy?

– Tomek napisał, że spotkanie mu się przedłużyło i nie zdąży odebrać chłopców. – Wywróciłam ze złością oczami. – Mam pojechać po dzieci do szkoły. Do diabła z tym wszystkim! Tak to jest liczyć na chłopca!

– Cholera, niedobrze. – Pomimo tych słów, Kasia nie wyglądała na specjalnie przejętą.

Nie była w stanie przejmować się niczym, kiedy w skład jej krwi wchodził głównie alkohol.

– Łukasz też dzisiaj wróci później, bo jest na szkoleniu w Warszawie – przypomniała sobie Marzena, całą siłę woli wkładając w skonstruowanie tego zdania. – Na szczęście Dawidem zajmuje się babcia i zaraz do niej zadzwonię, żeby zabrała też Gabrysię. Problem rozwiązany.

– Tylko twój problem, moja droga – zaśmiała się Katarzyna.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, aby twoja matka widziała cię w takim stanie – wyznałam szczerze.

– Masz rację – zreflektowała się Marzena. – Niech mała sobie śpi. Mamy jeszcze z pół godzinki spokoju. Wtedy zadzwonię po babcię. Gdy wytrzeźwieję.

– Zamierzasz wytrzeźwieć w pół godziny? Nie ma szans! – prychnęła Kasia. – My dopiero zaczynamy zabawę.

– Wezmę szybki prysznic. Iwona, dasz mi jakiś ręcznik?

– To też nie pomoże. Bądź realistką, kobieto! – Kasia popukała się w czoło.

– Słuchajcie, muszę kogoś zorganizować do odebrania chłopców – przerwałam ich durną dyskusję. – Co radzicie? Skupcie się!

– Może Hela? – podsunęła pomysł Marzena. – Przespaceruje się z dziećmi.

– Hela ma dzisiaj wizytę u dentysty. O piętnastej – przypomniała sobie Kasia. – Wiem, bo sama ją umawiałam. A Emilka?

– Jest na przedłużonych świątkach u jakiejś kuzynki w Poznaniu.

– Szlag by to trafił – mruknęłam, zerkając na zegarek. – Trzeba ich odebrać za niecałą godzinę.

Musiałam szybko zorganizować jakiś transport. Taksówka odpadała. Nie mogłam wejść do szkoły, bo śmierdziało ode mnie whisky na kilometr! Co miałabym powiedzieć wychowawczyni Benedykta? Że natarłam się spirytusem, bo strzyknęło mnie w szyi i dlatego bucha ode mnie wódą jak ze średniowiecznej gorzelni?

– Zapytam Monikę – powiedziała nagle Marzena, szukając swojej torebki. – Gdzie moja komórka?

– Jaką Monikę? – chciałam wiedzieć.

– No, Małecką – odparła, wyszukując odpowiedni numer w telefonie. – Tę spod czwórki. Graficzkę.

– Ta to dopiero wyedukuje ci dzieciaki – zarechotała Kasia. – Gdyby z jej słownictwa wyciąć przekleństwa, Monia byłaby niemową.

– To nie jest śmieszne – warknęłam, mimowolnie upijając kolejnego łyka morderczego drinka, którego akurat trzymałam w dłoni. – Nie teraz!

Marzena wyszła do holu, żeby spokojnie pogadać z Moniką. Z salonu dochodziły nas tylko strzępki jej

rozmowy, ponieważ muzyka puszczona przez Kasię skutecznie zagłuszała większość słów.

– Pojedzie po dzieci – poinformowała Marzena, gdy wróciła do pokoju. – Ale najpierw wpadnie tutaj zobaczyć, w jakim jesteśmy stanie. Chyba nie brzmiałam zbyt trzeźwo. – Ostatnie zdanie powiedziała półgębkiem, bardziej do siebie niż do nas.

– Trzeba było nie paplać o imprezie. – Po kolejnym łyku zaczęło mi się mocno kręcić w głowie.

To był znak od organizmu, że jeśli wypiję choć kroplę więcej, kolejną dobę spędzę z głową w muszli klozetowej.

– Przed nią lepiej nic nie ukrywać. – Marzena padła na fotel i podparła głowę ręką, mierzwiąc sobie przy tym włosy. – Serio. Ona jest jak chodzący detektor kłamstw. Zaraz wyniucha fałszywe zeznanie.

– E tam! Czytasz za dużo kryminałów – oświadczyłam.

– Jeśli masz na myśli naszą kochaną panią Kosowską, to zdradzę ci pewną tajemnicę. Ona nie czyta...

– Kasia natomiast padła na sofę. – Woli wlepić oczy w seriale. Wszystko jedno jakie, byleby jak najdłuższe. I najlepiej o miłości.

Marzena chciała jej posłać swoje słynne, mordercze spojrzenie, ale wyszedł z tego tylko nieudolny zez.

– Zgromię cię wzrokiem jutro – wybełkotała, podkreślając swoją wypowiedź zamaszystymi ruchami rąk. – Gdy tylko odzyskam normalne oczy. Dzisiaj mi się nie chce. Mam wszystko w dupie.

Kasia nagle zaczęła się śmiać. Najpierw cicho, potem coraz głośniej. Po chwili usiadła, bo dosłownie krtusiła się ze śmiechu. Zdezorientowane patrzyliśmy z Marzeną raz na siebie, raz na naszą przyjaciółkę, której najwyraźniej zupełnie odbiło.

– Kocham was obie – wykrztusiła pomiędzy kolejnymi falami śmiechu. – Kurde, jesteście bezbłędne! Dla was warto było żyć. Cokolwiek by mnie nie spotkało...

– Nic cię złego nie spotka, bo jesteśmy przy tobie – powiedziałam zaskakująco trzeźwym tonem.

Naprawdę lubiłam Kasię i po prostu nie wyobrażałam sobie życia na tym padole bez niej. Brzozowy Zaułek straciłby swój urok, gdyby Katarzyna Wrońska nie była jego mieszkanką.

– Jesteś jak panaceum! – dodała Marzena, zbliżając się do niej z rozłożonymi rękami.

– Że co jestem? – zdziwiła się Kasia, patrząc na nas z pewną dezorientacją.

– Jak lek na wszystko – wyjaśniłam, śmiejąc się do rozpuku. – Jesteś lepsza niż wszyscy lekarze plus Kaszpirowski, Nowak i inni bioenergoterapeuci razem wzięci!

W tym momencie wydarzyło się coś, czego świadkiem nie chciałabym być nigdy więcej w moim życiu, choć nie mam nic przeciwko kobieciej miłości. Marzena z Kasią padły sobie w ramiona i wycisnęły na swych ustach najgorętszy pocałunek, jaki widziałam w życiu!!! Rhett Butler i Scarlett O'Hara mogli się schować ze swoim melodramatycznym buziakiem! Tego dnia, w moim salonie, Marzena i Kasia dały upust namiętności i trudnej do wytłumaczenia w tych okolicznościach miłości, oczywiście mocno zakropionej przednim trunkiem.

Nagle drzwi mojego domu otworzyły się z rozmachem. Do salonu wszedł Marek Wroński. Dowiedział się drogą pantoflową (Marzena wysłała krótkie info do Łukasza, a ten najwyraźniej skontaktował się z przyjacielem), że jego żona prawdopodobnie jest chora.

– O kurwa! – wypaliłam, widząc Marka stojącego w przedpokoju.

Na jego twarzy malowało się bezgraniczne zdumienie. Wszystko jakby ucichło. Słyszałam pulsowanie krwi w moich skroniach i bicie serca gdzieś w okolicach uszu. Tę ciszę przecięła Gabrysia, która nagle zaczęła płakać. Zatrzymany na chwilę czas ruszył do przodu z prędkością światła...

Dzień później

- Ja pierdziele! Łeb mi pęknie! – jęknęłam, siadając na łóżku.
Natychmiast poczułam na sobie ciepłe i miękkie dłonie Tomka.
– Wypiłaś za dużo. Zdecydowanie za dużo... – powiedział cicho.
– Wiem – wróciłam do pozycji embrionalnej, by nie upaść na bok.
Głowę oparłam o roztrzęsione ramiona. To była jedna z tych chwil, kiedy pragnęłam tylko jednego – umrzeć! I to możliwie jak najszybciej.
– Ale rozumiem to – kontynuował, kładąc się przy mnie. – W końcu rzadko kiedy przyjaciółka ma potrzebę upicia się z powodu raka.
– Tak ci powiedziałam? – Staralam się skupić wzrok na jego twarzy, lecz szło to zbyt opornie, więc zrezygnowałam. Zacisnęłam powieki i dałam się unieść alkoholowej karuzeli. Chryste Panie, niech ktoś mi odrąbie łeb – pomstowałam – zanim zbliżę głowę do szklanki z jakimkolwiek alkoholem, jeśli to w ogóle kiedykolwiek ponownie nastąpi.
– Ziemia do Iwonki. – Usłyszałam gdzieś zza grubej zasłony zawrotów głowy. – Jesteś ze mną?
– Staram się – wydukałam, zaciskając zęby. – Mam nadzieję, że żadna z moich przyjaciółek nie będzie więcej chorować. Kolejny raz tak się nie poświęcę. Chociaż wszystkie kocham jak siostry.
– Też mam taką nadzieję – odparł Tomek, lekko przytulając się do mnie gołą pierśią.
Babskie hormony, mimo że zachlane, zaczęły działać, kiedy jego twarde przyrodzenie naparło na moje zdecydowanie zbyt miękkie ciało.
– Jesteś cudowna nawet jak masz kaca – szepnął, przygarniając mnie delikatnie do siebie. – Ależ uwielbiam cię przytulać!
– Choć moja kobiecość mówi co innego, tak naprawdę nie mam zbyt wielkiej ochoty na seks – wymamrotałam, czując nadchodzącą falę mdłości. – Chyba będę rzygać.
Dałabym wszystko, żeby zapaść w śpiączkę na czas kaca. Mogłabym się obudzić jutro albo pojutrze rano, rześka, zadowolona i świeżutka niczym francuska bagietka kilka minut po wyjęciu z pieca. Tymczasem czułam się obolała, stara, zmięta, skapcianała i obrzydliwie śmierdziałam wpółstrawioną wodą!
– To moje nowe perfumy – wymamrotałam. – Nazywają się *Alkotraz*.
Tomek z uśmiechem pokręcił głową.
– Więzienie pijaków? To miałaś na myśli, moja kochana?
Trzeba przyznać, że Tomek był moją bratnią duszą. Chociaż czasami się kłócimy, niekiedy nawet rzucając w siebie przedmiotami, to jednak w takich sytuacjach rozumiemy się doskonale.
– Chcę umrzeć – wyznałam, chowając twarz we własnych ramionach.
Przenikające przez do połowy spuszczone rolety słońce drażniło moje obolałe oczy.
– Przejdzie ci za chwilę – powiedział Tomek dziarskim tonem. – Na kaca najlepszy jest rosół z kury.
– Kocham cię, słonko, z całego serca, ale teraz mam ochotę powiedzieć ci tylko jedno. Nie pleć głupot – jęczałam. – Nie mam siły partolić się z kilogramem warzyw i ptasimi udami, żeby upichcić kilka łyżek

zakichanego rosółu, którego i tak nie będę w stanie przełknąć, bo natychmiast wróci na talerz. Nie dzisiaj! Nie w tym stanie! Zamówcie sobie pizzę i dajcie mi umierać w świętym spokoju.

– Wiem o tym – zaśmiał się. – Dlatego sam pojechałem rano na rynek, kupiłem warzywa, nastawiłem rosół i za jakieś pół godziny otrzymasz zdrową zupkę, którą sama zawsze mnie karmiłaś, gdy trzeźwiałem po firmowych spotkaniach.

– To która jest godzina? – Przetarłam ręką obolałą twarz.

Chyba, cierpiąc tutaj, straciłam wiele godzin swojego cennego życia.

– E tam. – Machnął niedbale ręką. – Wczesna. O nic się nie martw.

Dopiero teraz zauważyłam, że jestem naga, a on leży na skraju łóżka kompletnie ubrany.

– Powiedz mi – jęknęłam, nie mając nawet siły i odwagi sprawdzić godziny na zegarku przy łóżku.

– Minęło południe – powiedział z ociąganiem. – Niedawno...

Zbyt długo znałam Tomasza Winiarskiego, żeby dać się na to nabrać.

– Kiedy minęło to „niedawno”?

– Cóż... – westchnął boleśnie. – No tak się składa, że... jakiś czas temu.

– Powiesz mi do cholery, która godzina, czy nie?

– Aleś ty nerwowa! Cóż, południe minęło prawie cztery godziny temu – odparł. – Już przywiozłem chłopców ze szkoły. Wziąłem wolne, bo jak cię rano zobaczyłem... Tak marnie wyglądałaś, że nie byłem pewien, czy w ogóle przeżyjesz!

– Jezu, już po trzeciej? – Próbowałam usiąść, jednak gdy tylko wykonywałam choćby niewielki ruch głową, natychmiast dostawałam ataku mdłości.

– Tak wyszło – powiedział, całując mnie przelotnie w gołe kolano. – Ale nie martw się. Rosołek będzie za dziesięć minut. Za chwilę przyniosę ci ożywczą miseczkę...

– Pieprzę rosołek! – uniosłam się. – Rzygnę, jak tylko zobaczę warstwę tłuszczu na wierzchu!

– Udam, że tego nie słyszałem – mruknął z urazą. Wstał z łóżka i zmierzył mnie obrażonym wzrokiem. – Ty też wmuszałaś we mnie rosołek, kiedy wracałem po firmowych spotkaniach. I nigdy nie narzekałem, chociaż na sam widok zupy miałem ochotę puścić pawia stąd aż do centrum! Taka jest prawda, moja droga!

– Przysięgam, że już nigdy więcej tego nie zrobię. – Uniosłam dwa palce do góry, wciąż nie podnosząc głowy z poduszki. – Zresztą już to mówiłeś. Ze dwa razy, o ile dobrze pamiętam.

– Ale on naprawdę pomagał – powiedział z przekonaniem. – Chociaż było to nieprawdopodobnie wkurzające. Nawet komary nie są tak upierdliwe jak ty, kiedy chcesz mnie nakarmić na kacu. Ja jednak wiem, że robisz to dla mojego dobra i że chwilę po pożywnej zupce jestem jak młody bóg.

– Dzięki wielkie – wymamrotałam. – Jeszcze raz przyrzekam, że nigdy więcej nie zrobię rosółu, jak będziesz zalegał w toalecie po firmowej popijawie. Przysięgam. Po raz kolejny.

Wtedy Tomek zrobił najbardziej dobijającą rzecz z możliwych! Zachichotał! To rozjuszyło mnie jeszcze bardziej.

– Sama zawsze mi tłumaczyłaś, że nie wolno mieszać alkoholi – dodał. – No i proszę, co wyszło z twojego gadania? Zapomniałaś o własnej zasadzie, którą powtarzałaś mi za każdym razem, kiedy chciałem się napić. Jak mogłyście popijać whisky winem?

Zacisnęłam powieki i odchyliłam głowę do tyłu, walcząc z kolejną falą zawrotów głowy.

– Bo whiskacz się skończył... – jęknęłam.

Miałam ochotę rzucić czymś w Tomka, ale pod ręką znajdował się tylko jasiek, który nie wyrządziłby mu niestety żadnej krzywdy. Szkoda więc fatygi. Z bolesnym westchnieniem opadłam głębiej na poduszki. Ból najwyraźniej miał mi towarzyszyć przez cały ten dzień, bo rąbnęłam głową o drewniane wezgłowie.

– Ups... – wyrwało się Tomkowi. – Walnęłaś. I to zdrowo.

Wówczas nadeszła ta chwila, w której nie byłam już w stanie tego wszystkiego znosić. Rozryczałam się. Na dobre. W jednej sekundzie z oczu trysnęły mi fontanny łez. Muszę przyznać, że nigdy bym się nie spodziewała, że mam tak nieprawdopodobnie wydajne gruczoły łzowe. Tomek natychmiast znalazł się przy mnie i mamrocząc coś pod nosem, zaczął rozcierać mi głowę. Wprawdzie nie w tym miejscu, w którym bolało, ale cóż, liczyły się chęci.

– No przestań już, przestań płakać – szeptał, tuląc mnie do siebie.

– Tak mi żal Kaśki – ryczałam jak bóbr, zalewając mu łzami całą bluzkę. – Dlaczego akurat ona zachorowała? No dlaczego, do diabła?

– Na pewno będzie dobrze. Przecież ludzie wychodzą cało z gorszych chorób.

Nie pomogło. Wyłam nadal, zwijając się w żalospną kulkę i wtulając osmarkany nos w ramię Tomka.

– Chcę umrzeć! – wypaliłam nagle.

Tomek zeszywniał.

– Co ty pleciesz? – zapytał.

– Źle się czuję, boli mnie głowa, mam mdłości i jestem bezgranicznie smutna.

– Na szczęście temu wszystkiemu można zaradzić – odparł Tomek trzeźwo. – Poza tym jesteś bardzo potrzebna na tym świecie. Jesteś absolutnie oryginalna. Niezastąpiona. I... moja jedyna.

Uniosłam głowę i spojrzałam na niego przez mokre rzęsy.

– Niezastąpiona? – powtórzyłam naiwnie.

– Oczywiście. – Ucałował mnie w mokre powieki. – Gdzie ja bym znalazł drugą tak wspaniałą mamę dla chłopców? Z którą kobietą żyłoby mi się tak dobrze?

– Akurat takich kretynek jak ja jest na kopy – mruknęłam.

– No nie wiem. Na przykład moi znajomi z pracy też mają żony i dziewczyny, lecz żaden nie ma w domu tak dobrze jak ja. Żaden z nich nie pragnie wrócić zaraz po pracy do rodziny, przytulić swoją żonkę i uściskać dzieci. Wiesz dlaczego? Bo wiedzą, że jak tylko wrócą, czeka ich mnóstwo wymówek, pretensji i narzekań. Wolą siedzieć w robocie albo pod pretekstem firmowych, niezwykle ważnych spotkań spędzać wieczory w barze. To, co robisz dla dzieci i dla mnie, jest naprawdę cenne. Nie tylko o nas dbasz, ale także spinasz wszystkich członków rodziny razem. Prawdziwy dom to nie mury, podłogi i tynki, lecz osoba, dzięki której po całym dniu pracy chcemy wracać w to samo miejsce, bo tylko tutaj czujemy się bezpiecznie i pewnie. Bo tylko tutaj odpoczywamy i zbieramy siły przed kolejną walką. Ty jesteś naszym domem.

Ponownie zaczęłam płakać. Byłam dogłębnie wzruszona monologiem Tomka. Zaskoczyły mnie też jego zdolności oratorskie. Wszak wiedziałam, że nie lubi wyznawać uczuć. Zawsze twierdził, że ważniejsze od głupiego gadania o miłości jest pokazanie kobiecie, jak bardzo ważną jest osobą w twoim życiu. Jego definicja miłości nie opierała się na poetyckich wersach, lecz na okazywaniu przywiązania w życiu codziennym, na wierności, oddaniu, chronieniu najbliższych osób przed złym światem zewnętrznym. Tomek zawsze starał się dbać o mnie i dzieci tak, żebym nie musiała się o nic martwić. Chociaż więc nie szeptał mi na co dzień do ucha czułych słówek, wiedziałam, że kocha nas najbardziej na świecie. Ja zaś gwarantowałam mu to, co dla pracującego mężczyzny jest najważniejsze – poczucie, że jest absolutnie niezastąpiony, kochany i niecierpliwie wyczekiwany przez swoją żonę każdego dnia.

– Przyniosę rosołek – przerwał moje rozmyślenia.

– Z całym szacunkiem do twojego wyjątkowego talentu kulinarnego, ale rzygnę, jeśli zjem chociaż łyżkę – wydukałam. – Mam wrażenie, że nawet cebulki włosków w nosie mnie bolą. – Na myśl o jedzeniu mój żołądek natychmiast fikał nieprzyjemne koziółki. – Mam złe przeczucia – powiedziałam w rękaw bluzy Tomka.

– To znaczy? Chcesz iść do toalety?

- Mam złe przeczucia co do choroby Kaśki – sprecyzowałam.
- Będzie dobrze – szepnął, znów całując mnie w czubek głowy.
- Oj, nie wiem. To nie wygląda dobrze. Serio.
- Ja też nie wyglądałam dobrze, a wciąż żyję... – próbował zażartować.
- Kaśka ma przecież rodzinę – powiedziałam. W końcu udało mi się opanować łzy. – Dzieciaki, męża, który kocha ją nad życie...

Uniosłam oczy i wtedy zobaczyłam dziwną minę Tomka. On coś ukrywał! Znałam go od wielu lat i doskonale wiedziałam, kiedy mnie okłamuje. Po jego minie rozpoznałam nawet, że ukrywa coś ważnego, lecz na szczęście niezwiązanego z nami w sposób bezpośredni.

- Gadaj! – Usiadłam natychmiast i przyszpiliłam go wzrokiem.
- Że co? – Udawał niewiniątko.
- Ty coś wiesz! – Wytknęłam go palcem.
- Nic nie wiem! – bronił się nieudolnie.

Miałam wrażenie, że chciał się podzielić ze mną swoją wiedzą na jakiś tajemniczy temat, lecz nie zamierzał zrobić tego bez walki albo przynajmniej bez targowania.

– Wiesz, co to za choroba? – zgadywałam z uniesionymi brwiami. – Może to coś, co wygląda groźne, ale wcale takie nie jest?

Pokręcił głową.

- Nie wiem – odparł. – O chorobie dowiedziałem się od ciebie. Zanim urwał ci się film.
- Może to jakieś genetyczne świństwo? – ciągnęłam dalej ten wątek.
- Nie! – Jego zaprzeczenie było szczere.
- Lekarz idiota?
- Wątpię. Przykro mi.
- Zepsuty aparat do badań?
- Tym bardziej wątpię. Choć bardzo chciałbym się mylić.
- No to co, do cholery? Choroba weneryczna?! – palnęłam.

Spuścił oczy jak zawstydzona panienka. Wiedziałam, że już go mam.

– Tomek! – syknęłam. – Kaśka ma kogoś na boku?! No nie wierzę!

Odwrócił głowę. Więc nie o to chodziło. Ale byłam blisko.

– Mów do cholery, bo tutaj chodzi o życie mojej najlepszej przyjaciółki! – Ścisnęłam go tak mocno za nadgarstki, że aż pisnął z bólu.

- Marek chyba zdradza Kaśkę – szepnął, wrywając ręce z mego uścisku.
- Chyba?!

Zmierzył mnie udręczonym wzrokiem, rozcierając równocześnie zaczerwienione nadgarstki.

– Tomek, mów do diabła! – ponagliłam go.

– Nie. Bo nie chcę, żeby wyszło, że wiesz to ode mnie!

Skrzyżowałam ręce na piersi.

– Powiedz mi tylko, co widziałeś. Wiesz dobrze, że nie powtórzę tego Kaśce. Przynajmniej nie teraz, kiedy dziewczyna ma na głowie znacznie poważniejsze problemy.

Westchnął i w zadumie spojrzał na sufit.

– Do diabła – spasował wreszcie. – Powiem ci, ale razem zadecydujemy, co dalej z tym zrobić, dobrze? Obiecuj mi.

– Oczywiście. – Natychmiast się zgodziłam.

Usiadł na brzegu łóżka i wziął głęboki wdech, jakby zamierzał ujawnić tajemnicę tysiąclecia.

– Jakies dwa tygodnie temu miałem spotkanie z inwestorem w hotelu Sobieski w Warszawie,

pamiętasz?

Skinęłam głową. Tomek chciał mnie nawet wziąć ze sobą na to spotkanie, ale Maks tego dnia znowu się pochorował.

– Kiedy wchodziłem do restauracji, zobaczyłem Marka. Był taki szczęśliwy, roześmiany. Wręcz promieniował szczęściem – opowiadał dalej.

– Dobra... – Wbiłam w niego wzrok. – I?

– Szedł z kobietą. Obejmował ją w pasie i co chwila całował. W czoło albo w policzek – uściślił.

– O cholera!

– To zdecydowanie nie było firmowe spotkanie, uwierz mi – dokończył cichym głosem. – On w ogóle wyglądał jakoś tak inaczej. Promienniej.

– No to wspaniale! – stwierdziłam kwaśno. – Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

Struchlałam.

– Nie było okazji – wydukałam po krótkiej chwili zastanowienia.

– Co? – Klęknęłam na łóżku. – Co ty gadasz?

– No po prostu... tak wyszło.

– Gadasz głupoty...

– Nie miałem kiedy... Naprawdę...

– Ściemniasz.

– Wcale nie! – zaperzył się. – Mówię tylko to, co widziałem.

– Szlag by to trafił... – westchnęłam. – Ale że Marek?

– No cóż, tak bywa...

Przysunęłam się bliżej i spojrzałam mu w oczy.

– Jesteś przekonany, że to nie było spotkanie zawodowe?

Prychnął.

– Iwonko, moja praca opiera się na licznych spotkaniach z klientami...

– To prawda – przyznałam, przypominając sobie niektóre klientki Tomka.

Przy ich seksownej figurze i wyszukanych strojach czułam się jak pokryta kurzem stara panna.

– No więc...? – ciągnęłam go za język.

– Nie wiem, może niektórzy w ten sposób zyskują klientów... – zaczął ostrożnie. – W każdym razie, moim zdaniem, to była randka. I nie mam tu na myśli niewinnej randki z patrzeniem w siebie w oczy...

– Ale...

– Ale randkę z postojem w hotelu – powiedział z naciskiem.

Potaarłam czoło. Doskonale wiedziałam, co mój mąż miał na myśli.

– Widziałem go tylko przelotem – kontynuował – więc sama wiesz. Nie było szansy na zadawanie pytań.

– Jasna cholera – szepnęłam, zszokowana tą wiadomością.

Marek? Zrobiłby Kasi coś takiego? Przecież mają dzieci, rodzinę, dom... Nie! To nie może być prawda! Kasia jest chora, do diabła! Potrzebuje wsparcia psychicznego. Męża, który pomoże jej w tych trudnych chwilach! Na nic starania moje i Marzeny, skoro zostanie psychicznie pogrzebana przez własnego męża!

– Marek mówił, że tamtego dnia miał szkolenie, o ile dobrze pamiętam – dodał Tomek. – Iwona, on nie pojechał do żadnego Zalesia czy Podlesia. On był na miejscu, w Warszawie. Tylko że w hotelu z inną babą.

– Zabiję dupka! – oświadczyłam, zrywając się z łóżka. Jakimś cudem wszystkie kacowe dolegliwości minęły mi w ciągu jednej chwili. – Oberwę mu jaja, żeby nie płodził takich debili jak on! – warczałam,

wyciągając z szafy ubrania. – Zatłukę go! Uduszę gada gołymi rękami. Bez skrupułów, do cholery! I pamiętaj, jeśli zrobisz mi coś takiego, urządzę cię tak samo! Albo jeszcze gorzej! Jak Bóg mi miły, będziesz błagał o szybką śmierć!

Poderwał się z łóżka.

– Myślisz, że jestem tak głupi, żeby szukać sobie jeszcze jednej baby? Już z tobą ledwo wyrabiam. Psychicznie, fizycznie i finansowo.

– Jasne – uniosłam się. – Bo ja tyle kosztuję! Te wszystkie futra, jaguary, kosmetyki za miliony, kapiąca wokoło platyna i złoto na kilogramy...

– Wiesz dobrze, że nie to miałem na myśli.

Stałam przy szafie i ze złości miętosilałam w rękach nogawkę spodni.

– Zamilkł! – zauważył Tomek, wyrrywając mnie z zadumy.

– Muszę opanować zawroty. – Machnęłam ręką. – I wkurzyłam się. Zwyczajnie.

– Widzę. – Wzruszył ramionami.

– Zawsze miałam wrażenie, że Kasia i Marek są parą idealną. A tu popatrz! – westchnęłam przeciągle.

– Nie powiedziałbym ci o tym, gdyby nie wiadomość o chorobie Kasi. Lubię ją. Zresztą Marka też.

– Dlatego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej?

– Nie. Chyba dlatego, że łudziłem się, że...

– Że co?

– Łudziłem się, że ta dziewczyna i Marek to nieprawda.

Skrzyżowałam ręce na piersiach i zmierzyłam Tomka wzrokiem. Podziałało.

– No nie patrz na mnie w ten sposób.

– Dlaczego? Też masz coś na sumieniu?

Teraz wyglądał na urażonego.

– Wiesz dobrze, że nie o to mi chodzi – syknął.

– To dlaczego nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? – powtórzyłam.

– Już ci mówiłem – odparł zezłoszczony. – Po prostu miałem jakąś głupią nadzieję, że źle odczytałem to, co zobaczyłem.

– I...? – Patrzyłam na niego wyczekująco.

– I dwa dni później znowu ich widziałem. – Ramiona wyraźnie mu opadły. Był przybity. – W Warszawie, na Jerozolimskich. Obejmowali się.

– Szlag mnie trafi.

Podrapał się po głowie.

– Ona jest taka młodziutka. Wygląda jak nastolatka.

Wzruszyłam ramionami.

– Teraz są w sklepach takie kremy, że nawet ze starej babuni zrobią osiemnastkę. Że o operacjach plastycznych nie wspomnę. Trzeba tylko mieć kasę.

Po jego minie widziałam, że się ze mną nie zgadzał.

– Moim zdaniem to była nastolatka – powiedział. – Mimo wszystko...

Z rezygnacją opadłam na łóżko. Wciąż ścisnęłam w rękach dzinsy.

– I co ja mam teraz zrobić? – zapytałam bezradnie.

– Pogadam z nim – powiedział Tomek zdecydowanym tonem. – Wywiem się, jak sprawa wygląda. Tak chyba będzie najlepiej.

Oparłam głowę na rękach. Usiadł obok i delikatnie objął moje ramiona.

– Facet prędzej dogada się z innym facetem. Daj mi kilka godzin, dobrze?

Spojrzałam w te jego zielonoszare oczy. Wiedziałam, że mówi prawdę. Na serio chciał mnie, czy

raczej Kasi, pomóc.

– A co będzie, jeśli potwierdzi, że to jego dziwka?

Spojrzał na mnie z dezaprobatą, choć wyraziłam się najkulturalniej jak potrafiłam i on doskonale o tym wiedział.

– Dobra – spasowałam wreszcie. – Niech ci będzie. Pogadaj z nim. Ja dzisiaj nic nie powiem Kaśce.

– Uff... – westchnął.

– Ale masz jeden dzień. – Uniosłam palec. – Potem muszę pogadać z moją najlepszą przyjaciółką.

Lepiej, żeby dowiedziała teraz, niż...

– Wiem o tym – szepnął, odgarniając mi z czoła jakiś niesforny kosmyk włosów. – Wiem...

Ulżyło mi.

– Tak swoją drogą, dałyście niezłe przedstawienie z tym alkoholem. – Zmienił temat.

– Ooo tak – zgodziłam się. – Chociaż picie to jedna rzecz, w dodatku całkiem niewinna w kontekście pozostałych wypadków. Dziewczyny nieco poniosło...

– Słyszałem o... pocałunku – odparł.

– Cóż, koleżanki zaszalały – powiedziałam cicho. – To pewnie kwestia tej mieszanki alkoholowej. Jestem przekonana, że normalnie by tego nigdy nie zrobiły. Bardzo się lubią, ale nie w TEN sposób. Jestem pewna.

– Tak to jest, gdy za picie biorą się osoby nieprofesjonalne.

– Powiedział światowej sławy pijak – mruknęłam, masując obolałe czoło. – Wymiotujesz zwykle po trzech drinkach, po których większości ludzi nawet by nie zakręciło się w głowie.

– Powinnaś to traktować jako mój dodatkowy walor – zażartował.

– I traktuję – przyznałam.

– Dobra, idę po ten rosółek. I muszę sprawdzić, co robią chłopcy.

Wyszedł, zanim podniosłam głowę ze zmiętoszonej poduszki.

– Ja pierdziele... – jęknęłam, po chwili znów ryjąc twarzą w kolorowej tkaninie.

Jak wybrnąć z tej sytuacji? I jak spojrzeć przyjaciółkom w twarz po tak żenującym spotkaniu? Zaraz, chwilunia – uniosłam lekko głowę – przecież ja nie zrobiłam niczego złego! Dlaczego czuję wyrzuty sumienia?

Zanim do otumanionego alkoholem mózgu dotarło, co robię, z impetem wyciągnęłam z szafy dresy, nie bacząc na wypadające na podłogę inne ubrania. Dwie minuty później, starając się za bardzo nie chwiać, poczłapałam do salonu. Chłopcy unieśli głowy znad stolika, gdzie z dużym skupieniem składali jakiegoś stwora z klocków.

– O, mama zeszła – zauważył Maks, znowu pochylając głowę nad plastikowym wiaderkiem klocków.

– Zeszła to znaczy, że umierła – oświadczył Benek.

– Nie mówi się umierła, tylko umarła – poprawił go odruchowo starszy brat.

Z kuchni natychmiast wychylił się Tomek, niosąc na tacce miseczkę z parującym płynem.

– Właśnie zamierzałem zanieść ci słynny rosółek...

– Muszę iść do dziewczyn – jęknęłam, chwytając się mocniej balustrady, bo na widok miski z jedzeniem świat nagle zaczął nieprzyjemnie wirować.

– Może najpierw jednak coś zjedz...

– Nie. – Uniosłam jedną dłoń. – Bałam się, że jeśli drugą też puszczę balustradę, z hukiem polecę na twarz. – Muszę porozmawiać z Kasią. Koniecznie. Sam doskonale wiesz, że to sprawa życia i śmierci!

– Może cię zawiozę?

Ta sugestia Tomka tylko mnie zdenerwowała.

– Przecież wystarczy przejść przez ulicę... – wymamrotałam, łapiąc za klamkę desperackim ruchem

i wychodząc na zewnątrz. – Więcej czasu zajęłoby wyprowadzenie auta z garażu. I dokąd mnie podwieziesz? Dziesięć metrów dalej?

– Weź kurtkę. – Usłyszałam za sobą. – Pada deszcz. I to mocno.

Tomek miał rację. Lało jak z cebra. Bez słowa pozwoliłam się odziać w wiatrówkę, a nawet owinąć jakimś szaliczkiem, który przeszedł zapachem rosołu. Zanim wyszłam, na policzku poczułam delikatnie muśnięcie jego ust.

– Czy przeprowadzić cię przez tę niezwykle ruchliwą ulicę? – drażnił się ze mną.

– Wypchaj się. – Zdecydowanym krokiem ruszyłam w stronę bramy. – To jest sprawa, którą muszę załatwić sama, rozumiesz?

– I tak cię Kocham. – Usłyszałam, kiedy z trzaskiem zamykałam za sobą furtkę.

Moje przyjaciółki

Chociaż dom mój i dom Kasi dzieliło jakieś sto metrów, to muszę przyznać, że tego dnia ten krótki odcinek wydawał mi się nieskończenie długi. Zanim przebrnęłam przez ulicę, odprowadzana czułym wzrokiem mego męża, który stał na ganku, miałam wrażenie, że padnę na kolana – tak byłam osłabiona. Wprawdzie kolejna fala mdłości jakoś minęła, być może za sprawą chłodnego wiatru niosącego ze sobą miliony drobniutkich kropelek deszczu, ale rezerwy moich sił topniały niczym wczesnowiosenny śnieg. Gdy w końcu oparłam ręce o pomalowaną na biało bramę Wrońskich, zrobiło mi się tak niedobrze, że musiałam na chwilę przystanąć.

– Cześć, kochana. – Usłyszałam za plecami.

Obok mnie pojawiła się Marzena, owinięta ciasno przydługą kurtką, prawdopodobnie należąca do Łukasza.

– Zdycham – oświadczyłam rzewnym tonem.

– Tak samo jak ja – przyznała, także ściskając dłońmi mokre pręty. – Nawet nie wiem, jak się doczołgałam do domu. Katastrofa po prostu...

– A o pocałunku z Kasią pamiętasz? – zapytałam, opierając się plecami o furkę.

Miałam gdzieś, czy ktoś za chwilę otworzy ją, czy nie. Musiałam usiąść. Z cichym piskiem zsunęłam się na mokrą podmurówkę.

– Jesteś kolejną osobą, która mi to wypomina – jęknęła Marzena, kucając obok. – A ja serio nic z tego nie pamiętam. Jakbym amnezję miała.

– Gdyby nie fakt, że obie macie mężów, byłabym gotowa pomyśleć, że łączy was lesbijska miłość – stwierdziłam.

Marzena roześmiała się.

– Uwierz mi, bardzo lubię Kasię, ale nie żywię do niej tego rodzaju uczuć.

– Wczoraj wyglądało to inaczej.

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, dlaczego to zrobiłam – wyznała. – Pewnie alkohol zadziałał. Iwona, ja bardzo lubię Kasię, ale jako przyjaciółkę.

Skinęłam głową.

– Rozumiem – szepnęłam. – Nie ma sprawy.

– Dzięki – powiedziała, ściskając lekko moje ramię. – Jesteś superkoleżanką.

– Tylko jak to wszystko wytłumaczyć waszym mężom?

– Och, już to załatwiłam – zaśmiała się. – W końcu po pijaku człowiek robi różne głupstwa. Łukasz na studiach, kiedy sobie popił z koleżkami, pływał w Wiśle na plecach.

Zastanowiłam się, coż dziwnego może być w pływaniu.

– Pływał na golasa – dodała. – I to tuż przy Wawelu. Zatrzymała go policja i spędził noc w areszcie. Sam, bo reszta grupy związała. Na szczęście nie było jeszcze wówczas aparatów w telefonach i Facebooka, bo filmik z nim z pewnością zrobiłby furorę w sieci. Tak więc po takim wybryku całowanie się

z przyjaciółką wypada co najmniej blado, moja droga.

– To fakt – przyznałam.

Przez chwilę stałyśmy w ciszy, patrząc na błyszczące od gęstej mżawki, czarne gałęzie drzew. Pomiędzy nimi przeskakiwała gromada wróbli, ćwierkając przy tym wesoło.

– Idziesz do Kaśki? – zapytała w końcu Marzena.

– Potrzebowałam wyjść z domu – westchnęłam. – Tomek zrobił mi rosół. Boję się, że będzie to mój ostatni posiłek w życiu.

Znowu śmiech.

– Chciałaś pożegnać się wcześniej ze światem czy jak?

– Nie zrozum mnie źle. – Wzruszyłam ramionami. – Tomuś umie gotować, ale zupy nie są jego mocną stroną. Z rosółem zaś miał dotąd do czynienia tylko na talerzu...

– Rozumiem...

Wstałyśmy z murku i powoli ruszyłyśmy w stronę ganku.

Przycisnęłam rękę do brzucha. Na samą myśl o jedzeniu zrobiło mi się niedobrze.

– Mój żołądek wciąż protestuje – wyjaśniłam, widząc pytające spojrzenie Marzeny. – Nie wiem, co będzie, gdy spróbuję rosółu, w którym aż kipi od dziwacznych przypraw. Oby tylko nie były indyjskie...

– Myślisz, że użył takich cudów jak zioła prowansalskie, curry czy bazylia? – zażartowała.

– To możliwe – skinęłam głową. – Mógł jeszcze w szale gotowania wrzucić tam korzeń imbiru, papryczki jalapeño i świeżą trawę cytrynową. Wcale bym się nie zdziwiła.

– Wydaje mi się to mało prawdopodobne – powiedziała po chwili zadumy Marzena. – W końcu na kilka imprez przygotowywał różne przystawki i wychodziły naprawdę świetnie. Nie każdy potrafi zrobić takie frykasy jak sushi czy kalmary.

– Ale zanim nauczył się robić je takie smaczne, musieliśmy przebyć długą drogę...

Stanełyśmy wreszcie przy drzwiach domu Kasi. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, Marzena zdecydowanym ruchem wdusiła przycisk dzwonka. Gdzieś za drzwiami rozległo się sopranowe ding-dong.

– Myślisz, że po tym wszystkim będzie chciała nas widzieć? – spanikowałam nagle.

– A czemu nie? – Marzena była zdziwiona tym pytaniem. – Przecież nie zrobiłyśmy nic złego!

– My nie – powiedziałam z powątpiewaniem w głosie. – Ale ty...

– Och, przestań!

Drzwi otworzył nam teść Kasi, sympatyczny pan Stasiu Wroński, po którym Marek odziedziczył gabaryty i urodę.

– Młodych nie ma – wyjaśnił nam. – Marek pojechał z Kasią do kliniki na jakieś badania. Zadzwonili do nich z samego rana... Jakaś bardzo pilna sprawa... Nie chcieli wyjaśniać przez telefon... Kasia od razu uznała, że wyniki są aż tak złe... Trudny temat, panie dziejcu...

Nie wnikałam w jego nieco chaotyczną opowieść. Po prostu od razu podziękowałam za informację i obróciłam się na pięcie. Marzena widać zrobiła to samo, bo zanim złapałam klamkę furtki, ona już była przy mnie.

– Jedziemy do tej cholernej kliniki – powiedziała zdecydowanym tonem.

– Ale po co? – Uniosłam brwi.

– Może będzie nas potrzebować – zdenerwowała się.

– Nie wiem – wahałam się. – Wszystkiego się dowiemy, gdy wróci...

W oczach Marzeny też zobaczyłam niepewność.

– Może masz rację? – myślała na głos. – W końcu teraz jest przy niej Marek. Kto jak kto, ale on najprędzej pozbiera naszą Kasię w trudnych chwilach...

Wtedy wstąpił we mnie jakiś szatan. Natychmiast przypomniałam sobie słowa Tomka, który nie dalej niż godzinę temu opowiadał mi o paniencie obściskiwanej przez rzekomo wspaniałego Marczka. Krew się we mnie zagotowała. Poczułam instynktowną potrzebę wsparcia mojej przyjaciółki w tej megatrudnej chwili.

– Myślę, że powinniśmy jednak pojechać do Kasi.

Marzena spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

– Jesteś pewna? Jeszcze przed chwilą nie chciałaś.

– Jedziemy. Żeby ją wesprzeć. Nam to lepiej wyjdzie niż Markowi. – Uznałam, że takie wyjaśnienie powinno jej wystarczyć.

– Co? Iwona, czy ty się dobrze czujesz? Bo jakoś tak gadasz, no... pieprzysz głupoty, mówiąc po ludzku.

Na pierwszy rzut oka miała rację, ale moje postanowienie ostatecznie miało głębszy sens, a Marzena nie wiedziała tego, co ja! Nie miała pojęcia o dziewczynie obejmowanej w hotelu przez Marka. Jasna cholera! I co ja miałam zrobić? Szczegółowo powtórzyć Marzenie to, co opowiedział mi Tomek? Sprowadzić ją na ziemię boleśnie szczerą historią o niewiernym małżonku pieszczącym w pokojach hotelowych jakąś nastoletnią dziwkę, podczas gdy nasza kochana przyjaciółka walczy być może ze śmiertelnie niebezpiecznym wrogiem?

Zatrzęsło mną ze złości.

– Jedźmy, proszę! – powiedziałam krótko.

Marzena rozłożyła ręce.

– Okej, w porządku – oświadczyła. – Ale moim zdaniem nie jesteśmy tam potrzebne. Wystarczy jej Marek. On najlepiej będzie wiedział, co zrobić, jeśli się okaże...

– Panie pojedą – wtrącił nagle pan Wroński, który zaaferowany całą sprawą, szedł za nami aż do furki. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że przez cały ten czas przysłuchiwał się naszej rozmowie. – Kasia was lubi. Cokolwiek jej powiedzą u tego lekarza, będzie jej lżej, gdy za drzwiami zostanie najlepsze przyjaciółki.

Bez namysłu stanęłam na palcach i złożyłam szybki pocałunek na łysej głowie nestora rodziny Wrońskich.

– Kocham pana – wyznałam, łapiąc Marzenę za ramię i ciągnąc ją za sobą.

– To miłe. – Uśmiechnął się. – Ale proszę pozwolić, że zachowam to zdarzenie i pani słowa dla siebie. Moja żona jest bardzo zazdrosna.

– Niech będzie – krzyknęłam, zamykając za sobą furkę. – Do widzenia!

Pociągnęłam stawiającą opór Marzenę w stronę mojego domu.

– I co teraz zrobimy? – zapytała, wyrywając wreszcie rękaw swojej kurtki z mojego uścisku.

– Jak to co? Pojedziemy do lekarza. Tylko musimy znaleźć kogoś, kto nas zawiezie, bo ze mnie jeszcze alkohol nie wyparował. Wolę nie ryzykować. Spróbuję namówić Tomka.

Kiedy dochodziłyśmy do bramy, Marzena nagle się zatrzymała, spoglądając w kierunku domu Puchaczowej.

– Patrz, u pani Staszki jest Hela. – Pokazała palcem. – Widzisz? Wsiada do samochodu.

Marzena miała rację. Hela, odziana w ciemnoróżową kurtkę, czarne spodnie i purpurową apaszkę, wpychała właśnie do swojego małego, czerwonego daewoo jakąś monstrualną torbę.

– Nie wiedziałam, że ona ma prawo jazdy – mruknęłam, obserwując z zainteresowaniem, jak Hela uderza pięściami w torbę, byleby tylko przepchnąć ją przez drzwi. – Nie wiedziałam, że w ogóle ma auto.

– Ma, ale rzadko nim jeździ. – Marzena skinęła głową. – Raz na kilka tygodni robi wielkie zakupy dla

siebie i Staszki. Wiesz, proszki, cukier i inne ciężkie rzeczy. Tylko wtedy wytacza swój pojazd z garażu.

– No proszę, jestem pod wrażeniem.

– Chodź, zapytamy ją, czy przypadkiem nie wybiera się do miasta. – Tym razem to Marzena złapała mnie za rękaw.

– Niech będzie – poddałam się. – Ale nie mówimy nic o Kasi.

– Jasne.

Szybkim truchtem ruszyliśmy w jej kierunku, bo akurat znowu zaczął siąpić nieprzyjemny deszczyk.

– Jadę do miasta – odpowiedziała Hela. – Mogę was podrzucić do przychodni. Jedna niech wsiada do przodu, druga zaś musi się zmieścić na tylnym siedzeniu obok torby z ubraniami. Chcę oddać niepotrzebne ciuchy do kościoła, bo urządzono tam zbiórkę. Czy coś się stało?

Wiadomo było, że Hela nam nie odpuści, dopóki nie dowie się wszystkiego.

– Chcemy zobaczyć się z Kasią – wypaliła Marzena. – Jest chora i teraz ma dodatkowe badania.

Sprzedawałam jej kopniaka. Przecież miała niczego nie mówić!

– Słyszałam o tym. – Hela wsiadła do auta i zaczęła, aż uporamy się z pasami.

W tym klaustrofobicznie małym samochodzie, dodatkowo wypchanym gigantycznym worem, poczułam, jak wszystkie ściany na mnie napierają. Bałam się, że za chwilę mój żołądek znowu w przykry sposób przypomni mi o wczorajszych wybrykach.

– No i oczywiście słyszałam też o zrobionej naprędce imprezie – dodała ironicznie.

– W porównaniu z panią nawet TVN24 nie jest na bieżąco – powiedziała Marzena.

Hela potraktowała jej słowa jako komplement.

– A dziękuję, dziękuję. – Skinęła głową. – Zawsze potrzebny jest ktoś, kto będzie wiedział, co się dzieje na ulicy. Taka osoba jest niezbędna do prawidłowego funkcjonowania osiedla i jego mieszkańców.

– A niby dlaczego? – dociekała Marzena, starając się najwyraźniej odwrócić uwagę sąsiadki od tematu Katarzyny i jej problemów zdrowotnych.

Hela wzruszyła ramionami, dociskając równocześnie pedał gazu. Małe autko posłusznie wypruło na ulicę i włączyło się do ruchu tuż przed rozpędzoną furgonetką. Nie mogłam krzyknąć ze strachu, bo żołądek podszedł mi do gardła.

– Na przykład pomagam się dogadać po kłótniach – powiedziała, zmieniając ze zgrzytem biegi. Jechała środkiem ulicy. Gdzieś z tyłu jakiś wściekły kierowca zatrąbił dwa razy. – Wał się, pedale! – Wystawiła przed wsteczne lusterko środkowy palec. – Wiecie, dziewczyny, ja lubię, gdy wokoło panuje harmonia i spokój. Gdy sąsiedzi odnoszą się do siebie życzliwie i z szacunkiem. Kiedy wieczory można spędzać wspólnie, niemalże jak w gronie rodzinnym. Dzięki temu w sytuacjach kryzysowych można zawsze liczyć na pomoc sąsiedzką.

Kierowca, który trąbił, właśnie nas wyprzedzał, grożąc Heli pięścią i wykrzykując jakieś chamskie epitety. Na szczęście przez zamknięte szyby nie sposób było go usłyszeć. Zanim wjechał na pas tuż przed naszą maską, zdążył na pożegnanie zaprezentować swój wyprostowany, wyjątkowo długi trzeci palec, do którego, prawdopodobnie by przebić Helę, dołączył wystawiony język.

– O, ten na przykład. – Hela wskazała go brodą. – No kultury za grosz nie ma! Przecież widzi, że do ruchu włączyła się starsza kobieta. Nic wyrozumiałości. Co za świat! Wszystko na psy schodzi i tyle!

Zerknęłam w panice na Marzenę. Moja przyjaciółka siedziała trupioblada, trzymając się siedzenia i klamki w drzwiach, jakby zamierzała wyskoczyć z pojazdu przy najbliższej okazji.

– To chyba tutaj powinienam skręcić – powiedziała nagle Hela. – Zapomniałam, że mam was przecież podwieźć do przychodni.

Nagle zatrzymała pędzący ponad sto na godzinę samochód. Hamulce pisnęły przeraźliwie, kiedy wdusiła pedał do końca. Zmieniła bieg na wsteczny i zaczęła cofać bez żadnego ostrzeżenia.

– Jezu Chryste – jęknęła Marzena, widząc przez tylną szybę szybko zbliżającą się ciężarówkę. – Ja nie chcę umierać!

– Spoko – mruknęła Hela, skręcając bez kierunkowskazu w prawo.

Marzena zaczęła wrzeszczeć. Mnie też się to udzieliło. Zacisnęłam powieki równie mocno jak dłonie. Usłyszałam zza pleców basowe trąbienie, potem poczułam, jak Hela ostro skręca. Zarzuciło nas na jakiś krawężnik, ale dla niej nie był to powód, by zwolnić.

– No i czego się tak drzecie? – Jej głos był przesycony ironią. – Przecież nic się nie stało. Wszystko gra. Już prawie jesteście na miejscu.

– I całe szczęście – jęknęłam, wolno otwierając oczy.

Dwie minuty później wypadliśmy z zaparkowanego w poprzek linii daewoo. Hela oczywiście nie zamierzała puścić nas samych. Musiała osobiście sprawdzić, co się dzieje. Zanim jednak wygramoliła się z auta, my zdążyliśmy odejść kilka metrów.

– Ja pierdzielę, nigdy więcej nie wsiądę z nią do samochodu – sapnęłam. – Kiedy prawie wjechał w nas ten tir, zobaczyłam calutkie życie przed oczami i uwierz mi, uświadomiłam sobie, że jeszcze nie czas opuszczać ten ziemski padół. Jak mogłaś mnie wsadzić do tego cholernego auta? Czyś ty, babo, kompletnie oszalała?

– Nie wiedziałam, że z niej taki pirat drogowy. – Marzena powoli odzyskiwała kolory na pobladłej twarzy. – Ale zgadzam się z tobą. Wolę wracać na piechotę.

Hela wreszcie uporała się z zamkiem w drzwiach.

– No to co? Idziemy?

Złapała nas obie pod ramiona i wepchnęła do obszernego holu z recepcją.

– Jak ją znajdziemy? – zapytała Marzena.

Hela zdecydowanym krokiem podeszła do eleganckiego kontuaru i przez chwilę rozmawiała z recepcjonistką – młodziutką, zgrabną kobietką ubraną w niesamowicie obcisłą, białą bluzkę.

– Na drugim piętrze, sala dwieście sześć. – Wróciła do nas po chwili z informacją.

– No to do windy – mruknęłam.

Piętro prywatnej przychodni także było urządzone elegancko i przytulnie. Kroki tłumiła jasnozielona wykładzina w drobne wzorki, ściany zaś zdobiły gigantyczne fotografie liści i traw. Z sufitu poprzez jasne przeszklenia padało pięknie rozproszone światło. Przy każdym gabinecie stało kilka pokrytych pomarańczową skórą krzeseł.

Na końcu korytarza znaleźliśmy właściwy gabinet. Teraz od naszej przyjaciółki oddzielała nas jedynie cienka warstwa drzwi, pod którymi nerwowo krążył Marek. Gdy nas zobaczył, zatrzymał się na chwilę i spojrzał na nas zmartwionym wzrokiem.

– Zaraz, zaraz – zapytała Hela, przyglądając się tabliczce na drzwiach. – Bartłomiej Janicki. Ginekolog-wenerolog. To ona jest u ginekologa? A po cóż?

– Zadzwonili do nas dzisiaj rano i powiedzieli, że mają wyniki krwi i chcą je omówić. – Marek wzruszył ramionami. – Nie wiem, dlaczego skierowali ją akurat do tego gabinetu. Może nie mieli miejsca gdzie indziej?

– I nic wam więcej nie powiedzieli? – dociekała Hela.

– Nic a nic. – Marek nagle zmarszczył brwi. – A tak w ogóle, to co wy tutaj robicie? I to wszystkie?

Zatrzymał wzrok na Heli, której najwyraźniej nie miał ochoty oglądać akurat dzisiaj, teraz i w tym miejscu.

– Chciałyśmy wesprzeć psychicznie twoją małżonkę – powiedziałam, opierając się plecami o ścianę.

Nie chciałam siadać. Bałam się, że gdy to zrobię, znowu poczuję mdłości i ten nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– Tak bardzo się o nią martwię – wyznał ponurym tonem. – Ten telefon rano totalnie mnie rozbił.

Zacisnęłam zęby. Słowa Marka, choć brzmiały szczerze, mnie jednak wydawały się wierutnym kłamstwem. Pamiętałam o tym, co opowiedział mi Tomek.

– Wszystko będzie dobrze. – Marzena niespodziewanie położyła rękę na ramieniu Marka. – Zobaczysz, czuję to. Może mają dla Kasi dobre wiadomości?

– Dobre wiadomości? – prychnęła Hela. – Jestem stara, a jeszcze się nie spotkałam z czymś takim, żeby ze szpitala dzwonili z dobrymi wiadomościami.

Zgromiłam ją wzrokiem, ale na Helę to kompletnie nie działało.

– Może trochę więcej optymizmu? – warknęła Marzena.

– Prawdę mówię – Hela rozłożyła ręce – oni dzwonią tylko wtedy, gdy jest fatalnie. Albo jeszcze gorzej.

– Cisza! – Uniosłam rękę. – To chyba koniec wizyty.

Usłyszałam Kasię, jak podeszła bliżej drzwi i wymieniła jeszcze kilka uwag z lekarzem. Po chwili klamka wreszcie się poruszyła.

Gdy Kasia wypadła na korytarz, zdarzyło się coś, czego żadna z nas się nie spodziewała. Spojrzała najpierw na mnie, potem na Helę, wreszcie zmroziła wzrokiem przerażoną Marzenę. W końcu jej wzrok zatrzymał się na Marku, który stał dokładnie na środku korytarza z miną człowieka czekającego na tragiczną wiadomość. Za jej plecami zobaczyłam bladą i zmęczoną twarz lekarza, z którym dopiero co rozmawiała. Wszyscy wstrzymaliśmy oddech.

– I jak kochanie? – Marek odezwał się pierwszy, rzucając się w jej kierunku z rozłożonymi ramionami.

– Powiedz słonko, że będzie dobrze...

CHLAST! Dostał z przysłowiowego liścia, zanim zdążył zrobić dwa kroki. Chyba do niego nie dotarło, co się stało, bo z głupawym uśmiechem i z wyciągniętymi rękami nadal szarżował na Kasię. CHLAST! Drugi policzek był mniej trafiony. Marek oberwał paznokciami w oko.

– Dlaczego mnie bijesz? – zapytał z żalem.

– Chyba cię oskalpuję, zasrańcu jeden! – wrzasnęła Kasia, łapiąc go za poły kurtki i potrząsając nim jak marionetką. – Uduszę cię! Zrozumiałeś, idioto!?

Lekarz cofnął się za próg gabinetu i zza półprzymkniętych drzwi obserwował z ciekawością całe zajście. Na korytarzu pojawiło się też kilka osób zwabionych wysokim kobiecym krzykiem, ale Kasia nic sobie z tego nie robiła. Biła Marka, wyrzucając przy tym z siebie jazgotliwym głosem wiele na pozór niezwiązanych ze sobą epitetów.

– To wszystko przez ciebie, bęcwale jeden – darła się. – Chyba cię dzisiaj zamorduję!

– Przeze mnie!?! – zapytał głupio.

– Tak! Ty mi to zrobiłeś!

– Ja?

Nagle kopnęła go. Musiało zabołeć, bo miała na sobie botki zakończone szpicem. Marek natychmiast złapał się za łydkę.

– Chwila, spokojnie. – Hela pierwsza wkroczyła do akcji. Próbowwała złapać Kasię za rękę, ale jej się nie udało. – Jak to jego wina? O czym ty mówisz? Zrobił ci dziecko czy jak?

– Nie, cholera! – wrzasnęła Kasia, wbijając palec wskazujący w klatkę męża. – To nie jest żaden śmiertelny guz, ale przez przypadek w badaniach wyszła inna sprawa! Choroba weneryczna. Wyjątkowo, kurwa, parszywa! To ty mi ją sprzedałeś, draniu jeden!

Chwila prawdy

– A niech mnie! – Hela aż sapnęła z przejęcia. – A niech mnie...

Powtórzyła te słowa kilka razy, jakby sama nie wierzyła w to, co właśnie usłyszała. Dla odmiany Marzena zamarła w bezruchu, wpatrując się w Marka wzrokiem będącym mieszaniną obrzydzenia i zawodu. Ja też, trzeba przyznać, byłam zszokowana. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć, jak się zachować, jak zareagować. Przed naszymi oczami rozgrywała się scena, której żadna z nas nie miała odwagi albo siły przerwać. Stałyśmy więc, czekając na rozwój sytuacji.

Do zwyzywania swojego męża Kasia użyła chyba wszystkich obraźliwych słów, jakimi dysponuje nasza rodzima mowa. Muszę przyznać, że jej zasób słownictwa w tym zakresie był do pozazdroszczenia.

– A myślałam, że wyraz kurwa jest najbardziej obraźliwy – powiedziała cicho Hela, która stała pomiędzy mną a Marzeną.

– Jest takie słowo jak pierdolec? – zastanawiała się Marzena.

– Najwyraźniej tak. – Skinęłam głową. – Skoro Marek tak żywo na nie zareagował.

Marek wreszcie zdołał złapać swoją żonę za nadgarstki.

– Ja nic nie zrobiłem – krzyknął, próbując przycisnąć ją do siebie. – O co ci chodzi, do diabła? Możesz mi wreszcie powiedzieć?

Kasia była jednak w amoku. Szarpała się desperacko, próbując nawet ugryźć Marka w nadgarstek.

– Myślę, że powinien pan wejść ze mną do gabinetu – powiedział nagle lekarz, który przez cały czas stał w drzwiach. – Najlepiej będzie, jeśli małżonka zostanie tutaj. Czy ktoś może zająć się panią Wrońską przez chwilę? Ja porozmawiałbym z drugim... hmmm... pacjentem.

Spojrzał na nas przez okrągłe szkła okularów.

– Oczywiście! – powiedziałam, robiąc krok do przodu. – Zaczekamy z koleżanką na korytarzu.

– Byłbym wdzięczny – mruknął.

– Ale nie wiem, czy uda nam się ich rozdzielić – powiedziała Hela.

– Do roboty. – Marzena podkasła rękawy i zdecydowanym krokiem ruszyła do przodu.

Lekarz też starał się pomóc. Wreszcie wciągnął zdezorientowanego Marka do gabinetu. Nam w przydziale została rozdygotana ze złości Kasia.

– Musiał się puszczać w pracy – sapała ze złości. – Trzymajcie mnie, dziewczyny, bo mu coś zrobię. I nie będzie to nic dobrego.

Starając się ją uspokoić, udało nam się wreszcie usadzić Kasię na krześle.

– Co powiedział lekarz? – zapytała Marzena.

– Że jestem zarażona jakimś gównem przenoszonym drogą płciową – rzuciła Kasia, patrząc z wściekłością na zamknięte drzwi, za którymi znajdował się Marek.

Gdyby w tym momencie jej wzrok miał zdolność unicestwiania ludzkich istot, to na sto procent lekarz i jej mąż padliby trupem.

– Da się to wyleczyć? – zapytałam.

– Tak. – Skinęła głową. – Wystarczy brać antybiotyki i jeszcze jakieś inne świństwa.

– Ale nie ma to nic wspólnego z guzem? I guz nie jest niebezpieczny?

– Raczej nie – sapnęła ze złością. – To wyszło przypadkowo.

– Toż to wspaniała wiadomość! – Hela starała się ją pocieszyć. – Będziesz brała leki i po sprawie. Są przecież gorsze choroby, na przykład AIDS. Tego się nie wyleczyć tabletkami.

– Wspaniała? – Kasia znów zaczęła się unosić. – Wspaniała!?

– Chodzi o to, że wyjdiesz z choroby – powiedziałam, mając nadzieję, że to ją uspokoi.

Kasia jednak nagle się rozryczała.

– To nie jest wspaniała wiadomość – chlipnęła. – Okazało się, że mój Marek to puszczański donżuan!

Och, Boże... Wolałabym już tego raka...

– Nie wolno ci tak nawet myśleć – upomniała ją Hela – a co dopiero mówić takie rzeczy!

– Mam to gdzieś! – Kasia ryczała jak bóbr. – Będę musiała się roozwieść...

Wraz z Marzeną starałyśmy się tamować chusteczkami higienicznymi potoki łez, które obficie tryskały z gruczołów łzowych Katarzyny.

– Zaraz się odwodnisz – próbowała żartować Marzena.

Wszystkie starałyśmy się pocieszyć naszą przyjaciółkę. Niestety efekt był odwrotny do zamierzonego. Płacz Kasi przeszedł w głośny lament. Inni pacjenci, czekający na swoje wizyty, z ciekawości niby to przypadkiem kręcili się blisko nas. Sytuacja wymagała szybkiego opracowania odpowiedniej strategii, dzięki której uspokoiłybyśmy rozhisteryzowaną Katarzynę, pozbywając się przy okazji niechcianej publiczności.

– Może chodźmy do łazienki? – zaproponowała trzeźwo Hela. – Zaraz sprawdzę, czy ta duża, dla inwalidów, jest otwarta.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest ta łazienka – mruknęłam, wpychając Kasi w ręce kolejne dwie chusteczki.

– Jeśli wierzyć znaczkom na drzwiach, to tutaj. – Hela wskazała palcem ciemnobrązowe drzwi znajdujące się trzy metry od nas. – Dobra, nikogo tutaj nie ma. Chodźcie. Zmieścimy się wszystkie.

– Proszę zostać na straży przed drzwiami – poprosiłam Helę, kiedy już udało nam się zapakować Kasię do środka. – Jakby lekarz skończył rozmawiać z Markiem...

– Dobra, dam znać – dokończyła za mnie. – To jest valium na uspokojenie. Niech połknie w trakcie rozmowy. Przystanie tak histeryzować.

Wyjęła z torebki blister z ciemnymi pigułkami.

– Dobrze. Bardzo dziękuję.

Łazienka była spora, więc bez problemu zmieściliśmy się w niej we trzy. Marzena opuściła deskę sedesową i posadziła na niej Kasię.

– Musisz się uspokoić – tłumaczyła, ścierając jej troskliwie spod oczu szare paski po tuszu do rzęs. – A jak już wyjdziemy z tej przychodni i dorwiemy tego twojego Mareczka, to przysięgam, że mu jaja oberwę. Osobiście!

– Nakopiemy mu tak, że nie będzie mógł siedzieć! – dodałam, widząc, że nasze groźby skutkują.

Kasia przestała płakać, za to w jej oczach zobaczyłam chęć zemsty. Trzeba przyznać, że przechodziła z jednego stanu psychicznego w drugi w oszałamiającym wręcz tempie.

– Przypalę mu papierosem czoło – oświadczyła nagle.

– Może być – przytaknęłam zaskoczona. – Tylko że żadna z nas nie pali...

– Użyję zapalniczki samochodowej – dodała. – Uszlachetnimy tę jego piękną buźkę. Zostawimy pamiątkę. Niech inni widzą z daleka, że mają do czynienia z puszczałskim nosicielem syfa!

– Upijemy go do nieprzytomności i zrobimy mu kiepski tatuaż. Na gębie najlepiej – dodałam.

– Dobre. – Na twarzy Kasi pojawił się mdławy uśmiech. – Najchętniej jednak zagrałabym na jego

jelitach jak na banjo.

Spojrzałam na nią zaskoczona. Skąd w jej głowie takie pomysły? Zaraz potem okazało się, że to tylko wierzchołek góry lodowej.

– Wyrwiemy mu jelita i owiniemy wokoło szyi tak, żeby się udusił. – Marzena najwyraźniej się rozkręcała. – Wcześniej oczywiście zrobisz sobie z nich banjo, skoro tak bardzo ci na tym zależy.

– Dziewczyny, chyba was trochę ponosi. – Nie wytrzymałam. – Zaczynacie gadać głupoty.

– Ale jak to wspaniale poprawia humor! – Marzena ruchem głowy wskazała Kasię, która wreszcie ostatecznie przestała płakać.

Urwała spory kawałek papieru toaletowego i sama próbowała jakoś doprowadzić do ładu zaczerwienioną twarz. Gdy ona skupiła się na swoim odbiciu w lustrze, ja wymownie spojrzałam na Marzenę. To była odpowiednia pora, żeby poważnie pogadać z naszą przyjaciółką. Powinnam powiedzieć jej to, czego dowiedziałam się o Marku. Tylko jak zacząć tak trudną rozmowę?

Na razie nie chciałam przerywać okraszonego mściwymi określeniami wywodu Kaśki. Może gdy się trochę wyżyje słownie, spokojniej zniesie moją nowinę potwierdzającą niestety zdradę Marka.

– Co za kawał bęcwała z niego... Dupek jeden... Niby taki kochający... Czują... Że poza dziećmi świata nie widzi... Kretyn... Casanova od siedmiu boleści...

Ten monolog trwał i trwał, naszprycowany mniej lub bardziej wulgarnymi epitetami pod adresem Marka. Słuchałam go jednym uchem, przytakując odruchowo i szukając odpowiedniego momentu na podzielenie się z nią swoją wiedzą na ten temat.

– ... a tu się okazało, że jest dokładnie taki sam jak jego głupi brat bliźniak... Zawsze miałam nadzieję, że chociaż wyglądają identycznie, to jednak we łbie tego kretyna Mareczka jest coś innego... Ale się myliłam. Jeden i drugi mają takie piękne czupryny z tego prostego, cholera, powodu. W ich łbach zamiast mózgu jest kupa nawozu! – Kasia ochlapała twarz zimną wodą, żeby czerwone plamy szybciej zeszyły.

Stałam oniemiała. Oczywiście wstrząsnęła mną nie kwiecista przemowa na temat charakteru Marka, lecz fakt, że na świecie jest drugi, dokładnie tak samo wyglądający Mareczek.

– To on ma brata bliźniaka? – zapytałam w końcu.

– No ma, a co? – Kasia odwróciła się od lustra. – Wyglądają jak dwie krople wody. Sama ledwie ich odróżniam.

– A gdzie on mieszka? – drążyłam.

– Gdzieś w Łodzi, ale często przyjeżdża do Warszawy. Pracuje w branży hotelarskiej. Nie wiem, co dokładnie robi prócz tego, że chędoży wszystko, co się rusza. Czasami dzwoni do Marka, jak jest w Warszawie, i umawiają się wtedy na mieście. Ostatnio kręci się z jakąś lalą, która mogłaby być jego córką.

– Dlaczego ja go tutaj nigdy nie widziałam? – chciała wiedzieć Marzena.

– Bo nie odzywam się do niego. – Kasia wzruszyła ramionami. – Kiedyś na jakiejś dyskotecie udawał, że jest Markiem i zaczął się do mnie dobierać.

– Słodko – parsknęłam śmiechem. – Ale dobrze, że przynajmniej to się wyjaśniło.

– To znaczy co? – Kasia uniosła brwi. – Że co się wyjaśniło?

– Cóż, mój Tomek miał kiedyś spotkanie w hotelu. No i był przekonany, że widział Marka z młodą panną, jak się, hm, bawili – wyjaśniłam. – Marek go minął bez słowa, obejmując tę dziewczynę, chociaż na sto procent go zauważył.

– Super – mruknęła.

– Wiesz, Tomek myślał, że Marek po prostu nie chciał z nim rozmawiać.

– Ale teraz na szczęście wszystko się wyjaśniło. – Marzena radośnie klasnęła w dłonie. – Marek nie może cię zdradzać.

– Nic się nie wyjaśniło. – Kasia znów zacisnęła ręce w pięści. – Mam jakiegoś syfa, którym musiał mnie zarazić Marek. Z powietrza raczej go nie wziął, prawda?

– To fakt – musiałam się zgodzić.

Marzena oklapła. Do łazienki zapukała Helka.

– Dziewczyny, Marek wyszedł z gabinetu.

– Nie chcę go nawet oglądać. – Kasia ze złą miną skrzyżowała ręce na piersiach.

– Przestań, musimy się dowiedzieć, co lekarz ma do powiedzenia.

– Dziewczyny! – Hela znów zapukała. – Pan doktor chce porozmawiać z Kasią i Markiem.

Równocześnie.

Marzena bez słowa przekręciła kluczyk i otworzyła drzwi.

– Chodź. – Lekko wypchnęłam Kasię. – Dowiemy się, co ma do powiedzenia, dobrze?

Kasia nie ruszyła się nawet o krok.

– Musisz wiedzieć. W końcu chodzi też o dzieci. – Marzena pociągnęła ją za ramię. – No! Idziemy!

Wreszcie Kasia z zaciętą miną wyszła z łazienki i niechętnie stanęła przy Marku. Lekarz powiedział im, żeby koniecznie przyszli do niego następnego dnia o ósmej rano.

– Wtedy będę miał wyniki wszystkich potrzebnych badań, aby postawić ostateczną diagnozę – wyjaśnił, odruchowo poprawiając stetoskop, który zsuwał mu się z szyi. – Jeszcze dzisiaj wieczorem natomiast pan Wroński będzie mógł odebrać wyniki analizy swojej krwi.

Na koniec szybko mruknął do widzenia i ukrył się drzwiami swojego gabinetu.

– Chodźmy do domu – powiedział Marek, próbując złapać żonę za rękę.

– Po moim trupie – warknęła. – Nie chcę cię widzieć. Zabieram dzieciaki i idę do... do Iwony.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Naprawdę bardzo lubiłam i Kasię, i Marka. Uważałam, że powinni tę sprawę rozwiązać sami, między sobą.

– Nigdy cię nie zdradziłem – powiedział, nie zwracając na nas uwagi. – Dla mnie jesteś tylko ty, rozumiesz?

– Chyba sam nie wiesz, co mówisz – syknęła. – Więc skąd mamy tę chorobę? Z powietrza, do diabła!?

– Kochanie, nie mam pojęcia...

– Nie kochanij mi tu teraz! – prychnęła. – Mam dosyć! Rozumiesz? Dostyć!

Obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę windy. Marzena z Helą pognały za nią, wołając, by zaczekała.

– Ale ja naprawdę nic nie zrobiłem. – Marek stał na środku korytarza przygarbiony, patrząc na mnie nieszczęśliwym wzrokiem.

Zrobiło mi się go żal. Podeszłam i położyłam mu rękę na ramieniu.

– Będzie dobrze – powiedziałam cicho. – Wezmę ją i dzieciaki do siebie. Pogadamy. Może jakoś uda się ją uspokoić.

– Dobrze, dzięki. – Spuścił głowę.

Uścisnęłam mu jeszcze ramię na pożegnanie i poszłam za przyjaciółkami, zostawiając głowę rodziny Wrońskich na środku pustego już teraz korytarza przychodni.

Życie toczy się dalej

Reszta tego nietypowego dnia na długo pozostanie w mojej pamięci. Córkę Kasi – Michalinę – odebrał z przedszkola Tomek. Małego Adasia Kasia zabrała od swojej matki. W ciągu kilkunastu minut nasz dom z cichego i spokojnego miejsca zamienił się w istne wariatkowo. Na szczęście Tomek stanął na wysokości zadania. Zajął się starszymi dziećmi, zostawiając pod naszą opieką jedynie Adasia oraz dochodzącą w piekarniku pieczeń rzymską.

– Zjedzcie rosółek – powiedział, ledwie przekroczyliśmy próg domu. – Iwona, ty nic dzisiaj nie jadłaś. Zaraz zrobi ci się niedobrze z głodu.

Tak przejęłam się problemami Wrońskich, że moje własne cierpienia żołądkowe zeszyły na dalszy plan. Dopiero kiedy Tomek znów wyjechał z tym swoim rosółkiem, poczułam znajomy, nieprzyjemny ucisk w górnej części brzucha.

– Jakoś zbladłaś – zauważył, zbliżając się do mnie z parującą miseczką.

– Nie wiem, czy to przeżyję – wyznałam. – Tomuś, skarbie, naprawdę nie chcę sprawiać ci przykrości...

– Spróbuj – przerwał mi. – Kasiu, ciebie też zaraz poczęstuję.

– Nie jestem głodna – wymamrotała Kasia, padając na sofę z salonie. – Chcę umrzeć!

Tomek spojrział na mnie pytającym wzrokiem.

– Przechodzi klimakterium – wyjaśniłam krótko – i to w wyjątkowo parszywy sposób.

– Aha, okej. – Wzruszył ramionami i zabrał się za wyjmowanie talerzy, jak gdyby nigdy nic.

Dopiero po krótkiej chwili dotarło do niego, co powiedziałam.

– Ale zaraz! Czy ona nie jest za młoda na...

– Ciii... – Przyłożyłam palec do ust.

Złapałam Tomka za ramię i pociągnęłam za sobą do spiżarki. Tam napędce wyjaśniłam, dlaczego Kasia jest u nas i czemu w tak podłym nastroju.

– Więc to nie był Marek, tylko jego brat bliźniak? – ucieszył się. – Ale heca! Kamień z serca.

– Chorobą weneryczną jednak Kasia musiała jakoś się zarazić, co nie?

– A kto powiedział, że od Marka? – zapytał Tomasz. – Ona to co, w tango nie mogła pójść?

– Jesteś idiotą – zauważyłam.

– Nie – zaperzył się. – Ja tylko zadałem ci proste pytanie. Dlaczego, kiedy kobieta łapie syfa, to jej partnera od razu oskarża się o rozwiązły tryb życia?

Zamilkłam. Cholera, miał rację. Wszyscy od razu wsiedli na biednego Mareczka, podczas gdy nikomu nawet nie przeszło przez myśl, że Kasia mogłaby... Zaraz, zaraz. Nie wszyscy, tylko my, kobiety. Akurat tak się złożyło, że same kobiety brały udział w szpitalnym zamieszaniu. Żadnej z nas nie przyszło do głowy inne wyjaśnienie niż zdrada Marka.

– Nie, to niemożliwe. – Potrząsnęłam szybko głową. – Przecież Adaś ma zaledwie kilka miesięcy. Kiedy Kaśka miałaby czas, żeby... No wiesz...

– Uprawiać seks? – zapytał brutalnie. – Robić figo-fago? Miętosić się?

– Cicho! – syknęłam. – Po prostu jak kobieta ma małe dzieci, to poszukiwanie erotycznych uniesień jest na szarym końcu jej długiej listy rzeczy do zrobienia. Jako facet w życiu tego nie zrozumiesz.

– To fakt – przyznał. – Ale muszę przyznać, że wcale nie jest mi przykro, że jestem facetem. Wszakże gdybym był kobietą, nie bylibyśmy teraz tak cudownym małżeństwem.

Chociaż mnie rozśmieszył swoim wywodem, to jednak z całej siły starałam się utrzymać poważną minę.

– Nie mam teraz czasu na twoje gdybania – wypaliłam. – W salonie czeka na mnie rozżalona przyjaciółka. Musimy ją jakoś uspokoić.

– Biedaczka – mruknął.

– Wiesz, dlaczego ona jest w takim stanie? – zapytałam.

– Już mi powiedziałaś...

– Przez was!

– Że jak? – zdziwił się. – Przecież ja nie miałem nic wspólnego z tym wszystkim...

– Ogólnie! – Przewróciłam oczami. – Przez płęć, pozał się Boże, męską.

– Uff, spoko – odparł z ulgą. – Skoro chodzi tylko o pretensje do mężczyzn w ogóle, to nie ma problemu.

Czasami jego poczucie humoru doprowadzało mnie do szału! Przecież sytuacja była bardzo poważna, tymczasem zaś mój mąż wcióż się wygłupiał.

– Proszę, nie teraz – westchnęłam. – Ona potrzebuje pomocy i wsparcia.

Spowaźniał.

– Nie ma sprawy – powtórzył. – Jestem gotów do działania.

– Dzięki – powiedziałam, wychodząc ze spiżarni.

– Ale rosółku ci nie odpuszczę. – Usłyszałam za swoimi plecami.

– Upierdliwiec jeden – rzuciłam. – Już ci powiedziałam, że...

– Tak, tak – przerwał mi. – Jest ci niedobrze, boli cię żołądek, flaki i dzieje się tysiąc rzeczy równocześnie. Ale jeść musisz! Będę uparty tak samo jak ty, kiedy próbujesz we mnie wmusić posiłek na wytrzeźwienie. Już ci mówiłem, że nie odpuszczę i koniec!

– Daj ten cholerny rosół!

Złapałam miskę i patrząc na męża z wyrzutem, zaczęłam jeść. Wpychałam w siebie w pośpiechu makaron, którego na szczęście było niewiele, wonną siekaną pietruszkę i paski marchewki. Pochłonięłam całą zawartość miski w dwie minuty, po czym z hukiem odstawiłam ją do zlewu.

– Teraz jesteś szczęśliwy!?

Tomek, zamiast się wkurzyć, posłał mi szeroki uśmiech.

– Smakowało? – zapytał.

– Jak jasna cholera! – warknęłam.

– Dolewkę dostaniesz za jakieś pół godziny, jeśli uda ci się utrzymać w żołądku to, co teraz zjadłaś – oświadczył, wyciągając miskę ze zlewozmywaka i chowając ją do zmywarki.

Starając się zapanować nad gniewem, poszłam do Kasi, która w międzyczasie wyszła na taras, żeby ochłonać. Stała oparta o jedną z kolumn podtrzymujących zadaszenie i wpatrywała się w kopę zagrabionych liści, których nie zdążyłam jeszcze spalić.

– Chodź do środka – powiedziałam, dotykając jej ramienia. – Tutaj jest zimno i nieprzyjemnie. Rozchorujesz się.

– Mam to gdzieś – wymamrotała, nie odrywając wzroku od poszarzałych liści. – Zwisa mi to.

– No chodź, zrobię ci dobrą kawę. Mam twoją ulubioną, orzechową.

Z miną cierpiącego zwierzątka dała się wreszcie zaciągnąć do środka. Chwilę później siedzieliśmy

w salonie, pijąc kawę, a potem dwie herbaty. Razem z dziećmi zjadłyśmy rosół, który okazał się wyjątkowo delikatny i smaczny. Tomek pękał z dumy, widząc, jak nasi chłopcy i Misia proszą o dokładkę zupki. Nawet mały Adaś z chęcią wsunął jedną maleńką porcję, gaworząc podczas karmienia i radośnie rozpryskując rozdrobniony makaron na wszystkie strony.

Ostatecznie humor Kasi poprawiła Marzena, która wpadła do nas ze świeżo upieczoną szarlotką. Pół godziny później przyszła Emilka. O problemach Kasi dowiedziała się oczywiście od wszechwiedzącej Wąsowej. Gdy natomiast dołączyła do nas Hela, taszcząc ze sobą wielkie ciasto dyniowe, Tomek szybko spakował kawałek placka i pojechał do biura, żeby trochę popracować, bo w domu zaczynało się robić dla niego zdecydowanie za głośno.

– No i masz, kolejna schadzka – powiedziała Marzena, kładąc na ladzie kuchennej talerz z ciastem. – Ale dzisiaj przynajmniej bez alkoholu.

– Może przeniesmy się do salonu – zaproponowałam.

– Ale po co? – zapytała Hela. – Przecież twoja kuchnio-jadalnia czy jak to tam się nazywa jest jednym z najprzyjemniejszych miejsc na Brzozowym Zaułku.

– Naprawdę? – ucieszyłam się.

Wszystkie zgodnie pokiwały głowami i rozsiadły się wzdłuż lady na barowych krzeselkach.

– Ma świetny klimat – potwierdziła Kasia.

– Mogłabym tutaj przesiedzieć całutki boży dzień – dodała Marzena. – Żałuję, że nie zrobiliśmy z Łukaszem takiej wydłużonej lady barowej u nas w domu. Jest idealna.

– No i przydaje się pewnie nie tylko do spożywania posiłków – zażartowała Emilia.

– Przestań – syknęła jej Hela w ucho.

– Tego akurat z Tomkiem nie sprawdzaliśmy – powiedziałam, zerkając z ukosa na Kasię.

Kasia na szczęście nie usłyszała tej części rozmowy, bo podbiegła do niej Michalina, domagając się większej ilości cukierków oraz natychmiastowej wizyty w toalecie. Kasia roztropnie najpierw poszła z małą do łazienki.

– Myślę, że nasza obecność poprawiła Kasi trochę humor – szepnęła mi do ucha Marzena.

– Na to wygląda – zgodziłam się. – Dzięki, że przyszłyście. Jesteście kochane.

– To nasza przyjaciółka – odparła Emilia. – Musimy się wspierać. Mam nadzieję, że też będę mogła na was liczyć, kiedy będę przechodziła załamanie nerwowe.

– Ależ oczywiście. – Marzena skłoniła się z uśmiechem. – Jesteśmy do dyspozycji przez całą dobę i siedem dni w tygodniu.

– Chyba cię trochę ponosi – prychnęłam śmiechem.

– Ależ skąd. – Marzena wzruszyła ramionami. – Nawet największy smutek łatwiej przezwyciężyć, kiedy wiesz, że w domu obok mieszka ktoś, na kogo zawsze możesz liczyć.

– I dwa domy obok też – dorzuciła Hela.

– I cztery domy dalej – uzupełniła Emilia.

– No właśnie.

Naszą dyskusję przerwał dzwonek do drzwi. Śmiejąc się, pobiegłam, by otworzyć. Na progu stał Marek, ściskając w ręce foliową koszulkę z jakimiś papierami.

– Mogę porozmawiać z moją żoną? – poprosił, nie wchodząc jednak do środka.

– Nie! – Tę szybką odpowiedź usłyszałam, zanim zdążyłam otworzyć usta.

W holu stała Kasia i wrogim wzrokiem taksowała Marka.

– Nie mam ochoty z tobą rozmawiać ani teraz, ani rano ani nigdy! Spadaj stąd. Daj mi spokój!

– Kaśka, musimy pogadać – powiedział poważnym tonem, akcentując słowo musimy.

– To ja was może zostawię – próbowałam się wycofać, lecz Kasia złapała mnie za łokieć z taką siłą, że

aż zaboląo.

– Nigdzie nie pójdiesz! Zamknij te cholerne drzwi, bo inaczej ja to zrobię, ale nie gwarantuję, że witraż obok nich to przeżyje.

– Nie chcę się wtrącać w waszą kłótnię – uniosłam ręce w pokojowym geście – ale Kasiu, uważam, że powinnaś z nim porozmawiać. Może ma ci coś ważnego do powiedzenia?

– Mam to gdzieś!

Minęła mnie i z rozmachem zatrzasnęła drzwi, omal nie łamiąc przy tym Markowi nosa.

– Kaśka, źle robisz – powiedziałam, lecz mnie nie słuchała.

Zamaszystym krokiem poszła do kuchni. Z głębokim westchnieniem obróciłam się na pięcie z zamiarem dołączenia do moich przyjaciółek, lecz usłyszałam ciche pukanie do drzwi. Powoli je uchyliłam i ze smutkiem spojrzałam na Marka.

– Stary, naprawdę nie wiem, co robić – szepnęłam. – Obiecuję, że się postaram jakoś jej przemówić do rozsądku, ale...

– Daj jej to – powiedział, podając mi przezroczystą koszulkę z dokumentami.

– Co to jest? – zapytałam, wyciągając rękę.

– Wyniki badań – odparł. – Właśnie je odebrałem z przychodni. Iwona, ja JESTEM ZDROWY.

Czyja wina?

– Ja pierdzielę, ale jaja! – wydusiła z siebie po raz kolejny Marzena, krążąc nerwowo po kuchni. – Naprawdę, aż nie wierzę, że to wszystko dzieje się naprawdę.

– Jak to, do cholery, jest możliwe? – zastanawiała się Emilia, rozkładając bezradnie ręce.

– Ale historia... Coś takiego! – szeptała Hela, zastanawiając się jednocześnie, komu najpierw sprzedać tę informację.

Patrzyłam na nie, trzymając w dłoniach wyniki badań, które potwierdzały, że chorobę weneryczną ma tylko i wyłącznie Kasia. Marek był zdrowy. Wszystkie badania krwi i jakieś tam wymazy wskazywały na to, że jednak nie puszczał się na prawo i lewo, jak to sobie wyobraziła jego żona. Kasia pochyliła się nad ladą.

– Możemy pogadać? – powiedziała do mnie cicho. – Najlepiej same.

– Jasne. Chodź.

Zaprowadziłam ją do naszego gabinetu. Starannie zamknęłam drzwi i podsunęłam przyjaciółce jedno z dwóch obrotowych krzeseł. Siadając, ze złością rzuciła swój telefon komórkowy na biurko.

– Wiem, co sobie myślisz, ale nigdy go nie zdradziłam ani nic takiego.

Popatrzyłam na nią ze zdziwieniem.

– Przecież ja nie powiedziałam, że...

– Widzę to twoje pełne wyrzutu spojrzenie – przerwała mi, machając ze zniecierpliwieniem ręką.

Pokręciłam głową i głośno wypuściłam powietrze.

– Odkąd jestem żoną Marka, nawet nie całowałam się z innym facetem – dodała Kasia. – Zresztą przy małych dzieciach człowiekowi na wszystko mija chęć. Jestem szczęśliwa, gdy mogę przespać chociaż połowę nocy.

– Od tego akurat nie można się zarazić chorobą weneryczną. Przynajmniej z tego co wiem... – stwierdziłam.

– Przez co się zatem zaraziłam?

Patrzyła na mnie, czekając na odpowiedź, a przecież ja nie jestem lekarzem. Nie znam się, do cholery, na tym, w jaki sposób można złapać syfa. Oprócz seksu bez zabezpieczeń nic mi nie przychodziło do głowy. Badania natomiast mówiły same za siebie. Kasia była chora, a jej mąż nie.

– Nie wiem, co mam ci powiedzieć – odparłam cichym głosem. – Nie znam się na wenerologii...

– Na pewno zaraziłam się po urodzeniu Adasia. – Kasia potarła skronie. – W trakcie ciąży wielokrotnie robiłam badania i wszystko było okej. Potem jeszcze tydzień po porodzie... Też wszystkie były w normie – myślała głośno.

Podrapałam się po głowie.

– Czyli od tego czasu minęło...

– Ponad pół roku – dokończyła za mnie.

Usiadłam na wolnym krześle, patrząc w zadumie przez okno na zamglony ogródek, bramę i uliczkę, przy której przyszło mi mieszkać.

– Wirusem HIV można się zarazić u fryzjera – przypomniałam sobie. – Kiedy przetnie się skórę brudnym narzędziem, używanym wcześniej przez chorą osobę... Wprawdzie zdarza się to rzadko, ale jednak.

– Ale ja nie mam żadnego wirusa HIV! – uniosła się. – Rany boskie, jeszcze tego by brakowało!

– Nie o to mi chodzi – powiedziałam spokojnie. – Być może w podobny sposób można się zarazić chorobami wenerycznymi. Przynajmniej niektórymi. Już ci mówiłam, że się na tym nie znam.

Kasia bez słowa zaczęła krążyć po pokoju. Patrzyłam jak skupiona na swoich kłopotach chodzi od okna do drzwi.

– Może jednak pocałowałaś kogoś zarażonego? – zapytałam cicho.

Spojrzała na mnie wrogo.

– Jakoś nie słyszałam, żeby można było się zarazić, dając komuś buziaka w policzek. W usta zaś mam zwyczaj całować tylko męża.

Od razu przypomnieli mi się jej soczysty pocałunek z Marzeną, lecz wolałam nie wspominać o nim teraz. Poza tym dziewczyny całowały się już po badaniach. Skrzyżowałam ręce i oparłam się o blat stołu kreślarskiego, na którym leżał niedokończony projekt jakiegoś dwupiętrowego domu.

– Może jednak pocałowałaś kogoś, no wiesz, tak mocniej? – drażylałam dalej.

Kasia zatrzymała się przede mną.

– No wiesz, z języczkiem – dokończyłam ciszej, widząc jej miazdzące spojrzenie.

– Chcesz mi pomóc czy mnie dobić? – wypaliła.

Pokręciłam głową.

– Przepraszam. Po prostu szukam logicznego wytłumaczenia. – Wzruszyłam ramionami. – Może zaraziłaś się w szpitalu po urodzeniu Adasia?

– Robiłam wtedy wszystkie badania ginekologiczne. – Znowu zaczęła chodzić po pokoju. – Wyszłoby to od razu.

– Pewnie tak – zgodziłam się. – A zastrzyków jakichś nie brałaś?

– A skąd! – Machnęła ręką jakby odpędzała wyjątkowo natrętnego komara. – Na szczęście nie było takiej potrzeby.

– Może szwy po porodzie?

– Nie miałam żadnych szwów.

– Może coś cię ugryzło?

– Ostatnio Marek, jak się za bardzo rozochocił po imprezie halloweenowej.

Omam nie prychnęłam śmiechem, bo wyobraźnia podsunęła mi przebranego w swój halloweenowy strój Marka gryzącego swą żonę w szyję.

– Jezu, no to nie wiem! Może w autobusie?

Kasia wzięła się pod boki.

– Iwona, co ty pleciesz?

– No, tam ciasno jest... – Staralam się bronić, chociaż wiedziałam, że ta sugestia była wyjątkowo głupia.

Prawda była jednak taka, że nic mądrzejszego nie przychodziło mi do głowy. Wszelkie logiczne wytłumaczenia zostały już wykluczone.

– Jeżeli już rozmawiamy o tak abstrakcyjnych zdarzeniach, to musiałabym się przypadkiem nabić na wzwód jakiegoś faceta – warknęła. – A uwierz mi, tak się nie stało. Pamiętałabym.

– No tak, przepraszam. – Poddałam się. – Przykro mi, ale ja już po prostu nie mam innych pomysłów.

Kasia przestała wreszcie ciskać się po gabinecie i z ciężkim westchnieniem oparła się o parapet.

– Ja też nie mam – przyznała smutnym głosem. – Kurde, strasznie tu u ciebie gorąco.

– Otwórz okno – zasugerowałam.

– Nie, nie trzeba...

Mówiąc to, zaczęła ściągać cienutki sweterek, który miała założony na bluzkę. Kiedy przeciskała ubranie przez głowę, koszulka podniosła jej się do góry, odsłaniając tatuaż usytuowany tuż nad pupą. Miał kształt kilku misternie splecionych ze sobą gałązek z drobnymi listeczkami. Na pierwszy rzut oka nie było widać, że środkowe gałązki tworzą dwie splecione ze sobą litery – K i M.

– Masz tatuaż? – zapytałam z uniesionymi brwiami. – Wow! Nie wiedziałam. Jaki słodziutki!

– Marek mi sprezentował. Jakoś pod koniec wakacji – odparła, składając sweter. – To dziwne, że minęło tyle czasu, a ten tatuaż wciąż mnie trochę piecze.

Przyjrzałam mu się bliżej.

– Rzeczywiście jest jakoś dziwnie zaczerwieniony.

Nagle mnie olśniło. Czytałam kiedyś w jakiejś babskiej gazecie krótką wzmiankę o niebezpieczeństwach, jakie niesie ze sobą tatuowanie ciała. Były wśród nich różne choroby, których można się za jego pośrednictwem nabawić. Była tam mowa o HIV, wyjątkowo niebezpiecznej odmianie zapalenia wątroby i tęzczu. Skoro więc przez wbicie zabrudzonej igły w ciało można zarazić się HIV albo tęzczem, to dlaczego nie chorobą weneryczną?

– Powinnaś pokazać ten tatuaż swojemu lekarzowi – powiedziałam poważnym tonem.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem, ale po chwili pojęła, o co mi chodzi.

– Myślisz, że to od tego?

Skinęłam głową.

– To bardzo możliwe. Niewiele wiem o tatuażach, ale masz go od wakacji i wciąż cię piecze... Tak chyba nie powinno być.

– Jutro rano zadzwonię do przychodni. Teraz pewnie już wyszedł.

– Bo ja wiem... – Zerknęłam na zegarek. – Jest dopiero po siedemnastej, a przecież przychodnia jest otwarta do dwudziestej pierwszej. Spróbuj.

Podalam jej telefon.

– Zadzwoni do przychodni i zapytaj – zachęciłam. – Jeśli go już nie ma, to umówisz się od razu na jutro.

Wyszukała odpowiedni numer i zadzwoniła. Nie chciałam jej przeszkadzać, więc wstałam i nacisnęłam klamkę w drzwiach.

– Zostań, proszę – poprosiła, przykrywając dłonią głośnik przy telefonie.

– W porządku.

Zaczekałam, aż Kasia połączy się z recepcją. Dosyć długo i zawile tłumaczyła komuś, w jakiej sprawie dzwoni. Wreszcie skończyła rozmawiać.

– Lekarz jest jeszcze przez godzinę. Wprawdzie ma umówionych pacjentów do końca, ale jeśli sytuacja jest wyjątkowo pilna, mogę wejść pomiędzy kolejnymi wizytami.

– Jest pilna jak diabli! Nie ma na co czekać! – Zerwałam się z miejsca. – Trzeba jechać i to wyjaśnić.

– Iwona, pojedziesz ze mną? – poprosiła, znów wbijając się w sweter.

Zatrzymałam się w progu.

– Nie, moja droga – powiedziałam, oglądając się na nią. – Powinnaś pojechać ze swoim mężem. W drodze wyjaśnicie sobie wszystko. Wiesz, że to bardzo ważne, prawda?

Niechętnie przytaknęła.

– Zadzwoni do niego i powiedz, co się dzieje – dodałam, otwierając drzwi. – Ja zaczekam na ciebie w holu.

Zostawiłam ją samą w gabinecie. Wiedziałam, że tym razem potrzebowała chwili prywatności, żeby wyjaśnić z Markiem tę trudną sprawę.

Gdy z zamiarem sprawdzenia, co się dzieje u dzieci w salonie, mijałam schody na piętro, ktoś cicho zapukał do drzwi wejściowych. Nim zdążyłam podejść, drzwi się otworzyły i do środka wszedł Marek. Rozmawiał przez telefon z Kasią. Właśnie jej mówił, że jest na miejscu. Pokazał mi uniesiony do góry kciuk. Był szczęśliwy, że sprawa się wyjaśniła. Z uśmiechem wskazałam mu drzwi gabinetu.

– Jest tam – szepnęłam.

Skinął głową w podziękowaniu.

– Co się dzieje? – Z salonu wyrzała Marzena, a tuż za nią Emilia.

– Gołąbki się godzą – mruknęłam, puszczając do nich oko.

– Och, to takie romantyczne. – Emilia klasnęła w dłonie. – Oni są taką cudowną parą. Też bym tak chciała.

– Są cudowną parą – przyznałam jej rację.

– Wiecie już, gdzie złapała tę chorobę? – zapytała.

– Nie wiemy na pewno, ale chyba przez tatuaż.

– Przez tatuaż? – Rozszerzyła oczy ze zdziwienia. – To Kasia ma tatuaż?

– Tuż nad tyłkiem – wtrąciła się do rozmowy Marzena.

– Nie wiedziałam. – Emilia wyglądała na zawiedzioną.

– Ja też nie. – Wzruszyłam ramionami. – W każdym razie ten tatuaż ją piecze, więc może jest tam jakiś stan zapalny. A z tego, co wiem, na igle do tatuowania można przenieść różne choroby.

– Jasna cholera – mruknęła Marzena. – To rzeczywiście może być ten tatuaż. Kiedyś czytałam o dziewczynie, która się zaraziła HIV przy przekłuwaniu uszu.

– W każdym razie – ciągnęłam – Kasia zadzwoniła do swojego lekarza i ma ją przyjąć jeszcze dziś. Uznałyśmy, że będzie najlepiej, jeśli pojedzie do przychodni z Markiem.

– A my? – zapytała Emilia.

– My zostaniemy tutaj, moja droga, i zajmujemy się ich dziećmi – powiedziała Marzena.

– Właśnie – poparłam ją. – Chodźmy do kuchni. Zrobimy dzieciakom coś do jedzenia i poczekamy na nich.

Kilka minut później, kiedy kroiłam chleb, zobaczyłam przez kuchenne okno, jak Kasia z Markiem w objęciach szli w stronę samochodu. Miałam nadzieję, że sprawa jej choroby wyjaśni się jeszcze dzisiaj i w domu Wrońskich znowu zagości rodzinna sielanka.

– Marek to dobry facet – powiedziała Emilia, która rozkładała kromki na talerze i smarowała nutellą. – Kurde, wszystkie trafiłyście na fajnych facetów. Tylko ja mam pecha.

– Nie martw się – powiedziałam. – Przyjdzie czas i na ciebie. Ten jedyny na pewno jest dużo bliżej niż sądzisz, ale musisz być cierpliwa i rozsądna.

W tym czasie Marzena z Helą starały się jakoś usadzić małą gawiedź przy stole. Dzieciaki piszczwały i przekrzykiwały się nawzajem. W końcu Marzena nie wytrzymała i obiecała, że jak będą cicho, do kolacji będą mogły (oczywiście w drodze wyjątku) obejrzeć bajkę. Moja kochana przyjaciółka liczyła, że w ten prosty sposób uda jej się uspokoić nasz rozwrzeszczony chórek, lecz niestety przeliczyła się. Przy stole wybuchła awantura o to, jaką bajkę będą oglądać. Misia oczywiście chciała *Monster High*, która w starszych grupach przedszkolnych była prawdziwym hitem. Mój Benek obstawał przy *Spidermanie*. Maks z Dawidkiem darli się, że chcą serial o smokach, a mały Adaś, siedzący w foteliku do karmienia przyniesionym przeze mnie z piwnicy, walił plastikową łyżką w blat, wrzeszcząc: „Amu, amu!”. Najwyraźniej miał na myśli jakąś konkretną bajkę, lecz nikt z nas nawet nie starał się dociekać, o którą właściwie chodzi.

– Prawdziwy dom wariatów – skwitowała to wszystko Hela. – Ale jakże kochany i przytulny.

– Ja to załatwię – mruknęłam, odkładając chleb.

Podeszłam do stołu, gdzie przyszłość narodu kłębiła się niczym stado wściekłych węży, wzięłam pod boki i zrobiłam groźną minę.

– Jeśli będziecie wrzeszczeć, zamiast bajki włączę program z wiadomościami.

– A fe! – skrzywił się Maks. – Tam mówią tylko o zabitych.

– Ma rację – przyznała Emilia. – Też nie oglądam takich kanałów.

Zmierzyłam ją karcącym spojrzeniem.

– Ale pokazują policję – wtrącił Dawidek, wpychając sobie palec do nosa. – Lubię policję. I trupy. Trupy też lubię.

– Ale ja nie chcę oglądać programu o trupach! – zaperzył się Maks. – Wolę coś o samochodach. Albo samolotach.

– Czy będzie wreszcie spokój? – powtórzyłam pytanie, biorąc do ręki pilota.

To niewielkie i niepozornie wyglądające urządzenie, gdy wyłądowało w mojej dłoni, wywołało natychmiastową reakcję. Przy stole zapadła kompletna cisza. Nawet Adaś przestał walić łyżką o blat i z zainteresowaniem obserwował dynamiczną zmianę akcji.

– Teraz już lepiej – powiedziałam. – Puszczę wam taką bajkę, którą każdy chętnie obejrzy. Nawet dorośli. Dobrze?

Bez słowa patrzyli na mnie, nie mając zielonego pojęcia, co odpowiedzieć. Nawet Hela przestała gadać. Jej wyczekujący wzrok był wart więcej niż wszystkie dziecięce spojrzenia razem wzięte.

Seria *Tom i Jerry* okazała się strzałem w dziesiątkę. Wszyscy oglądali przygody kota i myszki z prawdziwą przyjemnością. Udało nam się w ten sposób zapanować nad dziećmi do powrotu Kasi i Marka. Co ciekawe, najwięcej uciechy z *Toma i Jerry'ego* miała... Hela. Siedziała przy dzieciach i śmiała się najgłośniej, od czasu do czasu wycierając „spoczone” oczy rąbkiem ręcznie haftowanej chusteczki.

– Z wiekiem człowiek jednak dziecinnieje – skomentowała to Marzena. – Ciekawe, czy na starość zacznę oglądać serię o kucykach.

– To samo sobie pomyślałam, kiedy włączałam bajkę – odparłam.

Z Marzeną i Emilią siedziałyśmy na barowych krzeselkach przy ladzie. Piłyśmy herbatę, czekając na powrót Wrońskich.

– Patrz, przytulają się do niej – szepnęła nagle Marzena, łapiąc mnie za rękaw.

Rzeczywiście Michalina oraz Benek, który siedli obok przyszywanej ciotki Heli, wtulili się w jej ramiona. Ona zaś z roztargnieniem głaskała ich czupryny. Misię nawet lekko pocałowała w czubek głowy.

– Szkoda, że nigdy nie miała dzieci – westchnęła Emilka. – Byłaby z niej świetna matka.

– To prawda – przyznałam, widząc, jak dzieciaki lgną do tej starszej kobiety niczym do własnej babci.

– Ogólnie Hela jest w porządku – dodała Marzena, zerkając z ukosa na zgromadzone przed telewizorem dzieci – chociaż mogłaby być mniej wścibska.

Zapatrzyłam się na Helę.

– Ale wiesz, czasami potrzebna jest taka osoba jak ona – odparłam po chwili namysłu. – Ktoś, kto będzie interesował się życiem każdego z mieszkańców osiedla i miał zdolność łączenia pewnych spraw...

Sądząc po minach, dziewczyny najwyraźniej mnie nie rozumiały.

– Po prostu pomimo tego, że wszyscy tutaj się przyjaźnimy, to nie zawsze jedni drugim mówią niektóre rzeczy.

Nie bardzo wiedziałam, jak to wytłumaczyć, by dziewczyny nie rozumiały mnie opacznie.

– Mów dalej – zachęciła mnie Emilia, marszcząc w zadumie swoje cieniutkie brwi.

– Taki człowiek jak Hela Wąs jest niezbędny, by zbierać wszystkie informacje, przetwarzać je w odpowiedni sposób i przekazywać kolejnym osobom.

– Niestety wciąż nie rozumiem. – Marzena pokręciła głową. – Staram się z całej siły, ale nie ogarniam tego.

– A ja wręcz przeciwnie – powiedziała Emilia. – Masz rację Iwona, Hela jest niezbędna na naszej ulicy.

Marzena wpatrywała się w nasze twarze, starając się pojąć, o co nam chodzi.

– Ona jest jak koordynator – dodała Emilia.

Najwyraźniej jej słowa spiętrzyły tylko chaos w głowie Marzeny.

– Koordynator? – powtórzyła.

– Dobrze określenie – poparłam Emilię. – Popatrz. Czasami tak się zdarza, że mnie czegoś nie powiesz, bo nie masz czasu albo tak po prostu wyszło... Rozumiesz?

– No tak.

– Więc idziemy dalej... – Oparłam się o blat, żeby mówić trochę ciszej, bo Maks najwyraźniej zainteresował się naszą rozmową.

– Dajcie spokój – przerwała mi Emilia. – Po prostu Hela jest jak baza wiedzy, tylko że sama decyduje, kto i kiedy ma otrzymać dane informacje.

– Krótko i trafnie to określiłaś – przyznałam.

– Wiecie co? – Marzena zmieniła temat. – Tak sobie pomyślałam, że mogłybyśmy zrobić Kasi niespodziankę.

Trudno powiedzieć, czy chciała go zmienić, czy po prostu ta myśl przyszła jej nagle do głowy i bała się, że może uciec.

– To znaczy? – zainteresowała się natychmiast Emilia.

Należała do tych słodkich osób, które zawsze najpierw myślą o innych, a dopiero na szarym końcu o sobie. Niestety ciągle miała pecha i przysłowiowa karma jakoś do niej nie wracała.

– Kasia za tydzień ma urodziny, na początku grudnia zaś jest jej rocznica ślubu. – Marzena oparła się rękami o blat. – Poza tym sprawa choroby częściowo jest zamknięta. Może zrobimy miniprzyjęcie? Wiecie, takie w amerykańskim stylu.

– Przyjęcie niespodziankę? – chciałam się upewnić. – Jeszcze nie ochłonęliśmy po poprzednich zabawach.

– Chcę zorganizować jej przyjęcie – zapaliła się Marzena.

– Takie, podczas którego wyskakuje się zza różnych mebli i krzyczy „*Surprise!*”? – dopytywała Emilia.

– Chyba to jest najbardziej amerykańskie?

– Tak! – Marzena uśmiechnęła się. – Możemy urządzać je u mnie.

– U ciebie dopiero co było Halloween – przypomniałam.

– I to dwa razy – zaśmiała się Emilia. – Dzięki kostkom...

– Może dla odmiany zrobimy urodziny Kasi u mnie – zaproponowałam. – Ostatnie przyjęcie, które my organizowaliśmy, to wrześniowy grill.

– Dobrze, ale podzielimy się obowiązkami – powiedziała Marzena, dopijając swoją herbatę. – Ja upiekę placek jabłkowy i przekładańca z toffi. Mogę zrobić też sałatkę z suszonymi pomidorami. Do tego jakieś małe przystawki.

– Ja kupię napoje. – Emilia uniosła palec. – Wolę nic nie gotować, bo nie najlepiej mi to wychodzi. Ostatnio spaliłam garnek z mlekiem, bo chciałam zrobić owsiankę... Do dzisiaj czuję ten swąd, jak wchodzę do domu...

– Domyślamy się... – mruknęłam, przypominając sobie przypaloną zapiekankę makaronową

przyniesioną przez Emilię na naszego pamiętnego grilla. – Zanim jednak zaczniemy rozdzielać, co kto kupi, może wcześniej dowiedzmy się, kto z sąsiadów miałby ochotę przyjść na to przyjęcie – powiedziałam. – Bo jeśli zrobimy to chaotycznie, znowu zostanie dużo jedzenia.

– Masz rację. – Natychmiast zgodziły się ze mną.

– Zatem postanowione. Powiedzcie jeszcze, kiedy robimy jej tę niespodziankę. – Zatarłam rękę, lecz natychmiast położyłam je na żołądku, który wciąż protestował przeciwko ilości alkoholu, którą w niego wlałam dzień wcześniej, chociaż po dawce pożywnego rosółku na szczęście już znacznie słabiej.

Cieszyłam się, że zorganizujemy imprezę dla niewątpliwie najsympatyczniejszej mieszkanki Brzozowego Zaułka. Po prostu trzeba było uczcić te wszystkie zmiany, jakie nastąpiły w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

– W tę sobotę. – Marzena uniosła rękę do góry, jakby się zgłaszała do odpowiedzi. – Zróbmy to w najbliższy weekend.

– Za cztery dni? – zawahałam się. – Mamy już wtorek... Może lepiej poczekać, aż Kasia dostanie wyniki biopsji? Wątpię, by do tego czasu miała głowę do świętowania.

– Tym bardziej. – Marzena była jednak uparta jak osioł. – Oderwiemy ją trochę od tych wszystkich smutków. Znam ją bardzo dobrze. Wiem, że się ucieszy, gdy zrobimy jej taką niespodziankę.

– Nie macie wrażeń, że ostatnio ciągle balujemy?

– Iwona, co ty gadasz? – obruszyła się Marzena. – Przecież od wakacji z naszych sąsiedzkich spotkań rodzinnych był tylko grill u ciebie i podwójne Halloween u mnie. Zresztą na sobotę planujemy krótkie spotkanie, nie jakiś tam bal.

– I opijanie choroby Kasi – dodałam.

– Och, to zupełnie inna sprawa. – Marzena niedbale machnęła dłonią. – Trzeba było ją wesprzeć i tyle.

– No dobra – poddałam się w końcu. – Zróbmy Kaśce prawdziwą, urodzinową niespodziankę w najbliższą sobotę.

– Nie możemy jednak za dwa tygodnie? – skrzywiła się Emilia. – Na tę sobotę mam już plany, a w niedzielę rodzina do mnie przyjeżdża...

– A jakież to masz plany na sobotę? – zainteresowała się Marzena. – Czyżby jakiś przystojniaczek, o którym nie chcesz nam opowiedzieć?

Niechąca trafiła w dziesiątkę. Twarz Emilki przybrała ciemnopurpurowy odcień. A niech mnie – pomyślałam, widząc jej rumieńce – może tym razem wreszcie trafi na miłość swojego życia? W końcu po rozstaniu z mężem nabyła pewnego życiowego doświadczenia. Na pewno już wiedziała, na co należy zwracać uwagę podczas szukania tej drugiej połówki.

Owszem, nigdy nie ma pewności, że człowiek z doświadczeniem nie sparzy się po raz kolejny, lecz mimo wszystko będzie bardziej uważny podczas pokonywania kolejnych etapów z nowowybranym partnerem. Kibicowałam jej z całej siły. Tak miły człowiek w końcu musi znaleźć kogoś do wspólnego życia.

Gdy jednak znowu spojrzałam na śliczną buzię Emilki, targnęły mną złe przeczucia. Była ona subtelna i dobrą istotą, lecz była też naiwna niczym nastolatka. Niejeden spryciarz wykorzystał już jej łatwowierność i to bez większego wysiłku. W końcu tak było z jej pierwszym mężem.

– Przyrowadź go na sobotnią imprezę – powiedziałam, mając nadzieję, że jeśli zawczasu obejrzymy jej adoratora, będziemy mogły sprawdzić, czy przypadkiem nie ma wobec naszej Milusi jakiś niecnych zamiarów.

Emilia poczerwieniała jeszcze bardziej. Nawet czubki jej uszu przybrały odcień buraka.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. Jakoś tak...

– Ale dlaczego? – Marzena uniosła głowę znad talerzyka z szarlotką. – Wstydzisz się go pokazać czy

jak? Ma jakieś ubytki, mankamenty? Trzy nogi? Zajęczą wargę, którą zarzuca na czoło? Kłapciate uszy? Włosy na czole?

– Wiesz co, twoja dosadność rzuca czasami na kolana – powiedziałam, trącając ją lekko łokciem. – Dajże jej coś powiedzieć.

Kawałek szarlotki, który właśnie wędrował do ust Marzeny, upadł z płaskiem na talerzyk. Łypnęła na mnie złym wzrokiem.

– Wszystko ma na swoim miejscu – zaczęła mówić Emilia. – I to jak!

– Oooo, czyli już zdążyłaś go przetestować? – drążyła Marzena, znów nabierając kawałek ciasta na łyżeczkę i szybko ładując ją do buzi.

Miałam ochotę nakopać jej za to durne pytanie. Wykazała się kompletnym brakiem taktu i subtelności. No dramat po prostu!

– Nie testowałam – wykrztusiła Emilia.

Zakłopotana, zaczęła szarpać ozdobne frędzelki swojego swetra.

– Bo wiecie, my spotykamy się dopiero od niedawna.

– No to fatalnie – mruknęła Marzena, rozgrzebując kolejną porcję placka. – Jesteśmy, kochana, już w takim wieku, że związek należy zaczynać od ustalenia zasadniczych kwestii. Czasy podstawówki, kiedy jako spłoszone panienki rumieniłyśmy się na widok gołego brzucha, już dawno za nami. Teraz trzeba brać sprawy w swoje ręce możliwie jak najszybciej, żeby potem nie żałować. I mam nadzieję, że wiesz, co w tym zdaniu oznacza „sprawa”, którą powinnaś DOSŁOWNIE wziąć w swoje ręce!

– Żałować? – Zmarszczyłam brwi. – Co ty gadasz, kobieto?

– Radzę jej, żeby nie marnowała czasu na jakiegoś wybrakowanego bubla.

Parsknęłam śmiechem.

– Co cię tak rozbawiło? – Marzena odłożyła wreszcie łyżeczkę.

– Twoje, he he, porady – roześmiałam się. – Nie wiedziałam, żeś taka doświadczona. Myślałam, że Łukasz był twoim pierwszym chłopakiem.

– Myliłaś się. Wcześniej spotykałam się z różnymi, że tak powiem, okazami.

Zachichotałam. Jakoś trudno było mi wyobrazić sobie Marzenę w objęciach innego faceta niż Łukasz. Po prostu pasowali do siebie jak dwa odpowiednio połączone, oryginalne klocki Lego.

– Podsumowując zatem – powiedziałam, składając dłonie. – Emilko, przychodzisz na przyjęcie niespodziankę razem ze swoim nowym chłopakiem, dobrze?

– Ale nie będziesz na mnie zła? – zapytała, znowu się czerwieniąc.

– Nie, skąd! – Machnęłam ręką. – Im nas więcej, tym lepiej.

Wzruszyłam ramionami i zabrałam się za nalewanie soczków do dziecięcych szklanek, bo po bajce wszystkim malcom (w tym również Heli) nagle bardzo zachciało się pić.

Element zaskoczenia

Piątkowe popołudnie spędzałam w domu sama, przygotowując placek na przyjęcie, które ostatecznie, wbrew wcześniejszym ustaleniom, miało odbyć się w domu Marzeny już następnego dnia. Koniec końców udało się ustalić, ile mniej więcej będzie osób oraz kto co przygotowuje. Ja obiecałam przyrządzić szarlotkę z jabłkiem i dynią, sałatkę z ananasem oraz upiec dwa chleby – żytni z kminkiem i prażoną cebulką oraz biały z ziołami prowansalskimi. Pieczywo i sałatkę zostawiłam sobie do zrobienia na sobotnie przedpołudnie, natomiast szarlotkę przygotowywałam dobę wcześniej, ponieważ lepiej smakowała drugiego dnia, gdy jabłkowocynamonowa masa przegryzła się już z ciastem.

Tomek pojechał z dziećmi na zakupy, później zaś mieli wybrać się na basen. To dawało mi jakieś dwie wolne godziny. Szybko przygotowałam ciasto, po czym lekko poddusiłam pokrojone w kostkę kawałki dyni i jabłka. Włączyłam głośno rytmiczną muzykę, by zagrzewała mnie do szybszej pracy. Pół godziny później, wtórując anielskiemu głosowi Whitney Houston, obłożyłam kruche ciasto grubą warstwą ciepłej jeszcze masy i całość suto obsypałam słodziutką kruszonką. Ze śpiewem na ustach, wykonując kilka podskoków w takt muzyki, włożyłam blachę do rozgrzanego piekarnika i... zamarłam. W przejściu pomiędzy salonem a jadalnią stał... Krzysztof. Oparty swobodnie o ścianę, wpatrywał się we mnie z założonymi rękami.

– Co ty tu robisz? – powiedziałam mało przyjemnym tonem. – Nie umiesz dzwonić do drzwi?

Zrobił dwa kroki w moim kierunku. Poczułam, że zaczyna brakować mi powietrza. Po tylu latach i mimo tego, jak zakończyło się nasze ostatnie spotkanie, jego obecność wciąż działała na mnie zdecydowanie zbyt intensywnie. Wiedziałam, że czas z tym wreszcie skończyć, inaczej zacznę się zachowywać jak jakaś głupia podfruwajka!

– Pukałem kilka razy, ale nie słyszałaś – odparł z lekkim uśmiechem. – Nacisnąłem klamkę i okazało się, że jak zwykle drzwi nie są zamknięte na klucz. Przecież jesteś w domu sama! Moja droga, czy ty się prosisz o gwałt?

Poczułam pieczenie na policzkach. I to bynajmniej nie ze wstydu, że nie zamykam drzwi.

– Wiesz co? Jesteś jak hemoroid – wypaliłam. – Chociaż człowiek go leczy i smaruje, to i tak wcześniej czy później znowu wylezie i będzie uprzykrzał życie!

Byłam niemal pewna, że się obrazi, ale on znał mnie bardzo dobrze. Chyba nawet lepiej niż ja siebie samą.

– Wiem, że nie jesteś zadowolona z mojej wizyty. Zaraz pewnie mi powiesz, że lada moment wróci Tomek.

– Bo to prawda – stwierdziłam, zerkając na zegarek. – Jest z dziećmi na basenie. Od dwóch godzin. Więc rzeczywiście wróci lada moment.

Podszedł jeszcze bliżej i oparł się rękami o kuchenny blat. Jakieś pół metra ode mnie.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że zamykamy sprawę znalezionych przez ciebie kości.

– To nie ja je znalazłam, tylko krowa...

– Ale wiesz, o które mi chodzi, prawda? – przerwał z nutą zniecierpliwienia.

– Poddajecie się? – zapytałam zawiedzionym tonem. – Nic dziwnego, że tak wielu przestępcom zabójstwa uchodzą na sucho. Będę o tym pamiętać, gdy postanowię zamordować pewnego upierdliwego policjanta.

– Wręcz przeciwnie – pokręcił głową, udając, że nie dosłyszał ostatniej części mojego wywodu. – Znaleźliśmy wreszcie miejsce, w którym szczątki zostały zakopane.

Dopiero wtedy westchnęłam z prawdziwą ulgą.

– Mój Benek przynajmniej nie będzie dłużej męczony przez dziwacznych policjantów i ich naukowców.

– To prawda. Nikt wam nie będzie zawracał więcej głowy – powiedział z pobłażliwym uśmiechem. – Wiesz, że przy kościach znaleźliśmy ślady dziecięcych butów oraz części kostiumów, które dzieci miały na sobie podczas Halloween? Jakies piórka, cekiny i doszczętnie obsmarkaną chusteczkę higieniczną.

– Och, to straszne. Powiedz mi, gdzie są te istotne dowody? – odłożyłam na bok rękawice kuchenne. – Może się tam zakradnę i gwizdnę ogiloną chusteczkę wraz z halloweenowymi akcesoriami, żeby odsunąć podejrzenia od mojego zaledwie pięcioletniego syna? A nuż to on kilkanaście lat temu, jeszcze w poprzednim życiu, postanowił rozplatać kogoś rzeźnickim nożem...

– Daruj sobie te cięte riposty, dobrze? – odpowiedział, unosząc brwi. – Wracając do meritum, pomiędzy ogrodzeniem działki numer sześć a otaczającym osiedle potokiem jest skrawek podmokłego terenu porośniętego olchami. Tam znaleźliśmy resztę kości. Oczywiście jeśli jesteś ciekawa...

– A jestem...

Szybko starałam się odtworzyć w wyobraźni ten kawałek okolicy, o którym mówił Krzysztof. Rzeczywiście gdy się szło wzdłuż potoku, w kilku miejscach jego brzegi znajdowały się na tyle blisko siebie, że można było suchą nogą przejść z jednej strony na drugą. Gdy byłam kiedyś na spacerze z dziećmi kilkadziesiąt metrów od owej olszyny, widzieliśmy w podmokłej ziemi ślady krowich kopyt. Widocznie to z tego miejsca ciekawska mućka ruszyła na wycieczkę i przypadkiem zahaczyła łańcuchem o kość.

– To nie koniec sensacji – mówił dalej Krzysztof, rozsuwając nieco kurtkę. – Z badań wynika, że kości zostały przeniesione, i to całkiem niedawno, z jakiegoś innego miejsca. Na podstawie badań grudek ziemi, które przylegały do szczątków, stwierdziliśmy, że wcześniej najprawdopodobniej leżały one na tyłach posesji numer trzynaście. Przynajmniej tak wskazują badania składu ziemi...

– A niech mnie! To u Romańskich!

– Zgadza się – przytaknął. – W samym rogu ich ogródka rośnie stary dąb. Jedyne w tej okolicy. Tuż przy nim odkryto ślady po grobie.

– Romańscy pozwolili wam wejść do ogrodu? I kopać? – dopytywałam ze zdziwieniem.

– Nie było problemu – sięgnął po domowej roboty herbatnika, który leżał na talerzyku na ladzie i połknął go niemal w całości niczym wygłodzony lew. – Ech, jakie to pyszne! Wciąż wspaniale pieczesz! Co za odmiana po tych przypalonych zapiekankach, jakie ostatnio jadam...

– Przecież ta żona Romańskiego jest kompletnie świrnięta. Na wszystkich narzeka, nie pozwala pasierbom bawić się z naszymi dziećmi i w ogóle straszliwie się panoszy. Jak jakaś gwiazda filmowa! Jest normalna tylko wtedy, gdy jej mąż wraca do domu z delegacji. Tylko wtedy wysila się na uśmiech, pewnie dlatego, żeby mieć dostęp do jego kasy. Modliszka jedna! – zignorowałam jego zachwyty nad ciasteczkami. – Jakim cudem zezwoliła policyjnej ekipie na zdemolowanie jej ogrodu?

Krzysztof zmarszczył brwi.

– Dlaczego mielibyśmy od razu demolować jej cały ogród? – zapytał ze zdziwieniem. W dłoni trzymał dwa kolejne ciasteczka. – Słonko, naoglądałaś się za dużo filmów kryminalnych. Tu już nie chodziło o ludzkie życie. Chcemy, owszem, ustalić przyczynę zgonu oraz ewentualnie spróbować znaleźć sprawcę, ale działania na szeroką skalę nie są w tym przypadku konieczne. Dogadaliśmy się więc z Romańskim

i zgodnie z jego prośbą przeprowadziliśmy nasze badania dyskretnie oraz ze szczególnym staraniem o to, by nie zniszczyć roślin na terenie ich wspaniałej posesji.

– Myślisz, że to Romańscy zakopali tam tego człowieka? – Wzdrygnęłam się na samą myśl o tym, jak zacny pan Błażej, światowy biznesmen, odziany w elegancki garnitur zakopuje trupa na tyłach własnego domu. Przecież to kompletnie nie miało sensu. No i było bezgranicznie głupie.

– Szczątki należały do trzynastoletniego chłopca, który zginął około dziesięć lat temu, więc to niemożliwe.

– Wtedy tutaj nie było ani jednego domu. Tylko pola... – przypomniałam sobie.

– Był tylko jeden – powiedział Krzysztof, zerkając na zegarek. – Stara Stanisława Puchacz mieszka tutaj od urodzenia. Te ziemie należały do niej i jej rodziny.

– Tak, to prawda – przypomniałam sobie.

– Najprawdopodobniej zanim zaczęto budowę Brzozowego Zaułka, ktoś pochował tutaj ciało, licząc na to, że nigdy nie zostanie ono odkryte – kontynuował, zgrabnym ruchem wyławiając kolejne ciasteczka z talerzyka. – Tymczasem łąki osuszono i sprzedano. Potem powstało osiedle...

– W takim razie jakim cudem kości znalazły się przy potoku, po drugiej stronie ulicy? – zapytałam, siadając na jednym ze stołków przy kuchennej ladzie.

Krzysztof zajął miejsce przy mnie. Zanim odpowiedział, z lubością pochłonął kolejne trzy ciasteczka. Wreszcie zdecydowanym ruchem odstawił talerzyk z herbatnikami z lady na stolik w jadalni.

– Tak jak mówiłem, ktoś je przeniósł – powiedział cicho, opierając łokieć o blat. – Założył, że na takim skraweczku ziemi niczyjej nic już się nie będzie budowało. Wszystko obrośnie olchami i tak już zostanie na co najmniej kilkadziesiąt lat.

– Jak myślisz, czy to mógł zrobić ktoś z naszej ulicy?

Krzysiek popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem, nic jednak nie powiedział.

– Może to Puchaczowa? – kontynuowałam. – Nie, to bez sensu! Przecież ona ledwo trzyma się na nogach!

Spojrzał na mnie ponuro.

– Tego nie wiem – powiedział wreszcie. – Na razie niewiele udało się ustalić na temat ofiary. Fakt, że szczątki były przenoszone w inne miejsce, znacznie utrudnia badania.

– Że co? – wyłapałam jego ostatnie słowa. – Dlaczego mówisz cały czas ofiara?. To znaczy, że macie pewność, że...?

– Tak. – Skinął głową. – Został zabity. Roztrzaskana czaszka. Ktoś go uderzył w tył głowy. Przynajmniej to jest pewne.

– Mój Boże – westchnęłam, zakrywając usta. – Biedny dzieciak. I nikt go nie szukał?

– Porównujemy materiał genetyczny ofiary z bazą osób zaginionych. Jeśli dowiemy się, kim był, skąd pochodził, kto go wychowywał i tak dalej, wówczas łatwiej będzie ustalić, dlaczego zginął. Przy odrobinie szczęścia zaś może nawet znajdziemy oprawcę.

Podniosłam się z krzesła.

– Czyli przedstawiłeś mi wersję optymistyczną, tak?

Znałam Krzyśka na tyle dobrze, by wiedzieć, że zawsze, w każdej sytuacji, starał się dopatrzeć pozytywów. „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło” niewątpliwie było życiowym mottem Krzysztofa Litewskiego.

– Bardzo chciałbym dowiedzieć się, kto skrzywdził tego dzieciaka. – Również wstał. – Niestety muszę już iść. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Odprowadziłam go do drzwi.

– Dziękuję, że przyszedłeś, by mi o tym wszystkim opowiedzieć – powiedziałam, otwierając mu drzwi.

– Chociaż muszę przyznać, że teraz mam więcej pytań dotyczących tej sprawy niż kilkanaście minut temu. Namieszaleś mi w głowie!

– Należało ci się – odparł z uśmiechem. – Uznałem, że powinnaś wiedzieć. W końcu to dzięki tobie odkryto te szczątki.

– Nie dzięki mnie, tylko dzięki krowie wrednego wieśniaka mieszkającego po drugiej stronie potoku – poprawiłam go znowu. – To ona buszowała w krzakach, nie ja.

– Ale to ty znalazłaś kość w łańcuchu i zgłosiłaś to. Potem twój syn dorzucił jeszcze kilka decydujących kostek i kosteczek... Na koniec natomiast, z twojej inicjatywy, Marzena Kosowska dołożyła piszczele – zadumał się. – W sumie jakby przejść się po wszystkich domach na Brzozowym Zaułku, może udałoby się zebrać wszystkie fragmenty szkieletu? Może też trzymają je w kieszeniach?

– Bardzo śmieszne! – Na wspomnienie kurtki Benka wypełnionej kośćmi prychnęłam śmiechem. – Benedykt dał nam się we znaki tamtej nocy – przyznałam.

– Może na jutrzejszej zabawie znów odkryje jakiś grób?

– Oby nie – odparłam. – Na wszelki wypadek jednak zarządziliśmy, że dzieci nie będą wychodzić poza posesję Kosowskich po zmroku.

– Będziemy mieli jutro okazję sprawdzić, czy ten zakaz zadziała. W razie czego będę miał go na oku.

Pochylił się lekko, jakby zamierzał mnie pocałować. W ostatniej chwili jednak się rozmyślił i wyciągnął rękę. Uścisnął mi dłoń, jakbym była jego kolegą. To dziwne, ale poczułam się zawiedziona. Uniosłam oczy ze zdziwieniem.

– Zaraz – powiedziałam, kiedy był już na zewnątrz. – Jak to my? Skąd ty w ogóle wiesz o jutrzejszym przyjęciu?

Zatrzymał się na najniższym stopniu i odwrócił w moim kierunku.

– Od Emilii. – Wzruszył ramionami. – Przecież przyjdziemy razem.

– Co? – Byłam tak zaskoczona, że nie mogłam z siebie wydusić niczego więcej.

Krzysztof wrócił na ganek.

– Spotykamy się od jakiegoś czasu – powiedział cicho. – Mila to niezwykle subtelna istota. Jest nam dobrze razem...

Opadła mi szczęka.

– Zazdrosna? – zapytał z filuternym uśmieszkiem.

– Nigdy w życiu – zaprzeczyłam szybko.

– Oj, to chyba nie do końca szczerą odpowiedź.

– Nie wkurzaj mnie, dobrze?

Spowaźniał. Czekał, aż powiem coś więcej.

– Jesteście razem? – wydusiłam z siebie wreszcie. – Jesteście... parą?

– Chciałem, żebyś dowiedziała się jako pierwsza – wyznał. – Tak, jesteście razem.

Kręciłam głową, nie bardzo wiedząc, czy mam się z tego śmiać, czy na niego nawrzeszczyć. Kotłowało się we mnie zbyt wiele trudnych do określenia emocji.

Jasna cholera by to wzięła! W Polsce jest prawie tysiąc miast, w których znajduje się kilkadziesiąt tysięcy ulic, przy których zapewne mieszka kilkaset tysięcy wolnych i gotowych na związek kobiet, a on musiał znaleźć sobie partnerkę akurat na Brzozowym Zaułku? I to Emilię? W tym momencie pojęcie „ironia losu” nabrało całkiem nowego znaczenia. Los się po prostu śmiał ze mnie do rozpuku! Leżał sobie gdzieś na trawie i zwijał się ze śmiechu!

– Zawiedziona?

Ze złością skrzyżowałam ręce na piersiach.

– Trochę tak – odparłam, siląc się na obojętny ton. – Myślałam, że po zamknięciu sprawy... cóż... po

prostu wyjedziesz.

Zaśmiał się cicho.

– No to muszę cię zawieść – powiedział. – Nie wyjadę. Wręcz przeciwnie.

– To znaczy?

Podszedł tak blisko, że prawie dotykaliśmy się nosami.

– To znaczy, że się wprowadzam do Emilii, więc będziemy się, moja droga, widywać codziennie.

Obrócił się na pięcie i szybko zbiegł po schodach. Bez słowa patrzyłam, jak wsiada do swojego auta, a potem odjeżdża. Zanim ruszył, przesłał mi całusa i pomachał ręką.

Mój były zostawił mnie na progu mego własnego domu! Samą z tysiącem sprzecznych myśli, które kotłowały mi się w głowie niczym gigantyczne stado wróbli!

Kiedy wreszcie oprzytomniałam, pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, było odszukanie telefonu. Odruchowo wybrałam numer Kasi, żeby podzielić się z nią WSZYSTKIMI nowinami. Może gdy na mnie nawrzeszczy, że jestem durna i powinnam się cieszyć ze szczęścia naszej rozwiedzionej przyjaciółki, trochę mi ulży? Zanim jednak wcisnęłam zielony przycisk oznaczający rozpoczęcie połączenia, mój palec znieruchomiał. Zaraz, zaraz, przecież nie mogłam zadzwonić do Kasi. Owszem, najpierw podzielę się z nią informacją o nowym związku Emilii, potem omówimy sprawę szczątków, ale wcześniej czy później rozmowa zacznie się niebezpiecznie ocierać o jutrzejsze przyjęcie. Wkurzona na siebie i cały świat odłożyłam telefon. Trudno. Nowiny musiały zaczekać do soboty.

Tak miało być

Trzeba było przyznać – i to po raz kolejny – że Marzena była prawdziwą mistrzynią w przygotowywaniu imprez. Tym razem również wykazała się niesamowitą kreatywnością. Wszyscy zazdrościliśmy jej tej cechy.

Znajomi, którzy zgłosili chęć udziału w przyjęciu niespodziance, mieli przyjść do domu Kosowskich o siedemnastej trzydzieści. Punktualność odgrywała tego dnia dużą rolę, ponieważ należało najpierw rozłożyć przygotowane dania na półmiskach, a następnie ukryć je skrzętnie w spizarce, lodówce i ogólnie rzecz biorąc – gdzie tylko się dało. Żeby Kasia się przypadkiem nie zainteresowała, dlaczego sąsiedzi masowo przyszli odwiedzić Marzenę, ustaliłyśmy, że Hela wyciągnie ją z domu pod pretekstem jakiegoś ważnego sprawunku. W międzyczasie my mieliśmy wszystko przygotować oraz schować się, czekając na wejście niczego niespodziewającej się jubilatki.

Mniej więcej więc od godziny siedemnastej niecierpliwie zerkałam przez okno w nadziei, że zobaczę wyjeżdżające do miasta Kasię i Helę. Wreszcie czerwone daewoo szybko przemknęło ulicą. W oknie kierowcy zobaczyłam twarz Heli. Nawet z tej odległości było widać, że jest bardzo spięta. Wmówiła sobie biedaczka, że ciąży na niej wyjątkowa odpowiedzialność, by Kasia nie wróciła za wcześnie i cały plan nie spalił na panewce. Dla świętego spokoju Marzena umówiła się z Helą, że ta puści jej sygnał na komórkę, kiedy będą wracać ze sklepu. To dawało nam mniej więcej dziesięć minut na ostateczne przygotowania.

– Ale jak ją tutaj zamierzasz zwabić? – zapytał Tomek Marzenę, kiedy wspólnie układaliśmy placki na paterce.

– Zadzwoń do niej, żeby koniecznie pożyczyła mi... coś bardzo potrzebnego – mówiąc to, zerknęła kątem oka na Tomka.

– Ale co? – chciał wiedzieć.

Od razu domyśliłam się, o co chodzi.

– Oj, nie dociekaj. – Machnęłam ręką. – O babską sprawę.

– Prezerwatywy? – szepnął podekscytowany.

– Ty tylko o jednym – mruknęłam. – Marzenie chodzi o podpaski, głuptasie.

– Aha... – burknął, natychmiast tracąc zainteresowanie.

– Myślisz, że tak od razu przybiegnie, żeby ci je przynieść? – Nie do końca wierzyłam, że pomysł jest dobry.

– Oczywiście. – Marzena była jednak pewna, że się uda. – Ja właśnie tak ją kiedyś ratowałam. Sprawdź lepiej, która godzina, muszę zadzwonić do Kasi zaraz po sygnale od Heli. Tak żeby tylko na moment wpadła do domu i zaraz przyszyła tutaj.

W tej samej chwili zadzwoniła komórka Marzeny.

– Jadą – powiedziała, zerkając na wyświetlacz i zacierając ręce z podekscytowania. – Dobra, macie schować się w salonie. Pogasimy światła na dole. Zostawimy oświetloną tylko kuchnię i klatkę schodową, żeby Kasia myślała, że utknęłam w łazience na poddaszu. Wtedy będzie musiała wejść do

salonu, my zaś ją tam przywitamy dzikim wrzaskiem „Niespodzianka!!!”.

– Brzmi cudnie – mruknął Tomek. – Ile nas jest?

– Dziesięć osób bez nieletnich. Jeszcze Emilka nie dotarła z tym swoim nowym. Właśnie, trzeba puścić muzykę w salonie, żeby nie było słycać dzieci. Schowam się z nimi za zasłonami. Nie będzie nas widać i jednocześnie będę mogła zapanować nad stadkiem. Na szczęście Adaś niedawno usnął. Jest na górze w sypialni. Istnieje spora szansa, że prześpi całą akcję.

– A co z Gabrysią?

– Ona niestety nie chciała zasnąć. Łukasz próbował ją uspić, ale mała jest zbyt ciekawska. – Wzruszyła ramionami. – Ale nie martw się, poradzę sobie.

– Ja stanę za drugą zasłoną, będę pilnowała moich chłopców i Michaliny – powiedziałam, chowając do lodówki talerz z ułożonymi plasterkami wędlin.

Razem z Marzeną wpadliśmy do salonu, żeby zmobilizować resztę towarzystwa do ukrywania się za meblami. W tym samym czasie do domu weszli Emilia i Krzysztof. Moja przyjaciółka, ubrana w pomarańczowy płaszcz, wyglądała uroczo z rozpuszczonymi włosami i rumieńcem na twarzy. Krzysiek za to sprawiał wrażenie stremowanego. Sztywno przywitał się z Łukaszem, Tośkiem i Markiem. Ucałował kobiety w policzki.

– Ożeż ty... Cholera jasna by to wzięła – mruknęła zaskoczona Marzena. – To on? Emilia spotyka się z NIM?

– Niestety – bąknęłam. – Dla mnie to też był szok, uwierz.

– Ale kiedy oni się... no wiesz...

– Nie wiem.

– Jada! – krzyknęła nagle Agata, która patrzyła na ulicę przez szybę w oknie kuchennym. – Goście światła. Migiem!

Wszyscy jak na komendę zaczęli chować się za kotarami, pod stołem, za sofą. Wyglądało to dosyć komicznie. Każdy biegał jak kura z jajem, próbując rozpaczliwie znaleźć odpowiednią kryjówkę, w której będzie w stanie zmieścić się w całości.

– Jak stado gęsi – szepnęła do mnie Marzena.

Stałyśmy za grubą kotarą zasłaniającą podwójne balkonowe drzwi prowadzące na taras. Było tutaj wystarczająco dużo miejsca, by zmieścić się z piątką dzieci. Gdy wszyscy w napięciu czekali na wejście Kasi, ktoś cicho zapukał do drzwi.

– To ona? – spytałam szeptem Marzenę.

– Nie. – Pospiesznie oddała mi małą. – Kaśce powiedziałam, że dom jest otwarty, a ja czekam na nią na poddaszu w łazience. To musi być ktoś inny.

Wybiegła na palcach, by otworzyć drzwi. Zza mebli i szaf docierały zawiedzione szepty. Z mojej perspektywy widziałam klęczącą za sofą Agatę, Tośka i Elwirę. Pod stołem zaś, ukryci za gęstymi fałdami obrusa, czaili się nasi mężowie. Tomkowi chyba ścierpła noga, bo ze skrzywioną miną rozcierał łydkę. Po chwili wróciła Marzena, prowadząc za sobą rodzinę Romańskich, oczywiście bez macochy. Błazej szybko dołączył do ukrytych za stołem mężczyzn, a dzieciaki wepchnęły się do nas, powodując spore wybrzuszenie w fałdach kotary. Na szczęście w nieoświetlonym teraz salonie było zbyt ciemno, żeby zaaferowana niesieniem pomocy Kasia mogła to zauważyć. Przynajmniej taką mieliśmy nadzieję.

Po kolejnych pięciu minutach pełnego napięcia oczekiwania niespodziewanie rozległ się sygnał telefonu stacjonarnego.

– Nie odbieram – szepnęła do mnie Marzena.

Ukryty za stołem Łukasz spojrział na nas pytająco, ale również doszedł do wniosku, że jeśli podejdzie teraz do telefonu, może spotkać się z Kasią, a przecież Marzena pełnym zdenerwowania głosem

opowiadała jej nie dalej niż dziesięć minut temu, że jej mąż jest jeszcze w pracy, bo ma ważne spotkanie. Po piątym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka. Dzwoniła Kasia. Jej podniesiony głos brzmiał czysto i na pewno docierał do każdego zakątka domu.

– Marzenko, to ja, twoja kochana przyjaciółka. *Sorry*, że tak głośno mówię, ale wiem, że jesteś w toalecie...

Kilka osób ukrytych na swoich posterunkach zachichotało cicho.

– No więc będę, złociutka, u ciebie za jakieś dziesięć minut. Gdy wpadłam do domu, wyjęłam dla ciebie podpaseczki i nagle poczułam straszne ciśnienie. Wiesz, chyba mi zaszkodził hot dog, na którego zaciągnęła mnie Hela. Nie wiem, co ją napadło na takie jedzenie. Ale obiecuję ci, że jak tylko się wypakuję, natychmiast przylecę. Czekaj cierpliwie. Buziaki!

Gdy głośny pisk telefonu oznajmił, że nagranie zostało zakończone, wszyscy jak jeden mąż wybuchli gromkim śmiechem.

– Co za szczerłość! – śmiał się Łukasz do Marka. – Twoja żona jest rozbijająca.

– Super, że podzieliła się tą informacją z calutkim osiedlem – rzucił Marek cierpkim tonem.

– To ja może będę zerkać przez okno, czy nie nadchodzi – powiedziała Agata, podnosząc się z klęczek.

Atmosfera w salonie znacznie się rozluźniła. Goście zaczęli szeptać między sobą i wymieniać jakieś uwagi. Gdzieś w kącie ktoś się roześmiał. Romański półszepem tłumaczył Markowi i Łukaszowi, w którym miejscu niedaleko Brzozowego Zaułka powstanie kręgielnia, podobno jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Mężczyźni już wspólnie umawiali się na kilka rozgrywek. Dzieciaki zaczynały się przepychać między sobą. Wybuchła nawet mała awantura o to, kto puścił baka-tajniaka. Rzeczywiście śmierdziało jak diabli.

– Mała robi kupę – powiedziała w końcu Marzena.

Na potwierdzenie jej słów coś głośno zbulgotało w okolicach południowego bieguna niemowlęcia.

– Dołączyła do cioci Kasi – stwierdził Benek. – Może też jadła hot doga?

– Cicho – skarciłam go.

– Idzie, idzie! – Przy oknie zrobiło się zamieszanie.

Agata z piskiem pognąła za sofę. Zderzyli się boleśnie głowami z Tośkiem, który rzucił w jej stronę kilka nieeleganckich określeń, zanim wreszcie zrobiła się kompletne cisza. Po zdawałoby się nieskończenie długiej chwili drzwi domu Kosowskich zaskrzypiały cicho. Szybkie kroki przybysza zdecydowanie kierowały się w stronę salonu. W kierunku włącznika wysunęła się ręka Łukasza, który w porę zorientował się, że ktoś musi na czas zapalić światło.

– Niespodzianka! – wrzasnęliśmy równocześnie, wyskakując zza mebli, kotar, ścian.

Zastaliśmy Kasię w zupełnym nieładzie. Miała rozczochrane włosy i zaczerwienione od biegu policzki. Na ramiona zarzuciła coś, co przypominało męski szlafrok. Spod spodu wystawały różowe polarowe spodnie w króliczki, w których często chodziła po domu. W rękę ścisnęła otwarte opakowanie podpasek. Powiodła po nas kompletnie zaskoczonym wzrokiem.

– No co wy?! – wydukała, rozkładając ręce.

Dwie podpaski malowniczo sfrunęły na dół i upadły na podłogę, ale Kasia nawet nie zwróciła na to uwagi.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! – Pierwszy w jej kierunku rzucił się Antoni. Dopadł jubilatkę i złożył na jej policzkach soczyste buziaki. – Wyglądasz prześlicznie w tym... w tym... odzieniu. Cokolwiek to jest...

Kasia załapała się purpurowym rumieńcem. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak jest ubrana. Goście jednak nie dali jej szans na dłuższą refleksję nad stylizacją. Wszyscy zaczęli składać jej życzenia. Na stole pojawiły się ciasta i wędliny. Panowie wystawili na barek alkohole, a ja pomogłam Agacie i Heli

przynieść resztę talerzy ze spiżarni. Marzena musiała przewinać małą, więc obowiązki pani domu spadły na mnie. Na szczęście z pomocną Aurelii udało nam się szybko uwinąć z wyłożeniem reszty jedzenia. Ktoś pospiesznie wcisnął Kasi jednego głębszego dla rozluźnienia. Później drugiego i kolejnego, więc już po pół godzinie przestała się przejmować swoim strojem. Reszta towarzystwa też bawiła się w najlepsze. Dzieciaki biegały po całym domu, na zmianę albo wrzeszcząc w niebogłosy, albo bawiąc się w chowanego.

Było świetnie.

– Nie trzęsie cię z zazdrości, gdy się tak miętoszą? – zapytała Marzena, kiedy stałam z nią przy stole i nakładałyśmy sałatki na talerzyki.

Spojrzałam na Krzysztofa, który właśnie objął Emilię w pasie i delikatnie ucałował w czoło. Patrzyła na niego tymi swoimi wielkimi oczami. Po chwili położyła mu dłonie na klatce piersiowej i wtuliła głowę w jego szyję. Nie ma się co okłamywać. Szlag mnie trafiał.

– Nie, skąd – odparłam, machając energicznie widelcem.

Fragment sałaty, który właśnie się na nim znajdował, poleciał gdzieś w bok. Chyba trafił na koszulę Tośka, bo ten nagle zerknął na swoje ramię i otrzepał je z obrzydzeniem. Szybko odwróciłam się do niego tyłem.

– Poważnie? – Nie wyglądała na przekonaną.

Dołączyła do nas Kasia. Biorąc sporą pajdę chleba, brodą wskazała zakochanych.

– Nie przeszkadza ci, że się tak międlą?

Przewróciłam oczami.

– Właśnie pytałam ją o to samo – powiedziała Marzena z triumfującym uśmiechem.

– No i co? – dopytywała Kasia.

– Nic – mruknęłam. – Będę z tym żyć. W końcu mam swoją rodzinę i cudownie romantycznego małżonka. Zawsze o mnie myśli. I o tym, żeby żyło nam się jak w bajce.

Jak na zawołanie podszedł do nas Tomek.

– Poplamiłem sobie podkoszulek buraczkami – zaprezentował mi ciemnoczerwoną plamę usytuowaną w okolicach pępka. – Spierzesz to? Dasz radę?

Oklapłam. Dziewczyny parsknęły śmiechem.

– TERAZ mam ci to sprać? – warknęłam.

– Oj, nie musisz się tak denerwować od razu... – Był wyraźnie urażony moim tonem. – Tak tylko zapytałem, czy nie trzeba tego od razu zamoczyć albo coś. Żebyś potem mi nie mówiła, że „to się zapiera na świeżo”.

– Możesz przestać? – Nie wytrzymałam.

– Już dobrze, dobrze. – Starął się załagodzić sytuację, unosząc ręce w geście poddania. – Czemu jesteś taka nadąsana? Skąd ten foch?

– Bo jest impreza, a ty pieprzysz o jakiejś plamie – wypaliłam. – Czy nie mogę przez te kilka godzin myśleć o czymś innym niż wywabianie plam, mycie oszczanych kibli, prasowanie koszul i bezustanne tkwienie przy garach?

Marzena i Kasia szybko się zdematerializowały. Tak na wszelki wypadek. Zostałam sama z moim małżonkiem, którego obecność, delikatnie mówiąc, nie działała na mnie teraz zbyt kojąco.

– Chodź tutaj – przygarnął mnie nagle do siebie.

Na początku próbowałam go odepchnąć, ale po chwili się poddałam. Trzymał mnie w objęciach przez jakiś czas, lekko przy tym kołysząc w rytm płynącej z głośników muzyki. Miałam ochotę zasnąć. Nie myśleć o niczym.

– Już mi lepiej – powiedziałam dwie piosenki później.

– Naprawdę? Bo ja mogę tak stać do białego rana. Lubię cię przytulać.

Znów przygarnął mnie do swojej piersi.

– Już mi przeszło – powtórzyłam. – Ale dziękuję. Że jesteś.

– Do usług. – Pogłaskał mnie po włosach. – Wyglądasz prześlicznie. Przyniosę ci coś. Zaczekaj tutaj.

Uśmiechnęłam się. Marzena z Kasią wróciły, kiedy tylko Tomek odszedł w stronę barku. Z daleka widziałam, że przygotowuje mojego ulubionego drinka.

– Słodziak z niego – szepnęła Marzena.

– Fakt – przyznała Kasia. – W ogóle fajnych mamy tych naszych chłopów. Oby Emilii też się udało. Ten Krzysiek wygląda na w porządku gościa.

– I jest w porządku. – Skinęłam głową. – To dobry człowiek.

„Boże, co ja, kretynka, robię najlepszego” – przeszło mi przez myśl. – „Jestem zazdrosna o faceta, którego sama rzuciłam wiele lat temu. Czy to nie głupie? A na dodatek mój mąż z pewnością się domyśla, czemu jestem dzisiaj taka rozdrażniona”.

Wrócił Tomek. Niósł trzy szklanki, a w nich whisky z colą.

– To dla was, drogie panie.

Kiedy już każda została obdarowana drinkiem, padło znowu to samo pytanie.

– To co? Spierze się ta plama czy nie? Bo to moja ulubiona koszulka.

Rzuciłam w niego serwetką.

– A idź, ty cholero! – Już się nie złościłam.

Dziewczyny śmiały się tak, że Kasia niechcący wylała na siebie drinka. Musiała się przebrać i wyszło jej to na dobre, bo kiedy wróciła w czerwonej, dopasowanej bluzeczce z rozszerzanymi rękawami, wyglądała uroczo. Nagle zauważyliśmy, że Hela ciągnie za rękaw Krzysztofa.

– Co się dzieje? – zapytała ją Marzena.

– Pan policjant musi porozmawiać z Puchaczową – oświadczyła Hela kategorycznym tonem.

– Nie mogę jutro? – bronił się Krzysztof.

– Musimy iść do niej TERAZ. – Hela była nieubłagana. – To bardzo ważna sprawa. Naprawdę **BARDZO WAŻNA!**

– Niech będzie – poddał się w końcu. – Iwona, powiedz Emilii, że zaraz wrócę.

– A gdzie ona jest?

– W łazience.

– Dobrze. – Wzruszyłam ramionami. – Powiem jej.

– Marzena jej powie. Ty też chodź ze mną. – Teraz i mnie Hela trzymała za rękaw.

– Dłaczego akurat ja? Przecież powiedziałaś, że potrzebujesz policjanta.

– Bo cię o to grzecznie proszę – naciskała Hela.

– Ja też pójdę z wami – wtrąciła Kasia.

Marzena, sądząc po jej minie, przeżywała wielką rozterkę. Z jednej strony chciała iść z nami, z drugiej jako gospodyni musiała pilnować domostwa pełnego rozbawionych gości.

– Ja muszę zostać – powiedziała w końcu ponuro.

– Dobra, zerkaj na dzieci – poprosiłam.

– Tylko macie mi później wszystko opowiedzieć! – Pogroziła mi palcem.

– Oczywiście, jak zawsze.

Narzuciliśmy na siebie kurtki wiszące przy wejściu na pięknym, rzeźbionym wieszaku i ruszyliśmy w stronę domu Puchaczowej – w zimny, listopadowy mrok. Sącące się przez okna światła lamp rzucały na trawnik pomarańczowe prostokąty. Poza tymi miejscami w ogrodzie Kosowskich panowała kompletna ciemność.

– Gdzie mieszka ta pani? – zapytał Krzysztof, zakładając na głowę kaptur.

– Tam, na rogu. – Pokazałam mu dom Staszki Puchaczowej.

Światło świeciło się tam tylko w jednym z okien na parterze.

– Siedzi w kuchni – dodała Hela, biorąc mnie pod ramię. – Pewnie gryzie się z powodu tej karteczki.

– Jakiej karteczki? – chciał wiedzieć Krzysztof.

– Ona wam wszystko opowie – odparła Hela. – Cud, że w ogóle udało mi się cokolwiek z niej wyciągnąć. To wszystko dzięki zbyt dużej ilości nalewki malinowej. Co jak co, ale malinówka świetnie rozwiązuje język.

– Muszę to zapamiętać – mruknął rozbawiony tą informacją Krzysztof. – Skoro to najlepszy sposób na wyciągnięcie wiadomości ze starszych pań...

– Dobrze, jesteśmy na miejscu – powiedziała Hela, popychając furtkę, która zaskrzypiała przenikliwie.

Wchodząc do ogródka, zanotowałam w pamięci, że trzeba naoliwić te nieszczęsne zawiasy. Obiecałam sobie w myślach, że następnego dnia wyślę do Puchaczowej Tomka ze specjalnym sprejem.

Kiedy po naciśnięciu dzwonka czekaliśmy, aż pani domu dotrze do drzwi i nam otworzy, Hela spojrzała na nas z uwagą.

– Wiecie, że Puchaczowa jest trochę... no... oryginalna. Na początku nie mówcie lepiej nic. Ja jej wytłumaczę, o co chodzi.

Odpowiedziały jej nasze zaskoczone miny.

– No wiecie... – Zaczęła gestykulować. – Ona jest pierońsko uparta. Jak się zaprze, nic wam nie powie. A sprawa jest naprawdę poważna.

– Okej, okej. – Machnął ręką Krzysztof. – Niech będzie.

Hela patrzyła na niego z mieszaniną podziwu, absolutnego oddania i szacunku.

– Jest pan boski, panie Litewski – wypaliła, składając dłonie jak do modlitwy. – Mówię to panu prosto z mojego serca.

– Do boskości mi bardzo daleko – prychnął.

Drzwi wejściowe też najwyraźniej należało naoliwić, bo wręcz żałośnie piszczały, kiedy tylko się je dotknęło. Sędziwa Stanisława Puchacz najwyraźniej nie spodziewała się gości, bo przywitała nas w typowym dla starszych pań wieczornym stroju. Miała na sobie włochate kapcie w nieokreślonym kolorze, powłóczystą koszulę nocną w odcieniu majtkowego różu i foliowy czepek, spod którego wystawały kolorowe papiloty. Na wierzch narzuciła długi, fioletowy szlafrok z grubego jak dywan polaru. Uchyliła drzwi na długość łańcuszka i łypnęła na nas podejrzliwie lewym okiem.

– Cześć Stasiu, to ja. – Hela przepchnęła się bliżej szpary i pomachała Puchaczowej ręką.

– Hela? Ja już spać idę – oświadczyła Puchaczowa. – Późno jest.

– Wiem, moja droga, ale my w bardzo ważnej sprawie. Wpuścisz nas?

Przez tę niewielką szparę trudno było się zorientować, jaką dokładnie miała minę Staszka Puchaczowa, ale na pewno biła się z myślami, czy ma otworzyć, czy też pozbyć się natrętów. Przymknęła drzwi. Już myślałam, że postanowiła z nami dzisiaj nie rozmawiać. Zaskoczona spojrzałam na Helę. Po chwili jednak zaszczękał łańcuszek.

– Proszę, wejdźcie – mruknęła nieco szorstkim głosem, szerzej otwierając drzwi.

Zapoznana z rozkładem domu Hela zaprowadziła nas do niewielkiej, ale przytulnie urządzonej kuchni z dwoma oknami. Staroświeckie, dębowe szafki miały ozdobne uchwyty, na podniszczonym nieco kuchennym blacie natomiast stały równo ustawione słoje z przyprawami oraz tacka pełna jabłek. Pod oknem znajdował się niewielki stół przykryty kwiecistą ceratą. Na beżowej terakocie, w rogu pomieszczenia, nieopodal starej jak świat lodówki, stała miska z mlekiem. Na czerwonej ścianie naczynia ktoś wymalował fioletowym lakierem do paznokci imię Mruczuś.

Staszka Puchaczowa posadziła nas przy stole. Usiadłam przy oknie, ale w tych ciemnościach niewiele było przez nie widać, jedynie fragment sporego ogrodu, oświetlonego jedną wiszącą na ścianie domu latarnią. Gdzieś w tle majaczyły ciemne plamy drzew porastających brzegi potoku. Pomyślałam, że Puchaczowa ma podobny widok do naszego ogrodu, z tym że w mniej mgliste noce zapewne niebo za jej posesją jest jaśniejsze, gdyż łuna bijąca od Warszawy skutecznie rozjaśniała nieboskłon.

Zanim oderwałam wzrok od parapetu, na którym kwitnące fiołki pyszniły się całą gamą barw, na blacie stołu wylądował talerz z ciastkami w kształcie gwiazdek oraz ciepły jeszcze kompot jabłkowy. Nie wypadało odmawiać. Zresztą należało nieco obłaskawić szanowną gospodynię. Bez słowa więc patrzyliśmy, jak Puchaczowa nalewa każdemu z nas gorącego kompotu do szklanek i układa przed każdym talerzyk na ciastka. Po zaliczeniu u Marzeny kilku mocnych drinków oraz mieszanki spożywczej składającej się głównie z sałatki, serowych koreczków, kawałka *focaccii* z suszoną szynką oraz porcji różnorodnych pleśniowych serów, na widok ciastek z kokosem mój żołądek zaczął protestować – i to zdecydowanie. Błagalnym wzrokiem spojrzałam na siedzącego obok mnie Krzysztofa. Chyba zrozumiał, o co chodzi.

– Och, a co to za ciasteczka? Czyżby z kokosem? – podjął rozmowę, podsuwając talerzyk bliżej patery i nakładając sobie dwa niekształtne ciasta.

– Kokos i masło – wytłumaczyła Puchaczowa. – Z tym że masło mam nie z marketu, nie to sztuczne i obrzydliwe, tylko stąd, od sąsiada, który hoduje krowy. To prawdziwe masło, którego wy, mieszczychy, nigdy nie mieliście okazji spróbować.

– Ależ skąd, droga pani. – Krzysztof nadgryzł ciastko. Sądząc po chrupnięciu, było znacznie twardsze niż powinno. – Przepyszne! Moja babcia robiła takie same! Dostawałem je w nagrodę za piątki w szkole.

Głośno przełknął.

– Warto było dobrze się uczyć, byle tylko dostać od babuni taki rarytas! – Puchaczowa się rozpromieniła. – Naprawdę panu tak bardzo smakuje? Bo mnie się zdaje, że ciut za twarde wyszły. Chociaż je lubię, to mnie w protezy wchodzi, więc w mleku je moczę przed jedzeniem.

Na myśl o pływającej w mleku protezie zrobiło mi się niedobrze. Należało jednak trzymać fason. Złapałam dzbanek z gorącym kompotem i dolałam go sobie nieco, szczerząc równocześnie zęby do szanownej pani Stanisławy. Krzysztof tymczasem głośno przełknął kolejny kęs twardego jak skała ciasta. Było mi go żal. Wiedziałam, że stara się w pełni wykorzystać swój urok, który działał w szczególności na starsze panie. Nie wtrącałam się więc i pozwoliłam mu działać. W ten sposób przekonał do siebie moją mamę i babcię, kiedy się z nim spotykałam. Mógł mnie wtedy wziąć na koniec świata i wyznać im szczerze, że będzie ze mną uprawiał dziki seks, a one jeszcze zapakowałyby nam kondomy i dały kasę na nocleg.

Rozmyślając, odruchowo upiłam trochę kompotu. Okazał się wspaniały – słodko-kwaśny z delikatnym posmakiem goździków. Pycha. Z prawdziwą przyjemnością opróżniłam całą szklanekę i jeszcze zafundowałam sobie dolewkę. Taki kompot robiła kiedyś moja babcia. Pamiętałam, jak skradałam się w nocy do kuchni, żeby upić kilka łyków. Jakimś dziwnym trafem babcia zawsze zostawiała ten kompot na noc na stole. Obok leżała chochelka. Później się okazało, że oczywiście poczciwa babunia słyszała, jak zakradam się do kuchni. Dlatego też zawsze zostawiała garnek na stole, zamiast chować go na noc do spiżarki. Och, kiedy to było... Miliony lat temu.

Tymczasem Krzysztof wciąż starał się zdobyć zaufanie Puchaczowej.

– Świetne te ciasteczka. Ich smak przywołuje najmiłsze wspomnienia z dzieciństwa. – Mlaskał przy tym bardzo głośno, najwyraźniej dla poparcia swoich, nie do końca szczerych, słów.

Puchaczowej to jednak wystarczyło. Patrzyła na niego z autentyczną miłością i podziwem.

– A więc jest pan policjantem? – Sama zagaiła rozmowę, kiedy Krzysztof dolewał sobie do szklanki

kompot, który pomagał mu przepchnąć przez gardło kolejne ciastko.

– Tak wyszło – bąknął niby niedbale.

– No właśnie, Staszka – wtrąciła się Hela. – Dlatego przyprowadziłam tego miłego i absolutnie godnego zaufania młodzieńca. Prawda, że jest cudownie wspaniały?

Cudownie wspaniały? Ze zdziwienia uniosłam brwi, ale nic nie powiedziałam.

– Taki młodziutki i policjant. – Puchaczowa z uśmiechem kiwała głową.

Ledwo się pohamowałam, by nie parsknąć śmiechem. Kto jak kto, ale Krzysztof nie był młodzieńcem od kilkunastu lat. Bądźmy szczerzy, do diabła!

Jednakże w oczach osoby, która przeżyła niemal stulecie, trzydziestoparoletni facet może mieścić się w kategoriach młodzieżowych. Zwłaszcza, że Krzysiek należał do tych szczęśliwców, którym po trzydziestce nie odłożył się mięsień piwny, drugi podbródek i worki pod oczami.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – zwątpiła Puchaczowa, drapiąc się z namysłem po brodzie. – Mówiłam ci, Helka, że nie chcę jeszcze umierać. Przynajmniej nie z rąk tego barbarzyńcy.

– Jakież to człowiek panią niepokoi? – podchwycił natychmiast Krzysztof. – Czy ktoś pani groził? Przecież to skandaliczne zakłócać spokój kogoś, kto piecze tak wspaniałe ciastka i gotuje najprzedniejszy kompot w okolicy. Widzi pani? Moja przyjaciółka zaraz cały wypije. Tak jej smakuje.

Siedząca naprzeciwko nas Kasia zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie wymownie. Nie miałam jak jej wyjaśnić, że mój eks po prostu stara się przypodobać Puchaczowej. Stąd to dziwne i zdecydowanie staroświeckie słownictwo.

Starsza kobieta patrzyła na Krzysztofa tak, jakby zamierzała za moment ucałować go w oba policzki albo przygarnąć do swej przywiedłej piersi.

– Ten typ zagroził mi, że jak pisnę chociaż słowo, to mnie ukatrupi – szepnęła wreszcie, sprawdzając przy tym, czy aby przypadkiem za oknem nie czai się wspomniany przez nią rzezimieszek.

– Powiedział coś takiego? – zapytał z przesadnym oburzeniem Krzysztof.

– Nie. – Pokręciła głową. – Pokazał. O tak!

Przeciągnęła po swojej szyi wykrzywionym od artretyzmu palcem wskazującym.

– Co za tupet! – Hela była oburzona. – Co za dupek z niego!

Zaskoczona jej słownictwem Kasia aż sapnęła z wrażenia.

– No jak można starszemu człowiekowi grozić obcięciem głowy? – wytłumaczyła Hela.

– Chciał skutecznie uciszyć panią Puchaczową – powiedziałam.

– Można skutecznie uciszyć człowieka, tylko go mordując – oświadczyła Kasia.

Staszka i Hela równocześnie wykonały znak krzyża.

– Niech cię, dziecko, Pan Bóg chroni – szepnęła Puchaczowa. – I nas też.

– W obecnych czasach nawet zwłoki są w stanie bardzo wiele nam powiedzieć – wyrwało się Krzysztofowi.

Puchaczowa, wstrząśnięta tą wypowiedzią, przeżegnała się nie tą ręką co trzeba.

– Ale ja chcę żyć – wydusiła z siebie w końcu. – Pomimo podeszłego wieku! Czuję, że jeszcze nie nadszedł mój czas. Mam tyle rzeczy do zrobienia! Nie zapłaciłam gazu za ostatnie pół roku. Nie odebrałam płaszcza z pralni chemicznej. Emerytury mi jeszcze nie przelali. I kota mam na utrzymaniu!

Bidulka łapała się, czego popadło. I nic dziwnego, pewnie na jej miejscu zachowałabym się dokładnie tak samo.

To ciekawe, że większość ludzi uświadamia sobie, jak cenne jest życie, dopiero w momencie zagrożenia. Kiedy w nasze auto uderza inny samochód, gdy spadamy w przepaść lub gdy pocisk trafia nas prosto w pierś – w tym ułamku sekundy, widząc swoje dobre i złe decyzje, sukcesy i porażki, najbardziej na świecie pragniemy tylko jednego – życia. Nieważne, czy będzie ono dobre, czy złe. Byleby było.

Krzysiek wstał i złapał Puchaczową za wysuszoną rękę.

– Niech się pani nie martwi – powiedział do niej miękkim głosem. – Gdy zamieszkam w okolicy, nie pozwolę pani skrzywdzić za żadne skarby. Taka będzie moja rola.

Puchaczowa popatrzyła na niego maślanym wzrokiem niczym zakochana podfruwajka.

– Naprawdę? – zapytała naiwnie. – Da pan radę?

– Oczywiście. – Skinął głową. – Tylko muszę wiedzieć, kto i w jaki sposób pani groził. Bez tego nie ruszymy ze sprawą do przodu.

– Ale ja się boję – wyznała szeptem. – I to bardzo!

Krzysztof ujął jej drugą dłoń. Skóra na palcach kobiety była sucha i pomarszczona niczym bibuła.

– Pani Stanisławo, proszę mi powiedzieć, kiedy pani grożono? Kiedy to było?

– Prawie trzy lata temu – wyszeptała.

– A czy od tego czasu widziała go pani tutaj w okolicy? Albo w ogóle gdziekolwiek? – Mocniej ścisnął jej rękę.

– Nie. Wyjechał na dobre. Wyjechali na dobre – poprawiła się, kręcąc głową.

– Czyli było ich więcej?

– On i ona – wyznała z wahaniem.

Hela z wrażenia zaczęła obgryzać paznokcie. Nie mogła już usiedzieć na krześle. Wierciła się tak, jakby kąsała ją stado mrówek.

– Dlaczego pani grozili?

– Bo widziałam, jak się wynosili w środku nocy – szepnęła, przysuwając twarz do jego twarzy tak blisko, że Krzysztof zauważył czarne kropeczki na jej nosie. Mógłby je policzyć, gdyby tylko miał na to czas i ochotę.

– Skąd się wynosili? – ciągnął cierpliwie ją za język.

Wiedział, że wymuszając na niej szybsze i bardziej zwięzłe odpowiedzi, niczego się nie dowie. Gdy zerwie tę cieniutką nić zaufania, Puchaczowa się zaprze i nie piśnie ani słowa więcej.

– No z tego domu. Spod trzynastki.

Hela zachowywała się tak, jakby posadzono ją na rozgrzanej płycie ceramicznej.

– Od razu mówiłam, jak tylko ich zobaczyłam, że ta rodzina Romańskich jakaś taka podejrzana jest – powiedziała, mocno gestykulując. – Mówiłam wam!

– Ale to nie oni – odparła Puchaczowa. – Tylko ci, co byli tutaj przed nimi.

– Przed nimi? – Hela była skołowana. – Przecież nikt wcześniej tam nie mieszkał.

– Jak to nie? – prychnęła Staszka. – Zanim zamieszkali tam obecni lokatorzy, dom stał pusty, to prawda...

Hela dla poparcia pokiwała głową.

– ...ale wcześniej, to znaczy zaraz po wybudowaniu tego osiedla, trzynastkę na bardzo krótko wynajęło pewne małżeństwo.

– I ja o tym nie wiedziałam! – Hela była potwornie zawiedziona. – Dlaczego nie wiedziałam?

– Bo tutaj jeszcze nie mieszkałaś – przypomniawszy jej Staszka. – Wprowadziłaś się na Brzozowy Zaulek, gdy dom numer trzynaście stał już pusty. A ja wszystko widziałam. Wszystko. Jak na puste pola wjechały pierwsze spychacze, a potem betoniarki. Jak grupa wiecznie zachlanych robotników budowała fundamenty, a potem ściany domów, w których teraz mieszkacie. Widziałam opijanie wszystkich wiech na dachach. Wiecie, że niektórzy potrafili wypić dwie butelki czystej wódki w pół dnia i nie paść trupem?

Słuchaliśmy Puchaczowej w kompletnej ciszy. Baliśmy się nawet poruszyć, byle tylko nie przerwać jej słowotoku. Stanisława Puchacz słyszała z raczej oszczędnych wypowiedzi. Ledwie odpowiadała dzień dobry, kiedy spotkało się ją na ulicy czy w sklepie. Zdecydowanie separowała się od reszty

mieszkańców. To był główny powód, dla którego każdy uważał ją za zdziwaczka starą pannę. Mawiano, że ma dwa upasione koty: jednego w domu, drugiego w głowie.

Patrząc na jej szczerze przestraszona minę, poczułam przypływ żalu. Zawsze uważałam się za osobę chętnie niosącą pomoc ludziom, którzy jej potrzebowali. Dlaczego zatem nie zauważyłam, że Staszka Puchaczowa rozpaczliwie potrzebuje drugiego człowieka? Zrobiło mi się wstyd. Obiecałam sobie, że pomogę Heli w opiece nad tą staruszką – czasami zrobię zakupy, podeślę kawałek świeżo upieczonego ciasta, zamiotę chodnik przed jej domem, poproszę Tomka, żeby przyszytył jej na wiosnę żywopłot. No i naoliwimy jej drzwi.

– Mam takie, jak wy to nazywacie, hobby – powiedziała cicho Puchaczowa. – Gdy nie mogę spać, siadam w oknie, patrzę na tę uliczkę i przypominam sobie, jak będąc małą dziewczynką, biegałam po polach, na których teraz stoją wasze domy. Którejś nocy, siedząc tak przy oknie w sypialni, zobaczyłam, jak ta parka spod trzynastki cichaczem pakuje swoje rzeczy do auta. Byłam zbyt ciekawska. Stałam za blisko okna i ta kobieta mnie zauważyła i pokazała jemu. Ręką zrobił znak, który jasno wskazywał, że gdy tylko pisnę słowo, poderżnie mi gardło. – Głośno przełknęła ślinę i złapała się za szyję, jakby chciała sprawdzić, czy jest nienaruszona.

– A potem – ciągnęła – potem, kiedy już wszystko spakowali do tego swojego auta, specjalnie podjechali pod mój dom i wrzucili mi za bramę wiadomość. Straszna wiadomość. Że mnie zabiją, jak powiem choć słówko!

W milczeniu wpatrywaliśmy się w wysuszoną niczym śliwka węgierka twarz Stanisławy Puchacz.

– Ma pani jakiś dowód na to, że pani grozili? – zapytał w końcu Krzysztof.

Staruszka bez słowa podniosła ceratę i wysunęła szufladkę w stoliku. Stamtąd wyciągnęła pomiętą, żółtą karteczkę.

– Rzucił mi to – powiedziała, kładąc świstek przed Krzysztofem. – Mówię panu, umyślnie podjechali autem pod moją bramę i przerzucili zmiętą w kulkę kartkę na mój chodnik.

Krzysztof delikatnie wziął do ręki wyświechtany skrawek papieru w kratkę. Rozłożył go i zaczął się w niego wpatrywać.

– Co tam jest? – Nie wytrzymała Hela.

– Rysunek – powiedział, obracając kartkę tak, by każdy z nas mógł zobaczyć drugą stronę.

– Ooo. – Kasia zbliżyła się, żeby lepiej widzieć, co ten człowiek nabazgrał dla Puchaczowej.

Rysunek był dość łatwy do zinterpretowania. Na samym środku wymiętoszonej kartki widniał dyndający na stryszku wisielec, wykonany za pomocą pięciu kresek i kółeczka.

– Myślałam, że coś napisał – oświadczyła Hela, nie kryjąc zawodu.

– A to nie wystarczy? – zapytałam, wskazując palcem kartkę. – Przecież intencje tego kogoś są jasne jak słońce. Raczej nie życzy pani Puchaczowej zbyt dobrze.

– No nie. – Hela niechętnie się ze mną zgodziła. – Ale po piśmie przynajmniej można by było coś wykryć. A po czymś takim...

– Facet jest leworęczny – powiedział nagle Krzysztof, przyglądając się znowu rysunkowi.

– Skąd wiesz? – zapytała Kasia, podnosząc się z krzesła i zaglądając mu przez ramię.

– Bo wszystkie linie lekko zakrzywiają się na tę stronę. – Wskazał ręce i nogi wisielca.

– Rzeczywiście – przyznałam mu rację. – Sama nigdy nie zwróciłabym na to uwagi.

– Dlatego nie pracujesz w policji – szepnął z uśmiechem.

– I wcale nie jest mi przykro z tego powodu – warknęłam, marszcząc brwi.

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić – zabrzmiało to trochę zaczepnie, ale wolałam już nic nie odpowiadać.

– To byli bardzo dziwni ludzie – powiedziała Staszka z namysłem. – Cały czas mieli spuszczone rolety

w domu. Czasami słyszałam, jak z kimś się kłóć.

– Może nie byli zbyt zgodną parą? – zastanawiałam się na głos.

Puchaczowa pokręciła głową, drapiąc się odruchowo w szeleszczący czepek okrywający kolorowe papiloty.

– To nie tak. Ja tam słyszałam trzeci głos. Czasami niski, a czasami jakiś taki piskliwy, jakby należał do dziecka – wzruszyła ramionami. – Sama nie wiem.

– Nastolatek z mutacją? – zapytałam, patrząc na Krzysztofa.

Pomyślałam o tym, co powiedział mi dzień wcześniej. O znalezionych szczątkach nastoletniego chłopca.

– Wiek by się zgadzał – mruknął, wciąż nie odrywając oczu od karteczki z makabrycznym szkicem. – Czas zdarzenia również.

– Zaraz, mówiłeś, że kości były dużo starsze – przypomniałam sobie nagle.

Posłał mi szybkie spojrzenie.

– Nie powiedziałaś mi prawdy? – Ujęłam się pod boki.

– Myślałem, że nie będzie potrzeby mówić o tym, co zdarzyło się naprawdę. Nie chciałem was przestraszyć.

– Gadaj! – warknęłam przez zaciśnięte ze złości zęby.

– To są kości nastoletniego chłopca, ale nie zginął on kilkanaście lat temu, tak jak mówiłem, tylko całkiem niedawno.

– To jakim cudem są tylko kości? Dlaczego nie ma resztek ciała? – wtrąciła Hela.

– Bo ciało zostało spalone, a tylko to, co zostało po spaleniu, pochowane.

– Rany boskie! Co za świny mogły zrobić coś tak okropnego?

Kasia i Hela patrzyły na siebie wstrząśniętym wzrokiem.

– Chcę znać całą prawdę – powiedziałam.

Na razie jednak nie było czasu na tłumaczenie, o co w tym wszystkim chodziło. Krzysztof chciał przede wszystkim dowiedzieć się od Puchaczowej możliwie jak najwięcej na temat podejrzanych. W końcu mogło się okazać, że to właśnie oni byli mordercami i tylko Staszka Puchacz ich widziała. Tak więc była jedynym świadkiem.

– Mogę wziąć tę kartkę do analizy? – spytał Krzysztof.

– A bierz se pan. – Staszka wzruszyła ramionami. – Mnie to niepotrzebne. Trzymałam tę kartkę w razie jakbym znalazła w sobie odwagę, żeby o tym komuś powiedzieć.

– Bardzo mądrze pani postąpiła, opowiadając nam tę historię – pochwalił ją. – Byłbym wdzięczny, gdyby pani nam jeszcze opisała tych ludzi. Może przypadkiem udało się pani kiedyś zamienić z nimi kilka słów? Widziała ich pani z bliska?

– Nie wiem, jak się nazywali – pokręciła głową – ale opisać ich wygląd mogę, bo pamiętam. Ta kobieta była po czterdziestce. Taka trochę przy kości. Jasne włosy miała, lekko kręcone i do ramion. A on wysoki i chudy. Nawet bardzo chudy. I ciemnowłosy.

Pomyślałam sobie, że scharakteryzowała właśnie co trzecią parę żyjącą w okolicy. No i jak na podstawie takiego opisu znaleźć właściwe osoby? Zdawałoby się, że sprawa jest beznadziejna, ale gdy popatrzyłam na Krzysztofa, zauważyłam błysk w jego oku. Widocznie myślał zupełnie inaczej.

– O nazwisko zaś trzeba zapytać tę firmę, która administrowała tymi domami – dodała. – Pewnie jak wynajmowali, to podpisali jakąś umowę.

– Jest pani wielka! – Krzysztof obdarzył staruszkę najbardziej olśniewającym uśmiechem, na jaki było go stać.

– Naprawdę? – Puchaczowa się rozpromieniła. – To, co powiedziałam, wystarczy panu, żeby ich

złapać?

– Musi – odparł, podnosząc się z krzesła. – Nazwę firmy, która budowała to osiedla, pani zna?

– Tak. – Skinęła głową. – Nazywają się Superbud. Mam nawet ich numer telefonu. Też na umowie.

Zaraz przyniosę.

Kiedy podreptała do pokoju, żeby przynieść dokumenty, my w kuchni zaczęliśmy szeptem wymieniać między sobą spostrzeżenia na temat całej sprawy.

– Myślicie, że zamordowali własne dziecko? – zapytała Hela, pochylając się tak nisko nad blatem, że prawie tarła o niego obwisłym podbródkiem. – Mogliby zrobić coś takiego? Mój Boże, ten świat schodzi na psy!

– Wszystko możliwe – zgodził się Krzysztof. – Lepiej jednak nie wyciągać pochopnych wniosków, póki nie dowiemy się, co to za ludzie.

– Ma rację – poparła go Kasia. – Może to nawet nie ci ludzie, którzy byli tam zameldowani.

– Wszystko możliwe – mruknął, znowu studiując uważnie karteczkę z wisielcem.

Po chwili wróciła Puchaczowa. Niosła foliową koszulkę, w której miała umowę sprzedaży ziemi. Krzysztof szybko przejrzał dokumenty i spisał potrzebne dane.

– Bardzo pani dziękujemy za to jakże owocne spotkanie – powiedział. – Nawet pani nie wie, jak wiele nowych poszlak wniosło ono w nasze śledztwo. Bez pani pomocy wciąż tkwilibyśmy w martwym punkcie.

Staszka po tych pochwałach poczuła się ważna i potrzebna. Z dumnie wypiętą piersią odprowadziła nas do drzwi.

– Jeśli sobie coś jeszcze przypomnę, to zadzwonię. Nie mam wprawdzie pana telefonu, ale wiem, że będzie pan teraz pomieszkiwał u pani Emilii Kropidlickiej. Jej telefon mam. Potrąciła mi kiedyś kosz na śmieci, który wystawiłam na chodnik przed przyjazdem śmieciarki. Dziewucha ładna, ale kompletnie nie umie jeździć samochodem – cmoknęła z dezaprobatą. – Nie to, co Helka. Kierowca z prawdziwego zdarzenia. Mogłaby prowadzić tira z dwoma przyczepami.

Na wspomnienie przejażdżki z Helą żołądek podszedł mi do gardła. Nigdy w życiu nie najadłam się tyle strachu, co przez te kilkanaście minut spędzonych w samochodzie z Wąsową za kierownicą. Widocznie jednak poczciwa Puchaczowa preferowała ostrą jazdę.

Tymczasem Krzysztof wyjął z kieszeni kurtki swoją wizytówkę.

– Mimo wszystko pozwolę sobie dać szanownej pani numer mojej komórki. Zawsze staram się odbierać, więc proszę dzwonić o każdej porze. Jeszcze raz dziękuję za pomoc. Jest pani wspaniałą obywatelką. Dzięki uzyskanym od pani informacjom być może uda się schwytać groźnych przestępców.

Staszka najpierw zerknęła na biały prostokąt, a potem z uwielbieniem przytknęła go do obleczonej w grubo polar piersi.

– Przykleję ją do lodówki, żeby mieć ten numer na widoku – oświadczyła, zanim wyszliśmy. – Będę się czuła bezpieczniej, wiedząc, że zawsze mam go w zasięgu wzroku.

Na koniec z głośnym mlaśnięciem wycisnęła na policzku Krzysztofa soczystego buziaka. Spojrzałam na Kasię, która miała taką minę, jakby potrzebowała ustronnego miejsca do zwymiotowania.

– Jaka szkoda, że nie jestem o dwadzieścia lat młodsza – westchnęła Puchaczowa, wbijając wzrok w twarz Krzysztofa. – Och, co ja bym z panem robiła...

Ten zaś pchnął nas lekko ku drzwiom i sam szybko opuścił dom numer czternaście, dziękując ponownie za miłą gościnę.

Wracając na przyjęcie do Marzeny, żadne z nas się nie odzywało. Tylko Krzysztof, mrucząc coś pod nosem, kilkakrotnie wycierał twarz chusteczką higieniczną.

Coś się kończy, coś się zaczyna

Kilkanaście dni później, przed mikołajkami, krzątałam się po kuchni, przygotowując tartę dyniową na podwieczorek z sąsiadkami oraz sałatkę z kurczakiem na późny obiad dla Tomka, który utknął w biurze i nie miał czasu nic zjeść przez cały dzień. Właśnie zabierałam się za obsmażanie fileatów. Kiedy zakładałam fartuszek, do kuchni wpadł Benek.

– Mamo?

– Słucham, słoneczko? – Nie patrzyłam na niego, bo wrzucałam na rozgrzany olej marynowane w przyprawach kawałeczki mięsa.

– Mamo, kto to jest szmata?

Moje dłonie zamarły tuż nad patelnią pełną skwierczącego oleju.

– Szmata? – Chciałam się upewnić, czy dobrze usłyszałam.

– Tak. – Skinął główką. – Szmata.

– A gdzie to, skarbie, usłyszałeś? – Choć bardzo zaniepokoiło mnie owo pytanie, wiedziałam, że muszę zachować spokój.

W przeciwnym razie Benek nie powie mi, od kogo usłyszał ten wyraz i w jakim kontekście.

– Kto to jest? – Mały upierał się przy swoim, wpatrując się we mnie błękitnymi oczkami z niecierpliwością.

Przesunęłam patelnię na wyłączony palnik, żeby olej się nie spalił. Następnie sięgnęłam do zlewozmywaka.

– To jest szmata – powiedziałam, pokazując synowi zieloną ściereczkę, której używałam do wycierania blatu w kuchni. – To taki kawałek materiału do czyszczenia na mokro różnych rzeczy. I nie kto, tylko co. Bo to jest rzecz, a nie człowiek.

Benek zmarszczył czoło i z przygryzioną wargą wpatrywał się w cienki materiał.

– Chyba nie o to chodziło – mruknął.

Wrzuciłam ścierekę do zlewu i kucnęłam przed nim, łapiąc go za pulchne rączki.

– Misiaczkule, musisz wiedzieć, gdzie i kiedy to usłyszałeś. Wtedy będę mogła ci wytłumaczyć, o co chodziło. Czasami niektóre wyrazy, chociaż brzmią tak samo, znaczą zupełnie coś innego w zależności od sytuacji. Tak jak zamek w kurtce i zamek, w którym mieszka rycerz...

– Wiem, wiem – przerwał mi zniecierpliwiony. – Kiedyś uczyłaś tego Maksa. Pamiętam.

– Z tym wyrazem jest podobnie. – Odruchowo zawiązałam mu sznurek przy dresowych spodniach, które miał na sobie. – Powiesz więc mi o tym coś więcej?

Zrobił taką minę, jakby się zastanawiał, czy opłaca mu się ryzykować i powiedzieć matce prawdę.

– Mamy w klasie taką dziewczynkę, Ewelinkę – powiedział w końcu.

– Tak, wiem – odparłam.

Ewelina była dzieckiem, które zdecydowanie powinno chodzić na zajęcia do klasy specjalnej. Była napastliwa wobec kolegów, wulgarna w stosunku do nauczycieli i pod wieloma względami wymagała szczególnej uwagi. Ze względu jednak na układy panujące pomiędzy dyrekcją szkoły a jej rodzicami,

wszyscy przymykali oko na coraz śmielsze i niestety coraz bardziej agresywne zachowania dziewczynki. Jej rodzice natomiast liczyli, że „wkrótce samo przejdzie”. Niestety jak na razie nie zapowiadało się na to. Co więcej do licznych, nowatorskich pomysłów Ewelinki doszły ostatnio przekleństwa. Byłam w stanie uwierzyć, że niektóre dzieci cierpią na różne przypadłości niepozwalające im pobierać nauki w trybie założonym przez polską edukację. Jedne bywały zbyt ruchliwe, inne miały problemy z opanowaniem ortografii czy należały do grupy osób niewyuczalnych, jeśli chodzi o matematykę. Nigdy jednak nie uwierzę w dysfunkcję polegającą na umiejętności przeklinania. Przecież nawet najbardziej ruchliwe, niesforne dziecko, by użyć przekleństwa, musi wpieryw gdzieś je zasłyszec oraz nauczyć się od kogoś uzywania go w odpowiednim momencie. Nie jest to przeciez cecha wrodzona, tylko nabyta. W koncu pięciolatek sam nie wymyśli wyrazów kurwa czy pierdolic. Ta sama zasada dotyczyła adekwatnego użycia wyrazu szmata.

Spojrzałam w jasnoniebieskie oczy mojego syna.

– Ta dziewczynka tak powiedziała? – zapytałam miękkim głosem.

– Nasza pani od angielskiego zwracała jej dzisiaj uwagę kilka razy, bo Ewelinka była bardzo niegrzeczna – wyznał mi cicho. – No ciągle jej powtarzała, żeby była grzeczna. Aż wreszcie nie wytrzymała i powiedziała Ewelince, że zaraz zadzwoni do jej mamy.

– I...?

– I Ewelinka wtedy chciała wyjść z klasy, więc pani złapała ją za rękę i wtedy Ewelinka krzyknęła do niej: „Zostaw mnie, ty szmato!”.

Struchlałam. Takie rzeczy z klasie zerowej? Wśród pięciolateków? Chryste Panie, to co będzie w podstawówce? Natychmiast obiecałam sobie porozmawiac jeszcze tego wieczoru z Maksem. Wprawdzie mój starszy syn był zdecydowanie bardziej odporny na wulgaryzmy i nie zawsze mądre mody panujące w szkole na różne słowa, uznałam jednak, że lepiej mieć rękę na pulsie.

– Pani to słowo chyba się nie spodobało, bo zrobiła się strasznie czerwona na buzi – dodał Benek, patrząc w zamyśleniu na sufit.

– Nic dziwnego – mruknęłam. – Syneczku, to jest bardzo brzydkie słowo, jeśli się go używa do drugiej osoby.

– Ale sama mówiłaś, że to zielone to też szmata – przypomniał.

– Tak – przyznałam mu rację. – Kiedy chodzi ci o materiał, którym coś wycierasz, to nie jest przekleństwo.

– Nie jest? – chciał się upewnić.

– Nie. Kiedy jednak mówisz tak o jakiejś osobie, na przykład dziewczynce, to wtedy jest bardzo brzydkie słowo. Bardzo brzydkie.

– Bardzo – powtarzał za mną, wpatrując się z uwagą w moje usta.

– Nigdy tak do nikogo nie mów, dobrze? – poprosiłam, ściskając jego ciepłutkie łapki.

– Nie będę – obiecał, patrząc mi prosto w oczy.

– Kochany z ciebie chłopczyk – powiedziałam, całując go w czółko. – Moje słoneczko.

– A Maks kim jest? – zapytał. – Chyba nie słoneczkiem, bo słoneczko jest tylko jedno.

Jasny dzwon, jak ten dzieciak potrafił być dociekliwy!

– Maks jest moim kochanym księżycem – wymyśliłam naprędce.

Małemu najwyraźniej spodobało się to wytłumaczenie.

– Czyli mnie kochasz bardziej? – wypalił.

– Dlaczego? – zdziwiłam się.

– Bo przeciez słońce jest ważniejsze niż księżyc.

Ale cwaniak! W dodatku ma rację co do znaczenia słońca i księżyca. Wzięłam głęboki wdech. Minęła

dłuższa chwila, zanim udało mi się wymyślić jakąś sensowną odpowiedź.

– Kocham was tak samo – odparłam, całując go w pulchne policzek.

– Ale sama powiedziałaś...

– Powiedziałam i nie odwołuję tego – przerwałam mu. – Tyle że, synku, księżyc jest tak samo ważny jak słońce. W końcu to on oświetla w nocy ścieżki i różne tajemnicze miejsca.

Może to była głupia odpowiedź, ale dzieciakowi wystarczyła.

– Jest tak samo ważny – stwierdził, kiwając główką. – Masz rację, mam.

– Oczywiście, słoneczko. – Uśmiechnęłam się do malca i przytuliłam go.

– No dobra. – Wyszwolecił się z mojego uścisku. – Czyli nie mogę mówić szmata, bo to brzydki wyraz?

Chciał się jeszcze raz upewnić.

– Zdecydowanie nie! Znasz tyle różnych słów, że nie musisz przeklinać. Przeklinają tylko ci, którzy nie umieją używać ładnych wyrazów.

Przewrócił oczami.

– Tak dużo o tym mówisz, że już zapamiętałam.

– I bardzo dobrze! – zaśmiałam się.

W tym momencie usłyszałam dzwonek do drzwi.. Wycierając dłonie w fartuszek, zerknęłam przez wizjer. Na ganku stał Krzysztof. Oczywiście znowu trafił na moment, kiedy Tomka nie było w domu.

– Cześć, namierzyliśmy ich – powiedział, ledwie otworzyłam drzwi. – Zamknijcie tych ludzi to tylko kwestia czasu!

Minął mnie i stanął w holu.

– O, wujek Krzysio! – Benek podbiegł i wyciągnął łapkę na przywitanie.

– Cześć, młody. – Krzysztof poderwał Benka do góry i dwa razy obrócił się z nim wokół własnej osi. –

Mama dawała ci ostatnio drożdże do jedzenia?

– Nie... – zdziwił się malec. – A po co drożdże?

– Pytam, bo urosłeś przez te kilka dni.

– Naprawdę? – Benek się rozpromienił. – Ale fajnie! Powiem Maksowi...

Pognał do salonu, skąd natychmiast usłyszeliśmy wrzaski.

– A mi wujek Krzysio powiedział, że urosłem. A ty nieeee! – darł się Benek.

– Nie urosłeś, tylko utyłeś – skwitował Maks złośliwie. – To znaczy, że rośniesz tylko wszere.

– Nieprawda!

– Prawda!

– Nie!

– Tak!

Westchnęłam, słysząc kolejną kłótnię.

– No i się zaczęło, znowu...

– Przepraszam, nie spodziewałem się, że tą pochwałą wywołam wojnę – powiedział Krzysztof.

– Ostatnio wystarczy bardzo niewiele, żeby zaczęli się kłócić – odparłam, wkładając ręce do kieszonek fartucha. – Wracając do tematu, mów szybko, czego dowiedziałeś się o tych przestępcach? Muszę jeszcze dokończyć przygotowywanie kolacji.

– Teraz nazywają się Kazimierscy i rzeczywiście mieli syna, adoptowanego, po którym słuch zaginął. Wynajmowali ten dom tylko przez kilka tygodni. Potem nagle się wyprowadzili, nie regulując reszty opłat. Oczywiście kiedy tutaj mieszkali, nazywali się inaczej, ale nasi analitycy bez problemu odkryli ich prawdziwą tożsamość. Teraz trzeba ich tylko dorwać.

– Powinieneś o tym powiedzieć Staszce Puchaczowej. Na pewno się ucieszy – stwierdziłam.

– Już do niej dzwoniłem. Wolałem się do niej jednak osobiście nie wybierać.

– Nic dziwnego. – Uśmiechnęłam się, przypominając sobie gorące spojrzenia staruszki. – Leciła na ciebie w pełnym tego słowa znaczeniu.

– Widzisz, mam niezłe branie – zażartował.

Tymczasem kłótnia chłopców przeniosła się z salonu do holu.

– Nie jestem gruby! – wrzeszczał czerwony ze złości Benek. – Jestem normalny.

– Kulka! Kwadrat! Sześcian – przedrzeźniał brata Maks. – Księżyc w pełni!

– Panowie, cisza! – huknął nagle Krzysztof.

Chłopcy zamarli, wytrzeszczając oczy. Benkowi ze strachu wypadł z rączki samochodzik.

– Co z was za mężczyźni!? Przecież faceci się nie kłócą!

Zdezorientowani spojrzeli najpierw na siebie, a potem na mnie. Krzysiek podszedł do Maksa. Pochylił się nad nim tak nisko, że prawie stykali się nosami.

– Jesteś jego starszym bratem i pod nieobecność taty najstarszym mężczyzną w tym domu – powiedziała cicho, lecz dobitnie. – Powinieneś opiekować się jedyną kobietą w tym domu, czyli mamą, oraz młodszym bratem. Jeśli będziesz się tak zachowywał, nie uda ci się zostać strażakiem. Przecież do tak zacnej pracy nie przyjmują nieodpowiedzialnych osób!

– Skąd wiesz, że chcę zostać strażakiem?

Prawdę mówiąc, mnie też to zastanowiło.

– Bo jestem policjantem i potrafię się wszystkiego dowiedzieć. Wiem, kiedy ktoś narozrabia i wiem, kim chcą zostać takie dzieciaki jak wy.

Maks patrzył na Krzysztofa z podziwem i uwielbieniem, prawie tak samo jak Puchaczowa kilka dni temu. Ledwo hamowałam śmiech, obserwując tę nabożną minę.

– A ja? Kim chcę zostać? – zapytał Benek.

– Policjantem albo kierowcą w formule jeden – wypalił Krzysztof.

– O kurde! On naprawdę wie... – sapnął malec. – Maks, musimy być grzeczni!

– Dokładnie – przytaknął Krzysztof. – Teraz więc idźcie posprzątać samochody porozrzucane po całym dywanie.

– Skąd wiesz o samochodach? Przecież nie byłeś w pokoju! – Jeszcze bardziej zdziwił się Maksymilian.

– Bo jestem też detektywem i potrafię to wydedukować.

Chłopcy obrócili się na piętach i pognali do salonu. Zdążyłam jeszcze usłyszeć, jak Benek zadaje pytanie bratu:

– Kto to jest ten dekektyw?

– Nie dekektyw, tylko detektyw, łosiu – poprawił go Maks.

– Zaintrygowałeś mnie – powiedziałam, kiedy już zostaliśmy sami w holu. – Skąd wiedziałeś?

– O zawodach? – Wzruszył ramionami. – Większość chłopców chce być strażakiem, policjantem albo kierowcą wyścigowym. Poza tym słyszałem rozmowę dzieci na ten temat podczas przyjęcia u Marzeny. No i zapamiętałem.

– Nic ci nie umknie, prawda?

– Nie!



Tamtego pamiętnego sobotniego wieczoru spotkałam się z dziewczynami na remiku. Nasi mężowie w tym

samym czasie umówili się na wspólne oglądanie meczu. Okupowali dom Kasi, ponieważ u niej była największa plazma. Dzieci też miały swoje małe wyjście. Teściowa Marzeny oraz Hela zabrały je do kina na bajkę o Bożym Narodzeniu. Później mieli wspólnie przygotowywać w domu Kosowskich pizzę według oryginalnego, włoskiego przepisu przywiezionego przez teściową Marzeny.

Adela Kosowska, matka Łukasza, na początku grudnia przyjechała w odwiedziny do swojego syna. Jej matka była z pochodzenia Włoszką i poznała młodego Polaka – przyszłego ojca Adeli – w czasie powojennych zawirowań. Chociaż więc Adela Kosowska mieszkała w Polsce od urodzenia, często używała typowo włoskich określeń. Znała zresztą świetnie język włoski i dorabiała jako tłumacz przysięgły.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że ma włoskie korzenie. Była postawną kobietą, miała atletyczne barki, duże piersi, rozłożyste biodra i masywne nogi. Łukasz był do niej bardzo podobny. Momentami to ich podobieństwo było wręcz uderzające – zarówno matka, jak i syn mieli krągłe twarze oraz gęste, prawie czarne, trudne do ułożenia włosy. Pani Kosowska nosiła je upięte w gruby kok. Aby ukryć siwiznę, systematycznie farbowała włosy, nadając im czerni lekko fioletowego połysku. Nad jej górną wargą szarzał czasami wąsik, który jednak regularnie depilowała.

Od kilkunastu lat mieszkała z nowym mężem w najdalszym zakątku południowo-zachodniej Polski. Miała tam niewielki domek z ogródkiem. Biologiczny ojciec Łukasza zginął w wypadku kolejowym niedługo po narodzinach syna. Adela Kosowska sama wychowała dziecko, a na romanse pozwoliła sobie dopiero, gdy Łukasz wyprowadził się na studia. Wtedy też ponownie wyszła za mąż. Kochała spędzać wieczory w dużym, rodzinnym gronie, najlepiej przyrządzając różne kulinarne specjały. Chociaż na Brzozowy Zaulek przyjeżdżała rzadko, wszystkie dzieciaki z naszej ulicy ją uwielbiały i czule nazywały babcią Adelcią. Gdy jednak babcia Adelcia przytulała do swej bujnej piersi któreś z moich dzieci, miałam ochotę je ratować. Niby się uśmiechało i wyciągało do niej rączki, lecz podczas przytulania wyglądało tak, jakby miało zostać uduszone zewsząd otaczającym je miękkim ciałem bujnie wyposażonej kobiety.

– Mam nadzieję, że moi chłopcy nie wykończą twojej teściowej – mruknęłam do Marzeny, tasując karty.

– Nie martw się, ona jest w stanie poradzić sobie z całym pułkiem dzieciaków – prychnęła Marzena – a przecież dzisiaj zajmuje się tylko marną szóstką. Na dodatek ma świetną pomoc.

– No nie wiem... – wtrąciła Kasia. – Hela jest jak kolejne dziecko. Nie nazwałabym jej pomocą.

– Przesadzacie. – Agata wzruszyła ramionami. – Helka jest świetną kobietą.

– Ja nie mówię, że nie jest świetna – zaperzyła się Kasia. – Ja tylko stwierdzam fakt, że Helka jest jak dziecko. Mogę się założyć, że przed wejściem na salę kinową ona pierwsza poprosiła o popcorn albo lizaka, a na pewno o colę. Wciąż ją uważa za towar luksusowy, jak w Peerelu.

– Powiedz mi, Iwona. – Miałam nadzieję, że Marzena zgrabnie zmieni temat. – Nie boli cię to, że twój eks mieszka teraz z naszą koleżanką?

No i masz! Cholera jasna, to się nazywa trafić z deszczu pod rynnę. Sto razy bardziej wolałabym omawiać dziecinne zachowania Heli niż gadać o Krzyśku i Emilii. Był to jednak strzał w dziesiątkę. Dziewczyny natychmiast straciły zainteresowanie poprzednim tematem. Zresztą kartami też.

– Prawdę mówiąc, trafiłoby mnie, jakby jakaś moja psiapsiółka była pukana przez mojego faceta. Nieważne, czy obecnego, czy byłego – stwierdziła Agata.

Jej wulgarna szczerłość zirytowała mnie.

– Może wsiądźcie na kogoś innego, dobrze? – rzuciłam, starając się utrzymać obojętny wyraz twarzy.

Chyba mi to nie wyszło, bo dziewczyny niezmordowanie drążyły dalej, świdrując mnie uważnymi spojrzeniami. Poczułam się jak dryłowana wiśnia.

– Szczerze, ja też bym się nie cieszyła, gdyby mój eks mieszkał kilka domów dalej – przyznała Marzena.

Ze złością odłożyłam karty na stół.

– Moje kochane! – zaczęłam, starając się nie zaciskać rąk w pięści. – Krzysiek jest bardzo fajnym facetem, ale jak już niektórym z was wcześniej wspominałam – tutaj wymownie spojrzałam najpierw na Marzenę, a potem na Kasię – rozstaliśmy się dawno temu. Owszem, pomimo upływu lat oraz tego, że z Tomkiem żyje mi się bardzo dobrze, na widok Krzyśka wracają pewne wspomnienia... W końcu każdy facet jest inny i życie z nim jest inne, prawda?

– Seks też – dorzuciła Agata.

– Seks też – zgodziłam się.

Nie miałam zamiaru ich okłamywać. Nawet zwykły pocałunek z Krzysztofem był wyjątkowy: zmysłowy, gorący i obiecujący naprawdę niezapomniane wrażenia. Potrząsnęłam głową, żeby odpędzić wspomnienie tych pełnych erotyzmu chwil.

– Było, minęło – dodałam. – Ja mam innego, on ma inną. Normalna sprawa. Życie toczy się dalej. Przecież wy też wcześniej miałyście jakiś chłopaków, którzy teraz mają swoje rodziny, a wam to zwisa i powiewa, prawda? Ja też ten rozdział zamknęłam. I koniec.

– Jasne – mruknęła Marzena. – I tej wersji się trzymajmy. Jeśli tak sobie życzysz.

Cholerna, ironiczna, wredna baba! Nakopię jej przy najbliższej okazji.

– Czasami widuję mojego pierwszego chłopaka – powiedziała nagle Agata – i cieszę się, że nie zostałam jego żoną. Facet wygląda fatalnie. Jest gruby, obwisły i ubiera się, jakby dostawał zużyte ciuchy po większym kuzynie. Tosiek prezentuje się tysiąc razy lepiej.

– Trudno powiedzieć, czy uroda faceta to akurat walor. W końcu nie masz spokojnego życia. Cały czas trzęsiesz się, czy Antoni w tym momencie nie podrywa innej – wytknęła Agacie Marzena. – Chyba lepiej, gdy mąż ma przeciętną urodę.

– Jak facet ma pójść na baby, to i tak pójdzie, bez względu na to, czy jest przystojny, czy nie. – Kasia wzruszyła ramionami. – Świat zna wielu kochanków i podrywaczy, którzy wyglądali jak kozie bobki. Patrzcie, śnieg! – krzyknęła nagle, wskazując palcem okno kuchenne.

Za szybą widać było wirujący, biały puch.

– Pierwszy w tym roku! – Marzena poderwała się z krzesła. – Jejku, ale śliczny! Dziewczyny, idziemy!

– Dokąd? – zdziwiłam się.

– Zobaczyć z bliska ten śnieg – zaśmiała się. – Szybko, zakładajcie płaszcze.

Wszystkie jak na komendę pognałyśmy do holu po kurtki.

Chwilę później wyszłyśmy na ganek. Było ślicznie. Z czarnego nieba opadały bielutkie płatki śniegu. Były dość duże, ale i tak spadały leniwie, jakby jeszcze nie do końca przekonane, że to odpowiedni moment na nadejście zimy. Bezgłośnie pokrywały zasuszone trawniki, ciemne dachy domów i gołe gałęzie drzew. Zdążyły już pobielić asfalt na Brzozowym Zaułku oraz zimozielone krzewy rosnące wzdłuż naszego płotu.

– Te płatki śniegu wyglądają jak pióra aniołów – powiedziała podekscytowanym głosem Kasia.

– Piękne są. Takie duże – przyznała jej rację Agata. – Ależ dzieciaki będą się cieszyć...

W tym momencie drzwi domu Kosowskich się otworzyły i na trawnik wypadło stadko dzieci. Za nimi wybiegła Hela, wrzeszcząc na Makska, żeby założył jeszcze czapkę i zawiązał szalik. Maluchy biegały po zeschniętym trawniku z podniesionymi do góry głowami i wyciągniętymi ku niebu łapkami. Każde chciało złapać chociaż jedną śnieżną gwiazdkę. W domu obok nasi mężowie oglądali mecz. Paliło się tam tylko jedno światło – w kuchennym oknie. Salon znajdował się po drugiej stronie.

– Będzie Boże Narodzenie, będzie Boże Narodzenie – cieszył się Benek. – I prezenty! Kupa prezentów!

– Kupę to robisz do kibla – dogryzł mu Maks. – Mówi się fura prezentów...

– O, prezenty! Uwielbiam dostawać prezenty! – darł się Dawidek. – Dostanę od Mikołaja takiego wielkiego czołga!

– Wielkiego czołga – prychnęła Kasia.

– Nic nie wiem na ten temat – potrząsnęła głową Marzena.

– No to już wiesz – zaśmiałam się. – Przynajmniej masz jasność, co twoje dziecko chce dostać na Gwiazdkę.

– Wielki czołg – westchnęła Marzena.

– Nie – poprawiła ją Kasia. – Wielkiego czołga. To zupełnie co innego.

– A ja dostanę laleczkę wampirkę – pochwaliła się piskliwym głosikiem Michalina.

– No i masz – mruknęła Kasia. – Jeszcze jej do kompletu laleczki wampirki brakuje.

Moi chłopcy też chwalili się Heli, co przyniesie im Święty Mikołaj, ale z naszej odległości trudno było ich zrozumieć. Obiecałam sobie, że przy najbliższej okazji wypytam Helę, co dzieciaki chciałyby dostać. Przynajmniej przedświąteczne zakupy będą trwały krócej.

– Moje drogie – westchnęła Kasia, obejmując mnie i Marzenę w pasie. – Niebawem czekają nas święta, a potem sylwester...

– Tak. – Marzena z zachwytem wpatrywała się w niebo. – Pomimo wszystko, ten rok był wspaniały. Przybyło mieszkańców na tej ulicy. Wprowadziliście się wy, ja urodziłam córcię...

Patrząc z tej perspektywy na ganek własnego domu oraz przytulając swoje sąsiadki i zarazem najlepsze przyjaciółki, poczułam się niesamowicie szczęśliwa. Pomyślałam, że mimo że hipotekę będziemy spłacać przez kolejne ćwierćwiecze, mam to, czego pragnie każdy człowiek – swój własny, mały kawałek świata, a na nim rodzinę i przyjaciół, na których zawsze mogę liczyć. Poczułam, jak rozpiera mnie szczęście. Ze wzruszenia zapiekły mnie oczy. Wierzchem dłoni starłam zabłąkaną pod rzęsami łzę. Nie byłam w tym geście osamotniona. Agata zrobiła dokładnie to samo. A później Kasia. Marzena wyjęła z kieszeni chusteczkę i głośno wysmarkała nos.

– Może to głupie, ale ta chwila mnie rozczuliła – bąknęła Agata.

Marzena uparcie majstrowała chustką przy nosie.

– Co ci jest? – zapytała ją Kasia.

– Ach, nic – mruknęła Marzena. – Po prostu kocham z całego serca was i to miejsce. Mieszka się nam wszystkim tutaj tak dobrze nie tylko dlatego, że ulica jest ładna i domki też, ale przede wszystkim dlatego, że trzymamy się razem. Ten rok był po prostu wspaniały – powtórzyła. – Przeżyłam wspaniałe chwile. Większość z nich jest bezcenna. I bardzo zabawna.

– Jak na przykład oblana sosem Paula – zaśmiałam się.

– Albo Tomek bijący się pod twoim domem z Krzyśkiem – dodała Marzena.

– Najlepsza była przejażdżka z Helą. – Przypomniałam sobie podróż do przychodni. – Nigdy w życiu tak się nie bałam. Ale to akurat nie było śmieszne...

– A pamiętasz, jak ścisnęłaś cycki Pauli i poleciała z nich sztuczna krew? – Agata śmiała się na głos.

– Ech, sporo tego było – podsumowałam. – Cieszę się, że tu zamieszkałam. Nie żałuję ani jednego dnia. To rzeczywiście był wspaniały rok.

– Nie mów hop, póki nie przeskoczysz – wtrąciła Agata, patrząc na dzieciaki hasające po trawniku Kosowskich. – Do końca roku zostało jeszcze kilka tygodni. Może się jeszcze wiele wydarzyć. Niekiedy jedna chwila diametralnie zmienia całe życie.

– Cicho! – zbesztła ją Marzena. – Jest super i nic się już nie zmieni. Ja jestem szczęśliwa, ty jesteś szczęśliwa, wy wszystkie jesteście. Nawet nasi mężczyźni są szczęśliwi, bo mogą wspólnie obejrzeć głupi mecz. I nasze dzieciaki, które właśnie zlizują śnieg z gałęzi jakiegoś krzaka, który mam nadzieję, nie

jest trujący. Jesteśmy szczęśliwi i tyle! I tak ma zostać!

W tym momencie jednak stało się to, co przepowiedziała Agata. Los bywa przekorny. Gdy za bardzo wierzymy w siebie, gdy wydaje nam się, że z nim wygraliśmy, pokazuje, jak mało zależy od nas, a jak wiele – od jego jakże przewrotnego poczucia humoru. Właśnie tego dnia los wyciągnął rękę w naszym kierunku i z mściwym uśmiechem pokazał środkowy palec.

Gdy stałyśmy takie szczęśliwe na progu, nagle domem Kasi wstrząsnęła ogromna eksplozja. Od huku aż zatrzęśły się wszystkie drzewa. Przerażone dzieci przykucnęły z piskiem. My zrobiłyśmy to samo, odruchowo padając i kryjąc głowy między kolanami. Stado śpiących w lesie wron zerwało się z gałęzi, kracząc głośno.

Hukowi towarzyszyło małe trzęsienie ziemi. Szyba w oknie kuchennym Kasi eksplodowała na zewnątrz, rozpryskując się miliardem drobnych, błyszczących w blasku latarni szkiełek. Gdzieś w głębi domu coś głośno trzasnęło i powietrze przeszył pełen bólu krzyk, po którym nastąpiła kompletna cisza.

Po zdawałoby się nieskończeniu długich sekund uniosłam głowę jako pierwsza. Z perspektywy ganku, na którym stałam, widać było tylko fragment domu Wrońskich. Miałam jednak dobry widok na kuchnię czy raczej na to, co z niej zostało – na wielką, ziejącą czernią dziurę. Kasia oprzytomniała. Poderwała się z rozpaczliwym krzykiem.

– Mój Boże! Marek!

Wszystkie podniosłyśmy się z ziemi, patrząc na miejsce eksplozji. Sparaliżował nas strach. Strach o życie naszych mężów. Krzycząc z przerażenia, równocześnie rzuciłyśmy się biegiem w kierunku domu Kasi. Tym samym w jednej chwili z wielkiej, rozpierającej dech w piersiach radości nie pozostało nic. Jej miejsce zajął bezgraniczny strach. Mogłam w tym momencie tracić ukochanego mężczyznę! Nasz cały wybudowany z mozołem maleńki świat właśnie legł w gruzach.

Bez względu na nasze decyzje, dobre czy złe, świat toczy się dalej. W tej samej chwili jedni ludzie się śmieją, inni płaczą z powodu straty bliskiej osoby. Gdzieś ktoś krzyczy z bólu, ktoś inny zaś smacznie śpi. Ktoś przeżywa radosne uniesienia, ktoś inny zaś trzyma na dłoni garść tabletek nasennych, nie widząc żadnego innego rozwiązania.

Gdzieś ktoś się rodzi. Gdzieś ktoś umiera.

W wielkim cierpieniu...

Spis treści

[Brzozowy Zaulek](#)

[Witamy na Brzozowym Zaułku](#)

[Mieszkańcy Brzozowego Zaułka](#)

[Bardzo powitalny grill](#)

[Bolesne zderzenie z naturą](#)

[Znalezisko](#)

[Wspomnień czar](#)

[Mażeńskie zaufanie](#)

[Miało być jak co dzień](#)

[Dom numer trzynastcie](#)

[Powiew dekadencji](#)

[Okiem teściowej](#)

[Jak to wytłumaczyć?](#)

[Na zakupy](#)

[Trochę o sąsiadach](#)

[Halloween](#)

[Tajemnica Benka](#)

[Kości, kostki i kosteczki](#)

[I co dalej?](#)

[Istny dom wariatów](#)

[Powtórka](#)

[Istota zazdrości](#)

[Męskie lizanie ran](#)

[Rocznica](#)

[Radość i łzy](#)

[Dzień później](#)

[Moje przyjaciółki](#)

[Chwila prawdy](#)

[Życie toczy się dalej](#)

[Czyja wina?](#)

[Element zaskoczenia](#)

[Tak miało być](#)

[Coś się kończy, coś się zaczyna](#)